

LION FEUCHTWANGER

WOJNA ŻYDOWSKA

TOM II

PRZEŁOŻYŁ JACEK FRÜHLING

PAŃSTWOWY instytut wydawniczy

KSIĘGA PIERWSZA

PISARZ

Kiedy pisarz Flawiusz Józef dowiedział się od swego sekretarza, że cesarz leży w agonii, udało mu się zachować spokojny wyraz twarzy. Zmusił się nawet do tego, żeby pracować jak zwykle. Dobrze się stało, że sekretarz siedział przy biurku i Józef mógł za jego plecami chodzić tam i z powrotem. Nie zniosłby dziś widoku spokojnej, uprzejmej twarzy sekretarza. Był jak zawsze opanowany, pracował wytrwale, dopiero po godzinie oświadczył:

— Na dzisiaj dosyć.

Z chwilą kiedy pozostał sam, namiętne, podłużne oczy rozjaśniły się, rozpromieniony, odetchnął głęboko. Wespazjan w agonii. Kilkakrotnie powtórzył głośno, z lubością, po aramejsku:

— Cesarz umiera. Mój cesarz, Mesjasz, pan całego globu umiera.

Miał prawo użyć określenia: mój cesarz. Był z nim związany od pierwszego spotkania, kiedy to jako pojmany generał powstańczej armii żydowskiej, wygłodzony i wyczerpany do cna po upadku ostatniej twierdzy, stanął przed obliczem Rzymianina Wespazjana. Na wspomnienie tego spotkania Józef zagryzł wargi. Wówczas powitał tego człowieka jako Mesjasza, przyszłego cesarza. Było to wspomnienie dręczące. Czy wtedy przemawiała przez niego gorączka niewypowiedzianej rozpaczki? A może był to tylko chytry manewr, który mu podszeptał instynkt samozachowawczy? Bezplodne rozważania. Wypadki potwierdziły słuszność jego postawy, Bóg ją potwierdził.

Widział przed sobą tego starca, leżącego obecnie w agonii, jego zacięte szerokie usta, potężną, łysą, chłopską czaszkę, przebiegłe, jowialne, nieublagane oczy. Czy jest temu cesarzowi oddany? Usiłuje być sprawiedliwym. Jako dowódca żydowski przeszedł do Rzymian wówczas, gdy zawładnęli jego krajem. Raz po raz pośredniczył między Rzymem i swymi rodakami, nie bacząc na straszliwe zniewagi, doznawane od obu stron. Swą obszerną księgą o wojnie żydowskiej przyczynił się poniekąd do ułagodzenia Żydów, zamieszkałych we wschodniej części kraju. Było to potrzebne, gdyż po zburzeniu miasta i Świątyni przejawiali groźne skłonności do ponownego uderzenia na wroga. Czy człowiek, który teraz dogorywał, wynagrodził go za te wielkie przysługi? Podarował mu honorowe szaty, dobra ziemskie, purpurę, złoty pierścień, atrybut szlachty drugiego stopnia, wyznaczył roczną pensję, ponadto ofiarował mu dożywotnio dom, w którym sam kiedyś mieszkał. Tak, na pozór i sądząc powierzchownie, można było powiedzieć, że cesarz rzymski Wespazjan szczerze wynagrodził żydowskiego męża stanu, generała i pisarza Józefa syna Mateusza, wypłacił mu wszystko skrupulatnie do ostatniej sestercji. Mimo to teraz, w ostatecznym porachunku z konającym, Józef ma wzrok ponury, a jego chuda, fanatyczna twarz przepojona jest nienawiścią. Podnosi złoty przybór do pisania, który nosi za pasem, podarunek następcy tronu Tytusa, machinalnie uderza nim lekko kilka razy o drewniany stół. Cesarz wielokrotnie upokarzał go w swoisty, bardzo gorzki sposób. Rzucił mu dziewczynę Marę; nasyciwszy się nią, zmusił go do poślubienia tej szmaty, choć wiedział, że dla Józefa było to równoznaczne z utratą godności kapłańskiej i anatimą. Bardzo często, w okresie kiedy Józef przebywał w jego otoczeniu, dręczył go brutalnymi, chłopskimi, złośliwymi docinkami, może dlatego, ponieważ wiedział, że Józef posiada siły i właściwości jemu całkowicie obce i niedostępne. Na ogół cesarz postępował z Józefem tak, jak wyniosły Rzym zawsze postępuje ze Wschodem. Wschód był starszy, miał dawniejszą cywilizację, głębsze powiązania z Bogiem. Lękano się Wschodu, który pociągał i zarazem odpychał. Potrzebowano

go, wykorzystywano, przez wdzięczność i zemstę okazywano mu na przemian przychyłność i pogardę.

Józef przypomniał sobie ostatnie spotkanie z cesarzem. Zacisnął zęby z taką siłą, że zuchwy na kościstej, bladej, ciemnej twarzy wystąpiły jeszcze mocniej. Było to podczas wielkiego przyjęcia, które Wespazjan wydał przed swoim ostatnim, nieudanym wyjazdem na odpoczynek. W obecności licznych audytorium zapytał:

— Czy już niedługo otrzymamy nową wersję twojej; *Wojny żydowskiej*, rabbi Józefie? — Po chwili dodał swym ostrym, skrzeczącym głosem: — Bądźże dla Żydów bardziej sprawiedliwy. Pozwalam ci na to. Możemy sobie teraz na to pozwolić.

Czy można wyobrazić sobie szyderstwo bardziej zuchwałe? Czy wolno było potraktować go jak płatne narzędzie, a książkę jego uznać za głupie pochlebstwo? Na twarz Józefa wystąpiły rumieńce, zaczął jeszcze gwałtowniej walić o stół przyborem do pisania. Brzmi mu dokładnie w uchu wyniosły ton głosu starego. „Bądźże sprawiedliwy... Pozwalam ci na to.” Dobrze się stało, że usta, które wypowiedziały takie słowa, nie będą już miały okazji do ich powtórzenia. Józef widzi te usta tak wąskie i wykrzywione, otwierają się szeroko, a później mocno się zaciskają, wydając z siebie z kurczowym wysiłkiem ostatnie tchnienie. Tak, jego cesarz nie będzie miał łatwej śmierci; tyle w nim życia, ciężko mu będzie rozstać się z nim. Trudno byłoby się z tym pogodzić, gdyby ten człowiek doznał łaski lekkiej śmierci.

„Bądźże sprawiedliwy — pozwalam ci na to.” Pięknie, księga jego miała na celu umocnienie rzymskiej władzy, powstrzymanie Żydów na Wschodzie od nowej rebelii. Czy nie było to „sprawiedliwe” w najwyższym stopniu? Żydzi zostali ostatecznie pokonani. Czy tego rodzaju przedstawienie im wielkiej wojny, żeby beznadziejność nowego powstania stała się dla każdego oczywista, nie przynosiło większej korzyści Żydom niż Rzymianom? Józef wie, jaką pokusę stanowi uleganie poczuciu wyższości narodowej. Sam temu uległ, kiedy wybuchło powstanie. To jednak, że wtedy uświadomił sobie bezcelowość szaleńczego i bohaterskiego porywu, że stłumił w sobie żar patriotyczny i poszedł drogą rozsądku, było, jako żywo, najlepszym czynem w jego życiu i w najwyższym stopniu sprawiedliwym.

Bo któż by miał napisać księgę o wojnie żydowskiej, jeżeli nie on? Przeżył ją i z pozycji Jerozolimy, i z pozycji Rzymu. Nie oszczędził sobie żadnej próby, był świadkiem tej wojny aż do jej smutnego końca na to, by napisać swą księgę. Nie zamykał oczu, kiedy puszczano z dymem Jerozolimę i jej Świątynię, siedzibę Jehowy, najdumniejszą budowlę świata. Widział, jak jego rodacy umierali w Cezarei, w Antiochii, w Rzymie, jak na arenie rozdierali się nawzajem na sztuki, jak ich topiono, palono, wydawano na pastwę dzikim bestiom ku zabawie gawiedzi. Jedyne spośród Żydów widział z łoża cesarskiej tryumfalny wjazd do Rzymu tych, którzy zburzyli Jerozolimę, patrzył na to, jak wlekli na śmierć smaganych batami jej obrońców. Przettrzymał to. Przeznaczeniem jego było opisanie tego wszystkiego zgodnie z prawdą, by świat poznał sens tej wojny.

Można było jej dzieje napisać śmielej, niż to uczynił, jaśniej, bardziej jednoznacznie, swobodniej. Poszedł na ustępstwa, wykreślił niejedno ważne słowo, niejedno namiętne wyznanie w obawie, że będzie niemiłe Rzymowi epoki Wespazjana. Ale co lepsze? Czy, idąc na kompromisy, osiągnąć cel choćby częściowo, czy, pozostając wiernym zasadom, nie osiągnąć żadnego celu?

Jakież to błogosławione zrządzenie losu, że stary umiera i pozostawia miejsce Tytusowi, przyjacielowi Józefa, przyjacielowi Żydówki Bereniki. Żydówka wprowadzi się do pałacu, a wtedy, mój ty bardzo dobry, bardzo wielki cesarzu Wespazjanie, wtedy dopiero moja *Wojna żydowska* osiągnie w całej pełni swój sprawiedliwy cel. Józef biegnie po pokój, z góry upaja się swym sukcesem. Machinalnie chwyta się za kruczą brodę, która okala wygolone wargi. Nuci pod

nosem prastarą melodię, na której nutę w okresie studiów uniwersyteckich w Jerozolimie wbijał sobie w głowę wersety z Biblii. Chuda twarz promienieje dumą i szczęściem.

Może być zadowolony ze swych osiągnięć. Przeszedł przez nieskończone udręki, los huśtał go mocniej niż wielu innych, ale w gruncie rzeczy każda następna fala wynosiła go wyżej. Dziś, mając lat czterdzieści dwa, w pełni sił, wie dokładnie, co potrafi. A potrafi wiele. Był żołnierzem, politykiem, teraz jest pisarzem, człowiekiem, który ukazuje myśli kierujące żołnierzami i politykami. Informują go o ciętych, złośliwych słowach jego greckich kolegów, którzy się śmieją z jego nieudolnej greki. Niech się śmieją! Ma za sobą osiągnięcie, które świat zaaprobował. Kiedy odczytuje fragmenty swoich dzieł cały wielki świat Rzymu chce go słuchać mimo kiepskiej greki. Przypomnił sobie prastare słowa jakiegoś zapomnianego kapłana:

„Siedemdziesięciu siedmiu ludzi ma w świecie posłuch, jestem jednym z nich.” Jest zadowolony.

Nie, nie jest zadowolony. Wzrok jego staje się ponury. Myśli o tych, którzy go nie uznają.

Przede wszystkim o owym Justusie, przyjacielu i wrogu, o Justusie z Tyberiady, który od samego początku stoi mu na drodze niby wieczny wyrzut. Obaj uświadamiają sobie jasno, jakie jest teraz, po klęsce, zadanie żydowskiego pisarza. Chodzi o pokonanie zwycięskiego Rzymu od wewnątrz, duchowe. Ukazanie ducha żydowskiego w całej jego wielkości potężnemu Rzymowi, podziwianym, znienawidzonym Grekom w taki sposób, by mu się poddali, oto dziś misja żydowskiego pisarza. Józef czuł to od chwili, kiedy po raz pierwszy spoglądał z Kapitolu na Rzym. Niestety czuł tak nie tylko on, ale i ów Justus, tak, ów Justus od dawna ujął swoje uczucia w jasną myśl. „Bóg przebywa teraz w Italii.” Józef nie wie już dokładnie, czy słowa te wypowiedział po raz pierwszy on sam, czy też tamten. W każdym razie bez tamtego nie byłyby się narodziły.

Tak czy inaczej, obaj dążą w swej pracy do jednego celu: do pokazania zachodniemu światu istoty żydostwa, jego niezrozumiałego, zapoznanego ducha, często ukrytego pod osłoną pozornie absurdalnych zwyczajów. Tylko metoda Justusa jest o wiele bardziej bezwzględna, prostolinijna. Ten człowiek nie chce zrozumieć, że z Rzymianami i Grekami trzeba iść na kompromis. Kiedy Józef osiągnął szczęśliwie to, że mógł przy burzliwym aplauzie stolicy wystąpić z siedmioma księgami swej *Wojny żydowskiej*, Justus nie miał dla niego nic poza zabójczo beczelnym uśmiechem. „Nie znam nikogo, kto by lepiej od ciebie stwarzał odskocznice dla świetnej kariery”, oto słowa, którymi pokwitował dzieło życia Józefa. A później ten najzuchwalszy ze wszystkich ludzi, którego bez pomocy Józefa w ogóle nie byłoby już na świecie, zabrał się do tego, by dzieło Józefa, *Wojnę żydowską*, napisać jeszcze raz, tak jak on ją widzi. Niech będzie i tak, Józef nie boi się tego. Książka będzie taka sama, jak owych kilka wątpliwych dziełek, które Justus dotychczas opublikował, ostra, jasna, wyszlifowana i nieprzekonywająca. Natomiast jego księga napisana marnym językiem greckim, czyniąca pewne koncesje, wytrzymała próbę. Podziałała, będzie oddziaływała, zostanie.

Ale dosyć o tym Justusie. Przebywa daleko, w swojej Aleksandrii, i niech sobie tam tkwi. Józef siada przy biurku, bierze rękopis Fineasza, sekretarza. Znowu, jak już nieraz, gniewa się na pośpieszny, nieporządnny charakter pisma tego człowieka. Zapewne, przy tego rodzaju pracy nie chodzi o stronę techniczną tego, co się pisze. Ale Józef jest przyzwyczajony do staranności, z jaką opracowywane są zwoje ustaw hebrajskich, i to go złości.

Przebiega papier wzrokiem. Nie ulega wątpliwości, że język grecki tego Fineasza jest mistrzowski. Józef jest zdany na jego pomoc. Władza biegle językiem aramejskim i żydowskim, ale jego grece brak subtelnych odcieni. Kupił Fineasza jako niewolnika za grube pieniądze. Wkrótce przekonał się, że nie mógł znaleźć bardziej przydatnego współpracownika. Nikt lepiej go nie rozumie. Niebawem jednak stwierdził, że ten Fineasz, dumny ze swej greki, w gruncie rzeczy pogardza wszystkim, co hebrajskie. Sekretarz okazuje mu to na swój sposób. Często

demonstruje mu z wyraźnym szyderstwem, jak zgrabnie potrafi dostosować się do biegu jego myśli, i daje poszczególnym zwrotom ten szlif, o którym Józef marzy. Zdarza się jednak, że kiedy Józefowi najbardziej zależy na tym, by jakąś myśl lub uczucie wyrazić z najsubtelniejszą precyzją, ten krnąbrny sekretarz zawodzi, udaje głupiego, szuka gorliwie odpowiedniego słowa i nie znajduje go, delektuje się tym, jak Józef wysila się na próżno. Mimo oddawanych mu usług, Józef najchętniej przepędziłby tego Fineasza z domu.

To się nie da zrobić. Nie może się go pozbyć tak samo jak Justusa. Ten człowiek stał się niezbędnym Dorion, jego żonie, przeznaczyła go na wychowawcę małego Pawła; chłopiec również zapatrzył się w Greka, przepada za nim.

„Siedemdziesięciu siedmiu ludzi ma w świecie posłuch; jestem jednym z nich.” Wszyscy uważają go za szczęśliwego. Jest wielkim pisarzem w świecie, który czci pisarza stawiając go bardzo wysoko, bezpośrednio po cesarzu. Ale ten wielki pisarz nie może dziś osiągnąć więcej niż wówczas, kiedy zaczynał i nie miał jeszcze doświadczenia. Miał wtedy dość sił, by obcość między sobą i Dorion usunąć. Wtedy w Aleksandrii on i ta dziewczyna Dorion, jego żona, płynęli jednym nurtem.

Jakież to odległe czasy! Dużo się w ciągu dziesięciu lat zmieniło. Stała się znowu dawną egipską Greczynką, on zaś jest Żydem.

Ale czyż teraz, kiedy Tytus zostanie cesarzem, kiedy nastąpi wielka przemiana, nie może być znowu tak, jak było w Aleksandrii? Dorion uwielbia powodzenie, Dorion nie może go oderwać od jego sukcesów. Z pewnością nie wie jeszcze, że cesarz jest bliski śmierci. Pójdzie do niej, zakomunikuje jej radosną zmianę. Będzie przed nią siedziała szczupła, wysoka — ciało jej pozostało delikatne, nie zniekształciło go macierzyństwo — odrzuci w tył jasną głowę, będzie lekko pociągała zadartym nosem. Cienkimi rękami będzie odruchowo głaskać Chronosa, swego ulubionego kocura; Józef go nie cierpi, Dorion zaś uważa za boga tak samo, jak za boga uważała kotkę Immutfru, która na szczęście zdechła. Myśląc o Dorion, pożąda jej gwałtownie. Widzi, jak pod wpływem niespodzianki rozchyła usta, widzi jej dziewczęcą postać. Dorion jest jak dziecko, potrafi cieszyć się nieokielzanie jak dziecko. Widać, jak radość rodzi się w niej, jak rośnie, jak naprzód cieszą się usta, potem oczy, potem cała twarz, wreszcie całe ciało. Jest wspaniała, kiedy się raduje.

Mimo to nie pójdzie do niej, nie przyniesie jej nowiny. Byłby to tryumf zbyt tani, byłoby to przyznanie się, jak bardzo jest mu potrzebna. Musi być wobec niej ostrożny, trzymać się w karbach, są rzeczy, których pragnie, a których ona mu odmawia. Ukazanie jej swej żądzy byłoby stwierdzeniem jej przewagi nad nim.

Musi się bardzo opanowywać, by nie pójść do niej. Miał niezliczoną ilość kobiet, wygląda młodo, wszystko w nim zdradza silną indywidualność, jest wytworny, otaczają go sława i powodzenie, kobiety lecą na niego. Jednakże dopiero od czasu, jak poznał Dorion, wie, co to znaczy miłość i pożądanie; wszystkie strofy Pieśni nad Pieśniami zdają się mówić o niej. Skóra jej pachnie jak drzewo sandałowe. Oddech płynący z pożądliwych ust jest jak powietrze Galilei na wiosnę. Niewiele jest kobiet, które Józef potrafi kochać nie tylko wówczas, kiedy obcuje z nimi fizycznie. Mógłby zrezygnować ze wszystkich kobiet świata, ale nic może sobie wyobrazić, żeby mógł żyć bez swojej żony Dorion.

Należą do siebie. Jest jego kobietą — krew z krwi i kość z kości — i ona to czuje. Czegóż to mu nie poświęciła! Wkrótce po ślubie musiał się z nią rozejść, by ruszyć z następcą tronu do Jerozolimy i być świadkiem upadku miasta. Z jaką godnością przyjęła go, gdy wreszcie wrócił tylko-po to, żeby ją znowu odprawić! Do końca życia nie zapomni, jak stała wtedy przed nim w milczeniu. Lekko i czysto unosiła się nad smukłą jej szyją długa, wąska głowa o wielkich ustach. Patrzyła na niego oczyma barwy morza, które stawały się coraz ciemniejsze. Widział jej skórę,

wiedział, że skóra ta jest słodka, gładka i bardzo chłodna. Ta jego żona Dorion była słodczyką świata. Czekala na niego nieskończenie długo. Kiedy powrócił, stanęła przed nim, pełna pożądanja. Ale istniała sprawa tej księgi, tej przeklętej księgi, dla której tyle poniósł ofiar; jeżeli pozostanie przy Dorion, nie będzie jej mógł napisać, jeżeli nie napisze jej teraz, wymknie mu się na zawsze. Musiał jej to powiedzieć, musiał ją odprawić. Stała, słuchała go, nie zatrzymywała go, nie sprzeciwiała się ani jednym słowem. Nie powiedziała nawet tego, że w czasie kiedy przebywał w Jerozolimie, urodziła mu syna.

Dzisiejsza Dorion była bardzo różna od dawnej. W czasie piętnastu miesięcy, podczas których pisał swą błogosławioną, przeklętą księgę, stała się szyderczą, wyniosłą damą, jaką była niegdyś, ową dziewczyną z Aleksandrii, chłodną i ciekawą, pochłoniętą lekkomyślnymi postaciami z greckiego świata bajek. Taka zjawiła się przed nim, kiedy ją po ukończeniu swego dzieła przywołał znów do siebie. Stała się kłótniwa, krytyczna. Oświadczyła mu, że wobec wprowadzenia haniebnego podatku narzuconego Żydom odwołała swe przejście na judaizm i ani myśli dać obrzezać małego Pawła. Doszło do gwałtownej sprzeczki. Nie chciał pogodzić się z tym, by syna jego wychowywano jako Greka, by wyłączono go ze wspólnoty wybranych, wierzących w Boga. Ale małżeństwo ich — związek pełnoprawnego obywatela rzymskiego z kobietą nie posiadającą obywatelstwa rzymskiego — jest wedle prawa małżeństwem tylko na pół legalnym. Paweł podlega opiece matki, jest tak jak ona egipskim Grekiem. Bez jej zgody Józef nie może zrobić z niego Żyda. Nie byłoby mu trudno zalegalizować swe małżeństwo całkowicie, chłopiec stałby się wtedy tak jak on szlachcicem drugiego stopnia. Ileż to razy błagał Dorion, żeby się na to zgodziła! Powiedział, że wszystko przygotowuje, trzeba tylko raz pójść do sądu. Dorion nie zgadzała się. Wtedy w Aleksandrii nalegała na to, by zdobył prawo obywatelstwa. Oświadczyła, że go poślubi, jeżeli Józef w ciągu dziesięciu dni zdobędzie obywatelstwo rzymskie. Teraz wołała zostać obywatelką drugiego rzędu tylko dlatego, żeby chłopiec w dalszym ciągu podlegał jej opiece i nie został Żydem.

Paweł. Tak, Józef bardzo kocha chłopca. Ale Paweł jest synem swojej matki. Nie odrywa oczu od Greka, niewolnika, któremu dopiero Józef darował wolność. Kocha tego przeklętego Fineasza. Kiedy Józef chce się do niego zbliżyć, zamyka się w sobie, jest obcy, uprzejmy, zapewne wstydzony swego ojca, ponieważ jest Żydem. Jeżeli chodzi o małego Pawła, to jest on Grekiem.

Teraz jednak, pod berłem Tytusa, wszystko się przecież zmieni. Czy Józef potrafi wreszcie obalić mur, dzielący go od chłopca? Musi mu się to udać. Pójdzie jeszcze wyżej, zdobędzie jeszcze więcej sukcesów, Dorion da się przekonać, pomoże mu. Zrozumie, że pisarz Flawiusz Józef nie naraża już przyszłości syna, nawet czyniąc z niego Żyda.

Józef jest pełen najlepszych nadziei. Ma lat czterdzieści dwa, jest w pełni sił. Wespazjan kona. Cesarzem będzie Tytus, człowiek, który jest przyjacielem Józefa. Józef przeprowadzi to, czego chce, wymaże ze swego życia to, co mu przeszkadza. Napisze swoją *Historię narodu żydowskiego*, księgę, o której marzy, Justus będzie milczał i nie zgłosi zastrzeżeń. Józef zdobędzie na nowo Dorion, zrobi ze swego syna Żyda i obywatela świata, swego pierwszego ucznia i apostoła.

Rozwinął pergamin wypełniony bezładnymi znakami pisarskimi Fineasza. Grek Fineasz, nienawidzący Żydów, jest mu zawadą, musi zejść z drogi. Trudno będzie radzić sobie bez niego. Józef napisał psalm, nazwał go *Psalmem obywatela świata*. Półgłosem recytuje hebrajskie strofy:

*Pomnóż, o Jahwe, moje uszy,
O, pomnóż moje oczy,
Żebyśmy słyszał i widział ogrom Twego świata.
Poszerz mi serce, Jahwe,*

*Aby pojęło różność Twego świata.
Wzmóż, o Jehowo, mój głos,
Abym mógł wyznać wielkość Twego świata.
Słuchajcie, ludy, uważcie, narody.
Nie oszczędzajcie ducha, mówi Jahwe,
Któregom na was zesłał.
Roztrwaniajcie swe serca, mówi Pan,
Bo ja pluję na skąpych.
Kto zaciska swe serce i zaciska kieszonek,
Od tego odwracam oblicze.
O, zerwij się z kotwicy, mówi Jahwe,
Bo nie miłuję tych, co grzęzną w portach.
Ze zgrozą patrzę na ludzi,
Co gniją, w smrodzie gnuśności.
Dałem im uda, by ich nosiły po ziemi,
I stopy, żeby biegali —
A nie tkwili wciąż w miejscu
Jak drzewo wrosłe korzeniem.
Bo drzewo jedną ma karmę,
A człowiek żywi się wszystkim,
Co tylko dlań stworzyłem pod namiotem nieba.
Drzewo zna tylko dookolny las,
A człowiek daleko połyka oczyma
I skórą wszelką inność najczulej wyczuwa.
Chwalcie Boga i serca roztrwaniajcie po łąkach.
Chwalcie Boga i serca roztrwaniajcie po morzach.
Rabem ten, kto się w jeden zakotwiczony łąd.
Ziemia, którą wam chwale, nie zowie się Syjon,
Jej imię — ziemski glob.*

Dobre są te wiersze, wyrażają dokładnie to, co chce powiedzieć. Ale te strofy hebrajskie, w takim przekładzie jak obecny, brzmią ubogo, nie ma w nich melodii. Będą mogły oddziaływać na świat dopiero wtedy, gdy i w przekładzie greckim melodia ich będzie dźwięczała ze stopni Świątyni Jehowy. Kiedy trzysta lat temu tłumaczono Pismo święte na język grecki, siedemdziesięciu dwóch uczonych pracowało nad przekładem pod klauzurą, w ścisłym od siebie odosobnieniu; mimo to wszystkie teksty brzmiały dosłownie tak samo i powstało dzieło wspaniałe. Ale cuda tego rodzaju już się nie zdarzają. Józef nie znajdzie siedemdziesięciu dwóch ludzi, którzy by potrafili psalm jego przełożyć. Nie znajdzie nikogo, może z wyjątkiem Fineasza, przy czym tłumacz musiałby pracować z dobrą wolą, wyężając wszystkie siły.

Tak czy inaczej, psalm, którego tekst grecki pozostawia wiele do życzenia, istnieje. Wobec tego, że cesarzem zostanie Tytus, pisarz Flawiusz Józef może pozwolić sobie na to, żeby się stać znowu rabbinem Józefem synem Mateusza. Wyrazi swe uczucia czyściej, głębiej, bardziej po żydowsku, choć może gorzej po grecku. Rezygnuje z Fineasza, skończył z nim. Mimo to nadejdzie kiedyś godzina, w której wszystkie ludy zrozumieją jego psalm.

Cesarz Tytus Flawiusz Wespazjan leżał wieczorem owego dnia w sypialni swego starożytnego domu wiejskiego w pobliżu miasteczka Cosa. Kiedy poczuł, że zbliża się koniec, kazał się przenieść do odziedziczonej po babce posiadłości w Etrurii, gdzie wyrósł. Kochał ten chłopski, zadymiony dom, który budowały i rozbudowywały pokolenia. Pozostawił wszystko bez

zmian; dom był pozbawiony komfortu, ciemny, taki sam jak sześćdziesiąt lat temu, kiedy Wespazjan był dzieckiem. Pułap izby był niski, szerniały, drzwi ogromnego pomieszczenia, pozbawionego okien, prowadziły na wielkie podwórze, ocienione potężnym, prastarym dębem, pod którym kręciła się Świnia z prosiętami. Szerokie, niskie łoże, wbudowane w niewysoką nyżę, było zrobione z kamienia, leżała na nim gruba warstwa wełny, było zasłane prostym, chłopskim prześcieradłem.

Na tę prymitywną sypialnię skierowane były teraz spojrzenia Rzymu, Italii i bliżej położonych prowincji; wieść o bliskiej śmierci cesarza rozeszła się lotem błyskawicy.

Cesarza otaczało niewiele osób: jego syn Tytus, lekarz przyboczny Hekateusz, adiutant Florus, kamerdyner, fryzjer; ponadto Klaudiusz Reginus, jubiler nadworny, syn wyzwolenca sycylijskiego i matki Żydówki, wielki finansista, którego rady w sprawach gospodarczych cesarz chętnie zasięgał. Jego to Wespazjan wezwał do łoża śmierci. Natomiast wyraźnie wyprosił sobie obecność młodszego syna, Domicjana.

Była godzina siódma wieczór. Kalendarz wskazywał dzień dwudziesty trzeci czerwca, więc zmrok nieprędko jeszcze zapadnie. Cesarz na swym prostym łożu wyglądał żałośnie w swej straszliwej chudości. Kurcze i ataki, które go przez cały dzień zadręczały, ustały nieco; tym boleśniej odczuwał osłabienie. Myślał o tym, że zaraz po śmierci zostanie decyzją senatu uznany za świętego, podniesiony do rangi boga. Wykrzywił szerokie usta w uśmiechu, lekko rżęząc — mówienie przychodziło mu z trudnością — zwrócił się do lekarza:

— Hola, doktorze. Teraz już nie ma rady, teraz zostanę bogiem. A może sądzisz, że winienem poczekać, aż się ściemni?

Zebrani spojrzeli na doktora Hekateusza, ciekawi, co odpowie. Hekateusz był znany powszechnie ze swej prostoty i szczerości. I teraz odpowiedział bez osłonek:

— Nie, wasza cesarska mość, nie sądzę, żeby należało czekać nocy.

Wespazjan parsknął gwałtownie.

— No więc — wykrztusił. — Jazda, moje dzieci!

Wydał swego czasu polecenie, żeby, kiedy już pora nadejdzie, ubrano go, ogolono, uczesano. Nie przykładał wielkiej wagi do form zewnętrznych, sądził jednak, że senat i lud rzymski mają prawo do tego, żeby cesarz umierał przyzwoicie. Tytus zbliżył się, szeroka, chłopięca twarz przyszłego cesarza, liczącego lat trzydzieści dziewięć, była zatroskana. Wiedział, jakim wysiłkiem jest dla konającego ubranie się i wykąpanie. Ale Wespazjan machnął ręką i powiedział:

— Nie, mój chłopcze, dyscyplina być musi. — Spróbował uśmiechnąć się do adiutanta Florusa. Ten Florus przywiązywał wagę do form, cierpiał z powodu braku tych form u cesarza, do rozpaczki doprowadzał go rubaszny dialekt Wespazjana. Jeszcze trzy dni temu, kiedy cesarz mówiąc o miasteczku Cosa, dokąd chciał być przetransportowany, powiedział: „Causa”, Florus nie mógł się powstrzymać od poprawienia go i stwierdzenia, że nazwa nie brzmi Causa, lecz Cosa. Cesarz odpowiedział na to swemu adiutantowi: „Wiem o tym, mój F l a u r u s i e.” — Dyscyplina być musi — powtórzył więc teraz z trudem, straszliwym dialektem. — Prawda, Flaurusie?

Wykąpano konającego. Wychudzony, ze skórą szarawą, całą w zmarszczkach, owłosiony na piersiach i brzuchu, sapiący, zwisał stary z ramion swych ludzi. Wytarto go, fryzjer zabrał się do golenia. Był to dobry cyrulik, uczeń pierwszorzędnym mistrzów egipskich, ale jako golibroda cesarza niewiele miał sposobności do wykazania swego kunsztu. Zamiast dobrego mydła galijskiego musiał używać taniej ceglastej, ziemistej mieszanki z Lemnos. Mydło galijskie było dla cesarza za drogie, po kąpielu nie używał szlachetnych balsamów, kazał się nacierać paskudną namiastką neapolitańską. Dziś jednak wolno było fryzjerowi nie oszczędzać, posługiwać się

wszystkim, co najkosztowniejsze. Z małej puszki, sporządzonej z alabastru i onyksu, daru prowincji Bitynii, wyjął balsam, pochodzący z Opos, najszlachetniejszą maść ziołową sprowadzaną w minimalnych ilościach z głębi Arabii. Na całym świecie istniały tylko dwie puszki tego balsamu, obie znajdowały się w posiadaniu księżniczki żydowskiej Bereniki. Jedną darowała przed laty księciu Tytusowi, który dziś oddał ją do dyspozycji fryzjera. Niska izba chłopska napełniła się szlachetnymi woniami; mieszały się z zapachem świń uwijających się po podwórzu.

— No, Flaurusie — rzekł cesarz — mam nadzieję, że teraz dobrze ci pachną.

Wszyscy przypomnieli sobie, jak to kiedyś, gdy Tytus żalił się na wprowadzony przez cesarza, niegodny jego zdaniem, podatek od latryn, Wespazjan wziął sestercję pochodzącą z tego podatku i ukazując ją synowi zapytał go:

„Uważasz, że śmierdzi?”

Konający cesarz, wykąpany, namaszczony, kazał się ubrać w purpurową szatę oraz zaopatrzone w wysokie podeszwy i czarne rzemienie trzewiki szlachty pierwszego stopnia. Kiedy to zostało zrobione, westchnął głęboko i kazał się z powrotem umieścić na łożu.

— Szklankę lodowatej wody — rozkazał. Zauważywszy ociąganie się, powiedział do lekarza: — To już nie gra roli. Czy nie uważa pan, doktorze?

Lekarz odpowiedział szczerze:

— Najwyżej będzie to waszą cesarską mość kosztowało dziesięć minut życia.

Przyniesiono puchar wody ze śniegiem. Zwilżył nią wyschnięte wargi, miała smak bardzo słodki. Doktor Hekateusz rozpuścił w niej zapewne jakiś środek uśmierzający ból. Cesarz zlizął językiem ostatnią kroplę z szerokich, popękanych warg. Teraz, zanim mu się myśli zacząć mącić, musi im jeszcze udzielić ostatnich instrukcji.

— Kiedy dam znak palcem, podnieście mnie. Chcę umrzeć w pozycji stojącej. Bez żadnych ceregieli. Przyrzeknijcie mi to. Przyrzeknijcie na Herkulesa.

Zwracając się do Tytusa skrzywił się. Syn jego bowiem kazał kiedyś sporządzić skomplikowane, kosztowne drzewo genealogiczne dynastii, sięgając aż do Herkulesa. Choć Wespazjan w sprawach reprezentacji na ogół ulegał synowi, tym razem zbuntował się. Ojciec jego był urzędnikiem podatkowym, później bankierem w Szwajcarii, dziadek właścicielem biura zajmującego się inkasem, pradziadek właścicielem biura werbującego robotników rolnych. Tak było, nie inaczej. Nic na to nie można poradzić; Herkules jest tu ni przypiął, ni przyłatał.

Parskał, mrużąc oczy patrzył na podwórze, na którym panowała cisza. Z morza podniósł się lekki wiatr wieczorny, słychać go było w listowiu dębu. Wkrótce pojawią się gwiazdy, gwiazdę wieczorną można już zapewne dojrzeć.

To dobrze, że nadchodzi koniec. Jak dotąd, umieranie jest stosunkowo proste. Kiedy chcąc zrobić przyjemność Tytusowi, stał na rydwanie tryumfalnym, by uczcić zwycięstwo nad Żydami, kiedy przez cały dzień musiał w pozycji stojącej dźwigać na sobie ciężką szatę Jowisza Kapitolińskiego, wtedy, moi mili, było to o wiele bardziej męczące. Teraz będzie stał najwyżej kilka minut.

Niemalø nauganiał się po ziemskim globie. W Anglii rozprawiał się z barbarzyńcami, w Rzymie z senatem i gabinetem wojskowym, w Judei został ranny, w Afryce obrzucano go końskimi pyrami, w Egipcie istnym gradem śledzi. Całe jego życie miało przebieg burzliwy. Był burmistrzem Rzymu, konsulem, tryumfatorø, a także spedytorem, pośrednikiem przy nadawaniu tytułøw szlacheckich, agentem załatwiającym mętne sprawy finansowe, niejednokrotnie bankrutem. Jeżeli nie dał się pognębić, zasługa to dębu, stojącego na podwórzu, starego, świętego dębu Marsa. To ten dąb, tak opowiadały często matka i babka, przy jego narodzeniu puścił niezwykle bujny pęd na znak, że los przeznaczył go do spraw najwyższych.

Długo się to święte drzewo kompromitowało. Jęczał, kiedy matka, a później jego przyjaciółka, jejmość Cenis, powołując się na ów dąb, dręczyły go bez końca. Jakże chętnie byłby osiadł tu na folwarku jako szczęśliwy wieśniak i zażywał spokoju. No tak, poddał się klnąc siarczyście, użerał się dalej. Ale w końcu dąb dowiódł swej racji. Matka i babka, których zadymione rzeźby z wosku stoją w przedsionku, mogą być zadowolone.

Zmierzcha się. Myśli jego stają się otępiałe, płaczą się, napój oszałamiający zaczął działać. Jakaś tłusta ręka usiłuje przepędzić komary, które raz po raz starają się usadowić na jego spoconej, pomarszczonej twarzy. Mruży oczy. To Klaudiusz broni go przed komarami. Pół-Żyd, ale niezły człowiek. Kiedy Wespazjan obejmował interesy, brakowało mu czterdziestu miliardów. Czterdziestu miliardów. Suma nie byle jaka. I Żyd się o nią postarał. Bez Żyda nie zdobyłby tych pieniędzy.

Klaudiusz Reginus, pół-Żyd, człowiek ze Wschodu. Wespazjan wie, że bez pomocy Wschodu nie byłby nigdy został cesarzem. Ale jest Rzymianinem, Wschód to dla niego coś niesamowitego, nie lubi go. Trzeba z niego wyciągać tyle zysków, ile się da, nie wolno jednak zapuszczać się tam zbyt głęboko. Z chwilą kiedy Wschód nie był mu już potrzebny, przestał się z nim liczyć. Całym prowincjom, na przykład Grecji, cofnął nadane przywileje. Ten gagatek Józef jest również nieznośny. Wszyscy literaci są nieznośni. Żydzi stokroć bardziej od innych. Niestety, nie można się bez nich obyć. Człowiek łatwiej umiera, kiedy wie, że pozostawia potomności dobrą o sobie pamięć. Księga tego Żyda Józefa jest czymś trwałym. I jest w gruncie rzeczy niedroga. Nie wydał jeszcze na tego człowieka pełnego miliona. Śmieszna cena za parę stuleci pośmiertnej sławy. Jeżeli przyjmiemy, że książka przetrwa dwa tysiące lat, jakąż to cenę dziennie zapłacił za swą pośmiertną sławę? Policzmy: najpierw dwa tysiące razy trzysta sześćdziesiąt pięć. Potem to wszystko podzielone przez milion. Ach, ten przekłety zamęt w głowie! Dwa tysiące razy trzysta sześćdziesiąt pięć. Nie da rady! Tak czy owak, był to dobry interes.

Komar wpadł mu do rękawa. To pomyślny znak, że go jeszcze czuje. Z pewnością uda mu się ustalić, ile kosztuje go dziennie pośmiertna sława. Należałoby przepędzić tego komara. Ale mówienie wymaga siły, a siła ta jest mu potrzebna na przyzwoite wypowiedzenie ostatniego słowa. Cesarz rzymski musi umrzeć z przyzwoitym ostatnim słowem. „Odpędźcie ode mnie komara” — to byłoby dobre, ale za mało godne.

No, komar ulotnił się. Ma szczęście ze swym umieraniem. Tu, w tej starej, przyjemnej izbie chłopskiej, z dębem i ze świńmi na podwórzu, umiera się łatwo i dzielnie.

Jego Tytus to dobry syn. Trochę chciwy zaszczytów. Gdyby mu się dobrze nie patrzyło na palce, zapewne już przed laty byłby go usunął z drogi. Przez cały czas próbował narzucić mu swego lekarza Walensa. Czy aby nie kazał go otruć? Nie. Doktora Hekateusza można być pewnym: to choroba kiszki. Dwa tysiące lat sławy pośmiertnej za milion sestercji. Dwa tysiące razy trzysta sześćdziesiąt pięć. Nie wzięłby zresztą Tytusowi za złe, gdyby go potraktował małą dozą trucizny. Sześćdziesiąt dziewięć lat, miesiąc i siedem dni to piękny wiek, można się tym zadowolić. Czterdziestomiliardowy dług znikł. Tytus postąpiłby niepięknie i nie po synowsku, gdyby go otruł, przecież w czasie wspólnych rządów prawie zawsze pozostawiał mu całkowitą swobodę. Dwa tysiące razy trzysta sześćdziesiąt pięć. Przecież "Zawsze był taki mocny w rachunkach!

To dobrze, że nie kazał wpuszczać tu młodszego syna, Domicjana. Nie chciałby mieć go teraz w pokoju. Domicjan to ziółko! Nie lubi go. Dlaczego ten przekłety Tytus tyle się zadawał z kurwami? Ma tylko jedną córkę i nie może pozbyć się brata, który jest potrzebny dla dynastii.

Dwa tysiące razy trzysta sześćdziesiąt pięć. Należałoby mieć pod ręką filozofa. Ale Wespazjan powyrzucał z Italii filozofów. Istnieją cztery ich rodzaje. Po pierwsze, ci, którzy

milczą i filozofują w cichości ducha; są niebezpieczni i podejrzani, ponieważ milczą. Po drugie, ci, którzy regularnie pouczają; są niebezpieczni i podejrzani, ponieważ mówią. Po trzecie, ci, którzy jeżdżą po kraju; są bardzo niebezpieczni i podejrzani, ponieważ mówią bardzo wiele. Po czwarte, filozofowie-żebracy, cynicy; ci są najbardziej niebezpieczni, ponieważ włóczę się nawet wśród proletariatu i gadają. Mimo niezwykłego respektu przed literaturą powypęczał z kraju wszystkie te ptaszki. Niektórzy zadzierający nosa arystokraci uznali to za chamstwo. Pięknie, nie ma salonowych manier, jest starym wieśniakiem. Najgwałtowniej piorunował wtedy przeciw niemu senator Helwid. Diabło czelna bestia z tego Helwida. Aż do końca nie uznał go za cesarza. Takie zuchwalstwo jest właściwie imponujące. Ale niemądre, jeżeli się nie ma za sobą dwudziestu korpusów wojska. Było dużo kwasów, kiedy go zlikwidował. Mimo to historia ta nie zostawi plamy na jego życiorysie. Kiedy bowiem zobaczył, jaką burzę wywołał wyrok śmierci, z miejsca go anulował. Oczywiście dopiero w chwili, kiedy jego syn Tytus już zarządził egzekucję, tak że pomimo najlepszych chęci odwołanie wyroku się spóźniło. Chytrze to wymyślił. W sprawach tego rodzaju syn i ojciec rozumieli się zawsze bez słowa. Jeden wobec drugiego zachowywał się lojalnie. Pozostawił Tytusowi większą część rozkoszy związanych z rządzeniem. Tytus musiał za to brać na swe barki wszystkie niemiłe pociągnięcia, żeby założyciel dynastii nie stał się zbyt niepopularny. Ale popularnym nie był i tak; kiedy się człowiek kieruje rozsądkiem, trudno o popularność. Ale jeżeli dynastia trzyma się długo, można zdobyć popularność nawet postępując rozsądnie.

Dwa tysiące razy trzysta sześćdziesiąt pięć. Nie, już tego nie obliczy. Musi jeszcze powiedzieć Tytusowi, żeby zlikwidował również i młodszego Helwida, a także Senecjusza i Arula, choć milczą przezornie, oraz licznych innych panów z opozycji. Trzeba się teraz do nich zabrać; stać go na to. Dynastia siedzi mocno w siodle, nie splami to jego życiorysu — konający uśmiecha się chytrze.

Te ptaszki muszą być zlikwidowane. Opozycja to rzecz bardzo miła dla tego, kto ją uprawia. Trzeba jednak wiedzieć, co się ryzykuje, i być gotowym za to zapłacić. Żeby tylko mówienie nie sprawiało mu takich trudności! Musi się dobrze namyślić, czy na te wskazania i na przyzwoite ostatnie słowo warto zużyć tę odrobinę tchu, która mu jeszcze pozostała.

Szkoda, że Tytus nie ma syna. Julia, jego córka, to miła dziewczę. Biała, tłusta, przyjemny kawałek baby, nosi swoją kunsztowną fryzurę tak, jak gdyby pochodziła od Herkulesa, a nie od właściciela biura zajmującego się inkasem. Prawdziwie mocny typ kobiety-Rzymianki, to przecież najlepsze, co być może. Zarówno w towarzystwie, jak w łóżku. Dawne pokolenia mogą się w tej dziedzinie niejednym poszczycić, to trzeba im przyznać. Chłopczek okazał dobry smak, biorąc sobie z taką energią tę Lucję do łóżka.

Wtedy, przed ośmiu laty, oderwanie Tytusa od tej Żydówki kosztowało wiele trudu. Gdyby jego samego ktoś chciał oderwać od Cenis, pokazałby rogi. Ale z pewnymi sprawami nie można się pogodzić. Nie można, mój drogi, nakładać grubych podatków i równocześnie trzymać z Żydami. Kiedy się gospodarczo tkwi po uszy w błocie, trzeba szczuć masy przeciw Żydom. Ta zasada obowiązuje. Chłopiec ma czasami wzrok matki, ma w oczach jakiś wyraz mętny, nieodpowiedzialny, wręcz obłąkany, coś, co Wespazjana zawsze przerażało w owej Domicylli. Poza tym ma fioła na punkcie arystokracji. Zapewne dlatego tak leciał na Żydówkę, ponieważ w jej żyłach płynie stara krew królewska. Miejmy nadzieję, że po śmierci ojca nie zwiąże się z nią na nowo.

Powiał silniejszy wiatr, szum jego słycać w liściach dębu. Pocziwy stary dąb. Ostał się. Jest teraz nieco przewiewniej, szlachetne, wonne olejki, którymi Wespazjana namaszczone, ulotniły się. Świnie schowały się w chlewach. Praca dnia została dokonana, stary wieśniak Wespazjan może umrzeć spokojnie. Do tej chwili odczuwał pewien lęk, że chwycą go znowu

kurcze i zapłami swą śmiertelną szatę. Teraz jest jednak pewien, że w ciągu tych kilku minut, które mu pozostały, nic się już nie stanie. Będzie się dobrze trzymał aż do końca. Jeżeli przy uroczystościach pogrzebowych towarzyszyć mu będą ojcowie i praojcowie, matka i babka, nie będą mieli powodu się wstydzić. Wszystko, czego dokonali jego przodkowie, bankowiec od inkasa pieniędzy i ten, który miał biuro pośrednictwa, dzielni właściciele ziemscy, od których pochodzi ze strony matki, znalazło w nim ujście jak rzeka w wielkim morzu. Utrzymał mienie, gospodarował na nim doskonale, mienie to jest teraz olbrzymie, sięga poza morze, ogarnęło glob, sięga po Azję, Afrykę, Brytanię. Na imię mu Rzym.

Jest już bardzo mroczno. Tytus stoi w szerokich drzwiach prowadzących na podwórze. Nie jest wysoki, ale okazały i mocny. Okrągła twarz zwęża się w wystający, spiczasty podbródek. Wespazjan patrzy na syna, słyszy wiatr szumiący w liściach dębu, jego owłosione uszy pełne są tego wiatru. Poprzez ten wiatr słyszy z oddali bicie w bębny, jak wtedy, kiedy w Brytanii, w Judei rzucał rozkaz: do ataku! Jego Tytus nie ma niestety poczucia humoru, ale w głosie jego brzmi chwilami coś z tego walenia w bębny. Wespazjan może się dać spokojnie obwołać świętym, wejść w grono bogów. Choć Herkules nie jest jego przodkiem, może pozwolić sobie na to, żeby z nim rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Dadzą sobie nawzajem kuksańca, Herkules zacznie się śmiać, opuści maczugę, siądą obok siebie i będą sobie opowiadać kawały.

Dwa tysiące razy trzysta sześćdziesiąt pięć. Otępienie nagle ustąpiło, mózg pracuje teraz bystro, precyzyjnie. Dwa tysiące razy trzysta sześćdziesiąt pięć, przecież to proste, to siedemset trzydzieści tysięcy. Wydał na tego ptaszka Józefa okrągły milion. A więc dzień pośmiertnej sławy nie kosztuje nawet półtora sestercji. To za bezcen. Czuje się lekki i zadowolony. Już niedługo. Krótka chwila, jeszcze dwie minuty, jeszcze jedna. Musi ją przetrzymać. Musi zachować godność ze względu na dąb Marsa.

Daje znak ręką, słaby, ledwie widoczny znak. Ale go zauważyli, podnoszą go. Niech dadzą temu spokój. Ma okropne bóle, jest straszliwie osłabiony, niech mu pozwolą leżeć. Brak mu sił, żeby im to powiedzieć. A coś powiedzieć musi. Ale co? Wiedział to tak dokładnie. Całe dni przygotowywał się na to ostatnie słowo. Podnoszą go w dalszym ciągu. Nie można tego wytrzymać, ale są bezwzględni.

Porywisty wiatr przynosi pewną ulgę. Niech będą bezwzględni, niech się z nim nie liczą. Dyscyplina być musi. Chce umrzeć stojąc, tak jak sobie postanowił.

Istotnie stoi albo raczej zwisa pochyłony naprzód, opierając się o ramiona i barki otaczających go. O barki syna swego Tytusa i swego doradcy Klaudiusza Reginusa. Zwisa całym ciężarem, sapie żałośnie, z twardej, pomarszczonej skóry na czole spływa pot, krople potu widnieją na jego potężnej łysinie.

Dosyć już tego. Po co ta udręka? Pół-Żyd Klaudiusz Reginus ma już tego dosyć, daje Tytusowi znak. Opuszczają konającego na łożo.

Stary człowiek, pan globu ziemskiego, który wymyślając, dowcipkując, tak długo dźwigał ów glob na swych barkach, nie sprzeciwia się temu. Zrzucił z siebie potężny ciężar. Widzi prastary dąb, czuje wiatr, czuje błogość zapadania się w nicość. Leży na twardym łożu, dumny, szczęśliwy. Nie trzeba już oszczędzać, może szafować oddechem, może pozwolić sobie na to, by przed ostatnim, dostojnym słowem zakomunikować chytremu aferzyście Reginusowi, jaki zrobił arcychytry interes. Żartobliwie i groźnie zarazem szepce mu do ucha:

— Czy wiesz, ile mnie kosztuje dzień pośmiertnej sławy, Klaudiuszu? Sestercję i sześć i pół uncji. Za bezcen, prawda? — Potem dopiero, wykręcając z największym wysiłkiem głowę od jednego do drugiego, wydobywa ze siebie:

— Cezarze Tytusie, przyjaciele. Powiedzcie senatowi i ludowi rzymskiemu: jego cesarz

Wespazjan zmarł na nogach. — I z tym kłamstwem, leżąc, wyzionął ducha.

Nazajutrz zabalsamowano starannie zwłoki, przeniesiono do Rzymu i złożono w willi cesarskiej na Palatynie na wysokim katafalku, w sali, w której wzdłuż ścian stały woskowe popiersia przodków. Leżał więc zmarły Wespazjan nogami zwrócony w stronę wyjścia, w cesarskiej purpurze, z monetą miedzianą pod językiem, na której widniał napis: „Pokonana Judea” — moneta miała być zapłatą dla przewoźnika, który przeprawi zwłoki łodzią — z wieńcem na głowie, z pierścieniem na palcu. Otaczali go przybrani w czarne szaty liktorzy z pochylonymi ku ziemi różgami. Codziennie zjawiali się Tytus, Domicjan, Julia i Lucja, wywoływali wszystkie jego imiona i tytuły. Urzędowo żył jeszcze, senat bowiem postanowił wnieść go do godności boga. Zanim go nie spalono, nie uchodził jeszcze za zmarłego, przynoszono mu potrawy, przedkładano dokumenty, przychodzili lekarze, badali go, wydawali biuletyny o stanie jego zdrowia.

Po południu przedelfował przed paradnym łóżem nie skończenie długi kondukt, złożony z senatorów i ludu rzymskiego, żegnając cesarza. Płynęły setki patrycjuszy, tysiące przedstawicieli szlachty, setki tysięcy spośród dwu milionów mieszkańców Rzymu.

Nikt nie miał odwagi uchylić się od udziału w uroczystościach pogrzebowych, było wiadome, że policja spisuje dokładną listę obecnych. Zjawili się również panowie arystokracji należący do opozycji z senatorem Helwidem na czele. Cesarz kazał zabić jego ojca za to, że śmiało i odważnie walczył o prawa senatu jako ciała ustawodawczego. Synowie różnili się od swych ojców, mówili niewiele i cicho, podporządkowali się. Ale nie zapomnieli. Przyjdzie dzień, w którym będą mogli mówić i działać.

I teraz, na znak uległości wobec reżimu, podchodzą do zwłok, przybrani, jak tego wymaga obyczaj, w żałobne szaty. Przyglądają się cesarzowi. Nawet po śmierci, z zamkniętymi oczyma, potężna jego czaszka wydaje im się chłopska i pospolita. Kiedy Wespazjan swego czasu ubiegał się o zaszczyt odbudowania zburzonego Kapitolu, Helwid senior wystąpił przeciw temu w wyniosłych słowach. Młodsze pokolenie wpadło na lepszy koncept, głosowało w senacie za podniesieniem zmarłego parweniusza do rangi boga. Niechaj mu stawiają świątynie i posągi — i tak nie ożyje. Oto leży tutaj, nie wykrzywia wąskich warg w złośliwym uśmiechu, nie może już dworować sobie z nich w ordynarny sposób, do którego dostojni, godni panowie nie nawykli. Z nienawiścią i szyderstwem w sercach spoglądają na trupa, żałobnymi, pełnymi czci ruchami zasłaniają, jak inni, głowy, wołają wraz z innymi: „O cesarzu nasz Wespazjanie, o bardzo dobry, bardzo wielki cesarzu Wespazjanie!”

Zjawił się również senator Juniusz Marull, słynny adwokat, mówca, którego się bano, jeden z najbogatszych ludzi Rzymu. Nie był politycznym przeciwnikiem zmarłego, ale robił cesarzowi konkurencję w interesach; obaj prowadzili długą, skrytą, zacieklą walkę. Biedny Wespazjan zrozumiał, że nie może pobić tamtego materialnie, więc próbował zlikwidować go politycznie i towarzysko. Wykluczył go z senatu pod tanim pozorem, że kiedyś, dawno temu, Juniusz wystąpił na arenie przeciw pewnej spartańskiej zapaśniczce. Wytworny, wyrafinowany Marull przyjął tę karę z tym samym obojętnym szyderczym gestem jak i inne pociągnięcia chłopskiego cesarza. Dla zblazowanego panka, który zakosztował wszystkich rozkoszy świata, degradacja była tylko nową sensacją. Szyderczo zamienił szerokie, purpurowe obramowanie i buciki na wysokich podszewkach, atrybut najwyższej arystokracji, na strój wyrzeczenia, na włosiennicę, kij wędrowny i sakwę zebraczą stoika — wyznawcę czystej filozofii. Włosiennica była oczywiście uszyta przez najlepszego krawca w mieście, kij wędrowny wysadzany złotem i kością słoniową, sakwa sporządzona z najprzedniejszej skóry. Z nowym stoicyzmem było mu nie gorzej do twarzy niż z dawniejszym przepychem i blaskiem. Nikt nie potrafił wytworniej głosić zasad szkoły stoików; kiedy w pięknej bibliotece swego domu mówił o filozofii, tłoczyli się

wszyscy, którzy w mieście coś znaczyli.

Juniusz Marull zjawił się i dziś w swojej szacie filozofa.

To wyraźna nieprzyzwoitość, że były senator zjawił się przy zwłokach w takim stroju, ale urzędnicy, czuwający nad ceremoniałem, nie umieli znaleźć słusznego powodu, żeby mu na to nie pozwolić. Trzymając w oku szmaragd, zaostrzający wzrok, przyglądał się zmarłemu niezwykle długo i wreszcie powiedział swym donośnym, nosowym głosem:

— Chcę przyjrzeć się dokładnie waszemu bardzo dobremu, bardzo wielkiemu cesarzowi, zanim się stanie bogiem. Stoik może sobie pozwolić na niejedno, co może nie uszłoby senatorowi.

Żydowski aktor nadworny Demetriusz Liban pozostawał również przy zwłokach stanowczo zbyt długo. Oczy wszystkich skierowały się na opromienionego wielką sławą artystę, kiedy wystudiowanym krokiem, mającym być wyrazem żałoby i czci, szedł ku katafalkowi. Stał w odpowiedniej odległości, skierował szaroniebieskie oczy na zamknięte powieki cesarza. Pozostawał z tym człowiekiem w sporze. Z winy nieboszczyka ostatnie lata były dla niego ciężkie. Zmarły pozbawił go możliwości występowania publicznie, zmusił go do odstąpienia innym tytułu: „Pierwszy aktor epoki.” Czy nie brzmi to dzisiaj prawie jak bajka, że kiedyś trzeba było mobilizować policję i wojsko, żeby tłumić niepokój, wywołany przez jego kawały i dowcipy? Pod panowaniem nowego cesarza Tytusa, przyjaciela księżniczki żydowskiej, zmieni się to. Ignoranci, analfabeci nie będą mieli okazji do usuwania w cień Demetriusza Libana.

Oto leży wróg. Nie wie, ile mu wyrządził krzywdy. Zapewne nie wiedział i za życia. Sprawa była dla niego prosta: masy odnoszą się niechętnie do związku następcy tronu z Żydówką, więc cesarz okazuje, że związku tego nie pochwała, że nie lubi Żydów i nie dopuszcza aktora żydowskiego przed światła rampy. Ten wieśniak, parweniusz, nie miał o sztuce zielonego pojęcia. Prawdopodobnie nie przeczuwał nawet w najmniejszym stopniu, jak skrzywdził Demetriusza. Bo też skąd taki kloc mógł wiedzieć, ile szkody wyrządził swoją głupią polityką. Nigdy nie byłby w stanie pojąć, co to znaczy przyglądać się z musu, jak inny biedzi się nad rolą, którą człowiek mógłby sam zagrać w sposób skończenie doskonały. Ze złości z powodu utraconych okazji można się było zadusić. Na jakie niebezpieczeństwa musiał się narażać, by w ogóle dostać jakąś rolę! Stary Helwid, któremu ścięto głowę, niegdyś przywódca grupy antycesarskiej w senacie, napisał sztukę *Katon* i chciał ją zagrać u siebie w domu przed zaproszonymi gośćmi. Jak Demetriusz musiał walczyć ze sobą, zanim się zdecydował w niej zagrać. Branie udziału w tym widowisku, wrogim reżimowi, było śmiertelnie niebezpieczne, a Demetriusz nie należał przecież nigdy do śmiałków, w dodatku rola nie była dla niego.

Stał przed zmarłym spokojny, skupiony, ale w głębi ducha szalał, prawował się z nim zaciekłe. „Teraz, ty trupie, nie możesz mi już być zawadą, teraz znowu wypłynę. Nie jestem już młody, mam lat pięćdziesiąt, ten zawód zużywa człowieka. W ciągu długich czterech lat grałem w sumie zaledwie pięć ról. Człowiek wychodzi z wprawy, traci kontakt z publicznością. Ale trenowałem, zachowywałem dietę, dopnę swego. Jesteś martwy, zostałeś «bogiem», ale ja żyję, jestem aktorem Demetriuszem Libanem i jeżeli trzeba, potrafię, jak to kiedyś powiedział o mnie stary Seneka, doprowadzić do śmiechu posągi. Wiedz, że ten nowy, twój syn, zna się na sztuce bez porównania lepiej od ciebie, pozwoli, żebym się znalazł u szczytu. Przed dwunastu laty w kondukcje pogrzebowym, idąc za zwłokami cesarzowej Poppei, grałem jej karykaturę; to było coś, to była kreacja. Teraz zabierzemy się do ciebie. Na twoim pogrzebie, najjaśniejszy panie, to ja zagram ciebie, a nie aktor Fawor. Nie jest to jeszcze pewne, nie powinienem jeszcze mówić o tym, a nawet myśleć. Niestety nie ma tu ani kawałka drzewa, w które mógłbym od-stukać. A może podejść do katafalku i tam odstukać? Nie, to nie uchodzi, a poza tym katafalk nie jest drewniany. Ale oni dadzą mi tę rolę. Teraz, kiedy umarłeś, nie ma powodu, żeby mi jej nie dali.

Gram ją najlepiej, rola należy mi się, to jasne, każdy to przyzna. Trzeba być moim zawziętym wrogiem, żeby tego nie przyznać, a Tytus nim nie jest. Jakże ja cię zagram, co ja z ciebie wydobędę, ty cesarzu, ty bogu, ty trupie, ty wrogu Żydów!”

Aktor Demetriusz Liban przygląda się zmarłemu z osłoniętą głową, pełen szacunku. Tylko w jego oczach nie ma szacunku. Przeszywają złowrogo twarz cesarza, badają, co w niej mogłoby pobudzić do śmiechu, widzą to, czego nie spostrzegają inni: ślady jego bezwzględności sknerstwa, ostry kontrast między jego chłopską rubaszością i ceremonialnym przepychem właściwym godności, jaką piastował. „Tak długo spychałeś mnie w cień, w sile wieku i talentu skazywałeś mnie na bezczynność. Ale teraz doszedłem do głosu. Będiesz żył w pamięci ludzkiej takim, jakim cię uczynię.

To ja zadecyduję, jaką formę przybierze wspomnienie o tobie.”

Żegna zmarłego tak jak inni, wyciągniętą ręką, wraz z innymi woła: „O cesarzu nasz, Wespazjanie, o bardzo dobry, bardzo wielki cesarzu Wespazjanie!”

Słupy świetlne rozniosły aż po najodleglejsze prowincje wieść o śmierci cesarza, a wraz z nią lęk i nadzieję. W Brytanii gubernator Agrykola pchnął wojska graniczne aż po rzekę Taus w obawie, że zmiana na tronie mogłaby osiadłych na Północy Piktów zachęcić do nowych wypadów na spacyfikowane obszary. Nad dolnym Renem powstały rozruchy wśród Chattów, Batawów. W prowincji Afryka gubernator Waleriusz Festus uzbrajał śpiesznie oddział jeźdźców na wielbłądach; chciał zawczasu pokazać plemionom, skłonnym do wypraw zbójceckich, Garmatom, że pod panowaniem nowego władcy nie mogą spodziewać się łagodniejszego kursu. Nad dolnym Dunajem przywódcy Daków porozumiewali się przez kurierów, czy byłoby wskazane nowe uderzenie na granicę rzymską. Na Kaukazie, nad Morzem Azowskim podnieśli głowy Alanowie, węsząc, czy nadeszła pomyślna dla nich chwila.

Cały Wschód burzył się. Skąpy Wespazjan odebrał

Grecji przywileje nadane jej przez miłośnika sztuk — Nerona. Nowy cesarz, młodszy wiekiem, wychował się w greckiej ideologii, otrzymał greckie wykształcenie. Nie ulega wątpliwości, że najszlachetniejszemu spośród narodów w Imperium zwróci zrabowane mu prawa.

W Egipcie gubernator Tyberiusz Aleksander odwołał z urlopów letnich wszystkich oficerów i żołnierzy. Rezydencję jego, Aleksandrię, drugie i najbardziej ruchliwe miasto zamieszkałego świata, ogarnęła gorączka. Żydzi tamtejsi, bogaci i potężni, pierwsi dowiedli swego czasu, że są przychylni nowej dynastii i wspierali pretendenta Wespazjana pieniędzmi i wpływami. Nie podziękował im za to. Przeciwnie, napiętnował ich przez wprowadzenie hańbiącego podatku specjalnego, dopuścił, żeby antyżydowska partia Egiptu, której członkowie nosili białe trzewiki, rozzuchwalała się coraz bardziej pod przewodnictwem pewnych profesorów uniwersytetu w Aleksandrii. Żydzi mieli teraz nadzieję, że Berenika zostanie cesarzową, a wówczas białoobuci zostaną usunięci z widowni.

Prowincja Judea sprawiała kłopoty własnemu rządowi. Gubernator generalny Flawiusz Silwa był człowiekiem sprawiedliwym, ale miał trudną sytuację. Wielu Żydów zginęło na wojnie, wielu zepchnięto do stanu niewolniczego, wielu wywędrowało. Miasta ich opustoszały, natomiast kwitły miasta greckie, zakładano coraz to nowe osiedla grecko-syryjskie. Rywalizacja między gnębionymi, rozgoryczonymi Żydami i uprzywilejowanymi imigrantami prowadziła do krwawych starć. Zmiana na tronie sprawiła, że Żydzi podnieśli głowy, wznieciła w nich nadzieję, że na opustoszałym terenie Jerozolimy, gdzie jedynymi niemal budynkami były nagie baraki wojskowe, wkrótce znowu zabłyśnie ich miasto, ich Świątynia. Pogodny spokój Syrii był zachwiany. Na dworze króla perskiego warowali w pogotowiu książęta Kommagane, Magnus i Kallinikos, których kraje Wespazjan zaanektował. Wszędzie odbywały się demonstracje na cześć

owych książąt; gubernator Trajan musiał dla zapewnienia porządku uciec się do ostrych środków.

Wiść o śmierci starego cesarza dotarła aż do dalekich Chin. Przez wprowadzenie podatku od zbytku Wespazjan sparaliżował niemal zupełnie handel jedwabiem i brązami chińskimi. Miasta portowe nad Morzem Czerwonym spodziewały się, że młody cesarz pozwoli im podnieść się, zakwitnąć na nowo. Dla nawiązania dawnych kontaktów wysłały delegację do generała Pan Czaa, wielkiego marszałka z dynastii Han.

Wszystkie oczy obracały się z nadzieją i lękiem w stronę Palatynu, ku nowemu władcy Tytusowi.

Na czwarty dzień po śmierci Wespazjana Tytus w swej kancelarii omawiał z ministrem ceremonii i intendentem widowisk program żałobnego obchodu. Ceremoniał pogrzebu cesarza, zaliczonego w poczet bogów, był mglisty. Należało ustalić każdy szczegół, gdyż Tytus był świadom tego, że przy lada niezręczności senat i lud obsypią go złośliwymi drwinami. No tak, wszystko zostało omówione, ci panowie mogą odejść. Ale na cóż to jeszcze czekają?

W głębi ducha Tytus wie na co. O jednym jeszcze nie było mowy. O czymś niezbyt istotnym, czego jednak ciekaw jest cały Rzym, mianowicie o tym, kto w kondukcje żałobnym ma wcielić zmarłego. Demetriusz Liban jest lubiany, ale to kwestia drażliwa, czy wolno powierzyć Żydowi rolę zmarłego cesarza. Tytus patrzy przed siebie na portret Bereniki. Nie chcąc irytować ojca zawiesił ten portret w swojej małej kancelarii prywatnej; obecnie przeniósł go do tej sali, która jest również dostępna dla oficjalnych gości. Podłużna, szlachetna twarz księżniczki żydowskiej spogląda na niego, widać jedną z jej pięknych rąk, portret, arcydzieło malarza Fabullusa, jest niepokojąco żywy. Przyglądając mu się Tytus słyszy jej głęboki, z lekka zachrypnięty, wibrujący głos, widzi jej królewski chód.

— Co się tyczy obsadzenia roli Wespazjana — rzuca wreszcie pod adresem ciągle jeszcze wahających się intendenta i mistrza ceremonii — przedstawię w ciągu dnia moje sugestie.

No tak, jest wreszcie sam. Rozparł się wygodnie, zamknął oczy, szeroka, okrągła twarz znieruchomiła. Za kwadrans stanie tu to ziółko, Domicjan, jego brat. Nie będzie to miła rozmowa. Tytus ma szczerzy zamiar pójść bratu na rękę. Chłopaczek wie o tym, i to właśnie czyni go tak aroganckim.

Nowy cesarz otworzył oczy, patrzy przed siebie wzrokiem niemal głupkowatym, marzycielskim, wydał wargi jak dziecko, które się dąsa. Jest okropnie zmęczony. Czy ma zostać w domowym stroju? Ów młokos wystąpi niezawodnie w pełnej gali. Cokolwiek uczyni, gołowąs będzie się czuł dotknięty. Jeżeli przyjmie go w stroju cesarskim, będzie to uznane za prowokację, jeżeli w domowym stroju, młodzik dopatrzy się w tym lekceważenia. Zostanie w tym stroju, który ma na sobie.

Pełniący wartość oficerowie stanęli na baczność, dzwoniąc ostrogami. Zjawia się Domicjan. Jest istotnie w pełnej gali. Tytus podnosi się, wychodzi kilka kroków na spotkanie brata, młodszego od niego o lat dwanaście. Przygląda mu się uważnie, jak nieznanemu. Właściwie chłopaczek wygląda lepiej od niego. Twarz ma szczuplejszą, jest wyższy. Inna sprawa, że ramiona ma dziwnie kanciaste, podane w tył. Poza tym postawę ma dobrą, wygląda silnie i młodzieńczo. Tytus uważa, że arogancja wyraża się jedynie w wysuniętej wardze górnej.

— Dzień dobry, chłopaczku — mówi Tytus i całuje go, jak tego wymaga obyczaj. Domicjan przyjmuje chłodno te czułości. Nie może jednak nic na to poradzić, że na jego ładnej twarzy pojawia się rumieniec. Poci się przy tym, co Tytus stwierdza z satysfakcją. A to dlatego, że pomimo upału jest tak ciężko i oficjalnie ubrany.

Domicjanowi dokuczają nie tylko upał. Rozmowa ta ma dla niego większe znaczenie niż dla brata. Przygotował się do niej skrupulatnie. Senator Marull, od dawna niechętny staremu cesarzowi i dlatego zaprzyjaźniony z Domicjanem, po degradacji zbliżył się do niego jeszcze

bardziej i Domicjan omówił dokładnie sytuację z tym piekielnie mądrym doradcą. Sprawa wygląda tak: stary nie lubił go, brat nie lubi go również. Najchętniej byliby się go pozbyli. Tytus może to uczynić, ma władzę. Ale nie uczyni tego, Marull udowodnił to przekonywająco. Przeciwnie, w trakcie rozmowy zaproponuje różnego rodzaju koncesje. Dla Tytusa bowiem dynastia to sens życia, a opiera się ona na nim, na Domicjanie. Tytus ma wprawdzie córkę Julię, ale gdyby nawet ściągnął do swego łóżka tysiąc kobiet, nie ma nadziei, by jeszcze spłodził syna.

Domicjan ociąga się. Pragnąłby powiedzieć coś ostrego, gwałtownego, ale przywiązuje wagę do uprzejmej formy. Wie również, że w podnieceniu głos jego lekko się załamuje. Dlatego postanawia zachować spokój, mówić cicho. Oświadcza wreszcie, że przebacza bratu, iż nie tytułuje go jeszcze tak, jak mu się to należy. Pewno trzeba się do tego dopiero przyzwyczaić.

Tytus spogląda zmrużonymi oczyma na usta Domicjana.

— Czy nie zechciałbyś mi powiedzieć, jakie tytuły masz na myśli? — zapytuje szczerze zdziwiony.

Domicjan odpowiada, że w jego przekonaniu człowiek, którego zwłoki wystawione są w atrium, mianował go swoim jedynym spadkobiercą. Często rozmawiał z nim o tym i wie dokładnie, że odpowiedni dokument został sporządzony na piśmie. Tytus nie dopuszczał go do łoża śmierci tylko dlatego, by testament nie został ujawniony. Domicjan mówi to cichym głosem, rumieniąc się, chwilami jękając się nieco i uprzejmie gestykulując.

Tytus słucha ze spokojem i uwagą, robi nawet notatki, stenografuje swoim zwyczajem kilka zdań. Ponieważ Domicjan mówi bardzo długo, zeszkrobuje machinalnie rylcem to, co zanotował, wygładza wosk.

— Słuchaj no, chłopaczk — mówi uprzejmie do Domicjana, który nareszcie skończył. — Poprosiłem cię do siebie, żeby z tobą otwarcie pomówić. Czy nie moglibyśmy porozmawiać jak rozsądni, dorośli mężczyźni?

Jest zdecydowany nie zaprzętać sobie głowy tymi bzdurami, które brat wypowiedział. Mimo to również się rumieni. Tę niemożność ukrycia podniecenia odziedziczyli po matce.

Domicjan czekał z trwożnym napięciem, jak Tytus zareaguje na jego zuchwalstwo. Obawiał się, że zdruzgoce go swym grzmiącym głosem, a żołdackie krzyki wprowadzały go zawsze w stan zdenerwowania i lęku. To, że brat mówił głosem przyciszonym i ze spokojem, było dlań dowodem, iż metoda, którą doradzał Marull, jest słuszna. Uważa za swój obowiązek, ciągnął dalej z tą samą uprzejmością, wyjaśnić bratu swoje stanowisko. Również i przed osobami postronnymi nie będzie ukrywał swego zdania na temat nie ujawnionego testamentu. Jeżeli Tytus chce uniknąć trudności, niech się przynajmniej zgodzi na wspólne sprawowanie rządów.

Tytus jest zmęczony. Po co ta długa, czcza gadanina? Tyle jest do roboty. Ministrowie wymagają decyzji, tak samo jak senat, generałowie, gubernatorzy prowincji. Ceremonie, związane z tygodniem żałoby, przygotowania do konduktu pogrzebowego są męczące, pochłaniają dużo czasu. Czy ten chłopaczek nie rozumie, że naprawdę chciałby dojść z nim do porozumienia? Ach, jakże chętnie dopuściłby go do rządów. Niestety współpraca z nim jest niemożliwa. Chłopaczek jest tak gwałtowny i tak złośliwy, że w ciągu trzech tygodni porozwalałby to, co się zbudowało przez lat dziesięć.

Oczy Domicjana spoczywają teraz na wielkim portrecie Bereniki. Tytus ma pewne powody, oświadcza ciągle tym samym uprzejmym tonem, by pozostawać z nim w zgodzie. Nie będzie mu łatwo utrzymać tę damę wbrew woli senatu i ludu. Nie chce urazić brata, ale ma wrażenie, że cieszy się u Rzymian większą popularnością aniżeli Tytus. Warto przypomnieć, że zapewne nie siedzieliby tutaj, gdyby w swoim czasie Domicjan nie utrzymał władzy w mieście.

Tytus przysłuchiwał się uważnie szaleńczej, fantastycznej gadaninie. Prawdą jest tylko to, że dziesięć lat temu, kiedy wraz z Wespazjanem przebywał z wojskiem na Wschodzie,

chłopaczek uciekł w przebraniu z oblężonego Kapitolu.

— Czy wolno zapytać — mówi Tytus grzmiącym głosem, Domicjan tego nie znosi — co twoja ówczesna ucieczka z Kapitolu ma wspólnego z Bereniką?

Chłopaczek oblewa się rumieńcem. To Marull poradził mu, gdy dyskusja się zaogni, wymienić imię Bereniki, uderzyć Tytusa w czułe miejsce. W sprawie z Żydówką czuje zresztą, że ma rację, wyraża tu opinię Rzymu. Oczywiście Tytus może sypiać z Bereniką, kiedy mu się tylko podoba. Ale tak jawny stosunek z Żydówką wywołuje gniew, a dynastia, właśnie dlatego, że jest młoda, musi wystrzegać się skandalu. Długo i szczegółowo przygląda się portretowi. Potem ciągnie dalej jeszcze uprzejmiej, jeszcze bardziej ceremonialnie:

— Nie potrafiysz, mój bracie, narzucić żydowskiej cesarzowej. Może wybaczyliby ci ją, gdyby istniała rzymska cesarzowa, może tolerowaliby twoją Berenikę obok mojej Lucji. Jak widzisz, odrobina zdrowego rozsądku wymaga, żebyś mnie zrobił co najmniej współregentem.

To prawda. Dynastia jest niepopularna. Berenika wywoływałaby zgorszenie. A z Lucją, żoną chłopaczka, córką bardzo popularnego marszałka Korbulona, można się pokazać, Rzym kocha ją. Ale po co się tak spieszyć? Czy za Tytusem nie stoi wojsko? Jeżeli mu tylko zostawią czas, masy przełkną w końcu wszystko. Tak czy inaczej, argument ten, właśnie dlatego, że ma sens, gniewa go. Spogląda na brata twardymi, zmrużonymi oczyma, okrągła, szczerą twarz jest teraz purpurowa.

— Zostaw to mnie — woła grzmiącym głosem. — Wierz mi, że przedsięwzięmę energiczne środki dla zapewnienia sobie popularności.

Krzyk brata wyraźnie zastraszył Domicjana.

— Ale może wolno mi będzie uczestniczyć w pogrzebie ojca — mówi z udaną pokorą.

— Co to ma znaczyć? — złości się Tytus. — Oczywiście będziesz szedł za zwłokami obok mnie.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony — dziękuje Domicjan z tą samą fałszywą pokorą. — Czy zarządziłeś, aby trofea z wyprawy żydowskiej, wystawione na pokaz w dniu pochodu tryumfalnego, znalazły się również w kondukcie pogrzebowym? — zapytał.

Pytanie to jest podstępne. W kondukcie żałobnym prowadzone jest to, co przypomina czyny zmarłego, a łupy zdobył w wojnie żydowskiej Tytus, nie Wespazjan.

Tytus stoi teraz przy biurku. Jest o wiele niższy od brata. Rozdrażniony spogląda pogardliwie na chłopaczka, który nie może tego wzroku wytrzymać. Tytus myśli o zmarłym, który leży na dole w atrium w purpurze tryumfatora; przed łóżem jego pełnym przepychu przeciągały nie kończące się szeregi Rzymian. Tytus zastanawia się, co by też ojciec odpowiedział temu ziółku. I znalazł odpowiedź.

— Przedstawiono mi twoje rachunki — powiedział chłodno, rzeczowo. — Sama posiadłość nad jeziorem Albanum obciążona została nowym długiem wysokości miliona dwustu tysięcy. Czy w zagubionym testamencie ojca była również jakaś wzmianka o twoich długach?

Domicjan przełknął ślinę. Ojciec skąpił mu zawsze pieniądze, z tego powodu willa i teatr nad jeziorem Albanum, dwie wspaniałe budowle, które zaczął wznosić dla Lucji, pozostały nie dokończone.

— Może wreszcie pomówilibyśmy poważnie — zaczął na nowo Tytus zmienionym tonem. — Pragnę, żebyśmy żyli w zgodzie i przyjaźni. Będziesz miał pieniądze, będziesz mógł zbudować swą posiadłość, ofiaruj Lucji, co ci się podoba. Ale bądź rozsądny. Uspokój się.

Wielka to dla Domicjana pokusa. Ale Domicjan wie, że jest Tytusowi potrzebny; dynastia opiera się na nim, Marull zapewnił go, że może wydusić z brata o wiele więcej.

— Zastanów się, proszę — odpowiada — że z prawa należy do mnie cały okrąg ziemi. Czy będąc na moim miejscu dałbyś się zbyć garścią sestercji?

Tytus wypisuje z uśmiechem przekaz i kwit.

— Chcesz tych pieniędzy czy nie? — zapytuje.

— Oczywiście, że chcę — mruczy chłopaczek marszcząc czoło, podpisuje kwit i wsuwa przekaz za skraj purpurowej galowej szaty.

Tytus czuje się wyczerpany. Zmęczenie to tkwiło w nim przez cały ubiegły rok. Tak długo czekał na dojście do władzy. Często bawił się myślą zdobycia jej przemocą, musiał się przezwyciężyć, żeby czekać, był mądry, przezwycięzył się. Miał nadzieję, że kiedy legalnie zostanie władcą świata, znużenie ustąpi, spłukane przyływem wielkiego szczęścia. Teraz doszedł do celu, stary leży w atrium na dole. Ale znużenie nie minęło, jest tak jak przedtem pełen głębokiej obojętności. Pierwsze osiągnięcie przyniosło rozczarowanie.

Teraz cały świat ma dla niego tylko dwa cele. Połączyć się na zawsze z Bereniką, z Nikion, to jeden. Drugi, to pozyskanie tego ziółka, Domicjana. Czyżby miał doznać porażki? Zaskarbił sobie wojsko, sprawił, że nawet trzeźwy, zamknięty w sobie ojciec był mu na swój sposób przychylny, że Nikion, mimo powiązań ze swym prastarym ludem, przebaczyła mu zburzenie Świątyni i kocha go. Czyżby miał skapitulować przed tym młodzikiem? Po co ta małostkowa, żałosna kłótnia?

Wstaje, podchodzi do siedzącego, otacza go ramieniem.

— Bądźże rozsądny, chłopaczku — prosi raz jeszcze. — Nie urządź historii, które w końcu tylko tobie zaszkodzą. Nie zmuszaj mnie, żebym był wobec ciebie twardy i surowy.

Wysuwa nowe propozycje, na dowód, jak szczerze i uczciwie ma wobec niego zamiary. Aby ostatecznie pozyskać lud dla dynastii, chce wznieść wspaniałe publiczne budowle w wielkim stylu, urządzać igrzyska, jakich dotąd nikt jeszcze nie oglądał. Niechaj chłopaczek będzie oficjalnym protektorem zarówno tych budowli, jak igrzysk.

Domicjan wysunął jeszcze bardziej górną wargę, siedzi sztywny, wrogi. Jest pewien, że Tytus zastawił na niego pułapkę. Chce ostatecznie pozyskać przychylność ludu dla dynastii? Aha, więc widzi, jak mało ma wśród ludu zwolenników. Jest mu więc potrzebne imię młodszego brata. Chce wznieść budowle w wielkim stylu? Aha, chce mu zabrać wybitnych architektów, Growiusza i Rabiriusza.

— Chcę być współregentem albo nikiem — mówi wrogo, uparcie.

Tytus słucha tych słów. Ogarnia go wściekłość. Ale nie wolno mu się unieść. Jeżeli wpadnie w pasję, zepsuje wszystko. Aby zachować spokój, sam przed sobą wysuwa argumenty, przemawiające za bratem. Kiedy był dzieckiem, trzymano go krótko, skąpiono mu wszystkiego; nagle, miał wówczas dopiero lat osiemnaście, przypadło mu w udziale zastępowanie w Rzymie ojca, władza nad połową świata. Nic dziwnego, że stracił równowagę. Chłopaczek nie jest pozbawiony zdolności. Ma pomysły, rozmach. Tupet, którym jako osiemnastolatek skłonił młodą, nadętą Lucję do odejścia od męża i poślubienia go, był imponujący. Czy nie ma na to środka, by dać poczuć bratu, jak niemądra jest jego nieufność, jak zbędne są wszelkie intrygi?

Nie, nie ma. Chłopaczek nic nie czuje.

— Podczas uroczystości pogrzebowej zatrudnisz oczywiście swego Demetriusza Libana? — pyta złośliwie.

Tytus wahał się dotąd, czy ma to uczynić. Teraz, rozdrażniony tonem brata, nie może się mimo wszystkich wysiłków poskromić.

— Tak — mówi ostro — pozwolę sobie zaangażować tego artystę.

— Wiesz przecież — odpowiada jadowicie Domicjan, uprzejmość ulotniła się, głos jego drży — że ojciec byłby wziął Fawora. Nikogo innego. Twego wulgarnego, przesadnego Żyda na pewno nie.

— A twój Fawor jest pewnie dyskretny, co? — odpowiada Tytus szyderczo. — Kuplet o

świniach jest dyskretny, prawda?

Grzmiący głos brata już nie zastrasza chłopaczka.

— Należało oczekiwać — odpowiada — że śwynie będą raziły twój smak wschodni.

Tytus jest zły, że dał się wciągnąć w dziecinny ton brata, że nie potrafił utrzymać powagi. Dokonuje ostatniej, wielkiej próby pozyskania chłopaczka.

— Nie mogę uczynić cię współregentem — powiada, zatopiony w myślach, z udreńczonym wyrazem twarzy. — Powody są ci znane. Chcę ci dać wszystko poza tym. Ożeń się z Julią.

Domicjan podnosi głowę. To więcej, niż oczekiwał. Jeżeli starszy brat chce mu dać swą córkę za żonę, zamiast go kazać zgładzić, to jednak coś znaczy. Kto wie, czy Tytus pozostanie zawsze równie łagodny, czy pewnego dnia nie zdecyduje się na usunięcie niebezpiecznego rywala, na zlikwidowanie go. Domicjan dawno już zrobiłby to na jego miejscu. Jeżeli poślubi Julię, może być pewien życia i następstwa tronu. Julia jest w dodatku piękna. Jasnowłosa, pulchna, biała, pełna leniwego wdzięku. Domicjan waha się przez chwilę. Ale potem znowu opada go dawna nieufność. Brat chce, żeby poślubił Julię, rozwiódł się z Lucją? Aha, Tytus chce mieć Lucję dla siebie, chce pokazać, że kobieta, która była żoną brata, nadaje się na jego przyjaciółkę! Spudłowałaś, mój drogi. Domicjan nie da się na to złapać.

Wyobraża sobie, jak opíše tę rozmowę swym przyjaciołom, senatorowi Marullowi i swemu adiutantowi An-niuszowi, jak przede wszystkim opowie o tym z tryumfem swej ukochanej Lucji. Odtworzy jej z najdrobniejszymi szczegółami, jak się Tytus koło niego kręcił i łąsił, on jednak przejrzał jego podstęp i dał mu odprawę. Lucja będzie się śmiała. Lubi się śmiać, ten, kto potrafi doprowadzić ją do śmiechu, może być pewien jej przychylności. Domicjan jest bardzo nieufny, wierzy święcie, że ludzie to śmiecie, kiedy jednak Lucja śmieje się, czuje się szczęśliwy. Może, jeżeli wywoła swym opowiadaniem jej śmiech i aprobatę, pozwoli mu znowu pocałować bliźnię pod lewą piersią, czego mu tak często wzbraniała.

— Uznaję twoje dobre zamiary, mój bracie — oświadcza wreszcie bardzo uprzejmie. — Nie zmienia to jednak stanu prawnego. Zatajenie testamentu to zbrodnia. Można ją przebaczyć, ale takie propozycje nie mogą być zadośćuczynieniem. Zastrzegam sobie dalsze kroki.

Powiedziawszy to składa ukłon i wychodzi.

Kiedy trzydziestego czerwca Domicjan kroczył za zwłokami ojca, nie czuł się zadowolony. Ale przecież dopiął tego, że niesiono w kondukcje łupy z wojny żydowskiej, stoły z Chlebami pokładnymi, złote świeczniki, i dano w ten sposób świadectwo prawdzie, że nie Tytus, lecz Wespazjan zwyciężył Judeę. Im dłużej trwała ceremonia, tym bardziej rosło jego zadowolenie. To dobrze, że starego już nie ma. Tu Domicjan podziela zdanie brata, że teraz można w zupełnie inny sposób zapewnić godność dynastii. Zmarły, który na wysokiej żałobnej lektyce na pół leży, jak żywy, z policzkiem opartym na ręku, nie wygląda, mimo purpurowej szaty, zbyt dostojnie. Ale procesja kroczących naprzód przodków jest już widowiskiem nie lada. Teraz i Domicjan, i Tytus mają wolną rękę. Aktorzy, którzy tam na przedzie w nie kończącym się szeregu, pieszo, konno, w żałobnych lektykach personifikują jego przodków, nie ukazują w maskach ani właściciela biura inkasa, ani właściciela biura pośrednictwa, lecz dowódców, sędziów najwyższego trybunału, prokuratorów, aż po Herkulesa, protoplastę rodu. Jeśli się te wątpliwe wcielenia przodków często ukazuje masom, w końcu w nie uwierzą. Sam Domicjan zaczyna już wierzyć.

Obok bardziej rześkiego, młodszego brata Tytus wydaje się nieco zmęczony. Raz po raz pomrukuje wraz z chórami: „O Wespazjanie, ojcie mój Wespazjanie”, ale jest to machinalne poruszanie wargami. Cierpi z powodu upału, brak mu energii. Może chłopaczek wsączył mu truciznę, która wolno działa. Lekarz jego, Walens, człowiek godny zaufania, twierdzi, że tak nie

jest. Może naprawdę wyczerpanie jego jest po prostu następstwem szalonego, niespokojnego życia. Może rezultatem choroby, którą mu zaszczerpiła kobieta. A może to ani trucizna, ani choroba, lecz po prostu kara żydowskiego Boga.

Dziewięć lat minęło od spalenia domu tego Boga. Nie

Tytus go spalił — został spalony. Przyrzekł Berenice oszczędzić Świątynię, zrobił swoje. Jeżeli sprawa przybrała w końcu inny obrót, to wina jego nie jest większa od winy ojca. Jeżeli teraz w kondukcje żałobnym przeciągają sprzęty i naczynia Świątyni, to słusznie pozostawia zmarłemu zaszczyt tryumfu odniesionego, ale z równą słusnością przerzuca na niego odpowiedzialność za pohańbienie żydowskiego Boga.

Pamięta dokładnie, jak to wówczas wydał pierwszemu centurionowi piątego legionu rozkaz dzienny w fatalnym dniu dwudziestego dziewiątego sierpnia. „Jeżeli przeciwnik będzie nękać oddziały zajmujące się gaszeniem ognia i uprzątnieniem gruzów, należy go odrzucić z całą energią, oszczędzając jednak budynki leżące w obrębie Świątyni” — oto jak to sformułował. Jest kryty. Sąd wojenny ustalił wszystko. Naczelne dowództwo wyraziło pierwszej kohorcie piątego legionu niezadowolenie za to, że nie zapobiegła pożarowi Świątyni. Nie trzeba długo szukać adwokata, by się usprawiedliwić.

Inna sprawa, czy nawet najlepszy mówca i najprzebieglejszy adwokat, czy nawet Marull albo Helwid potrafiliby osiągnąć, by go uniewinnił ten diablo przebiegły wschodni Bóg Jehowa. Centurion piątego legionu zgodnie z przepisami powtórzył rozkaz dzienny. Widzi go jeszcze, owego kapitana Pedana, jak stał wtedy przed nim tęgi, z zaróżowioną, pozbawioną zarostu twarzą, potężnymi barami, potężnym karkiem, z jednym okiem żywym, drugim szklanym. Brzmi mu jeszcze w uchu, jak ten kapitan skrzeczącym głosem odczytał rozkaz po raz drugi. Potem, bezpośrednio po odczytaniu rozkazu przez Pedana, nastąpiła krótka chwila milczenia. Pamięta jeszcze doskonale, co wówczas odczuwał. Czuł, że trzeba będzie zburzyć tę białą-złotą Świątynię, tego niesamowitego, niewidzialnego Boga, że trzeba ją będzie podeptać nogami. Jerozolima musi być zburzona, *Hieroso-lyma est perdita*, orientował się wtedy dokładnie wraz ze swymi żołnierzami, co znaczą te inicjały i wydawane wówczas okrzyki „hep, hep!” Ale to, co czuł, było jego sprawą, myśli są niewidoczne, odpowiada się tylko za czyny. Możliwe oczywiście, że z tym chytrym Jehową, który sam będąc niewidzialny widzi wszystko, sprawa wygląda inaczej. Może dlatego mści się na nim teraz, zsyła na niego chorobę, odbiera mu zdolność czynu i radość życia. Może byłoby rozsądniej zasięgnąć rady jakiegoś rozsądnego kapłana żydowskiego niż poprzestawać na doktorze Walensie. Musi to omówić ze swym Żydem Józefem.

Ach, gdyby można było podzielić się tym z Bereniką! Gdyby ją miał przy sobie. To dla niej wprowadził te słupy świetlne. W Judei wiadomo na pewno od dawna, że stary nie żyje. Niewątpliwie dowiedziała się o tym i Berenika, przebywająca na odludziu w swych dobrach judejskich. Wie niewątpliwie, jak bardzo jest mu potrzebna, niewątpliwie dawno już wyruszyła. „O Wespazjanie, o mój ojczyste Wespazjanie”, szepcą jego wargi. Ale myśli jego są przy Berenice. Wylicza, że przy pomyślnym wietrze może być już tutaj za dziesięć dni.

Nareszcie dotarli do Forum. Zatrzymują się przed trybuną. Tytus wchodzi na podium. Jest dobrym mówcą, hymny pochwalne ku czci zmarłych to wdzięczne zadanie, jest dobrze przygotowany. Na tabliczce, ukrytej w fałdzie rękawa, porobił stenograficzne notatki. Zaczyna więc przemawiać, pewny swego, nie bez zadowolenia. Ale, o dziwo, bardzo prędko odstąpił od tego, co chciał powiedzieć. Nie powiedział prawie nic o wyprawie zmarłego na Brytanię, bardzo mało o uratowaniu państwa i stabilizacji gospodarczej. Grzmiącym głosem dowódcy opiewał w długich zdaniach, jak to nieboszczyk zdobył i zburzył nigdy dotąd nie zdobyte miasto Jerozolimę. Rzymianie słuchali ze zdumieniem, chłopaczek uśmiechał się. Żydzi byli również zdumieni.

Dlaczego nowy cesarz nie chce przyznać, że to on zburzył Świątynię? Czy to dla nich dobrze, czy źle, że nowy władca własne swe czyny chce spalić razem ze zwłokami?

Na Polu Marsowym ustawiony był olbrzymi stos w kształcie siedmiopiętrowej piramidy. Piramida była ozdobiona wyszywanymi złotem tkaninami, rzeźby z kości słoniowej i malowidła sławiły czyny męża, który miał się teraz stać bogiem. Dary, ofiarowane zmarłemu przez senat i lud, rozmieszczone były na wszystkich siedmiu piętrach. Składały się z potraw, szat, klejnotów, broni, sprzętów, ze wszystkiego, co w zaświatach mogło być miłe i pożyteczne. Stos pachniał z daleka korzeniami, kadzidłem, balsamem; błogie te wonie miały zagłuszyć swąd spalenizny.

Dachy okolicznych gmachów, teatrów, łaźni i krużganków były pełne ludzi. Osobne trybuny wzniesiono dla tych, którzy nie mogli wziąć udziału w kondukcje pogrzebowym ze względu na to, że przestrzeń, dzieląca Palatyn od Pola Marsowego, nie mogła pomieścić wszystkich uprawnionych.

Na jednej z trybun przydzielono miejsca przewodniczącym siedmiu gmin żydowskich miasta Rzymu. Przyłączył się do nich Klaudiusz Reginus. Miejsca były bardzo dobre, dostojnicy żydowscy uważali to za pomyślny omen. Rząd nie zastosował swego czasu wobec Żydów rzymskich żadnych represji w związku z powstaniem w Judei. Mimo to po zniszczeniu państwa i Świątyni ogarnęła ich ciężka troska. Choć wielu z nich mieszkało w Rzymie blisko od półtora stulecia, nigdy nie przestali uważać Judei za kraj ojczysty i co kilka lat, pełni błogiej pobożności, pielgrzymowali do Jerozolimy, do Świątyni Jehowy na Święto Paschy. Teraz obrabowano ich na zawsze z prawdziwej ojczyzny. Nie koniec na tym. Dzień w dzień przypominano im w sposób upokarzający o zniszczeniu ich świętości. Człowiek, którego zwłoki teraz niesiono, nie zwolnił ich z niewielkiej opłaty, wypłacanej niegdyś na rzecz Świątyni w Jerozolimie. Przeciwnie, powodowany złośliwością, zarządził, żeby pięć milionów Żydów, zamieszkałych w jego państwie, uiszczają ten podatek na rzecz władającego Kapitołem Jowisza. Poza tym nie wolno im było pod groźbą kary śmierci zbliżać się do własnej zburzonej Świątyni; obszar ten był dla nich niedostępny w promieniu dziesięciu mil. W szyderczym przepychu wznosiła się za to przed nimi na nowo za ich pieniądze zbudowana świątynia na Kapitolu, przybytek owego Jowisza, który, zdaniem Rzymian, pokonał ich Jehowę i zdeptał Go na proch.

Nie tylko ten haniebny podatek specjalny gnębił Żydów. Istniała jeszcze kwestia emigrantów z Judei. Wojna spłukała stamtąd olbrzymią masę Żydów. Prowincje wschodnie ze swoimi wielkimi miastami Antiochią i Aleksandrią wchłonęły setki tysięcy, koło trzydziestu tysięcy dotarło do stolicy. Byli w Rzymie Żydzi posiadający wielkie bogactwa i wielkie wpływy, większość stanowił jednak proletariatus; mieszkali nędznie w dobrowolnym getcie na prawym brzegu Tybru, ich nędza i wyodrębnienie budziło niechęć i drwiny; nowy przyływ emigrantów, przeważnie nędzarzy, witany był niezyczliwie przez ludność osiadłą. Poza tym bardzo wielu Żydów stało się wskutek wojny niewolnikami; większość materiału ludzkiego, rzucanego na arenę dzikim bestiom na pożarcie, stanowili nadal Żydzi. Oczywiście starano się wykupić możliwie największą ilość niewolników, wymagało to jednak wielkich środków i każdy wykupiony był ciężarem dla innych. Równocześnie gminy żydowskie Aleksandrii i Antiochii raz po raz wysyłały delegacje, domagające się, żeby wreszcie rzymscy Żydzi ofiarowali poważniejsze sumy do dyspozycji ogólnego komitetu pomocy. To prawda, że wschodnie gminy dawały na rzecz ofiar wojny nieskończenie więcej niż Rzym. Ale Rzym nie mógł płacić więcej. Ciągłe przypominanie o tym, o ile Żydzi wschodni są bogatsi i potężniejsi od zachodnich — było bolesne; ponadto Żydzi zachodu w przykry sposób odczuwali pychę, z którą na nich tamci spoglądali.

Dziś myśli te w mniejszym stopniu dręczyły Żydów miasta Rzymu. Wespazjan nie żyje. Na trybunie Marsowego Pola siedzą przedstawiciele siedmiu gmin, ich przewodniczący,

syndycy, uczeni w Piśmie czekają na to, by zmarły cesarz wszedł do grona bogów. Spodziewają się niejednego po tej epoce, w której Wespazjan stanie się wreszcie bogiem, a Tytus cesarzem. Wielki portret Bereniki wisi na widocznym miejscu w sali przyjęć nowego władcy, księżniczka żydowska osiadłszy wkrótce na Palatynie. Ta nowa Estera wybawi lud od upokorzeń, przyczynionych mu przez wrogów.

Owe siedem gmin nie znoszą się nawzajem. Jedna jest nowoczesna, liberalna, druga składa się z niewolników lub wykupionych z niewoli, w skład trzeciej wchodzi tylko obywatele rzymscy i wielcy panowie. A jednak ich wszystkich, bogaczy i biedaków, wolnomyślicieli i ściśle trzymających się rytuału, łączy wspólny ból nad utraconym państwem, łączy wspólna hańba podatku obciążającego Żydów, a pobieranego wedle oddzielnych list podatkowych. Teraz zaś spojeni są ze sobą wspólną nadzieją zwrotu w polityce.

Możni Żydzi tworzyli na trybunie pokazną grupę. Kajus Barcaarone, przewodniczący najlicniejszej gminy Agryppa, nie jest tak pełen otuchy, jak pozostali mężowie. Wiele przeżył i widział. Jehowa to Bóg dobrotliwy i dosyć tolerancyjny, ale cesarz, każdy cesarz często wkracza w Jego prawa i utrudnia Żydom życie. Starzec kiwa mądrą głową. Trudna to sprawa być równocześnie dobrym Żydem i dobrym Rzymianinem. Jemu samemu ciężko jest utrzymywać na odpowiednim poziomie fabrykę mebli, pierwszą w Rzymie, a równocześnie przestrzegać wszystkich nakazów Jehowy. Ojciec, którego bardzo kochał, zatrul sobie życie na starość wewnętrznymi konfliktami, które ta sytuacja za sobą pociągała. I tym razem, utrzymywał, nie będzie to takie proste, jak sobie wszyscy wyobrażają. Zapewne wiele jeszcze wody przepłynie pod mostami Tybru, zanim księżniczka Berenika zostanie cesarzową, a jeżeli naprawdę się nią stanie, to kto wie, ile za to będzie musiała poświęcić ze swego żydostwa. Istnieją przecież przykłady.

Wszyscy wiedzą, kogo mądry, kiwający głową starzec ma na myśli. Pisarz Józef syn Mateusza jest dla Żydów przyczyną stałych swarów i irytacji. Ten człowiek, jego życie, jego dzieło, jego wielokrotna zdrada i wielokrotne zasługi dla żydostwa pozostają zagadką. Kolegium sprawujące rządy w Jerozolimie rzuciło nań swego czasu anatemę. Niektórzy uczeni rabbi uważają, że po zburzeniu Świątyni klątwa ta jest już nieważna. Ale większość Żydów rzymskich uważa Józefa za odszczepieńca. Kiedy znajdują się w pobliżu niego, stoją w odległości siedmiu kroków, jak gdyby był trędowaty. Z daleka trzyma się również Kajus Barcaarone.

— Sądzę — mówi finansista Klaudiusz Reginus i jego chytre, senne oczy pod wypukłym czołem patrzą prosto w przebiegłe, ruchliwe oczy handlarza mebli — sądzą, że pokaże się teraz, iż rabbi Józef syn Mateusza nie wyrzekł się żydostwa.

Z rozmysłem daje Józefowi jego żydowskie imię i tytuł. Chciałby wykorzystać okazję i coś dla niego u Żydów uzyskać. Ten bardzo mądry człowiek zna niezawodnie liczne słabe strony istoty Józefa lepiej niż mężowie na trybunie, i daje mu to często do zrozumienia. Ale czuje do niego głęboką życzliwość, pomaga mu, gdzie może, jako wydawca walnie przyczynił się do sławy Józefa.

Kiedy Klaudiusz Reginus zaczął mówić, Żydzi na trybunie nastawili uszu. Wprawdzie podkreśla on stale, że do nich nie należy, że jest rad, iż ojciec jego, Sycylińczyk, przeciwstawiając się naleganiom matki, nie dał go obrzezać, ale wszyscy wiedzą, że jeżeli mogą zaliczyć kogoś do przyjaciół Żydów, to właśnie Klaudiusza Reginusa.

— Sądzę — ciągnął dalej — iż byłoby dobrze pomóc Józefowi synowi Mateusza, jeżeli chce dowieść, że nie przestał być Żydem.

— Czy można komuś w tym pomóc? — mruczy niechętnie Kajus Barcaarone. Ale Klaudiusz wie, że Żydzi na trybunie wezmą jego słowa pod uwagę.

Kondukt zbliżył się, okrążył Pole Marsowe. Ci na trybunie podnieśli się, wyciągnęli

ramiona, powitali zmarłego cesarza. Ale w przeciwieństwie do Rzymian nie czekali z napięciem na ukazanie się zmarłego Wespazjana, lecz na żywego, którym był ich aktor, Demetriusz Liban, Żyd. Oto nadchodzi, z daleka wiedziano, że się zbliża, po huraganie śmiechu, który go poprzedzał. Pochód żałobny antenatów kroczył po raz drugi między senatorami a grupami szlachty. Znowu składał się z tancerzy i aktorów, ale maski i ruchy były teraz śmielsze, bardziej groteskowe, na pograniczu komizmu. Na samym końcu kroczył Wespazjan. Nasz Demetriusz Liban.

Nie, to nie był Demetriusz, to był naprawdę Wespazjan. Wielka szkoda, że zmarły nie może oglądać sam siebie, miałby zabawę nie lada. Demetriusz posuwał się energicznym, stanowczym krokiem, usta jego były może odrobinę zbyt wydłużone, zmarszczki odrobinę zbyt głębokie, czoło odrobinę za szerokie, cała twarz bardziej prostacka niż twarz żywego Wespazjana. Ale właśnie dlatego był Wespazjanem podniesionym do drugiej potęgi. Liban zademonstrował setkom tysięcy kontrast między dostojnością i mistyką rzymskiej władzy cesarskiej a chłopską wyrachowaną indywidualnością jej ostatniego przedstawiciela. Witali entuzjastycznie swego cesarza, kiedy tak kroczył wśród nich, częstując wszystkich szyderstwem i szyderstwem przyjmowany. „Jestem zadowolony — mówił masom, stojącym na skraju ulic — dziś skwarny dzień, to wywołuje pragnienie, zwiększy się podatek od latryn.”

Demetriusz rezerwował jednak na później swój najświetniejszy kawał. Czy w ogóle się nim popisie! Wciąż ogarniał go strach przed własną odwagą. Ale ujrzał teraz na jednej z trybun swego kolegę Fawora, pierwszego aktora epoki, tego analfabetę, z powodu którego zmarły usunął go w cień. To wstrząsnęło nim, rozwiązało mu język. Stanowczym krokiem uTORował sobie drogę do intendenta widowisk, zczekał, aż tłum się uciszy, potem, wskazując na stos i wspaniały kondukt żałobny, zapytał donośnym, grzmącym głosem:

— Powiedz mi, proszę, panie intendencie, ileś na to wszystko wyrzucił pieniędzy?

— Dziesięć milionów — odparł zgodnie z prawdą zaskoczony intendent.

Na twardej, chłopskiej twarzy Demetriusza-Wespazjana pojawił się chytry uśmiech. Demetriusz-Wespazjan odtrącił tłoczących się dookoła, wyciągnął do intendenta rękę, mrugnął okiem i zaproponował:

— Daj mi sto tysięcy i wrzuc mnie do Tybru.

Przez chwilę trwało pełne zdumienia milczenie, ale potem wszyscy, widzowie na skraju ulicy, senatorzy na trybunach, wybuchnęli zgodnym śmiechem; nawet tworzący szpaler żołnierze gwardii przybocznej nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Cały plac trząsł się teraz od śmiechu.

Jednakże Żydów na trybunie od razu ogarnęły wątpliwości, choć ogólna wesołość ich również zaraziła. Liban to znakomity aktor, utrzymywali jedni, ma dowcip, może sobie na to pozwolić. Nie, twierdzili inni, Żyd winien uważać, skutki tego, co zrobił, będą przykre. I ci, i tamci byli dla Demetriusza pełni uznania. Wychwalając go kręcili głowami zatroskani i klęli po cichu.

Kondukt dotarł teraz do stosu. Umieszczono zwłoki na najwyższym stopniu piramidy. Tytus otworzył zmarłemu oczy, ucałował go wraz z Domicjanem, bracia pozostali przy ojcu. Na dole predefilował po raz ostatni pułk gwardii z trąbami i rogami. Potem zeszli i, odwróciwszy twarze, podpalili stos. W chwili gdy buchnął płomień, ze szczytu piramidy orzeł wzniósł się w przestworza.

Jeszcze kilka minut i cała piramida stanęła w ogniu. Płonące masy wonności szerzyły oszałamiającą woń. Widzowie, których nie odstraszały ani żar, ani silna woń, zaczęli się tłoczyć, przerwali szpaler utworzony przez gwardię.

— Żegnaj, Wespazjanie, żegnaj, bardzo dobry, bardzo wielki cesarzu! — wołali,

podbiegali do stosu, miotali w płomienie ostatnie dary, wieńce, szaty, poobcinane pukle włosów, klejnoty. Ogarnął ich szal, częściowo udawali żałobę, częściowo byli w niej naprawdę pogrążeni. Wrzeszczeli, rozlegały się dźwięki trąb i rogów, widać było wciąż szybującego w powietrzu orła.

Otyły finansista Klaudiusz Reginus patrzył ze swej trybuny na kłębiący się tłum sennymi oczyma pod wypukłym czołem. Może jedyny pośród stu tysięcy był naprawdę w żalobnym nastroju. Bez wielkich frazesów cesarz wtajemniczał jedynie tego pół-Żyda w swoje troski i radości. Nikt chyba nie orientował się lepiej w słabostkach zmarłego, ale też nikt trafniej od niego nie oceniał jego mądrej trzeźwości, jego suchego, dowcipnego rozumu, jego głębokiego spojrzenia na wszystko, co ludzkie. Klaudiusz Reginus tracił w nim przyjaciela. Na ociężałych nogach podreptał szybko z trybuny, stanął w żarze, buchającym od stosu, wrzeszczał wraz z innymi, zdarł z siebie trzewiki, wrzucił je do ognia.

Wzrastał żar, wrzask, tumult. Nawet wielka Rzymianka Lucja nie potrafiła się powstrzymać, podarła na strzępy swą czarną szatę, wrzuciła ją do ognia, obnażając niewielką bliznę pod lewą piersią.

— Żegnaj, cesarzu Wespazjanie. Bądź pozdrowiony, boski! — wrzeszczała wraz z innymi.

Piramida spłonęła bardzo szybko. Żarzące się węgle gaszono winem, potem pozbierano kości, oblano je mlekiem, osuszono lnianymi chustami, złożono je do urny przesypanych wonnościami. Równocześnie w niewielkim wgłębieniu przygotowanym zawczasu w mauzoleum Augusta zakopano wraz z pierścieniem trzeci palec zmarłego, który został obcięty przed spaleniem.

Mimo dręczącego upału Józef pracował teraz od wczesnego rana do późnej nocy. Chodziło o coś więcej niż o poprawki stylistyczne. Teraz po śmierci Wespazjana chciał żydowską treść swego dzieła opracować w wersji greckiej z tą samą jasnością, która cechowała pierwotną wersję aramejską.

Fineasz siedział przy stole spokojny, zamknięty w sobie. Józef obrał miejsce za jego plecami. Niewątpliwie sekretarz, Grek przekonany o swojej wyższości, żywi pogardę dla żydowskich tendencji księgi i szydzi z niej w głębi ducha. Ale jego duża, blada twarz, na której widnieje potężny nos, pozostaje gładka, uprzejma, spokojna. Józef wymagał od niego nie mniej niż od siebie, Fineasz wytrzymywał to bez skrzywienia. Józef patrzył na potężną, słabo owłosioną potylicę swego sekretarza, słuchał jego głębokiego, monotonnego, dźwięcznego głosu. Cała sala była przepojona jego zamaskowanym szyderstwem. Szyderstwo Józefa było oczywiście subtelniejsze, głębsze; decyzja rozstania się z tym człowiekiem dawała mu przewagę.

Tak pracował, w pośpiechu, zaciekle, pokonując liczne opory, aż wreszcie skończył wygładzanie siedmiu ksiąg *Wojny żydowskiej*. Kiedy to się stało, odetchnął z ulgą. Do tej chwili nie myślał o niczym poza swoją pracą. Teraz zamierzał się rozejrzeć, chciał zobaczyć, co się w tych ostatnich tygodniach dookoła niego wydarzyło.

Spacerował po mieście. Po ciszy ostatnich tygodni, po dniach skupienia miło było czuć jego gwarne życie.

Józef znalazł się na Forum, noszącym imię zmarłego cesarza. Dom bogini pokoju, biały, wysoki, strzelał dumnie w górę. W środy odbywały się tutaj oficjalne prelekcje. Józef miał ochotę usłyszeć mówcę greckiego, nie głowiąc się nad każdym zdaniem i zwrotem, czy dałyby się zastosować w jego własnym dziele. Wszedł do świątyni, udał się do sali recytacyjnej.

Nadmierna ilość prelekcji literackich stała się istną plagą; odczyty, wygłaszane w Świątyni Pokoju, uchodziły za trudne i przerafinowane, zazwyczaj wielka, wytworna sala świeciła pustką. Dziś jednak Józef z trudem znalazł miejsce. Prelegent, niejaki Dion z Prusy, zdobył bowiem w ostatnich czasach popularność przede wszystkim dzięki protekcji Tytusa.

Temat, który sobie obrał: „Grecy i Rzymianie”, był bardzo aktualny, bowiem chytry cesarz Wespazjan odebrał wprawdzie Wschodowi greckiemu liczne przywileje zarówno gospodarcze, jak polityczne, ale osładzał to pochlebstwami pod adresem greckiego wykształcenia oraz nagrodami honorowymi dla greckich uczonych. Wzrost podatków wskutek cofnięcia przywilejów przyniósł pięć miliardów, nagrody honorowe nie pochłonęły nawet ćwierci miliona. Mimo to gest ten nie pozostał bez wpływu na próżnych Greków. Ale opozycja senatu w Rzymie, dążąca stale do tego, żeby cesarza, któremu nie mogła sprzeciwić się jawnie, nękać drobnymi ukłuciami, dawała „Greczynom” jeszcze bardziej odczuć starorzyską pogardę. Dion, prelegent dzisiejszy, beniaminek Tytusa, był rzecznikiem Greków mieszkających w Rzymie; ludzie czekali z napięciem, co powie i jaka będzie reakcja sali.

Słynny człowiek niewiele wniósł nowego; za to forma prelekcji była olśniewająca. Przede wszystkim, i to z uszczypliwymi aluzjami pod adresem zebranych tu senatorów z opozycji, wychwalał wolność ducha, którą przyniosła monarchia, zdaniem jego było to osiągnięcie, które Wschód grecki szczególnie sobie ceni. Wolność polityczna, wywodził, to cyniczny przesąd. Organizm tak olbrzymi, jak państwo rzymskie, musiałby szybko zginąć w odmętach anarchii i barbarzyństwa, gdyby rządziła nim nie jednolita wola, lecz większe ciało zbiorowe. Praworzadna całość jest jednak przesłanką prawdziwej wolności — wolności ducha. A więc, choć brzmi to paradoksalnie, jedynie władza jednostki gwarantuje wolność ducha. Wolność ducha była od dawien dawna alfą i omegą kultury helleńskiej; dlatego też Grecy uważają monarchię za najślusniejszą formę rządów. Monarchia rzymska odpowiada ponadto całkowicie pojęciom, które od czasów Homera mieli o państwie najwięksi spośród Greków. Nie jest to tyrania orientalna, lecz oświecone królestwo, do którego ideologia polityczna klasyków helleńskich zawsze tęskniła. Nic więc dziwnego, że od czasów Augusta wiedza grecka na nowo rozkwitła. Teraz potęga rzymska i duch grecki są na najlepszej drodze, by stać się harmonijną całością.

Senatorzy z opozycji, których można było poznać po szerokim purpurowym szlaku na białych szatach galowych oraz po wysokich czerwonych trzewikach z czarnymi rzemieniami, słuchali prelekcji niechętnie. Byli przygotowani, że mówca Tytusa wykorzysta temat do wycieczek przeciw nim. Upierali się przy fikcji, że władza w państwie należy do sześciuset senatorów, że cesarz jest tylko pierwszym wśród równych sobie. A czymże innym była prelekcja Dio-na, jeżeli nie atakiem wymierzonym w ową tezę? Kiedy mówca skończył, stanęli razem w zwartej grupie. Józef zbliżył się do nich wraz z wielu innymi; czekali z napięciem, czy ktoś spośród nich wda się w dyskusję. Józef w głębi duszy pokpiwał sobie z utopijnych pretensji tych ludzi. Nie byli oni o jotę lepsi od owych panów z szumnie brzmiącymi tytułami i godnościami, od owych Zelotów, którzy w swoim czasie kontynuowali powstanie, kiedy już dawno było ono rozgromione.

Teraz jeden z młodszych patrycjuszów zabrał głos. Nie miał odwagi zaatakować monarchistycznych teorii Diona, wołał wyładować swój gniew w lżeniu wszystkiego, co greckie. Jeżeli na Wschodzie dochodzi raz po raz do tarć, to winna jest temu jedynie tępota Greków. Chcą dyktować Rzymianom, co mają czynić, czego zaniechać, co Rzymianinowi przystoi, a co nie. Jakże ci ludzie, którzy uważają siebie za sól ziemi, wyglądają w istocie? Nie można zaprzeczyć, że mają w pogotowiu szybkie, dowcipne wnioski, wymowa ich jest oszałamiająca, ale są w najwyższym stopniu niewybredni w doborze argumentów. Pobudliwa fantazja przeszkadza im w odróżnianiu prawdy od kłamstwa. Poza tym długoletnia niewola wychowała ich na pochlebców, rozwinęła ich talenty komedianckie. Można oczywiście te właściwości ocenić przychylniej, można to nazwać umiejętnością przystosowania się, wdziękiem, pomysłowością, obrotnością. Jeżeli jednak chcą naprawdę porozumienia z Rzymem, byłoby dobrze, żeby zobaczyli siebie takimi, jakimi są.

— My, Rzymianie — zakończył — uważamy, że dobra to rzecz ładnie mówić i pisać, malować piękne obrazy. Ale umiejętność organizowania państwa i armii wydaje nam się więcej warta. Nie chcemy — dodał, czyniąc aluzję do względów, jakimi Dion cieszył się na dworze — godzić się z tym, żeby ktoś, kogo przywiał do miasta ten sam wiatr, który przynosi do nas damasceńskie śliwki i syryjskie figi, był uważany przy stole za coś lepszego od nas tylko dlatego, że ma pewien urok egzotyizmu. To, że od dzieciństwa oddychaliśmy powietrzem Awentynu i żywiliśmy się sabińskimi owocami, uważamy sobie za wielki zaszczyt, którego nie chcielibyśmy zamienić na żadne finezje mowy greckiej.

Choć Józefowi ten wyraz pychy rzymskiej wydał się prostacki, był zadowolony, że ów człowiek tak wyniośle skwitował Greka. Dookoła grupy zebrało się wielu Greków i Rzymian, nastawiających uszu z zaciekawieniem. Orator Dion stał naprzeciw młodego arystokraty, wysoki, wytworny, bardzo pewien siebie, z uprzejmym uśmiechem na wąskich wargach. Wydawał się obojętny, ale widać było, że mózg energicznie pracuje za wysokim, sklepionym czołem. Czekano w napięciu, jak teraz grecki profesor, luminarz ze Wschodu, zareplikuje na zuchwalstwo młodego Rzymianina.

Zanim jednak Dion zdążył otworzyć usta, uprzedził go człowiek o wielkiej, mądrej głowie, szczupły, wytworny. Cera tego człowieka była chorobliwie blada, ręce miał chude, niezwykle długie. Kiedy jednak rozległ się głęboki, dźwięczny, modulowany głos, nie widziało się już ani jego chorobliwej bladości, ani długich, chudych rąk. Józef doświadczył tego na sobie. Choć sekretarz Fineasz był mu tak niemiły, z trudem potrafił oprzeć się czarowi jego wymowy. Nie wiedział dotychczas, że ten Fineasz bierze udział w tego rodzaju dyskusjach, słuchał uważnie i nieco zdziwiony.

To, co mówił Fineasz, było niebezpiecznie śmiałe.

— Nie jest rzeczą pewną — zaczął tonem wyjątkowo uprzejmym — czy my, Grecy, zostalibyśmy pokonani, gdybyśmy wszystkie swe wysiłki skierowali na utrzymanie wolności politycznej. Kto przeczyta uważnie Isokratesa, ten się dowie, że we wszystkich epokach bywali wśród nas ludzie, którzy świadomie chcieli zrezygnować z wolności politycznej za cenę zachowania wolności duchowej. Pod tym względem wielki, mądry pan Dion z Prusy ma niewątpliwie rację. Nie w tym celu jednak zrezygnowaliśmy z naszej suwerenności politycznej, by teraz pouczać nas i poniżać ludzi, którzy nie widzą powiązań wewnętrznych. Dążyliśmy do stworzenia państwa uniwersalnego. Rzym, przynajmniej w ogólnych zarysach, stworzył takie państwo. Ale musimy się zastrzec i protestować, jeśli nam kwestionują nasz wkład. Oddajemy Rzymowi, co rzymskie, niechajże zostanie nam przyznane to, co nasze. Wkład nasz jest niemały. Zabierzcie wykształceniu rzymskiemu greckie podstawy, a wszystko się zawali. Nie można sobie wyobrazić Cyncerona bez Demostenesa, Wergiliusza bez Homera. Tak jak w polityce i gospodarce Rzym daje światu prawa i ustawy, tak wszystko, co jest z ducha, nosi piętno helleńskie. Cesarz Wespazjan pozbawił nas swobód, które nam dał poprzedni monarcha. Nie skarżymy się na to. Nie entuzjazmowaliśmy się również zbyt, kiedy ów monarcha obdarzał nas tymi swobodami. Mimo swej potęgi cesarz rzymski nie może ani dać, ani odebrać rzeczy, które nam, Grekom, wydają się najważniejsze na świecie. W najlepszym razie może je od nas otrzymać. Młody pan, który z wysokości swego senatorskiego trzewika tak pogardliwie spogląda na „Greczynów” i ich srebrne sandały, powinien wiedzieć, że choć jesteśmy tak obrotni i elastyczni, jednego nie wyrzekniemy się za żadną cenę, dla nikogo: dumy, że jesteśmy Grekami. Władza to rzecz wielka, polityka również, ale w dziedzinie ducha, ze stanowiska filozofa-eklektyka, politycy nie są niczym lepszym od pretorianów, są to organy wykonawcze wszechpotężnego ducha. Bez Arystotelesa, bez greckiej ideologii nie byłoby Aleksandra. A czymże jest to wielkie państwo rzymskie, jeżeli nie powtórzeniem na mniejszą skalę tego, co

pierwszy stworzył Aleksander?

Józef stał dosyć daleko, w głębi sali. Nie widział dobrze Fineasza, miał nadzieję, że tamten go nie dojrzał. Głos jego robił swoje. Temu człowiekowi niepotrzebne były wielkie słowa, lekka wibracja głosu wystarczyła, by pogrzebać przeciwnika lawiną szyderstwa. Józef stwierdzał nie bez zmieszania, że nawet arystokraci, choć tak zimni i wyniośli, nie umieli oprzeć się jego zdolnościom oratorskim. Udawali, że chcą wyjść, ale nie odchodzili, słuchali, patrzyli na wielką jasną głowę, na usta, z których płynęły uskrzydłone słowa. Józef rozumiał głębię i wielkość tego sukcesu. Fineasz przemawiał przed reprezentantami najwyższej arystokracji, którym jako wyzwoleniec nie był równy. Niezawodnie przemawiał nie po raz pierwszy przy takiej okazji; tak nie mówi żaden nowicjusz. Czemu to przypisać, że nigdy nie pochwalił się przed nim swymi talentami retorycznymi? Jakaż to pycha ze strony wyzwolenca, jaki niemy wyrzut pod adresem Józefa, że nie uznał za warte zachodu choćby pomówienie z nim o tym.

Bardziej jeszcze niż przemilczenie dotknęła Józefa treść wypowiedzianych słów oraz bijąca w oczy duma z greckiej wyższości. Czy nie było to podobne do jego własnych snów i marzeń o wyższości żydostwa? Jeżeli, jak to Fineasz słusznie powiedział, ogromne państwo rzymskie było tylko kopią utworzonej już przez Aleksandra monarchii uniwersalnej, to czy los Żydów, nawet gdyby został wzniesiony na wyżyny, o których Józef marzył, nie był tylko pomniejszonym odbiciem losu Greków? Czyżby cel jego życia był naprawdę tylko naśladownictwem czegoś, co od dawna zostało osiągnięte?

Duma Rzymianina z własnej rzymskości jest śmieszna. Fineasz jest niewątpliwie człowiekiem wybitniejszym od tego młodego zarozumialca, który obelżywie wyrażał się o Grekach. Fineasz dał mu dobrą odprawę, ale jego argumenty po dokładniejszym zapoznaniu się z nimi rozpadały się tak samo jak argumenty tamtego. To, że jeden uważa się za coś lepszego od innych, ponieważ antenaci tych, wśród których się urodził i których językiem mówił, dokonali wielkich czynów, było śmieszne i godne pogardy.

Doszedłszy do tej konkluzji Józef zląkł się. Jeżeli dotyczyło to Rzymian i Greków, to czyż mogło dotyczyć jego jako Żyda? Szybko odrzucił to zastrzeżenie. Prawda, że napisał *Psalm obywatela świata* i ostatecznym jego celem jest, by ze wszystkich plemion na świecie powstał jeden naród zjednoczony duchem. Dopóki jednak nie zostało to osiągnięte, czy nie należy dbać o zwartość własnej grupy już choćby dlatego, iż jest jedyną, która dąży do tego celu?

Próbował podeprzeć tym argumentem mocno zachwiany gmach swej dumy plemiennej, ale mu się to nie udało. Nie doprowadził swych myśli do końca, nie wysłuchał do końca Fineasza. Wymknął się po wysokich stopniach Świątyni Pokoju, zmieszany, z zamętem w głowie. Była to niemal ucieczka.

Wieczorem jednak, kiedy poszedł do swego wydawcy Klaudiusza Reginusa, by mu wręczyć ukończony rękopis, otrząsnął się już z myśli i wrażeń doznanych przed południem i ukrył je na samym dnie serca.

Po posiłku wielki finansista kiepsko, niedbale ubrany rozciągnął się na sofie i popijał wino małymi łykami; musiało być ciepławe ze względu na jego wrażliwy żołądek. Oświadczył Józefowi, że rozczarowała go postawa Tytusa. Cesarz jest dziwnie apatyczny. Stale musi mieć przy sobie tego doktora Walensa. Bywa roztertargiony. Nawet kiedy chodzi o sumy kilkudziesięcimilionowe. W synu Wespazjana jest to zdumiewające. I ciągle odwleka decyzje. Nie może się również zdecydować na skuteczną obronę Żydów, choć chciałby tego z pewnością. Zapewne pozostaje to w związku z pogłoskami, które szerzy to ziółko Domicjan. Dawniej Tytus nic sobie nie robił z plotek kursujących wśród gawiedzi ulicznej. A teraz odczuwa przed nimi taki strach, że się lęka okazania Żydom sympatii. Byłoby dobrze, żeby Berenika nareszcie przybyła.

Choć Józef miał bardzo wysokie mniemanie o wszechstronnej wiedzy swego wydawcy, otucha, jaka w niego wstąpiła w chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszał o śmierci Wespazjana, była tak mocna, że słowa Klaudiusza Reginusa nie mogły jej zmącić.

Reginus otworzył rękopis Józefa.

— Przeczytaj początek trzeciej księgi — rozdział poprzedzający szturm na Świątynię.

— „Rzymianie — czytał Klaudiusz Reginus — zrównali z ziemią tereny przylegające do miasta, by zdobyć budulec potrzebny do wzniesienia wałów oblężniczych. Okolice, lśniąca dotąd przepychem i blaskiem drzew i ogrodów, jest teraz całkowicie ogołocona. Każdy cudzoziemiec, który miał kiedyś sposobność poznać piękne okolice Jerozolimy, musiał na widok takiego spustoszenia i tak potwornej zmiany popaść w przerażenie i rozpacz. Gdyby ktoś znający dawniej te strony znalazł się tutaj, nie poznałby ich, szukałby miasta, które przecież miał przed oczyma.”

Józef czekał z napięciem, co też Reginus powie; wiedział, że ten człowiek jest jednym z najlepszych, znawców.

— Cieszę się — rzekł wreszcie wydawca — że wzmocniłeś żydowską tendencję swej księgi. Jest to, czcigodny rabbi, najlepsze dzieło o wojnie. — Józefowi serce zabiło żywiej. Ale Klaudiusz Reginus jeszcze nie skończył. — Jestem ciekaw — dodał — co Justus będzie miał do powiedzenia o twojej księdze.

W piątek wieczorem Józef znalazł się na moście Emiliusza, prowadzącym na prawy brzeg Tybru, na którym mieszkali Żydzi. Był pełen zadowolenia. Kajus Barcaarone, przewodniczący gminy agrypińskiej, w związku ze słowami wypowiedzianymi na pogrzebie cesarza przez Klaudiusza Reginusa, poprosił go, by spędził w jego domu wieczór poprzedzający sabbat. Józef szedł teraz w kierunku placu Trzech Gwiazd do mieszkania Kajusa.

Z przyjemnością zobaczył znowu jadalnię. Tak samo jak przed piętnastu laty, kiedy tu przyszedł po raz pierwszy, pokój nie był w przeddzień sabbatu oświetlony na modłę rzymską; wedle zwyczaju żydowskiego, oświetlały go zwisające z sufitu srebrne lampy, przyozdobione girlandami fiołków. I dziś, tak samo jak wówczas, była tam stara zastawa stołowa z emblematem Izraela, winnym gronem. Najbardziej jednak rozczulił Józefa widok owiniętych w słomę urn do ogrzewania potraw. Ponieważ w sabbat nie wolno było gotować, trzymano w tych urnach przyrządzone już potrawy. Szedł od nich swojski zapach, Kajus Barcaarone przyjął go tak, jak gdyby się wczoraj rozstali.

— Pokój z tobą, rabbi Józefie synu Mateusza, kapłanie Świątyni Jerozolimskiej — przywitał go z szacunkiem hebrajskim pozdrowieniem. Potem posadził go na honorowym miejscu, którym była środkowa sofa. Uczyniwszy to wypowiedział nad pucharem, napełnionym winem judejskim Eszkol, słowa modlitwy przeznaczonej na wieczór sabbatu. Z kolei pobłogosławił chleb, przełamał go, podzielił się nim. Wszyscy powiedzieli „amen” i przystąpili do jedzenia.

Dopóki obecne były przy stole kobiety i dzieci, nie mówiono o niczym istotnym. Nareszcie wieczerza dobiegła końca; Józef, Kajus i doktor Licyniusz, zięć Kajusa, zostali sami. Siedzieli przy winie, słodyczach i owocach. Stary, przebiegły handlarz mebli porzucił swą ostrożną rezerwę. Gdyby nie pewne wypadki czysto zewnętrzne, zaczął, nie poprosiłby Józefa do swego domu. Ale nie wydarzyło się nic, czego się Żydzi po nowym kursie spodziewali, przeciwnie, krążyły uparcie wieści, że cesarz poślubi Żydówkę, co wzmogło jedynie wrogie Żydom nastroje. Cesarz temu nie przeciwdziałała, a Berenika się nie zjawia. Słyszał, że Józef w związku z ukończeniem nowej wersji swego dzieła będzie miał sposobność porozmawiania z cesarzem. Wzywa Józefa, by przypomniiał Tytusowi, że uciśnieni Żydzi czekają na jakieś przychylnie słowo.

Józef nie miał złudzeń co do tego, jakie powody skłoniły Kajusa Barcaarone do próby

pojednania. Pomimo całej pogardy, okazywanej mu przez Żydów, nieraz zwracano się do niego i przedtem, kiedy chodziło o przedłożenie dworowi skarg lub osiągnięcie ulg czy ułaskawień. Rozgniewało go jednak, że ten człowiek tak bez osłonek zakomunikował, czego od niego chce. Słuchał podniósłszy w górę brwi.

— Zrobię, co będę mógł — odrzekł krótko.

Układny doktor Licyniusz zauważył, że Józef poczuł się urażony.

— Proszę o chwilę uwagi w jeszcze innej sprawie — powiedział bardzo uprzejmie.

Józef stwierdził niemal wbrew woli, że ten dawniej trochę afektowany człowiek zmienił się bardzo na korzyść. Pewnie pod wpływem Ireny tak się ogładził. Niewiele brakowało, a sam byłby poślubił córkę bogatego handlarza mebli. Kiedy był pierwszy raz w Rzymie i jako żołnierz Jehowy miał wyruszyć, by walczyć o swój kraj, darzyła go płomiennym uwielbieniem. Jakże inny przebieg miałyby wszystko, gdyby została jego żoną. Zapewne byłby pozostał w Rzymie, nie stanąłby nigdy na czele armii i nie poprowadził jej na zagładę. Nigdy by nie zasiadał przy stole z cesarzem i następcą tronu. Mieszkałby teraz tu w Rzymie jako pisarz, byłby bogaty, żyłby spokojnie, grzeszyłby umiarkowanie i umiarkowanie zarabiał, cieszyłby się poważaniem, jak ten doktor Licyniusz. Spokojna, poważna Irena powstrzymywałaby go od szaleńczych posunięć, dokonywałby swych czynów w wyobraźni zamiast w rzeczywistości, zadowoliliby się ich opisywaniem. Może zazdrościł nieco doktorowi Licyniuszowi, ale w gruncie rzeczy godził się z tym, że Irenę poślubił nie on, lecz właśnie ten człowiek.

— Jest teraz rzeczą pewną — wyjaśniał mu doktor Licyniusz — że synagoga moja na Welii zostanie zburzona, jeżeli cesarz zacznie tam budować. Słyszałem od fabrykanta szkła Aleksasa, że ciągle jeszcze zamierza pan ufundować własną synagogę, by umieścić w niej siedemdziesiąt zwojów Tory, które uratował pan z Jerozolimy. Oczywiście i my mamy zamiar wznieść na lewym brzegu Tybru nową świątynię zamiast synagogi na Welii. Niech pan posłucha mojej propozycji. Czy nie moglibyśmy budować razem? Byłoby pięknie, gdyby nowa świątynia stała się synagogą Józefa.

Józef nastawił pilnie uszu. Co takiego? Żydzi, zamieszkali na Zatybrzu, elita miasta, chcą naprawdę oddać swą nową synagogę pod jego protektorat? Chcą istotnie się z nim przeprosić? Doktor Licyniusz jest oczywiście człowiekiem wartościowym, właściwie walczył z nim razem na tym samym froncie, pisuje tragedie greckie, które treść swą czerpią z Biblii, ortodoksyjni uczeni w Piśmie przebaczą mu te ryzykowne wybryki jedynie dlatego, że jest zięciem Kajusa Barcaarone. Byłoby oczywiście rzeczą wspaniałą, gdyby Józef został protektorem i prezesem najwytworniejszej w Rzymie synagogi. Tylko bez pośpiechu. Czy mógłby, gdyby na to poszedł, uchylić się od obrzezania swego syna Pawła i uczynienia z niego Żyda? Niezależnie od tego, skąd ma wziąć pieniądze na godny wkład w budowę synagogi? Sławy pisarza nie przelicza się na złoto.

— Chciałbym się nad tym kilka tygodni zastanowić — mówi ociągając się. I dodaje prędko: — To, co mi proponujesz, doktorze, sprawia mi głęboką radość. Dziękuję ci, doktorze Licyniuszu — i wyciąga do niego rękę. Głos Józefa i twarz mają teraz ową promienną, dzięki której od dawna zdobywa serca.

Był szczęśliwy w owych dniach po zakończeniu swego dzieła. Zapomniał, że ma jeszcze do wyjaśnienia pewną sprawę ze swym sekretarzem, że żona i syn stają mu się obcy. Poza tym wszystko toczyło się, jak tego chciał. Żydzi godzili się z nim, na Palatynie przyjmowano go z rozjaśnionym obliczem. Audiencję wyznaczono mu na czwartek; był to dzień zarezerwowany dla przyjaciół i zaufanych cesarza; Tytus zaopatrzył oficjalne zaproszenie we własnoręczny dopisek, że jest rad, iż nareszcie będzie mógł znowu odbyć z Józefem dłuższą rozmowę.

Józef, którego krzepiło teraz poczucie szczęścia, był dostatecznie uzbrojony i w

odpowiednim nastroju, by przeprowadzić z Dorion tak długo odkładaną rozmowę.

Minął korytarz prowadzący do jej apartamentów. Tęsknił za nią, za jej podłużną głową, oczami barwy morza, za jej szczupłym ciałem, za jej wysokim dziecięcym głosem, którym wypowiadała czule, złośliwe słowa. Ubrał się po domowemu, lecz elegancko. Bujne włosy opadały w kruczych lokach, namiętne wargi były starannie wygolone, broda tworzyła ostry trójkąt. Kroczył lekko i z rozmachem jak za młodych lat; był pełen męskiej tkliwości dla Dorion, cieszył się, że jej przynosi pomyślne nowiny.

Nie zastał jej samej. Siedziało wokoło niej kilku panów i jakaś dama, stał rząd pustych krzeseł, co wskazywało, że miała u siebie liczne towarzystwo. Leżała na sofie w szacie z przejrzystej tkaniny, przy boku jej siedział ulubiony, czamozielonkawy kocur Chronos, którego Józef nienawdził.

Kiedy Józef wszedł, na jej opalonej twarzy pojawił się promień pomieszany z odrobiną oburzenia i tryumfu. Wyciągnęła do niego rękę.

— Jaka szkoda, żeś nie przyszedł wcześniej, mój Józefie — powiedziała. — Senator Waleriusz czytał nam fragmenty ze swoich *Argonautów*.

— Tak, to szkoda — odparł Józef sucho i skierował wzrok na senatora.

Stary Waleriusz siedział sztywny, dostoyny. W państwie były zaledwie trzydzieści dwie rodziny pochodzące z najwyższej arystokracji i jego ród sięgał najdalej wstecz, wywodził się bezspornie od Trojańczyka Eneasza. Waleriusz zwykł był podpisywać papiery i dokumenty wszystkimi imionami: Q. Tullius Valerius Senecio Roscius Murena Collius Sex Julius Frontunus Silius C. Pius Augustanus L. Proculus Valens Rufinus Fuscus Claudius Rutilanus. Każde z tych imion podkreślało, że płynie w nim krew najszlachetniejszych rodów w państwie. Niestety majątek senatora Waleriusza nie dorównywał tym wysokim parantelom. Tylko przez uprzejmość nazywano go senatorem, gdyż Tu-liusz Waleriusz nie posiadał nawet owego miliona sesterceji, które dla przedstawicieli szlachty pierwszego stopnia stanowiły najniższą granicę. Cesarz Wespazjan wykonując swój urząd cenzora skreślił go więc z listy senatorów. Ale chcąc złagodzić te rygory, pozwolił mu mieszkać za darmo w domu, który kiedyś zajmował. Stary Waleriusz zajmował w nim obecnie górne piętro; na pierwszym piętrze i parterze mieszkał Józef. Ocenzuowany senator znosił swój los z godnością. Nowe mieszkanie było za małe, aby pomieścić w nim woskowe popiersia wysoko urodzonych antenatów; część ich musiał przechowywać u spedytora. Ale nie narzekał. Żył w odosobnieniu z córką, dwudziestodwuletnią surową Tullią o bladej twarzy, w niepokąznym domu szóstej dzielnicy, wśród relikwii, nadjedzonych przez mole szat odświętnych, zapyłonych różg liktorskich, zwiędłych wieńców tryumfalnych po pradziadach. Poświęcił się całkowicie działalności literackiej, pisał wielką rymowaną opowieść o Argonautach, z którymi oczywiście był również spokrewniony. Ale nie przebaczył parwienuszowi Wespazjanowi hańby wyrzucenia go z senatu; w skrytości ducha układał śmiały, buntowniczy epos, sławiący czyny jego prakuzyna Brutusa, najeżony rebelianckimi, republikańskimi sentencjami. Mimo iż robił to w tajemnicy, cały Rzym wiedział o jego poczynaniach. Powtarzano sobie z uśmiechem słowa Wespazjana: „Dlatego właśnie dałem temu pocziwemu Waleriuszowi mieszkanie za darmo, żeby mógł w spokoju pisać swe hymny na cześć republiki. Kiedy bowiem ktoś kiedyś przeczyta republikańskie wiersze tego starego, uroczystego osła, zacznie ziewać na sam dźwięk słowa republika.”

Józef witał się z gośćmi Dorion. Białolica, zamknięta w sobie Tullia skinęła mu sztywno głową. Również teść Fabullus, nadęty malarz, bąknął zaledwie kilka słów. Za to bardzo hałaśliwie przywitał go pułkownik Anniusz Bassus, najbardziej zaufany przyjaciel Dorion. Mimo głośniejszej uprzejmości Bassusa Józef nie miał złudzeń, że jego zjawienie się nie ucieszyło zebranych. Nietrudno było się zorientować, że zanim tu wszedł, towarzystwo bawiło się dobrze i

swobodnie; teraz rozmowa rwała się, mówiono o rzeczach obojętnych. Józef starał się być zabawnym. Ale goście nie potrafili tego ocenić i wkrótce się oddalili.

Dorion chętnie została z Józefem sam na sam. Zawsze, nawet w godzinach fizycznego zbliżenia, pozostawał dla niej podniecająco zagadkowy, zawsze była ciekawa, co ten niezwykle człowiek znowu wymyśli. Czy ktoś inny na jego miejscu milczałby tak długo po wydarzeniu tak brzemienym w skutki, jak zmiana na tronie? Czy był jeszcze na świecie człowiek, który mając zaufanie do żony, nie odczuwałby potrzeby pomówienia z nią w takiej sytuacji?

Wężowym ruchem zwróciła ku niemu swe delikatne, gibkie ciało, spojrzała mu prosto w oczy. Szkoda, powiedziała, że nie przyszedł wcześniej. Stary Waleriusz bowiem nie czytał fragmentów z *Argonautów*, lecz wyjątki z *Brutusa*; ten człowiek pozwala sobie na zdumiewająco śmiałe sformułowania.

— Moim zdaniem — rzekł Józef z uśmiechem — wiersze jego tak samo trącą myszką jak on.

Stary Waleriusz nosił mianowicie stale uroczystą, staro modną togę, zgodnie z panującym przed trzystu laty obyczajem nałożoną na gołe ciało; stary ród Waleriuszów przestrzegał tej tradycji niezłomnie.

Dorion podniosła się nieco, szerokie rękawy opadły, ukazując długie, opalone ramiona. Bawiło ją zawsze, kiedy Józef pokpiwał sobie z jej przyjaciół. Ale tym razem nie zwróciła uwagi na jego słowa i zapytała:

— Co się dzieje z Fineaszem? W ostatnich tygodniach bardzo zaniedbuje małego Pawła.

Józefowi było na rękę, że Dorion zapytała o Fineasza. Postanowił odsunąć go od siebie, ale miało to nastąpić powoli, bez wielkich słów i gestów, chłodno, uprzejmie, wytwornie, ironicznie. Nie ulega wątpliwości, że człowiek ten uczciwie pracował dla niego. Ale nie oddawał się sprawie z zamiłowaniem, robota była powierzchowna. Taka też winna być i nagroda: szczodra, ale bez serca.

Odpowiedział, że w ciągu ostatnich tygodni Fineasz dużo dla niego pracował. To się teraz skończyło. Ponieważ Fineasz pracował dobrze, chce go wynagrodzić, dać mu gratyfikację. Co Dorion powiedziała na to, gdyby uzupełnił i odświeżył jego garderobę. Szaty Fineasza są nędzne i zniszczone. Na to, żeby ubierać się po grecku, trzeba pieniędzy. Czy nie chciałaby zająć się tą sprawą? Zna się na tym lepiej niż on.

Dorion spojrzała mu w oczy uśmiechając się na pół rozchylonymi wargami.

— Pięknie — odpowiedziała — załatwię to. To dobrze, że Fineasz znowu będzie miał czas dla chłopca. Gdyby pułkownik Anniusz nie troszczył się od czasu do czasu o edukację Pawła, nikt by się nim nie zajął.

— Anniusz — odparł Józef opryskliwie — Anniusz Bassus — uczynił ruch ręką, jakby go ścierał z powierzchni.

Wszystko go w tym oficerze gniewało: jego śmiech, jego głośny, szczery, serdeczny sposób bycia. Anniusz Bassus był jednym z niższych rangą dowódców w czasie wojny żydowskiej i odznaczył się wielokrotnie. Ale Józef nie zapomniał mu pewnej antysemickiej wypowiedzi i w księdze swej czyny jego pominął grobowym milczeniem. Niestety wyglądało na to, że ku oburzeniu Józefa, pułkownik nie zważał na to wrogie milczenie, przeciwnie, tak samo jak przedtem odnosił się do Józefa z wylewną serdecznością, opowiadał mu pikantne anegdotki na temat kolegów, klepał go po ramieniu. Józefa gniewało to, a jeszcze bardziej drażniło, że Dorion nie chciała się wyrzec przyjaźni z oficerem.

I dziś nie przejęła się pogardliwym gestem Józefa. To dobrze, powiedziała, że tylko Józef nie ocenia zalet Anniusza. Stary cesarz na przykład nie podzielał widocznie jego zdania. W przeciwnym razie nie byłby go mianował pułkownikiem i nie obarczyłby go drażliwą funkcją

marszałka dworu i adiutanta księcia Domicjana.

Miała rację. Anniusz nawet na tym stanowisku spisał się dobrze, potrafił zaprzyjaźnić się z księciem, nie tracąc zaufania starego cesarza.

— Pułkownik nie będzie miał łatwego życia przy Tytusie — oświadczył Józef sucho i nieco gniewnie. Było mu to zresztą obojętne. Dla niego człowiek ten nie istnieje. Wojna była dla Anniusza wielką okazją, ale ją przegapił. Nie za-

chował się pod Jerozolimą tak, by czyny jego warte były wzmianki.

Dorion uśmiechnęła się, przysunęła się bliżej.

— Oczywiście to jest tylko twoja sprawa — powiedziała — kogo uważasz za godnego wymienienia, a kogo nie. Wiem, artysta nie może pracować bez przekonania, że słuszność jest po jego stronie. Ale, mój Józefie, czy nie jesteś trochę zanadto zarozumiały?

Słuchał tych jej uszczypliwości. Leżała wsparta na łokciach. Patrzył na jej wysokie czoło, na jej łagodny, czysty profil; nie bolały go wytworne, zjadliwe słowa płynące z jej szerokich, zuchwałych ust. Kochał ją bardzo.

— Czy jesteś zupełnie pewien — ciągnęła — że sąd twój jest bezapelacyjny, a ocena twoja ostateczna?

— Tak — odrzekł Józef z przekonaniem, bez zarozumiałstwa. Usiadł przy niej, wziął jej głowę w obie ręce, przytulił ją do piersi i powiedział: — Widzisz, wy w Aleksandrii wierzycie w sąd nad zmarłymi. Ozyrys siedzi na tronie, Anubis i Horus stoją przy wadze, czterdziestu dwóch sędziów ze strusimi piórami na głowie, z mieczem w ręku sprawuje sąd nad zmarłym, a wasz Hermes o ptasiej głowie obwieszcza wyrok. Ja sam posiadam wagę i obwieszczam wyrok. Nie potrzebuję ani Ozyrysa, ani czterdziestu dwóch sędziów.

Dorion słuchała go. Ten człowiek wyraźnie oszalał, choruje na manię wielkości. Ale jego miły głos dociera przyjemnie i do uszu, i do serca. Głowa jej leży na jego łonie, Dorion głaszcze jedną ręką swego dużego, długowłosego kota Chronosa; trójkątna, szorstka broda Józefa łaskocze ją. Bywali sobie często obcy w ostatnich paru tygodniach. Niejednokrotnie, kiedy przebywała z miłym, męskim pułkownikiem Anniuszem, nie mogła pojąć, dlaczego rzuciła się na szyję temu dziwnaczemu Żydowi, który miesiącami, latami nie miał dla niej czasu. Kiedy jest jednak przy niej, kiedy na nią spogląda swoimi namiętymi, nieposkromionymi oczyma, kocha go, należy do niego.

— Wiem, mój Hermesie — mówi z uśmiechem, targając cienkimi, ruchliwymi palcami jego kunsztownie pielęgnowaną brodę — wiem, że potrzebny ci jest jedynie twój niewidzialny Bóg.

Józef nie miał ochoty dyskutować z nią na ten temat. Objął ją mocniej, pochylił się ku niej nisko, zaczął mówić swym pięknym, urzekającym głosem. To prawda, że ją w tych ostatnich tygodniach mocno zaniedbywał, wiele go to wyrzeczenie kosztowało, ale chciał być dla niej cały, niepodzielnie. A to było niemożliwe przed ukończeniem pewnej pracy. W czwartek wręczy księgę cesarzowi. Wkrótce potem odczyta niektóre fragmenty publicznie. Ale zanim wręczy swe dzieło cesarzowi, chciałby dać jej tę księgę. Dorion musi otrzymać pierwszy egzemplarz.

Dorion długo nie odpowiadała. Dobrze jej z głową na jego łonie, z ręką na jego brodzie. Potem niespodziewanie zapytała swym wysokim, dziecinnym głosem:

— Powiedz mi, Józefie, jak sądzisz, czy teraz, kiedy nasz Tytus został cesarzem, dojdziemy wreszcie do pieniędzy?

Józef nie zmienia pozycji. Pochyla się nad Dorion, jedną rękę trzyma pod jej głową. Pieniądze, myśli sobie, czym są pieniądze? Uważa, że sześćdziesiąt tysięcy sestercji rocznie, które zarabia, to suma wystarczająca na zupełnie znośną egzystencję. Jak widać, Dorion nie podziela tego zdania.

— Pieniądze? — zapytuje Józef nie przestając się uśmiechać. — Czego ci potrzeba? Klejnotów? Nowej służby? Musisz bardzo oszczędzać? Powiedz mi, czego potrzebujesz?

— Ja? — zapytuje Dorion leniwie i marzycielsko, i przeciąga się błogo. — Nie potrzeba mi niczego. Może tylko tego, żeby się o mnie trochę troszczono. Ale my, mam na myśli ciebie, siebie i chłopca, potrzebujemy willi, posiadłości wiejskiej, skoro nie możemy się w mieście pobudować.

Gwałtownym ruchem podnosi się, siada z dziecinną miną, wyprostowana, z kotem na kolanach.

Józef nie był na to przygotowany, choć wiedział, że ponury dom w Rzymie nigdy jej się nie podobał. Ale było zaszczytem mieszkać w domu, w którym mieszkał kiedyś sam cesarz. Nie można jednak zaprzeczyć, że dom był staromodny, ciemny, cuchnący stęchlizną. Od chwili pierwszego sukcesu Józefa Dorion pragnęła mieszkać w Rzymie we własnym domu. Ale można było zbudować tylko coś skromnego, drobnomieszkańskiego, co by nie odpowiadało wyrafinowanemu smakowi córki malarza nadwornego Fabullusa. Istotnie, Józef poświęcał Dorion zbyt mało czasu i myśli; w przeciwnym razie byłby przewidział, że zmiana sytuacji obudzi na nowo jej marzenia.

Mówiła dalej. Już się rozejrzała gdzie, co i jak. Kiedy chodziło o zaspokojenie kaprysów, leniwa Dorion okazywała wielką ruchliwość. Ojciec jej był zaprzyjaźniony z budowniczym Growiuszem, ulubionym architektem księcia Domicjana. Księżę ma wznieść na swych terenach w okolicach Albanum budowlę w wielkim stylu. Architekt Growiusz, przy poparciu przyjaciela księcia, naszego Anniusza, sprawi, że będzie można tam tanio kupić kawałek gruntu lub wydzierżawić coś na długo. Zaprojektował już dla niej dom, oczywiście nieobowiązuco. Niedrogi, skromny, dostosowany do dochodów pisarza, ale jasny i przewiewny. Mieszkanie dla nich, dwa budynki dla służby — oto wszystko. Ojciec jej Fabullus ma już od dawna pomysł na fresk, mający przebiegać wzdłuż ścian willi. Mógł go nieraz wykonać, wielu prosiło go o to, ale przyrzekł, że go zachowa dla niej. Teraz sprawa dojrzała. Obrzuciła Józefa promiennym spojrzeniem.

Słuchał relacji o tym planie z niezadowoleniem. Stary dom, ciemny pokój, w którym pracował, nie przeszkadzały mu. Będzie się „budowało tanio”. Jak to sobie Dorion wyobraża? Nie da się to zrobić poniżej trzystu tysięcy. Będzie musiał zaciągnąć pożyczkę, płacić wysokie procenty. A jak wzrosną wydatki, kiedy Dorion sprowadzi się do willi? Nowe ekwipaże, liczniejsza służba. Te nowoczesne, jasne domy są nie do pomyślenia bez posągów i fresków. („Nie czyn sobie obrazu” — napisane jest w Piśmie świętym.) Józef, który na ogół niezbyt mocno trzyma się żydowskiego rytuału, nienawidzi obrazów i rzeźb, są dla niego czymś okropnym.

Dorion, uszczęśliwiona, papie w dalszym ciągu. Wtajemnicza go w plany budowniczego Growiusza. Wyciąga mu zza pasa złote przybory do pisania, szkicuje plan nowej siedziby. Oto wielka sala jadalna; w lecie roztaczać się z niej będzie widok na jezioro i na morze. A oto krużganki w razie deszczu. Józef będzie mógł przechadzać się po nich i rozmawiać z niewidzialnym Bogiem. Tutaj — w głosie jej zabrzmiał akcent dumy — ma przebiegać wzdłuż całego krużganku fresk ojca jej Fabullusa, jego najpiękniejsze dzieło, które willę nad jeziorem Albanum uczyni głośną na wieki, fresk *Stracone okazje*. Młody człowiek spogląda na młode kobiety, które długim szeregiem oddalają się od niego; kobiety są podobne boginiom. Odchodząc odwracają głowy, uśmiechają się do niego. Są bardzo piękne, w uśmiechu ich jest odrobina ubolewania i bardzo wiele szyderstwa, młody człowiek siedzi i spogląda w ślad za nimi.

Józefa nie interesują zbyt wiele szczegóły fresku *Stracone okazje*. Dorion poniosła dla niego wielkie ofiary, ale też wiele od niego żądała, więcej, niż człowiek na ogół skłonny jest dawać.

Jeżeli daruje jej willę, nie będzie miał pieniędzy na synagogę. Raz po raz stawia go wobec takich decyzji. Nie poślubiaj córek grzechu. Była na pół Greczynką, na pół Egipcjanką, należała do dwóch narodów, które jego naród najbardziej dręczyły. Kapłan Pinchas, widząc, że jeden z członków gminy Izraela kurwi się z Midianitką, wziął włócznię, dopadł ich, przebił ostrzem brzuchy obojga. Nie poślubiaj... Był to grzech bardzo wielki. Ale przecież Mojżesz poślubił Midianitkę. Salomon zaś ożenił się z Egipcjanką. Jemu, którego przeznaczeniem było stać się z obywatela małego państwa obywatelem świata, niejedno musi być dozwolone. Dotychczas miał szczęście: pozostał Żydem i stał się Rzymianinem. Złączył się cielesnie z córką Edomu i pozostał Józefem synem Mateusza.

Zbudził się ze snów, zobaczył żonę, jej delikatną, wyniosłą, pożądliwą twarz, jej kształtną, miękką kibić. Często zadawał tej kobiecie ból. Nie może teraz powiedzieć n i e, zwłaszcza kiedy chodzi o sprawę tak drobną jak pieniądze. Połączył się z nią fizycznie, jest mu bardzo obca, płynie w niej krew prastarych, czcicieli bożków, ojcowie jej dręczyli i upokarzali jego ojców, śpią teraz pod wysokimi, trójkątnymi górami, jest pełna niemądrych przesądów, uważa księgi, które są dla niego święte i ukochane, za głupie i godne pogardy, jego tryb życia — za pustą zabawę. Właśnie przed chwilą, kiedy jej opowiadał o swoim zadaniu, o swoim urzędzie sędziego umarłych, wyśmiała go. Mimo to należy do niego, a on, Żyd, należy do tej obcej kobiety. Napisał *Psalm obywatela świata*. „Nie Syjon zwie się państwo, które wam obiecuję, imię jego glob ziemski.” Oto stoi przed nim ta kobieta, nie może jej odmówić pieniędzy. Ścisnął ją tak mocno, że kot Chronos dał kilka gwałtownych susów i uciekł; przechylił ku sobie jej głowę i wpatrzony w jej na pół rozchylone usta powiedział:

— Słuchaj, Dorion, jeżeli dam ci tę willę, dasz mi wtedy Pawła?

Dorion roześmiała się głośno, złowrogo.

— Ani mi to w głowie, mój Józefie — powiedziała czule.

Po czym wyrwała się z jego objęć, zaczęła biegać dookoła jednego z krzeseł, na których siedzieli poprzednio słuchacze starego Waleriusza. Dopędził ją, ścisnął jeszcze mocniej, jeszcze gwałtowniej.

— Czy dostanę moją willę? — zapytała, broniąc się, ale oczy jej już zachodziły mgłą.

Józef nie powiedział ani tak, ani nie. Wziął ją. Dokoła stały puste krzesła. Z kąta, parszkając nieco, wygiąwszy grzbiet, przyglądał im się kocur Chronos.

Trzystu pięćdziesięciu pisarzy — niewolników podzielonych na siedem grup — pracowało pod dyktandem siedmiu specjalistów nad sporządzeniem tekstu *Wojny żydowskiej*. Na dwa dni przed audiencją Klaudiusz Reginus mógł wręczyć Józefowi egzemplarz przeznaczony dla cesarza. Był to piękny, duży zwój, sporządzony z najwspanialszego pergaminu, oprawiony w cenną, starą kość słoniową. Inicjały poszczególnych rozdziałów były wykonane z wielkim artyzmem, na wstępie widniała wielobarwna podobizna autora.

Józef przyglądał się swemu portretowi bardzo uważnie, jak gdyby to był wizerunek obcego człowieka. Ciemna, podłużna głowa, namiętne oczy, ciemne brwi, wysokie czoło poryte zmarszczkami, długi, lekko zakrzywiony nos, krucze gęste włosy, broda trójkątna, cienkie wargi wygolone. „Flawiusz Józef, szlachcic rzymski”, brzmiał podpis, ale była to głowa rabiego Józefa syna Mateusza, kapłana Świątyni Jerozolimskiej, kuzyna księżniczki Bereniki z królewskiego rodu. Księga, choć napisana po grecku, jest księgą żydowską, owianą duchem obywatela świata.

„Flawiusz Józef, szlachcic rzymski.” Józef wciąż jeszcze przygląda się podobiznie. Żydzi nie golą kątów bród i wąsów. Pismo powiada: „Ani wkoło będziecie strzyc włosów, ani brody golić będziecie.”

Natomiast Rzymianie gładko golą twarze. Dopóki wiek niedostatecznie je ukształtował,

noszą zarost, potem jednak, kiedy uznają, że twarz jest gotowa, całkowicie ją obnażają. Józef dość napracował się nad sobą i swą księgą, może więc odważyć się na obnażenie twarzy.

Czy jest to jednak rozsądne, że idąc po raz pierwszy do Tytusa, pokaże mu się bez zarostu? Tytus chce widzieć Żyda, nie Rzymianina.

Józef rozkłada księgę. Napisał księgę żydowską. Przynależność do narodu żydowskiego nie tkwi ani w jego włosach, ani w brodzie. Może sobie pozwolić na to, żeby stanąć przed Tytusem z wygoloną twarzą.

Tytus oczekuje go w przyjemnym napięciu. Od tygodni pragnie zobaczyć Józefa; tylko owa dziwna ospałość, która go przez ten cały czas paraliżowała, stała na przeszkodzie wezwaniu Józefa, nim się sam zameldował.

Pierwsze tygodnie rządów nie były dla cesarza dobrym okresem. Był otepiały, nie miał werwy ani -świeżości. Trapiło go, że mimo wszystkich wysiłków lud rzymski wrogo się przed nim odgradzał, że masy widziały w nim tyrana, dorobkiewicza, wyzyskiwacza. W ogóle wszystko szło jakby na przekór. Niechęć do Żydów, do narodu Bereniki, rosła, on sam, zatruty dręczącą apatią, nie umiał zdobyć się na przedsięwzięcie jakichś poważnych kroków przeciw temu.

Żeby już wreszcie zjawiała się Berenika! Musi mieć obok siebie człowieka, przed którym mógłby się wynętrzyć całkowicie. Lekarz Walens przenika go na wskroś swym ciężkim, powolnym, badawczym spojrzeniem; jest to i bolesne, i miłe. Walens przebywa często w jego bliskości, jest przy nim i teraz. Ale Tytus nie może przecież z tym lekarzem rozmawiać o tym, czego mu brak najbardziej; Walens to Rzymianin, a Tytusowi najbardziej brak Wschodu.

Czeka więc na Józefa z napięciem. Józef zna bowiem jego podstępne walki o Berenikę, jego miotanie się przed zburzeniem Świątyni, jego spór z niewidzialnym żydowskim Bogiem. Tytus, gotów do zwierzeń, oczekuje swego przyjaciela — Żyda.

Kiedy Józef się zjawił, wstał, wyszedł mu naprzeciw parę kroków. Ale w połowie drogi przystanął. Co to takiego? Wygolona twarz? Czy to jego Żyd, Józef? Zwalnia kroku, rozczarowany. Czy i tej radości będzie musiał się wyrzec? Mierzy wzrokiem twarz tamtego, poznaje uparte czoło, na którym widnieją guzy, niespokojne oczy, długi, lekko zakrzywiony nos, pożądlive wargi; to w całej pełni człowiek Wschodu i Zachodu. Ale uczucie obcości nie taje tak prędko. Obejmuje Józefa, całuje go, jak nakazuje rytuał w stosunku do obcych, ruchy jego pozostają jednak chłodne, zdawkowe.

— Cieszę się, że cię znowu widzę, Flawiuszu Józefie — oświadcza. Nazywa go imionami rzymskimi, w głosie jego nie ma cienia owej poufałości, na którą Józef tak się cieszył.

Ale Józef nie daje się onieśmielić. Błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Oto portret Bereniki, oto obce, badawcze, umęczone oczy Tytusa, cesarza, jego przyjaciela. Był przygotowany na to, że Tytus będzie musiał oswoić się z jego twarzą. Trzeba mu zostawić na to czas. Swym pięknym, ciepłym głosem odpowiada, jak bardzo jest rad, że może wręczyć cesarzowi nową wersję swego dzieła. Potem przedstawia Tytusowi człowieka, który przyniósł zwoje księgi, swego sekretarza Fineasza. Opowiada kwieciście, jaki to wspaniały pracownik. W ten sposób odpląca Grekowi za jego nienawiść wspaniałomyślnością i równocześnie daje cesarzowi okazję do mówienia na tematy obojętne i przyzwyczajania się do jego nowego oblicza.

Tytus zamienia z sekretarzem kilka przyjaznych, obojętnych słów. Potem bierze ciężki zwój *Wojny żydowskiej*, rozwija go, spostrzega podobiznę Józefa. Przygląda się jej długo, potem podnosi oczy na Józefa; wzrok jego ożywia się, na chłopięcej twarzy pojawia się uśmiech.

— Miałeś przecież brodę, mój Józefie — mówi ze śmiechem. Józef, również uśmiechnięty, odpowiada:

— Proszę, niech wasza cesarska mość przeczyta moją pracę i powie mi, później, czy

mogę już pokazywać swe oblicze, czy też mam na nowo zapuścić brodę.

— Możesz być pewny, że odpowiem ci z całą szczerością — mówi Tytus tonem serdeczniejszym i z widocznym zadowoleniem rozwija zwój, po czym zwija go ostrożnie i niemal czule kładzie na stół. Odrętwienie ustąpiło całkowicie. Otacza ramieniem wyższego od siebie Józefa, przemawia do niego, odciąga od pozostałych, chodzi z nim tam i z powrotem po wielkiej komnacie, rozmawia z ożywieniem i swobodą, ale głosem lekko przyciszonym, żeby go tamci nie słyszeli.

Mówi o długich miesiącach spędzonych z Józefem pod murami głodującej, ginącej Jerozolimy.

— Pamiętasz, mój Józefie — powiada — jakieśmy to stali razem nad przepaścią umarłych, na odcinku IX? Pamiętasz, o czym mówiliśmy?

Czy pamięta! Była to owa przepaść przed murem, w którą ci tam z miasta wrzucali swych zmarłych, tysiące dziennie. Było to pod koniec lipca, mniej więcej dziewięć lat temu. Panowała wielka cisza, stali na tak niegdyś żyznym terenie, teraz zamienionym w pustkowie, wypełnione ostrym, duszącym smrodem. Stali na skraju przepaści, gdzie gnili pobratymcy Józefa, za nimi, przed nimi, obok nich wznosiły się krzyże, na których wisieli jeńcy, również pobratymcy Józefa. W całej ogołoconej okolicy pełno zwierząt, oczekujących na żer. Było to dla Józefa lato bardzo gorzkie, mimo całej dumy i szczęścia również bardzo bolesne dla Rzymianina.

— A pamiętasz — ciągnął cesarz — o czym mówiliśmy, kiedy cię odwiedziłem, gdyś leżał ranny od pocisków żydowskich?

Czy Józef pamięta! Tytus zapytał wówczas: „Czy jesteś naszym wrogiem, mój Żydzie?” On zaś odpowiedział: „Nie, mój książę.” Tytus pytał dalej bardziej natarczywie: „Czy należysz jednak do tych za murami?” „Tak, mój książę”, odpowiedział Józef. Przypomina sobie dokładnie, jak wtedy Tytus na niego spojrział: bez nienawiści, ale pełen trosk. Boć przecież i Berenika należy do owych fanatyków i niepojętych zaślepieńców, nigdy jej w całej pełni nie zrozumie.

— Pamiętasz, czy pamiętasz? — pytał cesarz.

Józef pamiętał. Teraz dopiero rozumieli się wzajemnie. Postarzeli, twarz jednego, pozbawiona zarostu, była zniszczona pracą, wyryły się na niej liczne doświadczenia; twarz tamtego obrosła tłuszczem, była zmęczona, pełna rezygnacji. Ale obaj odzyskali swobodę, obaj wspominali przeszłość, wróciła dawna wielka poufałość. Józef posunął się na Zachód, Tytusa nadal nęcił Wschód. Józef miał nadzieję, czuł, że przyjdzie dzień, w którym będzie mógł otwarcie mówić z tym człowiekiem o swych celach, o zwycięskim wzajemnym stopieniu się Wschodu z Rzymem. Tego dnia cesarz rzymski i pisarz żydowski staną się pierwszymi obywatelami świata, pierwszymi ludźmi przyszłego tysiąclecia.

— Muszę ci powiedzieć — oświadcza poufale Tytus — co mi kiedyś radził ojciec. „Nie zadawaj się zbytnio z Żydami — rzekł pewnego razu. — Czasem dobrze wiedzieć, że na świecie istnieje jeszcze coś innego poza ideami Forum i Palatynu. Nie szkodzi, jeżeli od czasu do czasu pozwalasz, by kobiety żydowskie zadrasnęły ci skórę, a prorocy żydowscy serce. Ale wierzaj mi, że rzymski regulamin służby wojskowej i podręcznik polityczny to rzeczy w życiu pewniejsze od wszystkich świętych pism Wschodu.”

— Czy wasza cesarska mość będzie się tego trzymać? — zapytał Józef.

— Widzisz przecie — uśmiechnął się Tytus i spojrzął na portret Bereniki. Jej podłużna, szlachetna twarz patrzyła na nich jak żywa ciemnozłotymi oczyma. — Teść twój Fabullus namalował arcydzieło — ciągnął Tytus dalej w zamyśleniu. — Cóż to jednak jest? Drzewo i farba. Gdzie jest jej głos? Pamiętasz jeszcze, głos ten był zawsze odrobinę zachrypnięty. Z początku wcale mi się nie podobała. A gdzie jest jej krok? Jakże często, kiedy staliśmy pod Jerozolimą, marzyłem o tym, że zejdzie po stopniach Świątyni, skąpanej w bieli i złocie. Nikion,

Nikion, moja ty dzika gołąbko, światło moich oczu — powiedział trochę niezgrabnie po aramejsku, spoglądając na portret. Po raz pierwszy w życiu zwracał się do tej kobiety pieszczotliwie w obecności osoby trzeciej. — Dobrze to będą czasy — mówił dalej rozpromieniony — Będziemy mieli niejednego kłopot, zanim przyjmę Nikion, ale doprowadzimy do tego.

Żołnierz, którego Józef znał tak dobrze, był pełen otuchy. Mówił głośno, po wojskowemu, wrzeszczał niemal, Fineasz i Walens spojrzeli na siebie.

W trakcie rozmowy, toczącej się między cesarzem i Józefem, sekretarz Fineasz gawędził z lekarzem przybocznym Mucjuszem Walensem, noszącym złoty pierścień szlachty drugiego stopnia, bardzo wielkim panem, jednym z potentatów w państwie. Ów Walens zrewolucjonizował wiedzę medyczną, wynalazł nowy sposób stawiania diagnozy: poznaje prawie każdą chorobę po oczach pacjenta, zdobył sobie tym wielką sławę i wielki majątek. Lekarz przyboczny cesarza Walens to człowiek zimny, realista, w gruncie rzeczy ma na oku jedynie zysk i karierę. Jest powściągliwy w rozmowach. Nie chce nic powiedzieć temu Grekowi

Fineaszowi, którego Żyd tak wychwalał, pragnie go tylko wysłuchać, otrzymać to, co tamten może mu dać. Ale Fineasz jest w rozmowie zgrabniejszy od Rzymianina. Mówi niewiele o sobie, wyraża się z brakiem szacunku o przeciwnikach Walensa, schlebia chytrze jego próżności. Doprowadza do tego, że doktor Walens uprzejmie i szczerze dzieli się z nim swymi poglądami na sprawy medyczne.

Obaj mają dosyć czasu na wzajemne przyjrzenie się sobie — cesarz nie przestaje rozmawiać z Żydem. Stwierdzają to z niecierpliwością, zazdrością i goryczą. Upłynęła cała wieczność, nim cesarz wrócił do nich wraz z Józefem.

— Musimy teraz widywać się bardzo często, mój Józefie — kończy Tytus poufałą rozmowę.

Prostuje się, wzywa kłaśnięciem w dłonie sekretarza, oznajmia:

— Cieszymy się, Flawiuszu Józefie, żeś ukończył drugą wersję swego wielkiego dzieła. Horacy trudził się nad swą książką dziewięć lat, tyś pracował dziewięć lat nad swym dziełem. Księga twoja jest zaszczytnym pomnikiem dla mego ojca, boskiego Wespazjana, dla nas samych mile widzianym zaszczytem. Pragniemy w przyszłości umożliwić ci beztrudne poświęcenie swej wiedzy i sztuki interesom naszym i naszego państwa. Na dowód wdzięczności i uznania niechaj wolno mi będzie wręczyć ci pewną sumę z funduszu popierania wiedzy i nauki.

To powiedziawszy bierze z ręki sekretarza przekaz i wręcza go Józefowi.

Józef, choć na ogół nie jest chciwy, byłby bardzo rad, gdyby mógł się w tej chwili dowiedzieć, na jaką sumę przekaz opiewa. Wiele mu na tym zależy. Niestety musi go wsunąć w połą rękawa, nie rzuciwszy nań okiem. Wypada podziękować cesarzowi. Tytus spojrzął mu prosto w oczy uśmiechając się lekko, potem niespodziewanie, zapewne pod wpływem nagłej decyzji, przemówił, przy czym głos jego nie był już grzmiący, był głosem przyjaciela, który chce drugiemu sprawić radość:

— Pragnę poza tym, mój Józefie, żeby księga twoja została złożona w bibliotecę Świątyni Pokoju i żeby ci tam wzniesiono posąg honorowy.

Na ogolonej twarzy Józefa pojawiły się rumieńce. Musiał się opanować, żeby się nie złapać za serce. Nawet Walens i Fineasz nie potrafili ukryć całkowicie swego zdumienia. Popiersie w sali honorowej Świątyni Pokoju! Liczba posągów w Rzymie była niemała, ale popiersie w tej sali należało do najsmielszych marzeń każdego pisarza. Spośród bowiem pisarzy wszystkich czasów, których dzieła ukazały się w języku greckim i łacińskim, uznano tylko stu siedemdziesięciu dziewięciu za godnych tego, by ich dzieła znalazły się w salach honorowych Świątyni Pokoju; było wśród nich tylko siedemnastu pisarzy żyjących, jedenastu Greków i

sześciu Rzymian. Niejednokrotnie mijając tablice, na których wykute były w spiżu nazwiska owych wielkich pisarzy, Józef czynił w duchu uwagi pełne zazdrości i pychy. Czy można być pewnym, że spośród żyjących tych właśnie jedenastu Greków i sześciu Rzymian, umieszczonych na tablicach, przejdzie do potomności? Od trzech wieków istniało greckie tłumaczenie Biblii, dlaczego brakowało na tablicy imion Izajasza, Jeremiasza, Ezechiela? Czy Psalm króla Dawida są gorsze od hymnów Pindara? O tym jednak, że w tak dostojnym gronie on, „barbarzyńca”, mógłby być pierwszym cudzoziemcem, który dostąpił tego zaszczytu, nie śmiałyby marzyć, ze strachu przed nieprzychylnym losem, nawet w najśmielszych snach. Słyszał w głowie dźwięk trąb i rogów, czuł się tak jak wówczas, kiedy będąc chłopcem usłyszał, jak na stopniach Świątyni śpiewają kapłani ubrani w białe szaty. Przypomniawszy sobie słowa: „Siedemdziesięciu siedmiu ma w świecie posłuch, jestem jednym z nich”, i runęła nań fala oszałamiającego szczęścia.

Zanim jednak podziękował cesarzowi i przyjacielowi, zakradła się do tej błogości troska. „Nie czyn sobie obrazu rytego...” Dopuszczał, co więcej, stał się przyczyną, że kiedyś zdobyto i spalono zamek króla Agryppy ze względu na mieszczące się w nim posągi. Byłoby śmiertelnym grzechem, gdyby teraz pozwolił, by posąg jego stanął w pogańskiej świątyni. Większość Żydów będzie w skrytości ducha dumna z honoru, który mu przypadł w udziale. Jednakże w synagogach i uczelniach będą na niego na nowo głośno piorunować, w całym państwie, a nawet poza granicami, wśród Żydów na dalekim Wschodzie imię jego wymieniane będzie z obrzydzeniem. Dołączyły się inne troski i wątpliwości. Czy będzie mógł odmówić Dorion fresku Fabullusa, kiedy jemu samemu wzniosą posąg? Skąd wziąć na to wszystko pieniędzy? Może, bywały już takie wypadki, będzie musiał sam zapłacić za posąg.

Ta ostatnia troska nie trwała długo. Ledwie bowiem wyjąkał słowa podziękui, Tytus oświadczył po aramejsku, z trudem szukając słów:

— A więc w najbliższych dniach przyślę do ciebie rzeźbiarza Basiliosa. Zastanów się jednak — dodał z uśmiechem — czy nie byłoby dobrze, żebyś w pierw zapuścił brodę.

Józefa odprowadziło na Palatyn około czterdziestu przyjaciół. Czekali w przedsiönku. Kiedy wrócił rozpromieniony, liczba ta wzrosła do sześćdziesięciu. Niezwykle szybko rozeszła się po mieście wieść, że audyencja prywatna Józefa u cesarza trwała dwie godziny. Powitano go, hałaśliwie objawiając swą radość. Kiedy z częściowo szczerą, częściowo udaną skromnością opowiedział, jakimi zaszczytami cesarz go obsypał, okazano wylewny entuzjazm, zaczęto go obejmować i całować. Najburzliwiej objawiał swą radość aktor Demetriusz Liban. Wyciągnął ramię, cofnął je, przesłał Józefowi pocałunek od ust, zasłonił głowę po czoło i oczy, i, w pozie człowieka oddającego cześć bóstwu, wzruszający i śmieszny zarazem powtarzał w kółko:

— O wielki, bardzo wielki Żydzie Józefie!

Myślał przy tym, że jeżeli cesarz tak wysoko uczcił Józefa, to na niego spadną jeszcze innego rodzaju zaszczyty.

Józef został odprowadzony do domu w pochodzie tryumfalnym.

— Co się stało? — zapytywali przechodnie.

— To pisarz Flawiusz Józef — odpowiadało — Żyd. Napisał nową księgę. Cesarz darował mu milion i każe mu wznosić pomniki. Skończyło się. Będziemy mieli Żydówkę za cesarzową.

Już po upływie dwóch dni rzeźbiarz Basilios zaprosił Józefa dla omówienia szczegółów posągu ku jego czci. Józef znalazł się w wielkiej rozterce. Czy jednak nie zrezygnować z tego zaszczytu? Trapiło go zagadnienie, jak to pogodzić z żydowskimi obyczajami. Liczne drogi prowadzą do Jehowy, obyczaje są jedną z tych dróg. Józef nie potrzebuje ich, znalazł swoją własną drogę do Boga. Ale masom potrzebne są obyczaje. Teraz, kiedy państwo nie istnieje, nie ma chyba innego sposobu poza obyczajami, jeżeli ktoś chce zadokumentować, że jest z ducha

Żydem. Tolerować przy sobie jakikolwiek obraz, to więcej niż przekroczenie jednego z wielu zakazów, to zaprzeczenie prastarej zasady niewidzialnego Boga.

Czy odrzucenie tego zaszczytu jest w ogóle możliwe? Tak. Mógłby na przykład oświadczyć, że dopiero wtedy poczuje się godny tego hołdu, kiedy ukończy drugie, większe dzieło. Byłoby to olbrzymią ofiarą i wyrzeczeniem. A gdyby nawet zdecydował się ponieść tę ofiarę, czy wolno mu to uczynić? Czy takie wyrzeczenie nie zaszkodziłoby całemu żydostwu?

Józef zwrócił się o radę do Klaudiusza Reginusa. Wydawca zmierzył go spojrzeniem ociężałych, sennych oczu, grube, źle wygolone wargi uśmiechnęły się. Wiedział, że Józef całym sercem pragnie tego zaszczytu, chce tylko, żeby go namawiać. Ale nie chciał mu zrobić tej przyjemności, to go bawiło — niech się Józef pomęczy. „Oczywiście odrzucenie takiego zaszczytu mogłoby Żydom zaszkodzić — powiedział leniwie — ale Żydzi zniesli już tyle, na przykład zburzenie Świątyni, może zniosą również i to, że posąg nie zostanie postawiony.” Józef poprosił go, żeby mówił poważnie. Reginus odpowiedział, że na miejscu Józefa w niektórych sprawach nie postępowałby tak jak on. Zastanawianie się jednak nad tym, czy to takie ważne, iż spośród trzystu sześćdziesięciu pięciu zakazów Pisma, wymyślonych przez mędrców, przekroczyło się sto siedemdziesiąt osiem, a może sto osiemdziesiąt, oraz nad tym, który z tych trzystu sześćdziesięciu pięciu zakazów więcej znaczy, i o ile więcej, to przecież raczej sprawa rabiego Świątyni Jerozolimskiej aniżeli pochłoniętego interesami finansisty. W tej dziedzinie Józef jest niewątpliwie większym fachowcem od niego i musi tę sprawę sam z sobą załatwić. Nawiasem mówiąc, Reginus rad jest, że może zakomunikować Józefowi, iż nowa wersja *Wojny żydowskiej* cieszy się wielkim powodzeniem. Popyt na nią, zwłaszcza wśród Żydów, jest ogromny. Reginus sądzi, że wynika to stąd, iż nowa wersja jest, powiedzmy, mniej ostrożna. Może to powinno być dla Józefa wskazówką.

Józef, bardzo zirytowany, poszedł do Kajusa Barcaarone. Tu spotkał się z większym zrozumieniem.

— Skoro mnie pytasz — powiedział stary handlarz mebli — mogę tylko wskazać siebie samego jako przykład. Wiadomo ci z pewnością, że zgodziłem się na to, by na wytwarzanych przeze mnie meblach widniały ornamenty w postaci zwierząt; gdybym tego nie uczynił, konkurencja wyparłaby mnie z rynku. Kilku cieszących się szacunkiem rabbinich złożyło oświadczenie, że w moim wypadku wytwarzanie ornamentów w postaci zwierząt jest przewinieniem niewielkim i nawet dozwolonym. Zdaję sobie jasno sprawę, że charakter tych koncesji jest wątpliwy, przecież w Piśmie powiedziane jest niedwuznacznie: „Nie czyn sobie obrazu rytego ani żadnego podobieństwa...” W każdym razie przez ten mój liberalizm przyczyniłem memu ojcu — niechaj pamięć jego będzie błogosławiona — wiele zgrzyoty; czasami powiadam sobie, że bankructwo i zgon mego starszego syna Korneliusza były karą za moje grzechy. Próbuję odpokutować za swoją winę. Na wykupienie niewolników żydowskich dałem trzykrotnie więcej ponad przepisaną dziesięcinę. Mimo to trapią mnie skrupuły, czy wolno pieniądze, nawet jeżeli się je zużywa na takie cele, czerpać z tak wątpliwych źródeł? Twoja sytuacja, rabbi Józefie, jest jeszcze bardziej niekorzystna. Sporządzenie posągu jest z pewnością sprzeczne z duchem Pisma. W twojej sprawie uczeni z akademii w Jawneh z trudem będą mogli znaleźć okoliczności łagodzące.

— Więc odradzasz mi, Kajusie? — zapytał Józef.

— Przeciwnie — odparł Barcaarone — doradzam. Leży to w interesie nas wszystkich. Wzięłeś na siebie ciężkie grzechy, bardziej godzące w interesy nas wszystkich. Przyjmij więc ten zaszczyt. — Spojrzał mu w twarz, powiedział z naciskiem: — Pokaż jednak, że jesteś Żydem. Daj obrzezać swego syna, rabbi Józefie.

Łatwo mu tak mówić. Przecież wie, że Józef nie może prawnie bez zgody Dorion zmusić

swego syna, by został Żydem.

W zasadzie człowiek ten ma oczywiście rację. Im bardziej Józef syn Mateusza staje się Flawiuszem Józefem, tym większy ma obowiązek zrobienia z Pawła Żyda. Przyjmie zaszczytne wyróżnienie, zacznie na nowo walkę o swego syna. Kiedy przybędzie Berenika, może da się usunąć przeszkody natury prawnej i Paweł będzie mógł stać się Żydem, nawet bez zgody Dorion.

Tymczasem Berenika nie nadjeżdżała, przybył natomiast gubernator prowincji Judea, Flawiusz Silwa. Przywiózł ze sobą szkic książki o Żydach, którą zamierzał napisać, oraz memoriał, który chciał przedłożyć cesarzowi. Wobec tego, że Rzym oczekiwał Bereniki, uznał za wskazane pojawić się w stolicy; był szczęśliwy, że przyjazd księżniczki tak się odwleka.

Gubernator Flawiusz Silwa był człowiekiem wesołym, hałaśliwym, kuzynem pułkownika Annusza Bassusa, bardzo do niego podobnym. Wobec tego, że generałowie Cerealis i Licillas zawiedli pokładane w nich nadzieje, powierzono mu stanowisko namiestnika bardzo trudnej do rządzenia prowincji, zawiązał się, żeby Judeę spacyfikować i zromanizować. Głośny, jowialny sposób bycia krył niezłomną, wytrwałą chytryść. Kraj był spustoszony, słynne miasto Jerozolima zburzone, większość ludności żydowskiej wyginęła lub została sprzedana w niewolę. Nowy gubernator starał się zaludnić kraj na nowo, co mu się zresztą powiodło. W porozumieniu z rządem centralnym w Rzymie osiedlił w całym państwie setki tysięcy żydowskich mieszkańców swej prowincji, ułatwił im emigrację, ściągnął możliwie najwięcej kolonistów nieżydowskich do Judei. Odbudował wielką ilość zburzonych miast żydowskich tworząc z nich grecko-rzymskie osiedla, założył nowe, na przykład Neapol Flawijski, i szybko doprowadził je do rozkwitu. W dziewięć lat po zburzeniu Jerozolimy mógł złożyć raport w Rzymie, że jego Neapol ma już czterdzieści tysięcy mieszkańców, ludność stolicy zaś, miasta portowego Cezarei, zwiększyła się o sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Flawiusz Silwa był człowiekiem sprawiedliwym, nie czuł niechęci do Żydów. Ale był Rzymianinem do szpiku kości, spokrewnionym z domem cesarskim, zdecydowanym na wprowadzenie i utrzymanie w swej prowincji pokoju rzymskiego i rzymskiego ładu, narzuconego całemu państwu przez cesarza Wespazjana. Oświadczył Syryjczykom, że mylą się sądząc, iż mogą bezkarnie szykanować Żydów, ale równocześnie nie tolerował tego, gdy Żydzi w swym niemądrym zapale religijnym usiłowali nawracać Syryjczyków i Greków na swoją wiarę. Rzym był tolerancyjny, państwo nie zabraniało wiary żydowskiej. Po licznych krwawych walkach zrezygnowało ze zmuszania ludności żydowskiej, by oddawała cześć posągom cesarzy, uznanych za świętych. Licząc się z ludnością żydowską przełożono tygodniowe bezpłatne dostawy zboża dla miast Aleksandrii i Antiochii z sobót na piątki. Kiedy jednak teraz Żydzi jego prowincji próbowali obrzydzić Grekom i Rzymianom tradycyjną wiarę w bogów państwowych, należało to uznać za przekroczenie miary; Flawiusz Silwa ani myślał tolerować antypaństwowego prozelityzmu Żydów.

Wprawdzie Żydzi wysyłali raz po raz do jego rezydencji delegacje, uczonych w Piśmie i prawników, którzy w długich oracjach i obszernych pismach dowodzili, że są dalecy od tego, by nawracać kogokolwiek na swą wiarę, nie zmieniało to faktu, że cała masa filozofów-zebraków wędrowała po jego prowincji, wygłaszała płomienne przemówienia do Syryjczyków i Greków, wychwalając żydowskie królestwo niebieskie. Kiedy zwracał na to uwagę żydowskich rabbi, odpowiadali, że ci filozofowie-zebracy i cynicy to kropla w morzu, sekta bez znaczenia, nazywana „minim”, czyli odszczepieńcami lub nazareńczykami, głosząca zasady niezgodne z wiarą i nieobowiązujące. Ale gubernator nie należał do ludzi, którzy by się zadowolili takimi tanimi wykrętnymi manewrami. Jakże to? Tak zwani chrześcijanie wyglądali zupełnie tak samo jak Żydzi, czynili to samo, głosili tę samą naukę, uznawali te same święte pisma, obchodzili te same święta, mówili równie źle po łacinie, równie trudno było sobie z nimi poradzić. Flawiusz

Silwa uważał w gruncie rzeczy wszystkich Żydów za barbarzyńców, a religię ich za mętny przesąd. O ile rozumiał zawile wywody rabbich o sektach tak zwanych odszczepieńców, czyli nazareńczyków, chodziło o to, że wierzyli oni, iż Mesjasz pojawił się już czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu, podczas gdy reszta Żydów uważała, że zjawi się dopiero za lat dwadzieścia, trzydzieści. Oba założenia były niewątpliwie niemądrym przesądem, w rzeczywistości bowiem Mesjasz zjawił się przecież przed dziesięcioma laty w postaci cesarza Wespazjana, co przyznał prawowity przedstawiciel kapłaństwa żydowskiego, pisarz Flawiusz Józef. Tak czy inaczej, urzędnik, odpowiedzialny za porządek w kraju, nie mógł wdawać się w takie subtelne, przemądrzałe rozróżnianie odszczepieńców od reszty Żydów. Toteż Flawiusz Silwa zarzucał całemu żydostwu fanatyczny prozelityzm i postanowił zwalczać te wybryki wszelkimi środkami.

Przybył więc do Rzymu uzbrojony w bogaty materiał, który polecił zebrać swoim urzędnikom. Chciał uzyskać prawomocne zarządzenia przeciw tym ekscesom, zanim Bereniką przybędzie do Rzymu. Pragnął oprzeć się na ustawie, w myśl której każdemu, kto usiłowałby obrzydzać wiarę ojców wyznawcom religii panującej i skłaniać do przyjęcia innej, groziłoby bądź zepchnięcie do stanu niewolnictwa, bądź śmierć przez powieszenie lub utopienie.

Gubernator przesiadywał u ministrów i senatorów. Był doświadczonego politykiem, zupełnie inaczej traktował członków gabinetu cesarskiego niż senatorów. Ministrom opowiadał, że mógłby szybko zaprowadzić całkowity porządek w swej prowincji, gdyby wreszcie edykt cesarski wprowadził surowe kary na ateuszów. Opierając się o taki edykt, mógłby wyznawców religii panującej chronić skutecznie przed żydowską pasją nawracania, nie krzywdząc jednak Żydów. Senatorom natomiast tłumaczył, jak od czasu zmiany na tronie wzmożyły się żydowskie zakusy. Opowiadał żartobliwie, że jeżeli dalej tak pójdzie, Żydzi będą biegali po wszystkich miastach syryjskich z wyciągniętymi nożami w poszukiwaniu tych, których można by obrzezać. Niechże senat wyda nareszcie ustawę albo rozszerzy przynajmniej ustawy o uszkodzeniach cielesnych i kastrowaniu, obejmując nimi również próby obrzezania nie-Żydów.

Żywy, szczery sposób bycia gubernatora zyskał ogólne uznanie. Ale Tytus odkładał termin audiencji, na której Flawiusz Silwa miał złożyć raport o sytuacji w Judei i wręczyć mu swój memoriał. Natomiast senatorom bardzo się spodobał pomysł przedstawienia ciała ustawodawczemu projektowi gubernatora. Gdyby nawet cesarz założył weto, byłaby to wyraźna demonstracja, że senat nie ma zamiaru uzależniać polityki państwa od Żydówki.

Skomplikowane sprawy polityczne nie przeszkadzały zresztą Flawiuszowi Silwie, który w swej prowincji niejednego był pozbawiony, w używaniu głośnych, radosnych rozkoszy stolicy. Widywano go często na zabawach, a także w wytwornych willach w Anejum i na górze Albanum.

Jego kuzyn Anniusz wprowadził go do Dorion. Anniusz opowiadał mu wiele o ofiarach, które poniosła ta uroczą damę, żeby ustrzec swego syna przed obrzezaniem. Przecież tylko z tego powodu nie przyjęła jeszcze obywatelstwa rzymskiego; gdyby bowiem w pełni zaczęła z tego obywatelstwa korzystać, małżeństwo jej z Józefem zmieniłoby się ze związku na pół legalnego w całkowicie legalny i wtedy Józef rozstrzygałby o tym, w jakim wyznaniu syn ma być wychowany. Flawiusz Silwa był zachwycony tą postawą Dorion i nie omieszkał po żołniersku dać wyraz temu entuzjazmowi. Fakt, że żona największego pisarza żydowskiego tak uporczywie i za cenę takich ofiar sprzeciwia się obrzezaniu swego syna, był dla gubernatora potwierdzeniem, do jakiego stopnia przesady żydowskie są wstrętne normalnemu poddanemu, jak słusznie zatem postępuje. Walka Dorion stała się jego własną sprawą.

Więść o przybyciu gubernatora i jego zamiarze zastosowania ostrych, dotkliwych środków przeciw pobitemu narodowi żydowskiemu rozeszła się bardzo szybko na Zatybrzu. Żydzi pocieszali się tym, że cesarz nie udzielił mu audiencji. Mimo to niepokój i strach

wzrastały.

A Bereniką nie przybywała.

Kajus Barcaarone poszedł jeszcze raz do Józefa i prosił, by dał wreszcie «pokój przesadnym skrupułom. Musi się przezwyciężyć w interesie ogółu i zgłosić na wykonanie posągu. Namawiali go do tego doktor Licyniusz, fabrykant szkła Aleksas, nawet, uśmiechając się lekko, Klaudiusz Reginus. Demetriusz Liban nie szczędził swej niezawodnej swady. Wszyscy oblegali Józefa. Ale dawał się prosić, długo się ociągał, zanim wreszcie uczynił to, na co był zdecydowany od samego początku.

Z uczuciem niesmaku zjawił się w dzielnicy dziewiątej, gdzie miał swe atelier rzeźbiarz Basilios. W dzielnicy tej osiedliło się kilku kamieniarzy. Mieściły się tutaj jeden obok drugiego liczne warsztaty, w których fabrykowano seryjnie pomniki i popiersia. Zapotrzebowanie było olbrzymie zarówno ze strony miasta, jak i państwa. Teraz na przykład, po wstąpieniu Tytusa na tron, domagano się przeszło trzydziestu tysięcy jego popiersi i pomników. Widać tu było nowego cesarza we wszystkich pozycjach, jako tryumfatora, na koniu, na tronie. Jego szeroka, młodzieńcza, zamyślona głowa o krótkich, kędzierzawych lokach, opadających na czoło, służyła za motyw do wszelkiego rodzaju ornamentacji wnętrza. Nie robiono sobie wielkich skrupułów natury artystycznej. Wykonano swego czasu na zapas czterysta naturalnej wielkości posągów Wespazjana, które teraz, po śmierci, zajmowały w magazynach masę miejsca. Znalazło się następujące wyjście: zużytkowano dawne korpusy, osadzając na nich po prostu głowę nowego władcy.

Józef nienawidził dziewiątej dzielnicy. Niechętnie kroczył przez gorący, zapyłony, hałaśliwy las gigantycznych i miniaturowych kamiennych i spizowych posągów bogów, cesarzy, bohaterów, filozofów. Ze wstrętem mijał poważne i śmieszne wytwory rzemiosła artystycznego, lustra, świeczniki, trójnogi, wazy, przedstawiające pijanych sylenów, tańczące nimfy, uskrzydłone lwy, chłopców pasących gęsi, różnorakie płody dziecinnej fantazji lubującej się w bawidełkach.

Nareszcie dotarł do domu rzeźbiarza Basiliosa. Dom stał wśród stłoczonych gwarnych pracowni i warsztatów. Nagła cisza, panująca w przedsionku, niemal przeraziła Józefa. Warsztat był wielką, jasną salą, wisiało tam kilka obrazów — prawdopodobnie antyki. Józef nie znał się na tym. Artysta Basilios stał w obszernym pomieszczeniu, zaniedbany, mały, zagubiony.

Poprosił Józefa, żeby usiadł, zaczął chodzić dookoła niego, gadać.

— Oczywiście cieszy mnie bardzo, Flawiuszu Józefie — powiedział, obrzucając go niemiłym spojrzeniem jasnych, przenikliwych oczu — że cesarz dał mi to zlecenie. Byłbym jednak bardziej rad, gdyby mi je dał o pół roku później. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, ile właśnie teraz mamy roboty. Moja firma zaangażowała pięciuset robotników. No — przeszedł jednak do rzeczy — postaramy się zrobić z ciebie coś pięknego. Czyś sobie dobrze obejrzał tego pana, Kritiaszu? — zwrócił się do krępego chłopaka, zapewne niewolnika lub wyzwolenca. — To mój pomocnik — oświadczył Basilios. — Wstawi ci oczy, kiedy już będziemy dosyć zaawansowani. To jego specjalność.

Pomocnik również przyglądał się Józefowi przenikliwie i badawczo. Józef miał wrażenie, że jest bydłem na targu lub niewolnikiem na licytacji.

Drobny, rzeński Basilios krążył wciąż dookoła Józefa siedzącego z udręczoną twarzą i gadał dalej z wielkim ożywieniem.

— Jakżeś to sobie właściwie wyobrażał, Flawiuszu Józefie? — zapytał. — Co byś na przykład powiedział o większej grupie? Ty w pozycji siedzącej, z książką w ręku, dwaj, trzej uczniowie spoglądają ku tobie. Popiersie na cokole albo kolumna nic byłaby również pozbawiona wdzięku. Masz wyrazistą głowę, rabbi. Nawiasem mówiąc, zawsze wyobrażałem sobie, że nosisz

brodę. Przecież i ty nie jesteś Rzymianinem, więc można mówić z tobą swobodnie i otwarcie. W gruncie rzeczy ci Rzymianie zupełnie nie znają się na sztuce. Tylko przy portretach trzeba się mieć na baczności, o tym mają jakieś takie pojęcie. Niestety! No i co myślisz, rabbi? Grupa czy popiersie? Grupa byłaby łatwiejsza. Powiedź coś — zachęcał Józefa, który milczał z nadąsaną miną. — Proszę, opowiedz coś z twojej przeszłości, żeby twoja twarz się ożywiła. — Widzę już — zwrócił się do Kritiasza — że ten pan chce całą odpowiedzialność zepchnąć na mnie. No dobrze, niech już będzie popiersie — zdecydował z westchnieniem. — Niejedno przemawia przeciw temu, mówię ci to szczerze, Flawiuszu Józefie. Głowę masz wprawdzie wspaniałą, ale w naszym pojęciu nie jest to głowa cesarza. Za wiele energii, za mało skupienia. I dla ciebie nie będzie to łatwe, mój Kritiaszu. Te rozbiegane oczy będą ci sprawiały trudności. Trzeba ci wiedzieć, Flawiuszu Józefie, że jeśli artysta zadowala się stylem klasycznym, jeśli się zgadza, że będzie miał oczy zamknięte, Kritiasz oszczędza sobie dużo czasu, roboty i wysiłku. No, nie wykręcajmy się. Jazda, mój Kritiaszu, zaczynamy.

Józef musiał zająć miejsce na podium. Basilios kłaśnięciem w ręce wezwał kilku uczniów i nie troszcząc się o nadąsanego Józefa, analizował twarz i postać swego modelu.

— Widzicie przed sobą, chłopcy — perorował — tego oto Flawiusza Józefa, jak powiadają, niezwykle wybitnego pisarza — ja osobiście niestety nie znalazłem jeszcze czasu na przeczytanie jego dzieł — którego posąg cesarz kazał umieścić w bibliotece Świątyni Pokoju. Wielkie to zadanie, model musi być przez nas dokładnie zbadany, zanim zabierzemy się do roboty.

Model nasz wygląda na pierwszy rzut oka nieco ponuro, ale nie będziemy tego podkreślali, to zapewne tylko nastrój chwilowy. Oczy ma głęboko osadzone, co i tak nadaje ponury wyraz. Wykrzesz z tych oczu jak najwięcej blasku, mój Kritiaszu. Widzisz to nieco złośliwe lśnienie, które się pojawiło w oczach czcigodnego rabbi? Musisz je utrwalić. Z wąskich warg filozof wysnułby zapewne wniosek, że mamy tu do czynienia z człowiekiem dalekim od spraw tego świata. Ale tacy fachowcy jak my widzą od razu, że niezależnie od warg pan ten doskonale się w świecie orientuje. Musimy to wydobyć, chłopcy; jaką siłę zdradzają te wargi, mimo iż są tak wąskie! Przechylimy nieco głowę na ramię. Będzie to eksperyment wykraczający przeciw regułom akademickim. Ale w ten sposób oczy bardziej się uwypuklą. Utrwali to wyraz tego człowieka, który swymi oczyma chciałby zdobyć cały świat. A potem wydobędziemy również i wyniosły, pożądlivy gest, z którym temu panu tak do twarzy. Jest to prawdziwy gest pisarza, musimy go oddać za wszelką cenę i pozwolimy sobie mianowicie na to, żeby tego pana pokazać bez książki, twarz jego nie jest i tak zbyt literacka. Co zresztą w tym wypadku nie jest wadą.

Przypatrzcie się, chłopcy, tej chudej, kościstej głowie, wspaniałemu czołu, wypukłościom nad oczyma, u nasady włosów, spójrzcie na te nierówności, na to wyczelowanie, na te głębokie bruzdy. Kolega Diodor uwypukliłby każdy z tych rysów. My tego nie zrobimy. Będziemy charakteryzować, a nie karykaturować.

Mamy wykonać głowę Żyda. Rabbi Flawiusz Józef jest Żydem. Wyobraźcie sobie brodę, a wystąpi to jeszcze wyraźniej. Musimy doprowadzić do tego, żeby ten, kto patrzy na rzeźbę, nie zdając sobie z tego sprawy, w myśli dodał jej brodę. Otwórzcie szeroko oczy, chłopcy. Przyjrzyjcie się dobrze głowie, którą macie przed sobą. Kiedy zrobię jej model, będziecie ją odtąd widzieli tak, jak ja ją widziałem.

Odprawił uczniów, polecił po chwili Kritiaszowi, żeby wyszedł.

— Przygotowywania te są nieco nudne — zwrócił się do Józefa. — Ale nie potrafię przystąpić do pracy, zanim się nie zorientuję w szczegółach. Udaje się to najlepiej, kiedy demonstruję mój model uczniom. Co zrobimy z cokołem? — zapytał zamyślony. — Byłoby

wspaniale, gdybyśmy mogli nakłonić Fabullusa, twego teścia, żeby go ozdobił malowidłami.

— Nie chciałbym trudzić Fabullusa — odparł krótko Józef.

— Fabullus to wielki malarz — upierał się Basilios —

i bezspornie w tych rzeczach najznakomitszy artysta epoki.

— Nie chciałbym wciągać w to Fabullusa — odpowiedział Józef jeszcze energiczniej.

— Skoro się tak gwałtownie sprzeciwiasz — westchnął Basilios — będziemy musieli pokryć cokół płaskorzeźbami. Słyszałem, że byłeś generałem, Flawiuszu Józefie. A więc przedstawimy na płaskorzeźbie niektóre twoje czyny wojenne.

Józef miał już odrzucić gwałtownie i ten projekt, kiedy energicznym krokiem weszła do pracowni młoda, piękna, wyniosła dama, mijając zgiętego w pałak niewolnika. Widać było, że rzeźbiarz czuje się tą wizytą zaszczycony. Dama oświadczyła, że ma niespodziewanie dwie wolne godziny i chciałaby obejrzeć swój posąg kolosalnej wielkości, dopóki znajduje się jeszcze w stanie surowym. Czy bardzo przeszkadza, zapytała, czyniąc lekki ruch głową w stronę Józefa. Józef biedził się przez cały czas nad tym, czyje rysy ma stojący naprzeciw wielki model posągu Junony. Teraz zorientował się, że były to oczywiście rysy tej damy, żony księcia następcy tronu, Lucji Domicji Longina. Rzeźbiarz oświadczył ze zwykłą sobie nonszalancją, że mu nie przeszkadza. Najpierw jednak musi załatwić sprawę z tym panem. Potem chętnie pokaże jej posąg.

— Zdaje się, że ten pan jest czymś zirytowany — zauważyła księżna. Przyglądała mu się bez żenady, rozbawiona sztywnym, nieprzeniknionym wyrazem jego twarzy.

Basilios przedstawił go. Lucja oświadczyła, że wiedziała od razu, iż zna tę twarz.

Widywała Józefa niejednokrotnie, zafrapował ją. Ale coś się w jego twarzy zmieniło.

— *Wojna żydowska* to interesująca książka — ciągnęła dalej, lustrując go bezceremonialnie. — Zazwyczaj książki tego rodzaju kłamią straszliwie. Nawet w pamiętnikach mego ojca, marszałka, niejedno wydaje mi się podejrzanym. Czytając twoją książkę, Flawiuszu Józefie, miałam wrażenie, że mijasz się z prawdą tylko wtedy, kiedy rzecz dotyczy ciebie. Mam pod tym względem dobrego nosa.

Ponury wyraz ustąpił z twarzy Józefa. Ilekroć spotykał tę damę na przyjęciach oficjalnych, wydawała mu się poważna, surowa, majestatyczna jak posąg Junony, któremu służyła za model. Nigdy sobie nie wyobrażał, żeby ta Junona mogła być taka łatwa i miła. Zły humor jego pierzchł. Wobec kobiet tego typu czuł się pewny siebie i uskrzydłony. To możliwe, oświadczył, że pewne fragmenty jego książki brzmią wymuszenie, mało przekonująco. Płynnie to stąd, że musiał swe myśli wyrażać w obcym języku. Ale teraz, w nowej wersji, niejedno wypadło lepiej.

— Jakże więc? — przerwał Basilios. — Zostajemy przy płaskorzeźbach?

Józef poczuł znowu niezadowolenie. Co ten natręt chce wykuć w kamieniu z jego dawnego życia? Jego czyny w wojnie żydowskiej? Nie będą miłe oczom Rzymian. Jego spotkanie z Wespazjanem, podejrzanym, przytłaczającym, które go splamiło w oczach Żydów, miałyby być wykute w kamieniu?

Tymczasem drobny, ruchliwy Basilios — Lucja nazywała go swoją „wiewiórką” — w dalszym ciągu beztrudno gawędził. Na ogół życie pisarza nie daje zbyt wiele materiału na cokół, oświadczył, ale u takiego bohatera jak Józef jest w czym wybierać! Józef przerwał mu. Poprosił, żeby kolumnę pozostawiono gładką, bez malowideł i rzeźb. Może to dowód zarozumiałstwa, ale uważa, że sposób, w jaki on sam ukazał wypadki, jest wystarczająco plastyczny.

— Pięknie — poddał się Basilios. — Oszczędzi mi to roboty.

Lucja słuchała w milczeniu.

— Trudno z tobą dojść do ładu, Flawiuszu Józefie — powiedziała wreszcie z uśmiechem.

— To dziwne, żeby ktoś po tylu przeżyciach był jeszcze taki drażliwy.

Można było wreszcie przystąpić do obejrzenia olbrzymiego posągu. Lucja zaproponowała Józefowi, by poszedł razem z rzeźbiarzem i z nią. Ogromna Junona wznosiła się wśród pyłu i nieładu, jeszcze w stanie surowym. Lewa ręka była wysunięta do przodu; Basilios wdrapał się na nią.

Stojąc na olbrzymiej, kamiennej ręce, objaśniał swą pracę. Junona to niewdzięczne zadanie, nawet kiedy za model służy Lucja. Chciałby kiedyś wykuć w kamieniu prawdziwą Lucję, nie tę oficjalną, reprezentacyjną.

— Jakże sobie wyobrażasz, mistrzu, prawdziwą Lucję? — zapytała księżna z uśmiechem, podnosząc głowę.

— Na przykład — odpowiedział Basilios schylając się — jako tancerkę Thais, cwałującą na plecach filozofa, rozkosznie podpiętą. To byłby dopiero temat dla artysty!

Wysoka Lucja wyprostowała się, sięgnęła po rzeźbiarza, zdjęła go z ręki posągu. Jej osobiście mało zależy na respekcie, powiedziała łagodnie, ale chłopaczek gniewałby się, gdyby usłyszał podobną gadaninę uchylającą należnemu szacunkowi.

— Teraz — zwróciła się do Józefa — kiedy wkrótce będziemy tu mieli twoją rodaczkę, Żydówkę Berenikę, teraz właśnie nie mogę na to pozwolić. Tak, wy, Żydzi, sprawiacie nam wiele kłopotów — westchnęła. — Ale ten oto zalicza się do przyjemniejszych, czy nie uważasz, moja wiewióreczko? — zwróciła się do Basiliosa. Józefa złościło, że Lucja tak o nim mówi. Mimo to, kiedy wsiadała do swej lektyki, zapytał, przesywając ją natarczywym spojrzeniem:

— Czy wolno mi przynieść księżnej nową wersję mego dzieła?

— Ależ tak, mój drogi — odparła. Nawet i to powiedziała lekceważąco, z wysoka. Ale dała znak służącemu, żeby nie zasuwał firanek, patrzyła na Józefa bardzo zachęcająco, nieco szyderczo, z uśmiechem. Pod wysoką fryzurą miała czoło czyste i dziecinne, jej szeroko rozstawione oczy nad długim, mocnym nosem patrzyły nieustraszenie, żądne życia. Józef uśmiechnął się w głębi ducha i już się nie gniewał.

W domu położonym w szóstej dzielnicy zjawił się o niezwyklej godzinie fabrykant szkła Aleksas, którego Józef uważał spośród wszystkich rzymskich Żydów za najlepszego przyjaciela. Ów Aleksas pozostał w Jerozolimie podczas oblężenia ze względu na swego ojca, który nie umiał rozstać się z miastem. Przeżył tam potworne rzeczy, zabito mu w okrutny sposób całą rodzinę, Józef wyciągnął go w ostatniej chwili z grupy jeńców, przeznaczonych na pastwę dzikich zwierząt podczas igrzysk. Postępowe metody fabrykacji szkła sprawiły, że ten obyty światowiec i w Rzymie szybko wypłynął na powierzchnię. Stracił jednak na wadze, z twarzy zniknęły świeże rumieńce, krucza, niegdyś lśniąca broda posiwiła, we wszystkim, co mówił i czynił, była lekka domieszka zrezygnowanego smutku. Józef liczył bardzo na przyjaciela, który był wzorem tego, jak można być równocześnie dobrym Żydem i dobrym rzymskim poddanym.

Dziś ten zazwyczaj tak spokojny człowiek wydawał się poruszony, mętne, zatroskane oczy nabrały życia. Nieoczekiwanie zjawiło się w jego domu dwoje gości: dziewczyna, a raczej kobieta z Judei z dziesięcioletnim chłopcem; Aleksas nie znał jej przedtem. Była to pierwsza żona Józefa, Mara, z synem Szymonem.

Kobieta i chłopiec spodobali się Aleksasowi. Józef zdawał się zaskoczony, niechętny. Dłaczegóż to przybyła właśnie do niego, zapytał Aleksasa. Dlatego, ponieważ już w Judei słyszała, że jest przyjacielem Józefa. Aleksas oświadczył, że Mara nie powiedziała mu, po co przybyła do Rzymu; na wszystkie jego pytania odpowiadała łagodnym, tajemniczym, przebiegłym uśmiechem. Prosiła go tylko, żeby się udał do rabiego Józefa syna Mateusza, kapłana Świątyni Jerozolimskiej, przyjaciela cesarza, jej pana i byłego małżonka, i wyjednał, żeby, chociaż ją porzucił, dopuścił przed swe oblicze Szymona-Tinok, swego pierworodnego.

Józef nie widział pierwszej żony przez całych lat dziesięć. Nie widział również syna przez te dziesięć lat. Niewiele o nich myślał, zadowolając się przesyłaniem wyznaczonej renty. Mara mieszkała z początku na wsi, w jego dobrach, potem przeniosła się do miasta portowego Cezarei, chcąc, żeby mały Szymon chodził tam do szkoły. Wolałaby umieścić go w akademii w Jawneh, która była centrum wiedzy i nauki żydowskiej, ale Józef, w obawie, że syn jego nie dozna tam życzliwego przyjęcia, namówił Marę, by udała się z chłopcem do Cezarei, zamieszkałej niemal wyłącznie przez Greków i Rzymian. Dostanie się do Cezarei nie było dla Żydów takie proste — musieli mieć specjalny paszport. Ale administrator Teodor bar Teodor szybko uzyskał specjalne pozwolenie zarówno dla Mary, jak i dla chłopca. Mara spędziła ostatnie lata spokojnie, posłusznie, nie naprzykrzając się Józefowi. Co roku, na Święto Szałasów, zawiadamiała go w liście pełnym pokory, że i ona, i syn mają się dobrze i dziękują mu za jego dobroć.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy go poznała, powzięła teraz samodzielną decyzję i nie pytając o jego zgodę przybyła do Rzymu. Rozwiódł się z nią, poddał się karze publicznej chłosty, by ten rozwód otrzymać. Jego prawowitą żoną jest Dorion, pierworodnym synem jego serca — Paweł. Dlaczego nagle się zjawiła? Co jej przyszło do głowy? Czego chce? Najlepiej byłoby odesłać ją z powrotem do Judei bez widzenia się z nią, z ostrą naganą.

Przywołał w pamięci jej obraz, kiedy to po zbezczeszczeniu przez Wespazjana przyszła do niego zdruzgotana, unicestwiona — uszmkowany trup. Jak pięknie potem rozkwitła, kiedy Rzymianie zmusili go do poślubienia jej. Liczyła wówczas lat czternaście, miała czystą, podłużną, owalną twarz, dziecinne, jasne, niskie czoło. Słowa płynęły pokornie z pełnych, wypukłych warg, przesuwiała się obok niego łagodnie i delikatnie, wypełniała każde jego najdrob-

Liejsze życzenie, zanim je zdążył wypowiedzieć. Zgadzał się na to. Ta Mara, choć wiedział, że padła ofiarą przemocy, wskutek niewoli i zadawania się z Rzymianami stała się w jego oczach dziewczką — mimo to była miła i sercu jego, i skórze. Niedługo wprawdzie. Nigdy nie pociągała go tak jak Dorion.

Jest więc tutaj. O kochance, jaką była, zapomniał po trzech tygodniach, ale jest niewątpliwie dobrą matką. Kiedy mu urodziła pierworodnego syna, którego nigdy nie widział, przebywał w Aleksandrii. Pamięta dokładnie, jak mu o tym doniosła. List był pisany przez pisarczyka, ale można było od razu rozpoznać jej ton: „O Józefie, panie mój, Jehowa ujrzał, że sługa twoja stała się tobie niemiła, więc pobłogosławił me ciało i uczynił mnie godną urodzenia ci syna. Przyszedł na świat w sabbat, waży siedem litr sześćdziesiąt pięć zuzów, krzyk jego odbił się echem od ściany. Nazwałam go Szymonem, synem wysłuchania, gdyż Jehowa wysłuchał mnie, kiedy stałam ci się niemiła. Józefie, panie mój, bądź pozdrowiony, stań się wielki w słońcu cesarza, niechaj twarz Pana jaśnieje nad tobą. Nie jedz owoców palmy, bo będzie cię cisnęło w dołku.” List ten płynął morzem z Cezarei do Aleksandrii; równocześnie płynęło z Aleksandrii do Cezarei owo pismo, w którym Józef zawiadamiał ją o rozwodzie.

Nie chce poruszać na nowo starych spraw. Kocha syna ze swego małżeństwa z Dorion. O, jakże kocha swego syna Pawła. Ale ten Paweł nie jest przyjęty do wspólnoty wiernych, zamyka się przed nim, łączy do zdrójcy Fineasza, do tego psa. Jest młodym Grekiem, zadzierającym nosa, pełnym obcości i pogardy dla ojca Żyda. Ale ten, zrodzony ze związku kapłana z branką wojenną, to bękart.

To bolesne, że nie ma syna prawowiernego Żyda. Popiersie w Świątyni Pokoju jest zaszczytem, jakiego dotąd żaden Żyd jeszcze nie dostał. Doktor Licyniusz wezwał go do ufundowania synagogi. Byłoby dobrze, żeby zwoje Tory, uratowane przez Józefa, znalazły się w synagodze Józefa, a popiersie jego stało w Świątyni Pokoju. Żydzi rzymscy tylko wtedy uznaliby ufundowanie synagogi Józefa, gdyby miał syna-Żyda. Sypiałby wtedy dobrze, głęboko,

beztrosko.

W gruncie rzeczy bękart posiada od dawna prawa przysługujące każdemu Żydowi. Teraz, po zburzeniu Świątyni, wolno swobodniej interpretować ustawodawstwo w stosunku do bękartów. Oczywiście bękart nie może być uznany za syna z prawego związku. Ale prawo da się obejść. Byłoby pięknie mieć tu w Rzymie syna Żyda. Byłoby pięknie mieć synagogę Józefa. Z drugiej jednak strony, jeżeli dopuści raz Marę przed swe oblicze, mogą wyniknąć z tego tysiące przykrości i powikłań. Kiedy powstanie synagoga Józefa i popiersie jego znajdzie się w Świątyni Pokoju, sen jego będzie spokojny.

— Dziękuję za wiadomości, drogi Aleksasie — kończy swe rozmyślenia. — Proszę powiedzieć Marze, że przyjdę jutro.

Następnego dnia powtarzał sobie w drodze do niej, że najważniejsze jest to, żeby się nie dać zaskoczyć, nie dać wymusić na sobie żadnej obietnicy. Przypatrzy się obojgu, oto wszystko, nie zobowiąże się do niczego.

Kiedy wszedł, Mara złożyła głęboki ukłon. Miała na sobie zwyczajną szatę, noszoną w północnej Judei, czworokątną, z jednej sztuki, ciemnobrązową w czerwone pasy. Dobrze znany zapach uderzył jego nozdrza: wciąż jeszcze perfumowała sandały.

— O mój panie — powiedziała — poświęciłeś swój zarost, ale oblicze twoje jest mocne, piękne i promienne, chociaż bez zarostu.

Była pokorna, jak zawsze, ale pełna wielkiej godności, której dawniej nie zauważył. Małą, silną ręką wskazała chłopca, otoczyła go ramieniem, podprowadziła do Józefa. Józef zobaczył, że jest barczysty, dobrze rozwinięty. Miał taką samą jak Mara owalną czaszkę, stanowcze wargi, wydatny nos, podłużne, bystre oczy jak on sam. Józef położył rękę na gęstych, kędzierzawych włosach syna, pobłogosławił go. Oby Bóg uczynił go podobnym do Efraima i Manassego.

Chłopiec patrzył na nieznanego bez zakłopotania, ale był nadal małomówny. Rozmawiali po aramejsku. Mara poleciła synowi, żeby mówił po grecku, oświadczając z dumą, że biegle włada językiem greckim. Ale Szymon uparł się, nie widział powodu, dlaczego ma mówić po grecku, skoro ten pan zna aramejski.

Odtajał nieco, kiedy Józef zapytał o podróż. „Victoria” to dobry statek, co prawda niezbyt wielki. Podczas burzy, która się zerwała wkrótce po opuszczeniu Aleksandrii, prawie wszyscy dostali morskiej choroby, ale on nie. Na statku znajdował się również transport dzikich zwierząt, przeznaczonych na arenę. Straszliwie ryczały podczas burzy. Na pokładzie umieszczono dwa działa przeciw piratom. Piratów wprawdzie już nie było, ale przepis, że na każdym statku muszą znajdować się działa, nie został zniesiony. Szymon bardzo się zainteresował działami. Prosił załogę o wtajemniczenie go w różne szczegóły, sam skonstruował mały model działa. Matka nalegała, żeby go pokazał Józefowi. Nie dał się długo prosić. Kiedy zaczął o tym mówić, twarz jego promieniała, kontrastując z posępną miną Józefa. Widać było, że ma zdolności w tym kierunku.

Jeśli chodzi o sprawy, które go interesują, oświadczyła Mara, Szymon potrafi być uważny, porozumiewa się doskonale po grecku. Natomiast w szkole postępy jego są niezadowalające. Jest roztargniony, wbrew jej przestrogom wałęsa się po ulicach, przejmuje niedobre obyczaje młodych gojów. Skarżyła się jednak na swego Szymona-Tinok głosem łagodnym; brzmiał w nim odciśnięty dym z tego, że sprytny chłopak zdradza tyle zainteresowania wszystkim, co go otacza.

Ostrożnie, jak dorosły do dorosłego, próbował Józef wydobyć od chłopca to, co sobie przyswoił w szkole. Nie było tego wiele. Mimo to Józef czuł się poruszony do głębi, kiedy usłyszał z ust syna słowa hebrajskie, prastare, bliskie sercu dźwięki, wypowiedziane akcentem

kraju Izrael. Chłopiec bronił się: skargi matki są niesłuszne. Po co ma się uczyć na pamięć trudnych przepisów o służbie w Świątyni i składaniu ofiar, kiedy niestety Świątynia została zburzona. Port w Cezarei, okręty i silosy więcej go interesują i nie ma na to rady. To przecież nie jego wina.

Mara obawiała się, że słowa chłopca rozniewają Józefa. Ale Józef się nie gniewał. Sam był dobrym uczniem, grzecznie odsiadywał w szkole przepisane godziny. Potem został żołnierzem, obijał się po świecie; żyłka żołnierska tkwiła w nim widać głębiej, niż przypuszczał. Odbiło się to na chłopcu. Mówił z nim o działach, tłumaczył mu konstrukcję „Wielkiej Debory”, owego słynnego żydowskiego działu, które Rzymianie zdobyli dopiero po długich, daremnych wysiłkach i które ze specjalną dumą prowadzili w pochodzie tryumfalnym, jakkolwiek było niemal w połowie zniszczone. Dał klasyczny opis owej maszyny w swej książce, mówił teraz o niej po grecku i okazało się, że Szymon-Tinok zupełnie dobrze go rozumie. Mara z zadowoleniem przysłuchiwała się tej gawędzie ojca z synem.

Chłopiec rozpytywał teraz ojca o osobliwości Rzymu, o których słyszał.

— Wasz Rzym jest bardzo wielki — oświadczył z powagą. — Ale i nasza Cezarea nie jest mała — dodał z dumą. — Mamy pałac gubernatora, kolosalne budowle w porcie, stadion, czternaście świątyń, teatry Wielki i Mały. W ogóle jesteśmy największym miastem w prowincji. Matka nie pozwala mi chodzić na gonitwy rydwanów, ale rozmawiałem z szampionem Thallusem, który zwyciężył w tysiąc trzystu trzydziestu czterech biegach. Zarobił przeszło trzy miliony. Pozwolił mi jeździć na swoim pierwszym wierzchowcu Silwanie. Czy dosiadał pan kiedyś pierwszego konia zaprzęgu?

Chłopak mówił teraz znowu po aramejsku. Józef uważał, że zachowuje się swobodnie i miło. „Bękart, jeśli jest uczony, stoi wyżej od niewykształconego kapłana” — głosili mądrzy rabbi. Zdania tego nie można było wprawdzie zastosować do Szymona, ale mimo to syn mu się podobał. Mara była szczęśliwa, że Józef nie bierze synowi za złe jego niewiedzy. To nie jej wina, że nie ma w sobie zadatków na uczonego rabbi. Naprawdę zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby tak było. W okresie ciąży jadła barweny morskie na to, aby jej Szymon był zdrow.

— Właściwie to jednak pomogło — powiedziała z łagodną dumą. — Jest dziki, ugania się po ulicach, używa brzydkich słów, musiałam przybyć tu do Rzymu, bo nie mogłam sobie z nim poradzić. Ale ma bystrą głowę i zwinną rękę, ludzie go lubią. Mogę bez przesady powiedzieć, że nie zeszliliśmy na dziady.

— Czy tutaj mówi się jeszcze „zeszedł na dziady”? — zapytał Szymon nieco pogardliwie. — U nas w Cezarei mówią „zeszedł na psy”. To mi się lepiej podoba. Ale właściwego słowa nauczyłem się dopiero na statku, od marynarzy. Oni mówią: „zafajdanie”.

— Ciągłe używa plugawych słów — powiedziała Mara.

— A mnie się to „zafajdanie” podoba — upierał się Szymon.

— Jeżeli ci się nie podoba powiedzenie „zeszedł na psy”, mój chłopcze — radził Józef — to może użyjesz określenia: „znalazł się na dnie”.

Szymon namyślał się przez chwilę.

— Nie bardzo ładne — zdecydował wreszcie. — Tamto ładniejsze. Ale jeżeli mama chce koniecznie, powiem: na dnie. — Spojrzał porozumiewawczo na Józefa, jak dorosły, który liczy się z niemądrymi kapryсами kobiety.

Józef zapytał syna, czy ma w Cezarei wielu przyjaciół. Okazało się, że ma kilku kolegów-Greków. Kiedy się stawali zuchwali, bił się z nimi. Miał dobrych znajomych wśród edylów, którzy brali jego stronę. Z początku chciał użyć określenia mocniejszego, ale po męsku wstrzymał się od tego przez wzgląd na matkę.

Po chwili Mara wysłała chłopca na ulicę; i tam miał już przyjaciół. Kiedy zostali sami,

Józef zaczął się jej przyglądać. Uroda jej dojrzała; trochę utyla. Pomimo skromności, jaka ją cechowała, zdawała się z cicha tryumfować. Józef musiał ustąpić wobec swego syna Pawła. On, który chciał przepoić świat duchem żydowskim, nie mógł nim nawet napełnić swego syna. A ta kobieta siedzi tutaj, uśmiecha się z zadowoleniem wypukłymi wargami. Syn jej nie ma zadatków na pisarza, jest nieco wulgarny, ma w sobie pewne cechy dziadka, woźnego teatru Lakisza. Ale jest Żydem, udanym, inteligentnym.

Mimo to Józefa drażni zadowolenie tej kobiety. Surowiej, niż zrazu zamierzał, pyta ją, czego od niego chce.

Nie przeraził jej ten zły humor. Odparła, iż sądzi, że Szymon-Tinok zdziczał nieco. Może Cezarea, po której uganiał się ciągle z greckimi chłopakami, nie była dla niego odpowiednim miejscem, w Jawneh lepszą by miał opiekę. Mara liczy na to, że znajdzie tu w Rzymie kogoś, kto będzie miał dostatecznie twardą rękę, żeby go poskromić. Józef spogląda w milczeniu przed siebie, nie odpowiada. To jedno, ciągnie dalej Mara. Ma jednak jeszcze ważniejszy powód. To, że Józef, jej pan, nie pozwolił wychowywać swego syna w Jawneh, przez wszystkie te lata ciążyło jej na sercu, gdyż mimo swej głupoty sądzi, że odgadła przyczynę. Udała się więc sama do Jawneh z kijem wędrownym w rękę, z bukłakiem na wodę i rogiem na prowianty, jak się dawniej ciągnęło do Jerozolimy, i zaczęła wypytywać mędrców i uczonych w Piśmie, czy też nie ma środka, by jej syna, tak bardzo udanego Szymona-Tinok, wyzwolić od przekleństwa, które na nim ciąży, gdyż jest na razie bękartem. Dotarła do najmądrzejszego ze wszystkich ludzi, nawiasem mówiąc, na krótko przed jego zgonem, do czcigodnego rabbi Jochanana ben Zakkai. Rozmawiał z nią łagodnie, rozważał jej słowa, nie jak gdyby płynęły z ust młodego cielęcia, radził jej udać się do Rzymu i oświadczyć Józefowi, że to on ją przysyła. Zaczęła więc oszczędzać, składać pieniądze, które Józef jej w swej dobroci ofiarowywał. Kiedy zebrała sumę wystarczającą na drogę, spotkała wszystkich Żydów nowa chluba, boć przecież Żydówka ma zostać w Rzymie cesarzową. I oto Mara jest teraz tutaj i ma nadzieję, że jej pan, Józef, nie gniewa się na nią. Powiedziała to łagodnie, bez pretensji, z cichym, przebiegłym uśmieszkiem.

Usłyszawszy z ust Mary imię Jochanana ben Zakkai, Józef doznał wstrząsu. Przypuszczał, że przyjechała jemu na złość, że się będzie czegoś domagała natarczywie. A tymczasem przysyła ją Jochanan ben Zakkai, jego czcigodny, mądry nauczyciel, który w akademii w Jawneh starał się z błogosławioną, nadludzką wytrwałością zastąpić Żydom utracone państwo przez nauki Mojżesza i obyczaje rabbich. Człowiek ten wierzył w Józefa do ostatka, kiedy go inni już od dawna oplwali. Teraz, troszcząc się o niego spoza grobu, przysłał do niego tę kobietę i tego chłopca właśnie w chwili, kiedy popadł w rozterkę z powodu podobizny, którą mu Tytus chciał narzucić.

Mara mówiła dalej. Miała setki trosk. Czy ktoś dba odpowiednio o jego pożywienie? Czy Józef jada dosyć rzodkwi i liści bobkowych? Czy nie częstują go nazbyt ostrym sosem kaparowym? Zawsze mu szkodził. Przywiozła trochę hyzopu i soli z Morza Martwego, mówiono jej, że sól rzymska jest niedobra.

Wyciągnęła drobne dary, szczęśliwa, że oddycha tym samym powietrzem co on, że może opowiadać mu o jego dziecku, o tym najmądrzejszym, najdzielniejszym spośród wszystkich synów, o Szymonie-Tinok. Józef słuchał jej cichych słów, patrzył na jej niskie, promienne czoło. Myślał o trudnej, bojowej wierze owego wielkiego starca, Jochanana ben Zakkai. Nie umniejsza to wielkości Boga, powiedział mu kiedyś, nawet jeżeli jego wyznawcy trafiają do niego krętymi, okrężnymi drogami. Przesłanie mu tej kobiety i chłopca było ze strony Jochanana ben Zakkai wielkim darem.

Mara przysunęła się. Ponieważ długo milczał, zapytała:

— Gniewasz się na mnie, mój panie?

— Powinnaś była napisać i uzyskać moją zgodę — odrzekł. Ale natychmiast dodał łaskawie: — Skoro tu jesteś, niech już tak będzie.

Rzeźbiarz Basilios pokazał Józefowi bryłę metalu, z którego miała powstać jego głowa. Był to brąz koryncki, ów niezwykle szlachetny metal, który powstał mniej więcej dwieście dwadzieścia sześć lat temu, kiedy to w czasie zburzenia Koryntu dzieła sztuki ze złota, srebra i miedzi płynęły wrzącymi strumieniami, tworząc niepowtarzalny, nie osiągnięty dotąd nigdy, przedziwnej piękności stop. Rzeźbiarz wiele sobie obiecywał po bladym, niezwykłym blasku, którym lśnić będzie głowa Józefa, skoro zostanie odlana w tym metalu.

Basilios pracował teraz nad modelem w glinie; naprzód ulepił model z wosku. Józef siedział na podium wielkiej pracowni, słuchał rzeźbiarza, który opowiadał o rzeczach bardzo mu obcych. Na przykład o licznych falsyfikatach, które usiłowano wkręcić rzymskim zbieraczom. Dlaczegoż nie miano okpiwać ludzi bogatych, którzy do starożytności, do zapomnianych, wątpliwych nazwisk artystów przykładali większą wagę niż do samego dzieła?

— Niedawno — opowiadał — jadłem obiad u zbieracza Tullusa. Było dużo osób, sami przyjaciele Tullusa. Na stole obok innej zastawy stołowej stało przeszło trzysta srebrnych kubków, jeden cenniejszy i starszy od drugiego, cyzelowanie było przeważnie zatarte. Powiadam ci, Flawiuszu Józefie, dzieła sztuki były równie prawdziwe, jak prawdziwymi byli przyjaciele. Była tam na przykład dekoracja stołu przedstawiająca lwa, który rozszarpuje antylopę; na dole widniało antycznymi znakami pisarskimi ledwie czytelne imię wielkiego Myrona. Myron nie żyje od lat przeszło pięciuset, ale jeżeli zapytasz mego pocziwego Kritiasza, opowie ci dokładnie, czy ów Myron wstał dziś rano prawą, czy też lewą nogą.

Podczas gadaniny małego, ruchliwego człowieczka Józef przypatrywał się ze zdumieniem i niesamowitym poruszeniem, jak pod rękami artysty powstaje jego oblicze. Ten wstrętny Basilios — złościło to Józefa — wcale nie przesadzał. Przed Józefem wyrastała naprawdę jego głowa, nie mniej żywa od tej z ciała i krwi; w przyszłości trudno będzie nawet jemu samemu widzieć tę głowę inaczej. To były jego wargi, jego nozdrza, to było jego czob. A jednak była to głowa obca, niesamowita. Czy to te wargi dały polecenie zdjęcia z krzyża Justusa, przyjaciela i wroga, który teraz pisał z całym bezwstydem o wojnie żydowskiej? Czy to te nozdrza wciągały swąd i smród płonącej, ginącej Jerozolimy i Świątyni? Czy to za tym czołem tkwiła niezłomna wola utrzymania twierdzy Jodfat przez siedem razy po siedem dni? Tak, to była jego twaiz i nie jego, tak samo jak owe czyny były jego czynami i nie jego, gdyż teraz albo by ich nie popełnił, albo zrobiłby to inaczej. Żywy Józef przyglądał się Józefowi z gliny. Niejedno, co ten człowiek zrobił z jego twarzy, podobało mu się, z niejednego był niezadowolony. Nie bardzo to wszystko rozumiał. Który Józef jest prawdziwy: ten żywy czy ten z gliny? Który Józef jest prawdziwy: ten, który dokonał owych czynów, czy ten, który siedzi tutaj? Co stanowi o człowieku: to, czym jest teraz, czy to, co uczynił dawniej?

Rozwazał gruntownie, doszedł do konkretnego wniosku. Flawiusz Józef, mieszkający w mieście Rzymie w roku 832 po założeniu miasta, w roku 3839 po stworzeniu świata, nie ma nic wspólnego z Józefem synem Mateusza, który był swego czasu generałem w Galilei. Pisarz Flawiusz Józef przyglądał się z czysto literackim, naukowym zainteresowaniem temu, czego dokonał ów rabbi Józef syn Mateusza, kapłan Świątyni Pańskiej. Opisywał dzieje owego Józefa syna Mateusza z tą samą obojętną ciekawością jak dzieje króla Heroda, zmienny bieg życia obcego człowieka minionej epoki. Doszedłszy do tej konkluzji Flawiusz Józef odczuwał ogromną przewagę nad Józefem z dawnych czasów, człowiekiem martwym, który się przeżył.

Nagle przeląkł się i opadła go myśl: czym jednak jest Józef dzisiejszy w porównaniu z Józefem przyszłości? Rozwazał, czego dokonał i co jeszcze miał do zrobienia, i oddech zamarł mu w piersi.

Napisał księgę o wojnie żydowskiej, która się Rzymianom podoba. Rzymianie czczą dzisiejszego Józefa, odlewają jego podobiznę w najkosztowniejszym metalu świata. Jedną część zadania, łatwą, popłatną, ma za sobą. Ale stoi przed nim jak groźny szczyt górski nie rozpoczęte jeszcze zadanie istotne, dzieło przyszłości, wielka historia jego narodu, którą postanowił napisać i przekazać zachodniemu światu. Dla tego dzieła wziął na siebie tyle grzechów, tyle wyrządził krzywdy. Józef dzisiejszy napisał *Wojnę żydowską*. Czy to początek? Czy to spleta olbrzymiego długu? To nic. Rozważa, liczy i odrzuca. Ogłuszyło go uczucie bezsilności. Był teraz kłamcą, uważając się za powołanego do dzieła, i na podstawie tego powołania biorąc na siebie grzechy, które powinny były zmiążyć człowieka. Budzi się w nim nagle jasny, gorzki głos, którego dawno już nie słyszał. „Twój rabbi Józef to łajdak” — mówi głos. Jest to głos Justusa z Tyberiady, przyjaciela i wroga zarazem. Nie jest donośny, ale zagłusza gadaninę rzeźbiarza, wypełnia całkowicie obszerną pracownię; model z gliny chwieje się i rozplywa, głos przez swą rezygnację, pogardę, przez swe niezdarne narzecze aramejskie trafia go w serce. Musi trzymać się w ryzach, żeby przed tym rzeźbiarzem Basiliosem nie uderzyć się w piersi, nie wyznać: „Wszystko, co uczyniłem w życiu, było daremne. Nie dorosłem do dzieła. Jestem niczym.”

Ale honorowy posąg udał się. Po upływie niedługiego czasu stał już odlany na próbę w zwykłym brązie. Nie rozwiązany był jeszcze tylko problem oczu. Jednak pomocnik, Kritiasz, obiecał, że następnego dnia również będzie gotów ze swą robotą.

Kiedy nazajutrz Józef przybył do pracowni, żeby obejrzyć dzieło w jego formie ostatecznej, zastał tam księżną Lucję. Spotkał ją u Basiliosa po raz trzeci. Dowiedziawszy się, co ma nastąpić, pozostała.

Józef przyglądał się z napięciem, jak Kritiasz dopasowywał do modelu ze spiżu dwa lśniące owalne kamienie. Kamienie wprawione w brąz spoglądały przerażająco. Nie były to już na pół szlachetne kamienie wprawione w jakiś tam brąz — to były naprawdę jego oczy. Józef stwierdził ze zdumieniem, że ten niepokojący, nieokrzesany Kritiasz przejrzał go, przejrzał jego ukryte myśli, grzechy, żądze, jego pychę i bezsilność. Nienawidził tego Greka Kritiasza, nienawidził Greka Basiliosa, ponieważ wyszpiegowali nagość jego duszy. Nie mógł znieść widoku posągu, odwrócił głowę.

Zobaczył, że Lucja bacznie, z podniesionymi brwiami, przygląda się posągowi. Chcąc się wyrwać z zamętu uczuć, uczeplił się myślami jej śmiałego, jasnego oblicza. Ci Rzymianie nie mają pojęcia o grzechu, prawdopodobnie jest to źródłem ich siły, przyczyną olbrzymich sukcesów. Nie krępowani wewnętrznymi zahamowaniami stworzyli mocarstwo, a nasze państwo zdruzgotali. Czy nie dlatego przegraliśmy pierwszą wielką bitwę, ponieważ nie chcieliśmy walczyć w sabbat i pozwalaliśmy mordować się, nie stawiając oporu? Teraz stałem się mądrzejszy, niejednego się nauczyłem. Wiem, co to grzech, i popełniam go. Siła moja rośnie z grzechów. „Winienesz kochać Boga także i złymi popędami.” Łatwo być mocnym, kiedy świadomość nie hamuje popędu. Grzeszyć świadomie, nie chronić się pod skrzydła pobożności i rezygnacji — oto tryumf największy.

Znowu zwrócił wzrok w stronę posągu. Przyglądał mu się z przekorną aprobatą. Głowa z brązu, przechylona na ramię, spoglądająca w dal na widza i w świat, była naładowana głęboką, świadomą, niebezpieczną ciekawością i Józef aprobował tę żądzę i te grzechy. Może w lśniących oczach było coś odpychającego, ale były to oczy pełne siły i życia, jego oczy. Cieszył się, że były właśnie takie.

Wszyscy: zakłopotany, uparty Józef, Lucja żądna wszystkiego, co mocne i żywe, zarozumiała, sceptyczny Basilios, cichy, pełen pogardy dla ludzi Kritiasz przyglądali się posągowi.

— Na Herkulesa — powiedziała wreszcie księżna usiłując mówić lekko, swobodnie, ale

w głosie jej brzmiało przygnębienie — ależ ty jesteś niegodziwy, Flawiuszu Józefie.

Józef, zaskoczony jej słowami, spojrział na nią ponuro i wyniośle. To, co powiedziała, brzmiało wprawdzie jak uznanie, ale kto jej pozwolił zgadywać jego myśli? Tylko on mógł sobie na nie pozwolić, nikt inny. Nie odpowiedział.

— Prześcignąłeś sam siebie, przyjacielu Kritiaszu — rzekł wreszcie Basilios, podobnie jak księżna, wbrew swoim zwyczajom, również z pewnym zakłopotaniem. — Ale sądzę — dodał nieco wymuszenie — że jednak zrobimy głowę bez oczu.

— Dobrze — powiedział Józef po chwili wahania.

— Szkoda — rzekła Lucja.

Bezpośrednio po ukończeniu posągu cesarz raz jeszcze poprosił do siebie Józefa. Był tym razem sam. Józef zauważył od razu, że pozbył się apatii pierwszych tygodni. Tymczasem masy znalazły dla niego dziwne przezwisko, nazywały go „Wielorybem”. Chciały zapewne w ten sposób dać obraz jego nieograniczonej władzy, połączonej z niezdecydowaniem i ociężałością. Mniejsza zresztą o to, dziś z pewnością nie był wielorybem. Przeciwnie, był w promiennym humorze, bardzo swobodny; nie ukrywał też przed Józefem powodów tych zmian.

Obawy, które odczuwał w związku z ociąganiem się Bereniki, minęły. Nie dlatego wahała się tak długo, że, jak się tego obawiał, stanęły między nimi na nowo cienie jego czynów: zburzenie Jerozolimy, zuchwałe oszustwo, przy pomocy którego zwabił ją wtedy do siebie i zgwałcił. Wszystko rozwikłało się jak najpomyślniej, powstrzymywały ją naiwne, urocze motywy natury uczuciowej. Ta niemądra nabożnisia chce, zanim zamieszka z nim w Rzymie na stałe, wyrównać swe rachunki z Bogiem, chce okupić swe późniejsze szczęście ofiarą i wyrzeczeniem, kaja się, odprawia pokutę. Ku czci Jehowy obcięła włosy i uczyniła ślubowanie, że dopiero wtedy przybędzie do Rzymu, kiedy jej włosy odrosną. Pisała, że ze strachu przed Bogiem odmawia sobie radości prędkiego zobaczenia go. A może, mówi Tytus poufale i daje Józefowi kuksańca, nie chce pokazać mi się z krótkimi włosami? Niemądra. Przecież nie kochałby jej mniej, gdyby nawet ogoliła głowę. Z początku, żeby sobie utrudnić ofiarę, nie chciała mu nawet zdradzić przyczyny tej zwłoki; uważała, że jej ślubowanie to wyłącznie sprawa między nią i jej Bogiem. Ale wreszcie się opamiętała i napisała do niego. Tytus jest w głębi ducha rad, że wszystko rozwiązało się w sposób tak dziecinny.

Józef był zaskoczony, nieufny. Znał Berenikę, znał żydowskie zwyczaje i obyczaje. Ślubowano powstrzymanie się od wina i ostrzyżenie włosów tylko wtedy, kiedy Jehowa uratował kogoś od niebezpieczeństwa grożącego bezpośrednio jego życiu. Nie, to nie mógł być prawdziwy powód, w ociąganiu się Bereniki tkwi coś innego, jakaś tajemnica. Potrafi zwieść Rzymianina, ale nie jego. Tak czy inaczej, przyjedzie w końcu, Tytus pali się do niej tak samo jak w Aleksandrii. Takie są myśli Józefa w trakcie kwiecistego, radosnego opowiadania cesarza, ale nie zdradza się ze swoimi wątpliwościami.

Cesarz gawędzi dalej, rozpromieniony, mówi o niespodziance, którą sobie umyślił. A oto na czym polegała owa niespodzianka. Zaprosił astronoma Konona, przyjmie go w obecności Józefa. Uczony opowie mu o nowym gwiazdozborze, który odkrył. Gwiazdozbiór ten znajduje się w pobliżu Lwa, składa się z siedmiu małych gwiazd, ludzie o bystrym wzroku twierdzą, że widzą ich dziesięć, może nawet dwanaście. Jest to dalekie lśnienie, delikatne jak pasmo włosów.

— Masz już nazwę dla swego gwiazdozbioru? — zapytuje cesarz.

— Chciałem prosić waszą cesarską mość o nazwanie go — odparł uczony z pokorą.

— Nazwij gwiazdozbiór „Warkoczem Bereniki” — odpowiedział cesarz z uśmiechem. — Trzeba ci wiedzieć, że księżniczka Berenika poświęciła swe warkocze niebu — wyjaśnił. — Sądzę, że niebo dar ten przyjęło i zachowa go na zawsze w opiece.

Cały Rzym tłoczył się w bibliotecę Świątyni Pokoju, kiedy cesarz kazał tam po raz

pierwszy ustawić posąg Żyda. Józef miał trudności z otrzymaniem choćby dwudziestu kart wstępu, których Dorion żądała dla swoich przyjaciół.

Niewolnicy, uginając się pod ciężarem, przydźwigali popiersie i ustawili je na gładkim marmurowym cokole. Zebrani ustawili się szerokim półkolem. Głowa Józefa, chuda, obca, lśniąca, pozbawiona oczu, a jednak pełna rozumnej ciekawości, patrzyła przez ramię dumnie i wyniośle na błyskotliwy tłum.

Juniusz Marull, który na życzenie Józefa miał wygłosić uroczystą mowę, stanął przed popiersiem. Mówił o pisarzu, o historyku, wielbił człowieka, który utrwala czyny oraz to, co przemija. Władcy przemijają tak samo jak ich dzieła. Wódz umiera, zwycięstwo jego ginie w niepamięci. Czy te czyny są prawdziwe? Czy nie ulegają zmianie już w trakcie, kiedy się stają? Są wieloznaczne dla każdego, kto w nich bierze udział, znaczą coś innego, każdy widzi je inaczej. A pisarz bierze wydarzenia w rękę i czyni je jednoznacznymi, pozostają raz na zawsze jasne i wyraźne. Wielki historyk jest potężniejszy niż śmierć. Posiada tajemnicę rozkazywania fali, by nie popłynęła dalej, lecz pozostała na zawsze w miejscu.

Żydzi wcześniej to sobie uświadomili. Od zamierzchłych czasów utrwaliли swą historię w tradycji, którą im objawił sam Bóg. Jak świadczy o tym tłumaczenie ich kanonów, dokonane przez siedemdziesięciu biegłych, są wielkimi historykami. Dlatego mówcy wydaje się podwójnym tryumfem, że cesarz Tytus nie tylko, zwyciężył Żydów, lecz potrafił również skłonić tego wspaniałego Żyda Józefa Flawiusza do napisania historii tych zwycięstw.

Jeżeli dzisiaj bardzo dobry, bardzo wielki Tytus przyjmuje swego historyka, a jest nim po raz pierwszy w dziejach historii Żyd, do szeregów tych, których dzieła przechowywane są w sali nieśmiertelnych, to jest to podzięką bardzo wysoka, ale nie za wysoka. Dopiero bowiem w księdze naszego Józefa czyny Rzymian żyć będą dla przyszłych pokoleń.

Księga naszego przyjaciela leży oto tuż obok w szafie. To tylko księga. Składają się na nią: pergamin, tusz, atrament. Ale ten materiał bardzo nietrwały jest równocześnie najtrwałszym na świecie, nie mniej trwałym od brązu korynckiego, z którego popiersie zostało odlane. Bogowie bowiem nie dali nam, ludziom, nic większego ponad słowo pisane.

Tak mówił Juniusz Marull. Potem cesarz ozdobił popiersie wieńcem, objął Józefa, ucałował go. Wielki, poważny przedsiónek huczał głośnie, entuzjastycznymi okrzykami: „O cesarzu nasz, Tytusie, o wielki pisarzu Flawiuszu Józefie!” — rozbrzmiewało zewsząd. Wołali tak senatorzy stojący wokoło w swych szatach bramowanych purpurą, w czerwonych trzewikach na wysokich podeszwach i z czarnymi rzemieniami, wołali nieco kwaśno koledzy, wołaly rozentuzjasmowane damy, wołali z dumą i wzruszeniem nieliczni Żydzi, których zaproszono, doktor Licyniusz, Kajus Barcaarone.

— O cesarzu nasz, Tytusie, o wielki pisarzu Flawiuszu Józefie! — wołała również wraz z innymi Dorion. Udaje się jej na parę chwil zbagatelizować całą uroczystość w oczach starego Waleriusza i Anniusza Bassusa, ironizować, odgrywać rolę osoby wyższej ponad to, ale trwa to niedługo. Obaj ci mężowie sami nie mogą oprzeć się wrażeniu, które wywołuje ta uroczystość. Dorion stoi więc dumna, z lekkimi rumieńcami na szczupłej, jasnej twarzy, usta ma na pół otwarte, jak dziecko. Dla wszystkich, dla Anniusza, Waleriusza i Flawiusza Silwy, Józef nie będzie już na przyszłość godnym pogardy Żydem, lecz wielkim pisarzem, którego posąg widnieje tutaj, w Świątyni Pokoju. Szydziła z niego, kiedy mówił, że jego potęga jest nieograniczona i ostateczna jak potęga tych, którzy skazują na śmierć. Czy jednak nawet szyderca Marull nie powiedział dziś czegoś podobnego? Spogląda na szczupłą, piękną twarz Józefa, potem przerzuca wzrok na niezwykle blask posągu. Widzi nowego Józefa, otacza go owo zagadkowe lśnienie, promieniejące od korynckiego brązu, głowa jego unosi się nad innymi wysoko i obco, jak ów posąg. Porywa ją na nowo prąd — niesie ku niemu jak w pierwszym

okresie w Aleksandrii, kiedy mu się oddała.

Józef stoi wśród tych honorów w skromnej, dostojnej postawie. Za wysokim czołem kłębią się myśli. To dzień błogosławiony, utęskniony dzień spełnienia. To wejście Izraela przez główną bramę do honorowego przybytku narodów. Czy nie jest to jednak zaszczyt osiągnięty podstępem? Oto stoi jego posąg. Brąz lśni blado i szlachetnie pod ciemnozielonym wieńcem. Ale on sam jest ukuty z nieszlachetnego kruszcu. Jakże mizerna jest jego księga w porównaniu z tym, do czego został powołany. A nawet tę mizerną księgę mógł ukończyć jedynie przy pomocy Fineasza. Minęły czasy, kiedy to, jak wówczas po ukończeniu książki o Makabeuszach, był dumny ze swej znajomości greckiego. Teraz wie, że na każdym kroku potrzebne mu są podpory i kule. Nawet rodzony syn Pawła nie potrafi pozyskać dla swej idei, jakże ma zdobyć świat? Gubi się, jest całkowicie przepełniony poczuciem własnej nicości. Słyszy uroczysty zgiełk oddający mu cześć; poprzez ten zgiełk słyszy jednakże znowu cicho, ale wyraźnie — gorzki, pogardliwy głos, głos wroga i przyjaciela zarazem, z góry niweczący każdy sprzeciw: „Twój rabbi Józef to łajdak.” Rozgląda się po twarzach dookoła. Czyż nie zdają sobie sprawy, jak jest godny litości? Ma wrażenie, że się udusi tym uczuciem własnej bezsilności, że za chwilę zwali się z nóg. Rozgląda się, szuka ratunku. Nie ma nikogo, kto by mógł mu pomóc. Nie ma nawet fabrykanta szkła Aleksasa. Gdyby choć położyć rękę na głowie swego syna Szymona-Żyda. Ale nie ma nikogo.

Mimo to zachowuje nadal ten sam skromny, a zarazem dumny uśmiech. Najwyżej przybladł odrobinę. Otoczenie uważa, że jest człowiekiem, który potrafi udźwignąć szczęście i wart jest sukcesu.

KSIĘGA DRUGA

MAŻ

Po dręczącym skwarze ostatnich tygodni powiał dziś, dwudziestego siódmego sierpnia, orzeźwiający wiatr. Józef, siedząc w lektyce w drodze na Palatyn, rozkoszował się wszystkimi zmysłami lekkim, świeżym powietrzem. Był to dla niego tryumf, że Tytus nawet teraz, w czwartym dniu pożaru, wzywa go do siebie. Dziś bowiem, na czwarty dzień, największy pożar od czasów Nerona wciąż jeszcze nie jest ugaszony. Niestety było może tym razem jeszcze większe. Wtedy bowiem ogień zniszczył brzydkie, wąskie dzielnice śródmieścia, tym razem zaś objął najpiękniejsze części miasta, Pole Marsowe, Palatyn. Spłonął Panteon, spłonęły łaźnie Agryppy, świątynie Izydy i Neptuna, teatr Balbusa, teatr Pompejusza, stadion, urząd finansów wojskowych, setki najpiękniejszych domów prywatnych. Przede wszystkim jednak zniszczeniu uległ po raz drugi Kapitol, ledwie na nowo odbudowane centrum panowania nad światem.

Czy był to znak bogów, złowieszczy dla Wieloryba? Wrogie mu plotki wzmogły się. Przede wszystkim poruszeni byli Żydzi. Pożar dotknął ich, spłonęła ich najpiękniejsza synagoga na Welii za Tybrem. Mimo to przyglądali się pożarowi wręcz z satysfakcją. To za ich pieniądze, przeznaczone na Świątynię Jehowy, zbudował pyszałkowaty zwycięzca nowy dom Trójcy Kapitołińskiej. Teraz, po tak krótkim czasie, ten Kapitol, którego widok sprawiał im tyle gniewu i smutku, został zniszczony po raz drugi. Ręka Jehowy, tryumfowali, dosięgła człowieka, który zrównał z ziemią Jego Świątynię i poniżył Jego lud. W dzielnicach żydowskich zbierali się kaznodzieje uliczni, głosili koniec świata, rozdawali diatryby o mścicielu Mesjaszu, który niesie miecz.

Jeżeli chodzi o Józefa, to zapatrywał się inaczej na tę sprawę. Był pełen zadowolenia. Tytus, który natychmiast z niezwykłą jak na niego obecnie energią porozsyłał wszędzie oddziały mające gasić pożar i uprzętać pogorzeliska, zdusił w zarodku próby plądrowania i rabunku, zajął się dostarczeniem bezdomnym dachu nad głową, znalazł jednak czas na to, by powołać go przed swe oblicze.

Kołysząc się lekko w lektyce, zatopiony w miłych myślach Józef wciągał w płuca orzeźwiający wiatr. Wszystko mu się podporządkowało. Dorion zmieniła się od czasu ustawienia popiersia, jest dla niego taka, jak w pierwszych, najlepszych czasach w Aleksandrii. Józef jest rad, że może zaspokajać jej życzenia, a raczej, mówiąc szczerze, kaprysy. Zbadał projekty nowej willi. Mimo niespodziewanie hojnego daru cesarza będzie musiał pożyczyć pieniędzy, jeżeli zechce złożyć jako tako przyzwoitą ofiarę na budowę synagogi jego imienia i równocześnie zbudować willę dla Dorion. Wydawca Klaudiusz Reginus nie odmówi mu potrzebnych sum, ale skorzysta z okazji i wypowie pod jego adresem uszczypliwe uwagi. Ale właśnie to ma swój wdzięk, że kaprysy Dorion tyle go kosztują. Przrzekł jej willę dziś w nocy. Uśmiecha się, kiedy myśli, jak chytrze na nim tę zgodę wymogła. Teraz, po pożarze, dowodziła, rozpocznie się nowy, wielki ruch budowlany. Wielu z tych, którzy mieszkali dotąd w śródmieściu, będzie budowało na peryferiach, tereny pod Albanum wzrosną w cenie wraz z kosztami budowy. Dorion porozumiała się jednak przezornie z wczesnym z budowniczym Growiuszem. Dotrzyma słowa, zarezerwuje tereny, nie przekroczy złożonego kosztorysu.

Józef zna świat, wie, że mimo to architekt oczywiście przekroczy kosztorys, wie, że będzie musiał drogo zapłacić za swą obietnicę. Ale myśli o Dorion, wspomina, jak leżała obok niego z głową na jego piersi, jak do niego mówiła cienkim, dziecinnym głosikiem, i teraz, w białą dzień, nie żałuje swej zgody. Może sobie na tę wielkoduszność pozwolić. Nie można

powiedzieć, żeby należał do ludzi nie wymagających. Nigdy nie poprzestawał na małym, zawsze pożywał więcej życia, sukcesów, rozkoszy, miłości, mądrości, Boga. Teraz czuje w sobie rozmach, teraz zbiera owoce poniesionych trudów.

Tytus wychodzi mu na spotkanie szybkim krokiem, wita go serdecznie. Odkąd wie, z jakiego powodu Berenika odkłada swe przybycie, stał się pogodny, uskrzydłony, ożywiony. Pożar nie zmniejsza jego pewności siebie. Od dawna wie, że szczęście trzeba opłacić ofiarą. Czy mądra Berenika nie uczyniła tego dobrowolnie, z góry? Poza tym pożar daje mu okazję do zmanifestowania szczodrości w przeciwieństwie do sknerstwa ojca. Właściwie, zapewnia Józefa z całą szczerością, pożar ten jest mu na rękę. Zawsze nosił się z zamiarem budowania. Zniszczenie starego Rzymu potwierdza tylko, że niebo pochwała ten zamiar. Podniecony, pełen werwy, opowiada Józefowi o nowym Rzymie, którego obraz nosi w duszy, o tym, o ile okazał odbuduje Kapitol, ile wspaniałych nowych gmachów wzniesie na miejsce kiepskich starych ruder.

Bardziej jednak niż odbudowa Rzymu pochłaniała go w dalszym ciągu Berenika. Poufale zapytuje Żyda Józefa, swego przyjaciela, nie po raz pierwszy, czy też uda mu się obalić przeszkody dzielące go od Bereniki.

— Ty sam, mój Józefie — powiada — poślubiłeś Egipcjankę. Wiem, że wielu poczytuje ci to za grzech. Moi

Rzymianie będą również patrzyli niechętnie na mój związek małżeński z cudzoziemką. Powiedz mi szczerze, co wy, Żydzi, myślicie o małżeństwie z cudzoziemką? Czy to grzech w obliczu waszego Boga?

Józef był uszczęśliwiony, że cesarz tak się przed nim wywnętrza. Cierpliwie, jak już bywało nieraz, wywodził:

— Józef, nasz bohater, którego imię noszę, wziął za żonę Egipcjankę, nasz ustawodawca Mojżesz — Midianitkę, król Salomon spał z wieloma obcymi kobietami, jako ze swymi żonami. Żydzi wychwalają pod niebiosa Esterę, małżonkę króla Persów, Aswerusa.

— To brzmi pocieszająco — powiedział Tytus zamyślony. — Muszę ci powiedzieć, mój Józefie — dodał objawszy go ramieniem, uśmiechnięty, młodzieńczo zakłopotany — że czuję się wobec niej zawsze jak młody chłopak. Jest obca, góruje nade mną nawet wtedy, kiedy ją biorę. A ja chcę, żeby była ze mną złączona całkowicie. Ale pozostaje zamknięta w sobie nawet wtedy, kiedy mi się oddaje. Wy, Żydzi, macie na opisanie aktu płciowego piekielnie mądre określenie: „mężczyzna poznaje kobietę”. Nie poznałem jej dotychczas. Ale kiedy już tu przybędzie, jestem pewien, że przestanie być dla mnie obca. Znalazłem mianowicie przyczynę, dla której dotąd nie stałem się jej bliski. Hamowały mnie pozostałości bezmyślnych przesądów, moje rzymskie zabobony były jak pancierz, dzielący nas od siebie. Ale w ostatnich tygodniach zmądrzałem. Wiem teraz, że państwo to coś więcej niż powiększona Italia. Może ta katastrofa to przestroga dana przez Boga. Przestroga ta nie jest już zresztą potrzebna. Byłem opieszły, przyznaję, ręce moje stały się zbyt leniwe, żeby uczynić to, co nakazywały serce i mózg. Nie będę nadal opieszły. Flawiusz Silwa nie przedłożył senatowi swego projektu w sprawie obrzezania. Nauczę moresu tych białoobutych w Aleksandrii. Powiedz to swoim Żydom. Mogą we mnie wierzyć. W najbliższych dniach przemyślę wszystko szczegółowo razem z Klaudiuszem Re-ginusem.

Po tej audiencji Józef zamierzał właściwie wrócić do domu. Ale od początku odczuwał dziecinne pragnienie pokazania się Marze i młodemu Szymonowi w stroju galowym. Teraz, po względach okazanych mu przez Tytusa, nic mógł zapanować nad tym pragnieniem. Udał się więc do fabrykanta szkła Aleksasa.

Wszystko poddaje się jego woli, zarówno w sprawach ducha, jak i w rzeczach zewnętrznych. Znikło uczucie dręczącego niedosytu, które go opadło wtedy, w momencie

najwyższego na pozór tryumfu. Przyznaje, życie jego jest skomplikowane, skomplikowana jest sprawa z Dorion, sprawa z Marą również nie przedstawia się prosto. Ale ma na to sposób. Kobieta, którą kocha, której wyrzec się nie mogą jego serce i zmysły, wzbrania mu syna. Więc weźmie syna drugiej, której nie kocha, która mu jednak niczego nie wzbrania.

Z małym Szymonem nie poszło w Rzymie tak gładko, jak sobie Mara wyobrażała. W szkole ortodoksyjnej na Za-tybrzu ten bękart, syn potępionego Józefa, musiał nasłuchać się wielu nieprzyjemnych docinków. Mara zabrała go ze szkoły za radą fabrykanta szkła Aleksasa, który upodobał sobie inteligentnego chłopca, przeniosła go do szkoły liberalnej. Szymon czuje się tam dobrze, nikogo tam nie razi, że jest synem Józefa. Matka jego jednak, trzymająca się kurczowo starych obyczajów, jest niezadowolona. Jej Szymon-Tinok uczy się zdrożnych rzeczy w tej wytwornej szkole. Nikt nie zabrania mu nawet w sabbat uganiać po ulicy z chłopcami, którzy wyznają pogańską wiarę. Przoduje wśród nich mały Konstans, syn emerytowanego kapitana Lukriona. Obaj chłopcy naśmiewali się z kapłanów Izdydy, doszło do awantury, wmieszała się nawet policja. Widziano również tę parę w knajpie „Stajnia pod Oliwkami”. Nie można wyciągnąć z Szymona, czy nie jadł tam zakazanych potraw, na wszystkie pytania Mary odpowiada lodowatym milczeniem; ale co z niego będzie, jeżeli skosztował szynki, która na sztyldzie knajpy zalecana jest jako specjalność firmy?

Józef uważa, że te wybryki nie są takie straszne. Widział małego Konstansa, kolegę syna, zdziczałego brudas. Obaj okładają się pięściami, ale Igną do siebie. Mały Konstans okazuje nawet Szymonowi uwielbienie, odkąd ten ojcu jego, kapitanowi na emeryturze, zademonstrował jeden ze swych modeli działa i kapitan mruknął pod nosem: „Jak na żydowskiego chłopaka wcale nie najgorsze.” Ale wychowanie Szymona bezsprzecznie nie jest idealne, to trzeba Marze przyznać. Czas już, żeby się dostał w odpowiednie ręce. No tak. Łatwiej spełnić to, czego pragnie Mara, niż to, czego chce Dorion, poza tym życzenia Mary pokrywają się z jego własnymi. Zdecydował się więc. Pozostawi Pawła Dorion, sam zaś będzie się zajmował wychowaniem Szymona i kto wie, czy nie weźmie go kiedyś do swego domu. Rozwiązanie takie zadowoliliby chyba wszystkich. Nawet Żydzi stolicy pogodzą się z jego synem-Grekiem, jeżeli im zaprezentuje syna-Żyda. Nie mówił jeszcze z Dorion o swoim zamiarze. Cóż jednak mogłaby mieć przeciw niemu? Uśmiechnął się dobrotliwie, a zarazem cynicznie. Darował jej willę, należy mu się od niej zapłata. Tak to wielkoduszność przynosi nagrodę.

Zjawia się u Mary w odświętym, wspaniałym stroju. Jest pełna podziwu. Nawet krytyczny Szymon stwierdza z rzeczowym uznaniem, że Józef świetnie się prezentuje.

Właściwie Józef miał zamiar naprzód pomówić o swym projekcie z Dorion. Ale jest w dobrym humorze, chciałby rozsiewać wokół siebie radość. Niechaj Mara pozostanie w Rzymie na stałe, zezwala łaskawie. Umieści chłopca u dostojnych przyjaciół, może później weźmie go nawet do domu.

Mara pojmuje zwykle powoli, ale tym razem, ponieważ rzecz dotyczy chłopca, orientuje się od razu, jak głębokim wyłomem stanie się w jej życiu decyzja Józefa. Jeżeli chłopiec będzie się wychowywał u przyjaciół Józefa lub nawet w jego własnym domu, to znaczy, że będzie musiała się z nim rozłączyć. Nie ulega wątpliwości, że wtedy rzadko by go widywała. Pan jej i władca jest bardzo mądry.

Ale czy matka nie wie o chłopcu niejednego, co Józefowi jest nie znane? I czy Szymon nie zapomni wielu dobrych starych obyczajów? Mimo to jest uszczęśliwiona. Jej Szymon-Tinok zawojował serce ojca, wyrośnie na wielkiego człowieka, chociaż nie będzie z niego ani rabbi, ani pan, ani mędrzec w Izraelu. Całuje Józefa w rękę, każe uczynić to samo chłopcu, jest pokorna, dumna, szczęśliwa.

Tego samego dnia, w którym zgodził się na budowę willi, Józef postanowił załatwić

również sprawę ufundowania synagogi. Informuje doktora Licyniusza, że chce przyczynić się do wzniesienia synagogi. Licyniusz jest szczerze ucieszony. Zgrabnie, żeby Józefa nie upokorzyć, porusza kwestię finansową. Synagoga Józefa nie powinna być zbyt bogatym domem modlitwy. Prowizorycznie, nieobowiązująco Licyniusz ustala koszt budowy na milion siedemset tysięcy sestercji. Józefa ogarnia przerażenie. Więcej niż dwieście tysięcy nie jest w stanie ofiarować w żadnym wypadku, czy może liczyć na to, że przy tak niewielkim wkładzie synagoga zostanie nazwana jego imieniem? Ale doktor Licyniusz nie daje mu przyjść do słowa, mówi dalej. Umyślił sobie, że poniosą koszty po połowie. Niechaj Józef doda owych siedemdziesiąt cennych zwojów Tory, które uratował ze zburzonej Jerozolimy; Licyniusz uzna, że wynoszą siedemset tysięcy sestercji; Józef miałby zatem do zapłacenia gotówką jeszcze około stu pięćdziesięciu tysięcy sestercji. Te zwoje Tory to przecież najistotniejsza część składowa nowego domu modlitwy. Gdyby koszty budowy okazały się wbrew oczekiwaniu wyższe, obciążą to Licyniusza i jego grupę.

Propozycja jest wielkoduszna, szczęśliwy to dzień dla Józefa. Józef z trudem potrafi ukryć swą radość. "Przed oczyma Rzymian stoi w Świątyni Pokoju jego posąg, a w oczach Żydów przez budowę synagogi imienia Józefa pogodzi się ze swym niewidzialnym Bogiem.

Dorion zakomunikowała z dumą swemu ojcu, malarzowi nadwornemu Fabullusowi, że Józef zgodził się ostatecznie na budowę willi w okolicach Albanum. Otyły pan siedział wyprostowany, surowy, swoim zwyczajem bardzo starannie ubrany. Ponieważ jako malarz z zawodu nie miał zbyt mocnej pozycji w towarzystwie, starał się usilnie zachowywać jak najpoprawniej i jak najbardziej po rzymsku. Kiedy swego czasu Dorion, którą kochał gorąco, została żoną Józefa, ugodziło go to do żywego. Od tego czasu stał się jeszcze surowszy, jeszcze bardziej oszczędny w słowach.

A więc Dorion, ożywiona, szczęśliwa, przechwalała się cienkim, dziecinnym głosem, jak zgrabnie wszystko zaaranżowała. Już przed laty uzgodniła z budowniczym Gro-wiuszem zdumiewająco niską cenę za teren i budowę. Nie było rzeczą łatwą przez ten cały czas postępować tak, aby Growiusz się nie wycofał. Dopięła swego. I teraz po pożarze, choć ceny rosą niemal co godzinę, architekt trwa przy danym słowie.

Fabullus słuchał z ponurą twarzą. Na początku, bezpośrednio po ślubie Dorion, miał tylko nienawiść i pogardę dla tego Żyda, tego szubrawca, tego psa, którego się uczepliło jego dziecko. Nienawiść tę wzmagало to, że Józef był w dodatku pisarzem; Fabullus nie chciał słyszeć o literaturze, był rozgoryczony, że Rzym liczył się z literatami, nie cenił zaś malarzy. Ale był wielkim portrecistą, przyzwyczał się czytać w twarzach ludzkich, wyczytał z twarzy Józefa niemalą część jego losu i istoty, nie mógł pozostać ślepy, widział znaczenie tego człowieka; z biegiem lat doszło między nimi do pewnego pojednania. Tak, stopniowo rosło w malarzu Fabullusie coś w rodzaju podziwu pełnego nienawiści. Józef opisywał w swej księdze ludzi, krajobrazy, wydarzenia niezwykle obrazowo, oczyma malarza, chociaż czuł przecież wstręt do wszelkiego obrazu. W końcu stał się dla Fabullusa postacią niepokojącą. Ten człowiek posiadał magiczną siłę. Nie tylko opętał jego dziecko, ale również starego i młodego cesarza. W towarzystwie obsypywano go po prostu honorami, których brak Fabullus tak boleśnie odczuwał. Gniew Fabullusa zaostrzyła jeszcze wiadomość rozpowszechniona przez rzeźbiarza Basiliosa, że Józef sprzeciwił się temu, żeby cokolwiek posągu przeznaczonego dla biblioteki ozdobił polichromią. Sprzeciw ten nie mógł zaszkodzić opinii o nim jako artyście, uchodził bowiem za Największego malarza epoki, ale cały jego niemądry gniew na zięcia wezbrał pod wpływem tej wiadomości.

Kiedy córka zaczęła mu opowiadać o nowym szczęściu Józefa i o tym, że bogactwo jego pozwoliło mu teraz darować jej willę, o której tak długo marzyła, ogarnęła go jeszcze większa furia. Sam był zamożny, nie należał do skąpych, chętnie byłby darował posiadłość wiejską córce,

którą kochał. Jeżeli z tym zwlekał, to tylko dlatego, aby ją przekonać, że Józefowi mimo jego wielkiego, pozornego blasku brak czegoś istotnego. Było dlań satysfakcją, że swoją miłość dla Józefa musiała przynajmniej okupywać pewnymi wyrzeczeniami.

Słuchał uszczęśliwionej Dorion, jak zwykle nie odzywając się słowem. Myślał, że jego Dorion chociaż jednego odmówiła temu człowiekowi: nie pozwoliła zrobić Żyda ze swego syna Pawła. Było to dla niego pociechą. Wnuk jego będzie tak samo jak on pozbawiony praw, ale w sposobie bycia i poglądach będzie miał rzymską surowość oraz greckie wykształcenie. Myśl ta jednak tylko w nieznacznym stopniu wpłynęła na złagodzenie jego gniewu. Kiedy wreszcie Dorion, wzięwszy w dłonie jego poważną głowę, powiedziała:

— Ciesz się, ojczulku, że teraz namalujesz dla mnie *Stracone okazje* — starzejący się pan odsunął delikatnie, ale zdecydowanie jej ręce i odparł lakonicznie swym bardzo męskim głosem:

— Przykro mi, Dorion, ale nie namaluję Żydowi tego obrazu.

Dorion była dotknięta, oburzona, zdumiona.

— Co to ma znaczyć? Przecież mi przyrzekłeś. Skłonienie Józefa do tego nie było rzeczą łatwą.

— Wyobrażam sobie — rzekł stary z nienawiścią. — To jest właśnie przyczyna, dla której tego nie zrobię. Cesarz nie jest taki grymaśny jak twój Żyd — ciągnął dalej. — Cesarz polecił mi ozdobić malowidłami wielką halę Nowych Łaźni. *Stracone okazje* znajdują tam może bardziej kompetentnych, a w każdym razie bardziej życzliwych widzów niż ci, którzy je będą oglądać w posiadłości wiejskiej Flawiusza Józefa. ,

— Ośmieszasz mnie przed nim — złościła się Dorion — tyle się koło niego naskakałam. Nigdy dotąd nie złamałeś danego słowa.

— Sytuacja uległa zmianie — odparł Fabullus. — Flawiusz Józef sprzeciwił się wyraźnie, żebym dla niego pracował. Odrzucił mnie, kiedy rzeźbiarz Basilios wysunął moją osobę.

Dorion umilkła zmieszana, nic bowiem o tym nie wiedziała. Ale ojciec mówił dalej.

— Ty miałabyś się przed nim ośmieszyć? — rzekł szyderczo. — To on ośmieszył się przed całym światem niezliczoną ilość razy. Dał się wy chłostać, biegał po mieście w kajdanach niewolnika. Choć postawili jego posąg w bibliotece, pozostaje śmieszny i splamiony Żyd, pies, wyrzutek !

Dorion nie słyszała nigdy z ust swego ojca słów tak nieopanowanych. Przez chwilę była skłonna przyznać mu rację; teraz, kiedy tak wybuchnął, uczucia jej uległy zmianie. Wtedy kiedy mu zakomunikowała swą decyzję związania się z Żydem, oczekiwała od niego twardych, szyderczych słów, ale nie powiedział nic, zacisnął wargi, wytrzeszczył oczy niepokojąco. Wyglądał groźnie, uciekła prędko z domu do swego Józefa. Milczał wtedy, milczał i później, była więc głęboko zdumiona, że teraz, po dziesięciu latach, przemówił. W pierwszej chwili zabrakło jej, tak na ogół wymownej, słów. Po chwili jednak ujrzała przed sobą popiersie w honorowej hali, jego lśnienie, zagadkowy blask dookoła głowy Józefa, usłyszała uroczysty zgiełk i zdumienie jej zmieniło się w oburzenie.

— Nie pozwolę, by go znieważano! — wybuchnęła. — Nawet tobie nie pozwolę. On miałby być psem, wyrzutkiem? Ma władzę sędzić umarłych — ciągnęła dalej swym cienkim głosem. Brzmiało to trochę niemądrze, przecież sama śmiała się z Józefa, kiedy się tym przechwalał, ale teraz powtarzała jego słowa z szaleńczym, ekstatycznym, lśnieniem jasnych oczu. — Sprawuje sądy nad żywymi i umarłymi. Dana mu została moc. Jest Hermesem z głową ptaka, widziałam to wypisane na jego woskowanej tabliczce. — Cieszyła się prawie, że tak długo przemilczane i gromadzone przez ojca zarzuty wreszcie znalazły wyraz w słowach, że mogła się

przeciw nim bronić.

Mówił dalej, wymyślał brutalnie, po grubiańsku, jak woźnica. Czyniąc to żałował, że sobie tak folgował. Kochał córkę, kochał ją ze względu na jej matkę, Egipcjanke, ze względu na jej zrozumienie dla sztuki, ze względu na syna, którego wychowywała zgodnie z jego zasadami. Wiedział, że ją każdym słowem bardziej od siebie odpycha, cierpiał z powodu własnych słów, brutalne, grubiańskie wyrazy nie licowały z nim. Kiedy jednak myślał o tym człowieku, o tym Żydzie, tym szubrawcu, tym psie, tracił panowanie nad sobą i mówił więcej, niż chciał powiedzieć. Wszystko, co nosił w sobie, wybuchło z niego w sposób brudny, niski, prostacki.

Jak zwykle, bladeść pokryła naprzód wargi Dorion, potem całą twarz. Czy ten człowiek, który biegał po pokoju, wymyślał i kłął, był naprawdę jej ojcem, największym artystą epoki, do którego była tak przywiązana? Musiała kiedyś wybrać między nim i Józefem i wybrała Józefa. Ale później wszystko dobrze się ułożyło, miała męża i ojca, cieszyła się, że w domu, który jej darował mąż, znajdzie się dzieło ojca *Stracone okazje*, najlepsza z jego prac, na pół wzruszająca, na pół szydercza. I oto teraz wszystko skończyło się ordynarnymi wymysłami. Ale nie można było tego zmienić, nie potrafiła się poskromić.

— Idź — przerwała mu nagle ciekim, ostrym głosem. Była teraz zupełnie blada, brzydka. — Idź — powtórzyła — maluj swe obrazy, dla kogo chcesz, dla cesarza lub dla rzymskiego pospólstwa.

Fabullus siedział jak wówczas, kiedy mu po raz pierwszy powiedziała o swym związku z Żydem, wargi miał zacięte, oczy wytrzeszczone. Milczał jak wówczas. Bardzo pragnęła, żeby powiedział słowo, które brzmiałoby jak odwołanie lub przeproszenie. Ale nie powiedział nic, nie odwołał, siedział kołyszając się nieznacznie. Jego milczenie przytłaczało ją, aż ją rozboleł kręgosłup. Ale i ona nie cofnęła ani słowa. Kiedy wreszcie wstał, nie zatrzymała go. Wyszedł krokiem nieco chwiejnym, nie tak wyprostowany, jak zazwyczaj.

Tak stały sprawy Dorion, kiedy Józef przybył do niej, żeby jej zakomunikować, jakie ma zamiary wobec syna swego Szymona. Dobierał słowa lekkie, starał się mówić z beztróską swobodą. W gruncie rzeczy był dumny ze swego pomysłu i nie przeszło mu nawet przez myśl, że Dorion mogłaby wysunąć poważniejsze zastrzeżenia.

Blada jej, opalona twarz pozostała nieruchoma. Dowiedziała się od przyjaciół, że przybyła tu pierwsza żona Józefa; ta mieszcza z prowincji wywoływała uśmiechy; była to przygoda z lat młodzieńczych. Dorion uśmiechała się również i prędko zapomniała o całej historii. Teraz, kiedy Józef wtajemniczył ją we wszystko, rzecz nabrała dla niej innego znaczenia. Poniosła dla tego człowieka ogromne ofiary, przyjmował je jako coś naturalnego i narażał ją na coraz to nowe upokorzenia. A teraz chce tego bękarta, syna tej prowincjonalnej mieszczy, postawić na równi z Pawłem, wprowadzić go do jej domu. Czy jest taki tępy, że nie zdaje sobie sprawy, czego od niej wymaga? A może mimo wszystko łączą go z tą kobietą jakieś powiązania głębszej natury? Opowiadano jej, że to głupia otyła Żydóweczka, zupełne zero, kto wie jednak, co z nią wiąże tego dziwnego Józefa? Żyd pozostaje Żydem, Żyda ciągnie do Żydówki, jak wilka do wilczyca, psa do suki. Jeszcze wczoraj broniła go żarliwie przed ojcem, zębami i pazurami, z jego powodu wypędziła z domu ojca, jedyne go człowieka, którego kochała. A więc jego bękart ma jej zastąpić ojca! Opanowała się jednak, stłumiła złość i gorycz, powiedziała tylko twardo:

— Nie. Nie zgadzam się, żebyś tego chłopaka stawiał na równi z naszym Pawłem.

Józef dał się zwieść jej chłodnym tonem. Nic w tym dziwnego, że Dorion robi trudności przed wyrażeniem zgody. Mówił więc dalej z całym spokojem.

— Z naszym Pawłem? — zapytał. — Niestety Paweł jest tylko twoim Pawłem, nie naszym. Musisz zrozumieć, że chciałbym mieć wreszcie prawdziwego syna-Żyda. Przemyśl to w

spokoju, mądra moja, uroczą Dorion, zastanów się, czy żądanie moje jest niesłuszne.

Dorion była w dalszym ciągu nieubłagana.

— To nie ja — powiedziała złośliwie, ale nie przestając panować nad sobą — wzbraniam ci chłopca. On sam wzdryga się na samą myśl o tobie. Ma rację: przecież nie jest Żydem. Tyś dopiął celu, tyś wzniósł się wysoko ponad pospólstwo. Dlaczego mój chłopiec ma schodzić w dół do twoich Żydów? Nie chce tego instynktownie. Przypatrz mu się, pomów z nim — nie chce. Spróbuj. Zjednaj go sobie, jeżeli potrafisz.

Jej spokojne szyderstwo wzburzyło go. Czyż nie przeszkadzała temu, żeby chłopiec zetknął się z nauczycielami żydowskimi i Żydami? Czy nie wpakowała mu na kark tego Fineasza? A teraz śmie szydzić z niego, ponieważ chłopiec ma w sobie tak mało z Żyda? Wyobraził sobie Pawła, porównał go w myślach z Szymonem. Paweł był smukły, wysoki, miał spokojne, miłe maniery Fineasza; nie ulega kwestii, że w zestawieniu z nim głośny, nieopanowany Szymon nie przedstawia się najlepiej. Czy ma jednak prawo wyśmiewać się z niego za to, że nie potrafi zrobić Żyda ze swego syna Pawła? Powiedział sobie: to moja własna wina, że taka jest czelna. *Ferizus* — emancypacja, pouczają uczeni, to najgorsza cecha, jaką kobieta mieć może; przed żadnym typem kobiet nie przestrzegają tak gwałtownie, jak przed emancypantkami. Przypomniały mu się słowa Biblii: „I doznałem, iż niewiasta gorzciejsza jest niżli śmierć, która jest sidłem łowców, a serce jej niewód, ręce jej są pęta. Kto się Bogu podoba, wybiega się od niej; ale kto grzeszny jest, będzie od niej pojman.” Półgłosem, prawie niedosłyszalnie wyrecytował te słowa, jak to czynił będąc chłopcem, kiedy się ich uczył na pamięć.

— Mówiłeś coś? — zapytała Dorion.

Ale Józef już się opanował. Musi być w stosunku do niej cierpliwy. Kobiety nie są logiczne. Bóg poskąpił im rozumu konstruktywnego. Nawet dla Żydówki logika jest niemal niedostępna; jakże więc miała być logiczną Greczynką?

— Nie powinnaś tak mówić, Dorion — rzekł spokojnie. — Czyś nie czyniła wszystkiego, by go zrobić Grekiem, czy nie stawiałaś oporu, kiedy mu chciałem przyswoić choć odrobinę żydostwa? Nie robię ci wyrzutów, proszę cię jednak, bądź i ty rozsądna, nie sprzeciwiaj się temu, że chcę mieć syna-Żyda.

Ale Dorion trwała przy swoim. Chłopiec jej jest Grekiem, Grekiem z krwi i kości. Narzucenie mu żydostwa byłoby zbrodnią. Tak, nie bez trudu doprowadziła do tego, że wykształcenie i obyczaje Fineasza uszlachetniły wrodzone przymioty Pawła. Jest z tego dumna; to minimum, jakie dobra matka może uczynić dla takiego syna.

Zaciętość jej drażniła Józefa.

— I cóż wielkiego — powiedział szyderczo — możesz osiągnąć metodami twego Fineasza? Chyba to, że Paweł, kiedy dorośnie, będzie ulubieńcem wszystkich i takim samym głuptasem jak twój Anniusz i inni, którzy stanowią twoje otoczenie.

Mówiąc to Józef już żałował, że wypowiedział te słowa. Ale było za późno. Dorion blada, smukła, szczupła podniosła się. Na razie udawało się jej jeszcze panować nad sobą.

— Nie rozumiesz chłopca — powiedziała. — Jest Grekiem, ty zaś pozostaniesz Żydem, żebyś sobie nie wiedzieć jak starannie golił brodę.

Po chwili jednak, jak gdyby teraz dopiero uświadomiła sobie, co Józef powiedział, ogarnęła ją pasja. Jak śmie taki człowiek jak Józef, wybuchnęła, którego lubieźność potrafiła zaślepić, robić jej wyrzuty z powodu Anniusza! Kimże jest ta kobieta, o której syna Józef tak zaciekle walczy?

Och, wie bardzo dobrze, co to za jedna, opowiadano jej. Mieszczka z prowincji, zero, gruba, głupia Żydówka, której nawet stary Wespazjan miał dosyć po jednej nocy. I jej synalka

Józef chce teraz postawić na równi ze starannie wychowanym Pawłem? I jeszcze jej wymyśla! Skąd on w ogóle wie, że ten ulicznik jest jego synem, a nie synem Wespazjana?

Kiedy mu tak wymyślała, uświadomiła sobie z goryczą i skruchą, jak go tu wczoraj wychwalała pod niebiosy. Przecież go kocha. Przecież dała dowód, że gotowa jest dostosować się do niego, być mu posłuszną, nawet nie rozumiejąc go. Dlaczegoż zupełnie się z nią nie liczy? Dlaczego zmusza ją, żeby mu tak ordynarnie wymyślała. Obsypując go obelgami była bardzo blada, z trudem podsycala gniew na przekór wielkiej dla niego miłości.

Pod wpływem słów Dorion, smagających jak uderzenie bata, wygolona twarz Józefa pokryła się rumieńcem. Był gotów rzucić się na nią, zbić pięściami to szczupłe, zuchwałe, wiotkie ciało, uderzyć ją przyborami do pisania. Poprzez jej rysy widział uprzejme, szydercze oblicze Fineasza, jej cienki głos miał w sobie coś z jego pięknie brzmiącego, wytwornego głosu. Ale w gniewie swym był świadom tego, że przemawiają teraz przez nią znoszone od lat upokorzenia. Myślał o tym, jak wiele mu poświęciła, miał wrażenie, że poprzez jej słowa płyną ku niemu jej ukryte myśli. Widzi ją przed sobą, kiedy pozwoliła się odprawić bez słowa o synu, o tym synu Pawle, którego miała pełne prawo nazywać swoim, gdyż był to jej syn, nie jego. Czy to nie jego wina, że się tak zmieniła? Nie powinien przykładać zbyt wielkiej wagi do jej słów. Jest wzburzona. Wymyśla mu na razie, ale za godzinę już będzie tego żałowała. Nie wiedział, że żałowała swych słów, zanim je wypowiedziała.

Podszedł do niej, usiadł obok, przyciągnął ją do siebie, zaczął mówić do niej bardzo łagodnie. Ma rację. Jest Żydem, ona Greczynką; tylko w najlepszych, najszcześniejszych chwilach mogą stanowić jedno. Tak zrzędziło niebo. Ale właśnie dlatego to proponuje. Niech Dorion pomyśli o tym, że propozycja ta pociąga ofiarę również i z jego strony: rezygnację z Pawła. To nieprawda, że zawsze chce tylko brać, że nigdy nic nie chce dać w zamian. Już choćby to, że się zgodził na budowę willi, nakłada na niego znaczne ciężary.

Nie powinien był wypowiedzieć tych ostatnich słów. Zerwała się, oddaliła się od niego o parę kroków. Twardo, zimno, głosem, którego spokój bardziej go poruszył i przeraził niż jej gniew, oświadczyła, że zna wielu mężczyzn, którzy by z wielką radością darowali jej taką willę, a nawet piękniejszą, bez wypominania jej tego. A co się tyczy fresku *Stracone okazje*, to jego ustępstwo jest już zbyt duże. Ojciec jej nie chce go namalować dla niego — namaluje go dla cesarza.

Oczy Józefa nabrały ze zdumienia niemal głupiego wyrazu. Nie rozumiał powodów, związku, nie rozumiał tych ludzi. Milczał. Dorion, podniecona przypomnieniem sceny z ojcem, stała się gwałtowniejsza, straciła panowanie nad sobą.

— Odpraw tę kobietę — zażądała nagle twardo, władczo — odpraw i ją, i bękarta.

Józef, zaskoczony jej słowami, spojrział na nią. Przekonał się, że rozumowanie jego było fałszywe. Znał ją dobrze, ale nie do gruntu. W przeszłości wymagał od niej tak wiele, że teraz nawet uzasadnione żądanie doprowadzało ją do pasji.

— Odpraw tę kobietę — upierała się. Zupełnie już nie panowała nad sobą.

Jak zawsze, kiedy spadało na niego coś zaskakującego, złowrogiego, Józef stał się zimny jak lód, poskromił uczucia, przywołał na pomoc rozsądek.

— Zastanów się spokojnie nad moją propozycją, Dorion — poprosił obojętnie. — Pozwól, niech miną dwie, trzy noce. A co się tyczy budowy, nie zwlekaj z nią, wymagaj pośpiechu. Zapłaciłem dwie raty. Dobrze się nad wszystkim zastanów, Dorion. — Wziął w dłonie jej podłużną głowę, Skóra jej była delikatna i bardzo chłodna. Ucałował ją, przyjęła pocałunek bez sprzeciwu. Potem odszedł.

Józef zażądał od Klaudiusza Reginusa zaliczki na swe przyszłe prace w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy sester-cji. Jak przewidywał, rozmowa w tej sprawie nie należała do

przyjemnych. Wprawdzie Reginus zapłacił, ale jak było w jego zwyczaju, wręczył mu skrypt wypowiadając ironiczne, kwaśne uwagi natury ogólnej. Dziś był wyjątkowo opryskliwy. Od śmierci Wespazjana, dowodził, nastąpiła era marnotrawców. Gdyby stary widział, jak Tytus trwoni lekką ręką kapitał, który z takim trudem zgromadził, podniósłby z grobu palec i pogroził nim.

— Wespazjan — zrzędził dalej — nie rzuciłby ci takiej sumy za nową wersję *Wojny żydowskiej*. Dorion musi oczywiście mieć swoją willę. Czy należy spełniać wszystkie kaprysy dam? To, że teraz budujesz, nie podoba mi się. Wszyscy chcą teraz budować. Nasz Tytus pakuje dalsze dwanaście i pół miliona w swój amfiteatr. Igrzyska, które odbędą się z okazji jego koronacji, muszą trwać sto dni. Każdy dzień kosztuje prawie pół miliona. Stary oszalałby. Z pomocą Jowisza i moją pozostawił kilka miliardów. Jeżeli będziemy tak dalej gospodarowali, wkrótce już zbankrutujemy. Nie chodzi o tę jednorazową sumę. Jest wysoka, ale ostatecznie można ją zdobyć. Chodzi o stopę życiową. Po łaźniach i amfiteatrze nasi kochani Rzymianie zapragną jeszcze jednego krużganku, po krużganku zechcą świątyni. Nie można urządzać co roku studniowych igrzysk. Poczujesz to na sobie, rabbi Józefie. Twoja Dorion będzie musiała mieć w swojej willi dwunastu nowych niewolników, okażą się potrzebne konie i pojazdy. Obniżyliśmy ceny, to prawda. Pół korca pszenicy kosztuje pięć sestercji, za czternaście sestercji można dostać parę dobrych trzewików. Krawiec żąda obecnie tylko siedmiu sestercji za dzień pracy, pisarz zadowala się trzema i pół sestercjami za napisanie stu wierszy. Są to sumy, które cię nie zrujniają, które możesz wytrzymać. Ale otworzysz szeroko oczy zobaczywszy, jak zaczniesz rosnać twój budżet z chwilą, gdy Dorion osiadzie w twojej willi. Spójrz na mnie. Ta chlami-da ma cztery lata, te trzewiki trzy. Mógłbym sprawić sobie nowe, nie uważam jednak za rzecz rozsądną podnoszenie w nieskończoność mojej stopy życiowej. Nie jestem zadowolony, rabbi Józefie, że zamęczasz sobie głowę sprawami finansowymi zamiast starać się, by była jasna i swobodna dla twego dzieła *Historia Żydów*. Wpakowałem w ciebie niemało, rabbi Józefie. Mniej więcej o dwa tysiące procent więcej niż w twojego kolegę Justusa z Tyberiady; życie zaś w Rzymie jest droższe tylko o trzydzieści siedem procent od życia w Tyberiadzie. Tak, tak — westchnął wystawiając skrypt dla Józefa.

„To nie ja — powiedziała Dorion — wzbraniam ci chłopca. On sam wzdraga się na samą myśl o tobie. Spróbuj. Zjednaj go sobie, jeżeli potrafisz.” Słowa te zżerały Józefa. Dorion miała rację, między nim a Pawłem zawsze istniała obcość. Ale co było tego przyczyną? To prawda, że dzieci go nie interesują, że trudno mu jest wczuć się w nie. Był sam dzieckiem przemądrzałym, dorósł prędko, wspominał niechętnie swe wczesne dzieciństwo. Czuł się swobodniejszy i szczęśliwszy dopiero z biegiem lat, dopiero wtedy miał poczucie, że rośnie, dojrzewa. Mimo to, kiedy naprawdę chciał, potrafił zjednywać sobie również ludzi bardzo młodych; zdarzało się to jednak rzadko. Chętnie pozyskałby dla siebie swego syna Pawła, kochał go bowiem. Dlaczego był tak bezradny w stosunku do niego i nie potrafił okazać mu swej miłości? Chłopiec był jedyną istotą, wobec której odczuwał zakłopotanie. Zawsze czuł się wobec Pawła zakłopotany, i teraz nie potrafił przezwyciężyć obcości. Dorion miała rację.

Stwierdzał przy tym z goryczą i radością, że Paweł jest synem, którego można kochać, który mógł napawać dumą. Dziewięcioletni chłopiec miał ciało delikatne, ale mocne, ruchy lekkie i pewne. Na długiej szyi unosiła się wąska, ciemna głowa, głowa matki, ale miał namiętne oczy ojca, lśniące władczo w szczupłej, delikatnej twarzy.

W szkole Nikiasa, do której chodził, niewielu miał przyjaciół między kolegami. Nie tylko dlatego, że nie wolno mu było nosić stroju takiego jak inni chłopcy, Rzymianie stanu mieszczańskiego — wśród osiemdziesięciu uczniów szkoły Nikiasa dwudziestu czterech nie miało na swych strojach wypustek oznaczających przynależność do stanu mieszczańskiego — ale

również dlatego, że uchodził za pyszałka. Podczas zabaw lub kiedy w walkach kogutów, które urządzali koledzy, brały udział również jego własne koguty, kończyło się to przeważnie nie tylko bijatyką — to nie byłoby takie straszne — ale wymianą ostrych, złośliwych słów, które sobie później długo nawzajem wypominano. Koledzy czuli respekt przed Pawłem, był odważny, nie można temu zaprzeczyć, podobała im się nawet jego pycha; kiedy zajeżdżał przed szkołę pojazdem zaprzęgniętym w kozy, najpiękniejszym ze wszystkich na tej ulicy, byli z niego dumni. Nie przeszkadzało im to kpić z koziego zapachu, który go stale otaczał, ten bowiem, kto chce mieć piękny zaprzęg, nie może pozostawiać niewolnikowi pieczy nad zwierzętami, lecz musi sam dbać o wszystko. Od kpin z koziego smrodu była niedaleka droga do obraźliwych wymyślań na smród żydowski. Paweł wiedział, że te obelgi płyną z zawiści, że zazdroszczono mu zarówno jego kóz, jak ojca, ale mimo to szyderstwo nie mniej go bolało. Nie dawał tego po sobie poznać, mały Rzymianin winien tłumić gniew. Zaciskał wargi, z dumną miną patrzył nad głowy kolegów. Był kimś niezwykłym. Podnosiło go to na duchu i równocześnie zżerało.

W gruncie rzeczy marzył o tym, żeby się bawić z kolegami. Jakże chętnie ugniatałyby z wosku i gliny figurki, wyobrażające zwierzęta, jakże chętnie brałby udział w robieniu prymitywnych karykatur nauczycieli, kolegów i znajomych. Ale był porywczy, wiedział, że może łatwo dojść do sprzeczki, nie mógł znieść, gdy mu wymyślano od Żydów. Kiedy mu ubliżano, nie znajdował odpowiedzi. Wskutek tego mimo woli coraz bardziej ciągnęło go do dorosłych. Spędzał wiele czasu z matką, podziwiał starego, sztywnego, niezwykle wytwornego Waleriusza, podziwiał lekliwie z oddalenia białą, surową Tullię, chętnie prowadził rozmowy z hałaśliwym, pewnym siebie pułkownikiem Anniu-szem, z którym można było od razu być na poufalej stopie, lgnął coraz bardziej do swego nauczyciela Fineasza. Czuł się najlepiej, kiedy mógł być z nim albo zajmować się swoimi kozami.

Powodziło mu się dobrze. Uczył się łatwo. W nauce języka greckiego, w historii górował bez trudu nad kolegami. Jako jedyny syn zamożnych rodziców, był dobrze ubrany, miał najlepsze maniery, najlepszy zaprzęg, najpiękniejsze kozy. Inna sprawa, że często w szerokich rękawach swego stroju ukrywał wosk i kit, żeby lepiej figury, co się odbijało na schludności i czystości jego ubioru. Mimo to bezspornie należał do najwytworniejszych, najzgrabniejszych chłopców w szkole Nikiasa. Przeszkadzało mu tylko, czego sobie w całej pełni nie uświadamiał, że ojciec jego jest Żydem. Ojciec jego należy do rzymskiej szlachty, jest wielkim pisarzem, przyjacielem cesarza, kocha go i jest z niego dumny, ale ojciec jego jest Żydem. Nikt nie potrafi powiedzieć Pawłowi, co to właściwie znaczy. Musi to być coś dobrego, inaczej ojciec jego nie byłby Żydem, ale równocześnie i coś złego, w przeciwnym bowiem razie matka zgodziłaby się, żeby i on również został Żydem, a przez to młodym rzymskim szlachcicem. Na jego pytania pocieszano go odpowiedzią, że mu to wytłumaczą, jak będzie starszy. Oddałby swój zaprzęg razem z kozami, gdyby się mógł wyrwać z tej zagmatwanej sytuacji.

Będąc z ojcem, przypatrywał mu się często lekliwie, usiłował zbliżyć się do niego. Oglądał jego ręce, nagał skórę jego nóg. Wszystko to zdawało mu się obce, ale był to przecież jego ojciec, którego skórę głaskał z zaciekawieniem i czule; ojciec albo tego nie dostrzegał, albo cofał się nieco zdumiony. Najbardziej interesowała chłopca broda ojca, trójkątna, krucza, kunsztownie fryzowana. Jako małe dziecko próbował często bawić się nią, targać ją. Później powiedziano mu, że tylko ludzie Wschodu noszą takie brody. Kiedy ostatnio broda znikła, ogolona twarz ojca wydawała mu się jeszcze bardziej obca od brodatej i nieraz tęsknił za jego surowym, pięknie wypielęgnowanym zarostem. Zdarzało się, że ojciec opowiadał mu legendy żydowskie albo opisywał wspaniałości Świątyni. Choć w książkach swych kształtował to tak dobrze, nie umiał jakoś przedstawić tego interesująco w słowie. Fineasz piękniej i subtelniej opowiadał chłopcu historie ze świata greckiego. Również język grecki ojca był kiepski, pełen

akcentów i zwrotów, których mu Fineasz surowo zabraniał. Paweł słuchał uprzejmie, ale był zadowolony, kiedy ojciec dobiegał do końca.

Pewnego razu zapytał wuja Annusza bez ogródek, jak to jest z Żydami, czy to są barbarzyńcy? Wuj stropił się, ale trwało to chwilę, i odpowiedział chłopcu głośno, serdecznie i szczerze. W czasie wojny Żydzi dowiedli, że są dzielnymi żołnierzami. Co do tego nie ma dwóch zdań. Uważa za nieprawdopodobne, żeby w swej Świątyni oddawali cześć osłu albo zabijali greckich młodzieńców. Ale tkwią po uszy w zabobonach. Zabobony te skłaniają ich na przykład do tego, żeby co siódmy dzień, a więc siódmą część życia, leniuchować. Nie jest to jednak zwykle próżniactwo. Sam był świadkiem, jak pewni Żydzi owego siódmego dnia pozwalali się zabijać nie stawiając oporu, zgodnie z zabobonem. Trzeba ich brać takimi, jakimi są. Prawdziwy Rzymianin potrafi uporać się z każdą żyjącą istotą na ziemskim globie. Barbarzyńcy? W pewnym sensie tak, z pewnością, ale należą do wyższej, subtelniejszej odmiany. Nie można ich stawiać na równi z Niemcami i Brytyjkami.

Paweł myślał często i długo o tej rozmowie, najchętniej kiedy w stajni przygotowywał paszę dla swych kóz. Zdobycie i zestawienie paszy dla kóz nie jest pracą łatwą. Są wybredne, wybredny zwłaszcza był piękny, wytrzebiony koziół Paniskus, z którego chłopiec był dumny. Potrzeba im suchych, dobrych ziół, skrupulatnie odważonych porcji soli i bardzo dużo świeżej zieleniny, o którą nie zawsze w mieście łatwo. Paweł krajał i mieszał, kozy tłoczyły się koło niego, ocierały się o niego, żuły hałaśliwie, on zaś rozmyślał. Pewnego razu spadło na niego olśnienie. Jeżeli Żydzi są barbarzyńcami, jeżeli ojciec jego jest Żydem, to dobrze być barbarzyńcą. Był teraz dumny, że pochodzi od barbarzyńcy. Ukończył pracę, ale nie opuszczał stajni. Tkwił w swym kącie. Przy akompaniamencie smacznie chrupiących kóz snuł dalej swoje rozmyślenia.

— Tak, mój Paniskusie — powiedział po jakimś czasie z zadowoleniem i podrapał zajadającego kozła za spiczastym, małym uchem. Józef wiedział oczywiście, że chłopiec słyszy niejedno przykre słówko w związku z tym, że ojciec jego jest Żydem, ale nie miał pojęcia, jak bardzo to Pawła dręczy, a Paweł nic mu o tym nie mówił. Nawet w owe dni, kiedy w uszach jego brzmiały twarde słowa Dorion, nie przeczuwał nawet, co miota sercem jego syna.

W owym czasie spotkał kiedyś Pawła niespodziewanie na Polu Marsowym. Chłopiec powoził swymi kozami. Józef był rad ze spotkania. Siedział w lektyce, zaproponował chłopcu wyścig, kto prędzej będzie w domu: Paweł pojazdem, ciągnionym przez kozy, czy też jego doświadczeni tragarze z Kapadocji. Był niemal tak dumny jak Paweł, kiedy chłopiec nieco go wyprzedził.

Zaproponował synowi, żeby wszedł do jego pracowni. Czynił to rzadko, był to dla chłopca wielki zaszczyt. Ojciec i syn gawędzili. Rześki, krzepki chłopak siedział naprzeciw ojca wyprostowany, padał na niego blask gorącego popołudniowego słońca. Józef znowu porównał w duchu syna Mary z synem Dorion; syn Żydówki wydał mu się ociężały i niezgrabny.

Zapytał i dowiedział się, że Paweł w szkole i z Fineaszem czyta obecnie *Odyseję*, a mianowicie pieśń piętnastą. Józef gorliwie studiował w Rzymie Homera. Dobrodusznie, z niemądrą, a równocześnie dumną miną zacytował parę wierszy. Chłopiec słuchał uprzejmie. Szlachetne greckie dźwięki brzmiały w ustach Józefa nieharmonijnie. Tak, Żydzi są barbarzyńcami, szpecą język grecki swym akcentem. Oczywiście, skoro ojciec jest barbarzyńcą, można być dumnym z tego, że się należy do barbarzyńców, ale mimo to, kiedy Józef skończył, Paweł nie umiał oprzeć się pokusie zacytowania kilku wierszy nieskazitelnym akcentem i wytwornym tonem; była to proza pomieszana ze śpiewem, taka, jakiej nauczył go Fineasz. Józef, wcale nie urażony, słuchał z radością pięknych zwrotów płynących z ust chłopca. Tak, Fineasz jest mistrzem w języku greckim. Józef był tak dumny ze swej znajomości greckiego, kiedy pisał

swą księgę o Makabeuszach! Teraz wie, jakie to mizerne. Fineasz powinien był przetłumaczyć *Psalm obywatela świata*. Szkoda, że jest taki złośliwy.

Chłopiec recytował w dalszym ciągu: „Patrz, i ja musiałem opuścić kraj ojców i stałem się wśród ludzi obcym i wygnańcem.” Paweł skończył, echo wierszy unosiło się w pokoju. Józef słyszał tylko ich brzmienie, teraz rozmyślał nad ich sensem — miały gorzki posmak.

— Mój akcent grecki nie jest dobry — powiedział nagle, na pozór bez związku. Brzmiało to jak prośba o przebaczenie. Zadawał sobie pytanie, jakim komentarzem do Homera Fineasz posługuje się; istnieje kilka dobrych komentarzy, cztery czy pięć, jeden z nich napisany przez Apiona, jest naszpikowany antysemitkami napaściami. „Jeżeli posługuje się Apionem — mówił sobie Józef w duchu — wyrzucę go.” Nie miał jednak odwagi zapytać syna.

Tymczasem Paweł machinalnie ugniatał kit, który nosił w szerokim rękawie.

— Co ty tam grzebiez? — zapytał Józef.

Chłopiec, przed chwilą pełen dumy, że przewyższa ojca w opanowaniu języka greckiego, zarumienił się teraz po uszy. Józef, który śmiał się rzadko, teraz zaśmiał się dobrodusznie. W głębi duszy myślał: „Świadomie uczą go wszystkiego, co mi jest wzbronione i nienawistne. Jeżeli Fineasz posługuje się komentarzem Apiona, wyrzucę go.”

W kilka dni później wszedł do pokoju Pawła w czasie lekcji z Fineaszem. Usiadł i przysłuchiwał się. Fineasz pracował gruntownie, dokonywał rozbioru wierszy, nie cofał się przed żadną trudnością, ale objaśniał dziecku wszystko w formie zrozumiałej i łatwej do przyjęcia. Józef słuchał z zainteresowaniem. Homer był dla Greków tym, czym Biblia dla Żydów. Homer składał się z samych pięknie zabarwionych kłamstw i fantazji, ale można było bardzo dowcipnie komentować te fantazje. Była to metoda inna, dobrze jednak szkolila umysł. Byłoby rzeczą zabawną opukać raz krytycznie Homera przy pomocy tych metod, które w żydowskich wyższych szkołach stosowano przy komentowaniu Biblii. Próbowałby w ten sposób zaznajomić Pawła z Homerem. Szkoda, że to niemożliwe.

Józef grzebał w leżących na stole rękopisach z uśmiechem i zainteresowaniem, z jakim dorosły ogląda dziecinne zabawki. Nagle, w trakcie przelotnej lektury pewnej otwartej księgi — był to jeden z nowomodnych oprawnych papirusów, których Józef nie cierpiał, przyzwyczajony do starych, solidnych zwojów pergaminu — poruszyły się jego serce i umysł. Czy to nie?... Rzucił okiem na kartkę tytułową. Ależ tak, to komentarz Apiona.

„Zachować spokój — nakazał sobie Józef. — Nie dać się unieść, nie okazać chłopcu, że się gniewam. Muszę wyrzucić Fineasza. Jeżeli się na to odważył, nie mogę go dłużej tolerować; byłby to obłąd. Ale ciekaw jestem, czy będzie miał czelność w mojej obecności posługiwać się tą książką.” Józef śledził teraz słowa Fineasza z wielkim wysiłkiem, oczy przysłaniała mu furia, oddychał z trudem. Był jednak pewien, że dotychczas Fineasz nie zacytował jeszcze Apiona. Nic nie mówił, słuchał, czekał.

Mądry Fineasz dawno pomiarkował, o co chodzi. Od chwili ukończenia ostatniej pracy liczył się z tym, że Józef wkrótce pozbawi go chleba. Nie przejmował się tym. Nie miał wielkich potrzeb, prawo zaś zmuszało Józefa do zagwarantowania minimum egzystencji człowiekowi, którego wyzwolił. Przykro byłoby mu tylko, gdyby go pozbawiono wpływu na chłopca, którego pokochał. Ale nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby z tego powodu zapierać się swej greckości i swej greckiej prawdy.

Obojętnie więc powiedział w jakieś pół godziny po zjawieniu się Józefa:

— Apion jest zdania... — powiedziawszy to, sięgnął po książkę i zaczął ją cytować. Józef przerwał mu:

— Czy naprawdę chcesz zaznajomić mojego syna z tym komentarzem? Mojego syna?

Głos ma zachrypnięty, tłumy go, żeby nie wybuchnąć, mówi cicho, ale w słowie „mojego”

tkwi bezmiar oburzenia.

— Czy uważasz, Flawiuszu Józefie, że ten komentarz Apiona do Homera jest błędny? — pyta Fineasz ze spokojem.

Paweł spogląda ciekawie to na jednego, to na drugiego.

— Ale na ten temat nie trzeba chyba dyskutować z pisarzem Flawiuszem Józefem — ciągnie Fineasz uprzejmie. — Czy znasz kogoś innego, kto znalazłby na pochwałę pisarza słowa tak odpowiednie, jak to uczynił Apion? Czy nie uderzyło cię, że senator Marull w hymnie pochwalnym przed twoim popiersiem powołał się na Apiona? Sądzę, że nie ma chyba lepszego środka dla ukazania naszemu Pawłowi — słowo „naszemu” wypowiedział z naciskiem — jak wysoki i zaszczytny jest zawód jego ojca.

Położył książkę na stole. Józef chwycił ją odruchowo, zwykł obchodzić się pieczołowicie ze słowem pisanym, ale nie umiał powstrzymać się, chwycił ją tak gwałtownie, że ją lekko uszkodził. Wciąż jeszcze poskramiał swój głos, by nie wybuchnąć krzykiem.

— I naprawdę — powiedział — dajesz chłopcu do czytania plugawe bzdury, które ten Egipcjanin wylewa jak pomyje na naród jego ojca?

Mówiąc to myślał sobie: „No tak, teraz przekroczyłem granicę, teraz go wyrzucę. Ale muszę to zrobić spokojnie. Jakaż to jednak rozpacz, że nie przetłumaczy mego *Psalmu kosmopolitycznego*. Poza tym dobry z niego nauczyciel. Szkoda, że jest taki złośliwy. Siedemdziesięciu siedmiu ludzi ma w świecie posłuch; jestem jednym z nich. Ale mój syn mi nie wierzy. Wierzy Fineaszowi, Fineasz zatruwa mego chłopca, kradnie mi go na zawsze, plugawi go brudem tego parszywego psa egipskiego. Więc go wyrzucę.”

Z wielkiej, bladej twarzy Fineasza odpłynęła wszystka krew. Ale odpowiedział spokojnie, wytwornie i chłodno, jak zazwyczaj:

— Nie wiem, czy nie pominąłbym wrogich Żydom słów komentarza, które zresztą nie mają znaczenia. Ale jedno muszę powiedzieć: Miałem zamiar za dwa, trzy lata przeczytać z naszym Pawłem broszurę Apiona *Przeciw Żydom* oraz *Historię egipską* kapłana Manetho. — Były to najbardziej zaciekle antyżydowskie utwory, znane w owej epoce.

„Zachować spokój” — raz jeszcze powiedział sobie Józef.

— Czy w szkole również czytacie komentarz Apiona? — zwrócił się do Pawła. Postawił to pytanie głosem opanowanym. Ale był w tym głosie taki gniew, że Paweł wstał i stanął przy boku Fineasza. Czy była to ucieczka, czy przyznanie się?

— Tak — odpowiedział za chłopca Fineasz — w szkole Nikiasa czytają również komentarz Apiona. I słusznie. Uważałbym za błąd — dodał patrząc jasnymi oczyma niby badacz przyrody w pozbawioną zarostu, namiętą twarz Józefa — gdyby się chłopcu wzbraniało książek Manetho i Apiona. To, co ci autorzy mówią o Żydach, jest może w drobnej części słuszne, przeważnie jednak fałszywe. Na przykład uważam za nonsens twierdzenie, jakoby Żydzi brali kiedykolwiek udział w mordowaniu greckiego pacholęcia — ale to jest zdanie wielkich mężów i nie można go przemilczać. Nie jest moim zadaniem wychowywać naszego Pawła w ten sposób, żeby kiedyś, gdy będzie studiował *Wojnę żydowską*, czytał to dzieło bezkrytycznie. Może oceni jego zalety podwójnie, jeżeli pozna również opinie innych.

Wobec tak zimnego, uprzejmego szyderstwa załamał się z trudem utrzymywany spokój Józefa.

— Nadużyłeś podstępnie mego zaufania, Fineaszu — powiedział. — Jesteś szubrawcem, wyzwoleńcze Fineaszu.

Powiedziawszy to ostrożnie położył na stole książkę Apiona. Mówił cicho, ale głos jego był pełen bezgranicznej nienawiści, od której wykrzywiła się jego twarz. „Jakież ja robię głupstwo — pomyślał. — Jak mogę robić podobne głupstwa w obecności chłopaka?”

Powiedziałem: jesteś szubrawcem. Po prostu obłąd. Czy już ktoś nie powiedział kiedyś o mnie w mojej obecności, że jestem szubrawcem? Czy Paweł nie przygląda mi się bacznie? Tak, Paweł patrzy mi w twarz, słyszy mój głos, nauczył się, że mężczyzna winien być opanowany, że ten, kto nad sobą nie panuje, zasługuje na pogardę, jest barbarzyńcą. Paweł pogardza mną, jestem dla niego barbarzyńcą. Teraz wzniosłem własnoręcznie między sobą i Pawłem olbrzymi mur. Dureń ze mnie. Fineasz jest wprawdzie szubrawcem, ale on jedyny potrafiłby przełożyć mój psalm. Jak imponująco wyglądał w Świątyni Pokoju, kiedy po odczycie Diona przemawiał do senatorów. Dureń ze mnie. Nie powinienem był wdawać się z nim w spór.”

Chłopiec stojący bardzo blisko swego nauczyciela schował jedną dłoń w rękawie i nerwowo ugniatał kawałeczek kitu, drugą uczeplił się Fineasza. Błady, z podniesionymi brwiami, spoglądał na ojca, który do tego stopnia stracił panowanie nad sobą.

— Byłeś moim panem, Flawiuszu Józefie — powiedział Fineasz — byłem twoim niewolnikiem, wedle prawa winien ci jestem szacunek i posłuszeństwo. Ponadto jestem zdania, że człowiekowi nie do twarzy ze złością; próbowałem od dawna wpoić to przekonanie Pawłowi, nie chcę należeć do tych, których postęпки przeczą słowom. Cóż mam ci odpowiedzieć, Flawiuszu Józefie? Nie uważam, żebym nadużył czyjegokolwiek zaufania. Niestety nigdy nie rozmawiałeś ze mną o Pawle, ale miewałem często sposobność omawiania moich metod nauczania z Dorion. Uważa je za słuszne.

Józef nie umiał znaleźć odpowiedzi na ten ostatni, piekielny argument Greka. Tak, nie dorósł do Fineasza. Posąg jego, wykuty w korynckim spiżu, stoi w Świątyni Pokoju, napisał dzieło, wychwalane przez Wschód i Zachód, ale nie stał się panem tego, kogo wyzwolił, był śmiesznym błaznem w swoim własnym domu, nie było mu dane ustrzec syna, którego kochał, od błędnych nauk Greka.

— Nie aprobuję twoich metod nauczania, Fineaszu — powiedział w końcu sucho. Było to stosunkowo niezłe wycofanie się, głos jego nie zdradził w niczym jego gorzkich, bezradnych myśli. — Nie życzę sobie twoich usług ani w charakterze wychowawcy, ani jako sekretarza. — Poglądził książkę Apiona, uśmiechnął się do Pawła, który stał blady, trzymając się bardzo blisko swego nauczyciela, i oddalił się.

Następnego dnia zjawiała się garderobiana Dorion i sztywno zapytała z polecenia swojej pani, czy Józef zechce ją przyjąć. Józef odpowiedział: „Oczywiście” — ale czuł się nieswojo i niepewnie.

Po krótkiej chwili weszła Dorion, chłodna, uprzejma. Józef nie lubił przewiewnych sukien, które zwykła była nosić w domu. Ale dziś wolałby ją ujrzeć w jednej z nich zamiast w stroju wizytowym, w którym przed nim stanęła. Przystąpiła od razu do rzeczy. Wybuch Józefa, sposób jego zachowania się w obecności syna wyczerpał jej cierpliwość. Fineasz jest idealnym wychowawcą chłopca, takim właśnie, jakiego Pawłowi potrzeba. Dorion nie chce żyć dłużej z człowiekiem, który pozbawia jej syna wychowawcy. Wie, że tego rodzaju argument nie jest wystarczający dla sądu, który decyduje o rozwodach, ale, jak się tego dowiedziała od przyjaciół, sam fakt, że Józef sprowadził do Rzymu swą dawną konkubinę wraz z jej synem, stanowi dla tego sądu powód dostateczny. Prosi go więc, żeby w ciągu trzech dni zakomunikował jej, czy się zgodzi na rozwód polubownie, czy też zechce ją zmusić do procesu.

Józef był bezradny, pełen goryczy. Wiedział, że Dorion nie mówi tego serio, że tą groźbą chce go jedynie zmusić do pozostawienia Fineasza. Ale dotychczas nigdy nie stosowała środków tak brutalnych. W dodatku poinformowała przyjaciół o całej sprawie, skompromitowała go przed tym nieznośnym Anniuszem, przed zidiociałym, cierpiącym na uwiad starczy Waleriuszem, przed całą odrażającą kliką. A przecież sama wpakowała go w tę historię z Fineaszem. Czyż szydząc z niego nie wzywała go, żeby sobie zjednał Pawła? Nie przerywając jej słuchał teraz z

ponurą miną. Kiedy skończyła, powiedział sucho po chwili milczenia:

— Dobrze, zastanowię się nad tym.

Żałował tych słów, zanim jeszcze zapadła noc. Zastanawiać się? Bzdura. Ani mu się śni rezygnować z niej. Co takiego? Ma się rozstać z Dorion i Pawłem, ponieważ jakiś tam Fineasz uważa Apiona i Manetho za dobrych pisarzy? Przecież wiedział o tym od dawna. I powinien był od dawna przewidzieć, że Fineasz nie zapoznaje Pawła z Biblią i prorokami, lecz z Homerem i Apionem. Józef staje się zbyt wygodny, coraz częściej daje się powodować instynktem, a nie rozumem. Musi brać zimne kąpiele, może wówczas będzie mniej skory do wybuchów. Zachował się niegodnie. Jego syn, wychowany w zasadach stoickiego opanowania, nie zapomni mu tego tak łatwo.

Musi jakoś załagodzić tę sprawę.

Nie zastanawiając się długo, bez meldowania, idzie do Dorion, otwiera drzwi. Leży na sofie, nie uszmkowana, w pasji, tonąc we łzach. Oczy jej nie mają już cienia dzikości, są to mętne, zadąsane oczy dziecka. Siada przy niej, obejmuje ją ramieniem, zaczyna mówić ciepło i serdecznie.

Złączeni uściskiem dochodzą do porozumienia. Wszystko pozostanie po staremu. Józef cofnie dymisję Fineasza. Dorion nie mówi już o wypędzeniu Mary, zapowie, żeby Fineasz oszczędził jej synowi lektury Apiona i Manetho.

Księżniczka Berenika pływała czas jakiś w basenie swego niewielkiego frigidarium, pod okiem lekarza przybocznego pozwalała namaszczać i rozcierać ciało swemu masażystce. Kiedy odrzucała głowę w tył, skóra na szyi była gładka i szlachetna, przy opuszczeniu jednak głowy widać było fałdy, mimo iż starannie pielęgnowała swą urodę.

Podczas gdy lekarz nadworny, masażysta i służebna krzątali się koło niej, gawędziła z bratem, królem żydowskim Agryppą. Od najwcześniejszej młodości rodzeństwo pozostawało ze sobą w najbliższych stosunkach; Berenika nie krępowała się Agryppy, nie wstydziła się przed nim swej nagości, zapytywała rzeczowo, czy skóra jej nie zwiotczała i czy nie wygląda staro. Zielonkawe, wodniste światło napełniało pływalnię, przypominającą piwnicę oraz halę gimnastyczną; panował miły chłód.

— Należałoby powiększyć pływalnię — powiedziała Berenika z pewnym roztargnieniem.

— Dlaczego nie — odparł również nie bez roztargnienia Agryppa. Rodzeństwo, najbogatsza na Wschodzie para książęca, znane było w całym świecie z pasji budowania; dziś jednak ani Berenika, ani Agryppa nie zaprzęтали sobie głowy żadnymi projektami w tej dziedzinie.

— Mocniej! — rozkazała Berenika masażystce rodem z Macedonii, pochylonemu nad jej nogą.

— Nie za mocno, księżniczko — przestrzegał lekarz. — Będzie księżniczka miała jeszcze silniejsze bóle.

Istotnie twarz Bereniki była lekko wykrzywiona. Obecni wiedzieli jednak, że zgodziłyby się znieść ból dziesięciokrotnie gorszy, gdyby mogła swą nogę prędzej wyleczyć.

— Czy istotnie nic nie zauważono? — zapytała Berenika brata po raz trzeci z pewnym lękiem.

— Przecież bym ci to powiedział — uspokajał ją Agryppa. — Czy kiedykolwiek zatailem coś przed tobą, Ni-kion? Proszę jej to potwierdzić, doktorze — zwrócił się do lekarza. — Czy nie postanowiliśmy zgodnie, Nikion, że w żadnym wypadku nie będziemy się nawzajem okłamywać? Powinnaś być poinformowana o każdym najdrobniejszym szczególe.

— Dziś rano, księżniczko — oświadczył lekarz — miałem tak mało sposobności do zajęcia się jej osobą, że mogłem uważnie badać twarz na trybunie i na ulicy. Nikomu nie

przyszło do głowy nawet najłżejsze przypuszczenie, że coś mogłoby być nie w porządku z nogą księżniczki.

— Jeżeli będę nosiła długie suknie — zastanawiała się Berenika — nikt tego pewnie nie zauważy. Ale jeżeli będzie nogę widać, co się wówczas stanie?

— Nastawiałam uszu — wtrąciła się służebna. — Zarówno w Grecji, jak i w Syrii, i Egipcie każdy wierzy święcie, że księżniczka ociąga się z przybyciem do Rzymu jedynie z powodu włosów i złożonego ślubowania.

Berenika była kobietą odważną, przyzwyczajoną do samodzielnego radzenia sobie w życiu. Ale coś pchało ją do tego, by wciąż szukać potwierdzenia, że noga jej całkowicie się wyleczy. Pragnęła coraz nowych uspokajających zapewnień. Dziś rano wzniesiono dla niej w Atenach łuk triumfalny. Ceremonia, z której wróciła, była długa i męcząca. Przemawiali gubernator prowincji, burmistrz Aten, prezydent Akademii, Berenika odpowiedziała. Przez cały ten czas musiała stać. Czuła się zmęczona, ale miała wrażenie, że się dobrze trzymała.

— Mocniej, mocniej! — zażądała raz jeszcze.

Mimo tego, co lekarz powiedział, wierzyła, że przez energiczniejszy trening i jeszcze większy ból prędzej osiągnie całkowity powrót do zdrowia.

Obdarowała miasto iście po królewsku, ofiarowała mu wspaniałe krużganek, pełne przepychu łaźnie. Dziś wieczorem burmistrz zamelduje się powtórnie. Berenika wie, w jakim celu. Grecja sławi jej namiętne zainteresowanie grecką kulturą. Jest jedyną kobietą, której miasto wzniosło łuk tryumfalny. Teraz mają nadzieję, że wyjedna u Tytusa restytucję przywilejów i praw udzielonych miastu i prowincji przez cesarza Nerona, anulowanych zaś przez Wespazjana. Berenika jest skłonna stać się rzeczniką tych pragnień, cieszy ją, że ludność z taką pewnością widzi w niej przyszlą cesarzową; nie bez troski jednak myśli o tym, że dziś wieczorem podczas audiencji będzie musiała po raz drugi zdobyć się na wysiłek i reprezentować. Może wprawdzie słuchać mów w pozycji siedzącej, ale później, gdy będzie na nie odpowiadała, wypadnie podnieść się i stać przez jakiś czas. Dyscyplina. Wtedy, bezpośrednio przed wyruszeniem Tytusa na Jerozolimę, mówił on na bankiecie pożegnalnym w Aleksandrii o dyscyplinie rzymskiej; słowa jego płynęły z głębokiego przekonania, bardzo go za nie kochała. Ma teraz sposobność okazania dyscypliny. Sądzi, że dotychczas trzymała się nieźle.

Jeszcze trzy tygodnie, to termin ostateczny, dłużej odkładać nie może swej podróży do Rzymu.

— Czy damy radę, Strato — zwraca się po raz pięćdziesiąty do lekarza — w ciągu trzech tygodni?

— Tak, wasza wysokość — oświadcza lekarz również po raz pięćdziesiąty. — Wasza wysokość osiągnie to nawet zużywając tylko połowę energii.

Masaż skończony. Lekarz Strato okłada przy pomocy służebnej spuchniętą, nabrzmiałą, złamaną nogę ziołami, bandażuje, po czym zostawia Berenikę i brata samych. Berenika leży na sofie w zielonkawych oparach wody, naga, machinalnie podnosi i opuszcza nogę, przyzwyczaiła się do treningu, wbrew wszelkim zaleceniom.

Teraz jednak po olbrzymim wysiłku, którego wymagała od niej ceremonia, przed nowym wysiłkiem, którego wymagać będzie audiencja, ogarnia ją mimo wszystko odrętwienie. Przed bratem może przestać panować nad sobą, może wywnętrzyć się, biadać. Leży bez sił, zamknęła oczy, pod wygolonymi wąskimi brwiami powieki mają odcień fioletowy, pokrywa je cieniutka sieć zmarszczek. Nie widzi brata, ale czuje, jak na nią patrzy spokojnie, czuje, że stanowią jedno; to człowiek, którego najbardziej kocha na ziemi. Cichutko, w aramejskim narzeczu lat młodości, mówi do niego pozornie bez związku, ale wie, że Agryppa wszystko zrozumie. Musi wypowiedzieć to, o czym nieskończenie często myślała, musi biadać, żalić się, musi oskarżać

Boga i świat, jak bezmyślnie z nią postąpiono.

— O Agryppo, bracie mój — biada — dlaczego gubernator urządził dla mnie to przekłętą polowanie? Przecież jeżeli ktoś jest moim przyjacielem, to właśnie Tyberiusz Aleksander. Dlaczego musiał mi się zdarzyć ten głupi wypadek? Powiedz mi to, mój bracie, wytłumacz, inaczej oszaleję. Kiedy stary umarł, byłam pewna, że stanę się drugą Esterą. Ty sam nie nazywałeś mnie już Nikion, lecz Esterą. Teraz już dawno nie nazwałeś mnie Esterą.

Tak, wiem, było to szczęście w nieszczęściu, wszyscy robili, co mogli. To szczęście, że podczas polowania potrafiłam zacisnąć zęby, zataić ból. To szczęście, że tylko dziewięciu ludzi wie o wypadku i że wszystkim można zaufać.

Tyberiusz Aleksander z niczym się nie zdradzi, nie leży to w jego interesie, inni zaś są od nas zależni, wiem, że im wyraźnie powiedziałeś, iż otrzymają wolność i bogactwo, jeżeli będą milczeli do końca, że nie ujdą ci i będą zgładzeni, gdyby tego nie uczynili. Również i twój pomysł złożenia ślubów był pomysłem błogosławionym. Jesteś moim mądrym bratem, znasz świat. Tak, tak, to się dobrze skończy, musi się dobrze skończyć, powiedz mi to raz jeszcze, powtarzaj często. Żebyś mi jednak nie wiedzieć jak często powtarzał, jakiś czerw tkwi we mnie i toczy mnie. To się dobrze nie skończy. To kara, od której uchylić się nie można. Chcieliśmy być i Grekami, i Żydami, a to się zrobić nie da. Chcieliśmy za wiele, byliśmy zbyt wielkimi pyszałkami. Jest to jedyny grzech, za który bogowie greccy karzą tak samo jak Jehowa, grzech pychy. Dopuściliśmy się go i oto przyszła kara.

Tak, Tytus kochał mnie i jeszcze mnie kocha. Ale gdyby mi się nawet udało, gdybym potrafiła zatrzeć wszelki ślad zewnętrzny i nie kuleć, czy nie zniknie to coś, czego nie można wypowiedzieć, dzięki czemu tak się zachwycano moim chodem? Tak, powiedz mi raz jeszcze, powiedz sto razy, że Tytus kocha mnie nie tylko za mój sposób poruszania się. Ale, przyznaj sam, czy nie jest tak zawsze, że jakiś niemądry drobiazg pociąga mężczyznę, a kiedy go zabraknie, czy nie pryska cały czar? O Agryppo, o mój bracie, to daremne! Wszystko, co robimy, choć umyśliłeś to tak mądrze, jest daremne. To kara za naszą pychę.

Trzy godziny później jednak, przyjmując burmistrza i członków magistratu ateńskiego, była promienna i królewska jak dawniej. I miasto Ateny radowało się, że przyszła cesarzowa okazała jego legatom tyle łaski.

Księżę Domicjan zaznajamiał swego przyjaciela Marulla ze stanem robót budowlanych, prowadzonych na terenie Albanum. Pokazał mu willę z licznymi zabudowaniami, teatr, pawilon wysunięty na jezioro. Liczny orszak, prowadzony przez architektów Growiusza i Rabiniusza, stanowili między innymi intendent księcia, główny ogrodnik oraz Silen, gruby, owłosiony karzeł, którego księżę kupił za grube pieniądze ze względu na groteskowy, przerażający wygląd i który wysokim falsetem wypowiadał złośliwe dowcipy.

Odkąd chłopczek zorientował się, że może mieć od Tytusa tyle pieniędzy, ile zechce, nie hamował już wcale swoich kosztownych kaprysów. To, co budował, miało nie ustępować gmachom publicznym, wznoszonym przez brata. Ta willa była przeznaczona dla Lucji, a cóż mogło być za kosztowne dla nadania jej właściwych ram. Spleen księcia był dla jego architektów i inżynierów bodźcem do wymyślenia coraz nowych niespodzianek. Znalazły się wśród nich dziwaczne maszyny, służące do tego, żeby ściany poszczególnych sal mogły się rozstępować, sufit znikać w miarę zmiennych humorów Lucji. Uganiano się po pustyniach Afryki, po stepach i dżunglach Azji, żeby ogrody Lucji zapęłnić najbardziej egzotyczną, dziką i rzadką zwierzyną.

Panował wielki upał, obchód był męczący. Marull był rad, kiedy się to skończyło i mógł w niewielkiej, mrocznej sali pokrzepić się zimnymi jak lód napojami. Domicjan poprosił przyjaciela o szczerą opinię. Marull nie uchylał się, szafował równie szczerze pochwałami, jak i naganami. Miał zrozumienie dla ponurego humoru księcia, choć objawy jego były nieraz

prostackie. Zbliżył się do Domicjana z pobudek ubocznych: chciał przez zaprzyjaźnienie się z synem zemścić się na cesarzu, który go usunął z senatu i któremu syn ten był niemiły. Stopniowo jednak, choć widział wszystkie wady księcia, znajomość, początkowo powierzchowna, zmieniła się w prawdziwą przyjaźń.

Kiedy chłopaczek z taką uprzejmością pokazywał mu swe nowe budowle, Marull przeczuł od razu, że ksiązę pragnął od niego czegoś więcej niż aprobaty. Okazało się wkrótce, że przypuszczenia jego były słuszne. Domicjan potrzebował jego pomocy dla przeprowadzenia oryginalnego pomysłu. Chciał mianowicie na otwarciu teatru należącego do willi zagrać krotchwilę, w której byłoby ukazane zdobycie pewnej wschodniej, barbarzyńskiej prowincji przez Macedończyków.

— No i? — zapytał Marull patrząc na księcia przez szmaragd swymi bystrymi, jasnyniebieskimi oczami.

Twarz Domicjana zaczerwieniła się lekko, wystająca warga górna wykrzywiła się w złośliwym uśmiechu.

— Chodzi oczywiście o to, żeby to nie była krotchwila okryta pyłem, lecz taka, której aktualność byłaby dla każdego widoczna bez specjalnego akcentowania i uwypuklania. Gdyby na przykład, drogi senatorze Marullu, pożyczył mi pan na to przedstawienie swego adiutanta Jana z Giskali, braciszek mój zorientowałby się od razu, o co chodzi.

Marull, zamyślony, stuknął swym wytwornym kosturem o podłogę. Zakosztował wszystkiego, czego mógł zakosztować najbardziej rozpieszczony człowiek epoki, zobojętniał z biegiem lat. Jeżeli sensacje miały go bawić, musiały sięgać zamierzchłej przeszłości. Ten Jan z Giskali, jego niewolnik, był może jedynym człowiekiem, na którym mu naprawdę zależało. Ów Jan był podczas wojny żydowskiej dowódcą, obok komendanta Szymona bar Giory najwybitniejszą w owej wojnie postacią wśród Żydów; wciągnął do wojny chłopów galilejskich, stał na ich czele. Szymon bar Giora został rozpięty na krzyżu, Jana z Giskali nabył Marull za duże pieniądze i dzięki rozległym stosunkom.

Jan towarzyszył mu teraz nieodłącznie; obdarzony znakomitą pamięcią, podszeptował mu nazwiska i właściwości ludzi, z którymi się Marull stykał, a których sobie nie przypominał. Marull Ignął jednak do Jana nie z powodu jego pamięci. Jako stoik chciał mieć przy sobie symbol potężnego, nieuchronnego losu, symbol człowieczej wielkości i człowieczego upadku, stałą, ironiczną przestrożę.

Gdy ksiązę zwrócił się do niego z prośbą, by mu Jana wypożyczył na przedstawienie, Marull zawahał się. Resztki ludzkiego ciepła, które w nim pozostały, skupił na tym Janie. Z początku traktował tę historię z Janem jako zabawę, przypuszczał, że Jan po tak ciężkich i wielkich przeżyciach będzie ponury i patetyczny, pełen głuchej pogardy dla ludzi. Nic podobnego. Mimo znakomitej pamięci Jan potrafił zapomnieć całkowicie swą przeszłość. Z pasją uczestniczył w wyprawie żydowskiej, posłał na śmierć dziesiątki tysięcy ludzi, setki razy stawiał na kartę swe własne życie, kierował losami innych, sam stał się ofiarą losu. Prowadzono go obok Szymona bar Giory w pochodzie tryumfalnym, biczowano, oddano wreszcie w ręce Marulla. Żydowska wyprawa została dla niego zakończona, patos jej się ulotnił. Przedsięwzięcie nie udało się, poniósł jego konsekwencje, zlikwidował je. Co się stało, to się nie odstanie, trzeba z tym skończyć, zacząć nową egzystencję.

Tylko to proste, suche, mało interesujące stwierdzenie potrafił Marull wydobyć od Jana. Sądził z początku, że ten człowiek chce go podejść w chytry sposób. Ale okazywało się coraz wyraźniej, że postawa Jana jest szczerą. Motywy wojny wydawały się Rzymianom patetyczne, tymczasem ten główny podżegacz naprawdę nie rozpętał jej z patetycznych powodów. Jan z Giskali był właścicielem ziemskim, rolnikiem. Przywiązany do swej posiadłości, miał chłopski

zmysł do bogacenia się, chciał sprzedawać z zyskiem swoją oliwę, powiększyć swoje grunty, uważał za rzecz nieznośną, by ci

Rzymianie zza morza wtrącali się do jego interesów. Trzeba było temu zaradzić, jakoś się przeciwstawić, jeżeli zachodzi potrzeba — wszcząć wojnę. Wojna została wszczęta; Jan dał się wbrew swej woli unieść patosowi, uwierzył i zaszczeplił tę wiarę setkom tysięcy innych, że prowadzi wojnę za Jehowę, przeciwko Jowiszowi. Wojna skończyła się klęską i w gruncie rzeczy ten człowiek o przenikliwym rozumie był rad, że patos stał się zbyt cenny. Przekonał się z doświadczenia, że wojna nie jest odpowiednim środkiem, by kierować sprawą na właściwe tory. Trzeba więc szukać innej metody. Najbliższym jego zadaniem było dojść znowu do posiadania ziemi, mieć oliwę, która dałaby się dobrze sprzedać.

Ta postawa, zupełnie obca Marullovi, podobała mu się właśnie z powodu tej obcości. Na swój sposób polubił tego człowieka. Często igrał z myślą obdarzenia go wolnością, ale obawiał się, że obrotny Jan znajdzie środki, by powrócić do swojej Galilei i wymknąć mu się raz na zawsze. Jan stał się dla Marulla czymś więcej niż przynętą dla snobów, Marull widział w nim przyjaciela i nie chciał go stracić.

Kiedy Domicjan wystąpił teraz ze swym projektem, Marull znalazł się na rozdrożu. Zaprezentowanie wodza z okresu wojny w parodii tej wojny byłoby dobrym kawałem, ale wtedy należałoby parodiować zwycięzcę, a nie zwyciężonego. Wojna żydowska nie była żadnym kawałem, byłoby tanizną pokpiwać z niej w dziesięć lat po odniesionym zwycięstwie. Marull nie miał nic przeciw temu, kiedy ktoś w sposób zgryźliwy, obraźliwy ukazywał ludziom ich słabości. Ale Żydzi trzymali się dzielnie, nie można było w nich ugodzić, ośmieszając ich wojnę. Jego przyjaciele-Żydzi: Flawiusz Józef, Demetriusz Liban, Jan z Giskali, słusznie uważaliby kawał za nieudany, całe przedsięwzięcie za płaskie i prostackie.

Zaczął się więc uprzejmie wykręcać. Pomysł księcia był niewątpliwie znakomity, ale czy godny tak wielkiej okazji? Czy nie trącił nieco niewybrednym żakowskim konceptem?

Ociągnięcie się Marulla podniecało Domicjana, było dla niego dowodem, że projekt jego jest bardzo śmiały. Pociągała go również chęć zmuszenia Marulla do czegoś, czego ten nie chciał. Sam często upokarzany, znajdował przyjemność w upokarzaniu innych. Marull był od niego zależny. Jako przeciwnik Wespazjana i jego przyjaciół, należał siłą rzeczy do wrogów Tytusa i wskutek tego najważniejszym jego oparciem był Domicjan. Księżę więc nalegał uprzejmie i złośliwie. Jego teatr w Albanum winien być godny Lucji, winien pobić wszystkie inne teatry w państwie. Jeżeli projekt jego ma w sobie coś z żakowskiego konceptu, jak pocziwy i krytyczny przyjaciel Marull zauważył ostro, ale może i nie bez racji, nic to nie szkodzi — teatr ten nie powinien być przybytkiem dla szerokich mas. Domicjanowi zależy na tym, żeby słyszeć śmiech Lucji. Na to potrzebny mu jest Jan z Giskali.

Nie ustępował. Po pewnym czasie Marullovi nie pozostało nic innego, jak zgodzić się. Wysunął tylko jedno zastrzeżenie: Jan z Giskali jest nieodgadniony. Można zmusić człowieka do śmierci, ale nie można go zmusić do zagrania roli.

W drodze do Rzymu złościł się, że pozwolił Domicjanowi wymóc na sobie obietnicę. Czy upokorzenie bezbronego Żyda w sposób, jaki chłopaczek planuje, jest o wiele mniej niesmaczne niż zapasy ze Spartanką, z powodu których Wespazjan usunął go z senatu? Ci chłopcy Flawiusze są w gruncie rzeczy parweniuszami. Domicjan nie różni się pod tym względem od starego. Marull oparł się staremu, nie boi się i teraz, ale czuje, że młody jest niebezpieczniejszy. Nie należało tak się z nim spoufalać.

Ale sprawy zaszły za daleko, nie można się wycofać. Rozmowa z Janem z Giskali nie będzie przyjemna.

Marull krąży długo, zanim przystąpi do rzeczy. Mówi, jak zawsze, zgryźliwie o sprawach

rzymskiego handlu terenami. Wskutek pożaru ceny rosą w dalszym ciągu. Jan ma niezwykle zrozumienie dla wszystkiego, co jest z tym związane, czuje nosem, które tereny będą w Rzymie fory-towane jako dzielnice mieszkalne; przede wszystkim północ. Siedzi spokojnie, gładzi brodę, przytacza na poparcie swego twierdzenia liczne przekonywające argumenty. Ale ma nosa nie tylko do spraw związanych z terenami, czuje również, że Marullowi leżą dziś na sercu inne sprawy. Przygląda mu się małymi, chytrymi oczkami, jest na straży.

Nareszcie Marull urywa rozmowę na temat terenów, informuje Jana w krótkich słowach o tym, czego chce od niego książę. On osobiście nie uważa, żeby żart był fortunny, i jest zdania, że książę zbyt wiele żąda od Marulla. Ale Jan wie przecież, jaki jest książę, i zna dobrze sytuację Marulla. Można sobie wyobrazić, że inni szermierze wolności woleliby na miejscu Jana zabić siebie lub księcia, przy czym prawdopodobnie udałoby się im tylko to pierwsze. Ale Jan jest rozsądny i obcy mu jest wszelaki niemądry patos. Dlatego Marull wtajemniczył go we wszystko bez owijania w bawełnę.

— Znamy się, mój Janie — zakończył — wiesz, że jesteś dla mnie czymś więcej niż godnym zaufania adiutantem. Wątpię, czy byłby z ciebie dobry aktor, uważam chęć użycia cię jako aktora za głupi koncept. Nie potrzebuję cię chyba zapewniać, jak wstrętna jest mi ta cała historia.

Kiedy Marull mówił, Jan swoimi chytrymi chłopskimi oczyma widział wszystko, co przeżył w czasie wojny. Walki w Galilei. Koszmarne sceny w oblężonej Jerozolimie, tej strasznej, śmierdzącej kloace, która kilka miesięcy temu była najpiękniejszym miastem świata. Nikczemną rywalizację z Szymonem bar Giorą. Jak się ze sobą sprzeczali, niczym koguty prowadzone na zarżnięcie, które ciągle jeszcze rzucają się na siebie z pazurami i dziobią zawzięcie. Ową wieczerzę, na którą zabrali ostatnie baranki, przeznaczone na ofiarę, zjedli je i zmusili kapłana do ogryzania kości. A teraz ma wyszydzić to wszystko i samego siebie w farsie ku uciesze Rzymian.

Patrzy bacznie na wąskie usta Marulla, wysłuchuje go do końca. Potem mówi bez wahania:

— Dobrze, zrobię to. Ale stawiam jeden warunek. Dasz mi nareszcie wolność, a razem z nią sto tysięcy sestercji, bym mógł nabyć tereny w północnej części miasta. Rola nie jest łatwa — dodaje, i nawet się uśmiecha. — Demetriusz Liban zażądałby najmniej dwustu tysięcy.

Kiedy wywoływał w pamięci obrazy oblężonej Jerozolimy, nie czynił tego ani z nabożeństwem, ani z gniewem, lecz z satysfakcją. Tak, odczuwał coraz większą satysfakcję, że nie na próżno przeżył te wszystkie potworności, że one to mają być teraz stopniami do nowej kariery. Jeszcze zanim Marull skończył mówić, widział już siebie jako człowieka wolnego, który siedzi w swym biurze w Rzymie, robi transakcje terenami, gromadzi pieniądze, by nabyć w Galilei oliwę i ziemię. Urodził się bowiem chłopem, byłoby dobrze, gdyby resztę życia mógł spędzić jako chłop i jako chłop mógł umrzeć w Galilei.

Marull był zaskoczony szybką zgodą Jana. Nie doceniał go. Sądził, że jest on tylko bohaterem narodowym, a teraz okazuje się, że to rozsądny człowiek.

— Pięknie — oświadcza — zgoda. Ale na początek wystarczy chyba pięćdziesiąt tysięcy.

Domicjan pobiegł do Lucji z listem w ręku, w którym Marull donosił o zgodzie Jana. Zastał ją przy toalecie.

Fryzjer przy pomocy służebnych był pochłonięty budowaniem kunsztownej wieży z jej loków. Domicjan znajdował się w stanie radosnego podniecenia. Z rumieńcami na pięknej twarzy stanął przed ukochaną kobietą, jedna ręka była zgięta w łokciu i cofnięta w tył, w drugiej trzymał list. Przydreptał za nim gruby, owłosiony, pokraczny karzeł Silen; jedno ramię schował za garbem, naśladując swego pana. Książę mówił szybko, nie zwracał uwagi, że głos mu się łamie,

nie krępowali go liczni niewolnicy, którzy w jego pojęciu tyle byli warci co psy. Sądził, że Lucja uzna jego plan za równie zabawny jak on, czekał, że usłyszy śmiech. W głębi ducha spodziewał się, że skoro okazał tyle pomysłowości, by się jej przypodobać, pozwoli mu wreszcie znowu ucałować bliźnię pod lewą piersią.

— Ten Żyd to dla nas zrobi — zakończył tryumfalnie. — Właśnie pisze mi Marull, że się zgodził. Wieloryb musi przyjść na inaugurację. Gdyby nie przyszedł, obraziłby śmiertelnie i ciebie, i mnie. Wyobrażasz sobie jego minę, kiedy to zobaczy? — Parsknął głośnym śmiechem, karzeł zawtórował mu falsetem.

Lucja zwróciła ku niemu twarz. Z początku fryzjer wraz ze służebnymi pracował w dalszym ciągu nad wieżą z jej włosów, ale wkrótce zauważyli, że ta niewinna ranna wizyta grozi gwałtowną sprzeczką, więc wraz ze swymi przy-borami cofnęli się lekliwie w kąt. Lucja tak gwałtownie zwróciła głowę w stronę Domicjana, że runął na pół ukończony gmach jej fryzury. Nie, pomysł chłopaczka ogromnie się jej nie podobał.

— Czyś ty oszalał? — ofuknęła go opryskliwie. — Nie mogę pojąć, że ten Marull mógł dać się wciągnąć w taką ordynarną, głupią historię.

Myślała o Żydzie Józefie oraz o tym, co wyczytała o Janie w jego księdze. Jej duże, szeroko rozstawione oczy patrzyły na męża gniewnie i pogardliwie.

Domicjan nie pojmował, co się Lucji nie podoba w jego projekcie. Na chwilę przypomniał sobie ociąganie się Ma-rulla, który mówił o żakowskim figlu. Czy było to tylko bardziej łagodne określenie złego smaku i ordynarności? Nie, pomysł jego jest dobry, Lucja jest po prostu w złym humorze. Wszyscy znowu się sprzymierzyli, by mu zatruć przyjemność. Karzeł Silen wysunął się naprzód, na pokracznej twarzy, pełnej bezmyślnego służalstwa, malował się dumny gniew. Parodiował Lucję. Książę odtrącił go w kąt potężnym kopniakiem. Ale już po chwili przybrał swój zwykły uprzejmy wyraz twarzy. Mocno zarumieniony powiedział z uprzejmym uśmiechem:

— Jesteś dziś niełaskawa, księżno. A może nie dosłyszałaś tego, co mówiłem. Wydaje się również, że niewolnicy twoi niezgrabnie zabrali się do układania fryzury. Może należałoby trzymać ich krócej. Pomówmy teraz o czym innym. Jeżeli pozwolisz, to kiedyś wytłumaczę ci w spokoju, na czym polega mój pomysł.

Ale Lucja, gwałtowna i szczerza, uznała, że może go dalej upokarzać w obecności niewolników.

— Nie wysilaj się, chłopaczku — rzuciła brutalnie. — Zamarynuj sobie twój niesmaczny pomysł, dopóki nie znajdziesz kogoś, komu się spodoba. Nie przybędę do Alba-num, jeżeli zagrają tam coś w rodzaju tego, o czym wspomniałeś.

Domicjan pocił się. Ani myślał zrezygnować ze swego planu, ale uważał za rozsądne brać Lucję taką, jaka była. Usiadł, gawędził uprzejmie o bagatelkach. Wywołał nawet karła z kąta i kazał mu się czymś zająć. Lucja pozostała jednak lakoniczna i wreszcie oświadczyła krótko, że nie jest dziś w humorze do prowadzenia z nim dyskusji i byłaby mu wdzięczna, gdyby pozwolił jej i niewolnikom dokończyć jej toalety. Domicjan przyjął to, chcąc nie chcąc, za żart i oddalił się z uprzejmą miną.

Lucja wiedziała, że nie tak łatwo wyperswadować mu coś, co sobie wbił w głowę. Była dobroduszna, lubiła swego chłopaczka, postanowiła nawet wbrew jego woli uchronić go od kompromitacji.

Już w kilka dni później, czwartego września, znalazła sposobność do przeprowadzenia swego zamiaru z racji otwarcia wielkich czternastodniowych igrzysk w teatrze drugiej dzielnicy. Znajdowała się w łoży cesarskiej. Tytus był ożywiony i w wyjątkowo dobrym humorze. Nie miał mętnego, mglistego spojrzenia, jak bywało w ostatnich tygodniach, patrzył jej prosto w oczy,

kiedy mówił, był w jego głosie mocny ton — jak za najlepszych czasów. Lucja nigdy nie pochwałała machinacji Domicjana przeciw Tytusowi. Była żądna uciech, ale pochodziła ze zbyt wielkiego domu, żeby być chciwą zaszczytów. Poza tym wyczuwała w stosunku Tytusa do Bereniki prawdziwą namiętność, imponowała jej trwałość tego uczucia. Spotkała się ze swym szwagrem po raz pierwszy od czasu, kiedy zaszła w nim przemiana, podobał jej się, naprawdę nie miał już w sobie nic z wieloryba. Postanowiła zniszczyć w zarodku złośliwy projekt Domicjana.

Zdawało się, że Tytus odgadł jej myśli. W przerwie bowiem zapytał, jak wygląda sprawa willi w Albanum, czy można liczyć na to, że otwarcie teatru nastąpi niedługo. Zatopiła spojrzenie swych wielkich, szeroko rozstawionych oczu w jego oczach mętnych, twardych i wąskich, oświadczyła, że sprawa terminu otwarcia teatru nie jest zależna od budowy, istnieją różnice zdań między nią a chłopaczkiem, co tam właściwie ma być grane. Potem bez żenady wtajemniczyła Tytusa w projekt brata.

Tytus, obrzuciwszy ją badawczym spojrzeniem, oświadczył, że to ciekawe, uśmiechnął się, podziękował. Podobała mu się, była nieodrodną córką marszałka Korbulona, który umiał żyć tak radośnie i szeroko, a potrafił umierać tak nieustraszenie. Dziwił się, że chłopaczek umiał ją zdobyć i utrzymać, — zazdrościł mu tego. Zazdrość budziły w nim również jej samodzielny sposób postępowania, jej siła, jej duma z tego, że jest Rzymianką.

Widowisko odbywało się w dalszym ciągu. Tytus spoglądał na siedzącą obok niego Lucję. Ta kobieta i jej ród nie ma, jak on i jego ród, setek hamulców i przeszkód. Ci ludzie są własnymi sędziami, opinia świata jest im obojętna. Nie boją się śmierci. Kochają życie, i właśnie dlatego mogą używać jego uroków. Zdaje się, że całkowicie zapomniała o rozmowie z nim; patrzyła z zainteresowaniem na to, co się dzieje na scenie. Gdyby nie Berenika — jedynie ta kobieta potrafiłaby go pociągnąć. Lekarze powiedzieli mu, że utracił raz na zawsze zdolność spłodzenia syna. Zatonął w rozmyślaniach, śnił, marzył. Widział policzek tej kobiety, jej ramię oraz rękę, o którą oparła policzek. Zrodziła się w nim cicha, obłądna nadzieja, że mimo wyroku lekarza może mogłaby mu urodzić syna.

W dwa dni później zameldował się ku jego zdumieniu Domicjan. Chłopaczek zachowywał się grzecznie, wręcz uniżenie. Tytus uznał, że przypisać to należy nieudanemu projektowi oraz temu, że projekt wywołał niezadowolenie Lucji. Jeżeli chodzi o Tytusa, to promieniał, był ożywiony, w dobrej formie. Niedługo ma przybyć Berenika, a to, że brat zjawił się taki pokorny, jeszcze bardziej podniosło go na duchu.

Wkrótce okazało się, że księżę zjawił się nie tylko powodowany skrucą. Ostrożnie, ale dla Tytusa dosyć wyraźnie, dążył do określonego celu. Wciąż kierował rozmowę na ustawę, którą cesarz kazał kilka dni temu uchwalić senatowi; zastrzała ona znacznie kary za fałszywe donosy o dopuszczenie się obrazy majestatu. Było widoczne, że wprowadzenie i skutki tej ustawy budzą w księciu troskę. Na razie Tytus nie orientował się dlaczego.

Wydał tę ustawę, ponieważ w Rzymie podnosiły się wciąż głosy twierdzące, że pożar jest dowodem, jak bardzo niebo potępia jego związek z Bereniką. Chodziło o pokazanie masom, jaki jest skromny i łagodny. Nowa ustawa była dobrym środkiem. Procesy o obrazę majestatu były zniechęczone, donosiciele traktowano z pogardą. Zaostrzając kary za fałszywe denuncjacje, Tytus schlebiał masom i oddawał cześć bogom.

Oczywiście to zaostrzenie ustawy nie było brane zbyt serio ani przez dwór, ani przez sądy. Kary za obrazę majestatu były niezwykle surowe. Śmierć, banicja, w każdym razie konfiskata majątku. A o tę właśnie konfiskatę chodziło, gdyż na podstawie tego rodzaju procesów skonfiskowane pieniądze i dobra tworzyły pokaźną część wpływów kas państwowych i cesarskich. Ten, kto zrobił doniesienie, prowadzące do skazania oskarżonego, otrzymywał sporą część skonfiskowanego mienia. Tytus i jego ministrowie liczyli się z tym, że wskutek wysokich

nagród, mimo ostrych sankcji karnych, w dalszym ciągu wpływać będą liczne doniesienia.

Wodził chłopaczka za nos, dawał mu na jego pytania w sprawie ustawy wymijające odpowiedzi, kierował rozmowę na inne tory, gawędził z ożywieniem o tym i owym. Ale chłopaczek wracał raz po raz różnymi drogami do edyktu przeciw denuncjantom i Tytus z niepokojem zadawał sobie pytanie, czego to ziółko właściwie chce. Wreszcie Domicjan wymienił nazwisko Marulla. Ostrożnie, od niechcenia. Z chwilą jednak, kiedy padło to nazwisko, Tytus od razu się zorientował. Uśmiechnął się ironicznie, z zadowoleniem. Miał teraz, nie zamierzając tego wcale, broń przeciw pretensjom brata.

Wyrzucenie z senatu wyszło senatorowi Marullowi na dobre, jeśli chodzi o jego interesy; utrata stanowiska wyrównana została przez olbrzymie korzyści materialne. Dopóki był senatorem, nie wolno mu było robić doniesień. Z chwilą gdy się znalazł poza senatem, mógł sobie pozwolić na oskarżenie tego lub owego o obrazę majestatu. Był biegły w prawie, należał do świetnych mówców, starał się zaspokoić swój nienasycony apetyt. Zrobił dziewięć soczystych doniesień. Wespazjan, stale pochłonięty troską o powiększenie skarbu państwa i swego własnego, nie przeszkadzał mu w tym, procesy przyczyniały się do wzmocnienia prestiżu i przyniosły korzyści materialne zarówno Wespazjanowi, jak i jego przeciwnikowi Marullowi. W jednym tylko wypadku, zresztą dość błahym, Wespazjan, chcąc ten prestiż zachować, kazał oskarżonego uniewinnić, na ogół jednak kary za fałszywe donosy były w okresie rządów cesarza, liczącego się ze względami ekonomicznymi, łagodne. Marull wykrecił się grzywną.

Kiedy teraz nowy edykt ustalił nowe kary na donosicieli, Marull, mający dobrego nosa, pomyślał sobie zaraz, że cesarz przy pewnej dozie złej woli, bez wnoszenia nowego projektu do senatu nada ustawie moc działania wstecz i będzie mógł interpretować ją przeciw niemu. Kiedy zakomunikował to Domicjanowi od niechcenia, jak przystało na stoika, wytwornie i beztrosko, w coraz bardziej ponurym i nieufnym księciu umocniło się od razu przeświadczenie, że jedynym celem Tytusa przy wprowadzaniu ustawy była chęć ugodzenia Marulla, który należał do jego przyjaciół.

Miał dla Marulla naprawdę przyjazne uczucia, choć nie mógł sobie odmówić, by go od czasu do czasu nie dręczyć. Właśnie teraz, kiedy projekt teatru się nie udał, Domicjan uświadomił sobie znowu, że ma na całym świecie tylko trzy osoby, do których jest przywiązany: Lucję, Anniusza i Marulla. Gdyby ktoś inny zdradził go w sposób tak brutalny, jak teraz Lucja, znienawidziłby go i prześladował; tymczasem kochał ją za tę zdradę jeszcze bardziej. Gdyby ktoś inny, nawet starając się osłodzić pigułkę, zganił jego projekt, nazwał go prostackim i odważył się okazać smak delikatniejszy od jego smaku, nigdy by mu tego nie przebaczył; tymczasem pokochał za to Marulla jeszcze bardziej.

Kiedy Marull zwrócił mu uwagę na niebezpieczeństwo, które powstało dla niego w związku z nową ustawą, postanowił z miejsca ratować przyjaciela przed intrygami brata. Nie mówiąc nic Marullowi poszedł do Wieloryba.

Tytus nie myślał ani przez chwilę, żeby wykorzystać ustawę przeciw Marullowi. Teraz jednak, zobaczywszy lęk chłopaczka, był dość sprytny, by go nie uspokajać. O Marullu nawet nie wspomniął. Zaznaczył tylko od niechcenia, że doradcy jego nie uzgodnili jeszcze, czy należałoby ustawie o fałszywych donosicielach nadać moc działania wstecz. Domicjan wyraził opinię, że nie byłoby to pożądane, gdyż wtedy trzeba byłoby wystąpić przeciw kilku bardzo poważnym ludziom, którym kasy państwowe i cesarskie wiele zawdzięczają; odgrzewanie tych starych historii, szkodzących dynastii, nie byłoby pożądane. Argument ten był nieco mdły i bezbarwny. Chłopaczek zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy Tytus oświadczył, że to pięknie, iż tak się troszczy o jego popularność, nie umiał znaleźć odpowiedzi i zachowując pozory uprzejmości odszedł rozstrojony.

Senator Marull stał przed ciężkim problemem, czy ma naprawdę wyzwolić Jana z Giskali, jak mu to zapowiedział z racji niefortunnego projektu chłopaczka. Oczywiście nikt nie mógł go zmusić, by dotrzymał obietnicy, a mądry Galilejczyk był dostatecznie opanowany, żeby mu tego nie przypominać. Ale Jan nie był niewolnikiem w pospolitym słowa znaczeniu; jeżeli związek czysto ludzki, który ich łączył, nie miał zostać zerwany, nie mógł go na stałe pozostawić w tej niegodnej kondycji. Nie koniec na tym. Choć Marull nie wierzył w bezpośrednie niebezpieczeństwo, to przy bądź co bądź dziwacznych stosunkach, jakie łączyły Domicjana i Tytusa, Wielorybowi może nagle przyjść kaprys pogrążenia go przy pomocy ustawy o denuncjantach; byłoby irytujące, gdyby Jan wpadł wtedy w pierwsze lepsze ręce. Marull postanowił więc wyzwolić Jana.

Przedtem jednak chciał z jego pomocą zrobić pewien kawał. Marull, cierpiący ostatnio na ból zębów, a co zatem idzie na coraz silniejszą mizantropię, uważał, że Józef, odkąd spotkał go taki zaszczyt, rozplywa się w sytym zadowoleniu z siebie, a jeżeli chodzi o Libana, to ten od dawna wydawał mu się opętany manią wielkości. Postanowił dać nauczkę obu swoim zadzierającym nosa przyjaciółom; wiedząc, że są przekonani, że to oni oraz ich działalność w Rzymie stali się przyczyną wojny żydowskiej, doszedł do przekonania, że najlepiej będzie powierzyć tę sprawę swemu niewolnikowi, który tak haniebnie stoczył się na dno.

Poprosił więc do siebie Józefa, Libana, Klaudiusza Re-ginusa i jeszcze kilka osób. Aktor ułatwił mu zadanie. Ledwie bowiem Marull po kolacji zaczął mówić o wojnie żydowskiej i jej przyczynach, Demetriusz zapuścił się, jak to było jego zwyczajem, w pozornie skromne i niewinne, w gruncie rzeczy zaś tym bardziej pełne znaczenia medytacje, jak dziwnie Jehowa i los igrają z ludźmi; można by użyć słów poety:

*Jak wiatr, co igra kropelkami rosy
Po płaskich liściach...*

Czyż wtedy, kiedy grał Apellę, nie wierzył, że wyświadcza przysługę ogółowi Żydów, czyż, jak to może zaświadczyć obecny tutaj Józef, nie wywołał przez to decyzji w sprawie Cezarei i nie doprowadził do wybuchu wojny? Józef milczał. Przypomnienie tego epizodu było mu niemiłe. Ale Marull go sprowokował:

— Zaświadczy, mój Józefie, zgodnie z wolą Demetriusza, czy naprawdę ty i on byliście przyczyną wojny?

— Bezpośrednią chyba tak — odparł Józef nieco rozniewany wzruszając ramionami.

— A co ty myślisz, mój Janie? — zwrócił się Marull do Galilejczyka, który stał skromnie w kącie razem ze służbą.

Demetriusz i Józef rzucili nań niechętnie spojrzenia. Przecież Marull wie, że od początku wojny żydowskiej Jan i Józef byli zaciekłymi wrogami, aktor zaś od dawien dawna czuł antypatię do Galilejczyka. Bohater narodowy winien mieć wygląd patetyczny, romantyczny, interesujący. Było rzeczą aktora nadać mu przy pomocy drobnej sztuczki charakter krańcowo odmienny. A teraz ten Jan ma czelność być takim, jakim Demetriusz zamierzał go odegrać. Powołanie takiego człowieka, w dodatku niewolnika, jako świadka przeciw takim osobistościom, jak Józef i Demetriusz, było ze strony Marulla niesłychaną impertynencją.

Jan zbliżył się potulnie.

— O co chodzi? — zapytał grzecznie.

— Słyszałeś — powiedział Marull — co nasi przyjaciele Flawiusz Józef i Demetriusz Liban myślą o przyczynach wojny żydowskiej? Brałeś w niej udział, mój Janie. Czy nie chciałbyś nam powiedzieć, co ty o tym myślisz?

— Jeżeli wielki aktor Demetriusz Liban oświadcza — odpowiedział rzeczowo Jan — że przyczyną wojny był spór o kilka miejsc w magistracie Cezarei, to uczeni z Jawneh twierdzą, że

winne są temu dawne grzechy Izraela, nacjonaści zaś utrzymują, że to wina nadużywania władzy przez gubernatora rzymskiego. Natomiast „wierzący”, tak zwani nazareńczycy albo chrześcijanie, są zdania, że przyczyną wojny i jej wyników był proces przeciw pewnemu fałszywemu Mesjaszowi. Jak panowie widzą, zdania są podzielone. — Zamilkł, pogładził w zamyśleniu krótką brodę i znowu popatrzył na słuchaczy pokornymi, szarymi chytrymi oczyma.

— Nasz Flawiusz Józef — rzekł uprzejmie Marull — również przytacza w swej głośniejszej księdze cały szereg pobudek natury patriotycznej i religijnej. Ale — zagrzewał Marull skromnego Jana — co ty o tym myślisz, mój Janie?

— Myślę — rzekł Jan i spojrzał Józefowi prosto w oczy — że w gruncie rzeczy przyczyny wojny są o wiele prostsze i głębsze.

Józef postanowił nie brać udziału w tej niegodnej debacie ze swym starym wrogiem. Mimo woli jednak otworzył usta.

— Jakież to tajemnicze przyczyny? — zapytał wyniośle i złośliwie.

— Powiem ci to, rabbi Józefie — rzekł usłużnie Jan — lecz najchętniej po aramejsku. Obaj mówimy dobrze tym językiem i nieraz posługiwaliśmy się nim w naszych rozmowach. Ale byłoby to nieuprzejmie wobec innych panów. A więc powiem kiepsko i po łacinie. Na początku wojny sam nie znałem jej przyczyn lepiej niż wy, a może znać ich nie chciałem. W każdym razie chłopom, wciągniętym przeze mnie do wojny, wmawiałem dla podtrzymania ich na duchu, tak samo jak wyście czynili tysiące razy, że to wojna Jehowy przeciwko Jowiszowi, i wierzyłem w to również. Byłem, jak piszesz, rabbi Józefie, jednym z podżegaczy i przywódców, brałem udział w całej wojnie, często znajdowałem się o krok od śmierci. Gdybym był zginął, nie wiedziałbym, o co się właściwie ta wojna toczy.

— A teraz wiesz? — zapytał Józef ciągle z tym samym złośliwym chłodem.

— Owszem — odparł Jan z Giskali spokojnie, niemal uprzejmie. — Po wojnie, będąc na służbie u łagodnego senatora Marulla, miałem czas się nad tym zastanowić.

I doszedłem prawdy.

— Powiedźże wreszcie, do jakiego wniosku doszedłeś — zachęcał Marull.

— Nie chodziło wtedy — ciągnął dalej Jan — ani o Jehowę, ani o Jowisza. Chodziło o ceny oliwy, wina, zboża i fig. Gdyby arystokracja waszej Świątyni — zwrócił się z uprzejmym pouczeniem do Józefa — nie obłożyła naszych produktów tak nikczemnymi podatkami, gdyby rząd wasz w Rzymie — zwrócił się równie uprzejmie i rzeczowo do Marulla — nie narzucił nam tak nikczemnych cel i danin, Jehowa i Jowisz długo jeszcze żyliby ze sobą w doskonałej komitywie. Tu w Rzymie można było sprzedać litr wina z Falemo za pięć i pół sestercji, ale my musieliśmy zbywać go za trzy ćwierci sestercji i jeszcze płacić pół sestercji podatku. Ten, kto tego nie widzi, ten, kto nie porównuje naszych cen przedwojennych na zboże z cenami w Italii, ten o przyczynach wojny wie, mówiąc po galilejsku, gówno. Księgę twoją, rabbi Józefie, czytałem bardzo uważnie, ale nie znalazłem w niej ani cen, ani cyfr z dziedziny gospodarczej. Pozwól, że prosty chłop powie ci: księga twoja to może arcydzieło, ale po jej przeczytaniu człowiek jest, jeżeli chodzi o przyczyny wojny, równie mądry jak był przedtem; pominąłeś bowiem to, co najważniejsze.

Reginus podniósł się: trzymając w ręku kielich — był chory na żołądek, pijał więc wino grzane — zaczął chodzić po pokoju, wydając od czasu do czasu niewyraźne pomruki, brzmiące jak aprobata. Chcąc okazać swą obojętność, Józef ssał cukierek z niechętną miną. Liban przybrał wyraz twarzy wyniosły i ironiczny, Marull zdawał się szczerze ubawiony. Panowało milczenie, wszyscy czekali, co Jan powie dalej.

— Uważam Judeę — ciągnął pozornie bez związku — za dobry, zdrowy kraj, a jej naukę za coś wielkiego, wspaniałego, coś, czego warto bronić. Nie mam na myśli niewidzialnego Boga

oraz wielkich mów proroków. To z pewnością bardzo wzniosłe, ale to raczej coś dla naszego rabbi Józefa. Dla mnie najważniejsze są w nauce prawa dotyczące ziemi, a przede wszystkim ziem ugorujących co siedem lat. Są to przepisy wyjątkowo rozsądne, szkoda tylko, że chciwość arystokracji jerozolimskiej sabotowała je tak często — rzucił wyraźnie pod adresem Józefa. — Sądzę — mówił teraz do wszystkich — że ten nasz siedmioletni pło-dożmian pozwoli nam pokonać Rzym. Chyba pozwolisz, senatorze Marullu, żebym szczerze wypowiedział swe zdanie. „Pokonani dyktują zwycięzcom swe prawa” — oto słowa waszego Seneki, które raz po raz z oburzeniem cytujecie. Jak słyszałem, nasz rabbi Józef chce tego dokonać przy pomocy ducha. Są to zamki na lodzie. Natomiast wydaje mi się, że dzięki naszej gospodarce rolnej będziemy mogli w niezbyt odległym czasie dyktować ustawy, i to bardzo istotne. Italska bowiem gospodarka rolna zesła, senatorze Marullu, na psy. Z przyczyn politycznych importujecie i gromadzicie ogromne zapasy, by dostarczać ludności Rzymu tyle zboża po bardzo niskich cenach, że gospodarka zbożowa stała się raz na zawsze nierentowna. Za to wyspecjalizowaliście się w wysoko gatunkowych winach. Z początku ta gospodarka planowa była niezła, nawet wspaniała. Ale teraz rynek na wasze wina stał się już znacznie za ciasny. Afryka ma nadprodukcję wina, Hiszpania pokrywa osiemdziesiąt procent własnego zapotrzebowania, Galia czterdzieści, połowę Azji obsługują Żydzi, wkrótce będą obsługiwali ją cała. Sądzicie, że możecie żyć z dostarczania wina Brytanii i obu prowincjom niemieckim? We wszystkich dziedzinach zabraliście się ostro do dzieła, ale od stu lat nie macie odwagi dotknąć tego problemu. Teraz jest już za późno na przestawienie rzymskiej gospodarki rolnej, a równocześnie nie możecie jej już dłużej utrzymać przy życiu. Rzym nie zginie ani z winy ducha greckiego, ani żydowskiego, ani z winy barbarzyńców. Zgubą jego będzie załamanie się gospodarki rolnej. Mówi ci to, senatorze Marullu, Jan z Giskali, chłop galilejski. Ze spekulacji terenowych bowiem i władania światem nie można żyć na dłuższą metę. Nie można istnieć bez rozsądnie zorganizowanej gospodarki rolnej. Nie znaczy to, żebym powiedział choćby jedno złe słowo o artystycznej stronie twojej książki — zakończył sucho, zwracając się uprzejmie do Józefa.

— Czy nie zapatrujesz się na to zbyt jednostronnie? — zapytał Demetriusz wobec tego, że Józef zachował milczenie. W głosie jego było lekkie szyderstwo; podczas gdy Jan mówił, miał czas dobrze je spreparować. Brzmiała w tym szyderstwie cała pogarda idealisty dla brutalnego materializmu rolnika.

— My, Galilejczycy — oświadczył pojednawczo Jan — jesteśmy wieśniakami z przekonania. Toteż uczeni mężowie w Jerozolimie — dodał z uśmiechem — zastąpili słowo „dureń” słowem „chłop ze wsi” albo „Galilejczyk”.

Wszyscy patrzyli na Józefa, ciekawi, co też odpowie. Ale Józef, wierny postanowieniom, milczał. Zastrzeżenia Jana były śmieszne, typowo chłopskie; to zupełnie tak, jakby zółw chciał porównywać się z orłem. Ceny zboża, wina, oliwy. Od tego ma zależeć polityka, to ma być źródłem wojen? O, mógłby Janowi dać nauczkę. Mógłby powiedzieć: „Czy chciałbyś wytłumaczyć również cenami chleba i wina wyjście z Egiptu, wędrówkę przez pustynię, stworzenie państwa Judea i Izrael, walki z Babilonem, Asyrią i Helladą?” Opanował się jednak i milczał. Znajdzie lepszą sposobność do wypowiedzenia swego zdania. W jego historii powszechnej z punktu widzenia Żyda będzie chodziło o to, żeby ciągle ukazywać przyczyny i skutki, i właśnie tym udowodni, że losy narodów kształtowane były zawsze przez myśli, przez ideały religijne, przez czynniki duchowe. „Ceny, statystyki — myślał sobie — wywiódłem powstanie wojny z rozwoju całego stulecia, nie z kilku przypadkowych cyfr. Czy w księgach historycznych Biblii jest mowa o cenach i statystykach? Czy u Homera znajdujemy ceny i statystyki? Dureń, chłopski, zakuty łeb, Galilejczyk. Czego on chce? Przecież Jehowa już dawno rozstrzygnął sprawę na jego niekorzyść. Siedemdziesięciu siedmiu ludzi ma posłuch w świecie;

jestem jednym z nich. A u kogo on ma posłuch? Marull chce się zabawić, więc wypuszcza go na mnie z tymi cyframi. Nie dam się nabrać Rzymianinowi! Ani mi się śni!”

Przez mózg jego przebiło się mimo woli przypomnienie, że Justus z Tyberiady w niewielu szczupłych tomach swej historii wymieniał cyfry i powoływał się na statystyki.

Tymczasem Demetriusz Liban złościł się, że tak całkowicie przestał być ośrodkiem zainteresowania. Nie po to obarczył się winą za zburzenie Świątyni, żeby dać Janowi sposobność do długiego wykładu rolniczo-ekonomicznego. Co ten człowiek sobie myśli? Chce tu przeszczepić swoją Galileę? Dzięki Bogu istnieje tu jeszcze zrozumienie dla sztuki; zaakcentowanie jakiegoś słowa przez aktora De-metriusza Libana wciąż jeszcze bardziej interesuje Rzymian niż ceny na oliwę w poszczególnych prowincjach.

Ponieważ Józef milczał, a Liban nie miał nic do powiedzenia, Klaudiusz Reginus oświadczył wreszcie swym lepkiem głosem:

— Szkoda, że nie jesteś pisarzem, Janie z Giskali. Z takimi poglądami jak twoje można by napisać książkę godną przeczytania.

W dwa tygodnie później senator Marull, Klaudiusz Reginus i niewolnik Jan z Giskali stanęli w wielkiej auli Julijskiej przed jedną z izb sądu stu. Widniała nad nimi lanca, symbol władzy. Sądy te rozstrzygały wyłącznie w sporach cywilnych.

Forma obrad była bardzo uroczysta. Przewodniczył prezes sądów, jeden z osiemnastu wielkich sędziów w państwie; obok niego pełnili służbę w strojach urzędowych liktorowie, dzierżąc w ręku topory i różgi. Nieco dziwne przeciwieństwo z tak uroczystym aparatem stanowiła wielka ilość toczących się równocześnie procesów. Osiem izb urzędowało razem w ogromnej hali, poprzedzielanej jedynie zasłonami, tak że można było słyszeć równocześnie kilka rozpraw.

Po upływie bardzo krótkiego czasu wezwani zostali świadkowie w procesie „Klaudiusza Reginusa przeciw Juniuszowi Marullowi”.

Reginus dotknął cienką pałeczką pleców Jana i wypowiedział formułę:

— Stawiam wniosek o wyzwolenie tego człowieka.

Sędzia zapytał Marulla:

— Czy są jakieś zastrzeżenia?

Na to liktor wyciągnął rękę, dotknął nią ramienia Jana i powiedział:

— Został postawiony wniosek o wyzwolenie tego człowieka. Czy ktoś ma coś przeciwko temu?

Marull milczał w dalszym ciągu.

Na to sędzia oświadczył:

— Ogłaszam więc wyrok: człowiek ten jest wolny wedle prawa rzymskiego.

Po dopełnieniu tego aktu Marull rzekł do Jana z nieco złowrogim uśmiechem:

— Tak, mój Janie, daję ci teraz pięćdziesiąt tysięcy sestercji; kiedy suma ta wzrośnie do pięciuset tysięcy — będziesz mógł udać się do Judei.

Jan odpowiedział:

— Daj mi dziesięć tysięcy i pozwól mi jechać, kiedy suma ta wzrośnie do stu tysięcy.

Klaudiusz Reginus słuchał uważnie.

Marull pomyślał, że wszczęcie tej rozmowy w obecności wydawcy było może niemądre. Ale nie pozostało mu nic innego, jak powiedzieć tak.

Po trudach i wysiłkach, jakie pociągnęły za sobą objęcie władzy i katastrofa pożaru, Tytus pojechał jedynie w asyście lekarza Walensa do swej posiadłości Gosa, żeby nieco wypocząć. Wypoczynek trwał krócej, niż było w projekcie. Już po kilku dniach nadeszła z miasta nowa wieść hiobowa.

Epidemia, która w Egipcie i na Sycylii pochłonęła tak wiele ofiar, dotarła teraz, przy końcu lata, do Rzymu. Służba zdrowia zarejestrowała do dnia wczorajszego sto osiemnaście wypadków śmiertelnych.

— Czy nie powinniśmy wrócić do Rzymu? — zapytał Tytus swego lekarza i powiernika.

Walens był temu przeciwny. Powołał się na liczne względy. Epidemia była mu nie na rękę. Należał do wielkich diagnostów, tymczasem przy zarazie diagnosta jest zbędny, każde dziecko poznaje ją od razu po symptomach. Nie, w Rzymie nie ma teraz dla niego laurów do zdobycia. Stolica i tak skłonna była dawać pierwszeństwo lekarzom egipskim, żydowskim i greckim. Nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie zwalczania zarazy Grecy i Egipcjanie mają więcej doświadczenia niż on.

Lekarz przyboczny Walens to człowiek zimny, zmęczony, myślący realnie. Osiągnął, co było możliwe, ma wielką liczbę zwolenników, założył nową szkołę. Niełatwa była ta jego kariera. Mimo nowych metod nie wybiłby się, gdyby przez dokonanie sztucznych poronień nie wybawił kilku wielkich dam z krytycznej sytuacji. Ale i później sprawy nie układały się tak prosto. To prawda, że osiągnął najwyższe honoraria, jakie płacono w Rzymie, ale jeszcze przez lata nie cieszył się pełnym uznaniem; pewni nadęci koledzy, Grecy i Żydzi, traktowali go zupełnie otwarcie jak szarlatana. Plotki i gadanina skończyły się dopiero wtedy, kiedy Tytus zrobił go swoim lekarzem przybocznym. Miał teraz pieniądze, sławę, był ponadto powiernikiem Tytusa, w pewnym stopniu współregentem. Znajdował się u szczytu.

Temu, kto się raz wdrapał wysoko, ciężko jest się utrzymać na wyżynach. Czy nie zaczął już lekko staczać się w dół? W ostatnich tygodniach zaszła w Tytusie zmiana, korzystna dla Walensa jako dla lekarza, niebezpieczna dla niego jako dla człowieka. Tytus stał się żywszy, samodzielniejszy, Walensowi groziło, że mu się wymknie. A teraz przyłączyła się ta zaraza, z której skorzystają inni, by się przepchać na pierwszy plan.

Nazajutrz Walens przekonał się, że obawy jego nie były bezpodstawne. Kiedy mianowicie zjawił się Klaudiusz Re-ginus i cesarz naradzał się z nim długo — Walens nie został wezwany na tę radę. W dniu tym zameldowano o trzystu czterdziestu trzech zmarłych, następnego dnia liczba zmarłych wzrosła do czterystu. Był to inny niż dotychczas rodzaj zarazy. Nie towarzyszyły jej czarne bąble, lecz biegunka oraz straszliwe dreszcze. Grecy i żydowscy lekarze przechwalali się, że w kilku wypadkach potrafili uratować chorych. Zastosowali również nie bez powodzenia nowe metody profilaktyczne. Walens był rozgoryczony.

Wielu spośród zamożnych Rzymian, choć dopiero niedawno powrócili z wilegiatur na wsi, opuszczało miasto na nowo. Wbrew radzie lekarzy Tytus powrócił do miasta. Klaudiusz Reginus przekonał go, że skoro jego przeciwnicy tłumaczą zarazę jako nowy znak bogów, skierowany przeciw niemu, teraz dopiero winien pokazać, jak dobrym ojcem jest dla Rzymian.

W mieście dotarło do niego pismo Bereniki. Uważała, że ich powtórne połączenie się nie byłoby wskazane, dopóki w Rzymie szaleje epidemia. Ma nadzieję, że w ciągu dwóch, trzech tygodni zaraza wygaśnie tak dalece, iż będzie mogła przyjechać. Pierwszą myślą Tytusa, gdy otrzymał wiadomość o wybuchu epidemii, było, że będzie musiał jeszcze dłużej czekać na Berenikę. Zapytywał teraz sam siebie, czy ma pojechać na jej spotkanie do Grecji. Ale już po chwili odrzucił ten plan. Był pewien siebie, był pewien Bereniki, nie chciał, żeby go Rzymianie uważali za tchórza. Zaraza był to dobry omen, dawała mu okazję do zmanifestowania odwagi.

Okazało się, że tym razem Rzymianie bardzo wysoko ocenili jego zachowanie, uznali nawet, że z chwilą przybycia Wieloryba zaraza zaczęła słabnąć.

Kiedy pierwsze wieści o zarazie dotarły do Dorion, zaproponowała Józefowi opuszczenie miasta; mimo bowiem obecności cesarza uciekał każdy, kto mógł sobie na to pozwolić. Willa w Albanum nie była gotowa, ale od biedy można było w niej mieszkać, a zresztą i tak będzie się

przeważnie przebywało pod gołym niebem. Józef uważał za rozsądne, że Dorion wraz z synem chce opuścić miasto dotknięte zarazą. Ale nienawidził willi w Albanum i zaproponował udanie się gdzie indziej. Upierała się, doszło do gwałtownych słów, okazało się, że ich pojednanie było kiepską łataniną. Wreszcie Józef oświadczył, że czuje się pewny w ręku swojego Boga, i pozostał w Rzymie. Dorion udała się do Albanum z Pawłem i Fineaszem.

Nieporozumienia z ojcem bardzo trapiły Dorion. Kochała swego męża Józefa goręcej, ale z ojcem łączyły ją trwałe więzy. Z ojcem umiała się porozumieć, z Józefem było to niemożliwe. Myślała o tym, aby mimo rozdzwieków z Fabullusem odszukać go i poprosić raz jeszcze, jak małe dziecko, by spełnił jej marzenie i ozdobił dom w Albanum swoimi malowidłami. Ale nie mogła przecież teraz pozostać w Rzymie nawiedzonym przez zarazę.

Już dała polecenie, żeby przygotowano lektykę, i oto nagle zadzwieczyły jej w uszach brutalne, prostackie słowa wypowiedziane przez Fabullusa pod adresem Józefa. Nie, nie może pójść do niego. Ona ma prawo wymyślać Józefowi, znieważać go w obecności osób trzecich, ale nikt poza nią, nawet ojciec. Próbowała się przezwyciężyć. Przecież kocha ojca, a stosunki z Józefem układają się coraz gorzej. Jak ma żyć dalej nie pojednana z ojcem? Rozkazała swym nogom, żeby szły, ale nie usłuchały. Pojechała do Albanum nie zobaczywszy się z ojcem.

Pięknie było w Albanum. Góry rysowały się szlachetnymi liniami, morze rozpościerało się szeroko, jezioro wyglądało uroczo, powietrze było lekkie. Budowa postępowała, Dorion z radością dawała coraz to nowe zlecenia. Ale ściany były nadal puste; nie umiała zmusić się do powierzenia tej pracy komuś obcemu, choć architekt Growiusz proponował zdolnych artystów. Patrzyła na ściany i zżerało ją to, że są puste.

Józef pozostał w Rzymie. To, co powiedział, było prawdą. Był istotnie cały wypełniony dumnym, fatalistycznym poczuciem bezpieczeństwa. Zaraza nie może go dotknąć. Natomiast znikło przeświadczenie, że stosunki jego z Dorion ulegną poprawie. Dorion oddała się od niego, Józef utracił nad nią władzę. Upokorzył się przed nią, zrezygnował ze swego syna Pawła, zgodził się, żeby sobie zbudowała willę w Albanum. Ale to nie pomogło, to do niczego nie doprowadzi. Dorion uparła się: wszystko albo nic. Może ją utrzymać tylko wtedy, kiedy się całkowicie podporządkuje jej woli, a wyrzeknie sam siebie.

W owych dniach chodził często na Suburę, do Mary, do swego syna Szymona. Nalegał, by opuściła Rzym, ale ona przyzwyczaiła się w Galilei przyjmować epidemie jako fatum. Chciała pozostać tam, gdzie przebywa Józef, w skrytości ducha cieszyła się, że wskutek zarazy będzie mogła częściej widywać Józefa. Prawie zawsze miała na nogach plecione, perfumowane sandały; była gotowa przyjmując go każdej chwili w odświętnym stroju.

Józef siedział w przytulnym mieszkaniu, które pozostawił jej fabrykant szkła Aleksas. Nawet teraz, podczas epidemii, Subura była pełna zgielku, który wdzierał się aż do pokoju. Józef czytał, gawędził z Marą albo zajmował się Szymonem-Tinok, swoim synem-Żydem. Wskutek zarazy Szymon nie mógł, jak to było jego zwyczajem, obijać się po ulicach. Czyż Mara nie miała powodu, by naprawdę uważać zarazę za dar niebios? Żeby uniknąć zarazy, Szymon musiał siedzieć w domu, chcąc nie chcąc zajmować się książkami. Józef przyniósł mu *Wojnę żydowską*. Była to pierwotna wersja aramejska, mniej kompromisowa niż grecka. Książka zainteresowała inteligentnego chłopaka; Józefa ogarniała skrucha i gorycz, kiedy widział, jak jego synek biedzi się nad fragmentami, które ze względów politycznych ujął pobieżnie i nieprzejrzyście. W głębi ducha jednak prawował się często z Janem z Giskali i z Justusem z Tyberiady, szydził z nich za ich cyfry i statystyki. Mara siedziała przy tym cicha i zadowolona, że jej pan rozmawia o książce z chłopcem, którego wydała na świat. Uczony rabbi Jo-chanan ben Zakkai był świętym człowiekiem. Jahwe przemawiał przez jego usta.

Szymona-Tinok interesowały najgoręcej w *Wojnie żydowskiej* opisy spraw wojskowych, a

zwłaszcza sprzętu wojennego. Nie mógł dosyć nasłuchać się i naczytać o artylerii, maszynach obłęzniczych, działach, taranach, katapultach i balistach. Siedział obok ojca, krzepki, barczysty, rozpytywał niezmiernie o każdy szczegół. Wkrótce znał dokładnie różnicę między oksybolem i petrobolem, między zaprzęgiem prostym, tak zwanym entytonem, a zaprzęgiem w pobok, tak zwanym palytonem. Wiedział, jak się konstruuje takie maszyny, których elewacja mieści się pomiędzy palicami, czyli sworzniami, oraz takie, których ciężka po wyrzuceniu pocisku powraca do pierwotnego położenia.

Tak go te sprawy zajmowały, że, pokonując lenistwo do pisania, notował sobie najważniejsze szczegóły i wielokrotnie odczytywał głośno matce swe notatki, żeby ich treść zachować w pamięci. Mara cieszyła się, że ma tak mądrego syna.

W owych tygodniach próżniactwa z powodu szerzącej się zarazy zrodził się w głowie chłopca chytry plan. Ojciec opowiadał mu o bardzo dalekonośnym i niszczycielskim działaniu żydowskim, o katapultie zwanej „Wielka Debora”. Było to działko niezaprzeczenie skonstruowane genialnie. Wynalazca wpadł na oszałamiający pomysł: chciał połączyć za pomocą bloku walec poziomy na tylnym końcu łoża z ciężką. Długość miotacza wynosiła 1,36 metra, jego przekrój 0,148, zasięg 458,2 metra.

Szymon postanowił wykorzystać przymusową rekluzję na sporządzenie modelu „Wielkiej Debory” z pewnym dodatkowym ulepszeniem: rodzaj bata miał umożliwić, by ciężka bez trudu wracała do pierwotnego położenia. Tym modelem chciał zrobić ojcu niespodziankę.

Kiedy się jednak zabrał do wykonania swego modelu, zobaczył, że dwiema rękami nie da sobie rady, że potrzebne mu są co najmniej cztery ręce. Zwierzył się z tym matce. Pomagała mu w miarę sił, ale nie na wiele się to przydało, gdyż kobiety w takich sprawach są na ogół do niczego. Szymonowi byłby do tego potrzebny jego przyjaciel i kolega Konstans.

Tymczasem Konstans nie pokazywał się od chwili wybuchu epidemii. Prawdopodobnie zabroniono mu tak samo jak Szymonowi stykać się z innymi chłopcami ze względu na niebezpieczeństwo zarazy. Ale teraz, kiedy chodziło o „Wielką Deborę”, Szymon uznał tę lękliwość za przesadną i ruszył w drogę, by odszukać kolegę. Matce, która go nie chciała puścić, oświadczył, że musi postarać się o drzewo na sporządzenie modelu.

Ale w domu przyjaciela spotkała go nieprzyjemna przygoda. Ojciec Konstansa, kapitan Lukrion, w czasie służby w armii przeżył parę niemiłych epidemii, ludzie jego padali jak muchy w dżdżyste dni; kiedy więc w Rzymie wybuchła zaraza, przestał panować nad nerwami. Nie rozporządzał dostatecznymi środkami, by wyjechać z miasta, ale za to w mieszkaniu zabezpieczył się przed epidemią, jak tylko mógł. Dwa razy dziennie składał ofiary na małym ołtarzu domowym, trzymał stale pod nosem chustkę zwilżoną octem, palił drzewo sandałowe, by przy pomocy dymu zniszczyć zarazki, unikał wszystkiego, co mogło drażnić bogów, surowo zabronił Konstansowi obcowania z Szymonem, żeby się nie splamić utrzymywaniem stosunków z Żydem, bezbożnikiem. Kiedy więc Szymon przyszedł, kapitan cofnął się przed zdumionym chłopcem i obsypał go stekiem obelg. Niech się wynosi, zatruwa powietrze swym oddechem, ściąga zarazę na każdego, kto się do niego zbliży. Ta stara żydowska Świnia — kapitan miał na myśli Be-renikę, ale Szymon tego nie zrozumiał — ponosi winę za całą zarazę. Jeżeli chłopiec się nie ulotni, i to jak najprędzej, kapitan Lukrion zbije go na kwaśne jabłko. Szymon wycofał się; zdumienie jego przerastało niemal wstyd i gniew.

Ani ojcu, ani matce nie opowiedział o dziwnym zachowaniu kapitana. Była to sprawa między nim i ojcem Konstansa. Ale rozmyślał o kapitanie, o jego wściekłości i jego słowach. Wiedział, że Lukrion to brutal, słyszał nieraz jego antyżydowskie wypowiedzi. Ale Szymon nie był pamiętliwy, sam zresztą miał zwyczaj soczyście wymyślać. Poza tym jako chłopiec rozsądny i doświadczony brał pod uwagę, że Lukrion był zdenerwowany z powodu zarazy. Ale bądź co

bądź człowiek ma swoją dumę i nikt nie słucha z przyjemnością, kiedy mówią mu, że zatruwa po-wierze i szerzy zarazę. Szymon postanowił, że zapyta kapitana, co go skłoniło do użycia tak ubliżających słów. Oczywiście uczyni to dopiero wtedy, kiedy zaraza minie i kapitan odzyska równowagę.

Niezależnie od tego wizyta w domu przyjaciela osiągnęła cel mimo żołdackiego wybuchu kapitana. Kolega Konstans, jako przyzwoity chłopiec i dobry przyjaciel, wstydził się za ojca. Już kiedy stary beszał Szymona, Konstans, czerwony jak rak, bezradny, za plecami ojca starał się uspokoić przyjaciela gestykulując wymownie. Po dwóch dniach zdobył się na odwiedzenie Szymona. Mara nie rozporządzała tak soczystym skarbem wymowy jak Lukrion, kiedy jednak Konstans się pojawił, była nie mniej przerażona niż kapitan, gdy zobaczył Szymona. Ale Szymon, widząc, że matka nie chce wpuścić upragnionego przyjaciela, zaczął wymyślać i kląć w sposób, którego by się nie powstydził nawet kapitan Lukrion. Przede wszystkim użył kilkakrotnie przekleństwa „na Herkla”; był to wymyślony przez niego skrót powiedzenia „na Herkulesa”. Wiedział, że przywołanie potwornego pogańskiego boga bardzo matkę przestraszy. Zamilkła też i odeszła.

Kiedy zostali sami, Konstans próbował usprawiedliwić ojca, wytłumaczyć go. Szymon uważał, że nie pora informować kolegę, co myśli o kapitanie, był rad, że widzi przyjaciela u siebie. Chodziło mu teraz przede wszystkim

o „Wielką Debory”. Przerwał więc długie wywody Konstansa i opowiedział mu o swym planie. Konstans, zadowolony, że Szymon nie każe mu pokutować za przewinienie ojca, zajął się żywo sprawą, do której zabrali się nie zwlekając.

Wkrótce Konstans zjawił się po raz drugi. Od tego czasu chłopcy, porwani tajemniczością i trudnością przedsięwzięcia, spotykali się coraz częściej ku przerażeniu Mary. Kiedy miasto zżerane strachem przed zarazą pogrążało się w modłach, ci dwaj majstrowali dokoła „Wielkiej Debory”.

Mare trapiły wątpliwości, czy nie powinna poinformować Józefa o tych spotkaniach. Ale nie mogła zrobić takiej krzywdy swemu Tinok. Poza tym serce jej rosło, że w pewnym stopniu współuczestniczy w przedsięwzięciu syna. Siedziała w milczeniu, kiedy Szymon ostrożnie, okrężnymi drogami wydobywał od ojca szczegóły dotyczące konstrukcji „Wielkiej Debory”; chwilami z wielkim trudem powstrzymywała się, by nie mrugnąć porozumiewawczo w stronę syna.

Józef nie zauważył otaczającej go tajemnicy. Często chodził na Suburę. Podobał mu się syn-Żyd. To miły, inteligentny chłopiec, szkoda tylko, że tak go pociąga wszystko, co zmysłowe i materialne. Ale Józef zbytnio się nad tym nie zastanawiał. Ilekroć z nim gawędził, widział przed sobą Pawła w chwili, gdy w Albanum mijał go w swym pojeździe, zaprzęgniętym w kozy, zgrabny, opalony, wyniosły. Odpowiadał cierpliwie na pytania Szymona, przyglądał się okrągłej, jasnej, pogodnej twarzy Mary. Bardzo kochał swego syna Pawła.

W związku z pożarem i wzmożonym ruchem budowlanym malarz Fabullus był zasypany zamówieniami. Pracował. W wolnych chwilach czekał na córkę, wyobrażał sobie, jak się zjawi, jak go będzie prosić o przebaczenie; czekanie dręczyło zamkniętego w sobie, dumnego człowieka. Przecież Dorion wie, jak bardzo ją kocha, i ona go kocha, przyjdzie. Czekał. Chcąc skrócić czas czekania, pracował coraz więcej.

Epidemią nie przejmował się wcale. Wydawało mu się nieprawdopodobne, żeby go mogła dosięgnąć, zanim skończy swój wielki obraz i pojedna się z ukochanym dzieckiem. Pracował. Ubierał się wytwornie, jak zawsze, malował jedynie w stroju galowym. Malował albo czekał na córkę. Tak upływały mu dni i noce. Słońce wschodziło wcześniej, zachodziło późno, mógł więc długo malować.

Olbrzymia budowa Nowych Łaźni posunęła się już tak daleko, że mógł przystąpić do swego wielkiego fresku *Stracone okazje*. Malowidło to zajmowało go od lat. Marzył o tym, żeby namalować fresk dla swego dziecka, był zmartwiony, że do tego nie doszło. Ale jako artysta nie ukrywał przed sobą, że proporcje hali, którą miał teraz pokryć malowidłami, były odpowiedniejsze od tych, które by mogła dać jakaś budowla prywatna. Zabrał się do swego zadania z zaciekłym zapalem. *Stracone okazje* będą dobrym malowidłem, będą go nazywali nie tylko największym malarzem Flawiuszów, ale i największym malarzem wszystkich cesarzy. Sprowadzono do Rzymu najpiękniejsze obrazy z sześciu, siedmiu stuleci, ale ten, kto nie ujrzy jego obrazu, nie zobaczy Rzymu.

Ledwie kazał ustawić rusztowanie i zrobił pierwsze pociągnięcia pędzlem, dosięgła go zaraza. Powaliła go na łożo, dręczyła przesadnie czystego i dbającego o siebie pana biegunką i wymiotami, lekarze zorientowali się po kilku godzinach, że jest zgubiony. Leżał z zapadniętymi oczami, nos zaostrzył mu się, twarz i ręce miał sine, skórę trupio zimną. Dookoła niego unosiły się kłęby dymu, które miały zmniejszyć niebezpieczeństwo zarażenia się i zagłuszyć bi-

jący od niego smród. Leżał skurczony, zachował pełną przytomność, ale szumiało mu w uszach, miał zawroty głowy; próbował wyobrazić sobie, jak wygląda, ale robiło mu się czarno przed oczami. Trapiło go potworne pragnienie, widział i wiedział, co się z nim dzieje. Wiedział, że za każdy łyk musi zapłacić wymiotami, bólami, osłabieniem; dla lekarzy, znających jego przesadną czystość i wytworność, najstraszniejsze było to, że ciągle, nieustannie domagał się czegoś do picia. To, co go otaczało, było mu obojętne. Najpierw zobojętnieli mu przyjaciele, potem własne obrazy, wreszcie rodzone dziecko. Nieuchronna śmierć stała mu się również obojętną. Domagał się tylko jednego: wody, wody!

Kiedy na trzeci dzień wieczorem zawiadomiono rzeźbiarza Basiliosa, że przyjaciel jego zmarł, powiedział do swego pomocnika Kritiasza:

— Widzisz, mój Kritiaszu, no i co się ma z tego? Chciał namalować swoje *Stracone okazje* i dlatego umarł. Człowiek się zaharowuje, liczy, kalkuluje, przyjmuje jedno zamówienie po drugim, choć wie, że wystarczy mu tych pieniędzy, które zarobił dotychczas, choć wie, że stworzył już najpiękniejsze dzieło, na jakie go było stać. Ale człowiek chce jeszcze więcej pieniędzy, pragnie zrobić jeszcze coś lepszego, chce jeszcze więcej sławy, żeby jego warsztat wyprodukował w następnym roku zamiast dwustu dziesięciu tysięcy dwieście trzydzieści tysięcy popiersi. Głupcy z nas, mój Kritiaszu. Powiniennem kupić sobie niewielką posiadłość nad Morzem Jońskim, pracować tylko wtedy, kiedy mam chęć, co cztery, pięć dni, nikogo nie wpuszczać do siebie prócz kilku miłych kobietek i może ciebie, jeżeli zachowywałbyś się po ludzku. Należałoby leżeć w słońcu, pić wino, od czasu do czasu przeczytać dobrą książkę. Ale przede wszystkim trzeba by uciec z tego przekłętą miasta w sto koni. Wcale nie mam ambicji skonania od zarazy, jak to zrobił ten śmieszny i wspianiały Fabullus. No tak, a jakież przygotowałeś na jutro rozkład dnia?

Na wiadomość o śmierci ojca Dorion padła zemdlona. Odkąd pokazała mu drzwi, nie dał o sobie znaku życia; przypuszczała, że uciekł z zapowietrzonego miasta. Kiedy jej powiedziano, że zmarł na zarazę, poczuła fizycznie, jak ją opada poczucie winy, jak ją dusi, dławi, unicestwia. Zabiła go.

Zbudziła się z omdlenia przerażająco zmieniona, blada, twarz miała w plamach. Wysiłki pokojówki, Pawła i Fi-neasza były daremne. Kazała się odwieźć do miasta. Kiedy jej powiedziano, że zwłoki zapewne zostały zaraz po zgonie spalone, nie odrzekła ani słowa, nie zmieniła decyzji, powróciła do miasta.

Nie pojechała naprzód do domu. Tak jak stała, w sukni, którą miała na sobie, kiedy wiadomość do niej dotarła, nie umyta, nie ufrizonowana, poszła do pracowni ojca, do lekarzy.

Chciała, by jej wydano jego popioły. Zaczęły się wykręty. Stosownie do przepisów spalono go wraz z innymi zwłokami, ale nikt nie miał odwagi jej tego powiedzieć. Przeciwnie, odpowiedziano kwieciście, że prochy mogą być wydane tylko za specjalnym pozwoleniem władz sanitarnych. Poszła do naczelnego lekarza, dotarła aż do Walensa. Chciała mieć choć jego prochy. Wreszcie dano jej urnę napełnioną popiołem.

Może w głębi duszy przeczuwała, że był to po prostu jakiś tam popiół, ale nie chciała o tym wiedzieć. Były to popioły jej ojca, którego zabiła, którego w nikczemny sposób spalono i raz na zawsze unicestwiono jego duszę, a ona do tego dopuściła.

Z kupką popiołu w taniej, żalostnej urnie wróciła do domu Fabullusa. Nie chciano jej tam wpuścić, gdyż mimo dezynfekcji uważano, że dom nie jest wolny od zarazy. Oparła się temu. Siedziała z urną w pracowni Fabullusa, w której wisiały i stały dookoła nie dokończone obrazy oraz szkice do *Straconych okazji*. Przysiadła na ziemi, przemawiała do urny.

Dorion była kobietą światłą, miała poczucie rzeczywistości, jeżeli jednak chodziło o sprawy śmierci i zaświatów, to matka od najwcześniejszego dzieciństwa wpoila jej prastare, ponure pojęcia kraju nad Nilem. Zgodnie z surowym, starym rytuałem matka jej została zabalsamowana, jej zwłoki, zakonserwowane na wieki, leżały w małym mauzoleum, które wznosił dla niej Fabullus na cmentarzu w Aleksandrii. A jej ojciec nie tylko zginął z jej winy, ale wskutek jej okrutnego niedbalstwa został na zawsze unicestwiony. Pozwoliła, żeby jego święte ciało zostało spalone, nie spoczął w siedzibie, gdzie miał przebywać wiecznie, nie znalazł się na łodzi, która czekała, by go przewieźć do krainy umarłych. Dorion siedziała na ziemi, skulona, chuda, brudna, z dzikim wyrazem w oczach koloru morza, cienkimi rękami przyciskała urnę do piersi. Znalazła w pracowni jedną z owych ksiąg umarłych, które dawano zabalsamowanym, księgę z zaklęciami i formułami czarnoksięskimi, mającymi odwrócić niebezpieczeństwa grożące wędrowcowi w zaświatach. Martwym głosem powtarzała bezmyślnie stare formuły egipskie.

Nagle przerwała, zamilkła, zaczęła patrzeć przed siebie ze strachem i nienawiścią. Dotarła do rozdziału o sędziach nad umarłymi. Niespodziewanie zabrzmiały jej w uszach groźne, pełne pychy, tajemnicze słowa Józefa, że ma moc wydawania wyroków na umarłych. Słowa jego nabrały nagle zaskakującego, nienawistnego sensu. To on przez swą żądzę zemsty na zawsze unicestwił ojca.

Przyszedł na trzeci dzień. Zerwała się, wydając cichy okrzyk. Cofnęła się przed nim z takim przerażeniem, odrzuciła go z takim sykiem nienawiści, że nie miał odwagi pozostać.

Posłał jej lekarzy, pielęgniarzy. Wróciła do domu dopiero po kilku dniach.

Kiedy po dłuższym czasie ją odwiedził, wydała mu się szczuplejsza i zwiewniejsza niż zazwyczaj, ale była, jak zawsze, starannie ubrana, miała na sobie przezroczyście szatę, którą tak lubiła, krążył dokoła niej kot Chronos. Odzyskała równowagę, robiła plany. Były teraz dwie najważniejsze sprawy. Pierwsza to wychować syna w duchu dziadka, druga to odplacić Żydowi za krzywdę, którą wyrządził jej i jemu. Jedno i drugie wymagało spokoju i przebiegłości, w czym nie była mistrzynią. Ale szło o cały sens jej życia, więc będzie spokojna i przebiegła.

Oświadczyła mu cicho i uprzejmie, że się uda do Aleksandrii. Dusza jej ojca została unicestwiona, ale mimo to chce popioły Fabullusa złożyć w Aleksandrii, w przybytku dla zmarłych. Weźmie ze sobą Pawła, żeby go przyszłości wychowywać w Aleksandrii. Jeżeli Józef pozwoli jej zabrać Fineasza, będzie mu wdzięczna. Dla niego byłoby to finansową ulgą, a jej nie obciążałoby zbyt, gdyż wskutek śmierci ojca ma odpowiednie środki.

Józef uświadomił sobie już dawno, że nie potrafi zatrzymać Dorion, że nie będzie mógł z nią żyć dłużej. Ale tego, co sobie uświadomił rozum, nie chciało uznać uczucie. Prosił ją, zaklinał, żeby pozostała w Rzymie. Tłumaczył jej, że ojciec jej pragnął, by syn wychowany został na Rzymianina, nie na Aleksandryjczyka. Przynależał uroczyście, że już się do wychowania

syna mieszać nie będzie. Ale niech zostanie.

Liczyła się z tym, że Józef będzie tak mówił. Stwierdziła z cichą satysfakcją, że potrafi chłodno słuchać jego słów, że ani jego głos, ani jego oczy nie działają na nią. Doprowadzi swój plan do końca bez obawy, że mógłby ją zaskoczyć dawny sentyment dla Józefa. Była od początku zdecydowana pozostać w Rzymie, ale chciała, by za to drogo zapłacił. Powoli, krok za krokiem, stosując rozumną taktykę, ustąpiła. Pozostanie w Rzymie, ale stawia swoje warunki. Wróciła do swego dawnego żądania. Opanowując głos, z lodowatym wyrazem w jasnych, błędnych oczach, oświadczyła, że domaga się w dalszym ciągu, by kazał opuścić Rzym tej kobiecie, tej Żydówce z prowincji.

Józef przypomniał sobie historię Abrahama. Rzekła Sara do Abrahama: „Wyrzuć tę niewolnicę i syna jej. Nie będzie bowiem dziedzicem syn niewolnicy z synem moim Izaakiem. Przykro to przyjął Abraham dla syna swego. Wstał tedy Abraham rano i wzięwszy chleb i bukłak wody włożył na plecy jej i odprawił ją, która poszedłszy błędziła w puszczy Bassabee.”

Józef przyrzekł Dorion, że Mara opuści Rzym na jego rozkaz.

Następnego ranka poszedł do domu na Suburę, do Mary. Kiedy się zjawił, promieniała; na jej jasnej twarzy, która ostatnio zaokrągliła się nieco, widać było od razu każde wzruszenie. Chłopiec cieszył się również. Praca nad modelem posuwała się rażno naprzód, wkrótce będzie go mógł ojcu pokazać. Mara krzątała się energicznie. Przygotowała Józefowi kąpiel; wiedziała, że kiedy zjawiał się pieszo, lubił zanurzyć nogi w zimnej wodzie. Chciała, żeby się czuł jak w domu, przyniosła mu stołek i chłodzone napoje.

Józef pozwalał się obsługiwać. Kiedy się krzątała, nie spuszczał z niej oka. Trochę utyla przez te dziesięć lat. Ale teraz tego nie widział, przeciwnie, dziś po raz pierwszy, odkąd przebywała w Rzymie, widział ją taką, jaką była w Cezarei. Wyobraźnia jego starła z jej policzków pucułowatość, widział czysty owal jej twarzy, promienne, jak wówczas, niskie czoło, podługne oczy, wypukłe wargi, widział pokorną, młodą, słodką galilejską twarz dawnych lat; czystość jej rysów podkreślała jeszcze bardziej ciemnobrązowa, czworokątna suknia w czerwone pasy, na wzór szat noszonych w północnej Judei. Ogarnęło go pożądanie, jak wtedy, kiedy ją poznał w Cezarei.

„Przykro przyjął to Abraham za syna swego.” Obiecał Dorion. Dorion, zwłaszcza w chwili obecnej, nie jest kobietą, która mogłaby mu coś darować. Kocha swego syna Pawła, jest przywiązany do Dorion. Może to dla niego nieszczęście, że jest tak do niej przywiązany, ale, jak zawsze, nie może się od niej oderwać. Musi się zdobyć na ten wysiłek, musi to Marze powiedzieć.

Kręcił, kołował, ciężko mu było zacząć, zakłócić spokój tego domu. Dokoła srożyła się zaraza, ale tutaj życie toczyło się normalnie. Chłopiec Szymon-Tinok, jego syn-Żyd, siedzi w pokoju nad *Wojną żydowską*, czyta ją powoli, chcąc uchwycić sens. Mara słucha spokojnie, nic nie przeczuwając, szczęśliwa; a on musi to wszystko zdruzgotać.

Wziął się w garść. Oświadczył nagle, że teraz, kiedy teść jego zmarł od zarazy, nie uważa za wskazane, żeby Mara i chłopiec pozostawali nadal w Rzymie. Szymon spojrział ze zdziwieniem.

— Co to ma znaczyć? — zapytał.

Zaraza nie tknęła go dotąd, nie boi się jej. Wkrótce, pomyślał, będzie mógł panu swemu i ojcu przedłożyć model działa. Pracował nad nim całe tygodnie. I to miałyby pójść na marne? Gdzie znajdzie drugiego tak żarliwego współpracownika, jakim jest jego przyjaciel Konstans?

Mara nie była kobietą mądrą, ale jeżeli chodziło o Józefa, wyczuwała wszystko instynktem. Dzisiaj od pierwszej chwili zorientowała się, że Józef ma jej coś do powiedzenia, i to coś niemiłego; toteż bardzo się przełękła.

Od razu przeczuła jakieś powiązania. Opowiadano jej wiele o Dorion, wiedziała, że jest jej solą w oku. Za propozycją Józefa niewątpliwie ukrywa się Dorion. Przecież tak długo tolerował ją w Rzymie, a w ostatnich tygodniach wydawało się nawet, że obecność jej i chłopca jest dla niego podporą. Skąd ta nagła troska, i to właśnie w chwili, kiedy zaraza zaczyna wygasać? To z pewnością ta kobieta chce się jej pozbyć z miasta. Jeżeli opuści Rzym, ta kobieta przeciwstawi się temu, żeby kiedykolwiek tu wróciła. Tak, Mara rozumiała to doskonale. Gdyby była na jej miejscu, nie zniosłaby obecności w Rzymie drugiej żony Józefa i jej dziecka.

Poczuła to wszystko w mgnieniu oka i radość zagasła na jej spokojnej, pogodnej twarzy. Ale nie uciekła się do długich, niezdarnych tyrad. Zabroniła chłopcu sprzeciwić się. Podporządkowała się. W głębi duszy nigdy nie wierzyła w trwałość swego szczęścia i właśnie w chwili, kiedy Józef przyrzekł jej, że będzie wychowywać chłopca u przyjaciół, zrodziły się w niej wątpliwości. Skoro Józef, jej pan, życzy sobie tego, oczywiście wyjedzie. Tak, życzył sobie tego, chciał, żeby wróciła do Judei.

— Do Judei? — zapytał ponuro i gniewnie Szymon, ale matka rzuciła mu spojrzenie pełne smutku, wyrzutu i błagania, więc zamilkł.

Kiedy jednak została z chłopcem sama, postawa jej uległa zmianie. Rozumiała Dorion, poważała i kochała swego męża Józefa, ale tym razem nie podda się tak bezapelacyjnie. Gdyby chodziło o nią samą, uczyniłaby to, ale przecież chodzi o chłopca. Przecież to się rzuca w oczy, jak Szymon w Rzymie rozkwita, jak miasto oraz obecność ojca wpływają na jego tak wspaniałą rozwój. W Judei zdziczeje. Czy ma go ze światła cofnąć w mrok? Ani jej to w głowie.

Podzieliła się tymi myślami ze swym przyjacielem Alek-sasem, fabrykantem szkła. Otyły pan słuchał nie przerywając jej. Był to człowiek wielce przez los doświadczony, doznał gorszych cierpień niż większość jego współbraci, stracił wszystkich, którzy byli bliscy jego sercu. Teraz przywiązał się do tej kobiety i tego chłopca, dzięki miłemu, inteligentnemu Szymonowi jego pusty dom ożywił się nowym, radosnym gwarem, nie chciał, żeby Mara z synem wyjechała i w jego domu zapanowało znowu głucho milczenie. Przekonał się, jak prędko radość przemija. Zrezygnowanie z tego radosnego życia bez walki uważał za karygodną lekkomyślność, nie pojmował, jak Józef mógł się pozbywać tych dwojga.

Myślał o tym przez całą noc. Nazajutrz miał wrażenie, że znalazł wyjście. Ożeni się z Marą. Wiedział oczywiście, dlaczego Józef chce, żeby przebywała poza Rzymem. Skoro jednak Mara zostanie żoną innego, czy obecność jej będzie Dorion przeszkadzała?

Kiedy Józef powtórnie zjawił się w domu na Suburze, żeby omówić z Marą szczegóły jej podróży, ku swemu niemiłemu zdziwieniu zastał u niej Aleksasa, który go wtajemniczył, jakie znalazł rozwiązanie. Projekt Aleksasa nie przypadł widać Józefowi do smaku. Wiedział niestety, że Dorion nie można tak łatwo zadowolić, jak się jego przyjacielowi wydaje. Tak, krańcowa Dorion z pewnością nie zgodzi się na takie połowiczne rozwiązanie. Józef straci ją, jeżeli Mara pozostanie w Rzymie. Z drugiej strony nie miał odwagi sprzeciwić się przyjacielowi. Jeżeli chce się z Marą ożenić, to czy Józef ma prawo mu w tym przeszkodzić? Nikt nie wymienił imienia Dorion, ale wszyscy wiedzieli, że w gruncie rzeczy o nią chodzi. Dysputowali i nie mogli ruszyć z miejsca.

Mara widziała wahania Józefa. Przyjaźń z Aleksasem, jego propozycja małżeństwa wydały jej się z początku szczęśliwym zrzędzeniem losu. Teraz jednak zrozumiała, że jeżeli pozostanie w Rzymie, obecność jej wzbudzi tylko gniew Józefa, jej pana, że jako żona Aleksasa stanie mu się dalsza, niż gdyby była w Judei. Czy jednak nie chodzi przede wszystkim o chłopca? Czy Szymonowi-Tinok nie przydałaby się w Rzymie nieco surowsza dyscyplina? Nie umiała znaleźć wyjścia.

Wreszcie znalazł je Aleksas. Jeżeli jego przyjaciel tak bardzo lęka się o zdrowie Mary, to

byłoby może najrozsądniej, gdyby na jakiś czas powróciła do Judei, choćby po to, żeby ostatecznie uporządkować sprawy swoje i Szymona, Chłopiec nie ma powodu obawiać się zarazy, gdyż tylko w bardzo rzadkich wypadkach dotyka ona młodzieńców w jego wieku. Proponuje więc, żeby Mara sama wróciła do Judei, a Szymon-Tinok pozostał w jego domu poniekąd jako zakładnik.

Mara siedziała niema, zgaszona. Aleksas wysunął swój projekt w dobrej wierze, ale ona w ten sposób traciła zarówno męża, jak syna. Rozumiała jednak, że nie ma innego wyjścia, jeżeli nie chce narazić się na gniew Józefa. Uczepiła się myśli, że takie załatwienie sprawy będzie tylko tymczasowe, i poddała się.

Józef odprowadził ją wraz z chłopcem na statek. Podróż ich do portu trwała trzy dni; Mara była dumna, że Józef ją odprowadza, choć jest przeziębiony i zwykł się w takich razach oszczędzać.

Podczas tej podróży stała się znów dawną Marą. Zapomniała całkowicie tę odrobinę łaciny i greki, którą sobie przyswoiła. Podziwiała syna, który był o wiele zaradniej-szy i bardziej dorosły niż ona. Nieustannie prosiła Józefa pokornymi słowy, by go otoczył opieką. Aleksas to dobry człowiek i bardzo jej kochanemu Szymonowi-Tinok oddany, ale jakże syn może się rozwijać bez błogosławieństwa i miłości ojca? Józef musi jej przyrzec, że dwa razy w tygodniu, a przynajmniej raz, będzie go dopuszczać przed swe oblicze. Józef przyrzekł nawet więcej. Był skłonny dotrzymać obietnicy, gdyż kochał swego syna-Żyda. Ponadto Szymon-Tinok był jego pierworodnym. Oczywiście pierworodnym jego serca pozostał syn Paweł.

Kiedy pomost podniesiono i statek zaczął odbijać od brzegu, Mara zawołała jeszcze, żeby natychmiast wracał do domu. Niech na miłość boską zaraz po powrocie każe naparzyć rumianku z rzeżuchą, niech to zmiesza z winem i wypoci się porządnie. Musi jej napisać następną pocztą, czy przeziębienie minęło. W głębi duszy robiła sobie wyrzuty, że się zgodziła, by ją odprowadził; była pełna obaw, że Józef teraz łatwiej ulegnie zarazie.

Wreszcie statek wypłynął na morze. Stała długo na tylnym pomoście. Józef i Szymon szybko zniknęli jej z oczu, powoli znikło również wybrzeże Italii. Ale Mara stała dalej na pomoście, choć nie było już widać wybrzeża.

Szymon-Tinok kochał swą matkę, czuł się wobec niej jak mężczyzna, jak dorosły wobec nieletniego. Mimo to musiał przyznać, jeżeli chciał być szczery, że w ciągu pierwszych tygodni po jej wyjeździe był rad, iż jej nie ma. Były to bowiem tygodnie pełne wydarzeń i matka byłaby mu przeszkodą.

Kiedy zaraza straciła na sile i ludzie zamożni powrócili ze swych posiadłości ziemskich, oficjalny „Monitor Urzędowy” obwieścił wreszcie, że księżniczka Berenika przybędzie do Rzymu za dwa tygodnie. Cesarz zakomunikował senatowi o swym postanowieniu otwarcia nowego największego na świecie amfiteatru, który zaczął budować jego ojciec, trwającymi sto dni igrzyskami o nie widzianym dotąd przepychu. W piśmie swym do senatu nie uczynił nawet wzmianki, że igrzyska te miały na celu uczczenie Bereniki, ale wszyscy o tym wiedzieli.

Miasto zanurzyło się w dawny, radosny wir życia, przygotowania do igrzysk ożywiły wszystko i wszystkich. Chłopcy, Szymon i Konstans, mieli pełne ręce roboty, nie mogli sobie wyobrazić, żeby bez ich pomocy wszystko odbyło się w porządku. Przestali nawet pracować nad modelem „Wielkiej Debory”.

Włóczyli się po stajniach hodowców koni, odwiedzali przedsiębiorców trudniących się dostarczaniem materiału na wyścigi rydwanów, objali się wśród „niebieskich” i „zielonych”. Cały kraj był podzielony na te dwa obozy. Od stu lat, odkąd Rzymianom odebrano możliwość rozwinięcia działalności politycznej, wywietrzały im już również z głowy namiętności polityczne, pasjonowali się wyścigami konnymi i każdy śledził z szalonym, dzikim

zainteresowaniem zwycięstwa i klęski swoich faworytów wyścigowych. Nawet „wierni”, odszczepieńcy, których czasem nazywano nazareńczykami albo chrześcijanami, należący do nowej, łagodnej, a zarazem surowej, ascetycznej sekty, nie potrafili oprzeć się temu powszechnemu nurtowi. Na przykład handlujący terenami Tryfon, zwolennik tej sekty, rodak i kolega po fachu wyzwolenca Jana z Giskali, interesował się teraz bardziej szansami „niebieskich” niż terenami w północnej części miasta lub odchyleniami jego wiary od nauk uczonych w Piśmie. Kiedy zdumiony Jan zapytał go, czy przepisy jego sekty w ogóle pozwalają na uczestniczenie w wyścigach rydwanów, ten „wierny” odpowiedział zaskakująco liberalnie, że nie należy gardzić zabawami, na które Bóg w swej dobroci zezwolił. Widząc, że Jan pokręcił głową z powątpiewaniem, Tryfon powołał się na Pismo święte i na proroka Eliasza. Ponieważ prorok ten ruszył ku niebu w pojeździe, zdaniem jego, sztuka kierowania rydwanem nie może być Bogu niemiła.

Szymon był „zielony”, Konstans „niebieski”. „Niebieskim” udało się zapewnić sobie czołowego rumaka Vin-deksa dla swej kwadrygi. Było to wydarzenie przyćmiewające nawet projektowane przez Wieloryba poślubienie Żydówki. Kapitan Lukrion na przykład był „niebieski” i wobec perspektywy zobaczenia w Rzymie rumaka Vin-deksa zapomniał nawet o swej antypatii dla damy ze Wschodu.

Obaj chłopcy, wyrzucani codziennie ze stajen, wynajdywali ciągle nowe preteksty, żeby się do nich wśliznąć. Konstans stracił stopniowo energię, ale Szymon był niewyczerpany w coraz to nowych pomysłach. Przekupywał pilnujących wejścia amuletami, które własnym woźnicom miały przynieść zwycięstwo, przeciwnikom klęskę. Sam sporządzał te amulety z egipskimi zaklęciami, dziwacznie tłoczone monety z podobizną Aleksandra, małe dzwoneczki dla koni. Udawało mu się wszcząć rozmowę z tym lub owym woźnicą. Stał, rozkraczywszy nogi, z miną fachowca, opowiadał, co mu kiedyś mówił w Cezarei szam-pion Tallus, zwycięzca w tysiącu biegów, protekcyjnie klepał konie po szyjach i zadach, porównywał je z wierzchowcem Silwanem, którego raz dosiadł. Stojący obok Konstans był pełen zazdrości i podziwu.

Konstans nabył od jednego z kolegów szarą wiewiórkę, która się w Rzymie zabłąkała, i obiecał ją Szymonowi, jeżeli uda mu się sprawić, by wolno mu było raz dosiąść Vindeksa. Pewny siebie Szymon uważał, że potrafi to przeprowadzić. Istniała jednak pewna przeszkoda. Rumak Vindeks biegał dla „niebieskich”, Szymon zaś był „zielony”. „Zielonym” stał się wtedy, kiedy szampion Tallus zachował się wobec niego tak przyzwoicie; nawet za cenę rumaka nie zaprzedałby swej zieloności. Na szczęście nikt nie pytał go, do jakiej „partii” należy. Kręcił się więc i wśród „niebieskich”, i wśród „zielonych” i osiągnął to, że powożący rydwanami Awil, najlepszy woźnica w obozie „niebieskich”, pozwolił mu dosiąść Vindeksa. Mały, barczysty, z pierśią, którą rozsadała duma, dosiadł pięcioletniego rumaka pełnej krwi.

— Na Herkla — powiedział — na tym rumaku można by bez trudu zdobyć Indie.

Na razie chodziło o zdobycie szarej wiewiórki. Kiedy jednak już miał przedłożyć swą prośbę Awilowi, żeby pozwolił dosiąść Vindeksa również i jego przyjacielowi Konstansowi, wydarzyło się nieszczęście, które poruszyło całe miasto. Awil był chyba obok Tallusa najtęższą siłą na torze wyścigowym, poza tym miał za sobą tysiąc siedem zwycięstw. Mieszkał w Galilei, przybył do Rzymu, by zawczasu rozpocząć trening na wielkim stadionie. I nagle, na dwa tygodnie przed występem, powaliła go wygasająca już zaraza. Zmarł, zanim pozwolił Konstansowi dosiąść Vindeksa.

Śmierć Awila odstręczyła chłopców od stajen. Kręcili się teraz często między zapaśnikami. Panowało tu jeszcze większe ożywienie niż w stajniach. Dostanie się do kwater zapaśników było łatwe. Ci, do których należała organizacja igrzysk, rozwijali szaloną działalność propagandową, zależało im, by się interesowano zapasami. Stali przed trudnymi problemami. Na

igrzyska, które miały trwać sto dni, potrzebowali ogromnej ilości materiału, około piętnastu tysięcy ludzi. Poza tym większość tych ludzi, umieszczonych na listach zapaśników biorących udział w igrzyskach, należało z góry zaopatrzyć w czarną literę „P”, inicjałem słowa „Periturus” — słowo to odnosiło się do tych, których przeznaczeniem było paść trupem podczas igrzysk. Z łupu wojennego, zdobytego na wojnie żydowskiej przed dziesięcioma laty, pozostało wprawdzie do dyspozycji jeszcze około ośmiu tysięcy niewolników, ale czy byłoby rzeczą taktowną wykorzystanie tego materiału z okazji imprezy na cześć księżniczki żydowskiej, która ma w dodatku zostać cesarzową? Tak czy inaczej, byłoby dobrze, w razie konieczności zrezygnowania z tej głównej rezerwy, zapewnić sobie dostateczną ilość materiału z innych źródeł.

W wielkim mieście można było zawsze znaleźć ludzi, którzy stojąc w obliczu śmierci głodowej dawali się werbować na arenę w charakterze zawodników. Inna sprawa, że odstręczała ich surowa dyscyplina oraz konieczność złożenia w chwili werbunku przysięgi, że zapaśnik pozwoli „okładać się różgami, przypiekać ogniem, zabijać żelazem”. Ale opowiadano cuda o wikcie w koszarach — po prostu tuczono ludzi — a perspektywa, że dwa razy w życiu, na uroczystej wielkiej uczcie publicznie wydanej na cześć zapaśników przed ich wystąpieniem oraz na samej arenie będzie się oglądanym, jakby się było senatorem, stanowiła dla niejednego kompensatę za strach przed śmiercią. Zapaśnik cieszył się również powodzeniem u kobiet. O pewnych damach z wysokiej arystokracji mniemano powszechnie, że biorą sobie chętnie zapaśników na towarzyszy miłosnych nocy, zwłaszcza bezpośrednio przed występem; zmniejszało to wprawdzie dla nich szansę wyjścia z walki zwycięsko, ale miało swój urok. Mimo tych pokus organizatorzy mogli zdobyć potrzebną ilość szermierzy tylko drogą ogromnej aktywności werbunkowej. Wykazywali na tym polu niezwykłą inwencję. Szymon i Konstans słuchali i patrzyli z gorączkowym zainteresowaniem, jak pewnego razu dyrektor szkół zapaśników zaprezentował pewnemu sprawozdawcy „Monitora Codziennego” świeżo zwербowany materiał, wśród którego była pokaźna liczba ludzi wolnego stanu. Dyrektor wskazał przede wszystkim pewnego, nawiasem mówiąc, mizernie wyglądającego człowieka, który nosił przyzwoite nazwisko i pochodził z dobrej rodziny. Młodzieniec ten oświadczył, że zaangażował się jako zapaśnik, ponieważ potrzebne mu są pieniądze, by nie dopuścić do spalenia zwłok ojca, który był jedną z ostatnich ofiar zarazy, i pogrzebać je zgodnie z testamentem; ojciec ten był prawdopodobnie „wiernym”, czyli chrześcijaninem. Sprawozdawca wiele sobie obiecywał po tej romantycznej historii.

Zapaśnicy byli przeważnie łatwi w obejściu i, o ile nie trenowali, nie jedli lub nie spali, chętnie gawędzili z obu chłopakami. Szymon i Konstans krytykowali z minami znawców ich technikę, obmacywali ich broń, dotykali ich mięśni, dawali rady.

Dotychczas ulubioną zabawą rzymskich chłopców była gra w Anglików i żołnierzy. Dzicy Anglicy pozostawili w Rzymie po ostatniej wojnie niezatarte wspomnienie przede wszystkim dlatego, że byli po barbarzyńsku, na niebiesko wymalowani. Choć matki się o to gniewały, nie można było odwieść chłopców od tego, by się nie malowali na niebiesko i nie odgrywali Anglików. Teraz zabawę tę zastąpiły gry i ćwiczenia, co w pewnej mierze należało przypisać wpływowi Szymona. Chłopcy kłuli się i rąbali drewnianą bronią, na ulicach rozlegała się, szczełała, wyła potwornie jak przez tubę przysięga: „dać się okładać różgami, przypiekać ogniem, zabijać żelazem”. Och, jakże żalowali, że nie dorośli jeszcze do przepisowego wieku, by naprawdę złożyć tę przysięgę i stać się zapaśnikami.

Najnikczemniejsze było jednak to, że kto nie ukończył lat czternastu, nie miał nawet widoków wtargnięcia na widownię. Inna sprawa, że Szymon przechwalał się, iż to osiągnie. Konstans znowu obiecał mu szarą wiewiórkę, gdyby udało mu się i jego przesznułować na widownię.

— Na Herkla — zapewniał Szymon tonem protekcyjnym — zrobi się, zrobi.

Jednakże przez tę lekkomyślną obietnicę nie sypiał po nocach. Nawet w dzień zapadał w zadumę. Czasami, wiedząc, że matki nie ma i może się nie obawiać długich, nudnych pytań na temat spożywania zabronionych przysmaków, kupował kawałek oślej kiełbasy posmarowanej miodem. Niski, krępy rozsiadał się na szerokich stopniach pierwszej lepszej świątyni, pałaszował marzycielsko kiełbasę, rozmyślał i snuł plany, jakby tu przeschmuglować się na widownię wraz z Konstanssem.

— Jak sądzisz, Demetriuszu? — przerwał nagle Marull pracę nad rękopisem *Pirata morskiego Laureola*. — A gdybyśmy z piratów morskich zrobili zbiegłych niewolników?

Aktor Demetriusz Liban podniósł wzrok.

— Co takiego? — zapytał. Zły humor ulotnił się nagle, cała obrzmiała twarz wyrażała napięcie.

Dla niego również tygodnie poprzedzające igrzyska były doniosłym okresem. Od czasu uroczystości żałobnych, związanych ze śmiercią cesarza, nie wystąpił ani razu publicznie. Oszczędzał siły na wielką okazję; były nią studniowe igrzyska. Od dzieciństwa marzył o tym, żeby zagrać pirata morskiego Laureola, najpopularniejszego przestępcę stulecia, bohatera starej komedii ludowej, napisanej przez Katulla. Kilkakrotnie cofał się przed tą rolą, czując, że do niej nie dorósł. Teraz, po długich wahaniach i deli-beracjach, dojrzał do niej, mógł starą, na pół martwą postać ożywić nowym tchnieniem, tchnieniem swej własnej epoki. Ale praca nie poszła mu tak pomyślnie, jak się tego spodziewał. Marullowi, który był autorem tekstu, również brakło natchnienia. Męczyli się już od trzech tygodni; czuli, nie przyznając się do tego, że postać bohatera jest błada. Nie był to ten Laureol, o którym marzyli.

Kiedy Marull wysunął nagle nową myśl zrobienia z Laureola niewolnika, w aktorze zrodziły się nowe nadzieje.

— Zobaczysz, Demetriuszu, że to się da zrobić — ciągnął Marull w podnieceniu i z otuchą. — Rekapituluję treść prologu — powiedział rzeczowym tonem, który przyswoił sobie w związku ze swą działalnością prawniczą. — Zebrała się hołota, dezernerzy, przeważnie zbiegli niewolnicy. Jeżeli akcja ma się rozwinąć wedle mego pomysłu, dokonali pierwszego zamachu, ograbili pierwszy statek, zawinęli do tajemnej przystani, żeby podzielić się łupem. Są zadowoleni, wyobrażają sobie, jak zużyją ten pierwszy łup, zdobyty w karierze pirata. Większość ma na ciele wypaloną literę „E”, piętnującą niewolnika, skazanego na ciężkie roboty.

— Widzę już — rzekł Demetriusz. — Wspaniale. A teraz niech ukaze się kupiec, od którego te ptaszki nabywają wielkie ilości maści Skrybona Larga, by zetrzeć nią ów znak.

— Tak — powiedział Marull. — Ale nie mają oczywiście zaufania do tej maści. Obawiają się, że przekupień wepchnie im falsyfikat, jak się to dziś stale dzieje. — Sekretarz stenografował zawzięcie. — Czy nie uważasz — zapytał Marull — że wygramy grę dzięki tej historii z niewolnikami? Czy zauważyłeś, do czego zmierzam?

Oczywiście Liban zauważył. To był gwóźdź, to było rozwiązanie. Nareszcie udało się dotrzeć do tak gorąco wymarzonej aktualności. Jeżeli coś jest aktualne, to właśnie problem niewolnictwa. Od kilkudziesięciu lat dążenia nowoczesnych filozofów i prawników szły w kierunku ulżenia doli ludzi, będących czyjąś własnością. Oczywiście nikt, żaden Grek, żaden Rzymianin, żaden Żyd, Egipcjanin ani chrześcijanin, bez względu na to, czy był ideologiem, czy politykiem, nie myślał o całkowitym zniesieniu niewolnictwa. To jasne, że w takim wypadku przestałyby istnieć regularna produkcja, cywilizacja i porządek społeczny. Mimo to pokaźna liczba współczesnych pisarzy i polityków głosiła nieustannie, że złagodzenie doli niewolników byłoby rozsądniejsze i bardziej odpowiadałoby dzisiejszym poglądom humanitarnym. Pisarze ci i politycy osiągnęli w ostatnich dziesięcioleciach pewne sukcesy. I tak na przykład zabroniono, ku

niezadowoleniu konserwatystów i grupy „Prawdziwych Rzymian”, zabijania niewolników bez wyroku sądowego; liberałowie przeprowadzili nawet w senacie decyzję, w myśl której sprzedawanie niewolników do lupanarów zostało zabronione. Nasz Marull posunął się jeszcze dalej. Jeszcze kiedy zasiadał w senacie, przedłożył projekt ustawy, w myśl której miało być wzbronione wyrzucanie na ulicę niewolników wysłużonych, których nie można już było zatrudnić; właściciele sędziwych, niezdolnych do pracy niewolników, jeżeli ich nie zabrano, by wzięli udział w igrzyskach na arenie, powinni byli w myśl tego projektu dawać im codziennie po kawałku chleba, a dwa razy na miesiąc trochę czosnku i cebuli. Oczywiście tak daleko idący liberalizm nie spotkał się z poparciem senatu. Ale był to wspaniały pomysł i Liban jest rad i pełen uznania, że Marull chce z okazji *Laureola* powrócić do tego problemu.

— Tak — odparł Liban — to dobre rozwiązanie. Znalazłeś je, senatorze Marullu, ale co dalej? Jak sobie wyobrażasz dalszy rozwój akcji?

Marull zapalił się, zaczął improwizować, improwizacja była udana. Nasi piraci piją. Piją dużo. Pod wpływem wina gawędzą o przeszłości. Mówią o trudach i poniewierce swego dawnego bytowania w niewoli, każdy twierdzi, że to on doznał najwięcej mąk i udręki. Sprzeczą się ze sobą coraz gwałtowniej. „Tyś najwięcej wycierpiał? — padają okrzyki. — Ty? Że cię troszkę rozżarzonymi szczypcami przypieklili? I to ma być męka?” Okładają się pięściami, wioślami, kijami,

— Widzę — odpowiada Demetriusz z entuzjazmem — rozumiem, orientuję się.

Ponosi go wyobraźnia sceniczna, zaczyna realizować pomysł rzucony przez Marulla. Śpiewają kuplet. Coś w tym rodzaju:

Wiem, jak bat skórę chłoszczę,

Jak dźga żelaza ostrze.

Jak ogień parzy, aż z bólu człek wyje,

Jak łańcuch ściska szyję I dzień raz cały wisiałem na krzyżu.

Gwizdał, nucił kuplet pod nosem.

— Tak — rzekł Marull — doskonale. Coś w tym rodzaju. A potem zjawiasz się ty, Laureol, i bijesz na głowę najdzikszych piratów.

— A potem ja wysunę się na pierwszy plan — ciągnął dalej z zapalem Demetriusz. — Zacznę opowiadać, co sam przecierpiałem, jak mnie naprzód wtrącono na galerę, potem do kopalń, potem do kamieniołomów, jak mi później kazano pompować wodę do łaźni, obracać kierat w młynie.

— Tak — przerwał mu Marull. — Ale ty, Liban-Laureol, oczywiście nic sobie z tego nie robisz. Przeszedłeś przez to wszystko pomyślnie i przyznajesz wręcz, że każdy z twoich kolegów więcej cierpiał niż ty.

— Wspaniale — rzekł Demetriusz i oczyma wyobraźni widział już siebie, oświadczającego to z druzgocącą skromnością. — Rzecz zrozumiała, że wobec tego muszą ze mnie zrobić swego wodza — zakończył radośnie.

— A teraz zastanówmy się — medytował Marull — czy w dalszym ciągu sztuki nie psujemy czegoś przez ten pomysł z niewolnikami. — Znowu zaczął rekapitulować, przy czym sekretarz notował dalszy przebieg akcji. Notował, jak głośny pirat, który się roztył, postarzał i stał się mieszcuchem, i zażywał błogiego spokoju pod fałszywym nazwiskiem, obecnie, zawarłszy solidny związek małżeński, piastuje w miasteczku honorowe godności. Zjawia się jakiś żebrak, zbiegły niewolnik, i chcąc otoczyć się atmosferą romantyzmu, sprzyjającą robieniu dobrych interesów, opowiada kobietom w tajemnicy, że jest słynnym, zaginionym piratem Laureolem, którego policja wciąż jeszcze na próżno poszukuje. Z miejsca otaczają go strach, podziw i plotki. Prawdziwy Laureol nie może tego znieść. Zwierza się na ucho, kim jest, swoim

przyjaciołom, kolegom w magistracie. Każdy uważa to za dobry kawał, nikt mu nie wierzy, nawet własna żona. Po prostu wyśmiewają go. Grubas, coraz bardziej rozgoryczony, upiera się przy tym, że jest piratem, pieni się, szaleje. Ponieważ mu nie wierzą, przedstawia dowody. Zwołuje starych kompanów, niewolników, sam wydaje, się w ręce policji i sądu. Umiera na krzyżu, ale dowiódł, że jest sobą. Kiedy inni śpiewają kuplet:

Wiem, jak bat skórę chłoszcze.

Jak dźga żelaza ostrze,

Jak ogień parzy, aż z bólu człek wyje,

Jak łańcuch ściska szyję...

może spokojnie odpowiedzieć z krzyża:

I dzień już cały wiszę na tym strasznym krzyżu.

Demetriusz słuchał dalszej treści sztuki w ujęciu Ma-rulla z tak wyteżoną uwagą, że miał minę niemal głupawą. Tak, nareszcie jest to, czego było potrzeba. Oto sztuka, o której marzył, jego sztuka. Teraz sentymentalna, patetyczna postać starego pirata stała się tym, co chciał zagrać, symbolem dzisiejszego Rzymu.

—Tak — westchnął głęboko, kiedy Marull skończył — utrafiliśmy nareszcie! A właściwie tyś utrafił —

poprawił się uprzejmie. — Będę ci wdzięczny do końca życia — dodał z głęboką radością.

— Czy wiadomo ci — zapytał Marull uderzając o podłogę swym wytwornym kosturem — komuś winien naprawdę podziękować? Przyjacielowi naszemu Janowi z Giskali. Wiem, że go nie lubisz. Ale pomyśl i powiedz, sam, czy bez niego bylibyśmy wpadli na tego Laureola?

Demetriusz, całkowicie pochłonięty radością, nie myślał? ani na chwilę o paralelach, które los Laureola, zwłaszcza w części pierwszej, ukazywał w stosunku do historii bohatera narodowego Jana z Giskali. Parę razy odetchnął głęboko. Wielki ciężar spadł mu z serca. Było tak: Jehowa odwrócił od niego oblicze, to, że praca szła w ostatnich tygodniach tak opornie, było dlań dowodem, iż Bóg wciąż gniewa się na niego. Rachunek bowiem między nim a Jehową nie był wciąż jeszcze wyrównany. Niezależnie od historii z *Żydem Apellą*, jeszcze w okresie, kiedy Świątynia stała, nigdy nie spełnił tego, do czego się zobowiązał, nie odbył pielgrzymki do Jerozolimy. Inna sprawa, że zawsze nosił się z tym zamiarem i miał powody, które go usprawiedliwiały. Czy tu w Rzymie nie działał na swój sposób na chwałę Żydów, a więc na chwałę Jehowy? Czy nie używał swego wpływu i części zarobków na cele żydowskie? Ponadto cierpiał na chorobę morską i z tego powodu odrzucił występy gościnne w bliżej od Judei położonej Grecji. Czy utrzymywanie w dobrej formie ciała i ducha nie było jego obowiązkiem wobec sztuki? Są to oczywiście powody przekonujące. Wątpił jednak w skrytości ducha, czy przekonają Jehowę. Gdyby bowiem Jehowa uznawał je, nie doświadczałby go tak boleśnie. Ale teraz horyzont się rozjaśnił. Jehowa wyraźnie zwrócił ku niemu swe oblicze. Liban całą swą istotą dziękował swemu Bogu, że zesłał na Marulla ten wspianiały pomysł z niewolnikami.

„Spraw, żeby się udało — modlił się — żeby dobrze poszło; kiedy tylko skończę grać Laureola, pojedę do Judei. Wierz mi, że tego chcę. Pojadę z pewnością, choć Świątynia Twoja już tam nie stoi. Przyjmij to zadośćuczynienie. Spraw, żeby nie było za późno.” Zazwyczaj tak opanowany, myślał z taką żarliwością i zapalem, że zaczął poruszać wargami. Marull patrzył na niego rozbawiony.

Bardzo liczni i bardzo różni ludzie czynili w Rzymie przygotowania na przybycie księżniczki Bereniki.

Kwintylian, jeden z najbardziej cenionych mówców i adwokatów, odznaczony złotym pierścieniem, atrybutem szlachty drugiego stopnia, pracował dzień i noc nad wy-szlifowaniem

obu mów obronnych, które wygłosił swego czasu w senacie jako adwokat księżniczki. Żaden paragraf procedury sądowej nie zmuszał go do opracowania obu przemówień. Działanie ich dawno przebrzmiało, pierwsze wygłoszone zostało przed trzema laty, drugie przed czterema. Ale Kwintylianus był w sprawach stylu przeczulony, a stenografowie bez jego wiedzy opublikowali jego mowy na cześć księżniczki Bereniki w wersji, rojącej się od błędów fonetycznych i ortograficznych. Był człowiekiem, który potrafił nie spać przez całą noc z powodu jakiegoś zniekształconego słówka, fałszywie postawionego przecinka; nic więc dziwnego, że opublikowanie jego wystąpień w tak fatalnej formie przyprawiło go swego czasu o chorobę. Teraz, kiedy księżniczka żydowska miała przybyć do Rzymu, chciał wręczyć jej obie mowy w wersji, która byłaby w najdrobniejszym szczególe bez zarzutu.

Zapowiedziane przybycie księżniczki wtargnęło również w tryb życia kapitana Kattwalda, a raczej, jak się nazywał obecnie, Juliusza Klaudiusza Chatualdusa. Był on synem niemieckiego przywódcy szczepu, dostał się w bardzo młodym wieku jako zakładnik na dwór cesarza Klaudiusza. Kiedy tarcia między jego szczepem i państwem rzymskim się zakończyła, książę niemiecki osiadł w Rzymie. Życie w mieście spodobało mu się, pozyskał zaufanie władz, został przydzielony do oddziału niemieckiej gwardii przybocznej cesarza. Tytus polecił, by oddział Chatualdusa służył księżniczce Berenice za gwardię przyboczną podczas jej pobytu w Rzymie; żołnierze niemieccy uchodzili za równie pewnych, jak tępych. Nie znali krajowego języka, byli dzikusami i wskutek tego utrzymywali żelazną dyscyplinę. Ale — kapitan Chatualdus wiedział o tym — istniał gatunek ludzi działających im na nerwy. W lasach i błotach niemieckich opowiadano niestworzone historie o narodach Wschodu, zwłaszcza o Żydach, o tym, jak są wrogo usposobieni do wszystkich jasnowłosych, oraz o tym, że swemu bogu o głowie osła przynoszą w ofierze ludzi mających płowe czupryny. Opowiadania te nie pozostawały bez wpływu na oddziały niemieckie, stacjonujące w Rzymie; żołnierze niemieccy, stykając się z ludźmi Wschodu, często ulegali panice. Kiedy na przykład August, założyciel monarchii, posłał królowi Żydów Herodowi jako dar honorowy niemiecką gwardię przyboczną, król pod uprzejmie umotywowanym pozorem po upływie krótkiego czasu odesłał ją z powrotem. Dlatego też kapitan Juliusz Klaudiusz Chatualdus był teraz pełen trosk i wątpliwości, przeklinał boginie losu, które nazywał na zmianę Parkami i Nornami, że właśnie jego oddziałowi powierzono to drażliwe zadanie.

Wśród Żydów panowały entuzjazm i wiara w dobrą przyszłość. Przejawiało się to na różne sposoby. Byli ludzie, którzy postanowili zbierać pieniądze na wykupienie jeńców z wojny żydowskiej, stanowiących własność rządu. Przed igrzyskami ofiary na ten cel płynęły zazwyczaj obficie. Ale teraz zbierający mieli ciężkie zadanie. Raz poraz mówiono im, że jest mało prawdopodobne, by przy igrzyskach na cześć księżniczki żydowskiej użyto Żydów na arenie oddając ich na pastwę dzikim zwierzętom. Prawie wszędzie odsyłano ich z niczym.

Wobec tego, że Tytus zamierzał na serio osadzić Żydówkę na tronie, zmieniła się równocześnie postawa Rzymian. Wielu, którzy dotychczas uważali Żydów za gorszych od siebie, nabrało teraz przekonania, że przy bliższym obcowaniu nie różnią się tak bardzo od nich samych. Wielu spośród tych, którzy dotychczas unikali stosunków z żydowskimi sąsiadami, zaczęło ich szukać. Żydzi poczuli, że po tylu bolesnych ciosach Jehowa próbuje znowu zwrócić oblicze w stronę swego ludu i zesłać mu nową Esterę.

Niektórzy z nich, właśnie ci, którzy przedtem okazywali największy lęk i służalczość, wzyli się szybko w nową sytuację i zaczęli zadzierać nosa. Zatroškani tym uczeni rabbi zarządzili, by we wszystkich synagogach w kraju przez trzy sabbaty z rzędu odczytywano ów surowy rozdział proroka Amosa, rozpoczynający się od słów: „Biada beztroskim w Syjonie”, i grożący najstraszliwszymi karami tym, którzy „leżą na łożach z kości słoniowej, żrą tłuste

jagnięta i tuczne cielaki”. Przewodniczący synagogi agry-pińskiej, fabrykant mebli Kajus Barcaarone, był nieco rozgniewany, że wybrano właśnie rozdział z „łożami z kości słoniowej”.

Kiedy statek zbliżał się do portu Ostia, Berenika stała na przednim pomoście. Trzymała się prosto, złocistociemne oczy szukały zbliżającego się portu, siłą woli zmuszając się do wiary w dobrą przyszłość. Jehowa był łaskawy, zesłał zarazę i dzięki niej mogła raz jeszcze pozwolić sobie na zwłokę. Naprawdę przezwyciężyła nieszczęście przy pomocy przywołanych przez siebie lekarzy i dzięki własnej energii, wszyscy jej to mówili. Przecież wszyscy nie mogli kłamać.

Kiedy wraz z bratem Agryppą przekroczyła pomost statku, przywitał ją olbrzymi tłum. Pozdrawiano ją tysiącami okrzyków, podnoszeniem w górę prawego ramienia. Senat wysłał okazałą delegację, wzniesiono bramy tryumfalne. Przeszła przez szpaler wojsk, kapitan przedstawił jej niemiecką gwardię przyboczną, przeznaczoną dla jej ochrony osobistej. Wjechała tryumfalnie do Rzymu, na Palatyn.

Tytus stał przy wielkim portalu. Berenika, której towarzyszył Agryppa, weszła po stopniach na górę, uśmiechając się. Teraz, właśnie teraz, chodziło o zachowanie postawy. Dla tej chwili żyła przez długie lata, znosiła w ciągu ostatnich miesięcy niewysłowione cierpienia. Stopnie były wysokie. Czy nie kroczy zbyt szybko? Zbyt powoli? Czuła swoją nogę, nie wolno jej tego odczuwać, nie wolno o tym myśleć.

Na górnym stopniu stoi człowiek noszący insygnia władzy. Zna jego okrągłą, szczerą twarz chłopca, którą kocha, twarz z ostrym, wystającym podbródkiem, krótkimi lokami, opadającymi na czoło. Zna w niej każdy najdrobniejszy cień, wie, jakie te oczy potrafią być twarde, wąskie i mętne, gdy porwie go gniew, jak szybko ta warga opada bezwładnie, kiedy dozna rozczarowania. Nie, teraz nie opada. Ale oczy są mętne. Czy były kiedyś zupełnie jasne? Widzą tylko ją jedną, są zadowolone. Już wychodzi jej naprzeciw, wysiłek jej skończył się, zwyciężyła, zwyciężyła na pewno, na pewno życie jej ma sens. Męka, którą wzięła na siebie, niewysłowiona męka duszy i ciała, musi przecież mieć sens.

Tak, Tytus wyszedł jej naprzeciw. Najpierw, zgodnie ze zwyczajem, objął i ucałował Agryppę, potem ją. Wypo-

wiedział parę żartobliwych słów na temat jej włosów, które tak pięknie odrosły, był młodzieńczy, radosny. Szeptał jej do ucha po aramejsku pieszczotliwe imiona z okresu ich poznania: „Nikion, moja dzika gołąbko, światło moich oczu!” Odprowadził ją do jej komnaty. Kiedy Niemcy zaciągali zgiełkliwe wartę, zapytał, czy zechce odpocząć jakąś godzinkę po trudach podróży i czy potem będzie mógł ją odwiedzić. Powiedziawszy to, pożegnał ją.

Przez ten czas Berenika wykąpała się, kazała się namaścić olejkami. Cała jej uwaga była skierowana na toaletę i klejnoty. Nie chciała myśleć o niczym innym. Przymierzała kolejno klejnoty, wreszcie odłożyła wszystkie, zachowując tylko jedną perłę. Skropiła się najkosztowniejszą perfumą, owym balsamem opalowym; na całym świecie istniała jeszcze tylko ta jedna flaszeczka.

Tytus przez ten czas wysłuchiwał sprawozdań. Raportowano mu o przebiegu budowy Nowych Łaźni, która była na ukończeniu, o przygotowaniach do igrzysk. Słuchał wszystkiego jednym uchem, powiedział z roztargnieniem:

— Zostawmy to na później. Później zadecyduję.

Co to takiego? Przez te wszystkie lata cieszył się bez miary na chwilę, w której ujrzy tę kobietę, kroczącą po stopniach, nieskończoną ilość razy fantazja jego zdobiła puste stopnie postacią kroczącą po nich Bereniki. Przybyła wreszcie. Dlaczego wszystko było teraz takie szare i puste? Czy minął czar, którym promieniała? Czy on się zmienił? Taki już jest los człowieka, że nawet najcudowniejsze ziszczenie nie może wypełnić olbrzymiej przestrzeni, wydrążonej przez oczekiwanie. A może człowiek jest naczyniem zbyt słabym i nie jest w stanie wchłonąć radości

zbyt wielkiej? A może czekał za długo i stało się tak, jak ze starym, szlachetnym winem, którego już pić nie można.

Minęła wreszcie godzina i znowu byli razem z Bereniką. Była to ta sama Berenika, ta sama kobieta, której

tak obłądnie pożądał, daleka, wschodnia, górująca nad nim, córka prastarego królewskiego rodu. Był to jej matowy, podniecający, lekko ochrypnięty głos, były to jej oczy. A jednak nie była to dawna Berenika, blask jej zgasł raz na zawsze; była piękną, mądrą kobietą, godną miłości, ale pięknych, mądrych, godnych miłości kobiet jest wiele. Powtarzał sobie, ile dla niego ta kobieta znaczy, ale to nie zdało się na nic. Radość wyciekła z niego, czuł olbrzymią pustkę i rozbicie.

Siedział z rodzeństwem wieczorem, udawał wesołość. Agryppa był mądry i pogodny, Berenika, piękna i promienna, była najbardziej pożądaną kobietą świata. Ale nie pożądał jej.

Pił, by wzbudzić w sobie pożądanie.

Znalazłszy się z nią później sam na sam, odnalazł zakochane słowa z dawnych czasów, ale wypowiadając je uświadamiał sobie z udręką, że są to słowa przebrzmiałe, zrodzone z rutyny. Spał z nią. Czuł do niej pociąg. Ale uświadamiał sobie, że inne kobiety również potrafiłyby obudzić w nim pożądanie.

Rzecz dziwna, że tak zawsze przenikliwa Berenika nie zauważyła w trakcie długiej wieczery, co właściwie Tytus odczuwa. Brat jej odgadł to natychmiast, ale nie mógł się zdobyć na to, by wyrwać ją ze złudzeń. Musiała więc dopiero w ciągu nocy sama dojść prawdy. Nie chciała przyznać samej sobie, co to takiego, a kiedy wreszcie przyznała, uczyniła nowe odkrycie: są bóle bardziej dotkliwe od tych, których doznawała w ciągu ostatnich miesięcy.

Kiedy Tytus opuścił ją przed północą, wypowiadając kilka uprzejmych, z lekka sentymentalnych słów, wiedzieli oboje, że wszystko skończyło się między nimi raz na zawsze.

Resztę nocy Berenika przeleżała czując wewnętrzną pustkę. Kiedy minęło napięcie ostatnich miesięcy, ogarnęło ją wyczerpanie. Bolały ją wszystkie członki, sądziła, że się nigdy z tego wyczerpania nie wyzwoli. W pokoju paliła się lampa, Berenika myślała: „Te lampy korynckie ogląda człowiek od dziesiątków lat. Stały się nudne, banalne, kartagińskie są o wiele lepsze, trzeba by powiedzieć Tytusowi, żeby już nie używał korynckich.” Pomyślała o tym kilkakrotnie. Potem znowu ogarnęło ją uczucie dręczącego zmęczenia, noga bolała nieznośnie. Chciała wziąć środek nasenny, ale nie miała siły zawołać pokojówki. Wreszcie zasnęła.

Następnego rana, dosyć wcześnie, zjawił się u niej brat. Zastał ją opanowaną. Nie było w niej nic z dotychczasowej intensywnej ruchliwości, przeciwnie, napępiał ją wielki spokój. Ale blask i czar, którego nie odmawiali jej nawet przeciwnicy, gdzieś się ulotnił.

Agryppa został na śniadaniu. Berenika jadła z wielkim apetytem. Zakomunikowała bratu swoje decyzje. „Wróci jak najprędzej do Judei, żeby spędzić zimę w tamtejszych posiadłościach. Ma wrażenie, że cesarz zechce jeszcze wydać dla niej przyjęcie pożegnalne. Tego dnia po raz pierwszy wspomniała Tytusa; Agryppę zabolalo głęboko, kiedy powiedziała o nim „cesarz”. Ponadto, ciągnęła, chciałaby spotkać się tutaj z dwiema osobami: ze swym obrońcą Kwintylianiem i ze swym kronikarzem Józefem synem Mateusza. Mówiła tak stanowczo, że dyskusja byłaby pozbawiona sensu.

— Czy chcesz, żebym ci towarzyszył, Bereniko? — zapytał Agryppa.

Berenika przygotowała się widać i na to pytanie.

— Oczywiście byłoby to bardzo pięknie — odparła. — Zdaje mi się jednak, że z wielu powodów byłoby wskazane dla nas obojga, żebyś pozostał w Rzymie na otwarcie amfiteatru.

Agryppa był człowiekiem mądrym, obytym w świecie, wielkim panem. Widział, jak się układały różne losy, był świadkiem olbrzymich przemian, które się dokonywały w ludziach i

narodach, sądził, że się zna na ludziach, był z Bereniką jak najściślej związany od chwili, kiedy przysłała na świat. Był przygotowany na wszystko, ale nie na te spokojne, chłodne rozważania. Czy to naprawdę Nikion, jego siostra?

Ujął jej rękę, zaczął ją gładzić, nie wzbraniała mu jej. Nie, to nie była Nikion, wcielenie namiętności, która uważała, że nawet najwyższy cel jest jeszcze nie dość wysoki. To nie była ta kobieta, która zaledwie kilka tygodni temu leżała przed nim naga, opowiadając mu o swym wielkim nieszczęściu i o swych jeszcze większych nadziejach. Była to kobieta obca: Berenika, księżniczka Judei, władczyni Chalkidy, Cylicji, jedna z pierwszych dam w państwie, mądra, rozsądna i bardzo daleka od gorących marzeń, które z nim kiedyś dzieliła.

Adwokat siedział w pozie pełnej godności, spoglądał ciemnymi oczami to na Berenikę, to na Agryppę. Był synem jednego z owych rodów hiszpańskich, które na początku monarchii przywędrowały do Rzymu i w krótkim czasie zdobyły sobie uznanie zarówno w towarzystwie, jak w literaturze. Owe przemówienia, które wygłosił wówczas na procesie księżniczki, zostały teraz precyzyjnie oszlifowane, mogły służyć na wzór wielkiej prozy. Dalsze jego usługi, oświadczył uprzejmie, wręczając Berenice oba tomiki, są już dla niej zbędne, gdyż z chwilą jej przybycia do Rzymu proces został chyba ostatecznie rozstrzygnięty. Pozostaje mu więc tylko podziękować, że mu dała okazję pokazania wielu ludziom, czym jest dobra; łacina.

To pomyłka, odparła Berenika, właśnie teraz potrzebuje jego pomocy bardziej niż kiedykolwiek. W najbliższych bowiem dniach opuści Rzym.

Postawny, dostoyny pan z wielkim trudem zdołał ukryć, jak go te słowa zaskoczyły. Podjął się obrony spraw księżniczki, którą w gronie przyjaciół nazywał „hebrajską Wenerą”, naprawdę tylko dlatego, ponieważ rysowała się przed nim nęcąca pokusa rozwinięcia sztuki krasomówczej. Pretensje prawne Bereniki opierały się o zagmatwaną przeszłość. To właśnie go pociągało. Był znany z tego, że umiał oświetlić sprawy zagmatwane, logika języka łacińskiego pozwalała na jasne precyzowanie spraw najbardziej zawitych, Ignął całym sercem do mowy łacińskiej, przywiązywał wagę do podtrzymywania jej szlachetnych tradycji. Na procesie niewiele mu zależało; przyjął pełnomocnictwo wiedząc, że jego rezultat jest właściwie z góry przesądzony.

Chodziło o to, jak dalece wraz z tytułami własności Bereniki w Chalkidzie i Cylicji łączy się władanie faktyczne, a przede wszystkim prawo pobierania podatków. Prawnie pretensje księżniczki były słuszne. Inna sprawa, że kiedyś, przed kilkudziesięciu laty, jeden z jej protoplastów dopuścił się działań, które sąd rzymski mógł uznać za bunt i ukarać pozbawieniem prawa pobierania podatków. Ponieważ jednak zarówno senat, jak i lud rzymski zaniechali tego wówczas, pretensje państwa uległy przedawnieniu i Berenika korzystała prawnie ze swych przywilejów. Chodziło jednak o wartościowe obiekty, a postanowienia prawne są elastyczne.

Całe miasto uważało za niewątpliwie, że skoro Tytus darzy względami „Wenerę hebrajską”, kłopotliwy proces jest jedynie sprawą formalną i musi się skończyć jej niezawodnym zwycięstwem. Sprawa ciągnęła się tak długo tylko dlatego, że sknera Wespazjan nie chciał zrezygnować formalnie z tak cennych praw, jakkolwiek faktycznie dawno się to już stało, podatki bowiem przez cały czas płynęły do kas Bereniki. Po dojściu do władzy Tytusa nie było już wątpliwości, że Rzym w bardzo krótkim czasie zatwierdzi prawa Bereniki.

Tak wyglądała sytuacja, kiedy Kwintylian witał władczynię. Teraz, po kilku słowach Bereniki, sytuacja zastrasza ją się zmieniała. W ciągu ułamka minuty proces z zagadnienia krasomówczo-literackiego stał się sprawą niebezpieczną, o charakterze politycznym. Z chwilą kiedy Tytus nie osłaniał już władczyni owych ziem, stało się bardzo wątpliwe, czy Rzym zrezygnuje z tak wielkiego i łatwego łupu.

Kwintylian, starając się zachować pozory spokoju, szukał odpowiedzi na słowa Bereniki i

zastanawiał się w pośpiechu, jakie skutki mogłaby pociągnąć niełaska Bereniki. Stała przed nim moc problemów. Czy rząd nie będzie usiłował go nakłonić, by zdradził swą klientkę? A może cesarz, właśnie dlatego, że z nią zrywa, zechce jej dać odszkodowanie? Przybył tutaj w przeświadczeniu, że chodzi jedynie o wręczenie takiej znawczyni jak Berenika kilku stron znakomitej prozy. Zamiast tego stanął nagle przed rozstrzygnięciami ogromnej wagi. Występowanie w imieniu takiej mocodawczyni nasuwało wątpliwości, może nawet groziło niebezpieczeństwem. Czy nie najmądrzej byłoby oświadczyć, że od dawna nosi się z myślą wyłącznego poświęcenia się pracy literackiej, co zresztą jest prawdą; wskutek nagłego odjazdu władczyni proces może się skomplikować, czy nie byłoby więc lepiej, gdyby nie tając ubolewania, zrezygnował z obrony.

Kwintylian nigdy nie lubił Żydów, wpływ „Wenery hebrajskiej” na politykę rzymską był mu zawsze niemiły. Zerwanie z nią teraz było wielką pokusą, ale Kwintylian należał do namiętnych stylistów. Sensem życia było dla niego wykazywanie, że łacina w niczym nie ustępuje mowie greckiej. Był przede wszystkim łacinnikiem, potem dopiero Rzymianinem. Uważał, że człowiek i styl to jedno, że nieprzyzwoite postępowanie odbija się na stylu, jeżeli w chwili tej próby zachowa się niegodnie, ucierpi na tym jego łacina. Postanowił więc pozostać lojalnym.

Podczas gdy Kwintylian wahał się, zanim wreszcie powziął decyzję, Berenika przedstawiała swe pretensje i argumenty. Mówiła ze zdumiewającą logiką, bez przesady. Logika i rozsądek były jej konieczne. Gdyby była cesarzową cieszącą się względami, mogłaby robić koncesje. Berenika, opuszczona przez Tytusa, władczyni Chalkidy i Cylicji, nie myślała ani przez chwilę o tym, by zrezygnować choćby z ułamka swych pretensyj. Pochodziła z rodu wielkich królów, których państwo wrzynało się klinem między najpotężniejsze mocarstwa świata, musieli więc posiadać wyjątkową mądrość rządzenia i zdolność szybkich decyzji. Była nieodrodną wnuczką tych królów. Pole, na którym ma się utrzymać i ostać, jest nowe, ale Berenika się na nim utrzyma. Zmusi Tytusa, żeby raz jeszcze o niej pomyślał. Wiedziała równie dobrze jak Kwintylian, że ostateczna decyzja spoczywa w ręku cesarza. Zmusi go, by odłonił oblicze.

Kwintylian był zdumiony bystrością jej rozumu. Jeszcze bardziej zdumiony był Agryppa.

— Co wolisz, Bereniko — powiedział po odejściu Kwintyliana — nazywał ją teraz Bereniką, nie Nikion — czy żeby Tytus odebrał ci twoje przywileje, czy też żeby ci je pozostawił?

Berenika spojrzała na brata bez uśmiechu. Wiedziała, co ma na myśli.

— Wolę szczerą nienawiść — rzekła — niż obojętną sprawiedliwość.

Kiedy przyszedł Józef, straciła panowanie nad sobą. Kuzyn widział przecież, jak się zaczęła jej przyjaźń z Tytusem, sam interweniował i pomagał. Opuszczając raz na zawsze Rzym i swoje marzenia, chciała ukazać się Józefowi, historykowi epoki, taką, jaką w myśl jej pragnień mieli ją widzieć potomni. Kiedy się jednak zjawił, zapomniała o celu, w jakim go wezwała. Niegdyś szydziła z tego człowieka, ponieważ zginął kark przed Rzymianami, trzymała się od niego na odległość siedmiu kroków jak od trędowatego. Czymże się od niego różni? Czy w ciągu całego dziesięciolecia nie postępowała tak samo jak on, tylko z mniejszym powodzeniem? Uczucia i myśli ostatniej bolesnej nocy wybuchły z niej, przyznawała się do nich, kajała się.

— Postępowałam błędnie — oskarżała samą siebie. — Wszystko, co czyniliśmy oboje z Agryppą, było błędne, fałszywe. Zapewne, wojna musiała się źle skończyć, mieliśmy rację, żeśmy ją odradzali. Ale było błędem, że później, kiedy mimo to wybuchło powstanie, nie stanęliśmy na jego czele. Powinniśmy byli zginąć wraz z innymi. Zachowaliśmy się nędznie, mój kuzynie. Ale tyś miał przynajmniej sukcesy. Ja nie miałam nawet sukcesów. Gdybyśmy walczyli razem z buntownikami — rzekła dziko i zaciekłe — może pociągnęlibyśmy za sobą w otchłań

Tytusa.

Józef słuchał. Od pierwszych jej słów, kiedy ją tylko ujrzał, wszystko, co sobie wymarzył od śmierci Wespazja-na, rozpadło się w gruzy. Szedł do niej dumny, pełen nadziei i tryumfu, jak wielki pisarz do cesarzowej, która mu jest przychylna. Tymczasem nie była cesarżową, lecz więdnącą, zawiedzioną kobietą, on zaś znaczył więcej od niej. Było bowiem tak, jak powiedziała:, on przynajmniej odniósł sukces.

Żaliła się dalej:

— Nie ma zrozumienia między nami i tamtymi. Mają twarde serca. My czujemy, co czują inni, tamci są do tego niezdolni. Ale może dlatego, że nie umieją czuć, zdobywają sukcesy.

Tego samego dnia zakomunikowała cesarzowi uprzejmie, jak to było w jej zwyczaju, od niechcenia, że tym razem bardzo jej nie służy zarówno klimat, jak i zgiełk świąteczny, panujący w Rzymie. Czuje się wyczerpana i prosi cesarza, któremu złożyła gratulacje z powodu wstąpienia na tron i oddała hołd, żeby wolno jej było powrócić do samotności jej dóbr w Judei.

Ach, jakże Tytus był zmartwiony, ile w jego słowach, dających wyraz ubolewaniu, było kurtuazji i obojętności! Prześcigał się w uprzejmościach, trzeba było mieć subtelne ucho, żeby wyczuć, żeby dosłyszeć, z jaką ulgą odetchnął. Choć Berenika postanowiła inaczej, dotknęła w trakcie rozmowy sprawy swego procesu. Uważała, że skoro opuszcza Rzym, i to chyba na dłuższy czas, byłoby może wskazane omówić z nim nie załatwioną sprawę jej przywilejów w Chalkidzie i Cylicji. Bo przecież w końcu on będzie to musiał rozstrzygnąć. Wypowiadając pierwsze słowa już ich żałowała. Zbyt mu ułatwiła całą sprawę. Chętnie przyzna jej odszkodowanie w tak łatwy dla siebie sposób. Nie powinna była teraz mówić. Ale żądza dowiedzenia się, jak na to zareaguje, była zbyt wielka.

Zdawał się wręcz uradowany, że poruszyła sprawę tego sporu. Ależ, oczywiście, oświadczył, już czas, by tę niemądrą historię nareszcie zakończyć. Jego ministrowie i prawnicy lubią grzebać się długo w aktach. Od dawna ma wyrobiony pogląd na tę sprawę, dziękuje jej, że mu ją przypomniała. Oczywiście wszystkie jej pretensje są duszne, tylko ojciec jego, bóg Wespazjan, był, jak Berenice wiadomo, w pewnych wypadkach dziwaczny i powściągliwy. Wyda polecenie, by sprawa została załatwiona w jak najkrótszym czasie.

— W najkrótszym czasie? — zapytał po chwili z hałaśliwą energią. — Musimy to uporządkować natychmiast — zawołał, klasnął w dłonie przywołując sekretarza, wydał wyraźne polecenie.

Berenika siedziała uśmiechnięta, słuchała z uśmiechem rzeczowych instrukcji cesarza, który jej i jej bratu zapewniał sporne dotychczas miliony. Oni oboje, ostatni potomkowie rodu Masmochejczyków, poświęcili znaczną część wspólnych bogactw na sfinansowanie zamachu stanu, który tego człowieka i jego ojca wyniósł na tron. Bolało ją, że Tytus tak wielkodusznie pozbywa się swego długu. Kochała go, a on tak ją oto kwituje.

W trzy dni później Tytus urządził dla niej oficjalne pożegnanie. W pięknych słowach słał wielką, uroczą władczynię ze Wschodu, ubolewał, że tak szybko opuszcza Rzym, zanim miał okazję pokazania jej swego nowego teatru i swoich igrzysk. Berenika zauważyła z gorzką satysfakcją, że porobił sobie do tej mowy stenograficzne notatki, które chował w rękawie.

Potem odjechała. Z tej samej Ostii, do której przybyła. Na statek odprowadzili ją: Agryppa, Klaudiusz Reginus, Kwintylian, Kajus Barcaarone oraz kapitan Chatualdus ze swoją germańską strażą przyboczną. Dwie rzymskie galery wojenne eskortowały statek, dopóki wybrzeże nie ustąpiło z pola widzenia. Kapitan Chatualdus, w radosnym nastroju, wrócił do miasta nieco wcześniej. Żydzi stali na brzegu, dopóki nie zniknął z oczu statek, a z nim ich nadzieje.

Jak tylko statek wypłynął na morze, Berenika udała się do swych apartamentów. Nikt w

Rzymie nie zauważył defektu nogi.

Nigdy żadnego gościa cesarza nie żegnano z większymi honorami. W dniu wyjazdu Bereniki ukazał się edykt, przyznający jej sporne dotychczas władanie nad Chalkidą i Cylicją oraz tytuł królowej. Wielki jej portret wisiał w dalszym ciągu w sali przyjęć cesarza. Nikt prócz Agryp-py i Józefa nie dowiedział się, co zaszło pomiędzy nią i Tytusem. Mimo to wieść dotarła bardzo szybko do miasta i do całego kraju. Ci, którzy kilka tygodni temu błyskawicznie dali się przekonać o wybitnych zaletach mieszkańców prawego brzegu Tybru i żarliwie je głosili, powrócili jeszcze szybciej i z jeszcze większą żarliwością do swych dawnych przekonań i podwójnie dawali Żydom odczuć swą wyższość, szydząc z nich w sposób brutalny. Żydzi, którzy przed tygodniem chodzili dumni i pewni siebie, przycichli znowu i zmaleli, rabbi zarządzili, by we wszystkich synagogach w całym państwie przez trzy sab-baty z rzędu odczytywano ów piękny rozdział proroka, rozpoczynający się od słów: „Cieszcie, cieszcie lud mój.”

W biurach, organizujących zapasy, nagle znikły wątpliwości, czy należy użyć na nie resztki jeńców z wojny żydowskiej. Ceny na tych, którzy zgłaszali się dobrowolnie, spadły o czterdzieści procent. Nikt nie interesował się już młodzieńcem z dobrej rodziny, który dał się zwerbować, by zdobyć pieniądze na pogrzeb ojca.

Nawet w obozie jeńców wiedziano, co zaszło. Do gmin żydowskich napływały rozdzierające serce prośby o pomoc, o wykupienie. Mężowie, zajmujący się zbiórką na ten cel, osiągnęli teraz większe rezultaty. Mimo to szansa wykupienia dla poszczególnych jeńców była niewielka ze względu na znaczną ich liczbę; w obozie panował nastrój ponury, beznadziejny. Obok większości nazwisk widniała na liście fatalna litera „P”; podczas treningu jeńcy gotowali się na śmierć, wyznawali grzechy, modlili się.

Po odejździe Bereniki Tytus popadał często w roztargnienie. Stał przed jej portretem i rozmyślał. Nie mógł zrozumieć, co się właściwie stało. Przecież Berenika była tą samą kobietą co dawniej. To jej twarz, jej piersi, jej postawa, to samo ciało i dusza, które kochał przez lat dziesięć. Jakże mogło uczucie tak mocne, tak nieodparte ulotnić się nagle. Czy była to kara owego Boga Jehowy, który mu zabierał najwyższe szczęście? A może przeciwnie, akt łaski Jowisza Kapitońskiego, który otworzył mu oczy i wskazał istotne zadanie. Ta druga interpretacja, pocieszająca, nie mogła jednak przepędzić pierwszej, budzącej niepokój.

Tak czy inaczej, zerwanie z Żydówką przyniosło Wielorybowi pierwszy wielki sukces. Miłość ludu, o którą tak długo walczył na próżno, sama spadła na niego jak burza. Rozkoszował się nią z błogim uczuciem. Długo pozwalał sobie na ekstrawagancje, na ezoteryczną słabość do Wschodu. Odetchnął, pozbywszy się tych drogo okupionych uczuć.

Chodził w glorii miłości jak w promieniach słońca. Stosował coraz to nowe środki, żeby ją wzmóc. Był rozrzutny. Teraz dopiero odczuwał prawdziwą radość na widok swych budowli, wspaniałych przygotowań do igrzysk. Coraz rzadziej dopuszczał przed swe oblicze Klaudiusza Re-ginusa; przestrogi jego były mu niewygodne. Spacerował po ulicach bez eskorty, bez maski, jak pierwszy lepszy przechodzień, wchłaniał w siebie to, co tłum o nim mówił. Teraz bowiem, kiedy ludzie używali przezwiska Wieloryb, czynili to z sympatią, z czułością; nie było już wielkiej różnicy między tym określeniem a określeniem wynalezionym dla Tytusa przez jego nadwornych poetów i retorów: „Miłość i radość rodu ludzkiego.”

Wbrew radom swego intendenta nie uczcił ukończenia Nowych Łaźni uroczystością w kręgu arystokracji, lecz już pierwszego dnia dopuścił do nich masy. Zjawił się owego dnia w olbrzymim, wspaniałym budynku sam, bez straży przybocznej; otyły pan nie różnił się niczym od tysięcznego tłumu gości. Rozebrał się na oczach wszystkich, pływał razem ze wszystkimi w basenach z wodą letnią i zimną, dał się razem z innymi wycierać, rozmawiał z sąsiadami dialektem, stanowiącym mieszaninę gwary sabińskiej i rzymskiej, chcąc im sprawić uciechę

mówił zamiast „Roma” — „Rauma”, żartował z nimi na temat wysokości napiwku dla łaźiebnych.

Stał wraz z innymi w wielkiej sali przed freskiem; nie było to arcydzieło *Stracone okazje*, lecz dosyć banalne malowidło mitologiczne *Wenus wychodzi z piany morskiej*. Jak zwykle, fresk dawał okazję do sprośnych dowcipów. On sam sypał najbardziej sprośnymi. Wszyscy poznali cesarza, ale zachowywali się tak, jak gdyby nie wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Niezależnie od tego wszystkiego ogarniało go chwilami uczucie obcości, wpadał w zadumę. Czy to naprawdę on, wysunąwszy głowę naprzód, skacze do wody wśród ryków i wrzasków? Czy to on mówi zamiast „Roma” — „Rauma” i dowcipkuje na temat wzgóрка Wenery? Uganiał się hałaśliwie po wspaniałej łaźni, klepał Rzymian po brzuchach, pozwalał, by go klepali po plecach — bardzo go kochali. Wreszcie zaczął po prostu pytać, czy się cieszą, że mają wśród siebie Wieloryba. Odpowiedzią były salwy entuzjastycznego śmiechu, okrzyki radości. Śmiejąc się wraz z innymi i hałasując, stenografując w myślach własne słowa, czuł, że śmieje się tu i hałasuje Wieloryb, a nie prawdziwy Tytus. Prawdziwy Tytus był daleko, poza Nowymi Łaźniami, spoglądał ku statkowi, którego nigdy nie widział, uwożącemu Berenikę, ku statkowi, którego nie mógł dopędzić nawet na swoim najszybszym okręcie wojennym.

Demetriusz Liban przyniósł intendentowi widowisk rękopis *Pirata Laureola*. Przepelniała go ogromna duma. Tekst rewii był wspaniały. To naprawdę utwór, o którym marzył od dzieciństwa — pojawił się w odpowiedniej chwili. Liban znajdował się u szczytu sił, dojrzały do wypełnienia roli, w której tkwiła cała epoka.

Pełen głębokiego zadowolenia opowiadał intendentowi, jak sobie wyobraża reżyserię i wykonanie. Ale wytworny pan, łatwo zazwyczaj wpadający w entuzjazm, pozostał tym razem zimny jak lód. Oświadczył, że nie sądzi, by miano się zdecydować na wystawienie nowej rewii. Raczej myślano o czymś aktualnym, na przykład o krotchwili *Żyd Apella*; pewna osoba, mająca wielkie wpływy u dworu, wyraziła życzenie ujrzenia tej krotchwili, a publiczność rzymska właśnie teraz przyjęłaby ją bardzo ciepło.

Demetriusz Liban otworzył szeroko bladoniebieskie, mętne oczy, miał minę niemal głupawą ze zdumienia. Czy śni? Czy ten, z którym mówi, jest naprawdę intendentem? Czy jest to rok 833 od założenia miasta? Co ten człowiek plecie? Przecież Demetriusz przyszedł, żeby zagrać pirata Laureola. Czy ten człowiek nie wspomniał o *Żydzie Apelli*? Jak to? Czy to kawał? Czy ten człowiek chce mu zamącić radość przez wywołanie zmory sprzed lat piętnastu, zmory lęków i skrupułów w sprawie tej niebezpiecznej krotchwili, która mogła być wówczas wywołać pogrom i nieszczęście?

— Cesarz chce widzieć *Żyda Apellę*? — wyjąkał wreszcie. Rzecz charakterystyczna, po raz pierwszy od lat chyba trzydziestu jego wyszukany język grecki zabarwił się dialektem, owym dialektem na pół aramejskim, za który tak szydzono z mieszkańców prawego brzegu Tybru.

— Nie ma jeszcze wyraźnych poleceń — odparł intendent ostrożnie — ale uważam za bardzo mało prawdopodobne, żeby sięgnięto po *Pirata Laureola*.

Tym razem Liban słyszał wyraźnie. Nie był to sen, lecz trzeźwe, poważne słowa. Dotknęły go, każde z nich uderzyło go w głowę niby obuchem, poruszyło w nim trzewia. Oddalił się chwiejnie, tocząc błędnym wzrokiem. Odesłał do domu laufrów rodem z Kapadocji i lektykę; czuł potrzebę ruchu. Zszedł z Palatynu na Forum, potykając się, mrużąc coś pod nosem. Przechodnie spoglądali na niego ze zdumieniem. Wielu poznawało go. Niektórzy ruszyli za nim. Następowало mu na pięty coraz więcej włóczędów i dzieciaków. Nie widział tego. Nagle poczuł się śmiertelnie zmęczony, usiadł na stopniach Świątyni Pokoju pojękując. Siedział, kiwał tułowiem, kołysał głową jak stary Żyd. Przyjaciele zaprowadzili go do domu.

Szarpały go myśli gorzkie, pełne skruchy. To, co go spotkało, nie mogło być dziełem przypadku. Tak długo czekał na to spełnienie i oto, kiedy nadeszło, kiedy był już gotów w głębi ducha, kiedy tekst okazał się udany i odpowiednie ramy zostały stworzone, w ostatniej chwili, można powiedzieć w chwili, w której miał wkroczyć na scenę, scena ta zawałiła mu się pod nogami. Była to kara Jehowy.

Jego szaroniebieskie, mętne oczy nabrały wyrazu zupełnego otępienia, blada, lekko obrzmiała twarz stała się szara, pełna zmarszczek, podobna do nierównomiernie wypełnionego worka. Zzerał się, załamał.

W takim stanie zastał go Józef. Przełom, który się dokonał, jego dotknął chyba najmniej ze wszystkich; to, co mógł osiągnąć, zostało osiągnięte już poprzednio. Zobaczywszy teraz aktora w stanie takiej rozpacz, pomyślał, że i jego łatwo mogło spotkać to samo. Przypomniał sobie również, ile zrobił dla niego Demetriusz Liban, kiedy zjawił się w Rzymie po raz pierwszy. Choć w swojej księdze nie przytaczał cyfr, był dobrym rachmistrzem. Nie zapominał, jeśli mu ktoś dokuczył, pamiętał jednak wyświadczone dobro.

Kiedy aktor siedział teraz przed nim skulony i wynędzniały, kiedy mu opowiedział, jak mu dano do zrozumienia, żeby zamiast pirata Laureola zagrał Żyda Apellę, Józef postanowił uzyskać dla przyjaciela zadośćuczynienie. Powziął śmiały plan, udał się do Lucji.

Józef znał się na kobietach. Ujrzawszy Lucję wiedział od pierwszej chwili, jak się do niej zabrać. Była żądna życia, zdolna do wielkich namiętności, nieustraszona. Manili opowiadał mu, że nie pochwałała postępowania Tytusa wobec Bereniki, choć wyjazd jej leżał zarówno w jej interesie, jak w interesie Domicjana. Jeżeli Józefowi uda się ją przekonać, jak nielojalnie postąpiono wobec aktora, wtedy, był tego pewien, stanie w jego obronie.

Lucja nie ukrywała radości, że go widzi. Józef mówił z nią szczerze, jak z dobrą, pełną zrozumienia przyjaciółką. Mówił o Berenice, opowiadał szczegóły z pierwszego okresu jej znajomości z Tytusem, o których nigdy jeszcze z nikim nie rozmawiał. Mówił ciepło o Tytusie, ubolewał, że się w ten sposób rozstał z Bereniką, przyznawał mu jednak rację i stwierdził z radością, że ten jego męski punkt widzenia wzbudził w Lucji gwałtowne oburzenie. Miał teraz łatwą drogę. Szybko, bez wielkich słów, doprowadził ją do tego, że potępiła zachowanie się miasta wobec Żydów, a zwłaszcza wobec aktora. Było rzeczą nielojalną naprzód cackać się z tymi ludźmi, łudzić ich tysiącem nadziei, a potem odepchnąć ich kopniakiem. Takie jest jej zdanie. Nie zatai go nawet wobec swego szwagra Tytusa. Siedziała przed Józefem wyprostowana, patrząc na niego śmiało, szeroko rozstawionymi oczyma nad ostro zarysowanym nosem; wieża kunsztownie ufryzowanych włosów drżała lekko. Józef był przeświadczony, że Tytus poważnie liczyć się będzie z jej zdaniem.

Ujrzawszy Lucję Tytus rozpromienił się. Widział ją inną niż dotychczas. Wprawdzie już w ostatnich tygodniach zauważył, jaka jest piękna i pełna siły, ale wówczas był jeszcze pod urokiem Żydówki. Teraz dopiero widział naprawdę, poniekąd po raz pierwszy, jej śmiałą, beztroską, zmysłową twarz. Ta umiała żyć! Postępował jak dureń, chłopaczek miał rację. Gdyby w tak młodym wieku jak brat znalazł kobietę podobną do niej, może nie kurwiłby się tak strasznie po wszystkich częściach świata; wtedy wszystko byłoby poszło dobrze i byłby jeszcze zdolny do płodzenia dzieci. Wtedy chyba nie urzekłaby go ta Żydówka i pozostałoby mu oszczędzone to niemiłe zboczenie z prostej drogi.

Co Lucja mówi?

— Zrobiłeś to w sposób niegodny ciebie, mój szwagrze. Zdarza się, że jakaś kobieta przestaje się komuś podobać, to leży w naturze rzeczy, na to nic poradzić nie można. Uważam jednak za nielojalne, żeby pięć milionów ludzi miało płacić za zmienność twoich gustów. Poza nielicznymi wyjątkami, Żydzi twoi są mi niesympatyczni, zapewne bardziej niż tobie. Ale,

Tytusie, traktujesz ich teraz w sposób niemożliwy. Gdyby chłopaczek tak postępował, natarłabym mu uszu.

— Wiesz, Lucjo — odparł Tytus tajemniczo i jak gdyby doznał nagłego olśnienia — czar, który płynął od tej kobiety, nie był ani naturalny, ani zdrowy. To tylko urok egzotyizmu i tego przekłętego Wschodu. Dopiero teraz zobaczyłem ją prawdziwie rzymskim okiem. To stara Żydówka, moi Rzymianie mają rację. Wytrzeźwiałem nieco nagle, a w takich wypadkach łatwo traci się miarę. To, co mówisz, jest zapewne słuszne. Będę pilnował, żeby nie posunięto się za daleko.

Patrzył na nią, ona patrzyła na niego, podobał jej się. Kochała chłopaczka na swój sposób, ale Tytus był bardziej interesujący. Na Jupitera, to nie wieloryb, to żywy, ruchliwy delfin! Ile było wdzięku w jego nieobliczalności, jaki bywał chwilami marsowy, chwilami chłopięco rozbawiony, jak rozmyślał nad swą tęsknotą za Wschodem. Dziś beztrudno jak dziecko okazywał, jaki jest rad, że ją widzi. Znajdował właściwe słowa, ani zbyt natarczywe, ani zbyt nieśmiałe. Nie był cesarzem, bratem jej męża, był po prostu mężczyzną, który jej się podobał, któremu się ona podobała.

Zameldował się Klaudiusz Reginus. Cesarz nie przyjął go, naznaczył mu dzień następny. Kiedy Lucja chciała odejść, zatrzymał ją, kiedy się wreszcie rozeszli, czuli do siebie nawzajem mocny, miły pociąg. Tytusowi zdawało się, że teraz dopiero wyleczył się całkowicie z namiętności do tej Żydówki; znowu przemknęła mu przez głowę owa niemądra, zabobonna nadzieja, że Lucja może urodziła mu syna.

Następnego dnia polecił zdjąć ze ściany portret Bereniki. Teraz nic mu już nie przypominało w Rzymie owej gwiazdy w pobliżu Lwa, owego dalekiego lśnienia, delikatnego jak warkocz, który nosi jej imię.

Intendent był rad, gdy spostrzegł przerażenie i upokorzenie Demetriusza Libana. Aktor często drażnił go swoimi manierami koryfeusza, skorzystał więc skwapliwie z okazji odpłacenia mu pięknym za nadobne. Podczas najbliższego posłuchania u Tytusa próbował nakłonić go, by dał polecenie wystawienia *Żyda Apelli*.

Ledwie zaczął o tym mówić, zauważył z postawy cesarza, że nie tak łatwo uzyska jego zezwolenie, jak się tego spodziewał. Miał przed sobą Wieloryba, potwora ocieężałego, ale niebezpiecznego ze względu na swoje rozmiary, polowanie będzie wymagało przebiegłości i czasu. Zgrabnie zmienił więc temat, ale po chwili wrócił do sprawy w formie bardziej nieokreślonej i mglistej, mówiąc o tym, że Rzymianie chętnie powitaliby wznowienie krotchwili o Żydzie Apelli. Znał słabostkę Wieloryba, wiedział, jak bardzo mu zależy na aplauzie mas. Podkreślił, że jemu osobiście *Żyd Apella* nie bardzo się podoba, że utwór Marulla *Laureol* jest bardzo dobry. Uważa jednak za swój obowiązek poinformować cesarza, jak bardzo masy pragną wystawienia *Żyda Apelli* właśnie teraz.

Tytus patrzył na intendenta, stojącego z miną pokornie wyczekującą, dziwnie nieobecny wzrokiem. Czy ma odrzucić życzenie ludu, które tak łatwo może spełnić? To prawda, że dał Lucji przyrzeczenie, że się zobowiązał nie posunąć za daleko. Poza tym nie ma najmniejszego zamiaru sprawić Demetriuszowi przykrości.

Siedział niezadowolony, stenografował coś bez związku na swej tabliczce. Chętnie unikał decyzji, lubił kompromisy.

— A gdybyśmy tak — powiedział — pozwolili Libanowi zagrać jego Laureola, a równocześnie komuś innemu, na przykład Latinowi albo Faworowi kazali zagrać *Żyda Apellę*?

Intendent wzruszył ramionami.

— Obawiam się — rzekł — że wtedy zagranie *Żyda Apelli* straciłoby swój smak. Rzymianie dziwiliby się, dlaczego Żyd nie gra *Żyda*. Poza tym byłoby to dla Libana równie

przykre, jak dla ludu, gdyż Liban był w tej roli wspaniały.

Widząc, że cesarz wciąż jeszcze nie może się zdecydować, poszedł na ustępstwa. To, że monarcha nie chce wywierać na aktorze nieprzystojnej presji — oświadczył — jest całkowicie zgodne z jego łagodnym charakterem. Zdaje się jednak, że istnieje droga pośrednia. Można pokazać ludowi ulubioną i aktualną krotoczwilę nie obrażając aktora. A gdyby tak poprosić Libana, żeby teraz, podczas igrzysk, zagrał Apellę, i obiecać mu, że za to później pozwoli mu się zagrać Laureola.

Tytus zastanawiał się. Choć się ociągał, intendent zorientował się w mig, że ma Wieloryba w ręku. Tak też było. Jeżeli Tytus ociągał się, to tylko dlatego, żeby „zachować twarz”. W głębi ducha był uszczęśliwiony kompromisem zaproponowanym przez intendenta. W ten sposób dotrzyma obietnicy danej Lucji, a nie rozdrażni swoich Rzymian. Powiedział więc:

— Dobrze.

Liban przeklinał swój los. Los ten stawiał go zawsze przed gorzkimi alternatywami. Kiedy wówczas, po dręczących wahaniach zagrał Żyda Apellę, była to przynajmniej sprawa dotycząca całego narodu żydowskiego. Że skończyło się to katastrofą, że ostatecznie runęły wskutek tego państwo i Świątynia, nie było jego winą. Teraz sprawa obchodziła tylko jego, nie dotyczyła ogółu, ale niemniej go przygnębiała. Jeżeli nie wystąpi, jeśli zgodzi się, by go pominięto z okazji studniowych igrzysk, będzie raz na zawsze stracony. W cesarzu nie znajdzie już chyba oparcia. Nie ulega wątpliwości, że, może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, chce zemścić się na wszystkich Żydach za rozczarowanie zgotowane mu przez Berenikę. Jeżeli odmówi teraz zagrania Żyda Apelli, będzie to dla Tytusa pożądanym pretekstem, by go raz na zawsze utrzymać w cieniu. A miał lat pięćdziesiąt jeden.

Właściwie pięćdziesiąt dwa, ale się do tego nie przyznawał.

Wtedy kiedy grał po raz pierwszy Żyda Apellę, zażądał opinii rabbich. Opinia wypadła dwuznacznie, zdania końcowe pozwalały na to, czego zabraniały początkowe. Tym razem nie żądał żadnego orzeczenia. Wiedział, że jeżeli zagra teraz Żyda Apellę, rabbi jednomyślnie, bez żadnych zastrzeżeń uznają to za grzech śmiertelny. Rabbi byli uczeni, poważał ich. Ale w tej sprawie nie mogli mu poradzić, zasady ich były zbyt sztywne.

Mówił z Józefem, z Klaudiuszem Reginusem. Czy wolno mu przez zagranie Żyda Apelli naigrawać się z Żydów, jak tego od niego wymagano? Z drugiej jednak strony, czy wolno mu, skoro Jehowa obdarzył go tak niezwykłym talentem, ociągać się i przez to ociąganie raz na zawsze zamykać przed sobą karierę teatralną? Zarówno Józef, jak Reginus nie umieli powiedzieć ani tak, ani nie.

Wreszcie Demetriusz Liban postanowił wykupić za wysoką cenę pięciu żydowskich jeńców wojennych przeznaczonych na igrzyska i zagrać Żyda Apellę.

— Nie jestem sentymentalna, ale blizny pod lewą piersią nie wolno ci całować — powiedziała Lucja do Tytusa, ukazując w uśmiechu duże, równe zęby. — Jemu też nie wolno.

Było to w noc poprzedzającą otwarcie amfiteatru Fla-wiuszów, w pierwszą noc, którą z nim spędziła.

— Dlaczego chcesz wzbudzić we mnie zazdrość, Lucjo? — zapytał. — Dlaczego mnie dręczysz?

Leżała nasycona, naga.

— Zawsze ci mówiłam, że go kocham — odpowiedziała. — Ale co to ma wspólnego z nami? Nie mów o nim. Jesteś taki inny, Tytusie. To dobrze, że bogowie uczynili mężczyzn tak różnymi.

— Myślę — rzekł Tytus, również nasycony, półgłosem, tajemniczo, szczęśliwy — że teraz oczyściłem swą krew z tego przeklętego Wschodu. Dzięki tobie, Lucjo. Teraz, Lucjo,

jestem Rzymianinem i kocham cię.

Był całkowicie szczęśliwy, kiedy nazajutrz wszedł do teatru witany entuzjastycznie; tym razem wiedział, że entuzjazm nie został zorganizowany przez policję. Nadanie teatrowi własnego imienia było niemałą pokusą, ale przewyciężył się, pozostawił ten zaszczyt rodzinie, nazwał wspaniałą budowlę Amfiteatrem Flawiuszów. Był to dla niego tryumf i znak łaski dany z nieba, że inauguracja gmachu jemu przypadła w udziale, a nie Wespazjanowi, który go budował tak długo. Spoglądał radośnie i pogodnie na olbrzymi gmach, rojący się od ludzi, było ich siedemdziesiąt osiem tysięcy; trzydzieści tysięcy marmurowych posągów ginęło w tłumie żyjących.

Igrzyska rozpoczęły się. Trwały od wczesnego rana do zachodu słońca. Na pierwszy dzień poczyniono wyjątkowo wspaniałe przygotowania; padło w nim dziewięć tysięcy dzikich zwierząt i około czterech tysięcy ludzi. Nawet i w przerwach pokazywano masom, że gości ich naprawdę szczodry cesarz. Rozdawano za darmo nie tylko wino, mięsivo i chleb. Rzucano losy, dające tym, którzy je złapali, prawo do terenów, do pieniędzy, do niewolników; najdrobniejsze z owych losów zapewniały posiadaczowi prawo do spędzenia bezpłatnej godziny z jedną z licznych wybranych w tym celu dziewczek publicznych.

Dzień był cudowny, nie za gorący i nie za chłodny, obok cesarza nie siedziała Żydówka, miejsce to zajmowała Lucja, Lucja Domicja Longina, Rzymianka, wysoka, tęga, uśmiechnięta. Ludzie byli szczęśliwi. Na ławach szlachty, nawet w łoży cesarskiej radowano się również, że niebezpieczeństwo hegemonii Wschodu zostało odwrócone. „O ty, bardzo dobry, bardzo wielki cesarzu Tytusie!” — rozbrzmiewało zewsząd. „O ty, miłości i radości rodu ludzkiego — wołano — o ty, nasz bardzo dobry, bardzo wielki Wielorybku!”

Po południu nawiedził Tytusa w czasie igrzysk podobny atak, jak bywało w pierwszym okresie jego panowania. Ogarnęła go drętwota, patrzył dokoła martwym wzrokiem, zaczął nagle płakać. Nikt nie wiedział dlaczego, sam nie potrafiłby chyba tego powiedzieć; widziało to bardzo wielu spośród siedemdziesięciu ośmiu tysięcy obecnych, cesarska łoża bowiem była widoczna z większości miejsc.

Stało się to podczas komicznego intermezzo, nazwanego *Eksperymenty Dedala*. Na arenę wciągnięto przy pomocy wymyślnych maszyn ludzi zaopatrzonych w skrzydła. Wyglądało to tak, jak gdyby naprawdę fruwali. Każda z lin była inaczej skręcona, wszystkie jednak tak, że pękały przy pewnych nie znanych jeńcom poruszeniach. Kto przefrunął przez całą arenę, był uratowany, przynajmniej na dziś, ale wiele lin pękało przedwcześnie i skrzydlate istoty spadały, ginęły. Zabawne było patrzeć, jak te dziwne postacie, ni to ludzie, ni ptaki, w ostatnim zrywie starały się dotrzeć do celu, jak właśnie wskutek wzmożonej szybkości jeszcze więcej ich spadało i rozbijało się na śmierć. Organizatorzy wiele sobie po tym numerze obiecywali. Istotnie, działał na tłumy. Ale część efektu poszła na marne, gdyż widzowie spoglądali na przemian to na fruwające istoty, to na łożę cesarską, pytając się z zakłopotaniem albo co najmniej z ciekawością, co też Wieloryba napadło.

Kierunek lotu ludzi-ptaków był tak wytyczony, że przez cały czas mieli przed oczyma łożę cesarską. Może dla niejednego było pociechą, zanim spadł i skonał, że człowiek, który ich wziął do niewoli, a teraz każe im ginać, siedzi oto i płacze.

KSIĘGA TRZECIA

OJCIEC

Dorion spędzała teraz większość wolnego czasu w willi w Albanum. Budowa była tak dalece posunięta, że można było mieszkać tam wygodnie. Ale willa nie była jeszcze gotowa, Dorion wpadała na coraz to nowe pomysły. Miała pieniądze, spadek po ojcu był znaczny. Mimo to wszystkie rachunki za roboty kazała przesyłać Józefowi. Nie zależało jej na pieniądzach, wiedziała jednak, że dla Józefa wydatki te stanowią ofiarę, i korzystała z każdej okazji, żeby go upokorzyć. Kiedy wreszcie przyjdzie i oświadczy, że więcej płacić nie będzie? Przygotowywała się na ten dzień. Wyobrażała sobie, z jakim grymasem na wyniosłej twarzy jej to zakomunikuje. Rozważała gruntownie, co mu odpowie. Och, już mu się nie da wyprowadzić w pole. Nie dopuści, by ten żongler słowami, ten sędzia umarłych, ten oszust, ten fałszywy jasnowidz, ten Żyd jeszcze raz ją okłamał. Jest uzbrojona przed jego sztuczkami. Wspomnienie o ojcu to amulet chroniący przed wszelkimi zakusami Józefa.

Ale Józef nie wystawił jej na próbę. Mieszkał w Rzymie, ona w Albanum, widywała go rzadko, kiedy się spotykali, był uprzejmy, prawie pogodny, unikał jednak rozmowy o charakterze bardziej poufałym. Jedyną radością podczas tych spotkań było pożądlive spojrzenie, które w chwilach, kiedy mu się zdawało, że go nie obserwuje, rzucał na swego syna Pawła. W żadnym wypadku nie zachowywał się jednak tak, jak gdyby uważał się za pobitego. Dotrzymywał obietnicy, płacił rachunki za dom, nie dawał jej okazji do wypowiedzenia z rozwagą przygotowanych słów.

Dorion zmieniła się w ciągu tych tygodni. Wzrok miała jaśniejszy, bardziej wyzywający, drapieżny, szerokie usta, okrywające małe zęby, otwierały się z mocniejszym pożądaniem, była piękna, pełna finezji i niebezpieczna. Ale ulotniło się to coś delikatnego, dziecinnego, co ją dawniej cechowało. Kiedy opowiadano anegdoty o rosnącej wrogości Rzymian do Żydów, potrafiła śmiać się z tak złowrogim zadowoleniem, że nawet przyjaciół ogarniał lęk.

Józef mieszkał w ciemnym, niewygodnym domu w szóstej dzielnicy. Chodził na Suburę, do Aleksasa, gawędził z małym Szymonem, nie stronił od przyjaciół. Ale nic nie dawało mu radości. Ani praca, ani rozmowy, ani książki, ani kobiety, ani honory, ani miasto Rzym, ani Grecy i Rzymianie, ani Żydzi. Nie czuł potrzeby obcowania z Bogiem, nie obchodziło go, co robi cesarz. Może odczuwał brak sekretarza Fineasza, ale nie przyznawał się do tego sam przed sobą. Wiedział, że brak mu Dorion i syna jej Pawła. Słusznie przewidział, że jego ofiara w postaci wypędzenia Mary będzie daremna. Ale nie żałował tego; odprawiłby ją raz jeszcze, gdyby Dorion chciała.

Pieniądze, których żądała od niego na willę, dawał bez sprzeciwu, z pewnym sadystycznym rozgoryczeniem. Z początku ledwie rzucał okiem na rachunki, później zauważył, że kosztorys był przekraczany w każdej poszczególnej pozycji. Zachcianki Dorion stawały się coraz kosztowniejsze. Milczał jednak. Zdawał sobie sprawę, że właśnie jego milczenie będzie Dorion drażniło i podniecało do coraz bardziej wygórowanych żądań, aż w końcu nie potrafi zaspokoić jej wymagań. Mimo to milczał.

Powoli budowa została doprowadzona do takiego stanu, że niewiele już było do zrobienia. Dorion nie mogła powziąć decyzji co do jednego: jak ozdobić krużganek, gdzie miał figurować fresk *Stracone okazje*. Wreszcie zdecydowała się miejsce przeznaczone dawniej dla Józefa, by się tam przechadzał w spokoju, zatopiony w myślach, poświęcić pamięci zmarłego ojca. Pod popiersiem Fabullusa zamierzała ustawić urnę z jego popiołami, obrazy z jego życia

miały zdobić ściany jako trwałe wspomnienie o drogim zmarłym, którego ciało i dusza zniszczone zostały przez tego podstępного Józefa.

Zastanawiała się długo nad wyszukaniem artystów najgodniejszych zaszczytu, jakim było wykucie popiersia Fabullusa i namalowanie jego życia. Zwróciła się do Basiliosa. Odmówił zrazu pod pozorem przepracowania. Ale uparta Dorion, która umiała podobać się mężczyznom, potrafiła zmienić jego decyzję. Wzdychając, nagadawszy się do syta, oświadczył, że jest gotów uczynić to dla swego dawnego przyjaciela. Oczywiście dopiero wówczas, kiedy dała mu do zrozumienia, że jeżeli chodzi o uczczenie pamięci ojca, nie ma dla niej sumy zbyt wysokiej. Pozyskawszy Basiliosa, zdobyła dla ozdobienia krużganku bardzo cenionego i hojnie opłacanego malarza Theona.

Kiedy obydwaj panowie zażądali umówionego honorarium wysokości około pięćdziesięciu tysięcy sestercji, Józef zbladł. Co jeszcze uczyni ta kobieta, by go dręczyć? Nie ulega wątpliwości, że Dorion poczyniła te zamówienia nie tyle, by uczcić pamięć ojca, ile by wzbudzić w nim głęboki gniew. Co miały wspólnego popiersie Basiliosa czy też malowidła Theona z jego obietnicą zbudowania willi dla Dorion? Poza tym, nawet gdyby chciał, nie mógłby bez pomocy Klaudiusza Reginusa zdobyć tej sumy. Postanowił pomówić z Dorion szczerze i otwarcie.

Dorion dowiedziała się od obu artystów, że Józef odmówił wypłacenia im honorarium. Kiedy się u niej zameldował, wyprężyła się jak do skoku. Będzie to pierwszy etap jej zemsty. Cieszyła się na to, jak z całą bezradnością wyzna, że nie jest w stanie spełnić danej obietnicy.

Kiedy po chwili stanął przed nią, zmierzyła go chłodno od stóp do głów. Usta miała na pół otwarte, nozdrza rozdęte. Józef stwierdził, że jeszcze jej pożąda. Wysłuchiwała go do końca. Potem powiedziała ostro, ale spokojnie, że od razu była przeświadczona, iż to, co powiedział po śmierci jej ojca, było czczą gadaniną. Odesłał tę kobietę nie ze względu na nią, lecz dlatego, że chciał ochronić swoje ko-ciątko od zarazy; swego bękarta, któremu epidemia nie zagrażała, pozostawił w Rzymie. Nie jest dla niej niespodzianką, że prześladuje jej ojca swą nienawiścią nawet po śmierci i stara się przeszkodzić w uczczeniu jego pamięci.

Józef słuchał jej obłądnych słów, przepojonych złośliwością i goryczą, z zakłopotaniem i smutkiem, szeroko otwierając oczy. Długo trwało, nim słowa te z uszu dotarły mu do serca. Dorion zakończyła tryumfująco, że cierpliwość jej jest u kresu, że powołując się na krzywdę, którą jej wyrządził niegdyś, wytoczy mu proces rozwodowy.

Józef wysłuchiwał i tego. Rozumiał Dorion. Nie odpowiedział nic, skłonił się, odszedł. Stwierdziła z zadowoleniem, że krok miał nieco chwiejny, że nie szedł wyprostowany jak zazwyczaj, lecz podobnie jak jej ojciec, kiedy go widziała po raz ostatni.

Józef zwrócił się o radę do Marulla. Był wprawdzie przeświadczony, że Dorion jest dla niego raz na zawsze stracona, ale nie umiał pogodzić się z myślą, że wraz z nią będzie musiał zrezygnować ze swego syna Pawła. Prawo żydowskie dawało całą władzę mężczyźnie. Józef uważał za nonsens, by ojciec, który chce podnieść syna do równego sobie stanu, miał z przyczyn natury formalnej pozostawić go na najniższym stopniu hierarchii społecznej. Rzymskie władanie nad światem — gorączkował się — oparte jest o zdrowy rozsądek. To, co ta kobieta zamierza mi uczynić, obraża wyraźnie rozsądek i sens prawa. Czy sąd rzymski zmusi mnie do podporządkowania się temu?

Senator Marull przypatrywał się przez szmaragd wzburzonemu, strapionemu Józefowi. Stan zębów Marulla był coraz gorszy, lekarze nie mogli temu zaradzić, uporczywy ból zaostrzył jego sceptycyzm wobec ludzi i instytucji.

— Dziwi mnie — odpowiedział Józefowi — że człowiek tak rozsądny jak ty, rabbi, tak mało zastanawiał się nad istotą prawa. Ustawodawstwo i orzeczenie sądowe są to próby

teoretycznego usprawiedliwienia i uporządkowania *ex post* stosunków politycznych i ekonomicznych, które się z biegiem czasu wytworzyły. Ponieważ stosunki te są zmienne i pozostają w ciągłym ruchu, prawo zaś i ustawy są czymś drętwym i nieruchomym, absolutna zbieżność między prawem a rzeczywistością i jej postulatami nie da się nigdy osiągnąć. Mądry sędzia — względnie mądry adwokat — istnieje więc po to, aby człowieka, który na to zasługuje, ochronić przed prawem. — Po tym pouczeniu natury ogólnej przeszedł do wypadku konkretnego. — Czy twoja Dorion wniosła ci w posagu pokaźny majątek? — zapytał.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Józef z pewną goryczą. — Ojciec jej nie był skąpy, ale mnie nie lubił. Dorion nie wniosła do mego domu nic poza swymi sukniami, kilkoma błyskotkami, no i wstrętnym kocurem. W międzyczasie kocur ten zdechł.

— Mimo to Dorion będzie zaciekle domagać się strzępów tych sukien, a my będziemy musieli bronić ich pazurami i zębami. Dopiero wtedy bowiem, kiedy na drodze cywilnej osiągnie zwrot posagu, będzie mogła sprawić, by sąd obyczajowy wystąpił przeciw tobie i cenzor pozbawił cię godności szlachcica drugiego stopnia. Oczywiście w tym wypadku — uderzył lekko swym wytwornym kosturem o podłogę — straciłbyś wszelkie prawa do syna. Ale Dorion jeszcze nie dopięła celu — zakończył pocieszająco. — Prawo rozwodowe jest na szczęście skomplikowane. Możemy ciągnąć proces w nieskończoność, dwa, trzy lata.

Józef patrzył przed siebie z goryczą, zorane zmarszczkami czoło nadawało twarzy ponury wyraz. Jeżeli chodzi o Marulla, to sprawa interesowała go raczej ze stanowiska psychologii niż prawa. Dziwiło go, że Dorion nie uważa, iż cel tak wysoki, jak przynależność do szlachty drugiego stopnia, wart jest poświęcenia napletka. Opór Dorion przypominał mu starych wrogów, tych osłów z senatu z ich wiarą w tradycję. Nie ulega wątpliwości, że to oni umacniają Dorion w jej głupim uporze. Tak więc dookoła sporu o syna Żyda Józefa rozgorzeje pokazowa walka między skostniałymi arystokratami starego Rzymu a liberałami pragnącymi przepoić mocarstwo światowe duchem prawdziwego kosmopolityzmu. Trudno przewidzieć, kto tu zwycięży. Role były dziwnie porozdzielane. Wskutek bowiem porażki Bereniki liberalna dynastia z liberalnym monarchą na czele stanie zapewne po stronie konserwatywnych obrońców tradycji republikańsko-nacjonalistycznej. Jeżeli Marull zostanie mandatariuszem. Józefa, narazi się niewątpliwie na niebezpieczeństwo, wciąż bowiem wisi nad jego głową groźba ustawy przeciw denuncjantom. Ale właśnie to dodawało walce uroku.

Miał pomysł.

— A gdybyś tak syna zaadoptował — zaproponował Józefowi.

Józef spojrział ze zdumieniem, ale wyszkolony w kazuistyce uniwersytetu jerozolimskiego, zorientował się szybko, jakie możliwości kryje w sobie plan Rzymianina.

— Adopcja — tłumaczył Marull mentorskim tonem — to powiększenie liczby członków rodziny w drodze wyboru. Ponieważ w tym wypadku naturalne spółdzenie nie wystarczyło, by syna twego uczynić członkiem rodziny, zaradzimy temu przez wolny wybór. Zrozumiałeś mnie? A może twoje prawo żydowskie nie zna pojęcia adopcji? — zapytał uprzejmie.

Józef poczuł się niemal dotknięty. Oczywiście istnieją w prawie żydowskim analogie. Czyż nie było adoptacją, kiedy Lea i Rachel doprowadzały swe niewolnice Jakubowi i ten uznawał dzieci zrodzone ze stosunku z nimi? Czyż Estera nie była córką zaadoptowaną przez Mardocheja? Dołączały się do tego przepisy w sprawie lewitów. Prawnik żydowski fachowo zaznajamiał prawnika rzymskiego z bardzo, jego zdaniem, prostymi zasadami tej procedury.

— Mamy bardzo przejrzyste prawo — wywodził. — Kiedy ktoś umiera bezdzietnie, brat jego musi poślubić wdowę i spółdzonemu z nią synowi nadać imię zmarłego. Przyszłe więc dziecko bezdzietnej dotąd wdowy, pochodzące ze związku z bratem zmarłego małżonka, uchodzi

za dziecko tego małżonka, fikcyjnie przez niego adoptowane.

— To proste — przyznał prawnik rzymski. — Nasze prawo jest w tym wypadku bardziej skomplikowane, ale nie pod względem procedury. Dzieli się ono na dwa działania podstawowe: na zwolnienie z opieki dotychczasowej i poddanie nowej opiece. Zwolnienie następuje przez trzykrotne zaprzędania w niewolę formalną przy użyciu kruszcu i wagi. W twoim wypadku Dorion musiałaby więc sprzedać chłopca osobie trzeciej, powiedzmy mnie. Obdarzam go wolnością i znowu przypada matce. Sprzedaje mi go po raz drugi, znowu daję mu wolność, by znów do niej wrócił. Sprzedaje go po raz trzeci i wreszcie Dorion traci prawo do tego, żeby dziecko po dalszym otrzymaniu wolności wróciło pod jej opiekę, gdyż w myśl postanowień ustawy dwunastu tablic opieka ta wygasa po trzykrotnym sprzedaniu.

Teraz rozpoczyna się druga część procedury adoptacyjnej, przejęcie dziecka pod opiekę nowego ojca. Ty, Flawiuszu Józefie, występujesz w tym procesie jako powód i żądasz oddania dziecka pod twoją opiekę. Matka, jako oskarżona, milczy, i przez to milczenie uznaje twoje żądanie, Paweł przypada tobie. Jak widzisz, wszystko jest względnie proste.

— Ale Dorion byłaby obłąkana — odpowiada Józef — gdyby się na to wszystko zgodziła.

— Byłaby obłąkana — uśmiechnął się Marull chytrze, po adwokacku — gdyby się wzdragała. Gdyby się bowiem sprzeciwiała, żeby jej syn z prowincjusza pozbawionego praw obywatelskich stał się szlachcicem drugiego stopnia, stanęlibyśmy na stanowisku, że nie jest godna wychowywać dziecko. Poza tym dałoby ci to wspierać powód do rozwodu.

— Ale Dorion — rozważał głośno Józef — przez cały czas opierała się temu, by zdobyć dla siebie i Pawła prawa obywatelskie oraz całkowicie ulegalizować nasze małżeństwo.

— Myślisz zbyt po prostu, za mało po prawniczemu — zganił go Marull. — Przecież, mój Flawiuszu, pełne obywatelstwo dla swej żony mógłbyś uzyskać jedynie przez protekcję i nielegalne drogi.

Józef zastanawiał się chwilę.

— Rozumiem — powiedział, choć czuł w głowie pewien zamęt.

— No widzisz — zakończył Marull swoje pouczenie — przy odrobinie zręczności można zachować zdrowy rozsądek nawet w labiryncie prawa rzymskiego.

W trakcie rozmowy z Marullem plan adoptacji nie wydawał się Józefowi całkowicie beznadziejny. Skoro jednak znalazł się sam, wróciły pierwotne wątpliwości i plan Marulla wydał mu się jednak zbyt ryzykowny. Sens małżeństwa na pół legalnego polegał przecież właśnie na tym, by dzieci pozostawały pod opieką matki, sens adoptacji tkwił w tym, aby zasilić rodzinę dziećmi obcymi, nie własnej krwi. Ci Rzymianie są to niewątpliwie na pół barbarzyńcy, prawa ich i ustawy pochodzą częściowo jeszcze z czasów całkowitego barbarzyństwa, ale ich sprawiedliwość w praktyce nie może być tak niemoralna, żeby zmieniać całkowicie sens tych ustaw.

Medytacje na ten temat nie trwały długo. Wszystko to stanowiło jakiś zamknięty krąg. Skoro prawo jest bezprawiem, dlaczego przy pomocy zręcznej interpretacji nie miałyby się znowu obrócić w prawo? Pozostawało tylko pytanie, czy jego wypadek okaże się w sali sądu obyczajowego równie elastyczny, jak w domu Marulla.

Po upływie kilku dni Marull poprosił Józefa do siebie. Tym razem ściągnął jako doradcę prawnego niejakiego Oppiusza Kottę. Wedle panującego zwyczaju mocodawcę winni zastępować dobry mówca i dobry znawca prawa. Jeden wytaczał argumenty formalne, prawne, drugi opracowywał je pod względem oratorskim. Marull omówił więc sprawę z Oppiuszem Kottą. Oczywiście, oświadczył doradca prawny, strona przeciwna będzie próbowała pod różnego rodzaju pozorami przewlec adoptację do czasu pełnoletności chłopca. Chodzi więc o to, by

proces rozwodowy Dorion w miarę możliwości przeciągać, natomiast postępowanie w sprawie adopcji przyspieszać. Wszystko zależy od tego, kto zdąży pierwszy, Dorion z rozwodem czy Flawiusz Józef z adopcją.

Józef orientował się, że propozycja Marulla włożyła mu dobrą broń w rękę. Ale w sprawach z Dorion namiętność zawsze brała u niego górę nad rozsądkiem. Zamiast zaczekać na to, co zrobi Dorion, postanowił, że po raz ostatni spróbuje dojść z nią do porozumienia. Zwrócenie uwagi Dorion na metodę prawną, którą się chciał posłużyć, było niewątpliwie niemądre. Z pewnością Maruil będzie mu usilnie odradzał, by poszedł do niej raz jeszcze. Ale Józef nie chciał, by mu odradzano, przemilczał więc przed Marullem, co zamierza. Chciał zobaczyć Dorion, usłyszeć jej głos. Pojechał do Albanum.

Dom, jasny i biały, stał na wzgórzu. Odźwierny wprowadził go do krużganku. Pachniało farbą. Fresk nie był jeszcze gotów, ale Józef już trzykrotnie ujrzał na ścianach dumną, mięsistą głowę Fabullusa. Na kunsztownie ozdobionym cokole stała urna z prochami. Wszystko dokoła było jakby stworzone, by rozgniewać Józefa. Powiedział sobie w duchu szydlerczo, że nie są to z pewnością prochy Fabullusa, ale jakieś tam pierwsze lepsze, może nawet prochy jakiegoś zwierzęcia.

Zjawiła się Dorion. Kiedy jej zameldowano Józefa, ogarnęło ją złośliwe poczucie zwycięstwa. Niech sobie przychodzi. Dała wyraz zdziwieniu, że go widzi. Czy nie powiedzieli sobie nawzajem ostatniego słowa? Nie, odpowiedział łagodne, tonem, w którym brzmiała nuta prośby. Umyślił coś nowego, ma projekt, polegający na tym, żeby się rozeszli w zgodzie, bez zwracania na siebie uwagi całego Rzymu. Nie odpowiedziała nic, czekała, twarz jej miała wyraz niechętny.

Józef stał w krużganku w otoczeniu głów Fabullusa, stropiony. Tutaj nie można nawiązać kontaktu, tu każdy ruch, każde słowo stawało się sztywne i wymuszone. Krużganki tworzyły podcienie dokoła pięknego ogrodu z kamiennym stołem i ławkami. Byłby chętnie usiadł, ale mu tego nie proponowała. Stała, kazała stać i jemu. Jej wiotka postać rysowała się ostrym konturem w przezroczystym powietrzu. Byli jak na scenie. Czuł, że jej nienawidzi, nienawidził sam siebie, należało zapytać Marulla, nie powinien był przychodzić. Ale skoro już jest tutaj, musi z nią pomówić.

Oświadczył, że jest gotów zgodzić się na rozwód i dawać jej na utrzymanie tyle, ile uzna za słuszne. Myśli o rencie w wysokości czterdziestu tysięcy sestercji. To dwie trzecie jego zarobków. Jest również gotów — ciężko mu było otworzyć usta, by wypowiedzieć te słowa — zapłacić Basiliosowi za popiersie i Theonowi za malowidła. Oczywiście nie może tych sum wypłacić od razu, ale będzie się można porozumieć co do terminów.

— Dobrze — powiedziała Dorion, rozkoszując się wyrazem walki i upokorzenia, malującym się na jego twarzy.

— W zamian za to mam do ciebie tylko jedną prośbę — ciągnął dalej. — Przyjaciele moi radzą mi, żebym Pawła zaadoptował. Proszę, żebyś zgodziła się na to w zasadzie. Uprościłoby to procedurę i uczyniłoby ją mniej przykrą.

Dorion patrzyła na niego swymi jasnymi oczyma. Powoli wykrzywiła usta, uśmiechnęła się, roześmiała. Śmiała się ironicznie, złowrogo, głośno. Rozkoszowała się propozycją Józefa oraz swoim śmiechem. Śmiech jej podoba się niewątpliwie jej ojcu, radują się nim trzy głowy, widniejące na ścianach.

Któregoś dnia Dorion opowiadała swemu przyjacielowi Anniuszowi, jak dziecinnie Józef wił się i skręcał, jaki stał przed nią mały i żaloszny. Była pełna szalonej radości, raz po raz wybuchała śmiechem. Anniusz śmiał się również. Wybuchając śmiechem opowiedział swemu kuzynowi Flawiuszowi Silwie o komicznym projekcie Józefa zaadoptowania Pawła. Flawiusz

Silwa również śmiał się z początku. Ale później pomyślał, że ci Żydzi to wściekli fanatycy i w dodatku mają diabelski spryt; kiedy chodzi o ich zabobony, potrafią wykrzywić rzecz najprostszą.

Dorion powiedziała również o zamiarze Józefa staremu poecie Waleriuszowi. Waleriusz roześmiał się także, ale śmiech jego brzmiał gniewnie. Sytuacja dawała podstawy do najgorszych obaw. Czy było coś niemożliwego w czasach, w których Żyd mógł paradować jako rycerz rzymski, podczas gdy prawdziwi Rzymianie, potomkowie Eneasza, pozbawieni godności, musieli przechowywać u spedytora woskowe posągi swych przodków? Nie dziwiłoby go, wywodził w dalszym ciągu, gdyby Żyd, wysuwający żądanie obrzezania Rzymianina, znalazł posłuch w sądzie rzymskim. Już stary Seneka, nawiasem mówiąc zły człowiek, który miewał czasami dobre sformułowania i występne życie okupił przyzwoitą śmiercią, słusznie zauważył, że zwyciężeni Żydzi dyktują swe prawa zwycięskim Rzymianom.

Stary Waleriusz potraktował sprawę tak poważnie, że odszukał Helwida, przywódcę opozycji w senacie, który z wyjątkową surowością zwykł był stawać w obronie zasad tradycyjnej sprawiedliwości narodowej. Helwid nie śmiał się z apetytów Józefa, wypowiedział szereg gorzkich sentencji na temat ginącej arystokracji i zażydzonego senatu, które przypadły Waleriuszowi do serca. Ale i Helwid nie wziął sprawy zbyt poważnie. Skierował starego do swego radcy prawnego. Nie przypuszczał, żeby sam musiał wziąć udział w akcji jako mówca. Sądził, że proces rozwodowy Dorion dawno zostanie doprowadzony do zwycięskiego końca, zanim przeciwnicy będą mogli wszcząć poważne kroki w sprawie adoptacji.

Okazało się jednak wkrótce, że sprytni i wpływowi ludzie zaczęli przewlekać proces rozwodowy. Jako adwokat Józefa wystąpił niejaki Publiusz Niger. Wkrótce przyjaciele Dorion ustalili, że ów Publiusz Niger wysunięty został przez niejakiego Kalpumiusza Salwiana, a ów Salwian przez niejakiego Kliniusza Maero. Upłynęło dużo czasu, zanim przyjaciele Dorion wykryli za tymi nazwiskami nazwisko Oppiu-sza Kotty oraz kancelarię Marulla. Kiedy do tego doszło, nikt już nie sztydził, że Józef żąda swego syna Pawła.

Praca nad modelem „Wielkiej Debory” postępowała, ale wymagała więcej czasu i wysiłku, niż sobie chłopcy wyobrażali. Kiedy wreszcie model był gotów, okazało się, że nie da się w praktyce zastosować. Można go było wprawdzie nastawić w górę i w dół pod dowolnym kątem, ale przy oddawaniu strzału dokonywał nieprzewidzianego zwrotu i nie chciał być posłuszny. Chłopcy próbowali tego i owego, ale nic się nie udawało. Koledzy, do których doszła wieść o dokonywanej próbie, zaczęli już wypytywać szyderczo, czy model nie wpadł do kloaki.

Obaj chłopcy zorientowali się, że sami nie poradzą, że konieczne jest zasięgnięcie rady rzeczoznawcy. Józef nie wchodził w rachubę, chcieli mu zrobić niespodziankę gotowym modelem. Pozostał kapitan Lukrion, ojciec Konstansa.

Od czasu pierwszej nieśmiałej próby przeproszenia za zachowanie ojca, Konstans nigdy już nie wspominał o brutalnej obeldze, której Szymon doznał od kapitana. Ale nie mógł pozbyć się pewnego poczucia winy. Tymczasem Szymon miał okazję jeszcze nieraz okazać swą wyższość; prze-szmuglował swego przyjaciela na widownię amfiteatru w czasie igrzysk i zarobił szarą wiewiórkę. Konstansowi zależało na tym, żeby jakoś tę głupią historię wygładzić. Toteż było mu dość na rękę, że stanęli bezradni wobec „Wielkiej Debory”. Pewnego więc dnia, kiedy Szymon po niezliczonych daremnych próbach usiadł na drewnianej podstawie modelu i stwierdził z rezygnacją:

— Na Herkulesa, zafajdana historia! — Konstans zdobył się na odwagę, poklepał Szymona po ramieniu i powiedział ze sztuczną wesołością:

— Jazda, człowieku, pójdziemy do mojego starego.

Szymon nie zapomniał obelżywych słów, którymi go kapitan obsypał, pamiętał również o

swym postanowieniu pociągnięcia kapitana do odpowiedzialności za tę godzącą w jego honor gadaninę. I on czekał na odpowiednią okazję. Kiedy więc kolega zaproponował, by poszli razem do ojca, spojrzął na niego spode łba, podniósł się wolno, rozkraczył nogi, schował pięści w szerokich rękawach, udał, że nad czymś głęboko rozmyśla, jak to zwykł czynić przed powzięciem decyzji, i w końcu powiedział:

— Zrobione!

Udali się do kapitana Lukriona. „Wielką Deborę” ciągnęli za sobą na sznurze, dumni, że dziwaczna maszyna wywołuje takie poruszenie. Szymon nie delektował się tą rozkoszą w całej pełni. Był pochłonięty myślami, jak też młodzieniec jego typu winien zachować się wobec kapitana. Wrogi Żydom nastrój Rzymu wzmógł się od czasu wyjazdu Bereniki. Wszędzie śpiewano teraz kuplet, powtarzając zamiast refrenu owe „hep, hep”, okrzyk, z którym swego czasu żołnierze rzymscy zdobyli Jerozolimę i Świątynię; był on szyderczym skróttem inicjałów *Hierosolyma est perdit*a — Jerozolima zginęła. Na wszystkie strony albo i zewsząd rozbrzmiewało:

*Cóż to ma Żyd w świątyni?
Ma świński łeb — hep, hep!
A przecz ma łeb w świątyni?
Bo Świnia cuchnie jak Żyd-kiop —
Hep, Żydzio, hep,
Apello, hep!*

Szymonowi, choć w dzielnicy, w której mieszkał, był lubiany, dawano również odczuć tę rosnącą do Żydów wrogość. Ale nie bardzo się tym przejmował. Ojciec jego Józef miał pierścień szlachty drugiego stopnia i z pewnością nawet przy stole Wieloryba dobrze się prezentował. Kiedy nazywano Szymona żydowską świnia, wymyślał od hyclów, skurwysynów i tym podobnych, uważając, że zwyciężył na punkty i sprawa była załatwiona. Problem żydowski ogniskował się dla niego w czekającej go rozmowie z kapitanem Lukrionem; był zdecydowany zachować się jak mężczyzna.

Kapitan Lukrion, choć Żydzi byli mu wstrętnei, odczuwał brak roztropnego Szymona; w gruncie rzeczy jak wszyscy lubił chłopca. Ten smyk to wyjątek — zwykł był mawiać do siebie i innych. To, że podczas zarazy potraktował go brutalnie, uważał za rzecz zupełnie naturalną. Było obowiązkiem, płynącym z instynktu samozachowawczego, nie prowokować bogów, póki trwa epidemia; to przecież nie wina Lukriona, że Szymon jest Żydem.

Kiedy obaj chłopcy weszli do niego, powitał ich głośno. Serce starego artylerzysty rwało się do modelu. Niemal od razu wykrył błąd w konstrukcji. Zaczął razem z chłopcami ciąć i heblować. Wkrótce można było przystąpić do wypróbowania modelu. Zrobiono to na ulicy, przed domem Lukriona. On sam pougniałał kule z ciasta, zebrali się widzowie, komenderował jak podczas bitwy: „Gotuj działo! Pal!” Strzelali do wróbla i gołębi, zabili gołębia, tryumf był niesłychany.

Respekt przed sztuką artyleryjską kapitana ani lęk przed jego istic niedźwiedzią łapą nie przeszkodził jednak Szymonowi zażądać od niego wyjaśnień, jak to sobie postanowił. Kiedy więc próbne strzelanie zostało ukończone, zamknął pierwszą część uroczystym i pełnym zadowolenia stwierdzeniem: „Pięknie” — po czym zwrócił się do Lukriona, wojowniczo spojrział mu w oczy i zapytał wyzywająco:

— No tak, a teraz, kapitanie Lukrionie, proszę mi powiedzieć, w jaki to sposób zatruwam swym oddechem powietrze i dlaczego zarazam trądem każdego, kto się do mnie zbliża?

Kapitan patrzył przez chwilę ze zdumieniem na chłopca, który siedział na lawecie „Wielkiej Debory”. Potem przypomniał sobie, że przecież tymi zarzutami obsypał Szymona

podczas epidemii, i odpowiedział, śmiejąc się na całe gardło:

— Przecież to jasne. Dlatego że jesteś Żydem.

— Jak to jasne? — upierał się Szymon. — Czy widziałeś kiedy, kapitanie, żeby się ktoś zaraził od dotknięcia Żyda?

— Cała zaraza — pouczał go kapitan protekcyjnie — nawiedziła nas przecież tylko dlatego, że Wieloryb zamierzał się ożenić z Żydówką. Jeżeli już sam zamiar powoduje zarazę, to jakaż epidemia musi powstać przy rzeczywistym zetknięciu!

Na razie Szymon nie wiedział, co na ten wywód odpowiedzieć.

— Jak to — zapytał — czy sądzisz, kapitanie, że Żydzi wywołują gniew nieba?

— Nie udawaj — zawołał gniewnie Lukrion. — Przecież to wszyscy wiedzą. Przede wszystkim dlatego, bo jesteście bandą zasrańców, po drugie dlatego, bo macie przekłete obskuranckie zabobony.

— Dlaczegoż to jesteśmy bandą zasrańców? — zapytał Szymon uprzejmie, ale stanowczo.

Lukrion zaczerwienił się.

— Jesteście leniuchy — zaczął swe oskarżenie. — Co siódmy dzień leniuchujecie i obżeracie się smakołykami. W dodatku macie czelność nazywać to leniuchowanie sabbatem. Poza tym jesteście lubieżni, lubieżniejsi od najbardziej lubieżnych kozłów. Ale bardziej jeszcze niż lubieżni jesteście pyszni. Dlatego nie dotykacie żadnej kobiety, która nie jest Żydówką.

Szymon siedział na swym dziale, pełen goryczy, i rozmyślał. Po chwili powiedział zaczeptym tonem:

— Nie jestem lubieżny.

— Nie mówiłem tego osobiście — odparł kapitan wymijająco.

Szymon rozmyślał w dalszym ciągu. Był gruntowny i nie dawał się zbyć byle czym.

— A o jakie to zabobony chodzi? — zapytał.

— Oddajecie boską cześć osłu — zawołał kapitan, rozgniewany tą udawaną ignorancją. — Zabijacie chłopców greckich. Świnia jest wśród was pewniejsza życia niż człowiek, który nie jest Żydem.

— Na Herkla — rzekł Szymon — przecież bym coś o tym wiedział.

Lukrion spojrzał na chłopca nieufnie. Ale Szymon siedział z taką miną, że trudno było pomyśleć, iż udaje.

— Może ci jeszcze tego nie powiedzieli — rzekł — bo jesteś za młody. — Na to zaś, by zdusić w zarodku dalsze protesty, dodał: — W Judei stało osiemdziesiąt tysięcy doborowych żołnierzy rzymskich. Widzieli to na własne, bystre, rzymskie oczy. Poza tym przecież to jasne: zwycięża ten, kto ma właściwą religię. Zwyciężyliście może? A więc nie macie religii, tylko zabobony. Prawda?

Niestety na ten argument nie przyszła Szymonowi do głowy żadna przekonywająca odpowiedź.

— Jesteś wspaniałym oficerem, kapitanie Lukrionie — oto odpowiedź, którą się zadowolił. — Ale oświadczam ci, że judaizm to wielka rzecz.

Rozmowa ta popsowała Szymonowi radość z konstrukcji dział. Argumenty kapitana drażniły jego dumę. Jeżeli tego rodzaju argumenty wysuwał taki znawca dział jak Lukrion, musiało w nich tkwić trochę prawdy. Postanowił zapytać ojca. Zainteresowanie Józefa „Wielką Deborą” dodawało mu odwagi. Próbował kilkakrotnie pomówić o dręczących go wątpliwościach, ale nie potrafił przezwyciężyć lęku przed wielkim, poważnym mężem. Czuł, jak Józef pomimo całej uprzejmości zachowuje rezerwę. Gdyby Józef otworzył mu bardziej serce, chłopak niewątpliwie zwierzyłby się przed nim ze swą sprawą; był nią bardzo przejęty, nawet człowiek

obcy musiałby zauważyć, że gnębi go utajona troska. Ale Józefa pochłaniał całkowicie spór o syna Pawła, nic nie zauważył i pozwalał, by jego syn Szymon sam porał się ze swymi troskami.

W końcu Szymon zwrócił się do Aleksasa. Opowiedziawszy mu o tym, co kapitan zarzuca Żydom, prosił go, żeby mu powiedział pod słowem honoru, jak to jest naprawdę z tym ubóstwianiem osła, zarzynaniem młodzieńców greckich i z tą zarazą. Aleksas był rozgoryczony na Józefa, że tak zaniedbał edukację chłopca. Wyjaśnił Szymonowi dobrotliwie i spokojnie, że wszystko to są głupie, nikczemne oszczerstwa. Bogowie innych ludów są łatwiejsi do zrozumienia, jako bogowie o określonym zasięgu władzy i dla każdego oczywiście, nawet dla głupców; można ich obdarowywać, jeżeli komuś pomogli, obsypywać obelgami i bić, jeżeli zawiedli. Tymczasem Bóg Jehowa jest niewidzialny i rozumiały tylko dla tych, którzy trochę wysilają mózgi. Nie jest Bogiem, którego dziedziczy się po ojcu. Jest Bogiem całego świata, ale rozumiałym tylko dla tych, którzy zadają sobie trochę trudu. Dlatego leniuchy i głupcy chętnie obsypują oszczerstwami Jego wyznawców. Ale już wielu wśród Greków i Rzymian poznało Go i rozumiało. Jest Bogiem na długą metę, wkrótce nadejdzie czas, kiedy poznają Go wszyscy i wtedy nie będzie różnicy między Rzymianami, Grekami, Egipcjanami i Żydami. Już dziś robienie takich różnic jest stratą czasu, kiedyś będzie się wymyślało od durniów tym, którzy będą twierdzili, że jeden jest lepszy lub gorszy od drugiego, ponieważ należy do tego lub owego narodu.

Szymon przemyślał to, co usłyszał. Słowa te przemówiły mu do przekonania, uważał, że Lukrion powinien zastanowić się nad nimi. Człowiek taki mądry i w dodatku artylerzysta powinien, do licha, dobrze się zastanowić, zanim pozwoli sobie wmówić takie bzdury o Żydach i dalej je powtarzać. Postanowił ukarać kapitana za jego czelną i beztroską łatwowierność.

Wśród skarbów, które przywiózł z Judei, był korzeń, mający wyjątkową moc. Stał korzeń na proszek i proszek ten wsunął potajemnie koledze Konstansowi do zakasanej rękawy wierzchniego stroju. Wiedział, że Konstans po powrocie do domu zaraz zmieni ubiór, że go odwróci na lewą stronę, przewietrzy i starannie schowa.

Stało się tak, jak sobie Szymon umyślił. Kiedy kapitan Lukrion zasiadł do stołu, zaczęła naprzód kichać jego żona, potem przyszła kolej na niego i Konstansa.

— To dobry znak! — zawołał kapitan.

Ale dobry omen trwał zbyt długo. Zjawił się niewolnik z potrawami, a dobry omen trwał nadal. Kapitan kazał niewolnikowi odnieść potrawę do kuchni i podgrzać je, ale niewolnik nie rozumiał go, gdyż dobry omen przerzucił się również na niego. Potrawy wystygły, dobry omen nie przestał działać.

Siedzieli wyczerpani na krzesłach i na podłodze. Z trudem chwytając powietrze, kapitan zapytał Konstansa:

— Czy przestawiałeś z Szymonem?

Niezbyt sprytny Konstans przeczuł jednak, że coś się tu święci.

— Czy przynajmniej liczyłeś — zapytał kapitan, wciąż jeszcze nie mogąc tchu złapać — ile razy? — Gdyby bowiem liczba kichnięć dawała się podzielić przez sześć, byłby to objaw wyjątkowo pomyślny.

— Osiemdziesiąt pięć — powiedział Konstans na chybił trafił, nie liczył bowiem wcale. Kapitan doliczył się stu trzydziestu dwu kichnięć, ale nie był całkowicie pewien swego i pragnął potwierdzenia ze strony Konstansa.

— Ja cię nauczę psuć mi moje pomyślne znaki! — wrzasnął, po czym złapał Konstansa i złoił mu skórę tak mocno, jak na to pozwalało jego zmęczenie kichaniem.

Konstans, który spotkał się z przyjacielem nazajutrz, nie powiedział mu o tym wszystkim ani słowa. Ale nagle, bez wyraźnego powodu zaczął wymyślać:

— Ty sraluchu, ty świnio żydowska!

Słowom tym towarzyszył potężny kuksaniec w zębra. Szymon zorientował się, że wszystko poszło tak, jak sobie tego życzył; w bitce, która się wywiązała wskutek napaści Konstansa, Szymon traktował go łagodnie i wielkodusznie.

W ciągu tych tygodni Józef próbował niejednokrotnie zabrać się na serio do nowej pracy, uporządkować olbrzymi materiał do *Uniwersalnych dziejów narodu żydowskiego*. Ale nie mógł się skupić. Myślami krążył wciąż dokoła Pawła. Raz po raz wyobrażał sobie z goryczą, jaki pewny byłby swojej sprawy, gdyby Berenika tronowała na Palatynie. Potem znowu wydawało mu się niemal szczęściem i zrządzeniem Opatrzności, która nim kierowała, że nadzieje, pokładane w Berenice, rozpadły się w gruzy. Sny jego o duchowej hegemonii Izraela ziściły się w sposób prostacki, użył nadętych, ciężkich symboli w rodzaju posągu w bibliotece Świątyni Pokoju. Teraz skończyło się to na długie czasy, i dobrze, że się tak stało.

Nie mógł ruszyć z miejsca z pracą. Nowy sekretarz, Syryjczyk Machon, raczej mu przeszkadzał, niż pomagał. Jego grecka wymowa była nienaganna, ale niemelodyjna. Zdania, które Józef z nim opracowywał, oddawały poprawnie sens, ale brakowało im harmonii, którą Józef osiągał w języku aramejskim i hebrajskim. Józef odczuwał boleśnie swe niedociągnięcia, brak mu było Fineasza.

Mimo to zmuszał się przez jakiś czas do pracy w określonych godzinach. Pewnego jednak dnia nie mógł już tego znieść. Od tygodni nie stykał się z synem swoim Pawłem. W duchu widział go przed sobą wysmukłego, bladego, delikatnego, ale mocnego, słyszał jego głos. Nie mógł wytrzymać dłużej przy pracy, która nie dawała zadowolenia. Musiał opuścić miasto, zaczerpnąć wiejskiego powietrza.

Najbliższą drogą do Albanum była Via Appia. Ale udał się pod Bramę Łacińską i kazał się wieźć szosą Łacińską. Dopiero tuż przed Ferentinum kazał woźnicy skręcić w kierunku jeziora Albanum. Nie miał zamiaru szukać spotkania z Dorion ani z Pawłem. Któż jednak mógł mu przeszkodzić, by odetchnął chociaż tym samym co syn powietrzem?

Spacerował po górzystej okolicy. Pięknie wyglądało jezioro, tam w oddali lśniło morze, a tutaj wznosiły się pełne przepychu, białe budowle księcia. Józef był człowiekiem miejskim, piękne okolice niezbyt doń przemawiały. Lato miało się już ku końcowi, wkrótce ściemni się, było dosyć chłodno. Spacerował zamyślony, pełen zmęczenia i goryczy.

Tam stoi willa Dorion. Gdyby go zapytano o radę, kazałby wznieść ją wyżej, okazałej, z większą ilością tarasów. Ale Dorion znała się na tym widocznie lepiej. W każdym razie, przekonał się o tym, niestety, skromność jej była o wiele kosztowniejsza. Jaką zrobiłaby minę, gdyby tak stanął teraz przed nią? Och, wiedział to dokładnie, po co raz jeszcze próbować!

Zawrócił, poszedł w stronę szosy, gdzie czekał jego powóz. Nagle zobaczył na wzgórzu dobrze mu znany pojazd, zaprzęgnięty w kozy. Wiedział, że cały czas na to czekał, tylko nie chciał przyznać się do tego sam przed sobą. Po cóż by tutaj przyjechał, po cóż by chodził po tej okolicy właśnie o tej porze, kiedy syn jego zwykł wyjeżdżać na spacer. Paweł stał w małym pojeździe, zgrabny, bardzo poważny. W czystym powietrzu, na tle pasma gór, w pełnym świetle wydawał się bardzo wysoki. Józef dostrzegał każdy szczegół z niezwykłą wyrazistością, widział każdą fałdę szaty chłopca lekko powiewającej na wietrze, każdy włos kozła Paniskusa.

Stał pod światło w zagłębieniu doliny. Chłopiec mógł go dojrzeć, ale nie musiał. Jeżeli będzie się zachowywał spokojnie, Paweł może go nie zauważyć. Jeżeli się poruszy i pójdzie dalej, zwróci na siebie uwagę syna. Józefowi zrobiło się wstyd i zachował spokój.

Paweł jechał wąską dróżką na grzbiecie wzgórza. Patrzył przed siebie, jechał wolno, wytwornie, w swobodnej postawie. Nagle zeszytniał, zrobił niezgrabny ruch, skurczył się jakby. Józef w dalszym ciągu zachowywał całkowity spokój. Czy pojedzie dalej? Paweł

przejechał.

Józef, który znalazł się teraz w tyle, wciąż jeszcze stał bez ruchu. Było mu zimno. Chłopiec przejechał obok niego. Jego syn zobaczył go i minął.

Nagle pojazd niespodziewanie zawrócił. Nie było to łatwe, ale Paweł dokonał tego zręcznie. Zjechał z pagórka serpentynami, koziół Paniskus ostrożnie stawiał nogi, pojazd zbliżał się teraz do Józefa. Paweł wziął bat w lewą rękę, wyciągnął prawą na powitanie, jak to czynili zawodnicy zataczający koło na arenie. Serce Józefa zaczęło bić gwałtownie. Chłopiec zbliżył się jeszcze bardziej, zatrzymał przed nim. Uśmiechał się lekko, z trudem ukrywając zakłopotanie.

Józef wykrztusił z wysiłkiem:

— Powozisz teraz tak, że mógłbyś występować na arenie.

— Tak, mój Paniskus jest we wspaniałej formie — rzekł Paweł.

Widok ojca napełnił go podnieceniem, trwożną radością i tkliwością. Na ogół ojciec nie zwykł przecież wyjeżdżać na wieś i spacerować. W ostatnich czasach, od śmierci dziadka, matka i Fineasz mówili o ojcu bardzo niemiło, brutalny zaś sposób, w jaki Józef potraktował nauczyciela, którego Paweł bardzo poważał, zostawił cierń w sercu chłopca. Kiedy jednak zobaczył teraz ojca, ogarnęło go ciepłe uczucie. Poczuł zmieszanie widząc, że ten człowiek, jego ojciec, wielki pisarz i przyjaciel cesarza, włóczy się po okolicy jak zbiegły niewolnik, kręci się koło domu w mglistej nadziei, że go zobaczy. Równocześnie jednak pomyślał, że może sprawić przykrość matce i Fineaszowi. Był zakłopotany i niezadowolony, pierwszą jego myślą było udać, że nic nie widzi, i jechać dalej. Po chwili jednak powiedział sobie, że byłoby to tchórzostwem. Nie wolno schodzić z drogi temu, co niewygodne, niemiłe, trzeba temu stawić czoło, tak wymagają zasady piękna i dobra, oto czego Fineasz uczył go codziennie. Mimo niechęci do ojca, był zarazem dumny, że Józef wyruszył w tak daleką drogę może tylko po to, żeby go zobaczyć; dumą napełniało go również, że spotkał ojca w okolicznościach, które pozwoliły ukazać mu swój kunszt w pełnym blasku. Zawrócenie tam na grzbiecie wzdórza było, na Herkulesa, piekielnie trudne, niejednenie dałby sobie z tym rady; cieszyło go, że się tak pięknie zaprezentował w oczach ojca. Ale już jadąc w stronę Józefa, zastanawiał się znowu, jak bardzo matka i Fineasz będą niezadowoleni, kiedy go zobaczą z nim razem, i postanowił nie wdawać się z ojcem w dłuższą rozmowę. Zajechał wytwornie i elegancko, ale teraz stał na swym chwiejnym wózku sztywny i niezgrabny.

Józef niezbyt przenikliwy, gdy chodziło o Pawła, odgadł tym razem dokładnie myśli chłopca. Byłby chętnie zapytał, co robi matka, kiedy skończy się budowa willi, ale obawiał się, że odłoni własną bolączkę i jeszcze bardziej chłopaka onieśmieli. Wygłosił więc parę ogólników, jak przyjemny jest pobyt na wsi o tej porze roku, jak mile może tu Paweł dzielić dzień pomiędzy nauką i sportem. Paweł odparł nieco bez animuszu, że brak mu kolegów, że się nudzi. Potrzebne mu jest współzawodnictwo, dodał z przemądrzałą miną.

W tych ostatnich słowach Józef poznał Fineasza. Jeszcze tkwiła w nim radość, że Paweł, jak się tego z początku obawiał, nie minął go bez słowa, jeszcze rozkoszował się widokiem syna, cieszył się jego rozwichrzoną czupryną i jego głosem, ale już mówił sobie: „Zawdzięczam to temu przekłętemu Fineaszowi. Fineasz uczy go opanowania oraz tego, że nie wolno schodzić z drogi przed tym, co niemiłe. Fineasz zaszczepia mu naukę stoików. Jaka to nauka! Jakże płytka i uboga w porównaniu z mądrością kaznodziei Koheleta. Chciałbym zaznajomić chłopca z Koheletem. Oczywiście nie teraz, później. To diablo trudna księga. Kohelet rozumiał Greków, ale Grecy rozumieją go z trudem. Ach, syn mój Paweł zrozumiałby tę księgę, gdybym miał sposobność mu ją wytłumaczyć. Zwariuję chyba, że nawet tę krótką rozmowę zawdzięczam Fineaszowi.”

Józef wie, że przedłużenie rozmowy byłoby niemądre. Zna dokładnie zasady piękna i

dobra, wszczepiane chłopcu przez Fineasza, zalecające panowanie nad sobą, wie, że Paweł bierze mu za złe, iż stoi przed nim, okazuje swe uczucia, nie może się od niego oderwać. Powinien by powiedzieć: „Tam na dole czeka mój powóz. Życzę dalszych sukcesów w studiach nad Homerem i powożeniu. Pozdrów matkę i Fineasza.” Należałoby powiedzieć to lekko, od niechcienia, ale po prostu nie może się na to zdobyć, gada w dalszym ciągu, posługując się nawet jak na niego niezwykle kiepskim językiem greckim, plecie niepotrzebne, niemądre androny.

— Tak — powiada — Homer. Dużo jest głupstw w dziełach Homera. Ale Homer zna się również na mądrości i pięknie. Kiedy Odyseusz zabija wszystkich rywali, brutalnych ludzi czynu, oszczędza poetę. Tak, ci Grecy wiedzą, co jest wart poeta. — Co on gada? Co to chłopaka obchodzi? Co sobie Paweł o nim pomyśli? Mimo to mówi jeszcze czas jakiś tym samym tonem. Wreszcie milknie, stoi i patrzy na chłopca. Jest już prawie ciemno, należałoby pomyśleć o powrocie. Ale nie rusza się z miejsca i patrzy na chłopca.

Wreszcie Paweł kończy rozmowę. Zapada mrok, oświadcza, że musi wracać do domu. Józef mówi śpiesznie, niezbyt mądrze.

— Tak, masz rację, przecież i mój powóz czeka na dole.

Chłopiec odjeżdża. Józef pozostaje na miejscu, patrzy w ślad za Pawłem. Kiedy syn niknie z oczu, wraca na szosę potykając się, zatopiony w myślach.

Sprawa z kapitanem była dla Szymona załatwiona z chwilą, kiedy mu przesłał proszek pobudzający do kichania. Szymon-Tinok nie był filozofem. Chciał tylko pokazać kapitanowi, a jeszcze bardziej Konstansowi, że jedenastoletni chłopiec-Żyd potrafi posługiwać się znakami wieszczącymi szczęście lub nieszczęście równie dobrze jak dorosły rzymski haruspeks lub augur, że więc poglądy religijne kapitana nie są niczym nadzwyczajnym. Nie zależało mu na tym, czy będzie to jasne dla innych, może sam niezupełnie wyraźnie zdawał sobie z tego sprawę, w każdym razie był głęboko przeświadczony, że sprawę załatwił lojalnie i po męsku.

Natomiast Konstans nie przeszedł nad tym tak łatwo do porządku. Dręczyło go, że Szymon zakpił sobie z ojca. Poza tym gniewało go, że podczas ostatniej bijatyki Szymon potraktował go tak łagodnie. Nie potrafił rozstać się z kolegą, ale okazywał mu gniew w ponury, bezradny sposób. Kiedy bawili się w zbójców i żołnierzy, nie trzymał się, jak dawniej, Szymona; gdy Szymon szedł między zbójców, Konstans stawał po stronie żołnierzy. Gniewało to Szymona, ale bardziej jeszcze dziwiło. Pewnego razu zapytał Konstansa wprost, co się stało, co, na Herkla, ma przeciwko niemu. Konstans dał odpowiedź wymijającą. Szymon myślał, że chodzi tu o szarą wiewiórkę. Dobrodusznie zaofiarował się pożyczyć mu ją na tydzień. Ale Konstans powiedział po pewnym wahaniu jak prawdziwy mężczyzna:

— To nie ma nic do rzeczy.

Nie przyjął wiewiórki, pozostał nieprzystępny i zamknięty w sobie.

Pewnego dnia, kiedy Konstans był żołnierzem, Szymon zaś zbójcą, rozgorzała wyjątkowo zażarta walka. Było rzeczą zrozumiałą, że „Wielką Deborę” posługiwali się żołnierze, a nie zbójcy. Natomiast niezrozumiałe było, dlaczego żołnierze zaintonowali pieśń z refrenem:

Cóż to ma Żyd w świątyni?

Ma świński łeb — hep, hep!

Wprost przeciwnie, była to czelność, bo przecież „Deborę” wynaleźli Żydzi, i było bardzo niewłaściwe, by ci, którzy jej używali, śpiewali właśnie tę pieśń. Całą ambicją Szymona było więc, żeby wraz ze zbójcami znowu dostać dział w swoje ręce. Ale pierwszy szturm pozostał daremny, przeciwnicy mieli silniejszą załogę. Zbójcy cofnęli się więc dosyć daleko, by nabrać rozmachu i zdobyć „Wielką Deborę” w brawurowym ataku. Dział weszło do akcji; obsługiwał je Konstans, strzelał szybko i celnie. Przewidywał, że atak się uda i że jego najbliższy strzał będzie zarazem ostatnim. Skierował lufę na Szymona, strzelił, trafił.

Trafił doskonale. Szymon, który rzucił się do ucieczki, potknął się i upadł. Reszta chłopców myślała z początku, że to zabawa, zbójcy szturmowali w dalszym ciągu, żołnierze bronili się dalej. Widząc, że Szymon się nie podnosi, odwrócili się i zobaczyli, że kula, która go trafiła, nie była z ciasta, lecz z kamienia. Konstans nie sam ładował działo, inni mu pomagali, nie można było ustalić, kto włożył kamień do lufy — czy stało się to przez niedopatrzenie, ciekawość, czy też przez złą wolę. Tak czy inaczej, Szymon leżał bez ruchu: kula ugodziła go w czoło, tuż nad okiem. Chłopcy stali dokoła niego w milczeniu, stropieni, aż wreszcie wtrącili się przechodnie. Wówczas zabrano chłopca do domu Aleksasa.

Aleksas posłał natychmiast po Józefa. Kiedy mu opowiedział szczegóły sprawy, Józef zachował całkowity spokój, tylko zęby mu szczękały w niesamowity sposób. Pochłaniała go całkowicie jedna myśl: „Starałem się, żeby tamten nie został gojem, a tymczasem goje zabili mi mego syna-Żyda.” Myślał o tym bez przerwy.

Aleksas skończył opowiadanie. Józef nie powiedział nic, stał pośrodku pokoju, chwiejąc się nieco.

— Nie chcesz zobaczyć twego Tinok? — zapytał Aleksas ochryłym głosem. Wydawało się, że Józef nie słyszy. Po chwili powiedział:

— Proszę? Co takiego?

Aleksas powtórzył wrogo:

— Nie chcesz zobaczyć twego Tinok?

Po chwili milczenia Józef odparł lekliwie:

— Przecież to nie uchodzi.

Aleksas spojrział ze zdumieniem, potem przyszło mu do głowy, że Józef ma zapewne na myśli ów przepis, który zabrania kapłanowi zbliżać się do trupa bardziej niż na odległość trzech kroków.

— Ach tak — powiedział z pogardą i rozczarowaniem. — Przecież mógłbyś, rabbi, popatrzeć na niego z sąsiedniego pokoju — zaproponował.

— Tak, to byłoby możliwe — odrzekł Józef z wahaniem i poszedł za Aleksasem.

Usiadł w sąsiednim pokoju. Patrzył na zmarłego syna przez otwarte drzwi. Szymon leżał na przewróconym łóżku; przewrócił je Aleksas na znak żałoby. Pozostawił Józefa samego ze zmarłym i Józef tkwił tam bez ruchu przez całą noc.

Myślał owej nocy o wielu rzeczach, nad którymi się dotąd nie zastanawiał; kiedy nadszedł ranek, postarzał się o wiele nocy. Na ogół bał się zanadto zagłębiać w tajniki swej duszy, był na to za wygodny. Ale tym razem głębie rozwarły się przed nim, musiał w nie wstąpić! Nawiasem mówiąc, nie myślał tej nocy ani po grecku, ani po łacinie, ani po hebrajsku; wszystkie rozmyślenia snuł w narzeczu aramejskim, języku swej wczesnej młodości, która wydawała mu się odrażająca, którą pogardzał.

Prawował się sam z sobą, rozumował, brał całą winę na siebie, oskarżał los, Boga, Dorion. Nieszczęście jego nie miało miary, miary nie miały ani jego skrucha, ani skargi.

Za mało kochał swego syna-Żyda. Przyrzekł Marze, że się nim zajmie, ale źle go strzegł. Kiedy go zapyta: „Gdzie jest Tinok, dziecko moje, mój syn?”, nie potrafi jej nic odpowiedzieć. Serce swoje oddał synowi Greczynki, jego strzegł, był dumny z tego syna swego serca; tę jednak, która strzegła jego syna-Żyda, odprawił, a sam źle go pilnował, więc śmierć jego jest zasłużoną karą.

Kto po wsze czasy zgrzeszył tak śmieszną pychą? Ledwie odwrócił się od pogardzanej Mary, którą odprawił po raz drugi, a już jego syn, pozbawiony opieki, dostał się w ręce gojów i zginął przez tych gojów, których Mara się lękała, wśród których Józef snuł się z nadętą miną, jak wielki pan wśród spólstwa. A teraz ten człowiek Wschodu i Zachodu, ten autor *Psalmu*

obywatela świata siedzi tutaj jak bezwartościowy śmieć. Chciał być równocześnie Rzymianinem i Żydem. Ładny obywatel świata! Jeżeli obywatelem świata jest ten, kto związany jest ze wszystkim, a więc nie jest związany z niczym, to Józef jest obywatelem świata. Jest niczym. Ani Rzymianinem, ani Żydem, niczym.

Flawiusz Józef. Wielki pisarz. Popiersie jego stoi w Świątyni Pokoju. Napisał głośną księgę. Pracuje, nad uniwersalną historią Żydów. „Siedemdziesięciu siedmiu ludzi ma w świecie posłuch; jest jednym z nich.” Jest bezwartościowym śmieciem.

Grzebał głęboko w duszy i nic w niej nie znajdował prócz pychy. Przeląkł się bardzo.

Szukał ucieczki w wyuczonej mądrości. Ale nie dało mu to pociechy. „Poznałem, że wszystko, co Bóg czyni, pozostaje na wieki. Nie, tu nic nie “można dodać, nic ująć. To, co jest, istniało od dawna — to, co kiedyś przyjdzie, również istniało od dawna. Ujrzałem potem, co się dzieje pod słońcem: gdzie miała panować łagodność, sroży się złość, gdzie miała panować sprawiedliwość, sroży się bezprawie. Pomyślałem kiedyś w swym sercu, że Bóg to tak sprawił chcąc pouczyć ludzi, żeby zobaczyli, że nie są więcej warci od zwierząt i że los ludzi i bydła jest jednaki. Człowiek umiera tak samo jak bydło; tak samo oddycha, wyższość człowieka nad bydłem jest niczym, wszystko jest marnością. Wszystko wraca w to samo miejsce: z prochu powstało i w proch się obróci. Któż może wiedzieć, czy dusza ludzka wstępuje do nieba, zwierzęca zaś w głąb ziemi?” Słowa te wypowiedział kilkaset lat temu niejaki Kohelet i nikt nie mógł wyrazić tego trafniej. Komu potrzebny jest Flawiusz Józef i jego historia powszechna?

Ów Kohelet był mądrym człowiekiem. Nie był lubiany; ludzie nie lubią i teraz ani jego, ani jego księgi. Przez stulecia spierali się w Jerozolimie, czy mają księgę jego zaliczyć do pism świętych idź się jeszcze spierają się o to w Jawneh. Ten Kohelet jest za mądry, zbyt szydyczy.

„Dla człowieka istnieje tylko jedno: jeść, pić i żyć dostatnio ze swej pracy.” Oto rezultat, oto ostateczny wniosek tego, kto najwięcej badał na tej ziemi. Zastosował szesnaście różnych rodzajów badań, znalazł dla tych rodzajów szesnaście trafnych określeń i oto jego konkluzje: „Wszystko to jest uganianie się za wiatrem. Nie pozostaje nic, tylko jeść i pić.

Chwilami ogarniała Józefa wściekłość. Bóg robi z niego durnia, huśta go to w górę, to w dół, igra z nim, jak morze z kawałkiem korka. Czy kilka tygodni temu nie udawał się do Tytusa, wspaniały, u szczytu szczęścia, czy wszystko na zewnątrz i wewnątrz nie było blaskiem i spełnieniem? A teraz Jehowa pozwolił sobie wobec niego na ten niemądry żart. Jedyne, co synowi przekazał, to odrobina wiadomości z zakresu konstrukcji dział i właśnie przez tę głupią parodię maszyny wojennej, którą mu z taką dumą opisywał, Jehowa i goje usunęli go ze świata.

Jakie popełnił przestępstwo, że Bóg tak okrutnie sobie z niego zażartował? Chciał zaprowadzić do Boga swego syna Greka. Czy to przestępstwo?

Wstał, oddychał gwałtownie, pomstował na Boga. Przyznaje, gdyby go przekartkować jak księgę, odpadałaby zeń warstwa za warstwą, ukazywałyby się jedna pusta łupina za drugą. Na wierzchu jest Rzymianinem, kiedy się jednak trochę poskrobie, staje się obywatelem świata, kiedy się skrobie jeszcze dalej, staje się Żydem, kiedy się dotrze aż do głębi, odpada nawet i to. Ale jedno pozostaje, jednego nie można zeszkrobać: jest Józefem synem Mateusza, Flawiuszem Józefem, może stanowić zlepek próżności, ale w każdym razie jest kimś, reprezentuje jakieś „ja”. Może to i wstyd, ale jest z tego dumny. Nie opowiada na przykład o cyfrach, nie robi tego, nie lubi tego, opowiada o takich samych ludziach jak on sam. I tak stawia czoło Bogu. Bóg nie ma prawa tak poniewierać tym jego „ja”. Albo nie miał prawa go takim stworzyć.

Burzył się przeciw Bogu jak Hiob i wypowiadał mu walkę. „Byłem próżny, posunąłem się w mej pysze za daleko — wyznał niewidzialnemu sędziemu. — Nic nie ukrywam. Mimo to Jehowa skrzywdził mnie niesprawiedliwie i niesprawiedliwie zabił mi syna. Czy Jehowa nie

przyczynił się do tego, że byłem próżny? Jeżeli byłem próżny, czy nie czyniłem tego dla Jehowy? Chciałem pokazać, że sługa Jehowy jest zarazem bardziej ludzki i bardziej boski od sługi Jowisza. Oto na czym polegała moja próżność. Trwam przy niej. Teraz kolej na Jehowę, niechaj przemówi.”

Po tym wybuchu furii i dumy załamał się i ukorzył jeszcze bardziej. Wiedział doskonale, że nie dość kochał tego swego syna Szymona i dlatego został ukarany. Serce jego było leniwe, uczucie ubogie. To jego wina. Jego wielka wina.

Dotychczas wszystko spływało po nim, czyni jak i cierpienia. Otrząsał się i wszystko zniknęło, mógł rozpocząć na nowo. Tym razem nie może tego osiągnąć. To pozostanie na zawsze. Teraz Szymon będzie przy nim stale, nieodłącznie, roszcząc sobie do tego słuszne prawo.

Józef z sąsiedniego pokoju całą noc czuwał przy zwłokach syna. Aleksas nie troszczył się o niego. Noce były już dosyć chłodne; Józef był wyczerpany, zapewne głodny, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.

Rano — w nieco późniejszych godzinach — odwiedzili go kapitan Lukrion i syn jego Konstans. Stali zakłopotani, bezradni. Nie wiedzieli, co powiedzieć temu blademu, nie ogolonemu człowiekowi o zdziczałym wyglądzie.

— Jestem niewinny — rzekł wreszcie Konstans; głos jego brzmiał ostro, zaciął się, niełatwo mu było mówić. — To był kamień. Nie wiem, kto go wpakował do lufy. Ale dowiem się i połamię mu kości. Tak, na Herkla — dodał. Zakłęcie to przejął po swoim przyjacielu Szymonie.

Józef milczał. A więc przyszli mordercy. Próbował zrozumieć, co powiedział Konstans, nie było to łatwe, ale mu się udało. Czy nie powiedział, że jest niewinny? Może wierzy w to, na pewno w to wierzy. Ale kto jest bez winy? Wszyscy współdziałali, wszyscy szczerzy przeciw jego synowi-Żydowi. Wreszcie otworzył usta, udało mu się wykrztusić kilka słów.

— Tak — powiedział. — Oczywiście jesteście, na Herkla, niewinny. — Uśmiechnął się nawet. Oczywiście z wielkim trudem.

Kapitan Lukrion musiał się przezwyciężyć, żeby przyjść tutaj. Uważał swe przybycie za dowód lojalności, wydawało mu się, że Józef nie docenia tej lojalności. Flawiusz Józef należy wprowadzić do rzymskiej szlachty i ma dostęp do cesarza, ale ostatecznie nie przestał być Żydem. Widać to po tym, jak się teraz zachowywał. Tkwić w sąsiednim pokoju, przewracać łóżko — cóż za barbarzyńskie zwyczaje, jakie zabobony!

Jako stary żołnierz Lukrion lubił gadać o tym, co ma na wątrobie, i chciał teraz jasno dać wyraz swoim poglądom. Ponieważ jednak skutek nieszczęśliwego zrzędzenia losu jego Konstans zabił Szymona, a także, ponieważ nie wiadomo, czy zmarły nie słyszy i kiedyś później nie będzie się mścił, wołał milczeć.

Zbliżył się wraz z synem do trupa. Przeczuł od razu, że przyjaźń z Żydem niedobrze się skończy. Teraz Szymon leży martwy na przewróconym łóżku i winę za to ponosi Konstans. Na wszelki wypadek, by uprzędzić zemstę zmarłego, pogada raz jeszcze z Konstansiem i wyłoi mu porządnie skórę. W ogóle było wskazane pozostawać ze zmarłym w dobrych stosunkach, niezależnie od tego, że Szymon był jak na Żyda malcem wyjątkowo miłym i sprytnym. Ci zabobonni ludzie przewrócili łóżko, ale prawdopodobnie zaniedbali tego, co najważniejsze. Lukrion wyciągnął z kieszeni miedzianą monetę, włożył ją Szymonowi pod język, żeby miał przy sobie opłatę dla przewoźnika zmarłych Charona.

Konstans, do głębi zawstydzony, przybity, spoglądał ukradkiem w stronę trupa. Strasznie głupio się zachował.

Kolega nie wiedział nawet zapewne, dlaczego się z nim pożarł. Jego przyjaciel Szymon

był wspaniałym chłopcem. Sporządzenie „Wielkiej Debory” było nie lada wyczynem, proponował mu przecież za to szarą wiewiórkę. Gdyby pomówił z nim otwarcie, trzymaliby się razem, czy to jako zbójcy, czy jako żołnierze i to okropne nie byłoby się wydarzyło.

Stali tak obaj przy trupie, Józef zaś siedział w sąsiednim pokoju. Po należynej zmarłemu chwili milczenia, kapitan podniósł rękę w jego stronę i, jak zwykł w takich wypadkach czynić każdy przyzwoity Rzymianin, trzykrotnie pozdrowił zmarłego. To samo uczynił jego syn.

Wykrzyknęli:

— Bądź zdrów, mój Szymonie.

Potem, mruknawszy coś w stronę Józefa, Lukrion oddalił się wraz z Konstanssem.

W ciągu dnia przyszedł Aleksas. Zazwyczaj tak spokojny i uprzejmy, ukazał Józefowi równie wyzywające oblicze, jak poprzedniego wieczora.

— Zająłem się pogrzebem wraz z doktorem Licyniuszem — powiedział. —

Pochowamy go jutro przy Bramie Appijskiej.

Józef siedział, zdawał się wyczerpany do ostateczności, robiło mu się ciemno w oczach, jak wtedy w pieczarze, kiedy konał z pragnienia. Wyczuł agresywny ton Aleksasa, zrozumiał, że w jego oczach on również nie jest bez winy. Ale nic sobie z tego nie robił. Brzmiały w nim jeszcze słowa Koheleta: „Wszystkie rzeczy mają czas, a swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem: czas rodzenia i czas umierania, czas szczepienia i czas wyrwania tego, co szczepiono, czas zabijania i czas leczenia, czas rozwalania i czas budowania. Czas płakania i czas śmiania, czas narzekania i czas tańcowania. Czas rozrzucania i czas zbierania, czas obłapiania i czas oddalania się od obłapiania. Czas wojny i czas pokoju. Cóż więc ma człowiek z pracy swojej?” O tym myślał tkwiąc tu uparcie w szaleńczym zapamiętaniu, nie ruszając się z miejsca.

Przybyli przyjaciele: Demetriusz Liban, Klaudiusz Reginus, doktor Licyniusz. Prysłano mu w koszyczku, plecionym z wikliny, żałobną potrawę z soczewicy. Choć przepisy kazały pocieszać żałobnika, zjawilo się niewielu Żydów. Józef zaniedbał uznania zmarłego za syna, drugiego swego syna nie uczynił Żydem. Uważali, że śmierć chłopca to kara Jehowy.

Następnego dnia pogrzebali Szymona-Tinok. Kondukt pogrzebowy był nieliczny. Chłopiec miał wśród Rzymian wielu przyjaciół, byliby go z pewnością pożegnali, gdyby go spalono na stosie, ale oburzało ich, że go grzebią w ziemi. Judaizm był religią dozwoloną, nie zabraniano Żydom ich rytuału pogrzebowego. Jednakże litowano się nad chłopcem, że ciało jego w tak barbarzyński sposób oddane zostało na pastwę robactwu, i nie chciano uczestniczyć w tego rodzaju uroczystości pogrzebowej.

A więc kondukt towarzyszący Szymonowi do „domu wieczności” był niewielki, ale zwracał powszechną uwagę. Józef przyczynił się do tego. Stosownie do jerozolimskiego obyczaju, kroczył za zwłokami nie ogolony, w podartej szacie, przerażająco zaniedbany. Tupał nogami, zdjął w pewnej chwili sandały, zaczął się nimi okładać. Rzymianie, przyglądając się temu, mówili:

— To pisarz Flawiusz Józef, Żyd. Bogowie go ciężko dotknęli. Najpierw cesarz odesłał do domu jego księżniczkę, teraz ci z podziemia zabrali mu syna. — Na widok zdziczałego żałobnika w łachmanach kręcili głowami, wielu śmiało się. Gawiedź przyłączyła się do konduktu, rozpaczający Żyd był dla nich wesołym widowiskiem.

Józef wykrzykiwał swe dziwne skargi. W myśl rytuału wolno było prześcigać się w pochwałach dla zmarłego tylko tym, którzy kroczyli przed zwłokami. Ci, którzy szli za marami, musieli trzymać się ściśle prawdy i Jerozolima przestrzegała tego rygoru bardzo skrupulatnie.

Józef wołał:

— O synu mój, Szymonie, mój pierworodny, acz nieprawy! Umiał obchodzić się z

bronią, z małymi działami, jak Rzymianin, zginął przez działo niby na wojnie, to ja nauczyłem go obchodzić się z tym działem. O synu mój, Szymonie, mój pierworodny, acz nieprawy! Gdzie jest cesarz, chłopiec ten bowiem był może jego bratem?

Chciał przez to powiedzieć, że nie zostało stwierdzone, czy stary Wespazjan nie splodził Szymona, bo przecież on pierwszy spał z niewolnicą Marą. Ten, kto znał chłopca, wiedział oczywiście, że między nim i Wespazjanem nie było cienia podobieństwa, natomiast było pewne podobieństwo między nim i Józefem.

Ci, którzy widzieli Józefa, dziwili się, że się tak obnaża i rozdziera na sztuki. Rzymianie śmiali się coraz głośniejsze. Nic sobie z tego nie robił. Wołał:

— O synu mój, teraz dopiero widzę, za późno, żeś był synem mego serca.

Tupał nogami o ziemię, smagał się sandałami, nie zważał na to, że jedni kręcą głową, drudzy zaś wyśmiewają jego głupie zachowanie. Tak musiała śmiać się ze swego męża Michel, żona Dawida, kiedy jak błazen skakał przed arką Jehowy, ale Dawid na to nie zważał.

Niewiele osób odwiedzało grób małego Szymona. Na trzeci dzień zjawił się mały Konstans. Przyniósł ze sobą szarą wiewiórkę, którą wyprosił od Aleksasa. Bardzo poruszony i z wielkim wysiłkiem zabił zwierzątko na ofiarę, żeby kolega miał się czym bawić w Hadesie. Zastanawiał się długo, czy dla przyjaciela ma zrezygnować z „Wielkiej Debory”, czy z wiewiórki, i wreszcie zdecydował się na poświęcenie zwierzątka. Stał nad grobem, wiewiórka pogryzła go i podrapała, ręce miał wilgotne od krwi zwierzątka i własnej, musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby nie dostać wymiotów. Teraz był niewątpliwie legalnym spadkobiercą „Wielkiej Debory”.

Józef spędził siedem dni żałoby, jak nakazywały przepisy, siedząc na ziemi, w rozdartych szatach; w ciągu tych dni przeorywał swą duszę. Potem usiadł i napisał *Psalm o sobie*.

*Przecz-żeś, o Jahwe, jest taki dwuznaczny
Jako drogowskaz, któremu dla żartu
Chłopcy wyrwali ramię, a na drugim
Fałszywy napis wyrzeczali nożem
Tak, że jedyne ramię
Wskazuje teraz na zachód i wschód?
O, przecz-żeś ludziom pozazdrościł śmiałej
Budowy Babel i zmieszał języki,
Że jeden Grekiem, drugi zwie się Żydem,
A trzeci znów Rzymianinem,
Choć przecie wszyscy z jednego są tchnienia
I z jednej kości żebrowej?
I otom teraz, Jahwe, z Tobą w zwadzie,
A to poważny spór.
Józef ben Matias przeciwko Jehowie!
Przecz-że to, Jahwe, gdym Józef ben Matias
Mam dodatkowo zwać się Rzymianinem
Albo i Żydem, czy pierwszym i drugim?
Ja chcę być sobą, ja chcę być Józefem,
Tak jakem wyszedł z łona mojej matki —
A nie stać oto pośrodku narodów
I być zmuszony groźbą do wyboru:*

*Jam z tych lub z tamtych!
O Jahwe, wołam do Ciebie w rozterce:
Pozwól mi znów być sobą.
Albo się cisnę w otchłanie i pustkę,
Z której mnie wydobyłeś
Na światło ziemi!*

Przez siedem dni żałoby Józef zastanawiał się intensywnie, jakie powinien wyciągnąć wnioski ze śmierci syna. Nie wierzył w przypadki. Jehowa i los stanowili jedno. Był gotów przyznać, że śmierć Szymona jest karą, ale na czym ma polegać czynna skrucha, której Jehowa od niego żąda? Wierzył w tajemny splot otaczających go wydarzeń. Wszystko tworzy łańcuch. Tak samo jak żadna litera Pisma świętego nie tkwi przypadkowo na swoim miejscu, jak zawarte w nim prawa i opowiadania, choć pozornie pozbawione związku, mają głębię i sens, musiał również tkwić sens w tym, że Szymona położono trupem właśnie wtedy, kiedy najgorliwiej zabiegał o Pawła.

Śmierć Szymona była przestrożą, by pozwolił zmartwychwstać Szymonowi w Pawle.

W ponurym nastroju, ze zdwojonym zapałem podjął walkę o Pawła. To nieprawda, co powiedziała Dorion, jakoby syn jego żywił do niego niechęć. Choć Dorion i Fineasz buntowali go przeciw niemu, Paweł nie udał wówczas w Albanum, że go nie zauważył, nie minął go obojętnie. To tych dwoje trzymało syna z dala od ojca. Jeżeli uda mu się wyrwać Pawła z ich rąk, będzie należał do niego.

Przede wszystkim należy wygrać walkę przed sądem. Maruil był dobrym adwokatem. Józef podobał mu się. Nieszczęście z chłopcem starło z Józefa powłokę pychy, to, co się spod niej pojawiło, wydawało się pociągające Rzymianinowi, lubiącemu eksperymenty psychologiczne. Maruil uważał, że na ogół bystry rozum zabija namiętność; ale Józef był rozsądny i równocześnie namiętny, tworzył rzadką mieszanicę. Maruil rzucił się z całym rozmachem w wir walki o Pawła.

Wyjaśnił Józefowi, jakie są widoki wygrania procesu. Zarówno w sprawie rozwodowej, jak w sprawie adopcji kompetentny jest sąd stu. Przewodniczącym tego sądu był senator Arulen, wielki sędzia cesarstwa. Należał do opozycji republikańsko-konserwatywnej i był pewno skłonny odmówić Józefowi chłopaka. Ale właśnie dlatego, że miał określone oblicze polityczne, musiał być podwójnie ostrożny w swych decyzjach, żeby uniknąć jakiejś poprawki ze strony sędziów koronnych. Wszystko zależało od tego, jaką Tytus zacznie uprawiać politykę w stosunku do Żydów teraz, po rozstaniu się z Bereniką. Wprawdzie w ostatnich czasach pozwalał wrogom Żydów na niejedno, ale gubernator Flawiusz Silwa ciągle jeszcze nie potrafił go namówić, by wydał tak przez niego upragniony edykt zakazujący obrzezania. Ponadto Tytus w dalszym ciągu traktował króla Agryppę z wielkimi honorami i właśnie niedawno nadał wysokie odznaczenie Żydowi, a mianowicie marszałkowi Tyberiuszowi Aleksandrowi, który ze względu na wiek zrezygnował ze stanowiska namiestnika Egiptu. Na razie nikt nie mógł się zorientować, czy cesarz odnosi się do Żydów wrogo, przyjaźnie czy po prostu obojętnie. Dopóki się to nie wyjaśni, wielki sędzia Arulen będzie się wystrzegał jakichś decydujących kroków. Wysyłki Marulla w kierunku przeciągnięcia procesu rozwodowego były mu bardzo na rękę.

Dorion uzasadniała swą chęć rozwodu tym, że Józef, by jej dokuczyć, sprowadził do miasta swą dawną żonę, spał z nią, jakkolwiek rozwiódł się z własnej woli, jako z osobą niższego stanu, i rozwód ten okupił nawet strasznym upokorzeniem. Zażądano dowodów, obrońcy Józefa przewlekali sprawę. Wreszcie wyznaczono dzień, w którym powódka i pozwany mieli po raz pierwszy stanąć naprzeciw siebie w sądzie.

Prawowanie się Józefa interesowało całe miasto, a kiedy stało się ponadto wiadome, że

senator Helwid, przywódca opozycji, będzie na tej rozprawie osobiście występować w imieniu powódki, zebrało się wielu ciekawych. Olbrzymia aula Julijska ledwie mogła pomieścić liczne audytorium.

Józef zjawił się w sądzie nie tylko w otoczeniu adwokatów Publiusza Nigera, Kalpurniusza Salwiana, Kliniusza Makro i Oppiusza Kotty; przybył z nim również Juniusz Maruil. Józef nie zawahał się włożyć szaty poniżenia i żałoby. Możliwe, że przywdział ją ze względu na swego zmarłego syna. Chciał jednak prawdopodobnie dowieść, że zarzuty Dorion mają na celu nadanie sprawie charakteru procesu kryminalnego, kiedy to oskarżonemu taka szata przystoi. Wychudzony, złamany, osiągnął swój cel; oburzenie audytorium skierowało się na powódkę.

Dla senatora Helwida i jego kliki proces był przede wszystkim narzędziem propagandy politycznej. Tytus zyskał popularność przez odtrącenie Żydówki; wydawał olbrzymie sumy, żeby popularność tę zwiększyć. Dzięki Nowym Łazienkom i studniowym igrzyskom zawojował serca Rzymian. Może proces da okazję do tego, żeby „ukochaniu i radości rodzaju ludzkiego” dać choć trochę po łapach. Gdyby dało się dowieść, że za panowania Tytusa Żyd mógł przy pomocy sądu rzymskiego wymusić obrzezanie kogoś, kto Żydem nie był, wówczas może „ukochanie i radość” stałby się znowu Wielorybem. Na publicznej rozprawie można było oczywiście zaledwie napomknąć przelotnie o momentach politycznych, ale Helwid jako mówca był mistrzem w ukazywaniu, jak groźną wadą jest pycha.

— Flawiusz Józef — wywodził — wszedł poprzednio w związek małżeński, który sam uważał za hańbiący. Podał się publicznej chłości tylko po to, żeby się pozbyć kobiety, z którą związał się w zaślepieniu. W ostatnim roku, kiedy pycha Wschodu ogromnie wzrosła, człowieka Wschodu znowu ogarnęło zaślepienie. Po długim, szczęśliwym po-

życiu małżeńskim, w którym, jak się wydawało, ostatecznie wyzwolił się z zaczarowanego kręgu, wezwał tamtą kobietę do stolicy, naraził ją na długą podróż przez morze, odwiedzał ją bardzo często, wyrządzając przez to oczywistą i bolesną krzywdę drugiej żonie, która dla niego opuściła swego wielkiego, ukochanego ojca, z którą spędził wiele lat w szczęściu i spokoju. Żona jego była nieskończenie cierpliwa. Poprzestawała na cichych przestrożach, by zaprzestał hańbiącego obcowania. Ale on się zaciął w zaślepieniu swym i braku moralności, cudzołożył, aż rozgniewane niebo zesłało na niego karę. Sędziowie i przysięgli miasta Rzymu! Czy chcecie skazać kobietę na pożycie z mężczyzną, który z nią tak brutalnie postąpił? Czy chcecie skazać ją na to, by pozwoliła wychowywać swego tak udanego syna w domu człowieka, który hołduje zwyczajom i obyczajom obrażającym każdego Rzymianina? Mówi się o tym, że pozwany jest wielkim pisarzem, ale nie chodzi tu przecież o literaturę. Literatury, sztuki nie można nikogo nauczyć. Natomiast dziecko może nauczyć się w domu od ojca i matki dobrych i złych obyczajów, szczerości i wykrętów. A pozwany, który jest może wielkim pisarzem, to człowiek wykrętny i obciążony licznymi występkami. Istnym cudem udało się powódce zachować syna czystym, wpoić mu rzymskie zasady. Pomóżcie jej, sędziowie i przysięgli, żeby tak mogło trwać nadal. Przyznajcie jej to, czego się domaga: zwrot posagu, pozwólcie, by mogła odłączyć swego syna od tego człowieka i wychować go na dobrego Rzymianina.

Czas przemówień adwokatów był ograniczony, zegar wodny wskazywał, że czas ten minął, zanim Helwid ukończył swoje *plaidoyer*. Słuchano go z gorączkowym zainteresowaniem i kiedy sędzia zwrócił się do przysięgłych z rzadko stawianym zapytaniem: „Czy chcecie, panowie, słuchać obrońcy w dalszym ciągu?” — wszyscy zawołali: „Niech mówi. Niech Helwid mówi dalej!”

Po krótkiej przerwie obiadowej wystąpił Maruil. W Rzymie było wiadome, że Wespazjan pozwolił sobie w stosunku do Józefa na kilka prostackich kawałów, ale nikt nie miał dokładnych

informacji o tym, co poprzedziło jego pierwsze małżeństwo. Przyjaciele i doradcy Dorion uważali za wykluczone, żeby Józef, a zwłaszcza Maruil, odważyli się wciągnąć w tę drażliwą sprawę zmarłego cesarza. Ale Maruil odważył się. W ostatnich czasach przeszkadzały mu chwilami w mówieniu zepsute zęby; dziś miał dobry dzień, wywodził wyraźnie, zuchwale, nosowym głosem:

— To, co powiedziała strona przeciwna, graniczy z obrazą majestatu, a człowiek, który by z tego tytułu oskarżył senatora Helwida o obrazę majestatu, mógłby się nie obawiać zaostzonych sankcji karnych przeciw fałszywym denuncjantom. Można bez trudu udowodnić, że małżeństwo szlachcica rzymskiego Flawiusza Józefa, przyjaciela cesarza, zostało zawarte na wyraźne, usilne życzenie boga Wespazjana, że bóg Wespazjan brał udział w uroczystościach ślubnych i zastępował narzeczonej ojca. Dobry Rzymianin nie jest w stanie pojąć, jak można takie małżeństwo nakazane przez ojca ojczyzny, zapewne dla dobra państwa, określać jako związek haniebny i jak można opierać na tym pretensje Dorion. Czy człowiek ma być łotrem tylko dlatego, że wypełnił polecenie boga Wespazjana? Jeżeli szlachetny Flawiusz Józef rozwiązał później swoje pierwsze małżeństwo, to stało się to z przyczyn, które jego cesarska moc Tytus uznał za słuszne i które są dobrze wiadome powodce. Rzecznik strony przeciwnej zużył na uzasadnienie swych wywodów więcej czasu, niż wskazywał zegar wodny. Ja zużyję znacznie mniej czasu, by te wywody obalić. Poprzestaję na tym, by zarzuty wysunięte przeciw memu panu mocodawcy określić jako absurdalne oszczerstwo, na dowód czego wręczam panom sędziom listę sześciuset czterdziestu czterech świadków, którzy widzieli na własne oczy, że bóg Wespazjan był obecny przy zawarciu małżeństwa przez Flawiusza Józefa, okazywał dostojną wesołość i wyraźnie to małżeństwo aprobował. Przedstawiam dalej i kładę pod lancę listę trzydziestu trzech świadków, którzy są gotowi stwierdzić pod przysięgą, że małżeństwo to zostało zawarte na wyraźne życzenie boga Wespazjana.

Wywody Marulla wywołały sensację w przepełnionej auli Julijskiej. Wielki sędzia śpiesznie odroczył proces.

Tak więc Józef przez odsłonięcie swej najgłębszej hańby odparował pierwsze uderzenie, zadane przez Dorion i jej przyjaciół. W ostatnich latach przebąkiwano coś w Rzymie o tej historii, teraz była na ustach wszystkich.

Helwid i jego klika nie dali się zastraszyć zuchwałą pogróżką Marulla. W sprawie adoptowania Pawła odważny Helwid, nie bojąc się, że zarzucą mu obrazę majestatu, oparł obronę o te same argumenty, którymi posługiwał się wnosząc skargę rozwodową Dorion: podawał w wątpliwość, czy Józef jest tego godny. Wielki sędzia Arulen również nie ustępował już więcej Marullowi. Choć Marull domagał się odrzucenia, jako całkowicie absurdalnych, zarzutów czynionych człowiekowi, którego popiersie cesarz kazał ustawić w bibliotece Świątyni Pokoju, choć pierwszego małżeństwa Józefa bronił w ten sam sposób, jak w procesie rozwodowym, sąd postanowił zbadać argumenty Helwida. Miano ustalić w Judei, czy istotnie Wespazjan aprobował owo małżeństwo Józefa.

Napięcie rosło. Czy poruszanie spraw, tak blisko dotyczących dynastii, nie jest niebezpieczne? Spoglądano trwożliwie w stronę Palatynu. Wielki sędzia Arulen z trudem skłonił jednego z ministrów do tego, by przy okazji raportu wspomniał cesarzowi o procesie. Ale Tytus pozostał niewzruszony, nie wtrącił się do obu procesów ani słówkiem.

Wracając konno z oficjalnego zebrania szlachty drugiego stopnia w otoczeniu przyjaciół i niewolników, spotkał Józef niespodziewanie gubernatora Flawiusza Silwę. Było to na Polu Marsowym. Flawiusz Silwa dosiadał również konia. Zatrzymał się. Swoim zwyczajem powitał Józefa hałaśliwie i jowialnie, podziwiał rasowy łeb arabskiej klaczy pełnej krwi. Przeciągał rozmowę, ku zdumieniu Józefa towarzyszył mu kawałek drogi.

Panowie jechali obok siebie, nie śpiesząc się. Szczupły, ponury Józef w stroju oficjalnym, w czerwonej todze wyglądał doskonale, lepiej niż opasły Flawiusz Silwa. Ale gubernator nic sobie z tego nie robił. Uważał, że nadarzyła się sprzyjająca okazja udzielenia Józefowi pewnej informacji. Powoli i wytrwale walczył o swoją sprawę, procesy Józefa znacznie mu pomogły, uważał za obowiązek lojalności zorientować w tym Józefa.

Sprawa dojrzała. Senatorzy republikańscy wniosą wreszcie ów projekt ustawy, która Flawiuszowi Silwie tak pilnie była potrzebna dla rządu Judei; procesy Józefa skłoniły wreszcie do tego Helwida i jego klikę. Już na sesji lutowej dawny wielki sędzia Antyst przedłożył do dyskusji projekt ustawy, który wyraźnie zabrania obrzezania nie-Żydów i raz na zawsze położy kres bezczelnym żydowskim usiłowaniom produkowania prozelitów. Helwid upewnił się, że senat przyjmie projekt znaczną większością głosów.

Józef usiłował ukryć zmieszanie. Flawiusz Silwa przybył do Rzymu po to, by poprzeć ów projekt. Od początku było prawdopodobne, że zdoła pozyskać dla niego senatorów, z którymi jest zaprzyjaźniony, a teraz, po wyjeździe Bereniki, prawdopodobieństwo zmieniło się w pewność. Józef zachował spokój, starał się opanować wzburzenie, mówił sobie, że cokolwiek senat postanowi, pozostanie to na razie akademicką dyskusją, wszystko bowiem będzie zależało od tego, czy cesarz skorzysta z przysługującego mu prawa weta.

Gubernator mówił dalej. Jest dumny z tego, że projekt zrodził się w jego głowie. Zależy mu na tym, aby Żydzi zrozumieli, że pragnie tej ustawy przede wszystkim w ich interesie. Bowiem tylko w ten sposób można jasno i wyraźnie odgraniczyć w Judei politykę od religii; bez takiego wyraźnego odgraniczenia nie można rządzić prowincją. Zapalił się.

— Wszelkimi środkami ochraniać religię żydowską jako dozwoloną. Szanuję wrażliwość jej wyznawców. Przypomniałem z naciskiem władzom wojskowym o zakazie wywieszania podobizn cesarza w miastach, w których Żydzi stanowią większość. Jak tylko mogę, popieram autonomię żydowskich sądów. Zwolniłem od podatków akademię w Jawneh, jej nauczycieli i uczniów. Jeżeli kto daje przykład tolerancji, to właśnie ja. Z chwilą jednak kiedy religia żydowska zaczyna politykować, staję się jej najzacieklejszym przeciwnikiem. To szczęście dla Żydów, że ich niewidzialny Bóg i Jego prawa są tylko i wyłącznie religią, nie mającą nic wspólnego z wszelką polityką.

— Obawiam się, drogi gubernatorze — rzekł Józef — że nawet gdyby nowy projekt wszedł w życie, nie uda się panu izolować czysto ideologicznej religii żydowskiej od polityki realnej. Proszę mnie źle nie rozumieć. Mam nadzieję, że dałem sobą przykład, iż można być równocześnie i dobrym Żydem, i dobrym Rzymianinem. Mimo to judaizm jest czymś więcej niż poglądem, ideologią. Bo przecież Jehowa to nie tylko Bóg, ale i król Izraela.

— Tytuł, nazwa — Silwa wzruszył ramionami. — Tak samo Jowisz jest władcą Rzymu.

— I dlatego cesarz stał się arcykapłanem Jowisza — odparł Józef.

Flawiusz Silwa uśmiechał się.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście go zrobili arcykapłanem Jehowy.

— Niestety, to niemożliwe — rzekł Józef z ubolewaniem.

— Wiem — odparł Silwa. — Cesarz musiałby wprawdzie dać się obrzezać. — Tak — ciągnął dalej — igrasz słowami. Muszę bronić przed tobą twego judaizmu. Jest religią, niczym więcej. Bądź zadowolony, że tak jest. Gdybyś bowiem miał słuszność, dziś jeszcze musiałbym wydać polecenie zamknięcia uniwersytetu w Jawneh.

Ściągnął cugle wierzchowca i spojrzał Józefowi w twarz.

— Sądzę — powiedział niespodziewanie ostrym głosem — że uważasz nas za głupszych niż jesteście, mój Flawiuszu Józefie. Ten, kto nie posiada władzy, musi zadowalać się

religią abstrakcyjną, niewidzialnym Bogiem. Będziemy pilnowali tego, by pewne ambicje drogą okólną, przez religię, nie wślizgiwały się do polityki. Pozwalamy na różne religie i popieramy je, dopóki nimi pozostają. Przystają być nimi w chwili, kiedy wchodzą w konflikt z religią państwową. Religia ta bowiem to nie tylko ideologia, ale część składowa aparatu państwowego. Dlatego troszczymy się o to, aby osobom, które się urodziły w religii państwowej, nie wolno jej było obrzydzać.

Józef spojrział na jadącego obok Silwę. Uprzejma, pogodna twarz nabrała twardego wyrazu, zniknęła z niej wszelka jowialność. Było to nieubłagane oblicze Rzymu, skazujące na zagładę wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu zagrażało jego potędze.

Gubernator mówił dalej:

— Ponieważ jesteśmy silni, możemy pozwalać, by każdy, kto chce, hołdował zabobonom i przesądom. Nie możemy natomiast pozwolić, by taki zabobon zagrażał naszej religii państwowej, gdyż jest ona narzędziem politycznym i bronią. Ten, kto człowiekowi wychowanemu w wierze państwowej chce tę wiarę odebrać, próbuje Rzymowi wytrącić broń z ręki. To zdrada stanu. Dlatego karzemy bezbożność tego, kto jest urodzony w wierze rzymskiej. Dlatego należy zabronić procesu obrzezania. Dlatego udało mi się skłonić moich przyjaciół do wniesienia w senacie projektu tej ustawy.

Tymi słowy Silwa wyczerpał temat. Twarz jego odzyskała wyraz jowialny, rozchmurzyła się. Przy pożegnaniu był znowu starym, hałaśliwym, serdecznym towarzyszem broni.

W ciągu całej rozmowy nie padło ani jedno słowo na temat procesów Józefa, ale Józef zorientował się doskonale, że wszystko, co gubernator mówił, odnosiło się do wszczętej przez niego akcji sądowej. Mimo to nie chciał uznać, że przeciwnikami w jego sprawie nie są jednostki, lecz Rzym. Przeciwnie, to, co mu zakomunikował Flawiusz Silwa, wzmogło tylko jego gniew przeciw Dorion i Fineaszowi.

Wezwał do siebie wyzwolenca Fineasza, prawo pozwalało mu to uczynić. Kiedy Grek się zjawił, był wobec niego wyjątkowo uprzejmy. Nie ukrywał przed sobą, że choć tak bardzo Fineasza nienawidził, w głębi duszy poczuł pewną radość, kiedy znowu ujrzał jego wielką, jasną głowę. Chciał zgasić w sercu niechęć do Fineasza, mówił z nim po przyjacielsku; nie wstydził się swej nieudolnej greckiej mowy.

— Jestem jak najdalszy od tego — wywodził — żeby wtrącać się do edukacji chłopca. Chcę tylko dodać do niej coś nowego. Pozwól mi, bym spróbował połączyć w Pawle hellenizm z judaizmem. Wychowujesz mego syna w myśl zasad stoików. Znasz z pewnością naszą księgę Koheleta. Czy nie można spróbować połączenia Koheleta z Zenonem i Chryzypem, z Seneką i Musonem? Nie zamykaj mi drogi do Pawła. Posiadasz jego serce. Zostaw mi choć jego część. — Upokarzał się, zbliżył się do Fineasza, stanął tuż przy nim, błagał go.

Fineasz odpowiedział cicho i uprzejmie, że nie może niestety pójść Józefowi na rękę. Uważałby za grzech wobec chłopca, gdyby go poddano wpływom żydowskim. Rabbi Józef wspominał o filozofie Kohelecie. W książce tego człowieka jest sporo uwag znakomitych, ale jest również dużo absurdów. W tych znakomitych uwagach powtarza tylko to, co niektórzy Grecy dawno już powiedzieli. Tak, musi to szczerze przyznać: im więcej w czasie służby u Józefa czytał żydowskich książek, tym wyraźniej uświadamiał sobie, jak słusznie wielu Greków twierdzi, że w nauce żydowskiej widzą tylko zbiór nieskoordynowanych, zabobonnych urojeń. Nie ma nic przeciwko temu, żeby wykształcony człowiek zachował trochę zabobonów. Kiedy na przykład Dorion od czasu do czasu wypowiadała poglądy zaczerpnięte ze świata jej egipskiej piastunki, wydawało mu się to miłe i urocze. Ale tylko w ustach Dorion. Natomiast gdyby umysł Pawła napełnić żydowskimi tezami naukowymi, Fineasz obawiałby się, że nie tylko nie podniosłoby to naturalnej pogody, którą chłopca obdarzyło niebo, lecz zrodziłoby w pięknym i

utalentowanym młodzieńcu ów ponury lęk, który można zaobserwować u tylu mieszkańców prawego brzegu Tybru.

Józef chodził po pokoju tam i z powrotem. Zdumiewające było to, że bardziej niż odmowa oburzyła go zuchwała gadanina tego człowieka na temat Koheleta. Fineasz wyczuwał rytm najpośledniejszego pisarzyny greckiego, ale zamykał serce i uszy przed głęboką harmonią Koheleta. Józef opanował się, nie będzie z jakimś tam Fineaszem dysputować o Kohelecie. Kto to jest w gruncie rzeczy ten Fineasz? Biedny człowiek. Jego ciasny światopogląd nie pozwala mu dojrzeć wielkości, jeżeli jej nie reprezentuje Grek. Wszystko jedno: biedny czy złośliwy, nie wolno, żeby jego Paweł miał z tym człowiekiem coś wspólnego.

Zanim Fineasz skończył, Józef przystanął, lekko rozstawił nogi, założył ręce w tył i po chwili milczenia stwierdził rzeczowo:

— Dobrze, Fineaszu, więc nie chcesz mi pomóc?

— W tej sprawie nie — potwierdził tamten.

— W takim razie, wyzwoleńcze Fineaszu — rzekł Józef prawie nie podnosząc głosu — polecam ci, żebyś został w moim domu w Rzymie. Z tłumaczenia siedemdziesięciu proszę wyszukać księgę Koheleta i wynotować miejsca, w których według twego wycucia język grecki jest twardy i niewspółczesny. Proszę o zrobienie projektu poprawek.

Fineasz pochylił w milczeniu swą wielką głowę.

Po upływie kilku dni Dorion napisała do Józefa, żeby przybył do niej do Albanum. A więc tym razem udało mu się zaniepokoić wyniosłą damę. Jak ten pies, ten Grek o niej mówił. Jak czule, a zarazem protekcyjnie!

Dorion przyjęła go znowu w krużganku. Ale dziś poprosiła, żeby usiadł, usiadła obok niego w ogrodzie przy kamiennym stole, była uprzejma. Nieszczęście, które spadło na Józefa, śmierć jego syna, obłędna, straszliwa żaloba, w jakiej się pogrążył, wszystko to było dla niej głębokim, gorzkim zadośćuczynieniem. Ten pyszałek, ten sędzia umarłych, przegrał swój proces przeciw bogom. Teraz może swemu zmarłemu bękartowi oddać cześć nieziemską, której odmówił jej ojcu. Wie dokładnie, jak głęboko musiała go ugodzić śmierć syna-Żyda, zwłaszcza że raz na zawsze odebrała mu jego syna-Greka.

Ponieważ nie przyjęła go tak odpychająco i twardo, jak ostatnim razem, Józef zaczął z nią mówić szczerze. Czy to nie bezsens, zapytał, tak na oczach świata rwać się wzajemnie na strzępy? Niechaj mu pozwoli zrobić z Pawła Żyda. Czy śmierć jego syna Szymona nie jest przestrogą daną z nieba, by Pawła uczynić Żydem? Chętnie pozostawi chłopca jej i Fineaszowi przez większą część roku, by go mogli wychowywać w greckim duchu, ale niechaj mu Pawła zostawi na krótki okres, na cztery, choćby tylko na trzy miesiące.

Ach, uprzejmość Dorion okazała się powierzchowna. Już z niego szydzi. Nie ulega wątpliwości, że śmierć Szymona to znak dany przez bogów. Ale Józef fałszywie ten znak tłumaczy. Niebo chciało mu pokazać tylko jedno: jak bardzo dał się unieść pysze. Znak przemawia przeciw niemu i jego poglądom, nie przeciw niej i Pawłowi.

Józef powiedział:

— Tłumacz to tak, jak chcesz. Nie przyszedłem, żeby się sprzeczać. Daj mi spokój, Dorion. Jestem śmiertelnie znużony.

Dorion stwierdziła, że się zmienił, bardzo postarzał. Znała dobrze takie zmęczenia. W stanie takiego zmęczenia i unicestwienia siedziała w pracowni swego zmarłego ojca, w której wisiały szkice do *Straconych okazji*. W uszach jej brzmiały stare strofy egipskie:

Przedemną stoi dziś śmierć

Jako zapachy mirry,

Jak spoczynek pod żaglem przy pomyślnym wietrze.

*Przede mną stoi dziś śmierć
Niby drożyna w miłym plusku deszczu,
Jak powrót męża wojennym okrętem.
Przede mną stoi dziś śmierć
Jakoby widok rodzinnego domu
Dla kogoś, kto był wiele lat w niewoli.*

— Ubolewam — powiedziała — nad twoim cierpieniem. I ja niemało przecierpiałam. Ale ciągle powtarzanie tego samego, tak jak ty to czynisz, jest bezcelowe. Poprosiłam cię, ponieważ chciałabym, żeby nasze stosunki jakoś się ułożyły. Mam rozsądną propozycję. Słyszałam, że każesz wznieść żydowski dom modlitwy i potrzeba ci na to pieniędzy. Mam pieniądze. Chciałabym odkupić od ciebie Fineasza.

Józef spojrział na jej szczupłą twarz. Jasne jej oczy były zupełnie spokojne. Jeżeli to było szyderstwo, grała swą rolę po mistrzowsku. Poszedł sobie.

Zaraz po powrocie polecił Fineaszowi, żeby się udał do Albanum i oddał do dyspozycji Dorion.

Niespodziewanie zjawił się u Józefa wydawca Klaudiusz Reginus, żeby się dowiedzieć, jak postępuje jego praca.

— Nie mogę teraz pracować — oświadczył Józef z rozdrażnieniem.

— Uważam — odparł Reginus kleistym głosem — że praca to jedyne, czym się można obecnie trudnić. Ale oczywiście nie masz przy sobie swego Fineasza — ciągnął dalej złośliwie.

Józef uważał, że gość jego się roztył, postarzał i stał się ociężały. Zrezygnował z ostrej odpowiedzi, którą miał na końcu języka. Choć Reginus zawsze go złościł, wiedział, że należy do niewielu, którzy mu są życzliwi.

Reginus ciągnął dalej swą nieprzyjemną paplaninę:

— Pan dobrodziej oszczędza sobie pracy. A równocześnie jest pan dobrodziej wielkoduszny, robi Dorion prezenty; kiedy ta dama chce obić krzesło, pan dobrodziej wykrawa kawałki własnej skóry i mówi sobie: w ostateczności -stary Reginus znajdzie jakąś radę. I ma rację, bo w końcu ten bałwan płaci. Czy wiadomo ci, że ta szata ma już pięć lat? — zapytał wskazując na swój niechlujny strój. — Z cesarzem również nie chce się panu dobrodziejowi rozmawiać — wymyślał w dalszym ciągu. — Pan dobrodziej jest chorobliwym utracjuszem. Nie wyobrażam sobie, jak będę mógł zrównoważyć mój budżet. Najchętniej osiadł-

— A czy wiesz, że jest twoim przyjacielem?

— Ma zapewne nieczyste sumienie w stosunku do Żydów — zastanawiał się Józef.

— Księżna Lucja bywa teraz często u niego — powiedział Reginus swym kleistym głosem.

— Księżna Lucja jest mi bardzo przychylna — oświadczył Józef.

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ — rzekł Reginus.

— Wierzę w moje szczęście — zapewniał Józef. — Mam teraz prawo do szczęścia — stwierdził wyniośle.

Klaudiusz Reginus rzucił na niego spojrzenie sennych oczu i roześmiał się.

— Orientujesz się dobrze w księdze głównej Jehowy — szydził.

— Czy mógłbyś wystarać mi się o audiencję?

— Może i mógłbym — zaskrzeczał gniewnie Reginus. — Ale rzadko teraz widuję cesarza i nie sądzę, żeby było dla ciebie korzystne, gdybyś mnie właśnie zawdzięczał tę audiencję.

— Dziękuję za dobrą radę — powiedział Józef ciepło.

— Wypraszam sobie twoje podziękowania — burknął szorstko Klaudiusz Reginus. —

Nie dałem ci żadnej rady. Jeszcze raz zwracam uwagę, że taka audyencja może mieć bardzo niemiłe następstwa.

Ostatecznie Lucja postarała się o to, by Józef otrzymał audyencję. Podobał jej się fanatyczny upór, z którym ten człowiek walczył o swego syna. Ponadto, i to chyba stało się ostateczną przyczyną, Dorion była jej równie niesympatyczna, jak Józef był jej miły.

Kiedy Józef zjawił się u cesarza, nie zastał go w dobrej formie. Tytus był przeziębiony, wzrok miał mętny, twarz obrzmiała, raz po raz pociągał nosem. Przyjął Józefa chłodno, jak obcego, wydawało się, że jest jakby nie był z Janem z Giskali w Judei i zajmował się tam gospodarką rolną.

Siedzieli teraz obaj z kwaśnymi minami.

— Wiesz przecie — zaczął wreszcie Józef — jak stoją moje sprawy. Sparaliżowałem moich przeciwników, ale sam nie mogę ruszyć naprzód. Nie dają mi chłopaka. Mógłbyś, mi coś poradzić?

— To irytujące — odparł Reginus — że nie można skłonić Tytusa do decyzji, wydstać od niego podpisu. Państwo żyje, toczy się swoim biegiem. Pieniądze, nagromadzone przez Wespazjana i przeze mnie, nie tak łatwo się wyczerpią, ale koła obracają się coraz wolniej i skrzypią coraz głośniej. W tym tkwi sedno sprawy. Dlatego nie dadzą ci Pawła.

— Nie rozumiem — Józef wzruszył ramionami.

— Jak na człowieka, który studiował w wyższej uczelni w Jerozolimie, orientujesz się zbyt powoli — zganiał go Klaudiusz Reginus. — Oczywiście wielki sędzia Arulen z przyjemnością odmówiłby ci wydania Pawła. Ale nie ma odwagi ani zrobić ci krzywdy, ani przyznać racji. Bo choć pilnie nastawia uszu, nie słyszy z Palatynu ani słowa tak, ani słowa n i e. Tak, sytuacja sędziego Arulena nie jest łatwa.

— Uważasz więc — zapytał Józef — że powinienem spróbować nakłonić Tytusa do objawienia swojej woli?

— Źle zrozumiałeś swego pokornego sługę i ucznia, mój rabbi — powiedział z goryczą Klaudiusz Reginus i zastosował napszone aramejskie formuły grzecznościowe. — Analizowałem tylko sytuację, nie dawałem żadnej rady. Czy wiadomo ci, jak wypadłoby objawienie woli Tytusa? Jeżeli o mnie chodzi, to nie wiem tego. Przeciwnicy twoi nie wiedzą również.

— Nie sędzę, żeby Tytus był moim wrogiem — rzekł Józef w zamyśleniu.

— A czy wiesz, że jest twoim przyjacielem?

— Ma zapewne nieczyste sumienie w stosunku do Żydów — zastanawiał się Józef.

— Księżna Lucja bywa teraz często u niego — powiedział Reginus swym kleistym głosem.

— Księżna Lucja jest mi bardzo przychylna — oświadczył Józef.

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ — rzekł Reginus.

— Wierzę w moje szczęście — zapewniał Józef. — Mam teraz prawo do szczęścia — stwierdził wyniośle.

Klaudiusz Reginus rzucił na niego spojrzenie sennych oczu i roześmiał się.

— Orientujesz się dobrze w księdze głównej Jehowy — szydził.

— Czy mógłbyś wystarać mi się o audyencję?

— Może i mógłbym — zaskrzeczał gniewnie Reginus. — Ale rzadko teraz widuję cesarza i nie sędzę, żeby było dla ciebie korzystne, gdybyś mnie właśnie zawdzięczał tę audyencję.

— Dziękuję za dobrą radę — powiedział Józef ciepło.

— Wypraszam sobie twoje podziękowania — burknął szorstko Klaudiusz Reginus. — Nie dałem ci żadnej rady. Jeszcze raz zwracam uwagę, że taka audyencja może mieć bardzo niemiłe następstwa.

Ostatecznie Lucja postarała się o to, by Józef otrzymał audyencję. Podobał jej się fanatyczny upór, z którym ten człowiek walczył o swego syna. Ponadto, i to chyba stało się ostateczną przyczyną, Dorion była jej równie niesympatyczna, jak Józef był jej miły.

Kiedy Józef zjawił się u cesarza, nie zastał go w dobrej formie. Tytus był przeziębiony, wzrok miał mętny, twarz obrzmiała, raz po raz pociągał nosem. Przyjął Józefa chłodno, jak obcego, wydawało się, że jest jakby nieobecny, ale zachowywał się dobrotliwie. W trakcie rozmowy ożywił się, stał się sentymentalny.

— Słyszałem — powiedział — że spotkało cię nieszczęście. Mam wrażenie, że powinienem być nieco więcej troszczyć się o ciebie. Ale wierzaj mi, i mnie nie jest lekko. Sercem jestem z tobą, mój Józefie. Uszliśmy razem wielki szmat drogi, była to prawdopodobnie lepsza jej część, a z pewnością łatwiejsza.

Wreszcie Józef znalazł okazję do poruszenia sprawy swego procesu. Maruil uważał audyencję za niebezpieczną; cesarz był nieprzenikniony, nieobliczalny, ponadto chorowity i przeważnie w złym humorze. Maruil wiedział z doświadczenia, jak łatwo ból fizyczny potrafi wpływać niekorzystnie na decyzję w stosunku do kogoś, kto o coś prosi. Choć Lucja przygotowała cesarza, niemniej była to rzecz szczęścia. Ponieważ Józef obstawał przy swym zamiarze, Marull starał się nadać prośbie, którą miał skierować do cesarza, możliwie najzręczniejszą formę. Józef prosił cesarza o łaskę polecenia jednemu z prawników koronnych wydania opinii w sprawie adopcji, której się domagał, najlepiej Cecyliuszowi, najbardziej otraskanemu ze sprawami dotyczącymi prawa rodzinnego. Ów Cecyliusz był bliskim przyjacielem i współpracownikiem Marulla, a opinie prawników koronnych były wiążące dla orzeczenia sądowego.

Tytus wytarł nos, uśmiechnął się, powiedział w zamyśleniu:

— Procesy. Wy, Żydzi, często się procesujecie. A więc i ty prowadzisz teraz proces. A właściwie nawet dwa. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej i odzyskał humor. — Twoje procesy prowadzi nasz przyjaciel Maruil. Tego twego Marulla ojciec mój nie lubił, za to lubi go chłopaczek. Ciesz mi, że Maruil z takim zapałem zajmuje się twoimi sprawami. Głowę ma nabitą własnymi troskami, tak mi przynajmniej mówiono, wisi nad nim ustawa o fałszywych denuncjantach. Tak czy inaczej, to człowiek interesujący, piekielnie mądra głowa. Kto wie, może fajdak. Z pewnością wysmaży razem z moim Cecyliuszem wspaniałą opinię. No, pięknie!

Dał polecenie, by opracowanie opinii zlecono prawnikowi koronnemu Cecyliuszowi.

Dawniej byłby się Józef może złościł, że cesarz nie wspomniał ani słowem o jego dziełach. Dziś był po prostu szczęśliwy. Z wylaniem, z całego serca, dziękował wszystkim, którzy mu pomogli: Tytusowi, Lucji, Reginusowi, Marullovi.

Tytusowi ani się nawet śniło, by przez łaskę okazaną Żydowi Józefowi narazić na szwank swą popularność. Chciał pozostać „ukochaniem i radością rodu ludzkiego”. Tego samego dnia, w którym zlecił prawnikowi Cecyliuszowi sporządzenie opinii, dał znać konsulowi Pollionowi, że w razie gdyby senat uchwalił ustawę przeciwko bezbożnictwu i obrzezaniu, korona nie założy weta.

Formalności adopcji były długotrwałe, ale wielki sędzia Arulen ruszył nagle do celu z kopyta. Choć nikt nie powiedział na ten temat ani słowa, wszyscy — oczywiście osoby miarodajne — nagle wiedzieli, o co chodzi: cesarz ofiarowywał opozycji ustawę o obrzezaniu, ale życzył sobie, żeby jego Żyd, Józef, ustawie tej nie podlegał. Był to dla opozycji wspaniały interes; rezygnacja cesarza z weta wyrównywała tysiącrotnie oddanie Pawła Żydowi. Kiedy

Arulen zorientował się w tym, nie pozwolił już dłużej grać na zwłokę.

Dorion szalała. Nie pojmowała, co się dookoła niej dzieje. Jeszcze dwa tygodnie temu przyjaciele zapewniali ją, że sprawy stoją jak najlepiej, a teraz z dnia na dzień wszystko miałyby być stracone? Pieniła się, kiedy ją wezwano, żeby przed sądem stu dokonała sprzedaży swego syna. Wybuchnęła płaczem. Potem oświadczyła, że jest chora. Ale wszystko to nie zdało się na nic. Przyszedł dzień, w którym mimo wszystko musiała stawić się z Pawłem w auli Julijskiej.

Dzida była zatknięta. Leżały kruszec i waga, obecny był znenawidzony przez nią Maruil. Zapytano ją, czy chce przy pomocy kruszcu i wagi sprzedać swego chłopca Juniuszowi Marullowi. Marull dotknął ramienia chłopca cienką laseczką, wyciągnął rękę i wziął go pod swoją opiekę. Niegodną procedurę powtórzono trzykrotnie, do głębi oburzona Dorion musiała być trzykrotnie jej świadkiem. Paweł stał błądy, z trudem ukrywał wewnętrzne drżenie. Cierpiał niewypowiedzianie z powodu rozgłosu, jakiego nabral proces, duma jego buntowała się przeciw śmiesznemu widowisku, którego kazano mu być bohaterem.

Kiedy to minęło, wystąpił z kolei Józef jako powód. Żądał oddania mu syna Pawła. Sędzia zapytał Dorion, czy ma jakieś zastrzeżenia przeciw przekazaniu Pawła obecnemu tutaj Flawiuszowi Józefowi. Dorion milczała. Liktor patrzył na zegar wodny, czekając, aż upłynie minuta. W ciągu całej tej minuty Dorion musiała stać w milczeniu. Józef rozkoszował się tym milczeniem. Był to dla niego tryumf, że Dorion musi stać i milczeć, kiedy żądał oddania mu syna; zrzędziły to jego mądrość i łaska boska. Ale może największym tryumfem było to, że potrafił nie spojrzeć na Dorion, kiedy tak stała w milczeniu.

Po chwili liktor stwierdził:

— Zapytana milczy.

Z kolei sędzia stwierdził:

— Zapytana milczy — i oświadczył: — Opowiadam się za żądaniem powoda i przekazuję tego oto Pawła pod jego władzę. — Józef wyciągnął rękę, dotknął ramienia chłopca i zabrał bladego Pawła, który stał z zaciśniętymi wargami, do swego domu w szóstej dzielnicy.

Posiedzenie senatu, na którym wszedł pod obrady wniosek wielkiego sędziego Antysta w sprawie zakazu dokonywania obrzezań, zwanego przez masy „Ustawą przeciw Żydom”, odbyło się pierwszego lutego. Dzień był pogodny i mroźny, w przewidywaniu, że obrady będą trwały długo, wyznaczono posiedzenie senatu rano, o wczesnej godzinie; uchwały były ważne tylko wówczas, kiedy je powzięto w czasie po wschodzie słońca i przed jego zachodem.

Przed pięknym, wielkim gmachem Świątyni Pokoju, w której obradował senat, kiedy na porządku dziennym znajdowały się ważne sprawy, zebrał się jeszcze przed świtem ogromny tłum. Tysiące osób przybyło przede wszystkim z prawego brzegu Tybru. Nawet ci, którzy po zburzeniu Świątyni niewiele się troszczyli o rytuał, zaczęli teraz lgnąć do niego całym sercem. Wobec tego, że nie było już domu Jehowy, obyczaj stał się dla Żydów tym, czym jest dusza dla ciała: wraz z poniechaniem tradycji nastąpiłby kres judaizmu. Zwłaszcza obrzezanie, cielesne przypieczętowanie związku między Jehową i Jego ludem, uchodziło u Żydów za kamień węgielny ich narodowości i bytu. Obrzezanie, pouczał Filon, największy żydowski filozof stulecia, hamuje żądzę cielesną, poskramia popędy serca ludzkiego. Człowiekowi bowiem przeznaczone jest, jak winnej latorośli, by się uszlachetniał i wznosił ponad stan, w którym stworzyła go natura; przez obrzezanie człowiek okazuje gotowość formowania wrodzonego mu surowca woli, zgodnie z wyższą wolą Jehowy. Wszyscy, nawet najbardziej obojętni, twierdzili, że obrzezanie podnosi święty lud Boga ponad krąg ludzi zwyczajnych. Zburzenie Świątyni i państwa nie wydawało im się tak złowrogię, jak zamiar zerwania ich związku z Jehową.

Stali więc przed Świątynią Pokoju wielce wzburzeni. To, że ustawa przejdzie, było rzeczą pewną. Wszystko jednak, do ich bytu narodowego włącznie, zależało od tego, jakie senat uchwali

postanowienia; ograniczające czy rozszerzające ramy ustawy.

Cesarz oświadczył, że w zasadzie pochwala ustawę, znalezienie odpowiedniej formy jest sprawą *patres conscripti*, czyli senatorów. Ale nikt nie umiał przewidzieć, jaką formę wybiorą. Stanowisko stronnictw i poszczególnych senatorów było niezwykle powikłane i skomplikowane. Korona stała tym razem po stronie tradycyjnej opozycji republikańskiej; liberalni stronnicy monarchii należeli do przeciwników ustawy.

Kiedy zaczęło świtać, olbrzymi gmach Świątyni Pokoju załśnił bielą wśród kolumnad. Masy ludzkie otaczające świątynię nałożyły na głowy kaptury, na ulicach i krużgankach porozpalano ogniska. Robiło się coraz zimniej. Nawet posągi przed gmachem pookrywano wielkimi chustami, żeby marmur nie popękał.

Do wnętrza świątyni mieli dostęp tylko ci, którzy posiadali specjalne pozwolenie. Senatorowie zjawili się przemarznięci, w rękawach mieli grzałki napełnione gorącą wodą; nikt nie przybył w lektyce, gdyż w myśl zwyczaju udawano się do senatu pieszo. Służba ich, wspomagana przez policjantów, z trudem torowała im drogę. Masy poznawały wielu z nich. Witano ich okrzykami zarówno przyjaznymi, jak i uszczypliwymi. Nie każdemu przyszło łatwo, z należytą godnością minąć ów krytycznie patrzący żywy szpaler.

Choć i wewnątrz gmachu pełno było ludzi, w porównaniu ze zgiełkiem na Forum panował tam spokój. Rozstawiono miednice z żarzącym się węglem. Niewiele to pomogło, żar szedł w górę, posadzka pozostawała zimna. Senatorzy w wysokich, niewygodnych trzewikach przestępowali z nogi na nogę, myśleli z tęsknotą o centralnym ogrzewaniu w swych domach. Chłodne, pełne niepokojącej grozy, stały dokoła posągi, wisiały malowidła, którymi Wespazjan ozdobił potężny gmach, wzniesiony na jego cześć. Stał olbrzymi posąg Nilu ze swymi szesnastoma bóstwami, widniał Laokoon, opasany przez węża, wisiało najkosztowniejsze na świecie malowidło: bitwa Aleksandra, apoteoza tryumfu Europy nad Azją. Mroźne i złociste lśniły na widocznym miejscu trofea wielkiej wojny Flawiu-szów, wojny żydowskiej, dziewięćdziesiąt trzy święte sprzęty Świątyni Jerozolimskiej, stoły z chlebami pokładnymi, siedmioramienne świeczniki. Wszystko w tym gmachu miało przypominać senatowi, że Wespazjan i jego syn doprowadzili do końca zwycięstwo Zachodu nad Wschodem, że pokój panuje na świecie, i ten pokój jest rzymski, że stworzyli go Tytus i jego ojciec.

Każdy z senatorów, zanim wszedł do sali, stawał przed posągiem bogini pokoju, żeby jej ofiarować kadzidło i wino. Statua wznosiła się w cichej glorii, otoczona posągami starego cesarza i Tytusa, żeby każdy, kto składa ofiary, miał świadomość: obaj ci mężowie są opiekunami bogini, bez nich stałaby naga i nie chroniona. Niektórzy spośród senatorów republikańskich zazdrościli żydowskiemu królowi Agryppie, staremu Tyberiuszowi Aleksandrowi, dawnemu gubernatorowi Egiptu oraz czterem innym senatorom-Żydom, że mogą przejść obok posągu bogini bez składania ofiary.

Było sześciuset osiemdziesięciu jeden senatorów. Pięciuset siedemdziesięciu siedmiu miało prawo głosu. Już na długo przed wschodem słońca aula honorowa była wypełniona senatorami. Stali dookoła w swych purpurowych płaszczach i szatach, padał na nich jaskrawy blask płonących jeszcze świeczników oraz węgla żarzącego się w miednicach, gawędzili ze sobą, kasłali, marzli. Wzdłuż ściany stały w powadze długie szeregi popiersi wielkich poetów i myślicieli. Raz po raz, wyłaniając się z cienia, spoglądała na odświętnie ubrany tłum głowa Józefa, przechylona na ramię, wysoka, dumna, sucha, obca, pełna rozumnej ciekawości.

Bezpośrednio po wschodzie słońca wyznaczeni w tym celu urzędnicy stwierdzili liczbę obecnych. Okazało się, że zjawilo się pięciuset szesnastu senatorów; była to liczba szczęśliwa, ponieważ dawała się podzielić przez sześć. Potem urzędujący konsul Werus Pollion kazał szeroko otworzyć wszystkie drzwi gmachu na znak, że obrady są publiczne, i rozpoczął je

przepisaną formułą, aby przyczyniły się do szczęścia i rozkwitu narodu rzymskiego. Stwierdził, że przybyło dwie trzecie członków senatu, że wobec tego obrady izby rozpoczęte po wschodzie słońca są prawomocne. Wezwał szefa protokołu cesarskiego, by to przyjął do wiadomości.

Na początku radzono nad projektem byłego ministra finansów Kwintusa Pedona, w myśl którego maszyny, wynalezione przez architekta jego cesarskiej mości, Acila Avioli, nie miały być w przyszłości używane przy wznoszeniu budowli. Kwintus Pedon uzasadniał swój wniosek. Zachwycony skończoną doskonałością techniczną tych maszyn, które oszczędzały dziesiątki tysięcy rąk ludzkich, przekonał się z własnego doświadczenia, że maszyny te doprowadzają w przemyśle budowlanym do poważnego bezrobocia. Jego cesarska mość polecił wypłacić genialnemu budowniczemu i inżynierowi gratyfikację, ale zabronił posługiwania się maszynami przy budowlach cesarskich. Wnioskodawca prosił senat o powzięcie odpowiedniej decyzji. Wniosek nie wzbudził wielkiego zainteresowania. Jeden z senatorów nie mógł wstrzymać się od dowcipu, że zamiast zakazu stosowania wynalazku Avioli byłoby lepiej wprowadzić ustawowo we wszystkich gmachach publicznych dobroczynny wynalazek inżyniera Sergiusza Oraty: centralne ogrzewanie. Wniosek Kwintusa Pedona został przyjęty bez dyskusji. W trakcie przewlekłego obliczania głosów senatorowie gawędzili bez żenady o ustawie przeciw Żydom.

Wreszcie sprawa weszła pod obrady. Konsul zaznajomił senatorów z dosłownym tekstem projektu sędziogo Antysta: „Kto kastruje człowieka, wolnego czy też niewolnika, przez lubieżność czy też dla zysku, będzie karany w myśl prawa Korneliusza o uszkodzeniach cielesnych. Kto taką kastrację nakazuje lub jej pomaga, będzie karany w ten sam sposób.” Potem konsul wywoływał senatorów według kolejności alfabetycznej i zapytywał każdego:

— Jakie jest twoje zdanie?

Wszyscy wiedzieli, że Antyst wybrał dla swego projektu taki nic nie mówiący tekst tylko dlatego, by uniknąć pozoru, że jest on skierowany przeciw praktykom religijnym Żydów, dozwolonym przez konstytucję. Ale już pierwszy zapytany senator republikański odsłonił prawdziwą intencję projektu, oświadczając, że chciałby, żeby słowa „przez lubieżność czy też dla zysku” zostały skreślone; prosił ponadto o sprecyzowanie pojęcia kastracja przez słowa: „kastracji, względnie uszkodzenia członka lub obrzezania”.

Liberalni członkowie senatu wiedzieli, że odrzucenie projektu ustawy w całości byłoby nonsensem. Rzecznik ich zaproponował, by pozostawić tekst ustawy w ujęciu wnioskodawcy, ale nie określać jej jako ustawę nadzwyczajną, lecz jako aneks do postanowień o uszkodzeniu ciała w brzmieniu ustalonym przez senatorów Labeona i Korneliusza.

Największe zainteresowanie wywołało przemówienie króla Agryppy. Od czasu wyjazdu siostry sytuacja jego w Rzymie nie była łatwa. Wprawdzie Tytus jak dawniej okazywał mu wyjątkową serdeczność, ale unikał pozostawiania z nim sam na sam i nie czynił nic, by odeprzeć zarzuty, które coraz gwałtowniej kierowała przeciw niemu opinia publiczna stolicy. Na scenie, w wierszach moralistów, w kupletach ulicznych i kabaretach, częściowo dowcipnie, częściowo bez dowcipu mówiono raz po raz o jego grzesznych stosunkach z siostrą, o jego snobistycznej elegancji, o jego trującym wpływie na cesarza; trzeba było całego spokoju światowca, by znieść tę gadaninę.

Cierpiał z powodu zimna, nie lubił takiej popularności, jaka mu dziś przypadła w udziale. Był dobrym, wyszkolonym mówcą, jego giętki głos wypełniał salę bez trudu, docierał poprzez wielką ciszę aż na ogromny plac przed świątynią. Wytężał siły. Wiedział, że nie mówi dla siebie, lecz dla pięciu milionów Żydów w państwie, miał pełną świadomość, że jest ostatnim potomkiem królów, którzy od stuleci władali Judeą. Zaczął od komplementu pod adresem wnioskodawcy. Projekt jego płynie z pobudek etycznych, naprawdę godnych wielkiego Rzymu. Nie wolno jednak, wywodził, zniekształcać szlachetnych zamiarów wnioskodawcy, umożliwiając złośliwym

interpretatorom przekształcanie moralnego sensu ustawy w brak tolerancji, niegodny potężnego państwa. Przepisy religijne nakazują obrzezanie dwom wielkim narodom Wschodu, Egipcjanom i Żydom; są to narody, których religia jest nie tylko przez państwo dozwolona, ale i bogowie ich — czczeni. Czy rzymski gubernator generalny w Judei do ostatniej chwili nie składał ofiary niewidzialnemu Jehowie w Jego świątyni? Czy państwo chce zmusić wyznawców tego Boga Jehowy do wykraczania przeciw nakazom, którym od stuleci byli posłuszni? Ustawa Antysta w swej nie wypaczonej wersji spotyka się z aprobatą wszystkich myślących po rzymsku; trzeba jednak przez możliwie najjaśniejsze jej sformułowanie zapobiec zniekształceniu jej moralnego sensu. Prosił więc dostojnych zgromadzonych o wyłączenie spod działania ustawy kapłanów egipskich, którym religia przepisuje obrzezanie, oraz Żydów.

Król Agryppa mówił ciepło, a równocześnie z wielkim spokojem. Podczas jego przemówienia ustały kaszłania i chrząkania oraz szurania zziębniętymi nogami. Tylko z zewnątrz dochodził gwar tłumu, wdzierały się wzburzone, szydercze okrzyki przeciwników, fanatyczne głosy Żydów.

Po przemówieniu Agryppy konsul Pollion w dalszym ciągu stawiał pytania senatorom, ale zainteresowanie senatorów przygasło. Większość zadowalała się formułką: „Zgadzą się z Antystem, Agryppą lub Korwinem.” Wreszcie konsul mógł zamknąć debatę. Stwierdził z pomocą urzędników i stenografów, że na ogół wniesiono pięć projektów ustawy. Odczytał poszczególne wersje i dał członkom izby godzinę czasu na gruntowne rozważenie, za którą wersją będą głosowali.

Senatorowie byli radzi, że mogą wstać i rozprostować nogi. Wolną godzinę zużyli na to, by spożyć talerz gorącej zupy, coś przekąsić. Po wznowieniu obrad konsul wezwał pięciu wnioskodawców, by wyszli ze swych ław; poszczególni senatorowie mają stanąć przy tym wnioskodawcy, za którego wersją chcą się wypowiedzieć. Okazało się, że jak to można już było wyliczyć sobie podczas przerwy, większość senatorów skupiła się wokół Agryppy.

W sformułowaniu pisemnym wersja jego brzmiała następująco: „Ten, co kastruje człowieka, niezależnie od tego, czy jest to człowiek wolny, czy niewolnik, to znaczy uszkadza jego genitalia lub poddaje je obrzezaniu, będzie karany w myśl ustawy Korneliusza o uszkodzeniu ciała. Tak samo karany będzie ten, kto taką kastrację nakazuje lub jej pomaga. Wyłączeni od tej ustawy są kapłani egipscy, których wiara nakazuje obrzezanie, oraz ojcowie narodowości żydowskiej, którzy synów, znajdujących się pod ich opieką, zgodnie ze swymi przepisami religijnymi poddają obrzędowi obrzezania.”

Przewodniczący zaproponował, by ustawę tę nazwać „ustawą wnioskodawcy Antysta”. Wszyscy zgodzili się. Następnie zakomunikował, że ustawa została przyjęta przed zachodem słońca, oraz zwrócił się do szefa protokołu cesarskiego, by przyjął to do wiadomości. Potem podniósł się, pożegnał zgromadzenie, wyciągnąwszy rękę z rozpostartą na płask dłońią, i wypowiedział przepisana formułę: — „Nie zatrzymuję was dłużej, *patres conscripti*.” Senatorowie śpiesznie opuścili gmach, by wrócić do dobrze opalonych siedzib.

Służba świątyni miała sporo roboty z doprowadzeniem gmachu do porządku i wywietrzeniem go. Pracowano do późnej nocy przy świetle świec i pochodni. Podobizny poetów i myślicieli stały samotne w wielkiej, pustej sali; sucha, lśniąca głowa Józefa spoglądała obco.

Treść ustawy wraz z aprobatą cesarza wryto w spiżu. Rankiem dziesiątego dnia — przed upływem dziesięciodniowego terminu żadna ustawa nie posiadała mocy prawnej — tablica ze spiżu, na której wryta była owa „ustawa Antysta”, zaopatrzona w numer 2217, została złożona w archiwum państwowym. Odpisy ustawy, sporządzone w językach greckim i łacińskim, zostały rozesłane do wszystkich prowincji; burmistrzowie poszczególnych miast zawiadomili swoje magistraty, że wpłynęło pismo cesarza i senatu. Magistraty przedłożyły pismo do wglądu dla

sprawdzenia prawdziwości pieczęci; wszyscy członkowie magistratu, nie wyłączając Żydów, musieli w myśl przepisu stojąc, z obnażoną głową, przycisnąć dokument do piersi i ucałować go. Potem dopiero został odczytany.

Ministrowie cesarscy i członkowie ciała ustawodawczego byli dobrymi psychologami i ujęli postanowienie w łagodnej formie. Ale „ustawa Antysta” piętnowała jako barbarzyński obyczaj drogi Egipcjanom, Żydom zaś wolno było wprowadzić i na przyszłość przyjmować swoje noworodki do związku ich Boga, ale zabroniono im szerzyć ów związek po świecie, jak to nakazywali ich prorocy. Wzburzenie było wielkie. Po raz pierwszy od istnienia stolicy Wschodu Aleksandrii, odbyło się tam zgromadzenie, na którym Żydzi i Egipcjanie wspólnie demonstrowali przeciw rzymskiej ustawie.

Na odleglejszym Wschodzie, nad Eufratem, gdzie mieszkało wielu Żydów, rosła wrogość w stosunku do państwa. Nowy ustrój, mówiono, nowa dynastia chcą zdławić wolność i miejscowe zwyczaje. Wypłynął tam na powierzchnię osobnik, twierdzący, że jest cesarzem Neronem, że dwanaście lat temu udało mu się uciec przed wyrokiem senatu, że zamierza wyruszyć do Italii, do Rzymu, przywrócić ludowi wolność zabraną mu przez nową dynastię i despotyczną arystokrację stolicy. Człowiek ten znalazł licznych zwolenników, na dworze króla Partów rozważano poważnie, czy nie uznać go oficjalnie. Gubernator prowincji Syrii musiał wysłać przeciw niemu znaczne kontyngenty wojska.

Jednym z nielicznych Żydów, na których ustawa przeciw obrzezaniu nie zrobiła wrażenia, był aktor Demetriusz Liban. Troski zawodowe tak go pochłaniały, że świata poza nimi nie widział.

Popenił błąd, że dał się namówić do wystąpienia w *Żydzie Apelli* z okazji studniowych igrzysk. Zagrał go też nie tylko z nieczystym sumieniem, ale i kiepsko pod względem artystycznym. Choć był teraz dojrzały niż przed szesnastu laty, jego Apella wypadł gorzej niż wówczas. Lęk przed skutkami politycznymi sztuki był dlań hamulcem, nie miał odwagi dać z siebie tego, na co go było stać. Był jakby sparaliżowany — ani tragiczny, ani komiczny, Rzymianie nudzili się, Żydzi byli rozgoryczeni, zarówno jedni, jak i drudzy — Demetriusz miał dość zdrowego samokrytycyzmu, żeby to przyznać — mieli rację.

Najgorsze jednak było to, że intendent próbował wykręcić się od ceny, którą miał zapłacić za ofiarę poniesioną przez Libana. Kluczył, zwlekał ze spełnieniem obietnicy, że pozwoli mu zagrać *Pirata morskiego Laureola*. Przyjaźnie, kwiecieście tłumaczył mu, że w interesie Libana należy odczekać, aż przebrzmie echa niepowodzenia Apelli. Doprowadzał go do szału ciągłymi ukłuciami oraz słodkimi słówkami o tym, jak pieczołowicie należy obchodzić się ze sławą aktora.

Wreszcie znalazł rozwiązanie. Maruil pracował nad *Laureolem* z miłością i oddaniem, nie był dostatecznie cierpliwy, by się godzić z taktyką gry na zwłokę, stosowaną przez Palatyn. Ofiarował się wpłynąć na Domicjana, żeby na otwarciu teatru w Albanum Liban zagrał Laureola. Demetriusz wahał się. Projekt był niebezpieczny. Jeżeli zagra Laureola u Domicjana zamiast na Palatynie, może ściągnąć na siebie niełaskę Tytusa. Wydawało się, że jest mu sądzone, by wykonywanie swego zawodu, swej sztuki zawsze okupywać niebezpieczeństwem. Kiedy grał w *Katonie* starego buntownika Helwida, nadstawiał dosłownie głowy. Ale był złamany długim czekaniem na Laureola. Niech się dzieje, co chce. Zgodził się na ofertę Marulla.

Dopóki Tytus forytował Demetriusza, Domicjan odzywał się o nim pogardliwie. Teraz, kiedy wszystko zdawało się wskazywać, że cesarz odsunął się od Libana, Domicjan wyraził gotowość wystawienia *Laureola* na otwarciu Teatru Lucji.

Obserwując publiczność, która przybyła do Albanum, Demetriusz był uszczęśliwiony, że gra dla Domicjana, a nie dla Tytusa. Teatr Lucji nie należał do budynków obszernych, mieścił zaledwie dziesięć tysięcy widzów, ale był zbudowany ze zbytkowną prostotą w stylu niektórych

nowoczesnych teatrów greckich, nadawał się bardzo do wystawienia *Laureola*. Widok, który się z niego roztaczał na morze i jeziora, był bardzo piękny. Demetriusza radowało i to, że swego *Laureola* nie zagra przed ogromnym, rozwrzeszczanym tłumem rzymskim, że może go zaprezentować wybranemu gronu znawców.

Przybył cesarz, rozpoczęły się ceremonie związane z inauguracją, kapłani obryzgali drzewi i ołtarz krwią świni, jagnięcia i byka. Wreszcie kurtyna zniknęła w zapadni.

Ów dzień dziewiętnastego marca był piękny, nie za ciepły i nie za chłodny, publiczność była w dobrym nastroju, zaciekawiona, chłonna. Słuchano z zainteresowaniem pierwszych scen i pieśni, śmiano się serdecznie. Ale wkrótce zainteresowanie zgasło. Nikt nie potrafiłby powiedzieć jak i dlaczego; sztuka była dobra, Demetriusz nigdy nie grał roli dla siebie odpowiedniejszej. Ale widzowie nudzili się, dowcipy trafiały w próżnię, kuplety przyjmowano lodowato, wszystko się rozlażyło. Nawet aktorowi pozbawionemu talentu trudno byłoby w roli tak wdzięcznej jak *Laureol* znużyć publiczność rzymską; wielki aktor Demetriusz tego dokonał.

Stoik Marull, który wpoił w siebie przekonanie, że zarówno szczęście, jak nieszczęście się go nie ima, złościł się. Nie chodziło mu o sztukę. Wiedział, że zjadliwa, elegancka krotochwila, którą napisał, jest dobra. Wiedział również, że każde widowisko jest uzależnione od tysiąca przypadków, że może zmiana jakiegoś mało ważnego drobiazgu wystarczyłaby, żeby tę samą publiczność, która się teraz wytwornie nudzi, wprowadzić w entuzjazm. Wiedział to wszystko, pogodził się z tym. Mimo to niepowodzenie sztuki i Demetriusza Libana martwiło go bardziej niż jakiegokolwiek przeżycie od wielu lat. Jeżeli chodzi o Demetriusza, to zdawał się nie dostrzegać tego, co się wkoło niego dzieje. Ten człowiek, tak zawsze zależny od nastrojów publiczności, nie chciał po prostu uświadomić sobie jej lodowatej reakcji. Wiedział, że to, co z siebie daje, jest sztuką, rozkoszował się nią niezależnie od otoczenia. Grał całym sercem, sercem dzielnym, tchórzliwym, pragnącym spokoju, zżeranym ambicjami

i próżnością. Przyszła kolej na scenę, w której *Laureol* przedstawia sądowi dowody, że jest tym, za kogo się podaje. Demetriusz wysunął się przed rampę, zaśpiewał swój kuplet:

Tak, to jest skóra,

Tak, to są włosy,

To cały pirat Laureol.

Teraz nagle publiczność, która dawno już zawyrokowała, że sztuka i wykonanie są złe, ożywiła się; zażądano powtórzenia kupletu; kiedy Demetriusz zaśpiewał go po raz trzeci, rozległ się grzmiący, serdeczny śmiech księżnej Lucji. Ale nie na wiele się to zdało.

Nastąpiła scena egzekucji. Demetriusz-*Laureol* wisi na krzyżu. W strofach przepojonych gorąco zastanawia się przed śmiercią, czy jednak nie uczyniłby lepiej, gdyby zrezygnował z laurów pirata i spędził resztę żywota w wiejskim zaciszu; równocześnie po raz ostatni zapewnił swych towarzyszy, że mimo wszystko suma jego cierpień przewyższa ich cierpienia. I teraz nareszcie, przeżywając to wszystko dla widzów, przyznał w głębi duszy, że to, co daje, jest wprawdzie wielką sztuką, ale równocześnie i ostatecznym końcem jego kariery.

Książę Domicjan długo nie chciał przyznać, że otwarcie Teatru Lucji było fiaskiem. Przedstawienie niezbyt mu się podobało. Ponieważ jednak Lucja i Maruil uważali, że sztuka jest dobra, a Demetriusz-*Laureol* nieporównany, przypisywał fiasko nie wykonaniu, lecz złej woli słuchaczy. Nic zresztą dziwnego, że patrząc na znudzoną minę, jaką raczył przybrać pan brat, nie mieli odwagi głośno się radować.

Tytus, Julia, Lucja siedzieli obok siebie w łoży. Chłopaczek spoglądał przez ramię na twarz, widział rozbawione oblicze Lucji, ospałe brata. Domicjan z pewnością przeczuwał, prawdopodobnie wiedział, co łączy ze sobą tych dwoje, ale nie chciał tego wiedzieć. Choć bardzo go to dręczyło, że Lucja tego brata sobie właśnie wybrała, nie dopuszczał mimo wszystko, by

rosnącą z dnia na dzień nienawiść do Wieloryba uzasadniać inaczej niż dotychczas. Teraz, widząc zmęczoną, znudzoną twarz Tytusa, mówił sobie: a więc brat nienawidzi go tak głęboko, że przez wyraźny brak zainteresowania zatruwa mu niewinną radość z otwarcia teatru. Niechęć wżerała się w niego coraz głębiej. Swoją znudzoną miną Tytus po prostu zabraniał jego gościom cieszyć się sztuką, kazał im nudzić się i potępiać tylko dlatego, że są w teatrze Domicjana. Kiedy Laureol, przybity do krzyża, pytał teraz wyzywająco swych towarzyszy, czy jest wśród nich choćby jeden, który by cierpiał tak jak on, Domicjan doszedł do przeświadczenia, że nie ma dosyć miejsca na ziemi dla niego i dla jego brata.

Bezpośrednio za Tytusem siedział jego lekarz przyboczny, doktor Walens; Domicjan, cofnąwszy łokcie w tył, wysunąwszy gwałtownie górną wargę, przyglądał się badawczo jego bladej, podłużnej twarzy. Maruil mówił mu, jak bardzo Walens poczuł się dotknięty, kiedy Wieloryb podczas epidemii zwrócił się do lekarzy egipskich i żydowskich. Twarz Tytusa była obrzmiała, chorowita, nie wyglądał na „ukochanie i radość rodu ludzkiego”. Może Walens, ze swoją diagnozą opartą na badaniu oka, był człowiekiem, który mógłby się przydać. Cieszył się zaufaniem Tytusa i czuł się poniżony. Maruil skarżył się ustawicznie, że lekarze nie potrafią nic poradzić na dokuczliwy ból zębów. A gdyby tak Maruil wezwał kiedyś Walensa i przy tej okazji rzucił słówko na temat choroby Tytusa? Może słówko takie padłoby na wdzięczną glebę.

Paweł mieszkał, jak przedtem, w domu Józefa. Dom wydawał mu się jeszcze bardziej ponury; nie było w nim już ani matki, ani Fineasza. Józef pozwalał mu wyjeżdżać co dwa tygodnie do Albanum dla odwiedzenia Dorion. Ale postawił warunek: Fineasz nie może być obecny przy tych spotkaniach. Józef zwykł odprowadzać chłopca do Albanum. Przez dwie godziny, które Paweł spędzał w domu matki, chodził po górzystej okolicy czekając, kiedy wreszcie ten czas upłynie; myślał, że ojciec czeka, mąciła chłopcu beztronską radość przebywania z matką.

Józef oddał się synowi całym sercem, służył mu całym majątkiem. Przerabiał z nim lekcje zadane w szkole. Pracował nad poprawieniem własnego akcentu greckiego. W rozmowach z chłopcem dbał bardzo o czystość słowa greckiego, jak gdyby recytował przed cesarzem i literatami rzymskimi. Wszystkie posiłki spożywał razem z Pawłem. Interesował się ulubionymi pasjami Pawła. Próbował, nawiasem mówiąc bez powodzenia i talentu, lepić figurki z gliny. Zwrócił się pisemnie do zarządcy swoich posiadłości w Judei po informacje, jak się tam odżywia i pielęgnuje kozy; kozy judejskie były najpiękniejsze i najsilniejsze. Kozły Hioba stawiły czoła wilkom, kozły doktora Chamy wyszły zwycięsko z walki z niedźwiedziami. Ale Paweł słuchał tych wszystkich historii z uprzejmym niedowierzaniem; zwiędłe liście drzewa cynamonowego, które zarządca przysłał jako wyjątkowo zdrowe dla kóz, przyjął z podziękowaniem — był to wyraz dobrego wychowania — ale bez entuzjazmu.

Rzadkie i nieśmiałe próby Józefa wpojenia synowi wiedzy żydowskiej były dość niefortunne. Nie mógł nawet marzyć o tym, żeby z nim studiować księgę Koheleta, usłyszeć z jego ust bliskie sercu hebrajskie słowa. Paweł czytał uprzejmie i uważnie poleczone mu przez ojca fragmenty obszernej księgi, zawierającej dzieje narodu żydowskiego, historię Dawida i Goliata, Samsona, Estery, Józefa, pierwszego ministra faraona egipskiego. Przekład siedemdziesięciu czytało się łatwo, Paweł pojmował szybko, pamięć miał dobrze wyćwiczoną. Ale w ciągu tych ostatnich miesięcy matka i Fineasz wpoili w niego głębokie przeświadczenie, że nauka żydowska jest barbarzyńska. Opowiadania o Odysie i Polifemie sprawiały mu wielką radość, ale historię Dawida i Goliata przyjmował opornie. Entuzjazmował się parą przyjaciół, Nissusem i Euralusem, oraz czynami Herkulesa, ale na Dawida, Jonathana i na czyny Samsona reagował chłodno. Czuł doskonale, że ojciec opiekuje się nim z całego serca. Chwilami napełniało go to dumą i próbował odwzajemnić się ojcu za jego miłość. Ale jakoś mu nie szło. Od dziecka był zarozumiały, Fineasz

i matka podsycali w nim pychę, podkreślając, że pochodzi z książęcego rodu. Nie pojmował, dlaczego ojciec po prostu nie opowiada się za Grekami lub Rzymianami. Dlaczego właśnie jego, Pawła, chciano zmusić, żeby się zniżył do Żydów? Dlaczego matka i Fineasz, którzy go przecież kochają, nie potrafią uchronić go przed tym losem? Ojciec wydawał mu się coraz bardziej obcy, nawet kiedy mówił najpoprawniej po grecku, Paweł miał wrażenie, że słyszy w jego głosie znieawidzony dialekt prawego brzegu Tybru.

Raz jeden wydawało się Józefowi, że zdobył serce syna. Pewnego dnia mianowicie Paweł, przezwyciężywszy lęk, zaczął mówić o tym, że przecież miał brata, Szymona. Zapytał ojca, dlaczego go nigdy z tym bratem nie zetknął, prosił, aby mu opowiedział coś o Szymonie. Józef spełnił chętnie to życzenie. Zdawało mu się, że zapytanie Pawła to wielkie zwycięstwo, opowiadał żywo i kwieciste o swym utraconym synu-Żydzie. Nie wiedział, że Paweł wypytywał o zmarłego powodowany zazdrością. Był zazdrosny o zmarłego.

Zgodnie ze stoickimi zasadami Fineasz pouczał go, że człowiek dzięki sile ducha potrafi przezwyciężyć ból i jest w stanie znieść rzeczy najwstrętniejsze. Kiedy człowiek znajduje się u kresu sił, pozostaje mu wygodne wyjście, czyniące go potężniejszym od bogów: miał możliwość zadania sobie śmierci. Niejeden wielki mąż to uczynił. Był to godny koniec; Paweł znajdował w tej myśli coraz więcej pociechy. Nieraz, kiedy szedł do stajni, by dobrać i przygotować paszę dla kóz, siadał w kącie, zatapiał się w myślach, i nawet beczenie kozła Paniskusa nie mogło go wyrwać z tej zadumy. Myślał o tym, jak to będzie, kiedy sobie zada śmierć. W szkole kazano im pisać wypracowania o Arii, która pierwsza przebija się sztyletem, po czym podaje go mężowi ze słowami: „Mój Petusie, to nie boli.” Wyobrażał sobie, jak będą w przyszłości pisane wypracowania szkolne. „Paweł, postawiony przed wyborem, czy zostać barbarzyńcą, czy rozstać się z życiem, wybiera śmierć. Jakie są jego myśli przed zgonem?” Wiedział, że niegdyś zdobycie trucizny było rzeczą łatwą. Teraz robiono trudności. Mógł jednak na przykład otworzyć sobie żyły w kąpiel. Albo mógł, i to wydawało mu się jeszcze bardziej pociągające, nabyć trochę złotego pyłu i wciągnąć go w płuca. Jeżeli sprzeda kozy, dostanie w zamian dosyć złotego pyłu. Każdy zrozumie wielkość takiej śmierci; choć Fineasz i matka będą go szczerze oplakiwali, z dumą złożą ofiarę jego ceniom.

Ani Józef, ani chłopiec nie mówili o tym, co im leży na sercu. Przy stole Józef cytował strofy Homera, mówił o podróżach, o książkach, o tym, co się dzieje w mieście, o szkole Pawła i jego kolegach. Spostrzegł, że blada, smagła twarz jego syna staje się coraz bledsza i szczuplejsza. Widział, że nie jest w stanie zdobyć zaufania chłopca. Zwycięstwo jego było bez wartości. Dorion miała rację: opór płynął z duszy chłopca, chłopiec jest Grekiem, nie pozwoli zrobić z siebie Żyda. To, co mógł mu ofiarować, na nic chłopcu się nie zda. Józef osiągnął tylko to, że syn jego nikł w oczach. Są zwierzęta i rośliny, żywiące się substancjami, które mogłyby zabić człowieka. Tymczasem te zwierzęta i rośliny nie mogą żyć bez tych substancji. Jego chłopiec nie może żyć bez Dorion i Fineasza.

W ciągu bezsennych nocy Józef głowił się i zastanawiał, co też tkwić może za tym wszystkim. Co to znaczy, że jego syn, jego ciało i krew, nie wchłania choćby iskierki jego ducha? Czy poszedł za daleko? Chciał szerzyć na cały świat ducha żydowskiego, a nie potrafił go wpoić nawet własnemu synowi. Czy Bóg uznał, iż jest on na to za słaby, i opuścił go? A może sens tego jest inny? Czelnie i śmiało domagał się od Rzymian i Greków, by rezygnowali z tego, co uważali za najlepszą część swoich cech narodowych; czy sam nie jest zbyt mocno związany z judaizmem? Czy w tym nie tkwi sens owego znaku? Czy porażka wobec własnego syna nie była napomnieniem, żeby odstąpił od żydowskiej wiary?

Nie, sens nie mógł być taki. Nie ma innej drogi, by zostać obywatelem świata, jak tylko przez judaizm. Bogowie Rzymu i Grecji mieli liczne oblicza, ale były to wyłącznie oblicza

narodowe. Niewidzialny Bóg Jehowa był Bogiem ponad narodami, wołał do siebie wszystkich. „To mniej ważne — objawił prorokowi Izajaszowi — żebyś otaczał opieką synów Jakuba; powołałem cię na to, byś był światłem dla pogan.” Jehowa nie wykluczał nikogo, ani Greków, ani Rzymian, ani nawet pogardzanych Egipcjan i Arabów. Jedyny wśród bogów głosił przez usta swoich proroków pokój wieczny między wszystkimi narodami, mówił o świecie, w którym wilki leżeć będą obok baranków, a ziemia pełna będzie pokoju i mądrości, jak morze pełne jest wody. Poza wiarą żydowską nie ma innej drabiny do wyżyn tej myśli. Dopóki drugi, szczęśliwszy Dedal nie wynajdzie maszyny, przy pomocy której można by fruwać, na to, żeby się dostać na szczyt góry, trzeba wspiąć się na ten szczyt i nie można oszczędzić sobie tej wspinaczki. Dziś, tu na ziemi, góra ta i zdobywanie jej nazywa się judaizm.

A jednak są to tylko sofizmaty, pod którymi chce ukryć swój własny nacjonalizm. Napisał w natchnieniu *Psalm kosmopolityczny*. Ale to nie sztuka być odważnym i kosmopolitą przy biurku. Łatwo być kosmopolitą, dopóki żąda się ofiar od innych, a nie od siebie samego.

Abrahamowi nakazano ofiarować syna, by wypełnić posłannictwo. Czy to, przez co teraz przechodzi, jest próbą?

Chwalcie Boga i serca roztrwaniajcie po łądach.

Chwalcie Boga i serca roztrwaniajcie po morzach.

Rabem ten, kto się w jeden zakotwiczy łąd.

Ziemia, którą wam chwale, nie zowie się Syjon.

Jej imię — ziemski glob.

Były to śmiałe strofy. Ale to były wiersze. Tymczasem chłopiec to krew z krwi i kość z kości. Po raz pierwszy Żyd Józef miał dowieść, że jest czymś więcej niż Żydem. Byłoby niegodne, gdyby w duchu wynosił się ponad innych, a potem, kiedy trzeba było się czegoś wyrzec, poddawał się ospale i leniwie uczuciom odziedziczonym przeciwko lepszemu, bolesnemu, nowemu zrozumieniu. Nie, nie będzie się wykręcał.

Jeżeli jednak wyrzeknie się teraz chłopca, to nikt, nie wyłączając Aleksasa i Licyniusza, nie zrozumie go. Czekano z napięciem, jak się skończy jego spór o Pawła; była to walka o wielkie zasady, w której zwyciężył. Jeżeli teraz dobrowolnie zrezygnuje z owoców tego zwycięstwa, jeżeli ustąpi, nie zrobi z syna Żyda, nie będzie w oczach wszystkich bohaterem, lecz figurą z krotchwili, w najlepszym razie komediantem. Wyrzeczenie jego nie będzie przykładem, lecz okryje go śmiesznością. Żydzi będą uważali, że przez to wyrzeczenie chce się wkupić w łaski Greków i Rzymian. Grecy i Rzymianie wezmą go po prostu za obłąkanego. Koledzy tłumaczyć to będą w ten sposób, że snobizmem chce zrobić reklamę swoim dziełom. Musi mieć dość sił, aby iść za własnym głosem, nie za głosem innych.

Przezwytrzymał się. Oświadczył Pawłowi, że może wrócić do matki i mieszkać dalej w Albanum. Po raz pierwszy, odkąd chłopiec znowu przebywał w jego domu — Józef stwierdził to z rozdartym sercem — twarz Pawła się rozpromieniła. Ujął rękę ojca i mocno ją uściśnął.

Wyrzeczenie się syna zdobytego w tak gorącej walce, zgodnie z oczekiwaniem Józefa, rozpętało burzę. Uważano go za durnia, łądaka, za jedno i drugie. Choć to przewidział, był pełen gniewu i rozpacz. Powiedział sobie, że praca nad porozumieniem między Żydami i Grekami jest beznadziejna, że o porozumieniu nie może być mowy. Po chwili z równą gwałtownością robił sobie wyrzuty, że są to tanie wykręty. Jego własny los, krótkie doświadczenia niczego nie dowodzą. Stopienie się, o którym marzy, nie jest sprawą lat dziesięciu, dwudziestu. To sprawa stuleci.

Ale myśli te nie potrafiły złagodzić jego gniewu. Był przez owe dni przeważnie sam, nie opuszczał domu, nikt go nie odwiedzał.

Po tygodniu poszedł do Klaudiusza Reginusa. Chciał rozładować swój gniew na ludzi i na

siebie samego. Choć był łagodny dzień wiosenny, Reginus tak na ogół oszczędny, kazał uruchomić w domu centralne ogrzewanie. Józef był rad, że może podsycać w sobie gniew piętnując marnotrawstwo Reginusa, pozostające w jawnej sprzeczności z jego kazaniami na temat potrzeby oszczędzania. Naprzód zuchwałym i wyzywającym tonem zażądał pieniędzy, i to większej sumy. Oświadczył, że potrzebne mu są na budowę synagogi Józefa. Była to nieprawda. Po ostatnich wydarzeniach było w ogóle wątpliwe, czy ofiara jego zostanie przyjęta. Toteż Józef oczekiwał, że wydawca odpowie mu z ironią, iż w tym stanie rzeczy byłoby może bardziej wskazane, żeby Józef raczej ofiarował jakąś sumę Jowiszowi lub Minerwie aniżeli Jehowie. Ale Reginus wstrzymał się od jakiegokolwiek nieprzychylnego komentarza. Zadowolił się słówkiem „pięknie”, usiadł i wypisał przekaz. Potem powiedział:

— Klnij, mój Józefie, przeklinaj, proszę, ulżyj sobie. Jesteś naprawdę człowiekiem pobitym. — Mówił to bez szyderstwa, ze szczerym współczuciem.

Józef spojrział nań ze zdumieniem. Do czego zmierza Klaudiusz Reginus? Ten finansista nie miał zwyczaju rozwodzić się w sentymentalnych słowach nad sprawami tego rodzaju, jak wyrzeczenie się syna. Co więc miał na myśli?

— Nie rozumiem — rzekł Józef gniewnie, nieufnie.

— Robiłem sobie gorzkie wyrzuty — powiedział Reginus — że odradzałem ci staranie się o audiencję. Powiniennem być powiedzieć sobie, że skoro przedsięweźmiesz coś podobnego, skończy się to nieszczęściem. Istotnie ułatwiłeś temu człowiekowi decyzję, która była dla niego dotąd taka trudna. Było jasne, że syn Wespazjana każe tysiącrotnie zapłacić ogółowi za okazaną ci przysługę.

Józef zrozumiał od razu. Ale stał ogłupiały i bezradny — cios spadł na niego nieoczekiwanie. Reginus miał oczywiście rację, zaprzeczyć temu byłoby nonsensem. Zgadzając się na oddanie mu Pawła, Tytus uważał, że ma teraz prawo wyrazić zgodę na żadaną przez Rzymian ustawę zakazującą obrzezania. Jakby chcąc jeszcze umocnić swe twierdzenie, Reginus ciągnął dalej:

— Było mu pilno. Tego samego dnia, w którym zlecił Cecyliuszowi wydanie opinii w twojej sprawie, kazał zawiadomić konsula, że nie założy weta przeciw projektowi wniesionemu przez Antysta.

Było to tak jasne, że aż oczy bolały. Tak jak wtedy z trzema rabbi skazanymi na ciężkie roboty. Przez swą nieszczęsną żarliwość umożliwił Rzymowi przybranie maski wyniosłej bezstronności. Okazali mu drobną usługę, której zapragnął, i odbili to sobie tak, jak chcieli, kosztem ogółu. Wówczas ogół Żydów zapłacił za jego pychę, teraz płacił za jego miłość do syna.

Dlaczego on właśnie został tak nawiedzony? Dlaczego wszystko, czego dotknął, kończyło się tak fatalnie? Rozmyślanie nad tym było pozbawione sensu. Również i ten, siedzący naprzeciw niego, piekielnie mądry człowiek nie mógł mu nic powiedzieć. „Bo myśli moje nie są waszymi myślami, a drogi wasze nie są moimi drogami.”

— Wy tłumacz mi jedno, Klaudiuszu Reginie — poprosił pozornie bez związku, ochryplym głosem. — Wiesz, że Jehowa naprawdę nie jest dla mnie Bogiem mego narodu, lecz Bogiem wszechświata. Wy tłumacz, dlaczego jestem tak poruszony, że musiałem się wyrzec uczynienia Żyda z mego Pawła.

— Chciałbyś mieć wszystko za darmo — zaskrzeczał Reginus w dawny, opryskliwy sposób. — Nie chcesz zapłacić za swoje doświadczenie. Czy nie zauważyłeś, że głowa prędzej nabiera rozumu niż serce? Sądziś, że nowe, lepsze wejrzenie tak jednym zamachem wymazuje stare uczucia, płynące z dawnego poznania? Jest też rzeczą słuszną — ciągnął gniewnie dalej — że za poznanie trzeba płacić. Cenimy tylko to, za co drogo płacimy. Niewielu jest ludzi, którzy się o poznanie biją, ale kto za nie raz zapłacił, w tym tkwi ono mocno.

— Co mam zrobić? — zapytał Józef pokornie i bezradnie.

Reginus milczał długo. Potem, nieco ospale, jak zazwyczaj, ale bardzo oględnie powiedział:

— Może byłoby najlepiej, gdybyś nie troszcząc się ani o Żydów, ani o Greków, zabrał się do swojej *Historii żydowskiej*). W twoim własnym życiu nie brak teraz wydarzeń i sytuacji, które stanowią paralełę z historią Żydów. Czy będziesz opisywał Abrahama, czy Józefa, czy Judasza Makabeusza, czy Hioba, przeżyjesz chyba głęboko dzieje każdego z nich.

Wyczucie Reginusa napełniło Józefa łękiem. Było coś niepokojącego w tym, jak ten mieszaniec rozumiał i wyraził to, o czym on sam ledwie ważył się pomyśleć. Abraham, wypędzający Hagar, Józef, który staje się ulubieńcem faraona, Juda Makabeusz, prowadzący lud na wojnę, Hiob, który wszystko traci, i znowu Abraham, który syna swego składa w ofierze; istotnie, rzekłbyś, że jest mu sądzone przeżywać na nowo w gorzki, dziwnie zniekształcony sposób to, co zostało zawarte w Biblii.

Reginus nie chciał, by Józef myśl tę rozważył do końca, szukając w niej chwały.

— Zawsze będziesz źle zrozumiany — mówił dalej. — Pisz tak bezkompromisowo, jak teraz, pierwszy raz w życiu, bezkompromisowo postąpiłeś. Nawiasem mówiąc, przyznaję, że trudniej jest pisać niż działać bezkompromisowo. Ale należałoby spróbować. Tyle w ciebie wpakowałem pieniędzy, że mogę żądać takiego eksperymentu.

Józef orientował się doskonale, że człowiek ten, choć się wobec niego zachowuje opryskliwie i pokpiwa z niego, jest mu oddany i rozumie go lepiej niż ktokolwiek. Mimo to ociągał się.

— Nie mogę teraz pracować — bronił się. — Mam głowę pełną sprzecznych myśli. Może ty, Klaudiuszu Reginie, mnie rozumiesz, ale obawiam się, że nikt inny by tego nie rozumiał.

Reginus odrzekł:

— Zaszedłeś tak daleko, że nie możesz się już cofnąć. Pozostały ci tylko dwie drogi. Albo odrzucić całkowicie to, co w tobie pozostało z Żyda, co nie byłoby wielkim posunięciem, i stać się pisarzem greckim. Czy chciałbyś poślubić młodą damę z dobrej rodziny rzymskiej? To by się dało zrobić. Nie byłoby to rozwiązanie oryginalne, ale miałyby swoje dobre strony, ja zaś odzyskałbym swoje pieniądze.

Józef czekał na drugą stronę, o której wspominał Reginus. Ale ten poprzestał na słówku „albo” i stękając schylił się, żeby zawiązać sznurowadło. Więc Józef powiedział po dłuższym milczeniu:

— Nie mogę pracować w Rzymie. Nie widzę nic. Nie czuję nic. Nie umiałem wyjaśnić historii żydowskiej memu synowi; jakże ją mam wyjaśnić innym? Był czas, kiedy widziałem historię, Mojżesza, Dawida, Izajasza. Teraz mam na oczach jakby zasłonę i nic już nie widzę.

Reginus słuchał uważnie, ale milczał. Po chwili Józef ciągnął dalej:

— Może byłoby dobrze udać się do Judei.

Teraz wreszcie Reginus znowu przemówił. Wciąż jeszcze zajęty sznurowadłem, zacytował Horacego; szlachetne słowa w dziwny sposób spływały z jego grubych warg:

Topi się zimy zły śnieg w wiosennych wiatru podmuchach, Statków w stoczniach rój spływa na taflę mórz.

— Chcę ujrzeć na nowo Galileę — rzekł Józef stanowczo. — Zobaczyć nowe miasta greckie i stare żydowskie. Chcę ujrzeć spustoszoną Jerozolimę. Chcę zobaczyć Flawiusza Silwę i uczonych rabbi w Jawneh.

— Słusznie — rzekł Reginus z zadowoleniem. — To właśnie druga droga, którą miałem na myśli.

KSIĘGA CZWARTA

NACJONALISTA

Pokonani Żydzi błękali się wylęknieni w kraju, który im dał ich Bóg Jehowa; tolerowano ich zaledwie na kawałku ziemi, na którym przed pół wiekiem byli panami. Większość została zabita lub sprowadzona do stanu niewolnictwa, mienie ich uznano za własność cesarza. Wciąż jeszcze podejrzewano tego lub owego, że brał udział w powstaniu, każdego trapiła troska, by złośliwy konkurent lub sąsiad nie oskarżył go o to. Wielu opuszczało kraj. Osiedla żydowskie stawały się coraz mizerniejsze, bardziej zaniedbane, do kraju napływało coraz więcej Syryjczyków, Greków i Rzymian. Pogańskie miasto Neapol Flawijski i Emmaus zajęły pierwsze miejsca w kraju. Jerozolima opustoszała, natomiast nowa stolica nad morzem, Cezarea, lśniła przepychem budowli, świątyń obcych bogów, pałaców rządowych, łaźni, stadionów i teatrów. Żydom nie wolno było pojawiać się bez specjalnego pozwolenia ani w zburzonej Jerozolimie, ani w nowej stolicy...

Zamiast arystokratów i kapłanów Świątyni Jerozolimskiej, których większość zginęła podczas wojny, rej wadzili teraz uczeni w Piśmie i prawnicy. Chcąc utrzymać jedność narodu, Jochanan ben Zakkai wymyślił chytry i śmiały plan zastąpienia państwa przez naukę; następca jego, Gamaliel, realizował ów plan z energią i roztropnie. Ceremoniał, ustalony przez niego i jego kolegium w Jaw-neh, przewidujący każdy najdrobniejszy szczegół, zespałał

Żydów mocniej niż niegdyś państwo. System ten zmusza! jednakże rabbich do coraz większego zacieśniania nauki i pozbawienia jej najlepszej cechy — uniwersalizmu. „Obcy winien mieszkać u nas jak nasz ziomek, winieneś kochać go jak siebie samego”, rozkazał Jehowa przez usta Mojżesza, a przez usta Izajasza powiedział: „Mało na tym, abyś mi był sługą na wzbudzenie pokoleń Jakubowych; oto dałem cię na światłość narodów.” Żydzi zaczęli teraz rezygnować z tego kosmopolitycznego posłannictwa, wiernie dotąd w ciągu stuleci wypełnianego. Nie obwieszczali już swej misji całemu światu, wielu uważało, że po zburzeniu Świątyni cały naród izraelski jest przybytkiem Jehowy i że Jehowa tylko do tego ludu należy. Ucisk Rzymu, przede wszystkim zakaz obrzezania sprawiał, że coraz więcej członków kolegium rabbich hołdowało tej tezie, wroziej wszystkiemu, co obce. Pomijali miejsca, w których Pismo przypominało Żydom ich misję dziejową, usta ich pełne były owych zdań, w których przymierze Jehowy z Izraelem opiewano jako Jego przymierze z narodem wybranym. Przy pomocy postanowień ceremoniału nadawali życiu Żydów cechy narodowe. Zabraniali im uczyć się języka pogan, czytać ich książki, uznawać ich zeznania przed sądem, przyjmować od nich dary, łączyć się z nimi cielesnie. Wino, dotknięte nieżydowską ręką, było nieczyste, nieczyste było mleko, wydojone nieżydowską ręką. W surowej pysze i zaślepieniu coraz wyższymi murami odgradzali lud Jehowy od innych ludów świata. Tak postępowali wszyscy niemal przywódcy Żydów oraz odszczepieńcy: essejczycy, ebionicy, minejczycy, czyli nazareńczycy. Owemu na przykład człowiekowi, którego ci nazareńczycy czcili jako swego Mesjasza, Jezusowi z Nazaretu, jeden z Jego uczniów, niejaki Mateusz, włożył w usta następujące słowa: „Jestem posłany jeno do owiec, które zginęły z domu izraelskiego.”

Wkrótce Żydzi, którzy pierwsi na zamieszkałej ziemi głosili, że Bóg ich nie należy tylko do nich, lecz do całego świata, stali się fanatycznymi zwolennikami partykularyzmu. Uczeni w Piśmie coraz surowiej monopolizowali naukę, coraz bardziej surowo wzbraniali jakiegokolwiek sprzeciwu. Wielu protestowało przeciwko temu. Żydzi byli zawsze uparci, nie tworzyli jednolitej masy, byli narodem o różnorodnych indywidualnościach i poglądach. Znajdowali się wśród nich

tradycjoniści i nowatorzy, faryzeusze, saduceusze, esejczycy, byli ludzie tolerancyjni i nietolerancyjni, zwolennicy Hillela i zwolennicy Szamaja, wierzący w kapłanów i wierzący w proroków. Niektóre sekty znikły wraz z państwem i Świątynią, ale rozłam w łonie ludu żydowskiego trwał nadal.

Od dawna istnieli Żydzi żądni poznania innych, którzy badali obcą wiedzę. Nie chcieli teraz się zgodzić, żeby im to odebrano. Przywódcy Żydów z wielkim myślicielem Filonem na czele starali się od stuleci połączyć organicznie kulturę grecką ze swą własną nauką, uczynić wszystko, by „piękno Jafeta zamieszkało w namiotach Sema”. I to nagle miałyby się stać zbrodnią? Wielu nie ugięło się; nie uznali autorytetu uczonych w Piśmie, narazili się na banicję, opuścili kraj, nie wyrzekli się tej części wiedzy helleńskiej, którą zdążyli sobie przyswoić.

Uczeni w Piśmie trzymali się uparcie swego planu. Jeżeli Żydzi nie mają rozplnąć się w innych narodach, nauka ich musi być jasna i jednolita aż do końca. Musi panować jeden obyczaj, jedna tradycja, którymi Żydzi będą się różnić od innych. Całe życie musi być podporządkowane temu obyczajowi, nie wolno tolerować żadnego odchylenia. Istniało dotychczas wiele poglądów na Mesjasza. Jedni wierzyli, że przyniesie miecz, inni, że palmę pokoju. Byli tacy, co w niejednym widzieli Mesjasza, nie wzbraniano im tego. Teraz uczeni nakazali wiarę w jedyne Mesjasza, który pojawi się wkrótce, wypędzi z kraju Rzymian, odbuduje Jerozolimę i zmusi wszystkie ludy do uznania Boga Izraela.

Byli jednak odszczepieńcy „wierni”, zwani również nazareńczykami, którzy twierdzili, że Mesjasz już się pojawił. Posłannictwo Jego nie jest z tego świata, przybył, żeby wszystkim ludom ukazać drogę łaski, dzięki czemu nie tylko uczeni w Piśmie, ale każdy, nawet najuboższy duchem może poznać Jehowę. Ale Mesjaszowi temu nie dano wiary, zadano mu kłam i wreszcie zabito.

Jeszcze przed upadkiem Świątyni głosili to niektórzy, ale znaleźli niewielu zwolenników. Teraz mówili: „Widzicie, Jerozolima została zburzona za to, że kapłani i uczeni w Piśmie zamordowali Mesjasza.” Wielu zaczęło rozmyślać i mówiło sobie: „Czy nie mają racji? Czy kapłani i uczeni w Piśmie nie byli naprawdę pełni obskurantyzmu i pychy?” Trudno było inaczej wytłumaczyć, dlaczego Jehowa pozwolił na zburzenie swej Świątyni i oddanie swego ludu na pastwę pogan. Inne nauki odszczepieńców trafiały ludziom również do rozumu i do serca. Uczeni ujmowali całe życie w reguły, zredagowali sześćset trzysta zasadniczych nakazów i zasadniczych zakazów, z których każdy dzielił się na niezliczoną ilość mniej doniosłych przepisów, regulowali przebieg dnia od wczesnego ranka do późnej nocy tysiącem drobnych, surowych ceremonii i modlitw, za każde wykroczenie grozili karami na tym i na tamtym świecie. Natomiast odszczepieńcy głosili, że dobrze jest żyć w myśl Zakonu, wystarczy jednak wierzyć w dobrego Mesjasza, który odpokutował za ludzi, by za cierpienia na ziemi otrzymać zadośćuczynienie w szczęśliwych zaświatach. Bardzo wielu poszło za tą nową, łagodniejszą nauką.

Uczeni w Piśmie walczyli z tym wszystkim: z greckimi, kosmopolitycznymi skłonnościami oświeconych, z wiarą w zbawienie ubogich duchem. Walczyli zaciekle i chytrze, na przemian łagodnością i przemocą, mając zawsze na oku jeden cel: jedność Zakonu.

Walczyli z powodzeniem. Ogromna większość Żydów miała do nich zaufanie, poddawała się ich kierownictwu, podporządkowywała całe swe życie ich ceremoniom i przepisom, od chwili gdy rankiem przetarli oczy, aż do chwili gdy zapadli w sen. Jedli i pościli, modlili się i przeklinali, świętowali i pracowali na rozkaz. Rezygnowali z ukochanych marzeń i poglądów, odgradzali się od innowierców, z którymi żyli dotąd w przyjaźni. Przyjaciel unikał przyjaciela, jeżeli nie był Żydem, sąsiad sąsiada, kochanek kochanki. Dźwigali jarzmo owych sześciuset trzynastu nakazów i zakazów, wiedli życie ciasne i szare, podtrzymywani na duchu poczuciem, że są narodem jedynym wybranym przez Jehowę, wierzyli święcie, że Mesjasz ukaże się wkrótce

w całej glorii i podporządkuje ślepe narody narodowi widzącemu. Spoglądali ku zburzonej Jerozolimie. Ta Jerozolima, obrócona wniwecz, mocniej łączyła Żydów, i tych w kraju, i tych rozproszonych po całym świecie, niż owa Jerozolima, w której niegdyś wznosiła się biała, złota i dla wszystkich widoczna Świątynia Jehowy.

Już na długo przed świtem Żydzi tłoczyli się na pokładzie „Glorii”; powiedziano im, że tego ranka zobaczą wybrzeże Judei. Wyteżali wzrok w stronę Wschodu. Większość narzuciła czworokątne płaszcze modlitewne w czarne pasy, przetykane kosztownymi niebieskimi nićmi; czoła i ramiona ich opasywały filakterie. Długo nie widzieli nic poza mglistym oparem. Potem wyłoniły się delikatne, fioletowe kontury; tak, to fioletowe wzgórza Judei. Teraz można już było odróżnić zielony wierzchołek góry Karmel. Odetchnęli głębiej, serca ich zaczęły bić szybciej. Powietrze wiejące z ich kraju było inne niż gdziekolwiek na świecie, lżejsze, czystsze. Mózg pracował w nim żywiej, oczy lśniły mocniej. Żarliwie wypowiedzieli słowa błogosławieństwa: „Chwałać, Jehowo, Boże nasz, któryś pozwolił dotrzeć tu i dożyć tego dnia.”

Aktor Demetriusz Liban przeżył ciężkie tygodnie. Prawie przez cały czas cierpiał na chorobę morską, zielono-błady leżał skurczony w swej kajucie, pragnął śmierci. Kiedy jednak ujrzał przed sobą upragniony cel, poczuł, że nie za drogo zapłacił za pielgrzymkę do kraju Jehowy.

Józef trzymał się na uboczu, bynajmniej jednak nie przez pychę. Patrzył tak samo jak inni lśnięciami oczyma na bładą, fioletową poświatę, wciągał nie mniej łapczywie lekkie, orzeźwiający powietrze. O wy, delikatne kontury gór, o ty, przezyste światło, błogie wybrzeże, zielona góra Karmel, o mój oszałamiający, czarowny kraju Izrael, kraju Boga!

Na pokładzie skupili się również Rzymianie i Grecy, wysocy urzędnicy i oficerowie oraz bogatsi kupcy, by zobaczyć zbliżające się wybrzeże. Patrzyli z uśmiechem, z wysoka, na grupę gestykulujących w podnieceniu Żydów, „tubylców”.

Kiedy „Gloria” zawinęła wreszcie do portu Cezarei, przybyła na pokład policja i odseparowała Rzymian i Greków od Żydów. Rzymianie i Grecy mogli wylądować bez przeszkód. Żydzi musieli czekać i dopełnić szeregu uciążliwych formalności. Wolno im było wyjść na ląd jedynie pod baczną kontrolą; zanotowano ich nazwiska, większości nie pozwolono pozostać w Cezarei dłużej niż jedną noc.

Józef i Demetriusz Liban mieli glejty polecające ich specjalnym względem władz. Mimo to na razie nie pozwolono im opuścić budynku policji portowej, a na skargi ich odpowiedziano grubiańsko. Józef ubrał się na tę podróż zwyczajnie; znowu zapuścił brodę, nie cesał jej i nie trefił starannie jak niegdyś; wyglądał na Żyda.

Wreszcie zjawił się adiutant gubernatora, żeby się nimi zająć. Był niezwykle uprzejmy, skarcił urzędników portowych za ich gburowatość. Kiedy się oddalił, zaczęli złorzeczyć i jeszcze bardziej szykanowali pozostałych Żydów.

Wieczorem zebrało się przy stole sporo wyższych urzędników i oficerów; gubernator zachowywał się, jak zawsze, jowialnie i hałaśliwie. W ostatnich miesiącach studiował dzieła filozofa żydowskiego Filona z Aleksandrii, pisał bowiem książkę o Żydach. — Filon był bardzo humanitarny, trzeba mu to przyznać — twierdził — jeszcze bardziej niż nasi stoicy. Czy zauważyliście już, że zawsze najgłośniej krzyczą o humanitaryzmie ci, którzy przegrywają? — Roześmiał się serdecznie, klepnął Józefa po ramieniu i powiedział:

— Ten wasz Filon sprowadza wszystkie wasze nauki do jednej złotej reguły: „Nie czynź drugiemu, co tobie niemiło.” To brzmi pięknie, prawda, ale do czego by doszło, gdybym kierując się takimi zasadami nie czynił sam tego, czego wam najsurowiej zabraniam? Czy nie sądzicie, że jutro wybuchłoby drugie powstanie, i tym razem zwycięskie? Może kiedyś ten, kto za lat sto zasiądzie w tym domu jako mój następca, będzie mógł pozwolić sobie na humanitaryzm.

Gdybym był humanitarny, nie byłoby tu za sto lat mego następcy. Nawiasem mówiąc, istnieje sprawa, w której zachowałem się wobec was tak humanitarnie, że ciężko mi będzie wytłumaczyć się z tego na Palatynie. W kraju są jeszcze ciągle ludzie, o których teraz dopiero stało się wiadomo, że brali udział w powstaniu. Wyłapujemy ich oczywiście i konfiskujemy ich własność. Czy wiadomo panom, że uczeni rabbi z Jawneh wydali nakaz bojkotowania przetargów, na których pozbywamy się tych skonfiskowanych terenów? Uznają nasze konfiskaty za bezprawne. Czy nie uważacie, że jest to wykroczenie przeciw autorytetowi państwa? A ja to milcząco toleruję. — Uśmiechnął się chytrze i dodał tonem poufnym: — Wskutek bojkotu ze strony Żydów, moi Grecy i Rzymianie kupują tutaj ziemię za bezcen. Gdybym był na miejscu waszych rabbi, nie byłbym zarządzał bojkotu. Tak czy inaczej, W tym wypadku nie możecie się uskarżać na brak humanitaryzmu.

Po jakimś czasie powiedział:

— Może czasem poczynaliśmy sobie zbyt energicznie. Ale coś jednak z tego wyszło, zrobiliśmy coś niecoś z waszej Judei, mój Flawiuszu Józefie. Jestem ciekaw, co na to powiesz jako rzeczoznawca. A ty, mój Demetriuszu — zwrócił się do aktora — musisz przede wszystkim obejrzeć sobie stare Siche. Nazywa się teraz Neapol Flawijski, za dwa miesiące zostanie tam ukończona budowa teatru; otwarcie nastąpi we wrześniu. Widowiska, które tam chcę urządzać, muszą zakasować cały Wschód, musimy wyprzedzić i pobić Antiochię. Byłoby cudownie, mój Demetriuszu, gdybyś się zdecydował tam zagrać. Nie jesteśmy Palatynem, ale na honorarium nie miałbyś powodu narzekać — kusił aktora brutalnie i bezwstydnie. — Publiczność nasza jest przynajmniej równie wrażliwa jak rzymska. Jesteśmy wdzięczni i potężnie wygłodzeni. Prawda, moi panowie? — zwracał się o potwierdzenie do swych urzędników.

Demetriusz dał odpowiedź wymijającą, ale gubernator nie ustępował.

— Musicie mi kiedyś obaj towarzyszyć do Flawijskiego Neapolu — nalegał — i pozwolić mi, żebym wam pokazał moje miasto. Neapol Flawijski, oświadczam wam już dzisiaj, stanie się ośrodkiem kulturalnym nie tylko Judei, ale całej Syrii. — Z natarczywą uprzejmością zabiegał o uznanie obu mężów.

Józef miał już nieraz okazję stwierdzić z pełnym niechęci podziwem, z jaką pewnością siebie Rzymianie potrafili sprawować rządy nad tym, co obejmowali w posiadanie, ten pierwszy dzień w Cezarei dał nowy tego dowód. Przyznawał w duchu zgrzytając zębami, że Flawiusz Silwa był dobrze wybranym człowiekiem na to, by zromanizować tę prowincję. Przez tysiąc pięćset lat Swego panowania Żydzi nie potrafili do tego stopnia zawładnąć krajem, jak uczynił to Silwa w ciągu ośmiu lat sprawowania tam rządów.

Józef począł wędrować i rozglądać się. Unikał na razie miejsc zamieszkałych przeważnie przez Żydów, wędrował w kierunku północno-wschodnim przez Samarię zamieszkałą przez Syryjczyków, kraj dziesięciu miast, aż do granicy Auranitis. Tu mieszkał niegdyś Hiob. Odruchowo, w zamyśleniu, podniósł Józef kilka owych okrągłych, fioletowych kamyczków: tubylcy uważali je w swej nabożnej prostocie za skamieniałe robaki, które spadły na ziemię z wrzodów Hioba.

— Tak, człowieku — powiedział poganiacz osła — zbieraj je. Weź je na pamiątkę. Niech cię nauczą nie zapominać o Jehowie w szczęściu, nie prawować się z nim w nieszczęściu.

Józef wędrując wczesnym rankiem po górzystej, pustynnej okolicy natrafia na ziemię pokrytą owymi słodkimi kłosami, które na południu wielu uważało za mannę.

Zawrócił ku zachodowi, przemierzył obszar, którym władał król Agryppa, wkroczył wreszcie na ziemię żydowską w Galilei. W tych stronach przeżył swoje największe wywyższenie i najgłębsze poniżenie. Znowu tak jak wtedy, kiedy tu przybył po raz pierwszy jako komisarz rządu jerozolimskiego, wstrząsnęło nim do głębi piękno tego kraju. Ten prawdziwy ogród boży o

czarująco czystym powietrzu, bogaty i żyzny, olśniewał różnorodnością dolin, wzgórz i szczytów górskich, jeziorem Genezaret, dwustu miastami.

Żydów było tu teraz o wiele mniej. Nazwa kraju oznaczała: obwód pogan, gdyż Galilea stosunkowo późno dostała się pod władzę żydowską; Flawiusz Silwa uczynił wszystko, by nazwie tej przywrócić jej dawną treść. Kraj został zromanizowany. Gęsta sieć znakomitych dróg łączyła ze sobą liczne osady. Były to drogi rzymskie, obrzeżone „hermami”, czyli posągami Merkurego, boga podróży. Wciąż jeszcze pracowano nad rozbudową tych dróg; do tych ciężkich robót używano przeważnie jeńców wojennych — Żydów. Jak tłumaczył Józefowi naczelnny inżynier, gubernator liczył się z tym, że gminy żydowskie będą jeszcze gorliwiej zdobywać pieniądze na wykup tych jeńców, kiedy zobaczą, że się z nimi nie cacka. Sumy osiągnięte w ten sposób pokrywały z nadwyżką koszty budowy i utrzymania dróg.

Jechał więc Józef po tych dobrych drogach na wynajętych koniach lub osłach. Nie zdradzał swego nazwiska, które nie budziło zycziwego echa. Trzydzieści lat temu jechał tędy na swym wierzchowcu Strzale, poprzedzany proporcem, na którym widniało hasło powstańczego Makkabi. Tutaj prowadził swą wspaniałą i nedorzeczną wojnę. Teraz wszystko minęło, i sława, i klęska, nie widać śladów wojny. Zniszczone miasta i twierdze zostały odbudowane jeszcze piękniej, mądry system nawadniania uczynił kraj jeszcze żyzniejszym, niż był przed wojną. Na ogół Józef nie zwracał zbyt uwagi na piękno natury, ale ta okolica zawsze go czarowała. Choć Galilea była kiedyś obwodem pogan, pozostała krainą żydowską, jego ojczyzną lśniącą, słodką, pachnącą. Chciwie wciągał w płuca czyste powietrze, rozkoszował się łagodnym, olśniewającym światłem.

Pełen sprzecznych uczuć gniewu a równocześnie zadowolenia stwierdził, jak dobrze kraj ten jest rządzony. Metody romanizacji były chytne i proste zarazem, urzędnicy rzymscy, gdy z nimi rozmawiał, nie robili tajemnicy, że rząd udziela takich samych praw, z jakich korzystają kolonie, miastom, w których przeważa ludność grecka i rzymska. Wskutek związanych z tym ulg podatkowych oraz innych przywilejów gminy te osiągały szybko większy dobrobyt niż osiedla żydowskie i Żydzi stawali się stopniowo we własnym kraju obywatelami drugiej klasy.

Równocześnie było rzeczą niewątpliwą, że Żydom w Galilei po klęsce, którą ponieśli, powodziło się gospodarczo lepiej niż niegdyś. Rzymianie byli dobrymi organizatorami. Czy Żydzi byli z tego zadowoleni? Kiedy Józef odwiedzał uczonych w Piśmie i przewodniczących gmin, rzadko mógł się od nich czegoś dowiedzieć; większość trzymała się od niego na odległość siedmiu kroków i wzbraniała się z nim rozmawiać. Ale ludzie prości, z którymi wszczynął rozmowy, a których poznał przypadkiem, właściciele zajazdów, chętnie wypowiadali swe zdanie bez ogródek i zastrzeżeń. Przyznawali, że Rzymianie nieźle rządzą krajem, ale mimo to nienawidzili ich. Nie rozumieli tych cudzoziemców. Ludzie, którzy się tutaj osiedlili, przeważnie weterani, którym przydzielano ziemię za darmo, albo kapitaliści syryjscy, nabywający tereny za niską cenę, nie mieli Boga i nie lubili rozmawiać o sprawach boskich. Józef myślał z szyderstwem i tryumfem o danych statystycznych Jana z Giskali. Nowi panowie płacili Galilejczykom wyższe ceny, mimo to Żydzi woleli swoich dawnych, własnych, skąpych panów od hojnych panów dzisiejszych.

Kiedy jednak nabrawszy zaufania mówili z nim szczerze, wtedy biadali nad surowością dzisiejszych przywódców duchowych, rabbich z Jawneh. Prawo ich było twarde, sądy karały dotkliwie każde wykroczenie. Chcą trwać przy wierze ojców, ale ci panowie z Jawneh piekielnie im to utrudniają. Są zbyt wyniośli, patrzą z góry na prostego człowieka, nie wtajemniczają go w swoją wiedzę.

Józef stwierdził, że surowy patriotyzm i nieprzeniknione mroki wiedzy uczonych w Piśmie skłaniają wielu mieszkańców Galilei ku wierze odszczepieńców, tak zwanych

nazareńczyków.

Wędrując po kraju starał się jako historyk zdobyć jakieś wiadomości o człowieku, którego ci odszczepieńcy czcili jako swego Mesjasza. Sądził, że wie coś o tych, których w ciągu stuleci stawiano przed sądem jako fałszywych proroków, ale o Jezusie nazareńczyków nic dotąd nie słyszał. Ten Jezus został podobno ukrzyżowany z nakazu namiestnika Poncjusza Piłata. Jeżeli zawisł na krzyżu, nie mógł być skazany przez trybunał żydowski, gdyż krzyżowanie było karą stosowaną jedynie przez Rzymian. Gdyby został skazany przez Żydów jako fałszywy Mesjasz, sami dokonaliby egzekucji, i to, jak nakazuje prawo, przez ukamienowanie. To prawda, że Poncjusz Piłat kazał ukrzyżować pewnego Samarytanina, który się podawał za potomka Mojżesza prawodawcy i za Mesjasza; twierdził, że należą do niego prastare, święte naczynia, które jego przodek zakopał na świętej górze Garizin. Może odszczepieńcy nadali temu człowiekowi cechy innych Mesjaszów.

Historyk Józef wykorzystał na wszelki wypadek swój pobyt w Galilei, by szukać śladów owego Jezusa, Mesjasza odszczepieńców. Wypytywał o Niego tu i ówdzie. Zasięgał języka w Nazarecie, gdzie ów człowiek miał się urodzić, pytał o Niego nad jeziorem Genezaret. Ale zarówno w Nazarecie, jak i nad jeziorem Genezaret powie-dziano mu:

— My nic nie wiemy.

Tę samą odpowiedź otrzymał w Magdali, w Tyberiadzie i w Kapharnaum.

W Kapharnaum Józef mijał kiedyś gospodę mieszczącą się w zanedbanym domu. Wisiała tu chorągiew na znak, że gospoda otrzymała młode wino. Józef przypomniał sobie, że był kiedyś w tej gospodzie i rozmawiał z Galilejczykami o Mesjaszu. Wszedł pod dach.

Znalazł się w tym samym niskim, dusznym pomieszczeniu co wtedy. Jak wtedy ludzie siedzieli przy wielkim stole, tylko gospodarz i ludzie byli inni. Ale dyskutowali jak wówczas.

Porozumiewali się w ciężkim, nieokrzesanym narzeczu aramejskim. Mówili powoli, ale zdawało się, że byli czymś poruszeni. Jeden z nich — pozostali nazywali go „Serkiem”, było to niewątpliwie przezwisko — opowiadał, że przewodniczący gmin otrzymali nowe, surowe zarządzenie rabbich z Jawneh, które zostanie odczytane w sabbat. Ci z Jawneh chcą surowo zabronić zaprawiania drobiu mlekiem; drób tak przyrządzony był w Galilei ulubioną potrawą świąteczną.

Zebrani w gospodzie wymyślali. Od stuleci toczono spory, czy zakaz gotowania mięsa w mleku dotyczy drobiu, czy drób tak samo jak ryby nie jest strawą odrębną. Jerozolima nieraz już chciała zabronić Galilejczykom spożywania kury w śmietanie, ale chłopci galilejscy upierali się przy swoim i nie chcieli ustąpić. Był to stary przywilej, nie dawali go sobie odebrać, nic sobie nie robili z tego, że im wymyślano od zakutych chłopskich łbów. Czy mają teraz ulec temu, czego nie potrafiła na nich wymusić Jerozolima? Uczeni w Piśmie są nierozsądni. Odkąd nie stoją za nimi świątynie i władza, żądania ich coraz bardziej wzrastają. Serek polecił gospodarzowi, żeby mu teraz, właśnie teraz, przyrządził kurę w śmietanie.

— Dwie kury — dodał. — Zapraszam i ciebie — zwrócił się z wylewną gościnnością do Józefa. — A może pan dobrodziej jest z Jawneh? — zapytał groźnie. — Może trzyma z uczonymi w Piśmie? Może pogardza zakutymi łbami chłopskimi z Galilei?

Józef zapewnił żarliwie, że czuje się zaszczycony zaproszeniem, i zasiadł przy stole. Chłopi pienili się w dalszym ciągu na rabbich z Jawneh.

— Ta historia z zakazem śmietany do drobiu — mówili — to dopiero początek. Będą zabraniali coraz więcej. Dojdzie do tego, że w ogóle zabronią nam mówić o Boskich sprawach. Potrafią narzucać coraz więcej uciążliwych przepisów rytualnych, ale nie chcą, żeby prosty człowiek oddawał się rozmyślaniom nad Jehową. Ci mędrcy z Jawneh są zazdrośni o swego Jehowę, chcą mieć na Niego monopol, otaczają Go tajemnicami, nie dopuszczają innych przed

Jego oblicze. Kto to na przykład może zrozumieć, kiedy zaczną tłumaczyć zagładę Jerozolimy? Są tacy, którzy to tłumaczą o wiele lepiej. Prawda, Tachlifo? — Słowa te były skierowane do siedzącego spokojnie młodzieńca o długich kędzierzawych włosach.

Józef spojrział z zaciekawieniem na młodego człowieka. Był to niewątpliwie odszczepieniec, nazareńczyk. Krzepki, szczupły młodzieniec miał wygląd dobrodusznego, nad potężną grdyką i łagodnie zarysowanym podbródkiem widniały szerokie usta; były na pół rozchylone, ukazywały spróchniałe zęby.

— Powiedźże mi, Tachlifo — zwrócił się do niego Józef uprzejmym tonem — dlaczego Jerozolima została zburzona?

Młodzieniec spojrział na nieznajomego i odpowiedział grzecznie:

— Została zburzona, ponieważ zabiła proroka Pańskiego i przeciwstawiała się Pomazańcowi Bożemu. — Chciał mówić dalej, ale ten, którego nazywano Serkiem, klepnął Józefa rubasznie po ramieniu i powiedział:

— Tak, nieznany przybyszu, jeżeli chcesz się czegoś dowiedzieć, trzymaj się tylko naszego Tachlify. To dobrze, kiedy raz zamiast uczonych w Piśmie ktoś z naszych powie coś o Bogu i o sprawach Boskich. Uczeni są tacy zarozumiali, że każdą swoją bzdurę uważają za coś świętego i bardzo mądrego. Może to nieprawda? — zapytał Józefa i począł wymachiwać potężnymi łapami. — Czy można być mądrym z tego, co mówią w Jawneh? — zawołał i przysunął do Józefa twarz obrzmiałą od wina. Józef odpowiedział ze spokojem i umiarem:

— Czasami rozumiem ich, czasami nie.

Pijaczyna uspokoił się. Józef poprosił Tachlifę, by mówił dalej.

— Ojcowie nasi — wywodził Tachlifa — nie uznali Mesjasza. Dawał znaki, czynił cuda. Ale uczeni nie uznali Go również, ponieważ zapatrzeni w swego Jehowę nie chcieli dopuścić, by ktoś niósł wieść o Nim na cały świat. Chcieli zamknąć Jehowę, jak lichwiarz zamyka swoje denary i rewery. Bardziej czcili widoczną siedzibę Jehowy aniżeli niewidocznego Boga, do którego ta siedziba należała. Dlatego Jehowa zesłał Mesjasza. Ale uczeni nadal nie chcieli Go widzieć. Jehowa zburzył Świątynię, która stała się pusta i pozbawiona sensu jak domek lalki, z którego uleciał motyl. Dlatego wyznajemy i głosimy: Mesjasz się pojawił. Dał się zabić, by zmasać z nas grzech ciężący na nas od Adama, a potem zmartwychwstał. Na imię Mu Jezus z Nazaretu.

Serek wmieszał się znowu.

— A co, to jest wyjaśnienie, nieprawdaż? — zawołał hałaśliwie i wyzywająco. — Przecież to takie proste. Każdy to zrozumie, nawet ty, nieznany przybyszu. Uczeni mają źle w głowie. Mówią, że wierzą w zmartwychwstanie. Więc dlaczego Mesjasz nie miałby zmartwychwstać? Proszę! — zwrócił się zaczepnie do Józefa i znowu przysunął się do niego bardzo blisko.

— Zostaw tego pana w spokoju, Serku — powstrzymali go towarzysze. — O tobie nic złego nie powiedział.

— Kiedy go zamordowano? — zapytał Józef naza-reńczyka.

— Powiadają, że siedemkroć siedem lat temu — odparł Tachlifa.

— Podobno — wtrącił Józef — spędził tu w Galilei całą swoją młodość. Chyba powinien jeszcze żyć ten i ów, kto Go znał. Jeżeli o mnie chodzi, to nie znalazłem takiego.

— A któż jest prorokiem we własnym kraju? — rzekł nazareńczyk.

— Poza tym była wojna i wielu z tych, którzy Go znali, mogło zginąć lub opuścić kraj.

— Był Galilejczykiem — powiedział jeden z obecnych — możemy być z tego dumni. Ale właśnie dlatego uczeni są Mu krzywi. Nie lubią tego, co pochodzi z Galilei.

— Dlatego też zabraniają nam spożywania drobiu w sosie śmietanowym — rzekł

gniewnie drugi.

A jakiś starszy człowiek powiedział:

— Uczeni nie chcą uznać, że ktoś pomaga innym dźwigać grzechy. Chcieliby tylko zawsze nakładać nowe ciężary i zakazy. — Serek, który siedział teraz po przeciwnej stronie stołu, przechylił się i groźnie rzucił Józefowi w twarz przysłowie: — „Jeżeli nałożyć brzemię za ciężkie, wielbłąd już nie wstanie.”

— Popamiętasz moje słowa, Tachlifo — rzekł któryś do odszczepieńca — wkrótce zabronią nam przesiadywać z tobą. Ciągłe się domagają, żebyśmy nie debatowali z wami o waszym Mesjaszu i waszych naukach. — Odszczepieniec wzruszył ramionami.

— Byłoby mi bardzo przykro, bracia moi — powiedział jak zwykle łagodnie — gdyby mi nie wolno było z wami przebywać.

— Co takiego? — ofuknął go Serek. — Nie chcesz z nami obcować, ty gałganie!

— Jeżeli z jednej strony mam do wyboru słowo Pomazańca — odpowiedział skromnie, ale stanowczo odszczepieniec — z drugiej zaś słowo uczonych rabbi, wybieram słowo Pomazańca.

— Ja ci pokażę, co masz wybrać! — wrzasnął Serek i chciał się na niego rzucić, ale pozostali go powstrzymali.

— Proszę, powiedz mi, Tachlifo — zapytał znowu Józef — czym różni się twoja nauka od tej, w którą oni wierzą?

— Myślę — odparł Tachlifa — że Mesjasz przez swą śmierć zmazał z nas wszystkie grzechy. Przez to królestwo niebieskie stało się łatwiejsze do osiągnięcia i dla tych, którzy nie są tak uczeni, jak mędrzy z Jawneh, lecz ubodzy duchem i nie obeznani z regułami Zakonu.

— Ale wy w dalszym ciągu trzymacie się Zakonu? — dopytywał się Józef.

— Jezus, nasz pomazaniec, nie zmienił Zakonu, lecz przybył, żeby go wypełnić.

Trzymamy się ściśle Zakonu.

— Czy to znaczy — zapytał człowiek, zwany Serkiem, który się znowu zbliżył — że gdybym cię, ty psie, poczęstował drobiem podlanym śmietaną, odmówiłbyś spożycia?

— Nie chcę ci dawać powodu do gniewu — odparł młodzieniec po krótkim milczeniu żartobliwie i dobroduszenie. Wszyscy się roześmieli.

Popijali z wolna ciemne, zawiesiste wino. Z pieca szły kłęby dymu; gospodarz rozpałił ogień, by uwarzyć kury. Dym napełnił całą izbę.

— Chcemy jedności nauki — powiedział jakiś starszy człowiek zwracając się do Józefa. — Jeżeli jednak ci z Jawneh w dalszym ciągu tak nam będą utrudniać życie, zaprawdę, przejdę do nazareńczyków. Zakon jest dobry, ale człowiek ma tylko dwoje bark, by go dźwigać, a wiara nazareńczyków jest łatwa. Nie chodzi tylko o sos ze śmietaną. Gorsze jest to, że nie pozwalają nam nabywać od Rzymian ziemi na licytacjach. Jakże mamy opierać się Syryjczykom, kiedy tereny stają się coraz tańsze, a nie wolno nam ich kupować?

Józef pomyślał z niechęcią o cyfrach i danych statystycznych Jana z Giskali. Nim jednak mógł przystąpić do dalszych pytań, zaczęto warzyć kury. Chłopi przestali mówić o rabbich i Mesjaszu, podeszli do pieca, pociągali nosem, mlaskali i udzielali rad gospodarzowi.

Kiedy Józef przybył do Giskali, zetknął się z ludźmi, którzy mówili o Janie z goryczą. Wyzwoleniec Juniusz Jan nic sobie nie robił z bojkotu, zarządzanego przez rabbich, lecz bez skrupułów kupował tereny skonfiskowane przez Rzymian. Galilejczycy uważali za cyniczną prowokację, że człowiek, który swego czasu wpędził w wojnę całą tę okolicę, teraz, wyzwolony przez Rzymian, skupuje ich łup wojenny.

Józef wiedział, że jego stary wróg wrócił do kraju. Kusilo go, żeby go odwiedzić. Wahał się. Wreszcie uczynił to.

Na jego widok Jan uśmiechnął się. Oprowadził go po swej posiadłości. Byłoby korzystniej kupić ziemię na południu, właśnie w Judei, gdzie leżały również dobra Józefa. Ale Jan był po dawnemu przywiązany do swej

Giskali. Zakupił rozległe tereny. Całe to mienie jest jeszcze w zanedbaniu, ale jest żyzne, rodzi oliwki, owoce, wino. Jan cieszy się już na to, jak tu będzie wyglądało za trzy lata. W dodatku wszystko tu było niesłychanie tanie. Ludzie tutejsi są skończonymi głupcami, że już dawno nie nabyli tych terenów od rządu. Bojkot przetargów, na których dokonuje się sprzedaży ziemi, jest idiotyczny. Skutek tego tylko taki, że coraz więcej cudzoziemców napływa do kraju. Jeżeli tak dalej pójdzie, Syryjczycy i Rzymianie nabędą za bezcen całą ziemię w Judei. Nie, Jan na to nie pójdzie. Zakrzętał się dookoła sprawy. To skandal, że inni nie idą w jego ślady. Musi w najbliższych tygodniach pojechać do Jawneh i przemówić rabbinom do sumienia. Uczni w Piśmie są ideologami nie znającymi świata. Nie mają pojęcia o cyfrach. Uśmiechnął się zerkając z ukosa na Józefa.

— Co im z tego przyjdzie — powiedział — że coraz bardziej szczują lud przeciw Rzymianom? Gniew ich jest czysto akademicki. Byłoby rozsądniej zwalczać Rzymian rozsądną konkurencją, nie politycznie, lecz gospodarczo. To, że się z nimi nie potrafimy dogadać, godzi w nas samych. Pełno ich w całym kraju, każdy jest zależny od swego rzymskiego, syryjskiego lub greckiego sąsiada.

Na przykład ta historia z wołami. Uczni w Piśmie zabraniają kastracji byków. Ale jeżeli się posiada tylko krowy i nie ma zwierząt pociągowych, jak sobie wtedy poradzić? Dotychczas prosiło się sąsiada, Syryjczyka lub Rzymianina, żeby ukradł człowiekowi byka, a zwrócił mu wołu. Syryjczycy chętnie wyświadczali tę grzeczność i sprawa była załatwiona. Ale teraz! Poniżej czterdziestu sestercji nikt nikomu byka nie ukradnie i jeszcze hołota robi czasami kawały i w zamian za byka zwraca również byka! I co tu zrobić? Nawet nie można zaskarżyć. Takie postępowanie urąga dobrym obyczajom.

Józef słuchał. Jan miał oczywiście rację. Ale gdyby sam, nie będąc nigdy poza granicami kraju, zasiadał jako jeden z rabbinów w akademii w Jawneh, postępowałby zapewne tak samo jak oni. Naukę trzeba otoczyć ogrodzeniem, ale gdzie należy je postawić? Już raz był cały kraj zhellenizowany i Żydom groziło rozplynięcie się w kulturze greckiej i greckich zwyczajach.

Ruszył na południe, przybył do właściwej Judei. Gdy stanął na ziemi, zamieszkałej przeważnie przez Żydów, podwoił swą powściągliwość. Na przykład w pięknym mieście Thamna, położonym w górach Efraim, zamieszkał skromnie u handlarza oliwą, z którym zarządzający jego posiadłościami utrzymywał stosunki handlowe. Józef prosił swego gospodarza, by nie wymieniał jego nazwiska. Ale wkrótce poznał go ten i ów i na czwarty dzień zjawił się u Józefa przewodniczący gminy żydowskiej z dwoma swymi zastępcami. Mieli do niego taką sprawę:

Między greckim burmistrzem miasta Thamna i ogromną większością żydowską w magistracie istniała od dawna wrogość. Kiedy burmistrz grecki, zanim przeczytał dokument, w którym senat miasta Thamna zawiadamiał o ustawie Antysta, dotyczącej zakazu dokonywania obrzezań, podał go zgodnie z obowiązującym przepisem po kolei radnym magistratu do ucałowania w dowód czci, popędliwemu rajcy Akawii wydało się, że burmistrz uśmiecha się przy tym szyderczo; stracił panowanie nad sobą i zamiast ucałować dokument, opluł go i podarł na strzępy. Za obrazę majestatu powleczono go do Cezarei, gdzie sędziowie rzymscy pod przewodnictwem gubernatora skazali go na śmierć przez ukrzyżowanie. Akawia wszakże korzystając z praw obywatela rzymskiego odwołał się do prawników koronnych w Rzymie. Teraz czekał na przetransportowanie go do Rzymu. Tymczasem Żydzi z Thamny wysyłali delegację za delegacją do Flawiusza Silwy twierdząc, że Akawia działał w przystępie nagłego

oblędu, próbowali osiągnąć u gubernatora jego ułaskawienie.

Przyszli więc teraz do Józefa i prosili, by wykorzystał swe wpływy w Cezarei na rzecz ich pobratymca. Byli onieśmieleni, ale równocześnie natarczywi. Prosimi i żądali. Józef wyczuł z ich słów, że po wszystkich cierpieniach, które przyczynił ogółowi, uważają, że ma obowiązek być pomocnym każdemu Żydowi.

Józef w ciągu swej podróży nabrał jeszcze więcej pokory. To, że się do niego zwrócili, nie schlebiało jego próżności, sposób, w jaki wysuwali swe żądanie, nie gniewał go. Powiedział z prostotą:

— Spróbuję, czy będę mógł coś zrobić dla naszego ziomka.

— Krótko nas zbywasz, rabbi Józefie — powiedział wrogo jeden z uczestników delegacji. — Traktujesz nas jak natrętnych żebraków. Widzę, żeś niczego nie zapomniał. Od początku byłem zdania, że prośba nasza będzie ci nie na rękę, i odradzałem pójścia do ciebie.

Rok temu Józef odpowiedziałby wyniośle. Teraz milczał. Nawet się nie uśmiechnął na nedorzeczne podejrzenie prostaka, który sądził, że człowiek tego pokroju co Flawiusz Józef mógłby swój gniew z powodu wrogiej mu postawy całej społeczności żydowskiej wyładować na nieszczęsnym Akawii. Powiedział tylko:

— Widziałem wielu ukrzyżowanych. Chciałbym pomóc waszemu Akawii. Ale chciałbym również pomóc wielu innym, a siły moje są znikome.

Przewodniczący odrzekł:

— Wyjaśniliśmy, jak sprawa wygląda. Nie chodzi tylko o Akawię, lecz o wszystkich Żydów miasta Thamna, które jest dziś jeszcze jednym z żydowskich miast tego kraju, ale może już niedługo nim nie będzie. Czyń, co uważasz za wskazane, rabbi Józefie. To ja radziłem pójść do ciebie; sądzę i teraz, że nie był to zły pomysł.

Wreszcie po upływie miesiąca z górą zdecydował się Józef odwiedzić swoje dobra. Były to trzy duże posiadłości między miastami Gazara i Emmaus. Były tam i góry, pokryte jesionem, wzgórzem, gdzie rosły drzewa jaworowe, i doliny, pełne palm.

Włodarz Teodoros bar Teodoros, starszy, spokojny, chytry człowiek, przyjął Józefa radośnie. Kazał zarznąć bardzo tłustą owcę, poczęstował swego pana najlepszym kawałkiem — od ogona. Spokojnym, układnym sposobem bycia przypominał nieco Józefowi Jana z Giskali.

W towarzystwie włodarza Józef objeżdżał konno swe posiadłości. Jechał przez winnice i gaje oliwne, mijał pszeniczne łany oraz tarasy, na których rosły palmy daktylowe, granaty, orzechy, migdały i figi. Na górze wznosiło się dumnie prastare miasto Gazara, którego forty odbudowali Rzymianie. Gospodarstwo było prowadzone wzorowo, dwustu siedemdziesięciu niewolników, wśród których znajdowało się sporo Murzynów, wyglądało schludnie, praca była rozsądnie zorganizowana. Szkoda, że przy takim wysiłku i obrotowości nie dało się wygospodarować większego dochodu.

Teodoros bar Teodoros wyjaśnił swemu panu, jaka jest tego przyczyna. Dobra leżały w zasięgu miasta Gazary, gdzie nie obowiązywało prawo kolonialne, musiały więc płacić bardzo wysokie podatki i daniny. Miasto Emmaus, zamieszkałe niemal wyłącznie przez rzymskich weteranów wyprawy i korzystające z przywilejów miasta kolonialnego, nie chciało włączyć dóbr Józefa pod swą jurysdykcję, powody, którymi się osłaniano, nie były rzeczowe. Na przykład kapitan Pedan, sąsiad Józefa, kazał sobie, przenosząc się w stan spoczynku, przydzielić ziemię, która wszędzie wrzynała się w tereny Józefa i której większa część leżała bliżej Gazary niż Emmaus. Mimo to wszystkie posiadłości kapitana zostały przyłączone do Emmaus, i wskutek tego, choć mniejsze i gorzej rządzone niż dobra Józefa, dawały większy dochód ze względu na niższe opodatkowanie. Kapitan Pedan mógł zbywać w Emmaus swe zbiory nie obciążone podatkami, natomiast Teodoros bar Teodoros musiał zaopatrywać miasta Gazarę i Lud, gdzie

ściągano z niego ogromne podatki. Poza tym większość ludności żydowskiej nie chciała kupować produktów pochodzących z dóbr Józefa, ponieważ Jerozolima rzuciła na niego anatemę, Grecy zaś i Rzymianie w Gazarze i Lud wykorzystywali tę sytuację. Józef spoglądał ze sprzecznymi uczuciami na swą żyzną ziemię, na jej płody, oliwę i wino, które żywiły obcego zaborcę.

Józef jechał na kroczącym ostrożnie osiołku. Włodarz opowiadał w dalszym ciągu o trudnościach, jakie nastęczało sąsiedztwo Pedana. Na przykład sprawa nawodnienia. Byłoby z korzyścią dla obu stron, gdyby przeprowadzić wspaniałą akwedukt z Emmaus do Gazary. Gmina Emmaus oszczędziłaby moc pieniędzy, Józef jeszcze więcej. Ale zarządca miasta Emmaus sprzeciwiał się. Winien był temu kapitan Pedan. Ten laureat wieńca z ziół i ulubieniec armii jest w Emmaus wszechpotężny. Sprzeciwia się realizacji projektu z przyczyn czysto osobistych, bo przecież jako największy konsument wody ciągnąłby największe zyski.

Józef oświadczył, że odwiedzi przy sposobności kapitana Pedana. Nie chodziło mu tak bardzo o interes, o którym mówił włodarz, raczej pociągała go chęć zobaczenia człowieka, który własnoręcznie podpalił Świątynię i którego imienia nie wymienił rozmyślnie w swej książce, chcąc, by zostało zapomniane.

Dopiero na trzeci dzień po przyjeździe Józef wybrał się do folwarku „Studnia jałtańska”, gdzie mieszkała Mara. Folwark był zapuszczony, opowiadał Józefowi włodarz, ale Mara postawiła sobie za punkt honoru, by go doprowadzić do porządku.

Józef zastał Marę w winnicy. Była w roboczym stroju, gołe nogi miała powalane ziemią, głowę osłaniał od słońca wielki kapelusz. Nie uprzedził jej, nie wiedział, czy słyszała o jego przybyciu. Przykucnęła na ziemi, kopała, zdaje się, dokoła winnych krzewów rowki do podlewania wodą. Kiedy go ujrzała, nie podniosła się, odrzuciła w tył głowę. Opalona, okrągła twarz pobladła, oczy rozszerzyły się. Przejęta gniewem i przerażeniem zawołała:

— Czego tu chcesz, siepaczu! Jak śmiesz mnie nachodzić? Czego chcesz ode mnie? Nie zbliżaj się do mnie, ty, przeklęty!

Stał bezradny. Co jej odpowiedzieć? Z punktu widzenia zdrowego rozsądku miała rację. Mógł się bronić: „Jak ustrzec jedenastoletniego chłopca? Czyż można go ciągle wodzić na pasku? Nawet gdybyś była została w Rzymie, nie potrafiłabyś niczemu zapobiec.” Na cóż by się zdały takie słowa? Nie miał odwagi powiedzieć czegoś podobnego nawet sam sobie. Wiedział, że jest winien śmierci Szymona. Sędzia nie skazałby go, gdyby sprawa jego została wniesiona na Forum w Rzymie lub gdyby ją sądzono w eksedrach Świątyni Jerozolimskiej. Mimo to był winien. Wiedział o tym dobrze. Toteż nie mógł nic powiedzieć, kiedy Mara z twarzą zmienioną, z pasją, o jaką jej nie posądzal, i dzikim błyskiem w ciemnych oczach, krzyknęła:

— Uczyniłeś ze mnie suchą gałąź. Chciałam być przy nim, ale ty oderwałeś mnie od niego i zgasiłes płomień jego życia!

Wreszcie jednak przemówił. Stał w jasnym blasku słońca. Z ogromnym wysiłkiem usiłował ją przekonać, ale widział, że to trud daremny. Nie odpowiedziała ani słowa. Odwrócił się i poszedł sobie.

Kiedy na zakręcie obejrzał się, stwierdził, że Mara patrzy w jego stronę. Twarz jej zmieniła się teraz. Nie było w niej ani przerażenia, ani furii, tylko ogromny smutek.

Wśród niewolników w posiadłości Józefa znajdował się odszczepieniec, który, jak opowiadał włodarz, dobrze umiał objaśniać naukę tej sekty i wskutek tego pozyskał niejednego dla swej wiary. Józef próbował nawiązać z nim rozmowę. Nie było to łatwe. Choć Józef mówił sobie, że sam był kiedyś niewolnikiem, nie potrafił rozmawiać od serca z tym człowiekiem wyjętym spod prawa; mimo woli w głosie jego zabrzmiał ton protekcyjnalny. Miał we krwi słowa rabbich, że niewolnicy winni być traktowani jak bezduszne przedmioty.

Ale w trakcie rozmowy z tym niewolnikiem Samarytaninem sztywność jego szybko

znikła. Józef nie wiedział, jak się ten człowiek dawniej nazywał. Włodarz nazwał go Samua — „Posłuszny”. Kazał mu, jak wszystkim zresztą niewolnikom, nosić dzwonek na szyi, upodabniając go przez to do bydłęcia. Mimo to i mimo wielkiej żarliwości w pracy Samua zachowaniem swym i postawą sprawiał wrażenie wolnego człowieka. Opowiadał, że kiedy miasto samarytańskie Esdraela na początku powstania zaczęło zabijać Żydów, wystąpił w ich obronie. Ziomkowie zadenuncjowali go Rzymianom jako powstańca. Został wzięty do niewoli i sprzedany. Było to możliwe, ale równocześnie przykro było w to uwierzyć. W każdym razie Józef postanowił polecić włodarzowi, by traktował Posłusznego jak niewolnika-Żyda, żeby mu zapewnił odzież i dach nad głową na równi z jego panem w myśl przepisu: „Nie jedz białego chleba, kiedy twój niewolnik je czarny, nie pij starego wina, kiedy on pije młode, nie śpij na materacach, kiedy on śpi na słomie.” Nie można powiedzieć, żeby włodarz się tym ucieszył.

Tymczasem Józef rozmawiał z Posłusznym o nauce nazareńczyków; okazało się od razu, że Samarytanin lepiej się orientuje od owego Tachlify z knajpy w Kapharnaum. Tak, jeżeli nawet w zrozumieniu rabbich nie można go było nazwać uczonym, był jednak odczytany w Piśmie oraz w jego ustnych komentarzach i uzupełnieniach. Józef zapytał go więc:

— Skoro, jak widzę, mój Posłuszny, wyznajesz się dobrze w teoriach naukowych rabbich, powiedz mi, co doprowadziło cię do tego, żeś się nimi nie zadowolił i, przechodząc nad nimi do porządku, przejąłeś naukę nazareńczyków?

Posłuszny odparł:

— Uczeni w Piśmie są w duchu zachłanni. Zapomnieli o słowach proroka, że Bóg jest panem całego świata. Sądzą, że tylko oni dzierżawią prawo zajmowania się jego nauką i studiowania jej. Dlatego byli zazdrośni, kiedy Jezus z Nazaretu nazwał się prorokiem, dlatego zabili Pomazańca. Ale teraz okazało się, że Jehowa nie jest Bogiem kapłanów i rabbich. Gdyby tak było, dlaczegóż by miał zburzyć Jerozolimę, ich siedzibę, a Jego dawne domostwo? Nie potrafią na to odpowiedzieć. Mówią o winie innych, twierdzą, że Jehowa znowu odbuduje Jerozolimę. To nadzieja, nie odpowiedź.

Znowu wysunięty został ów argument, który Józef słyszał już w Galilei; nazareńczycy uważali go niewątpliwie za najbardziej przekonujący. Odszczepieniec uzasadniał to jeszcze dobitniej.

— Jehowa — mówił — rozbił naczynie, które dotychczas zawierało naukę: Jerozolimę i Świątynię. Nie sposób wyciągnąć innego wniosku jak ten, że chciał, by wiara w Niego rozlała się po całym świecie, by szerzyła się wśród uczonych i wśród laików, wśród pogan i wśród Żydów,

Posłuszny mówił głębokim głosem, cicho, ale wyraźnie i stanowczo. Był to człowiek krzepki, opalony od słońca. Kiedy się poruszał, brzęczał dzwonek, symbol niewolnictwa.

Józef wypytywał go w dalszym ciągu. Posłusznego pociągało do nauki Jezusa z Nazaretu przede wszystkim to, że głosiła pogardę dla bogactwa i głęboką cześć dla ubóstwa, skromnego trybu życia i braterstwa.

— „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”, głosi Pismo — powiedział — a uczeni głoszą złote słowa: „Nie czyn drugiemu, co tobie niemiło.” My stawiamy sobie jeszcze wyższe żądania — ciągnął dalej Posłuszny. — Nauczamy, że należy kochać nie tylko bliźniego, lecz i wroga, jak siebie samego, że gdy się otrzyma policzek, należy nadstawić drugi. — I dodał z dobrodusznym uśmiechem: — Mam wrażenie, mój rabbi, że właściciele powinni być radzi, jeżeli ich niewolnicy stają się nazareńczykami. Nauka ta, bowiem znosi owo zalecenie, które dała niewolnikom pogańska kraina Kanaon, ich pierwotna siedziba: „Kochajcie się nawzajem i miejcie nienawiść do waszych panów, kochajcie kradzież, rozwiązłość, miejcie nienawiść do prawdy.”

Józef oświadczył, że owe zasady moralne, braterstwo i pogarda bogactwa, znane mu są z czasów, gdy przebywał w pustelni u pewnego essejczyka i ćwiczył się w zasadach moralności. Nie różniły się one od tego, co głosili uczeni w Piśmie.

— Czymże — zapytał — różni się nauka nazareńczyków od nauki tamtych?

— O ile jako człowiek nieuczony mogę sądzić — odpowiedział skromnie Posłuszny — istnieją dwie prawdy zasadnicze. My wierzymy, że Mesjasz już się pojawił, i niedobrze jest ufać, że Jerozolima zmartwychwstanie w dawnym blasku. Poza tym uważamy, że wiedza i czyny są dobre, ale lepsza jest wiara. A wiara dostępna jest dla każdego, nie tylko dla uczonych, lecz i dla ubogich duchem i wykształceniem, i dla twego sługi Posłusznego.

Józef rzekł na to:

— Czy nie możesz mi, Posłuszny, powiedzieć nic więcej o czynach i wypowiedziach twego Jezusa z Nazaretu?

— W pobliżu miasta Lud — odparł Posłuszny — w wiosce Sekanii mieszka niejaki Jakub. Posiada niewielką książkę zawierającą nauki i przypowieści naszego Pomazańca oraz opis Jego życia i wędrówek przez Galileę i Judeę. Ów Jakub, choć miał trzy duże majątki, wyrzekł się ich i przystał do nas, biedaków. Jest cudotwórcą, uzdrowia chorych, wyzwala szaleńców od obłądu. Z początku ben Ismael piorunował na niego. Ale po kilku rozmowach z nim zmienił zdanie. Teraz ben Ismael szuka towarzystwa Jakuba z Sekanii i siaduje często w kręgu wiernych, choć koledzy jego w Jawneh spoglądają na to niechętnym okiem.

Józef postanowił odwiedzić tego Jakuba z Sekanii.

Akademia w Lud cieszyła się przed wojną wielkim mirem. Teraz jednak utraciła swe przywileje; sprawy rytuału i sądownictwa żydowskiego pozostawały wyłącznie w rękach rabbich z Jawneh, gdyż Rzymianie uznawali tylko tamtejszą akademię. Wskutek jednak surowości uczonego w Piśmie nowo przybyłego rabbi Gamaliela, niektórzy spośród uczonych wrócili z sarkaniem do Lud; skupili się wokół nich uczniowie, jakkolwiek nie mogli tam otrzymać stopni naukowych. Miasto Lud stało się stopniowo ośrodkiem tych wszystkich, którzy skłaniali się do poglądów helleńskich lub nazareńskich.

Wśród zbuntowanych rabbich najwięcej mówiono o młodym Elizeuszu ben Awui, którego nazywano Ache-rem, czyli „odmieńcem, odszczepieńcem”. Jedynek, wybitnie zdolny syn starej arystokratycznej rodziny kapłańskiej, już będąc studentem zwrócił na siebie uwagę kolegium i zdał egzamin z najwyższym odznaczeniem. Wkrótce jednak dwudziestopięcioletni młodzieniec wyrzekł się nauki rabbich, zrezygnował z zapewnionej kariery. Widywało go się na ulicach Lud w towarzystwie kilku starszych i młodszych kolegów, z którymi szdyził z obyczajów i nakazów uczonych w Piśmie. Jego wszechstronna wiedza, wytworny język, jaskrawe kontrasty jego poglądów na wiarę olśniewały wielu. Napisał po grecku poemat o sędzie ostatecznym, wydał go w ograniczonej liczbie egzemplarzy, ci, którzy się z nim zapoznali, byli porilszeni tymi wierszami: podniecały wyobraźnię, można je było rozumieć w różny sposób. Z czcią, przerażeniem i podziwem cytowali przede wszystkim owe mgliste, kacerskie strofy, w których opiewany był strach przed sądem ostatecznym i które zaszczepiały wątpliwości: „Jeżeli Mesjasz przyjdzie naprawdę, to kto wie, czy po tylu mękach ród ludzki będzie miał jeszcze dosyć siły, by Go przyjąć.” Jawneh wezwało młodzieńca przed sąd duchowny. Nie stawił się. Zabroniono mu pisać, rzucono nań anatemę. Rabbi Gamaliel skreślił własnoręcznie jego nazwisko z tablicy uczonych w Piśmie, na której je niedawno umieścił, i nadał mu inne imię, imię Acher — „odmieniec, kacierz”. Elizeusz przyjął to imię, był dumny, kiedy go tak nazywano; serca młodzieży lgnęły do niego jak przedtem.

Józef słyszał, że Acher próbuje pogodzić prostotę serca wierzących z surową metodą rabbich i pięknem kultury greckiej. Czytał jeden z niewielu odpisów jego poematu i, choć obca

mu była wszelka mistyka, nie mógł się całkowicie oprzeć ponuremu blaskowi tych wierszy. Acher był pierwszym spośród rabbich miasta Lud, którego odwiedził Józef.

Acher przyjął go uradowany, zaciekawiony, trochę ironicznie. Mówił po grecku powoli, ale wykwintnie — zły akcent Józefa zdumiał go wyraźnie. Był na swoje lata nieco zbyt otyły, nad małymi oczkami wznosiło się szerokie, potężne czoło. Miał wydatne usta i płaski nos; poruszał się szybko, nerwowo, nie mógł usiedzieć na miejscu, gestykulował dziwnie wąskimi dłońmi.

Józef zorientował się wkrótce, że ten namiętny, wygadany młody człowiek znalazłby wśród Żydów zarówno w Aleksandrii, jak i w Rzymie licznych zwolenników, którzy uznaliby go chętnie za swego przywódcę. Zapytał go bez ogródek, dlaczego kiśnie tu, w małym mieście prowincjonalnym, pogardzany przez zwycięzców, piętnowany przez zwyciężonych. Na zażywnej twarzy Achera pojawił się leniwy uśmiech.

— Nie chcę sobie ułatwiać sprawy, rabbi Józefie — powiedział. — Być obywatelem świata wśród Rzymian i Greków nie wydaje mi się wielką zasługą. Chciałbym być nim jako Żyd wśród Żydów. To się ludziom nie podoba, tego nie mogą przebaczyć. Ale widzisz, rabbi Józefie, dopiero wtedy kiedy to przetrzymam, będę wiedział, że zwyciężyłem.

Mówił potem o włączeniu do kanonów Pisma świętego Pieśni nad Pieśniami i słów Koheleta. Synedrion w Jawneh nie mógł się na to zdecydować od lat dziesięciu. Okazało się, że Acher, tak samo jak Józef, nad wszystkie księgi przekłada pisma Koheleta. Mówił o tym, jak owych siedemdziesięciu w swym tłumaczeniu na język grecki zbanalizowało szlachetne wiersze oryginału, zacytował te i owe miejsca we własnym greckim przekładzie. Kiedy sobie tak gawędzili, wsunęła się leniwie i bez ceremonii młoda, bardzo piękna kobieta, smągła, ciemnowłosa; Acher powiedział, że to jedna z wyzwolonych przez niego niewolnic. Przyglądała się obcemu z zaciekawieniem, bez zakłopotania, usiadła z pełną wdzięku nonszalancją.

— Nie będzie nam przeszkadzała — rzekł Acher. — Jeżeli się nie mówi o rzeczach bardzo przyziemnych, nic nie rozumie. Sitedzi sobie i miło na nią popatrzeć. Oczywiście krytykują mnie ostro i rzucają na mnie anatemy za to, że traktuję byłą niewolnicę tak, jak gdyby była moją żoną. Ale dlaczego miałbym tego nie robić? Podoba mi się bardziej niż inne kobiety, których poślubienia nikt nie wzięłby mi za złe. Myślę lotniej i łatwiej, kiedy jest przy mnie i kiedy na nią patrzę.

Kazał przynieść wino i słodycze. Dom jego był najpiękniejszym w Lud, zbyt kowny w swej prostocie; ściany zdobiły malowidła. Smągła kobieta spoczywała na sofie. Acher mówił dalej o Pieśni nad Pieśniami i pismach Koheleta.

— Nie rozumiem — sztydził — dlaczego ci mędrzy z Jawneh tak długo ociągają się z ostatecznym wyłączeniem tych ksiąg z Pisma świętego. Nie rozumieją widać Pieśni nad Pieśniami, jeżeli poczytują mi za grzech, że czytam Pismo w obecności tej mojej smągłej Tabity. Nie rozumieją Koheleta, jeżeli mi zabraniają, żebym na swój sposób rozprawiał się z szatanem i sądem ostatecznym. Nawet w swej obecnej postaci Pismo utrudnia uczonym pogodzenie go z ciasnymi zasadami ich nacjonalistycznej moralności.

— A jednak — zapytał Józef — całą swą młodość zużyłeś na studiowanie rabbich oraz ich nauki, prawda?

Pełną twarz młodego człowieka, odzwierciedlającą każde wzruszenie, zasnuł gniewny smutek.

— Niewiele brakowało — odrzekł — a jeszcze bym z nimi nie zerwał. Nauczycielem moim był ben Ismael. Chciał mnie zatrzymać za wszelką cenę, używał różnych argumentów. Bolał nad tym, że się odwróciłem od Jawneh i że stało się to z jego powodu. Znasz ben Ismaela, rabbi

Józefie? — zapytał. A gdy Józef zaprzeczył, wykrzyknął porywczo: — To wielki człowiek. Musisz go zobaczyć, usłyszeć. On jeden jest coś wart w tym kraju. — Zerwał się, zaczął biegać tam i z powrotem po pokoju.

— Opowiadano mi — rzekł ostrożnie Józef — że ben Ismael nie może dojść do ładu z uczonym rabbi Gamaliel, choć ma jego siostrę za żonę.

— Tak ci opowiadano? — zapytał Acher ironicznie. — Słyszysz, Tabito? — zwrócił się do smagłej kobiety, głaszcząc lekko jej ramię. — Opowiadano temu panu, że ben Ismael nie może dojść do ładu z uczonym rabbi Gamaliel. — Ciemnowłosa, ssąc dalej cukierek, spojrzała nań z uśmiechem. Acher odsunął się od niej.

— Dobrze cię poinformowano, rabbi — zwrócił się znowu do Józefa z ironiczną oschłością. — Niełatwo może z nim dojść do ładu.

— Słyszałem o zatargu — Józef dalej badał grunt — który miał wybuchnąć między nim i uczonymi w Piśmie w Dniu Pojednania.

— Tak — szydził Acher — można to także nazwać zatargiem. — Małe oczka pod szerokim czołem wpiły się w Józefa. — Ben Ismael to człowiek mądry — powiedział — najświatlejszy mąż w Jawneh. Ten uczony w Piśmie jest również politykiem. — Zdumiewające, ile nienawiści i szyderstwa Acher potrafił zawrzeć w słowie „polityk” ! — Musiało więc dojść do zatargu między mędrkami i politykiem.

Chcąc odzyskać równowagę, usiadł i zaczął opowiadać:

— Odkąd uczony w Piśmie Gamaliel sprawuje swój urząd, raz po raz wynikały między nim i kolegium nieporozumienia, do kogo należy ustalanie kalendarza i dni świątecznych — do niego czy do całego kolegium. W tym roku na początku miesiąca *tiszri* doszło do otwartego konfliktu. Większość rady z ben Ismaelem na czele uznała dane uczonego rabbi dotyczące zmian księżyca za wątpliwe. Rabbi uparł się, ustalił daty pierwszego *tiszri*, Nowego Roku, Święta Pojednania i Święta Szałasów wedle obliczeń zakwestionowanych świadków i kazał je ogłosić w kraju jako obowiązujące. Ben Ismael nie należy do ludzi bojowych. Podporządkował się i odbył ceremonie rytualne w dniu wyznaczonym przez Gamaliela, które tym samym uznał. Ale Gamaliel nie chciał kompromisu, pragnął załatwić sprawę raz na zawsze. Nie wystarczyło mu, że ben Ismael był gotów święcić Święto Pojednania w wyznaczonym przez niego dniu dziesiątego *tiszri*. Chciał, żeby ben Ismael dzień, który pierwotnie ustalił jako dziesiąty *tiszri* i sabbat sabbatów, Dzień Pojednania, pozbawił charakteru święta. Poleciał mu, żeby tego dnia przebył kawałek drogi piechotą, w szacie pielgrzyma, żeby stanął przed nim z kijem, torbą i sakwą. Rabbi chciał, by ben Ismael zmanifestował przed całym ludem, że jego Dzień Pojednania, ów rzekomy dziesiąty *tiszri*, jest zgodnie z zarządzeniem uczonego rabbi — dniem powszednim. Całe kolegium domagało się od Gamaliela, żeby dał spokój. Nie ustąpił. Powoływał się oczywiście jak zwykle na „jedność nauki”. Trzeba pokazać Izraelowi, obstawał w kolegium zuchwale i niezłomnie, że istnieje tylko jedna nauka dana od Boga: jego własna. Ben Ismaelowi zagrożono wykluczeniem i anatimą, jeżeli się temu nie podporządkuje.

Acher nie mógł usiedzieć na miejscu. Zerwał się, otarł pot z czoła, zaczął znowu biegać tam i z powrotem.

— My wszyscy wraz z żoną ben Ismaela, siostrą rabiego Gamaliela — mówił dalej — staraliśmy się wpłynąć na niego. Mieliśmy uzasadnione nadzieje, że w razie jeśli ben Ismael się uprze, pójdzie za nim większość rady. Może dałoby się usunąć Gamaliela. Może, gdyby ben Ismael wraz ze swoimi przyjaciółmi odstąpił od kolegium, dałoby się obalić zgubną nacjonalistyczną dyktaturę uczonego w Piśmie. Ben Ismael jęczał, nie mógł się na to zdobyć. Podjudzaliśmy go, nie dawaliśmy mu spokoju. Ale te piekielne słowa o jedności nauki zrobiły swoje. Nie zaryzykował rozłamu. Podporządkował się.

Acher stał teraz przed Józefem. Sapał gwałtownie, jego pełna twarz była ponura i smutna.

— Widzę go jeszcze — opowiadał — jak przybył do Jawneh, okryty pyłem; on, tak zazwyczaj rześki, zdawał się uginać pod pustą torbą, jak gdyby ważyła co najmniej cetnar. Ludzie z Jawneh opuścili domostwa, tłoczyli się na drodze, nikt nie mówił ani słowa, wszyscy byli przybici. Ben Ismael włókł się po stopniach uczelni, gdzie oczekiwał go w przedsionku rabbi Gamaliel. Jako piętnastoletni chłopiec widziałem pożar i upadek Jerozolimy. Ale prędzej zapomnę ów widok niż widok zaszczutego, samotnego człowieka z kijem wędrownym i torbą pielgrzyma. Wziął na swoje barki grzech śmiertelny w imię przeklętej jedności, był kozłem ofiarnym dźwigającym cudze grzechy, widać było, jak go ten ciężar przygniata i pozbawia tchu. Ale włókł się i dźwigał go. Widziałem to na własne oczy i zobaczywszy, zerwałem z uczonymi w Piśmie, opuściłem Jawneh.

Acher wstydił się wyraźnie patosu swego opowiadania.

— Daj mi cukierka, Tabito — poprosił. — Uczni z Jawneh byliby mnie chętnie zatrzymali — uzupełnił swe opowiadanie. — Zgodziliby się nawet, by mi w drodze wyjątku pozwolili *privatim* na mego Filona i Arystotelesa. Są skłonni do takich koncesji, trzeba tylko siedzieć cicho i kiedy człowiek znajdzie własną prawdę, musi ona pozostać w ukryciu i za żadne skarby nie wolno jej głosić. — Wypluł cukierek. — Jedność nauki. Jeden Bóg, jeden naród, jedna interpretacja. Uczni w Piśmie nie pozwalają dyskutować o księgach greckich, o emanacjach Boga, o szatanie i o Duchu Świętym. Przez zacieśnienie i szowinizm pozbawiają naukę jej właściwego sensu. Swoją jedyną interpretacją rugują z Pisma świat, zastępują go niemądrym małym narodkiem, ogarniętym manią wielkości. A kimże jest Jehowa, jeżeli przestaje być Bogiem całego świata? Bogiem wszystkich, Bogiem narodów. Mędrzy z Jawneh głoszą ciasnotę, chcą narodu, a wypędzają Boga. Powołują, się na Jochanana ben Zakkai. Ale idę o zakład o tę tu obecną Tabitę przeciw bochenkowi suchego chleba, że Jochanan wolałby zrezygnować z judaizmu niż widzieć go tak zniekształconym i kalekim. Jochanan chciał napęlić świat żydowskim duchem, Gamaliel wypędza ducha z Żydów. Masy nie rozumieją, o co chodzi, ale widzą, że z Jehową i uczonymi w Piśmie coś nie jest w porządku. Czują, że taka Jerozolima, jaką oni budują w duchu, jest jeszcze bardziej ciasna i wyniosła od tej kamiennej, która została zburzona. Dlatego tyłu przechodzi do nazareńczyków.

Młody człowiek wziął się w cugle.

— Nie panuję nad sobą — przeprosił. — Myślisz z pewnością: „Kłótnie, swary, pretensje. Jak ten młodzieniec przesadza tylko dlatego, że go wykluczono i rzucono na niego anateme.” Może i przesadzam, ale wydaje mi się, że nie bardzo. Ale dosyć o tym. Jedz, rabbi, pij, przyglądaj się mojej Tabicie. Zły ze mnie gospodarz. Wolę, żebyś mnie uważał za świnię z trzody Epikura niż za patetycznego osła. — Na tłustej twarzy pojawił się uśmiech. Ale mimo tego uśmiechu Józef nie potrafił zapomnieć, że twarz tę niedawno zasnuwał smutek.

U Achera spotkał Józef odszczepieńca Jakuba ze wsi Sekanii, owego cudotwórcę, o którym opowiadał mu jego niewolnik Posłuszny. Jakub był inny, niż go sobie Józef wyobrażał, bez wielkich pretensji, prosty, uprzejmy, gładko wygolony. W Rzymie wzięto by go za bankiera albo adwokata.

Odszczepieniec Jakub okazał gotowość odczytania Ache-rowi i jego przyjaciółom życiorysu i wyboru wypowiedzi Jezusa z Nazaretu, spisane przez jednego z jego współwyznawców.

Przyjaciółmi, których Acher jeszcze zaprosił, byli ben Ismael i żona jego Channa. Ben Ismael, pan wysokiego wzrostu, o łagodnych, fanatycznych oczach pod potężnym czołem, mówił spokojnie i głębokim głosem, wypełniającym całe pomieszczenie, był powściągliwy w słowach. Choć zdawał się mocny, płynęło od niego nieskończone zmęczenie. Tym żywiej działała Channa;

była młoda, ładna, ruchliwa, broniła sprawy swego męża wymownie i namiętnie.

Odszczepieniec Jakub przystąpił do czytania.

— Chodzi tu — powiedział na wstępie — o historię i wypowiedzi Jezusa z Nazaretu, syna człowieczego; spisał to dla naszej niewielkiej gminy w Rzymie jeden z moich przyjaciół na podstawie relacji niejakiego Jana Marka, rodowitego Żyda. — Zawodząc lekko, jak to było zwyczajem w szkołach żydowskich, po grecku, z silnym akcentem aramejskim, odczytał krótkie opowiadanie o życiu Chrystusa, cieśli z Galilei, obdarzonego siłą cudotwórcy. Uzdrawia chorych, przywraca wzrok ślepych, wypędza złe duchy z opętanych. Tą drogą zdobywa sobie zaufanie prostego ludu. Podejmuje walkę z zarozumiałymi rabbi, wywołuje ich gniew, naruszając sabbat i przepisy dotyczące spożywania potraw. Potem idzie do Jerozolimy i spiera się z Saduceuszami, którzy twierdzą, że nie istnieje zmartwychwstanie, walczy z Zelotami, którym mówi, że trzeba oddać cesarzowi, co cesarskie. Wkrótce dochodzi do tego, że Go wzywają przed sąd. Synedrion skazuje Go na śmierć i oddaje w ręce gubernatora Piłata. Niechętnie, pod naporem Żydów, Rzymianin daje rozkaz dokonania egzekucji na synu człowieczym. Jezus umiera na krzyżu, Józef z Arymatei składa Go do grobu, potem Jezus zmartwychwstaje, daje swym uczniom moc czynienia cudów i głoszenia każdemu Jego objawienia. Opowiadanie to było przeplatane sentencjami, pochwałą ubóstwa, przypowieściami.

Józef słuchał uważnie. Ten człowiek o twarzy pozbawionej indywidualności i przeciętnym umyśle był wyraźnie sam przejęty tym, co odczytał. To właściwie dziwne. Bo przecież te bajki, które Józef miał sposobność słyszeć już nieraz, były w gruncie rzeczy propagandowymi atakami na rabbich; stokrotnie powtarzanymi i obalanymi historiami o tych, którzy podawali się za Mesjasza. Zdawało się Józefowi, że naprawdę nauka odszczepieńców nadaje się jedynie dla ludzi ubogich duchem. Józef stwierdził jednak ze zdumieniem, że inni nie dzielają jego poglądu, że słuchają z przejęciem i z takim wyrazem twarzy, z jakim się słucha pięknej muzyki.

— Oto co zwiastuje mój przyjaciel braciom nazareń-czykom w Rzymie — rzekł wreszcie Jakub z Sekanii, zwinął książeczkę i włożył ją z powrotem do futerału.

Wszyscy długo milczeli. Słyszeć było tylko głośny oddech Achera, Józef miał wrażenie, że wszyscy czekają, żeby cudzoziemiec pierwszy zabrał głos.

— Niejedno wydaje mi się bardzo piękne — powiedział wreszcie; choć odszczepieniec Jakub czytał bez patosu, własny głos wydał mu się nagle twardy i obojętny. — Ale co jest nowego w naukach i świadectwach? Czy niemal wszystkie nie pochodzą z Pisma albo z przemówień rabbich? — Odszczepieniec Jakub zwrócił doń ze spokojem swą gładko wygoloną twarz; Józef doznał niemiłego uczucia, że na twarzy tej pojawił się odcień pobłażania dla tego rodzaju krytyki. Ale Jakub z Sekanii nie odpowiedział mu. Natomiast zabrał głos Acher.

— Świadectwo nie jest zbyt nowe — przyznał. — Czy jednak wszystko to nie brzmi prościej, swobodniej, łagodniej niż to, co słyszeliśmy dotychczas? Czy nie czujesz, jaka słodczy płynie z tej nauki o bierności? O zaniechaniu walki z Rzymianami i światem, o wyrzeczeniu się władzy doczesnej, o rozpląnięciu się w Bogu, z nauki, która każe po prostu wierzyć.

Józef domyślał się, co Achera pociągało w świadectwie Marka, ale sam tego nie odczuwał. Klótliwie, żeby inni nie pomyśleli, że jest tępy, ciągnął dalej:

— Czy w tym życiorysie nie ma pewnych sprzeczności? Jeżeli Jezusa skazano za bluźnierstwo, to dlaczego nie został ukamienowany? Jeżeli zaś Rzymianie skazali Go za to, że się mienił królem żydowskim, a więc za bunt i obrazę majestatu, to po co był potrzebny sąd żydowski? A jeżeli tysiące wychodzą Go witać i wołają „hosanna”, jeżeli cały lud Go uznał, to na co arcykapłanowi i jego ludziom potrzebna jest zdrada Judasza? Zastrzeżenia te są niewątpliwie bardzo trzeźwe, jeżeli to wszystko traktować jako wytwór fantazji. Czy nie

chciałbyś jednak uwierzyć, że to prawda?

— Nie twierdzą i nie twierdzi tego nikt z nas — rzekł spokojnie Jakub — że świadectwo owego Marka w ujęciu mego przyjaciela zawiera prawdę w sensie ścisłym. Ale wiem z własnego doświadczenia, że tylko wtedy mam moc uzdrawiania, kiedy cała dusza moja jest wiarą w syna człowieczego Jezusa z Nazaretu. — Powiedział to tak prosto, jakby mówił: za tę złotą monetę mogę ci dać sześćset dwanaście sestercji, jednego asa i dwie uncje.

— Jeżeli sprawozdanie, mimo że tak nieprawdopodobne, brzmi jednak prawdziwie — próbował Acher wyjaśnić Józefowi — to chyba dlatego, ponieważ jedna zasada i jedna prawda nie wystarczą do zrozumienia świata. Może ów Jan Marek opisuje czyny i zdania wielu Mesjaszów, które zjednoczył w jednym. Byłoby może wtedy błędem zarówno mówić, że jest to prawda historyczna, jak twierdzić, że jest to fantazja. Oba te pojęcia zawarte są w trzecim — największym.

Ben Ismael zapytał swym głębokim, łagodnym głosem:

— Wytlumacz mi, proszę, dlaczego twój Jezus z Nazaretu umarł?

— Stało się to po to — odparł rzeczowo Jakub z Se-kanii — żeby zbawić ludzi od grzechu pierworodnego, który popełnił Adam. Napisane jest przecież w Piśmie: „Zmysły bowiem i myśl serca człowieczego skłonne są do złego od młodzieństwa swego”, a także: „Oto bowiem w nieprawość-ciach jestem poczęty; a w grzechach poczęła mnie matka moja.”

— To może być słuszne — rozmyślał głośno ben Ismael — że kozioł ofiarny, którego wysłaliśmy na pustynię, oraz czerwona krowa, czysta i niełaciata, są rozwiązaniem zbyt wygodnym.

— Rozwiązaniem uczonych rabbi — rzucił ironicznie Acher.

Ben Ismael zakończył:

— Widocznie musi to być naprawdę żywy człowiek.

I wszystkim, nie wyłączając Józefa, przypomniał się ów Dzień Pojednania, kiedy to o kiju, z torbą na plecach ben Ismael włókł się w górę po stopniach akademii.

Jakub powiedział nie podnosząc głosu, ale stanowczo:

— Jezus z Nazaretu wziął na siebie wszystkie grzechy świata, a nie grzech jednego narodu.

— Niebezpieczna to nauka — rozważała Channa. — Zrzuca całą odpowiedzialność na świętych, pozostawia ludziom wiele swobody. Czy nie gloryfikuje świętych kosztem sprawiedliwych? Czy nie jest rzeczą często trudniejszą żyć sprawiedliwie niż umierać w aureoli świętości?

— Wydaje mi się — odparł Jakub sucho i trzeba było bacznie nasłuchiwać, żeby wyczuć szyderstwo — że z tą waszą sprawiedliwością nie zaszłście daleko. Czy nie w imię sprawiedliwości zabiliście świętego? Czy to nie ta sprawiedliwość doprowadziła do tego, żeście musieli oglądać zburzenie Jerozolimy?

Józef pomyślał z irytacją:

„Ci nazareńczycy mówią ciągle o zburzeniu Jerozolimy. Gdyby nie zburzona Jerozolima, nigdy by ich nie było.”

Jakub oddalił się wkrótce, chciał znaleźć się jak najprędzej w swej wsi Sekanii. Kiedy odszedł, Józef zapytał ben Ismaela:

— Cóż to cię tak pociąga, rabbi, do tych nazareńczyków? To bowiem, co przeczytał ten człowiek, jest ubogie, a jednak słuchałeś ze skupieniem.

Ben Ismael odparł:

— Myślę, rabbi Józefie, że jesteśmy zbyt zadbani w sobie; wstydzę się ciemnoty naszej wiedzy. Ci szukają Boga prostym umysłem i na prostej drodze. Czasami wydaje mi się, jak

gdyby byli bliżsi Jehowy niż my z naszą przepastną uczonością. Ponadto oni zostawiają drzwi do Jehowy otwarte dla całego świata, podczas gdy nasze rytuały coraz bardziej zacieśniają dostęp do Niego i coraz bardziej go utrudniają.

— Wydaje mi się, że wiem, co masz na myśli — rzekł Józef. — Ale jakże mają postępować ci z Jawneh, odkąd Rzymianie zabronili obrzezania? Co począć z poganinem, który chce do nas przystać? Czy należy mu radzić żeby zaniechał obrzezania i popełnił grzech śmiertelny? A może mają go obrzezać, może należy doprowadzić do tego, by Rzymianie zabili i nawracających, i nawróconego? Czy to, że rytuał staje się coraz ciaśniejszy, coraz bardziej nacjonalistyczny, nie jest następstwem ucisku z zewnątrz?

— Są ludzie — rzekł Acher — którym zakaz obrzezania był bardzo na rękę. Nasz uczoney w Piśmie, rabbi Świątyni

Jerozolimskiej, nie był mu, tak mi się przynajmniej wydaje, zbyt przeciwny. Stanowił dla niego dobry pretekst odgródzenia Zakonu Pańskiego od wpływów zewnętrznych.

— Jestem przekonana — gorączkowała się z natury gwałtowna Channa — że najchętniej sam byłby poprosił Rzymian, żeby wydali ten zakaz. Boi się prozelitów. Chciałby ich trzymać z daleka. Odczuwa strach przed każdą nowością, która mogłaby się wsączyć do nauki. Zanim wchłonie to, co nowe, chce wyrugować, co jeszcze w nauce pozostało głębokie i bogate. Chce, żeby była naga. Chce, żeby była naga, uboga i przejrzysta. Wyznawcy jej mają być jednym wielkim stadem, które łatwo jest strzec, każdy ma być grzeczny i potulny, wszyscy powinni być podciągnięci pod strychulec. On jest pasterzem, kolegium zaś psem owczarskim, a nieposłusznych się zarzyna.

Ben Ismael przeciągał lewą ręką po łysym czole, skubał machinalnie brwi.

— Nie mów o tym, o czym nie masz pojęcia — poprosił. — Godność uczonego w Piśmie jest ciężka. Jesteśmy z natury skłonni do rozbiegania się jak mrowie po całym świecie. Musi być ktoś, kto nas spaja i jednoczy.

— Proszę tylko posłuchać, rabbi Józefie — biadała Channa. — On jeszcze broni tego, co go bije. Tak, jedność nauki istnieje, istnieje również żelazna rama trzymająca prawo jak w kleszczach, ale rama ta jest tak twarda i ciasna, że zabija wszystko, co jest w nauce żywe. Słyszałeś o owym Dniu Pojednania, rabbi Józefie? W tym dniu ben Ismael poczuł się w żelaznych kleszczach.

— Bądź rozsądna, Channo — upomniął ją ben Ismael głębokim głosem. — Nie ma innego środka na zespolenie Żydów poza surową wspólnotą obyczajów i czynów. Trzeba każdemu po kolei przypominać od rana do wieczora, że wraz z nim pięć milionów współbraci modli się teraz do tego samego Boga. Musimy czuć ustawicznie, że jesteśmy częścią tych pięciu milionów oraz ich ducha. Jeżeli tego nie będzie, naród rozpadnie się i zniknie z powierzchni ziemi.

— A dziś zanikła wiara w sens tych obyczajów i czynów — stwierdził Acher z goryczą.

— Nie zapominajcie — uspokajał ben Ismael — że Gamaliel nie wypowiedział dotychczas żadnej opinii o na-zareńczykach. Przestrzegają naszych świąt, chodzą do synagogi, nic nie staje się nieczyste przez zetknięcie z nimi. Ilekroć koledzy Helbo, Jezus albo tkacz Szymon poruszają kwestię, kogo zaliczyć należy do „zaprzańców”, Gamaliel nigdy nie wypowiada choćby słowa na ich poparcie. Jeżeli dziś nauka chrześcijan uchodzi jedynie za „odchylenie”, a nie za „negowanie zasady”, mamy to do zawdzięczenia tylko jemu; wszyscy bowiem wiedzą, że słowa panów kolegów skierowane są pod adresem nazareńczyków. Ale pozwala im mówić i nie wyciąga konsekwencji. Gamaliel nie kocha chrześcijan, ale trzeba przyznać, że w kwestiach dogmatycznych jest liberalny, może bardziej aniżeli ja.

—To dlatego, że nic nie rozumie — stwierdził Acher.

Channa wyciągnęła się jak struna.

— Powiem wam, jak to będzie — oświadczyła. — Tobie, rabbi Elizeuszu, i tobie, ben Ismaelu; przywołuję na świadka tego oto rabbi Józefa, żeby potwierdził moje słowa. Helbo, Jezus i tkacz Szymon często jeszcze będą debatować w kolegium nad tym, gdzie się zaczyna „negowanie zasady”, a gdzie się kończy. Wszyscy będą wiedzieli, że słowa te dotyczą nazareńczyków, więc nikt nie będzie ich brać poważnie ani wyciągać wniosków. Kiedy jednak Gamaliel stworzy wreszcie swoją ramę odgradzającą Zakon Pański, zaczniesz tą ramą zabijać poglądy na naukę, które mu nie odpowiadają. I wtedy dyskusje na temat „negowanie zasady” staną się czymś więcej niż teoretyczną gadaniną. Znam mego brata. Znam go lepiej od was. Znam go jeszcze z czasów, kiedy był małym chłopcem, pamiętam, jak rzucał się z pięściami na każdego, kto go nie słuchał. Nie lubi nazareńczyków. Nie wiem, w jaki sposób przeciwko nim wystąpi. Jestem jednak pewna, że to uczyni, i z pewnością inaczej, niżby ktokolwiek oczekiwał. — Channa nie podnosiła głosu, ale akcentowała każdą sylabę.

— Wszyscy moi przyjaciele — odpowiedział ben Ismael, tym razem nieco bardziej porywczo — są zadowoleni, że istnieją na świecie nazareńczycy. To dobrze, że Jehowa należy nie tylko do uczonych w Piśmie, że należy nie tylko do Żydów. Nauka chrześcijan istnieje po to, żeby ta prawda pozostała w świecie. Nigdy nie pozwolimy, by przeszedł jakiś wniosek skierowany przeciw niej.

— Oczywiście będziecie się opierać, mój drogi — odparła Channa z gniewem i spokojem — i to bardzo gwałtownie, powołując się na przekonujące argumenty. Ale wtedy Gamaliel zaczniesz znowu gadać o jedności nauki i w końcu będziesz obchodził drugi Dzień Pojednania.

— Nigdy — rzekł ben Ismael. Jego piękne, łagodne oczy nabrały fanatycznego blasku, słowo nigdy wypełniło całą izbę.

— Kiedy się słyszy jego głos — ciągnęła gniewnie Channa, ale Józef wyczuł w jej gniewie podziw i przywiązanie — można by pomyśleć, że jest niezachwiany. Ale w końcu wszystko stanie się tak, jak chce Gamaliel. On — zwróciła się do Józefa, wskazując Achera — jest zbyt popędliwy, mój mąż zaś wie za wiele, a zbyt duża wiedza czyni człowieka niezdolnym do stawiania oporu. Brat mój nic nie rozumie, ale wie, czego chce, i wodzi ich wszystkich za nos.

— Nawet dwudziestu z siedemdziesięciu dwóch członków kolegium nie poparłoby wniosku przeciw nazareńczykom — powiedział spokojnie ben Ismael.

— Dlatego że go jeszcze nie poparł uczony w Piśmie rabbi Świątyni Jerozolimskiej, dlatego że pozostał neutralny. Pozwólcie mu odsłonić oblicze, a przekonacie się.

Józef przerzucił wzrok z potężnego czoła ben Ismaela na wzburzoną twarz Channy. Jeszcze brzmiało mu w uszach wypowiedziane przez ben Ismaela „nigdy”. Ale zdawało mu się, że rozgoryczenie Channy jest bardziej dalekowzroczne niż łagodna ufność jej męża.

Channa zwróciła się teraz do niego:

— Istnieje środek na utrzymanie sensu i różnorodności nauki oraz na uchronienie jej przed szkodliwym nacjonalizmem. Możesz nam pomóc, rabbi Józefie. Proszę to uczynić.

Józef zrobił uprzejmą minę, ale w głębi duszy był niezadowolony. Jakże może im pomóc? Czego od niego chcą?

Channa mówiła dalej:

— Rzymianie tolerują w Lud nasze szkoły, ale nie uznają autorytetu naszych nauk i postanowień. Jawneh może z dnia na dzień zamknąć nasze uczelnie. Masz wpływ na gubernatora, rabbi Józefie. Wyjednaj, żeby Rzym przyznał szkole w Lud ten sam autorytet w kwestiach religijnych, którym cieszy się akademia w Jawneh. Wtedy despotyzm mego brata

będzie złamany, wtedy literatura i mądrość grecka zostaną uratowane dla wykształconych Żydów, a masy zachowają naukę nazareńczyków.

Niezadowolenie Józefa zmieniło się w wielkie zakłopotanie, niemal w przerażenie. Znowu narzucano mu powzięcie decyzji, obarczano odpowiedzialnością. Przybył, żeby w Judei zaczerpnąć sił do swojej działalności na obczyźnie. Tymczasem to Judea żąda od niego siły.

Siedzieli długo razem; ściany zaczęły już tonąć w mroku, twarze stawały się niewyraźne.

— Byłoby pięknie — rozległ się w tym mroku głos Achera — gdybyśmy tu, w Lud, założyli akademię, w której nie debatowano by nad prawami i obyczajami, lecz mówiono o Bogu i naukach, w której nie rządiliby kapłani i prawnicy, lecz Prorok, w której nie posługiwano by się argumentami formalnymi, lecz starano się uzgodnić zapatrywania i myśli, gdzie by badano, co znaczą stare obyczaje, ale nie spierano się o ich formy zewnętrzne. Gdzie przejrzystego Filona uzupełniałoby się niejasnym Koheletem i niejasnym Hiobem; uwierzyłbym wówczas, że naprawdę wysła się stąd w świat i szerzy ducha judaizmu zamiast go zacieśniać. Musiałaby to być akademia głosząca, że Jehowa nie jest częścią dziedzictwa Izraela, lecz Bogiem całego świata, łączącym w trójjedności judaizm z chrystianizmem i hellenizmem.

Mięsista twarz Achera straciła smętny wyraz, w słowach jego nie było odrobiny owej drwiącej ironii, za którą zwykł był ukrywać swój wewnętrzny patos. Józef przypomniał sobie wiersze, które czytał, tajemnicze, gorzkie prorocтва na temat sądu ostatecznego. Ten prorok, ten poeta i opętaniec był inny niż wszyscy prorocy. Nie nosił włosiennicy, nie żywił się jagodami i szarańczą, karmił swe tłuste ciało wyszukаныmi potrawami, pielęgnował je kąpielami i wonnościami, brał sobie do łóżka ładną, smagłą kobietę. To, co przez niego jednak przemawiało, było nie mniej namiętne i żarliwe niż głosy tych, którzy wołali na puszczy. Józef czuł, jak gwałtownie zabiega o niego ten młody człowiek, jak bardzo pragnie, by wyraził swą aprobatę dla akademii w Lud, z jaką chciwością ben Ismael czeka na jego odpowiedź. Byłoby cudownie współpracować z takimi ludźmi jak on. Byłoby dobrze zaprawiać własną, przenikliwą trzeźwość ożywczymi wątpliwościami tego młodzieńca, łagodną mądrością starca. Pragnął powiedzieć im: „Założymy tu uniwersytet dla Żydów, Greków i Rzymian, akademię dla obywateli świata. Zostanę tutaj z wami. Pozwólcie mi pracować razem z wami.”

Ale był już za stary. Nie potrafił się przeciwstawić atmosferze pokonanego kraju, zaraził się jego zwątpieniem, zmęczeniem, przytłaczał go smutek. Gdyby spotkał Achera lub ben Ismaela kilka lat temu, powiedziałby chyba tak. Teraz milczał.

Milczenie to nie trwało długo. Ale na tak gwałtowne naleganie możliwe było tylko prędkie, gorące tak, każde ociąganie się znaczyło n i e. Zebrany brzmiały jeszcze w uszach wielkie, marzycielskie słowa Achera, kiedy poczuli, że Józef zawiedzie ich nadzieje.

Ben Ismael zwolnił go od odpowiedzi i przerwał przykre milczenie.

— Wróć do rzeczywistości, mój drogi — powiedział do Achera.

Przyniesiono światła i zaczęto rozmawiać na tematy powszednie.

W majątku Pedana oświadczono Józefowi, że kapitan wyjechał na doroczny jarmark do Emmaus. Józef nie chcąc odkładać spotkania ruszył tam konno.

Pamiętał Emmaus jako ładne, niewielkie uzdrowisko; teraz było to duże, hałaśliwe miasto. Flawiusz Silwa osiedlił tu większość owych weteranów, którzy porzuciwszy po wojnie służbę wojskową chcieli pozostać w Judei. Lecznicze źródła otoczono nowoczesnymi greckimi łaźniami, hala miejska i plac, na którym odbywał się jarmark, mogły znajdować się również dobrze gdzieś w Grecji. Józef szukał słynnej kolumny, którą wzniósł tutaj Juda Makabeusz na pamiątkę zwycięstwa. Ale nie znalazł jej; zasłaniała ją buda jarmarczna, której właściciel prezentował tańczącego wielbłąda.

Józef kazał się zameldować u Pedana. Słyszał, jak Pedan stęknął i głośno zapytywał

niewolników, czy nie byłoby lepiej Żyda wyrzucić za drzwi. Wreszcie wprowadzono Józefa do dużego pokoju, gdzie panował ogromny nieład. Kapitan, na pół nagi, lustrował go z zainteresowaniem swym niebieskim szklanym okiem, połyskującym nad zuchwałym nosem o rozdętych nozdrzach.

— Flawiusz Józef — zaskrzeczał — pan sąsiad we własnej osobie! Dotychczas miałem tylko przyjemność rozmawiać z twoim włodarzem. Nieznośny człowiek ten twój włodarz! Mam jeszcze pełne uszy jego gadaniny o tych przeklętych akweduktach. Cieszę się, że mam sposobność poznać cię. Właściwie znamy się z widzenia, z czasów, wojny. Pewnie to sobie niechętnie przypominasz, co? Mówiono mi, że w swojej książce, dokoła której tyle robisz hałasu, ani jednym słówkiem nie wspomniałeś o kapitanie Pedanie. Pewnie wiesz dlaczego. Ja i Wieloryb także się tego domyślamy. Jeżeli o mnie chodzi, łatwo to przeboleć. Nigdy nie byłem wielkim zwolennikiem książek. Słowo można przekręcać, różnie tłumaczyć. Chodzi o czyny, prawda? Czyn zostaje. Szczerze mówiąc, nie bardzo w porę przychodzisz. Człowiek ma swoją sześćdziesiątkę na karku, kto wie, jak długo jeszcze pociągnie. Z okazji takiego jarmarku chciałoby się uszczknąć swoją cząsteczkę, spróbować wina, dziewczynek. Kazałem sobie zarezerwować niewolnicę, bezwstydnie drogą, ale myślę, że ją jednak kupię. Powiadam ci, plecy pierwsza klasa! Nawiasem mówiąc, twoja rodaczka! Siadajże, niechże ci się przyjrzę. O ile pamiętam, niewiele się zmieniłeś. Tak, każdy z nas przez ten czas doszedł do czegoś. Przynajmniej ja żyję tutaj wygodnie, cieszę się poważaniem. Jest się panem w tym kraju i przyjemnie pomyśleć, że człowiek przyczynił się trochę do tego stanu rzeczy. No, ale opowiadaj teraz, Józefie Flawiuszu. Jak się czujesz, kiedy „to coś” czasami oglądasz?

Człowiek ten powiedział „to coś”. Czy można sobie wyobrazić bardziej bezczelne szyderstwo? „To coś” — tak nazywali żołnierze Świątynię, która tyle lat wznosiła się przed nimi dumna i niedostępna, cała biała i złota. Żądza podeptania buciorami „tego czegoś” doprowadziła ich do oblędu, aż wreszcie czerwona, ordynarna łapa kapitana Pe-dana zburzyła „to coś” naprawdę.

Józef spojrział na tę rękę. Była szeroka, sinoczerwona, pokryta jasnymi włoskami, brzydka, niezgrabna. Ale była żywa; dziś jeszcze umiała z pewnością mocno chwytać i wymierzać tęgie ciosy. Józef przyglądał się człowiekowi, do którego ta ręka należała. Chodził tam i z powrotem, rozrośnięty, barczysty, z czerwoną twarzą, jasną czupryną, mocno przyprószoną siwizną. Był tylko w bieliźnie, może wyszedł właśnie z czyichś objęć. Pedanowi, laureatowi wieńca z ziół, najwyższego odznaczenia, jakie mógł zdobyć żołnierz, wolno sobie pozwolić na to, żeby go przyjąć w tym stroju; chyba przyjąłby tak samo nawet gubernatora. Uważał się za największego człowieka w całej prowincji, może tak też było. Tajemniczy lęk, który od czasu wojny budził w ludziach, działał silniej niż wieniec z ziół; choć sąd wojenny wydał wyrok uniewinniający, cały świat wiedział, że to on rzucił płonącą pochodnię do Świątyni.

W tej glorii chodził Pedan po kraju od lat dziesięciu i wygrzewał się zuchwale w blasku jej, promieni. Jak mogli Żydzi w Emmaus, Gazarze i Lud znieść widok tej czelnej, wygolonej twarzy, jak mogli znieść skrzeczenie wydobywające się z tych ust? Jak mógł to znieść Józef?

— O ile zdołałem dotychczas zaobserwować, kapitanie Pedan — powiedział siłąc się na ton chłodny i obojętny — okolica tutejsza jest żyzna, a klimat łagodny. Nasze posiadłości są w kwitnącym stanie, zarówno twoje, jak moje. Włodarz mój twierdzi jednak, że stan ich byłby jeszcze bardziej kwitnący, gdyby sprawa akweduktu została wreszcie uregulowana w rozsądny sposób.

Słynny centurion piątego legionu zagrzemiał tubalnym śmiechem.

— Twój rządca ma chyba rację, Flawiuszu Józefie — powiedział dobrodusznie. — Ale widzisz, nie chcę, żeby sprawa akweduktu została uregulowana w sposób rozsądny. Zarobiłbym

na tym, to prawda. Ale twój sławetny rządca zarobiłby jeszcze więcej. A to, wyobraź sobie, mi nie odpowiada. — Łypnął na Józefa żywym, niebieskim okiem, duże szklane oko patrzyło nieruchomo; sporządził je Kri-tiasz, najlepszy z owych specjalistów, którzy wprawiali oczy posągom. — Mówiono mi — ciągnął dalej — że znasz się nieco na rzymskiej strategii, Flawiuszu Józefie. Zdaje się jednak, że na kapitanie Pedanie się nie znasz. Stary cesarz Wespazjan i Wieloryb nieraz zapraszali mnie usilnie do Italii. Weronę, gdzie się urodziłem, to piękne miasto, gdybym jako odznaczony wieńcem z ziół osiadł tam ze swoim okazałym trzosem, miałbym, na Herkulesa, piekielnie miłe życie. Dlaczego, mój Flawiuszu, rzeczoznawco i kronikarzu armii rzymskiej, kapitan woli pozostawać w tej waszej zawszonej Judei i prawować się z twoim włodarzem, którego nawet nie może iść po rzymsku walić po łbie pałą z winorośli? Stoisz tu, mój wielce uczonej panie, i nie wiesz, co odpowiedzieć.

Podszedł do Józefa, tak blisko przysunął swą różową twarz, że Józef poczuł jego oddech i zapach jego cielska.

— Jestem tutaj — powiedział — bo wprawdzie „to” zostało starte na proch, ale za wiele z tego, co do was należy, wznosi się jeszcze. Od pewnego czasu weszło w Rzymie w modę nowe słowo: humanitaryzm. Głupie słowo, nie znoszę go, daleko się nim nie zajdzie. Zwłaszcza jeśli się ma z wami do czynienia. Należało was wtedy zmiażdżyć, rozdeptać. Ale w Rzymie bawią się w ten swój przekłety humanitaryzm, mówią nie, plotą bzdury, że trzeba rozróżnić państwo od religii, a religia jest przecież dozwolona.

To wasza banda ich tym zatrąła. Jesteście piekielnie chytry. Wyliście już z entuzjazmu, kiedy zjawiła się w Rzymie wasza Berenika, by złapać na wędkę Wieloryba. Na szczęście bogowie popsuli wam szyki. Ale jesteście równie twardzi i uparci, jak chytry, nie można być z wami dość ostrożnym. Widzisz, dlatego tu jestem. Nie należę bowiem do zwolenników humanitaryzmu. Jestem za tym, żeby to, czego się nie cierpi, wyrwać z korzeniami, unicestwić, wdeptać w ziemię. Na to, żeby wam znowu rogi nie urosły, musi tu być człowiek taki jak ja. Spójrz na nasze Emmaus. Jest tu mnóstwo kolegów, ludzi z piątego legionu, oficerów i szeregowców, chłopów na schwał. Ale z takimi podstępными drabami jak wy nie umieją sobie poradzić. Gdyby mnie nie było, może daliby się przez was pokonać, przeprowadziliby akwedukty, bo to przecież jasne jak słońce, że to by nam dało jak nic półtora miliona oszczędności rocznie. Ale moi dobroduszni wojacy z piątego nie rozumieją, że i wy zaoszczędzicie te półtora miliona, że za jakieś dziesięć lat zaczniecie nas znowu gnębić; trzeba im to dopiero wbijać w te ich zakute łby. Oto dlaczego i po co, mój szanowny Flawiuszu Józefie, siedzę w tym zawszonym Emmaus zamiast w mojej pięknej Weronie. Zrozumiano? Nie znoszę was, mam nadzieję, że przyjdzie dzień, w którym was zdepcą i zmiażdżą, chcę być tego świadkiem.

Kapitan odsapnął. Wygłosił długą i, jego zdaniem, dobrą mowę, odświeżyło go to, że mógł ją wypalić prosto w chudą, brodatą twarz tego milczącego Żyda. Z dołu płynął gwar jarmarczny. Gdzieś z daleka rozległa się głośna piosenka piątego legionu:

*Nasza Piąta, nasza Piąta
Dzielnie zwija się i krząta,
Raz, raz!
Bo ta Piąta, wiedz, kolego,
To jest legia do wszystkiego.
Pierze wroga — i koszule,
W kocioł trony — i cebulę —
Raz, raz!*

Józef wiedział od dawna, że w tym człowieku skupiła się cała nienawiść Ezawa do

Jakuba. Co zawiniła Pedanowi woda, która miała zraszać jego drzewa i pola? Ale on tej wody nienawidził, ponieważ miała również zraszać drzewa i pola Żyda. Nie należało do przyjemności wysłuchiwanie słów plugawego tryumfu, padających z tej bezczelnej gęby. Ale człowiek dowiadywał się chociaż, że niełatwo da się osiągnąć porozumienie z tymi, do których Pedan należał; stwierdzenie tego było pozytywne.

— Wydaje mi się — rzekł Józef nawet bez ironii w głosie — że nieprędko dojdziemy do porozumienia w sprawie przeprowadzenia akweduktu.

— I mnie się też tak zdaje — powiedział kapitan Pedan z uśmiechem.

Wartownik rzymski pełniący służbę na wzgórzu Widok, na północ od miejsca, na którym przed dziesięcioma laty wznosiła się Jerozolima, przestał nagle ziewać i wytężył wzrok. Istotnie, człowiek na koniu nadjeżdżał, zbliżał się. Widać było teraz, że twarz jego ma typ wybitnie żydowski. Może będzie z tego zabawa, może, jeżeli ten osobnik nie ma przy sobie odpowiednich glectów, można by go poddać oględzinom, czy zachował jeszcze napletek. Jak głosił bowiem napis, umieszczony opodal po łacinie, grecku i aramejsku, Żydom nie wolno przekraczać granic dawnej Jerozolimy, a posuwanie się w głąb terytorium było im wzbronione pod karą śmierci. Czasami żołnierze robili kawały, przepuszczali ludzi, w których wietrzyli Żydów, i poddawali ich później oględzinom. Na przestrzeni dziesięciu lat okazało się dwukrotnie, że Żydzi naprawdę wtargnęli na zakazany obszar.

Tymczasem jeździec zbliżył się. Był to człowiek lat około czterdziestu, o wybitnie żydowskim typie, ubrany w zwykłe szaty. Zmierzał wprost ku żołnierzowi pełniącemu wartę. Jakiś głupiec! Zatrzymał się, oddał pozdrowienie. Żołnierz, usposobiony dobrodusznie, powiedział:

— Wynoś się, człowieku — i wskazał ręką napis wyryty w kamieniu.

Tymczasem pozostali żołnierze wyszli z wartowni. Przybysz wyciągnął z kieszeni papier i pokazał go żołnierzowi.

— Zawołajcie swego kapitana — powiedział.

Kapitan przeczytawszy papier uklonił się.

— Czy mogę zaprowadzić cię do pułkownika, Flawiuszu Józefie? — zapytał.

Żołnierze spojrzeli po sobie. Znali to imię. Odkąd tu kwaterowali, Żyd po raz pierwszy wkroczył na ten obszar.

Pismo gubernatora polecało dać Józefowi wstęp na całe terytorium dawnej Jerozolimy i okazywać mu wszelką pomoc. Komendant obozu, pułkownik Bellius, nie wiedząc dobrze, co ma począć ze swym dostojnym i kłopotliwym gościem, zaofiarował mu jako eskortę jednego ze swych oficerów, ale Józef odmówił uprzejmie.

Wędrował samotny przez skwar i pustkowie. Kiedy dziesięć lat temu był świadkiem, jak zgodnie z obyczajem w na pół zniszczonej części miasta zaorywano ziemię pługiem, miał wrażenie, że pług ten przeoruje jego własne ciało. Ale pustka i zniszczenie, oglądane dzisiaj, wydawały mu się gorsze. To, co się stało wówczas, jednych wyniosło wysoko w górę, drugich strąciło w otchłań, dziś miało się wrażenie, że ten pustynny obszar chce człowieka pochłoniąć. Józef nie potrafi chyba nigdy wyzwolić się z obezwładniającego smutku, wywołanego tym widokiem.

Coraz wolniej wędrował Józef po wzgórzach i dolinach. Z całego wielkiego miasta stały jeszcze tylko wieże Fazael, Mariamne i Hippikus oraz część muru zachodniego. Mur ten kazał Tytus swego czasu pozostawić na znak, jak wspaniale obwarowana była ta Jerozolima, która ulec musiała jego fortunie. Wszystko inne zostało zrównane z ziemią z energią i znajomością rzeczy. Łomy, łopaty, maszyny; Rzymianie musieli się niewątpliwie dobrze napracować, zanim udało im się doszczętnie zburzyć mury Świątyni i licznych pałaców. Trzeba przyznać, że wykonali swe

zadanie gruntownie i bez zarzutu. Wszędzie piętrzyły się wysokie zwały szarozółtawego gruzu; mialki pył wdzierał się przez ubranie do skóry, wypełniał usta, nos i uszy. Rozpalone powietrze drgało. Oczy i nogi Józefa szukały ziemi, odrobiny poczciwej, gołej ziemi. Ale znajdowały tylko żółtawoszary, żółtawobiały pył. Od czasu do czasu strzelało jedynie jakieś zielsko albo spośród pogruchootanych kamieni wyłaniało się małe, zuchwałe drzewko figowe.

Z trudem, pochyłony, krok za krokiem, niepewnie, szukał Józef swej drogi. Kto jak kto, ale on znał swoją Jerozolimę. Nie można było jednak nawet odszukać tablic z nazwami ulic. Orientował się jedynie po wzgórzach i dolinach oraz po nielicznych studniach, których żołnierze nie zasypali, ponieważ były im potrzebne.

Wdrapał się na teren Świątyni, potykając się o liczne nierówności, ze spuszczoną głową. Gdy dotarł na sam szczyt, przysiadł na ziemi. Rezydowali tu najpierw namiestnicy faraona, później przywódcy Jebusytów, wreszcie zamek i miasto zdobyte zostały przez króla Dawida. Mury były wielokrotnie naruszane, ostatni zniszczył je Babilon, ale nigdy, od lat tysięcy, miejsce to nie było tak beznadziejnie spustoszone jak teraz. Wstrząsająco wyglądała naga skała, na której Abraham miał kiedyś ofiarować Izaaka, miejsce stanowiące pępek świata, Święte Świętych, którego w ciągu setek lat nikomu nie wolno było przestąpić z wyjątkiem arcykapłana w Dniu Pojednania. Teraz skała była znowu naga, jak zapewne dwa albo trzy tysiące lat temu. Rozpinało się nad nią czyste, błękitne niebo, dookoła nie było nic prócz zwałów gruzu i żołnierzy rzymskich, którzy mieli pilnować tego pustkowia i baczyć, by pozostało pustym na wieki.

Panował straszny upał, w rozpalonym powietrzu brzęczały komary. Paskudne psisko, należące zapewne do któregoś z żołnierzy, uganiało się po gruzach w pobliżu Świętego Świętych, szczekało złowrogo na samotnego przybysza.

Siedział w kucki z ustami na pół otwartymi, ociążały, obsypany pyłem. Brzmiały mu w uszach rozpaczliwe słowa trenów Jeremiasza: „Jako siedzi samo miasto pełne ludu! Stało się jako wdowa, pani narodów, księżna powiatów stała się hołdowną. Płacząc płakało w nocy, a łzy jego na czeluściach jego: nie masz, kto by je cieszył ze wszech miłośników jego, wszyscy przyjaciele jego wzgardzili je i stali się mu nieprzyjaciółmi. Odstąpcie nieczystości, wołali na nie; ustępujcie, idźcie precz, nie dotykajcie się! Otworzyli na cię usta swe wszyscy nieprzyjaciele twoi, świstali i zgrzytali zęboma i mówili: Pożremy, oto jest ten dzień, któregośmy czekali, naleźliśmy i ujrzeliśmy.”

Nie każdemu dane jest, by stare strofy stały się dlań obrazami i własnym dobrem. Dla Józefa w owej godzinie przebrzmiały treny stały się obrazem i dozonną własnością, nierozdzielnie związaną z jego istotą.

Zapylony wśród tych szarych gruzów, stawał się jak gdyby coraz mniejszy, otaczająca go pustynia przenikała coraz głębiej do jego duszy. Dręczyło go i drażyło pytanie: Dlaczego? Dlaczego Jehowa jak złodziej włamał się do swego własnego domu? Józef zna okoliczności, które temu towarzyszyły. Wie dokładnie, jak Tytus pragnął zburzenia Świątyni i zarazem nie chciał tego. Było rzeczą jasną, że stanowił tylko narzędzie. Śmiesznym więc byłoby wierzyć, że ta wstrętna ręka kapitana Pedana, która wzniciła pożar, była czymś więcej niż narzędziem. A więc dlaczego? Odpowiedź Rzymian nic jest nic warta, tak samo jak odpowiedź uczonych w Piśmie i nazareńczyków. Jedno nie ulega wątpliwości: wina tkwi w Rzymie i w Judei, wśród rabbich i wśród ludu, ale wina wprost ogromna tkwi w nim samym. „Tak, tak, grzeszyłem, tak, tak, byłem zuchwały, tak, tak, błądziłem. Ale gdzie się wina zaczyna i gdzie się kończy?”

Z zamyślenia wyrwał go potężny dźwięk. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że to psalterion, instrument o stu tonach, który stąd aż po Jerycho obwieszczał przeciągłym jękiem początek nabożeństwa w Świątyni. Ale po chwili zorientował się, że to rogi i trąby obwieszczają koniec służby żołnierskiej. Nastąpiła zmiana warty, padały słowa komendy. Zapadł zmierzch.

Józef, złamany, ruszył w drogę powrotną.

Pułkownik Bellius i jego żołnierze byli radzi, widząc, że osobliwy gość oddala się na swym wierzchowcu.

Teraz wreszcie, zobaczywszy taki szmat kraju, Józef zdecydował się odwiedzić Jawneh, miasto, które po upadku Jerozolimy Żydzi uważali za swoją stolicę, tu bowiem znajdowała się siedziba akademii żydowskiej i Synedrionu.

Przybycie Józefa poruszyło uczonych w Piśmie i ludność. Co robić? Czy anatema, którą rzuciła nań kiedyś Jerozolima, pozostawała jeszcze w mocy? Wiedziano oczywiście, że w mieście Lud nawiązał on przyjacielskie stosunki z ben Ismaelem, Acherem i nazareńczykiem Jakubem. Dopusił się wielu wykroczeń, za które można było wezwać go przed sąd rabbich i wykluczyć ze społeczności żydowskiej. Jeżeli z rabbi Elizeusza zrobiono Achera, kacerza, to ten Józef syn Mateusza był arcykacerzem. Z drugiej strony występował w Rzymie wielokrotnie i z powodzeniem w obronie ogółu Żydów, a więc i akademii. Obecność jego w Jawneh była niepokojąca i niemiła.

Uczony w Piśmie rabbi rozwiązał sprawę szybko i po prostu. W sposób niezwykle uprzejmy i serdeczny zaprosił Józefa na spożycie posiłku.

Józef wyczekiwał z przejęciem, jakim człowiekiem okaże się ten Gamaliel, którego Żydzi obrali sobie za przywódcę, a Rzymianie uznali go w tym charakterze. Ojciec uczonego w Piśmie był wicekanclerzem owego nacjonalistycznego rządu jerozolimskiego, który na próżno próbował odwołać Józefa ze stanowiska komisarza w Galilei. Z czasem potężny rabbi Szymon zginął w straszny sposób; sfanatyzowany tłum, dla którego wciąż jeszcze nie był dość gorącym patriotą, rozerwał go po prostu na kawałki. Gamaliel był wówczas niemal chłopcem, właśnie otrzymał tajemnie święcenia, przeznaczające go na arcykapłana; jako potomka prastarego rodu szlacheckiego i Hillela, największego spośród rabbich, przygotowywano go już za młodu do rządzenia. Jochanan ben Zakkai sprytem i energią zdobył dla niego glejt od Rzymian i uratował go z oblężonego miasta. Po śmierci Jochanana ben Zakkai powierzono mu oczywiście przewodnictwo kolegium akademii w Jawneh. Józef miał sprzeczne informacje na temat działalności nowego uczonego w Piśmie doktora. Wielu nienawidziło go, niektórzy go kochali, wszyscy odnosili się doń z szacunkiem.

Gamaliel wyszedł Józefowi naprzeciw szybkimi krokami, powitał go z szacunkiem, objął, ucałował, tytułował czcigodnym rabbi.

— Między ojcem moim i tobą istniała wrogość — powiedział. — Czytałem z zadowoleniem, z jaką rycerską rzeczowością mówisz w swej książce o moim rodzicu. Dziękuję ci.

Józef był rad, że pisząc o uzurpatorze Szymonie nie użył słów bardziej gwałtownych.

Gamaliel skończył niedawno lat trzydzieści. Józefa zdumiewał jego młody wygląd. Rosły, o ruchach opanowanych, miał szczerą smagłą twarz, żywe ciemne oczy. Krótka rudawa broda, czworokątna, starannie przystrzyżona, okalała wydatny podbródek i mięsiste usta, w których tkwiły duże, nieco rzadkie zęby.

Odsunięto zasłonę oddzielającą jadalnię. Udali się do stołu. Pokoje były obszerne, meble, zastawa — książęce. Na ścianach, na mozaice podłogi, na półmiskach i misach widniał emblemat Izraela: winne grono. Uczony w Piśmie rabbi harmonizował z otoczeniem; Józef powiedział sobie, że Gamaliel prezentowałby się równie dobrze i w rzymskim senacie.

— Słyszałem — zwrócił się Gamaliel do Józefa z żartobliwą szczerością, umieściwszy go na honorowym miejscu na sofie środkowej — że moi rabbi robili ci różne trudności, gdyś tu przyjechał. Tak, niełatwo dawać sobie radę z moimi rabbi — westchnął z uśmiechem nie troszcząc się o to, że mówi w obecności kilku owych rabbi. — Nikt nie wie o tym lepiej od

człowieka, który im przewodniczy. Na wszystko i w każdej sytuacji mają pod ręką argumenty. „Służą nieodpartymi dowodami — zacytował po grecku Arystofanesa — że ojciec ma pełne prawo chłostać swego syna.”

— Poucz, proszę — rzekł Józef uprzejmie — człowieka, który wskutek dziesięcioletniej nieobecności stał się obcy swej ojczyźnie, jak się to dzieje, że zabraniasz czytania pism greckich, a sam posługujesz się greckimi cytatami.

— Czcigodny mój Flawiuszu Józefie — odparł uczony w Piśmie rabbi po grecku — polityka zmusza nas do ciągłego obcowania z Grekami i Rzymianami. Nie tylko więc pozwalamy naszym politykom studiować język grecki, ale uważamy, że jest to ich obowiązkiem. Niełatwo oczywiście określić i ustalić, kto ma korzystać z tego pozwolenia. Ale nie jesteśmy małostkowi. Na przykład, widzieliśmy chętnie, że przyjaciel twój Elizeasz, nazywany Acherem, studiował język grecki. Najprawdopodobniej będę musiał wkrótce udać się z kilkoma moimi panami do Rzymu, by załatwić u dworu pewne pilne sprawy związane z akademią. Sądzę, że nie byłoby wskazane, żebyśmy mówili tylko po aramejsku. Nawiasem mówiąc, niektórzy z moich rabbi biadają już teraz nad tym, że popełnię grzech śmiertelny, znajdując się w sabbat na morzu. Sądzę jednak, że wskrzeszenie Judei warte jest dwóch lub trzech sabbatów na morzu.

Kiedy Józef po spożyciu posiłku chciał oddalić się wraz z innymi, rabbi zatrzymał go z uprzejmą natarczywością. Józef został.

— Powiedz mi, rabbi Józefie — poprosił Gamaliel poufale, tonem, jakim wielki pan pyta równego sobie — czy bardzo biadano przed tobą nad moimi despotycznymi rządami? Czy jestem żydowskim Kaligulą, żydowskim Neronem?

— Wielu mówi o twojej tyranii — powiedział Józef ostrożnie.

— Czy pozwolisz — rzekł rabbi — żebym i ja wypowiedział się na temat mojego despotyzmu? Zależy mi na tym, żeby właśnie tobie nie ukazać się w fałszywym świetle. Wiem, że właściwie nie mogę cię już zaliczać do grona naszych. Ujmując rzecz formalnie, winienem pociągnąć cię przed sąd jako kacerza. Ale nie jestem głupcem, widzę ludzi takimi, jakimi są, chciałbym powiedzieć ci to, co rzekł kiedyś ów król grecki: „Ponieważ jesteś taki, jaki jesteś, chciałbym, żebyś do nas należał.”

Wstał, poprosił Józefa, żeby się nie podnosił z sofy, oparł się o kolumnę przy drzwiach i począł wygłaszać mowę.

Mówił jednak tak prosto i skromnie, że słowa jego nie robiły wrażenia oracji, a raczej poufnego zwierzenia.

— Przeciwnicy zarzucają mi, że rezygnuję z uniwersalizmu, który zaleca nauka. Nie rezygnuję. Ale wiem, że na razie urzeczywistnienie tego uniwersalizmu jest niemożliwe. Są w nauce przepisy stosowne dla każdej epoki oraz przepisy natury tak idealnej, że mogą być wykonane dopiero po zjawieniu się Mesjasza i dopiero wtedy, kiedy wilk będzie się pasł obok jagnięcia. Przyjrzałem się wilkowi dokładnie — na razie wydaje się mało do tego skłonny. A więc niechaj jagnię ma się lepiej na baczności.

Znam mego Filona i wiem, że celem ostatecznym pozostaje napełnienie świata duchem judaizmu. Zanim będzie to jednak możliwe, trzeba przede wszystkim myśleć o tym, żeby ducha judaizmu ochronić od zagłady, jest bowiem zagrożony. Rzekł Jehowa do Izajasza: „Mało na tym, abys nie był sługą na wzbudzenie pokoleń Jakubowych i na nawrócenie drożdzy Izraelowych; oto dałem cię na światłość narodów, abys był zbawieniem moim aż do kończyn ziemi.”

„Ogrodzcie Zakon Pański” — uczył Jochanan ben Zakkai. Jest to obowiązek, chcę wznieść tę ścianę i za tę ścianę nie wyglądam i wyglądać nie chcę. Nie po to zostałem tutaj postawiony, żeby tworzyć historię świata. Nie mogę myśleć na pięć stuleci naprzód. Będę zadowolony, jeżeli dzięki mnie judaizm przetrwa przez najbliższych lat trzydzieści. Moim

obowiązkiem z urzędu jest, żeby pięciu milionom Żydów na ziemi wolno było czcić Jehowę, jak to czynili dotychczas, żeby lud Izraela został zachowany, żeby podawana z ust do ust nauka była przekazywana późniejszym pokoleniom w formie niesfałszowanej, tak jak kiedyś mnie ją przekazano. Nie jest jednak obowiązkiem mego urzędu dbać o to, żeby Jehowa rządził światem. To jego własna sprawa.

Józef słuchał. Starał się przywołać z pamięci mądrą, smutną twarz ben Ismaela, wysokie czoło, łagodne, fanatyczne oczy. Ale przesłaniało ją smagłe, energiczne oblicze uczonego w Piśmie rabbi; nie udało się również Józefowi usłyszeć głębokiego głosu ben Ismaela. Słyszał tylko przenikliwy głos Gamaliela, przypominający mu głos Tytusa, kiedy mówił o sprawach wojskowych.

— Jestem politykiem — ciągnął dalej ten głos — i robią mi z tego zarzut. Tak, jestem nim. Przyznaję z całą szczerością, że organizacja kolegium interesuje mnie bardziej od kwestii, czy wolno, czy nie wolno zjeść jajka, zniesionego w święto. Chodzi mi o to, żeby nie sześć zdań miało moc decydującą, żeby nie decydowały nawet dwa zdania, lecz tylko jedno. Chciałbym, żeby to jajko wolno było zjadać albo wszędzie, w Rzymie, w Aleksandrii, w Jawneh, albo nigdzie; nie może być tak, by rabbi Perachia zabraniał spożywania go, a ben Ismael pozwalał. Niestety, jedność tę da się osiągnąć u naszych rabbi jedynie metodą despotyzmu. Kiedy pastuch kulawy, mówi przysłowie, kozy się rozbiegają. Nie dopuszczę do tego, żeby moje kozy się rozbiegły. Powiedziałem ben Ismaelowi: „Ani mi w głowie przepisywać ci, w co masz wierzyć. Wyobrażaj sobie Jehowę, jak chcesz, wierz w szatana albo w dobro powszechne. Ale przepisy dotyczące ceremoniału muszą być wyraźne i jasne, tu nie toleruję żadnej niejasności. Nauka Boża jest winem, rytuał to naczynie, jeżeli naczynie pęknie lub się przedziurawi, nauka wypłynie z niego i ulotni się. Nie zniosę żadnego pęknięcia w naczyniu. Nie jestem głupcem, by komuś przepisywać, w co ma wierzyć, ale przepisuję mu, jak ma postępować. Jeżeli uregulujemy postępowanie ludzi, opinie same się ułożą. Jestem przekonany, że wspólnota może być zachowana wyłącznie przez jednolite postępowanie, przez surowy ceremoniał. Żydzi w diasporze rozsypaliby się natychmiast, gdyby nie czuli nad sobą autorytetu. Muszę strzec moich uprawnień, polegających na autorytatywnym regulowaniu ceremoniału. Niechaj sobie każdy ma swoje zdanie o Jehowie, ale nie zniosę we wspólnocie nikogo, kto by chciał mieć własny rytuał.” — Twarz jego skamieniała, utraciła uprzejmy wyraz, stała się twarda i mocna. Twarze takie Józef widywał, kiedy czasami w Rzymie któryś z jego przyjaciół z uprzejmego liberała zmieniał się w Rzymianina. — Spełniam tylko posłannictwo Jochanana ben Zakkai — ciągnął wielki rabbi — nic więcej. Zastępuję utracone państwo nauką. Mówią, że mój regulamin dotyczący ceremoniału jest nacjonalistyczny. A jakież miałyby być? Jeżeli państwo ma być zastąpione przez Jehowę, to Jehowa musi godzić się z tym, że Go bronię przy pomocy środków politycznych, że Go czynię wyłączną własnością narodu. Moi rabbi mówią mi, że nie można rozkazywać jednostce, aby właśnie na dwie godziny przed zachodem słońca odczuwała wszechdobroć Boga, i w dodatku według przepisanej treści. Możliwe, że ostatnia, najżarliwsza modlitwa może być indywidualna, nie związana z żadnym czasem i z żadną formą. Mimo to nakazuję, żeby pięć milionów Żydów modliło się o tej samej godzinie i wypowiadało te same słowa. Coraz większa ich liczba będzie nie tylko wypowiadała słowa, lecz również myślała; wszyscy będą mieli wrażenie, że są ludem jednego Boga, ukształtowanym według jednego wzoru, wypełnionym jednakowym życiem, krocącym jednakową drogą.

Rabbi pozbył się surowości, stał się znowu uprzejmym światowcem. Podszedł do Józefa, położył mu rękę na ramieniu, uśmiechnął się, obnażając duże, rzadkie zęby poprzez rudą, czworokątną brodę.

— Wybacz, rabbi Józefie — powiedział — wygłosiłem przed tobą mowę, jak gdybyś był

moim szwagrem ben Ismaelem. Nawiasem mówiąc, wierzaj mi — dodał śpiesznie — że kocham i poważam ben Ismaela. Bolało mnie tak samo jak jego, kiedy byłem zmuszony kazać mu odstąpić od uczczenia jego Dnia Pojednania. Przyznaję szczerze, że ja na jego miejscu nie zniósłbym tego. Przerasta mnie. Szkoda, że obraca się tylko w sferze idei.

Kiedy Józef zaczął się żegnać, zapewnił go raz jeszcze:

— Z tych, którzy komentują Pismo, ben Ismael jest niewątpliwie człowiekiem najgłębszym i najbardziej uczonym. Powinieneś spotykać się z nim często, rabbi Józefie. Nikt głębiej nie studiował i lepiej nie zrozumiał Filona aniżeli on. Nawet Acher tego nie osiągnął, nie mówiąc już o mnie. Ale jedno zdanie Filona zrozumiałem lepiej niż tamci dwaj. — Zaśmiał się ciepło i serdecznie, zacytował to zdanie. — „To, co nie jest rozsądne, jest brzydkie.”

Kiedy Józef przybył do rabbi Gamaliela po raz drugi, znowu zaproszony na spożycie posiłku, zastał ku swemu zdumieniu Jana z Giskali. A więc Jan istotnie przybył do Jawneh, żeby „przemówić do sumienia ideologów, obcych rzeczom tego świata”.

Rabbi uśmiechnął się.

— Wiem, moi panowie — powiedział — że w Galilei mieliście niegdyś z sobą zatargi. Ale od tego czasu niemało wody przepłynęło w Jordanie i stosunki między tobą a rabbi Józefem jakoś się chyba ułożyły, Janie z Giskali. Wydaje mi się, że wiem, o czym chcecie rozmawiać; proszę tylko, niech rabbi Józef po powrocie do Cezarei zda z tej rozmowy sprawę gubernatorowi. Jestem przeciwnikiem dyplomatycznej skrytości.

Jan z Giskali ruszył więc prosto do celu. Dowodził, że proponowany przez rabbich bojkot gruntów w drodze ustanowionego przez Rzymian przetargu nie ma sensu. Miał być wyrazem protestu i obrony prawa, rząd bowiem, mimo iż w cztery lata po zakończeniu wojny oświadczył, że powstanie zostało zlikwidowane i porządek w kraju przywrócony, dziś jeszcze oddaje pod sąd Żydów oskarżonych o udział w powstaniu i konfiskuje ich mienie. Ta argumentacja rabbich jest wcale przekonywająca, ale Rzymianie mają władzę i jeżeli rabbi nie uznają ich konfiskat, to w praktyce mamy do czynienia z dziecinnymi, bezsilnymi dąsami, których skutki obracają się jedynie przeciw samym Żydom. Rabbi mogliby równie dobrze oświadczyć, że nie uznają zburzenia Świątyni. Bojkot przetargów przez Żydów prowadzi jedynie do tego, że Syryjczycy i Grecy nabywają tereny po cenach jeszcze niższych. Uczony w Piśmie rabbi do swoich licznych zasług dołączyłby nowe zasługi, gdyby skłonił kolegium, by nareszcie stanęło na gruncie realnym zamiast hołdować teoretycznemu nacjonalizmowi.

— Masz z pewnością rację, mój Janie — odparł Gamaliel, wstał, poprosił swych gości, żeby się nie ruszali, zaczął swoim zwyczajem chodzić tam i z powrotem. — Ale znacie przecież mentalność moich rabbi. Są uparci jak kozły. Naprawdę nie uznają zburzenia Świątyni. Prawie na każdym posiedzeniu jeden z nich wygłasza długie przemówienie, w którym oświadcza, że utrata suwerenności to tylko stadium przejściowe i że byłoby błędem legalizować ten stan przejściowy, to znaczy rzymskie panowanie, mocą postanowień religijnych. Niemal na każdym posiedzeniu dyskutuje się z wielkim zapałem i nakładem sił, czy i jak należy regulować rytuał składania ofiar w Świątyni Jerozolimskiej, jakkolwiek ta służba już nie istnieje. Na niektórych posiedzeniach dochodzi do sporów, dotyczących sposobów kamienowania, choć przecież wymiar sprawiedliwości nie do nas należy. Nasi rabbi uważają, że uznalibyśmy konfiskatę majątków za słuszną i legalną, gdybyśmy pozwolili na branie udziału w przetargach. Postępowanie takie byłoby, ich zdaniem, zdradą Jehowy i państwa żydowskiego. Kiedy sobie czasami pozwalam zwrócić im łagodnie uwagę, że państwo to przecież *de facto* nie istnieje, wywołuję niezadowolony. Im wystarcza, że istnieje *de jure*.

— Ale Syryjczycy i Grecy — gorączkował się Jan — śmieją się w kułak i nabywają nasze dobra za psi grosz. Nie mówię tylko w moim własnym interesie. Jeżeli o mnie chodzi, to

ciągnę z dotychczasowego uregulowania sprawy tylko korzyści, ponieważ brałem udział w zabronionych przetargach i będę to czynił dalej.

— Na miłość boską — przerwał rabbi, ukazując w uśmiechu duże zęby — nie każ mi tego słuchać. Oczywiście, wiem o tym. Zасыpują mnie skargami i żądaniemi, bym rzucił na ciebie anatemę. Ale wówczas stoję na stanowisku *de jure* moich rabbi i nie przyjmuję faktu do wiadomości. Kiedy moi rabbi zaczynają o tym mówić, jestem głuchy, a póki o tym nie słyszę, fakt *de jure* nie istnieje. — Młody, rosły, uśmiechnięty, stał Gamaliel przed swoimi gośćmi, oparty o jeden z pilastrów odrzwi. — Jestem despotą i nie ma na to rady — zażartował.

— Bądź takim despotą, wielce czcigodny rabbi — rzekł Jan z Giskali — żebyś uratował kraj od dalszych spustoszeń przez ideologię uczonych.

— Cieszę się — odpowiedział poważniejszym tonem rabbi — żeście przybyli, by mi przedstawić sytuację w mocnych słowach. Nie zaznajomiłem się jeszcze do końca z waszym memorandum; jest tam wiele cyfr i danych statystycznych, które trzeba poważnie przemyśleć. Ale dziękuję wam z całego serca, żeście mi dali tyle cennego materiału. Obawiam się jednak, że długo potrwa, zanim będę w stanie obalić to zarządzenie. Wiecie przecież, jak pedantycznie pracuje moje kolegium. Każdy chce uzasadniać swe stanowisko po dziesięć razy, żeby salwować się przed sobą, całym Izraelem i Bogiem. Jeżeli będziemy mieli szczęście, doprowadzę w ciągu roku do zniesienia tego postanowienia.

Rabbi prorokował zbyt pesymistycznie. Nieprzewidziany wypadek umożliwił mu unieważnienie zarządzenia, które uważał za tak szkodliwe.

Zaczęto mianowicie przebąkiwać o tym, w jakim celu przywódca chłopów Jan z Giskali pojawił się w Jawneh. Plotka ta dotarła również do niejakiego Efraima, Galilejczyka, który był podczas wojny dowódcą, podległym Janowi. Ranny dostał się do niewoli rzymskiej, Żydzi aleksandryjscy wykupili go z koszar, gdzie przechowywano materiał ludzki służący do walk zapaśniczych. Ów Efraim nigdy nie sprzeniewierzył się ideałom Zełotów. Nie chciał podporządkować się panowaniu Rzymian. Zdrada Jana, jego odwrócenie się od ideałów, które głosił, przejęły go gniewem. Ruszył w ślad za Janem do Jawneh; pewnego dnia, wkrótce po jego audiencji u Gamaliela, napadł na niego w nocy zza węgła i wymierzył mu sztyletem dwa ciosy w plecy. Przechodnie uratowali Jana, zanim Efraim zdążył doprowadzić swe dzieło do końca.

Zamach wywołał wielkie poruszenie. Flawiusz Silwa dotychczas z uśmiechem przyjmował bojkot zarządzony przez kolegium. Jak to już wyjaśnił Józefowi, bojkot służył przecież tylko temu, by ziemia dostała się w nieżydowskie ręce, sprzyjał jego planom romanizacji Judei. Teraz jednak nie będzie mógł dłużej lekceważyć bojkotu, musi wystąpić przeciw podważaniu rzymskiej suwerenności. Gniew z powodu zamachu oraz strach przed Rzymianami umożliwiły uczonemu w Piśmie zniesienie prawa na burzliwej sesji, która odbyła się już w dwa tygodnie po jego rozmowie z Janem.

Gamaliel odwiedził Jana na łożu boleści, żeby mu to zakomunikować. Galilejczyk był osłabiony, mówił z trudem, ale był pełen wielkiej radości. Pokpiwał sobie z owego Efraima, który go zranił. Rzymianie zużyli niemało pieniędzy i trudu, żeby draba wyszkolić na zapaśnika, a teraz przy zamachu okazało się, że ramię jego jest równie mało warte, jak jego mózg.

— Mamy nowy dowód — zakończył Jan filozoficznie — że istnieje Opatrzność i mądry los. Gdyby nie głupi czyn tego Efraima, głupie postanowienie nie zostałoby tak prędko zniesione. Dowodzi to, że czyn w najwyższym stopniu nierozsądny został popełniony w imię wyższej mądrości.

Mówiąc to wyzwoleniec Juniusz Jan pomyślał sobie, że będzie musiał napisać do Marulla, niech i on ma w tym pamiętnym dniu trochę radości.

Uczeni w Piśmie Helbo bar Nachum, Jezus z Gofny i Szymon, zwany Tkaczem, znowu

poruszyli w kolegium kwestię, jakie to tezy naukowe podpadają pod kategorię „negacji Boga”. Negacja Boga, morderstwo i hańba krwi uchodziły u Żydów za najgorsze ze wszystkich zbrodni, a negacja Boga najgorszą z nich. Nauka nazareńczyków uważana była dotychczas za *szittuf*, należąca do wspólnoty, chociaż była pewnym „odchyleniem”. Kolegium lękało się pójść dalej, drażliwe dyskusje na temat, do jakich granic należy rozszerzyć pojęcie „negacji Boga”, były niepopularne. Tylko ci trzej, Helbo, Jezus i Szymon, zwany Tkaczem, ciągle grzebali się w tym zagadnieniu. I tym razem reszta kolegium pozwoliła mówić tej trójce, ale nie doszło do właściwej dyskusji, nie został postawiony żaden wniosek, nie powzięto żadnej decyzji.

Józef, pomny rozmowy w Lud, skorzystał z ataku trzech rabbi, żeby zapytać Gamaliela o jego stanowisko wobec nazareńczyków.

— Nauki nazareńczyków — odparł czcigodny rabbi — nie mają nic wspólnego z moją polityką, nie przyjmuję ich do wiadomości. Ludzie ci sądzą, że my, uczeni w Piśmie, nie zostawiamy im dostatecznej części Jehowy, i chcieliby na własną rękę wykroić sobie z niego więcej. Dlaczego mam ich pozbawiać tej przyjemności? Poza tym wyznawcami nauki nazareńczyków są niemal wyłącznie ludzie bez jakichkolwiek wpływów, biedni chłopci, niewolnicy; nie naruszają oni przywilejów rabbich autorytatywnego komentowania prawa i ustalania rytuału. Zajmują się zagadnieniami dogmatycznymi, niezyciowymi marzeniami. To religia dla kobiet i niewolników — zakończył pogardliwie.

Józef słuchał ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

— Więc patrzysz spokojnie, rabbi, że ludzie wierzą w Mesjasza? — zapytał. — Nie przeciwdziałasz w niczym propagandzie?

— A po co? — zapytał rabbi. — Jeden z moich rabbich opracował kiedyś wielki projekt kontrpropagandy. Nasi wędrowni kaznodzieje mieli przeciwstawiać się rozumowymi argumentami wszędzie tam, gdzie nazareńczycy głoszą swą naukę. Obiecywał sobie wiele po udowodnieniu, że ich prorok, Jezus Nazareńczyk, w ogóle nie istniał.

— No i? — zapytał Józef zaciekawiony do żywego.

Rabbi uśmiechnął się.

— Oczywiście odprawiłem naiwnego projektodawcę z kwitkiem. Przecież do tłumu, do gromady wiernych i zgłodniałych wiary, me można trafić argumentami rozumowymi. To, co utrzymują nazareńczycy, nie ma nic wspólnego z rozsądkiem, jest poza rozsądkiem, nie można tego ani udowodnić, ani obalić argumentami logicznymi. Chrześcijan tych nie interesuje, czy można istnienie ich Chrystusa udowodnić aktami na podstawie dokumentów. Nie potrzeba im dowodów, są zdecydowani wierzyć w Niego. Przypatrzcie się człowiekowi, który wzniecił teraz powstanie w Syrii i oświadczył, iż jest zmarłym cesarzem Neronem. Zwolennicy jego chcą wierzyć, że Neron żyje, widzi, oddycha. Płyną do niego dziesiątki tysięcy, gubernator musiał wystawić przeciw niemu cały legion.

— To dziwne — zastanawiał się Józef — że tylu wzbrania się przyjąć to, co można im udowodnić naocznie, ale ślepo wierzy w to, co niewątpliwie nie istniało.

— Nie możesz nawet twierdzić kategorycznie, rabbi Józefie — powiedział Gamaliel w zamyśleniu — że ów Chrystus nie istniał. — Widząc zdumiony wzrok Józefa ciągnął dalej z pewnym wahaniem: — Pamiętasz proces prowadzony swego czasu przez arcykapłana Anana przeciwko owemu fałszywemu prorokowi Jakubowi i jego towarzyszom?

— Oczywiście — odparł Józef. — Sprawa sama przez się nie była zbyt interesująca. Myślę, że arcykapłanowi nie chodziło wtedy o fałszywego Mesjasza; chciał skorzystać tylko z interregnum między śmiercią Festusa a mianowaniem nowego gubernatora, żeby przywrócić władzom duchownym prawo autonomicznego wymiaru sprawiedliwości.

— Byłoby lepiej — rzekł Gamaliel — gdyby próby tej nie podjął.

— Tak — przyznał Józef. — Całkowicie mu się nie udało, arcykapłan musiał za nią drogo zapłacić.

— Nie sądzę — rzekł powoli, ociągając się wbrew zwyczajowi, czcigodny rabbi. — Im się jednak dłużej nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do przekonania, że bez tego procesu Mesjasz nazareńczyków nie byłby istniał.

— Musiałeś być dzieckiem, rabbi, kiedy ów proces się toczył.

— Tak — odrzekł Gamaliel — ale znam akta. Kiedy arcykapłan zapoznał mnie z tajemnicą imienia Bożego, dał mi również wgląd do protokołów owego procesu.

— Czy nie zechcesz powiedzieć mi o tym coś więcej? — prosił Józef. Obudził się jego zmysł historyczny, podniecało go wahanie tak zazwyczaj pewnego siebie i ożywionego Gamaliela.

Rabbi ociągał się.

— Nie mówiłem o tym jeszcze z nikim — powiedział po namyśle. — Czy wgłębianie się, w jaki sposób powstała wiara nazareńczyków, ma w ogóle jakiś sens? Przecież to do niczego nie doprowadzi. — Na pół żartem, na pół serio zacytował końcowe słowa Koheleta: — „Nadto, synu mój, więcej nie pytaj: czynienia wiele ksiąg nie masz końca, a częste myślenie jest ciała utrapienie.”

Józef, wielce zaciekawiony i podniecony ociąganiem się uczonego rabbi, nalegał w dalszym ciągu:

— Dlaczego cytujesz mi te słowa? Przecież wiesz, że są sfalszowane. Czy naprawdę cenisz wiedzę tak nisko?

— Nie chciałem cię urazić — powiedział łagodnie Gamaliel. — Lepiej jednak będzie, jeśli o tym nieszczęsnym procesie zapomnimy.

— Ale skoro zacząłeś już o nim mówić — nalegał Józef z wzrastającym zaciekawieniem i dziwnym ściśnięciem serca.

— Sądzę — zdecydował się wreszcie Gamaliel — że upadek Świątyni przekreślił obowiązek tajemnicy i mogę pozwolić, byś się dowiedział, co się wtedy stało. Otóż ów Jakub — zaczął swe opowiadanie — wtargnął ze swoimi towarzyszami do Świątyni — czy niejaki Jezus był wśród nich, nie mogę już dziś z całą pewnością twierdzić — zaczął gromić przekupniów, którzy tam kupczyli przedmiotami przeznaczonymi na ofiarę. Powołał się na to, że w myśl słów proroka z chwilą przyjścia Mesjasza żaden przekupień nie powinien znajdować się w domu Jehowy; oświadczył przy tym, że jest Mesjaszem. Na dowód, że tak jest, wezwał Jehowę w obliczu całego ludu Jego tajemnym imieniem, którego wolno było używać jedynie arcykapłanowi w Dniu Pojednania. Ponieważ włos mu nie spadł z głowy i nie spadł na niego ogień z nieba, wielu uciekło i zaczęło w niego wierzyć.

— Przypominam sobie tylko — rzekł Józef, kiedy rabbi zamilkł — że arcykapłan Anan kazał go uwięzić i oddał pod sąd. Więcej nic nie wiem. Ponieważ był to proces o bluźnierstwo i świadkowie musieli powoływać się na to imię, zarządzono tajność rozprawy. Pamiętam tylko wyrok: sąd kapłanów skazał owego Jakuba i jego towarzyszy na śmierć przez ukamienowanie.

Z wielkim przejęciem czekał, co rabbi powie dalej. Gamaliel, ociągając się w dalszym ciągu, jak gdyby miał wątpliwości, czy powinien dzielić się tym, co mu jest wiadome, mówił dalej:

— Zgodnie z dokumentami było tak. Kiedy arcykapłan Anan zapytał Jakuba: „Czy ty twierdzisz, że jesteś Mesjaszem, prawowitym synem Boga?” — ten zamiast odpowiedzi rzucił mu w twarz imię Boga. Była to odpowiedź, gdyż jak ci wiadomo, imię to oznacza: „Jam jest.” Kapłani i sędziowie przelekli się w swych sercach, wstali, jak nakazuje przepis o bluźnierstwie, rozdarli wszyscy swe szaty. Świadkowie byli zbyteczni. Prorok raz jeszcze rzucił sędziom

bluźnierstwo prosto w twarz.

Gamaliel zostawił Józefowi czas na zastanowienie się nad jego słowami; Józef przypomniał sobie, co odczytał w domu Achera nazareńczyk ze wsi Sekania. Nie była to więc czcza gadanina, zawierała i prawdę, i fantazję.

— Był to ostatni proces przeciw fałszywemu Mesjaszowi — powiedział teraz Gamaliel lżejszym tonem. — Jedyny tego rodzaju proces w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Lepiej by się stało, gdyby i on się nie odbył. A teraz zastanów się, proszę — zwrócił się do Józefa. — Faktem jest, że człowiek mieniący się być Mesjaszem został przez gubernatora Piłata ukrzyżowany jako król żydowski, faktem jest również, że drugi taki Chrystus został przez nas zgładzony. Czy wobec tego jest sens prawować się z nazareńczykami, jak dalece opis życia i cierpienia ich Mesjasza zgodny jest w każdym szczególe z rzeczywistością? O tym, że nie jest tak ścisły, jak raport generała rzymskiego, wiesz sam. Sądzę jednak, że nie o to ci chodzi.

Po chwili zreasumował rzeczowym tonem:

— Niechaj ci wyznawcy Chrystusa wierzą, w co chcą. Pozostawiam każdemu jego indywidualne zdanie o Jehowie i Mesjaszu, dopóki nie narusza ono rytuału. Nazareńczycy trzymają się rytuału, nie znam żadnego wypadku, żeby go łamali. Uspokój swoich przyjaciół — zakończył z uśmiechem. — Nie widzę powodu występowania przeciw chrześcijanom. Dopóki nie tkną mego rytuału, i ja ich nie tknę.

Józef zdał w Lud sprawę ze swej rozmowy z wielce uczonym rabbi Gamaliel; obecny był przy tym Jakub ze wsi Sekania.

Channa wcale nie uważała, by zapewnienia czcigodnego rabbi były uspokajające.

— Znam mego brata — oświadczyła — należy do dobroduszných obłudników. To, co mówi, jest zawsze prawdą tylko w znaczeniu dosłownym. Dobiera słów w ten sposób, że pozostawia sobie swobodę działania. „Kto nie tknie rytuału, tego i ja nie tknę!” A jeżeli tak zacieśni rytuał, że wypadnie go naruszyć? Czy nie ma na to przykładów? Jest tolerancyjny, pozostawia zarówno duchownym, jak laikom swobodę zdania. Ale tylko dlatego, że nie ma siły, by im ją odebrać. Kiedy uzna, że chwila ku temu dojrzała, oświadczy bez ceregieli, że rytuał został naruszony, i przekreśli wolność myśli i słowa.

Ben Ismael pogładził wąską dłonią brwi pod potężnym, wysokim czołem.

— Ach, Channo — powiedział — dla ciebie wszystko jest zawsze takie proste. Gamaliel nie jest obłudnikiem. Nie wierzę w to. Działa wyłącznie z myślą o Izraelu. Powiada: Jehowa jest jedynym dziedzictwem Izraela, jeśli go utraci, jeżeli go zbyt lekkomyślnie ukaże innym i pozwoli sobie wydrzeć, cóż mu pozostaje? Strzeże więc zazdrośnie swego; naszego Jehowę. Słysza naukę, zapewne. Ale tak rozumie swoje posłannictwo i jest odpowiednim człowiekiem, by je spełnić należycie.

Nazareńczyk Jakub powiedział:

— Myślę, że Channa ma rację, słowa rabbi Gamaliela uważam za podejrzane. Jesteśmy Żydami, trzymamy się sumiennie rytuału, żyjemy we wspólnocie z innymi i chcemy w niej żyć. Ale co będzie, jeżeli ktoś, kto nie jest Żydem, przyjdzie do nas i oświadczy: „Chcę być jednym z was”? Czy wolno nam zamykać drogę do nas dlatego tylko, że Rzymianie zabraniają obrzezania? Czy wykraczamy przeciw przepisom rytuału, jeżeli mu powiadamy: „Odłóż obrzęd obrzezania, czekaj, aż ci Rzymianie pozwolą!” Czy rabbi żąda, byśmy ludzi dobrej woli wykluczali od zbawienia? Czyny są ważne, ale czy wiara nie jest równie ważna? Czy nie lepiej dopuszczać pogan nawet bez rytuału niż ich całkowicie wykluczać? — Że zaś ben Ismael nie odpowiedział, Jakub dodał: — Nawet ubodzy duchem czują, że nie wystarczy, żeby Jehowa był Bogiem jednego tylko narodu. Dlatego przychodzą do nas. Lud nie chce teologii, pragnie religii. Lud nie chce żydowskiego kościoła, pragnie judaizmu.

— Tak jest — powiedziała Channa.

— Tak jest — powtórzył Acher.

Ben Ismael milczał. Acher odezwał się szyderczo:

— Od Gamaliela wymagasz, drogi rabbi, tak mało, a od nas tak wiele. Jeżeli Gamaliel ma rację, dlaczego i my nie zadowolamy się strzeżeniem naszego Jehowy?

Dlaczego z takim ogromnym, ciężkim wysiłkiem staramy się uczynić go Jehową całego świata?

— Ponieważ — odparł ben Ismael — jesteśmy słabsi i mniej chytry niż Gamaliel, ale może mądrzejsi. On ma wznieść mury, my — zbudować bramy. On strzeże prawa, by się doń nie wdarł żaden błąd, my winniśmy dbać o to, żeby to, co dobre, nie pozostawało w zamknięciu, lecz promieniowało jak najszerzej. Nie mogę się wyrzec Izraela, a równocześnie nie mogę się wyrzec świata. Bóg chce jednego i drugiego. — Mówił namiętniej niż zazwyczaj, była w tych słowach męka.

Józef odpowiedział powoli; myśli kształtowały się w nim w miarę, jak mówił:

— Niezupełnie cię rozumiem, bracie mój i panie. Twierdzisz, że środki stosowane przez uczonego rabbi dla utrzymania judaizmu są legalne. Jeżeli jednak judaizm przybierze to oblicze, które mu chce nadać Gamaliel, czy nie stanie się nacjonalistyczny, zamknięty w sobie, wrogi światu? Powiadasz, że mamy i to, i tamto. Obawiam się, że jeżeli Gamaliel utrzyma się przy swojej racji, będziemy musieli wybrać albo Judeę, albo świat. A dopóki judaizm nie stanie się takim, jakim chciałby go widzieć Gamaliel, czy nie byłoby lepiej powiedzieć światu tak, a Judei nie? — Śmiało sformułował do końca myśl, której inni lękali się dać wyraz: — Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy poświęcili nasz judaizm na to, by stać się obywatelami świata?

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Pierwszy odezwał się Acher porywczo:

— Nie!

Channa rzuciła jeszcze gwałtowniej:

— Nie!

To samo powtórzył ben Ismael. Wreszcie po pewnym wahaniu wypowiedział również to słowo nazareńczyk Jakub.

Po chwili Józef zapytał:

— A dlaczegóż to nie?

Ben Ismael odparł:

— Uważam, że jedyną drogą do kosmopolityzmu górującego ponad nacjonalizmami jest judaizm. Bóg bowiem Izraela nie jest Bogiem nacjonalistycznym jak bogowie innych ludów — jest niewidzialny w swej istocie i niewątpliwie nadejdzie czas, kiedy na to, żeby być zrozumianym, nie będą mu potrzebne kształty zewnętrzne. Na razie jednak, chcąc uczynić go zrozumiałym, musimy mu nadać kształt, na razie nie można wyobrazić sobie Jehowy bez judaizmu. W przeciwnym razie w ciągu jednego pokolenia rozpląnąłby się w nicość. Czy nie lepiej dać na razie Jehowie cechy narodowe niż dopuścić, by Jego idea zginęła? Nie po raz pierwszy ponadnacjonalistyczna idea judaizmu ukrywać się musi pod grubą maską nacjonalizmu. Na przykład środki stosowane przez Ezrę i Nehemię dla utrzymania judaizmu budzą wielkie wątpliwości. Ale ich kuglarstwo było święte, a powodzenie ich dowodzi, że Bóg je pochwałał. Pismo święte wlecze za sobą wiele balastu, który służył tylko taktycznym celom chwili, ale jedynie w ten sposób można było uratować istotną, ponadnacjonalistyczną ideę. Uważam, że niejedna narodowa śmiesznośćka przeszłości wydaje się uszlachetniona przez wielką ideę ponadnacjonalistyczną.

— Bronisz Gamaliela — powiedział Acher; w słowach jego było więcej smutku niż oskarżenia.

— Muszę — rzekł ben Ismael — ponieważ atakujecie go ponad miarę. Nie wolno nam urywać tradycji narodowej, stracilibyśmy samą ideę wraz z substancją wytwarzaną przez ideę. Brzmi to paradoksalnie, ale jest prawdziwe: duch ponadnacionalistyczny może być przekazywany jedynie w szacie narodowej. Jako historyk, musisz to, mój rabbi, rozumieć — zwrócił się do Józefa. — Z historii ojców rosną w nas nowe siły, wybiegające ponad nasze życie indywidualne, ponad nasze indywidualne poglądy; są one więcej niż narodowe, bowiem historia żydowska to dzieje walki, którą duch musi zawsze toczyć z ciemnotą; ten, kto bierze udział w historii żydowskiej, czerpie z jej ducha. Jeżeli trzy razy dziennie opowiadamy się za naszym żydowskim Bogiem, to trzy razy dziennie opowiadamy się za zasadą duchową, Jehowa bowiem to duch sam w sobie.

Nazareńczyk Jakub powiedział:

— Przyznaję, że duch, nawet najczystszy, nie może się utrzymać bez jakiegoś kształtu. To jednak, co mówisz, ben Ismaelu, bardziej potwierdza moje zdanie, niż je obala. Czy właśnie w myśl tego, co mówiłeś, nie jest naszym obowiązkiem przyjmować tych, którzy chcą uczestniczyć w sprawach ducha? Czy wolno nam ich odrzucać tylko dlatego, że Rzymianie zabraniają obrzezania, uniemożliwiając nam na razie nadanie cielesnego kształtu temu, co duchowe? Myślę, że właśnie ty, ben Ismaelu, winienesz mieć zrozumienie dla drogi wyjścia, którą nam wskazuje jeden z naszych braci, niejaki Paweł.

— Jakież jest wyjście według tego Pawła? — zapytał ben Ismael.

Nazareńczyk Jakub odparł:

— Ów Paweł naucza: „Dla tego, kto się urodził Żydem, obrzezanie jest obowiązujące. Jeżeli jednak chce do was przystać poganin, bracia, zaniechajcie obrzezania.”

— Niebezpieczna nauka — rzekł ben Ismael.

— Mądra nauka — powiedział Acher.

— Z nauki tej — odezwała się Channa — wielce uczony rabbi nie omieszka wyciągnąć konsekwencji, jeżeli spróbujecie zastosować ją w praktyce.

Józef, który nie dał swego syna obrzezać, nie wiedział, czy ma powiedzieć tak, czy nie. To dobrze, że istnieje Gamaliel, a także nazareńczyk Jakub i Acher, i ben Ismael, który pośredniczy między nimi a wielce uczonym rabbim.

Józef opuścił okolice Jawneh i Lud, by udać się do Cezarei, niezdecydowany, czy ma tam opowiedzieć się za akademią w Lud, czy nie.

W Cezarei przyjął go Flawiusz Silwa z hałaśliwą uprzejmością i wypytywał długo i szczegółowo o wrażenia z Judei. Józef chwalił niejedno, ale też nie ukrywał swoich zastrzeżeń.

Wydawało się, że właśnie to połowiczne uznanie cieszy Flawiusza Silwę.

Gubernator był w dobrym humorze. Jego kolega w Syrii miał coraz większe trudności z samozwańczym Neronem; żądał żołnierzy i pieniędzy na zwalczanie zakłócającego spokój awanturnika; w Rzymie zaczęto się dziwić, że uporanie się ze śmiesznym samozwańcem pochłania tyle czasu. Ubolewając nad niemiłą sprawą Flawiusz nie ukrywał satysfakcji, jaką mu sprawiają kłopoty kolegi.

Zabrał swych gości z Judei na planowaną od dawna podróż inspekcyjną do Samarii. Przede wszystkim zależało mu na pokazaniu swego miasta — Flawijskiego Neapolu.

Było istotnie zdumiewające, co w ciągu niewielu lat zrobił z dawnej samarytańskiej miejsciny Sichem. Wyrzewał się w uznaniu swych gości, jak w słońcu, był miły, bardzo dostępny. Józef wyczuł, że to odpowiednia chwila do wytargowania od niego czegoś dla Żydów. Musi teraz poruszyć sprawę akademii w Lud.

Będąc dobrym psychologiem zdawał sobie sprawę, jak powinien zabrać się do sprawy. Mógłby na przykład przedstawić gubernatorowi, jaka byłaby to korzyść dla jego prowincji,

gdyby miała akademię, w której równocześnie nauczano by dyscyplin helleńskich i judejskich. Akademia w Antiochii, dotychczas najlepsza w Azji, nie dbała o potrzeby Żydów, nie liczyła się ze skłonnością Wschodu do przeciwstawiania się światopoglądowi żydowskiemu. Akademia nowoczesna, która by te potrzeby uwzględniała, w przeciągu krótkiego czasu zdystansowałaby niewątpliwie Antiochię i stała się kulturalnym ośrodkiem całego Wschodu. Ściągałaby poza tym do prowincji rzesze bogatej młodzieży z całego świata. Argumenty tego rodzaju oczywiście podziałałyby na gubernatora.

Kiedy Józef chciał rozpocząć rozmowę na temat akademii w Lud, zobaczył w duchu smagłą twarz Gamaliela, okoloną czworokątną brodą, z wystającymi zębami, usłyszał despotyczne, cyniczne słowa uczonego w Piśmie na temat przepisów rytuału, który jedynie zapewnia istnienie judaizmu. Kiedy wreszcie zaczął mówić, stwierdził ku własnemu zdumieniu, że nie przemawiał za miastem Lud i jego akademią, lecz stał się rzecznikiem miasta Thamna i radnego miejskiego Akawii.

Zanim skończył, złościł się sam na siebie. Wymyślał sobie, że odstąpił od zadania ważniejszego i wykorzystał moment dla takiej błahostki, jak sprawa Akawii.

Mówił zresztą bez polotu i gubernatorowi nietrudno było odrzucić jego prośbę.

— Kto sobie pozwala na zbytek — powiedział jowialnie Flawiusz Silwa — okazywania swych uczuć tak ostentacyjnie, jak to czyni twój Akawia, ten musi być również gotów za to zapłacić. Gdybym wypuścił tego draba, w ciągu pół roku oplulibyście mi wszystkie rządowe edykty, a w ciągu dwóch lat zostałyby porozbijane kamienne tablice, które te edykty obwieszają na placach.

Jednak gubernator, tak zwykle wiemy zasadom, wbrew oczekiwaniu zmienił prędko zdanie w sprawie radnego Akawii. Powodem tej zmiany stał się koń Vindeks. Miał biegać na otwarciu stadionu w Neapolu Flawijskim, uległ jednak wypadkowi przy wyładowywaniu go w porcie Joppe. Wiadomość dotarła do gubernatora w Neapolu Flawijskim wkrótce po rozmowie z Józefem. Szalał. Nieszczęśliwy wypadek pozbawił igrzyska największej atrakcji. Natychmiast dał rozkaz ukrzyżowania niewolników, którym powierzono transport konia. Nie wzbogaciło to jednak programu jego igrzysk. Trzeba było za wszelką cenę znaleźć coś, co by zastąpiło Vindeksa. Powrócił do swego pierwotnego planu: postanowił namówić Demetriusza Libana, który dotychczas opierał się jego usilnym naleganiom, by wystąpił w Cezarei, choćby to kosztowało nie wiedzieć ile. Zaczął więc przy kolacji w obecności Józefa mówić o sprawie radnego miejskiego Akawii, tłumaczył raz jeszcze, jakie to względy przemawiają za jego ułaskawieniem, i nagle, ni z tego, ni z owego, przypuścił atak w celu zdobycia aktora.

— Nie chciałbym — przymilał się — żeby Żydzi uważali mnie za swego wroga. Chciałbym pokazać przede wszystkim wam, moi drodzy, jak wielkim jestem ich przyjacielem. Od ciebie, mój Demetriuszu, zależy uratowanie owego Akawii. Jeżeli okażesz mi przyjaźń, nie pozostanę ci dłużny. Weź udział w igrzyskach, a daruję życie twojemu współwyznawcy.

Liban zbladł. Propozycja Silwy, żeby ludziom z prowincji pokazał, jak wygląda prawdziwy aktor, była dla niego od początku wielką pokusą, ale opierał się jej mężnie. Chciał dopełnić ślubowania ku czci Jehowy, zrezygnować ze swej sztuki. Czyż wystąpienie publiczne w Izraelu podczas pokutnej pielgrzymki nie było dziesięciokrotną zbrodnią? Ale ta nowa propozycja obaliła wszystkie jego dotychczasowe skrupuły. Teraz nie chodziło już o niego, teraz szło o życie człowieka, brata Żyda, o którego, rzekłbyś, walczył cały Izrael. Czy jest to znak dany przez Jehowę, czy też znowu szatan wystawia go na próbę? Tak czy inaczej, propozycja ta oznaczała dlań nową walkę.

— Czy mam może zagrać Żyda Apellę? — zapytał z goryczą. Ale tylko Józef zrozumiał, ile w tym pytaniu było goryczy.

Gubernator, nie orientując się w sprawach teatralnych, rąbnął prostu z mostu:

— Zagraj, co tylko zechcesz, Demetriuszu. Zagraj, co ci się podoba.

Ta odpowiedź zbliżyła go do celu o wiele bardziej, niż przypuszczał; obudziła w aktorze rój pociągających marzeń. Gubernator pozostawiał mu wolną rękę. A gdyby tak jeszcze raz spróbować zagrać Laureola? Może drogą okrężną, poprzez prowincję zdobędzie sztuce sukces w Rzymie i w ten sposób jakoś naprawi haniebną wyspę w Albanum? Niewątpliwie Jehowa chciał, żeby grał w Izraelu. Gdyby było inaczej, nie uzależniłby życia Żyda Akawii od jego występów. Prawdopodobnie Jehowa chciał z jego pomocą pokazać poganom, co Żyd potrafi, i tą drogą wymusić na nich szacunek i łagodniejsze traktowanie całego narodu żydowskiego. Liczne myśli i mrzonki tego rodzaju zaprzętały umysł aktora, aż wreszcie odpowiedział łaskawie i z wielkim gestem:

— Ciężko jest oprzeć się takiemu mecenasowi sztuki jak ty, gubernatorze. Może zdecyduję się zagrać pirata Laureola. Wiadomo ci zapewne, gubernatorze, że grałem go dla cesarza i księcia Domicjana na otwarciu Teatru Lucji.

Oczywiście Silwa nic o tym nie wiedział.

— To byłoby cudowne — powiedział z entuzjazmem.

— Namyśle się jeszcze — oświadczył Liban.

Józefowi było wstyd, że nie wspomniał ani słowem o akademii w Lud; nie miał odwagi szydzić z aktora nawet sam przed sobą.

Wkrótce potem gubernator zapytał, co Józef sądzi o uczonym w Piśmie Gamalielu. Sam cenił go bardzo wysoko, uważał za człowieka, z którym można rozmawiać po prostu, bez ogródek. Jest sprytny, świadomy swego celu, zawsze rzeczowy, zasługiwałby na to, żeby być Rzymianinem. Ale on tego nie chce i to jedyny błąd, jaki popełnia.

Zaszło teraz coś, co jeszcze wzmogło podziw Józefa dla mądrości czcigodnego rabbi. Gubernator zaproponował mianowicie Gamalielowi, że zrobi go obywatelem rzymskim i wyjedna mu złoty pierścień szlachty drugiego stopnia. Gamaliel odmówił uprzejmie i stanowczo, ponadto zataił ową propozycję przed Żydami; w przeciwnym razie Józef niewątpliwie dowiedziałby się o tym od ben Ismaela albo od Achera. Było niewątpliwie rzeczą mądrą, że rabbi chciał pozostać Żydem, jeszcze mądrzejsze było to, że nie chcąc drażnić Rzymian publiczną odmową, nie wspomniał Żydom nawet, że istnieje możliwość zdobycia rzymskich godności. Józef powiedział sobie, że na miejscu Gamaliela nie potrafili by oprzeć się pokusie, a przynajmniej temu, żeby nie opowiedzieć innym o swej niezłomnej postawie.

Flawiusz Silwa miał swoje powody, by zapytać Józefa, jakie jest jego zdanie o wielce uczonym rabbi. Wtajemniczył go, że Gamaliel będzie wkrótce miał sposobność okazania swej tak wychwalanej rzeczowości. Musi go postawić przed trudnym zagadnieniem. Mianowicie: nadzieja, że Żydzi po zakazie obrzezania uspokoją się wreszcie i zaniechają fatalnej zabawy zjednywania prozelitów, nie spełniła się niestety. Przeciwnie, w ostatnich miesiącach czynione są z jeszcze większą niż dawniej energią próby nawracania Syryjczyków, Greków i Rzymian na wiarę Jehowy. Wędrowni kaznodzieje wzięli górę ku wielkiemu niezadowoleniu władz. Dotychczas nie można było znaleźć podstawy prawnej do wystąpienia przeciw tym ptaszkom, wystrzegają się bowiem przezornie wzywania swych słuchaczy do ceremonii obrzezania, a religia żydowska jako taka jest dozwolona. Poinformowano go, że ci prorocy-żebracy nie są wcale Żydami, należą do podejrzanej, nowej sekty, której wyznawców nazywają nazareńczykami albo chrześcijanami. Oczywiście przeczą temu gwałtownie, twierdząc, że Żyd pozostaje Żydem, bez względu na to, czy jest faryzeuszem, czy nazareńczykiem, tak samo jak psem jest zarówno szpic maltański, jak dog z Molos. Rzeczoznawcy żydowscy zbywają dotychczas tę sprawę nudną teologiczną paplaniną, w której nie ma nic uchwytnego, ani tak, ani n i e. Flawiusz Silwa ma już

tego dosyć. Wezwał więc wielce uczonego rabbi i kolegium w Jawneh, żeby oświadczyli zwięźle i wyraźnie, czy tych nazareńczyków należy zaliczać do Żydów, czy nie.

Józef był zaniepokojony. W Jawneh okazywano dotąd nazareńczykom wielką tolerancję, choć w gruncie rzeczy większość uczonych w Piśmie była im przeciwna. Czy teraz, wobec presji Rzymu na kolegium, żeby wyrzekło się chrześcijan, nie ulegną podwójnemu naciskowi i nie zechcą pozbyć się niebezpiecznych, wrogich państwu elementów? Z pewnością to uczynią. Józefa dotknęło głęboko, że Channa tak prędko miała wygrać zakład przeciwko swemu mężowi ben Ismaelowi.

W szalonym tempie rozważał, czy istnieje możliwość odwrócenia niebezpieczeństwa od nazareńczyków. Zanim jeszcze gubernator skończył, Józef uświadomił sobie, że jest tylko jedna droga. Nazareńczycy mieli w kolegium niewielkie grono zwolenników, ale głosy ich miały swoją wagę. Tylko dlatego nie mogli przeforsować swego stanowiska, ponieważ nie stał za nimi żaden autorytet państwowy. A gdyby się im tak ten autorytet dostarczyło? Gdyby akademia w Lud, uznana przez Rzym, wypowiedziała się za nazareńczykami, Jawneh nie odważyłoby się chyba przez publiczną wypowiedź o nich ujawnić, że rozłam w łonie judaizmu różni między sobą nawet najdosłojniejszych jego przedstawicieli.

Kwestia, czy w ogóle należy utrzymać judaizm, jeżeli się go uczyni nacjonalistycznym i zrezygnuje z jego kosmopolitycznej misji, która w Lud była jeszcze zagadnieniem mglistym, dalekim i teoretycznym, nagle stała się sprawą o piekającej aktualności. Stawanie po stronie nazareńczyków było prowokowaniem rozdrażnionego Rzymu do represji. Wyrzeczenie się ich prowadziło do jeszcze surowszego i bardziej dumnego oderwania społeczności żydowskiej od reszty świata. Kwestia, czy Józef powinien stać się teraz rzecznikiem akademii w Lud, nabrała nagle olbrzymiej wagi. Gubernator był skłonny go wysłuchać. Sytuacja zdawała się pomyślna, argumenty jego muszą podziałać przekonująco na takiego człowieka jak Flawiusz Silwa.

Wszystko, co w Józefie tęskniło podświadomie za religią, pchało go teraz, by przemówił za nazareńczykami, za ben Ismaelem i Acherem. Ale brzmiał mu w uszach jasny głos Gamaliela: „To, co nie jest zgodne z rozumem, jest brzydkie.” Cel, który przyświecał ben Ismaelowi i Acherowi, jest nierozsądny. Może dałby się osiągnąć za tysiąc lat, ale dziś jest utopią; kroczenie za tą utopią groziłoby istnieniu judaizmu. Ten, kto twierdzi, że Mesjasz już się pojawił, kto zrezygnował z odbudowy Świątyni, przekreśla całą tradycję żydowską. Jeżeli Józef opowie się teraz za akademią w Lud, to uzna zburzenie Jerozolimy i Świątyni za coś nieodwołalnego, to sam się wykluczy z państwa przyszłego Mesjasza.

Milczał. Nie powiedział ani słowa o akademii w Lud.

Nie wiedział, że Gamaliel przez swoich pośredników skłonił gubernatora do zasięgnięcia w Jawneh opinii o nazareńczykach.

Józefa ciągnęło znowu na południe. Najpierw udał się do swojej posiadłości. Chciał tam przed odwiedzeniem przyjaciół w Lud i w Jawneh zastanowić się w spokoju, co odpowie na pytanie: „Dlaczego zostawiłeś nas na lodzie?!”

W trzecim dniu jego pobytu na wsi zjawił się gość niespodziewany: Justus z Tyberiady.

Józef nie widział go od lat sześciu. Był z nim bardziej związany i bardziej mu wrogi niż komukolwiek na świecie. Toczył z nim odwieczny spór, który zaczął się przed szesnastu laty w Rzymie, kiedy się spotkali po raz pierwszy; nie dokończona rozmowa stanowiła sens jego życia. W rozmowie tej Justus był ciągle stroną atakującą, prześladował go szyderstwem i goryczą oraz nienawiścią; Józef ze swej strony nienawidził tego człowieka, który znał tak dobrze jego słabości i ukazywał je w tak bezlitośnie jaskrawym świetle. Żył właściwie tylko po to, żeby dowieść temu człowiekowi, kim jest. To, że dwukrotnie uratował Justusowi życie, że raz zdjął go nawet z krzyża, nie było wystarczającą odpowiedzią i nie zakończyło rozmowy. Czyny te nie skłoniły

Justusa do najmniejszych choćby koncesji. Przeciwnie, podczas gdy cały świat wielił *Wojnę żydowską*, Justus ganił ją jako dwulicową, błyskotliwą, powierzchowną i starał się ją pognębić przez napisanie dzieła głębszego, poważniejszego. Przez wszystkie te lata Józef czekał na dalszy ciąg rozmowy. Kiedy teraz ten człowiek stanął nagle przed nim, przeląkł się, jak mały chłopiec, który nie wie, co odpowiedzieć na pytanie.

Witając gościa kwiecicie, by ukryć niepokój, badał zrazu nieśmiało, potem coraz odważniej poźółkła twarz tamtego. Justus był w tym samym wieku co on, miał lat czterdzieści trzy, kiedy szesnaście lat temu spotkali się po raz pierwszy w Rzymie, byli do siebie zdumiewająco podobni. Teraz podobieństwo to znikło. Twarz Justusa stała się twardsza, sucha, poorana zmarszczkami, była nie tylko żółtawa, ale i szara. Nie nosił brody, był starannie wygolony, trzymał się prosto, znać było jednak, ile go to kosztuje wysiłku. Wówczas, po zdjęciu z krzyża, trzeba mu było amputować lewą rękę powyżej łokcia. Józef zaczął odruchowo szukać wzrokiem kikuta.

Podczas spożywania posiłku Justus był lakoniczny i prawie nie tknął smacznych potraw, którymi go Józef często-wał. Wiedział wszystko, co Józef w ciągu tych lat zrobił i przeżył. Powiedział złośliwie, że Józef pozostał konsekwentny w swej niekonsekwencji i zdecydowanie szedł dalej swoją krętą drogą. Jak się okazało, nie bez powodzenia. Zwycięsko ukończona walka o syna Pawła jest niezwykle podobna do zwycięskiej walki o owych trzech rabbi, których wtedy uratował przy pomocy cesarzowej Poppei; również i skutki są podobne. Ten sam charakter wytwarza, jak widać, stale te same sytuacje i ściąga ten sam los. Justus, tak niegdyś opanowany, zarechotał; ten niemily zwyczaj przyswoił sobie w ostatnich latach.

Pogarda przebija nawet pancierz żółwia. Dawniej zdawało się Józefowi niejednokrotnie, że nie będzie mógł żyć bez pogardy Justusa. Dziś jednak przyjął klujące słowa zgorzkniałego Justusa ze spokojem. Widział, jak Justusowi mimo wysiłków i zřeczności przeszkadza przy jedzeniu brak lewej ręki, wskutek czego jego szybkie ruchy zdawały się jakies obce, sztywne i żalodne. Ogarnęło go ciepłe uczucie do tego twardego, surowego, pobitego człowieka, nie dotknęły go prawie obraźliwe słowa.

Wyczekiwał raczej z napięciem, czego ten Justus od niego chce. Przybył z pewnością do Judei, by zaczerpnąć sił do napisania księgi. To, że obaj równocześnie i z tego samego powodu szukali ziemi ojczystej, było dla niego ważnym potwierdzeniem, gdyż uważał Justusa za największego pisarza epoki, i jego zachowanie było dla Józefa miernikiem własnego życia.

Ale Justus nie wspomniał o celu swej wizyty ani podczas posiłku, ani po nim. Poszli wreszcie spać. Józef spał kiepsko. Przez całą noc spierał się w duchu z Justusem, znajdował trafne odpowiedzi na zdania, których tamten niestety nie wypowiedział. Rozżalenie, którego nie czuł, gdy przebywał z Justusem, trawiło go tym dotkliwiej, kiedy znalazł się sam. „Siedemdziesięciu siedmiu ludzi ma w świecie posłuch; jestem jednym z nich.” Ale ucha Justusa nie potrafił sobie pozyskać.

Nazajutrz nie umiał się już opanować i zapytał wprost, czy może służyć czymś Justusowi. Justus oświadczył, że potrzebne mu jest pozwolenie rządu na cztero- lub pięciodniowy pobyt w Cezarei. Czy Józef, który przez swoje pisarstwo wkrał się w łaski możnych, nie chciałby być w tym pomocny swemu mniej szczęśliwemu koledze?

Józef, zadowolony, przyrzekł. Ze zdziwieniem zapytał, czemu to przypisać, że sekretarz króla Agryppy z powodu sprawy tak błahej zwracać się musi do niego. Okazało się, że Justus nie jest już sekretarzem Agryppy. Od dawna czuł, że króla niemile razi jego szorstkość i niezależność sądu, w ostatnich czasach Agryppa coraz rzadziej korzystał z jego usług. Nie chcąc brać za nic pensji, zwrócił się do Bereniki, kiedy przejeżdżała przez Aleksandrię w drodze powrotnej z Rzymu, by za jej pośrednictwem zbliżyć się znowu do Agryppy. Berenika przyjęła

go uprzejmie. Ale po chwili, Justus nie pamiętał już w związku z czym, rozmowa zesłała na Księżę Estery. Justus pokpiwał sobie nieco z Ahaswera, owego słabego na umyśle króla haremów, który pozwalał na to, żeby mu jego faworyta podszeptowała w łóżku dezyderaty swego klanu. Berenika uznała zapewne, że charakterystyka osoby Ahaswera przez Justusa mierzy w jej Tytusa, i to ją rozgniewało. W każdym razie była wyraźnie nie w humorze. Justus, zraniony w swej dumie, nie poruszył już ani słowem swoich spraw i wolał poprosić Agryppę o zwolnienie.

Józef słuchał tego z ubolewaniem, ale i z odrobiną satysfakcji. Rozumiał dobrze, że Agryppa nie zawsze miał ochotę słuchać rechotania złośliwego Justusa. Dziwne to, że Justus, który w teorii zna się tak dobrze na psychologii, w praktyce ma tak mało znajomości ludzi.

Wobec takiego stanu rzeczy Józefowi nietrudno było namówić przyjaciela, żeby pozostał u niego na wsi, zanim nadejdzie pozwolenie z Cezarei. Czekał na to, że Justus zapyta o jego plany i zacznie mówić o swym własnym dziele. Wreszcie kiedy tamten milczał w dalszym ciągu, zapytał go wprost, czy przybył do Judei w związku ze swą pracą. Justus przytaknął. Józef się uradował i wyraził zdanie, że atmosfera tego kraju, jego koloryt, jego ludzie i język mogą wpłynąć dodatnio i na jego dzieło.

Justus wykrzywił tylko cienkie wargi. Nie przybył tu szukać nastrojów. Szuka materiałów, oświadczył sucho, cyfr, danych statystycznych. Józef był rozgoryczony, że podróż Justusa do Judei okazała się potwierdzeniem tego, co mówił Jan z Giskali, a nie tego, co sam o niej sądził.

Józef i Justus przeprowadzili rozmowę z niewolnikiem Józefa, nazareńczykiem Posłusznym. Obaj rozpytywali go o zasady jego wiary. Justus czynił to w sposób drażniący i wyniosły. Siedzieli w niskiej izbie, która służyła częściowo za kuchnię, częściowo za jadalnię. Był cichy wieczór. Z oddali dochodziło beczenie powracających do domu stad owiec, gdzieś śpiewali jednostajnie niewolnicy w jakimś obcym języku. Obaj panowie wypytywali Posłusznego, jak członkowie ekspedycji naukowej wypytywają synów pierwotnego plemienia. Choć słuchacze byli sceptyczni, chwilami zgryźliwi, Posłuszny cierpliwie tłumaczył im zasady swej wiary; kiedy się poruszał, dzwonek na jego szyi — symbol niewoli — wydawał cichy dźwięk. Justus, mimo wrodzonej pychy i zarozumiałości, zdawał się zaciekawiony. Stawiał ciągle pytania, Józef nie szczędził ich również. Zapadła noc, przyniesiono światła. Pytania padały w dalszym ciągu, Posłuszny był niezmordowany w odpowiedziach.

Kiedy go wreszcie zwolnili, Józef zaproponował Justusowi małą przechadzkę. Justus wyraził zgodę. Noc była przyjemna, Józef stwierdził, że jego trudny na ogół przyjaciel jest w swobodnym, przystępnym nastroju. Chciał ten nastrój wykorzystać, żeby pomówić z nim o kwestiach, które go gnębiły.

Usiedli na brzegu studni. Sierp księżycy w pierwszej kwadrze płynął po mglistym, sinoczarnym niebie, od czasu do czasu ciszę nocną przeszywał urywany krzyk ptaka. Józef otworzył serce przed Justusem, zwierzył mu się ze swych wątpliwości. Ci nieuczni, ci ubodzy duchem, domagają się nagle, by wolno im było uczestniczyć w sprawach związanych z Jehową i nauką tak samo jak uczonym. Czy ich żądania są słuszne? A co sądzić o tolerancyjnych naukach ben Ismaela, o szyderych napaściach Achera, o trzeźwych argumentach politycznych Gamaliela; jedne ciągną Józefa na tę, drugie na tamtą stronę. Tak, Józef nieraz zadaje sobie poważnie pytanie, czy cała ta uczość, cała jego z tak wielkim trudem zdobyta metoda jest czymś więcej niż ułudą, czy tacy ludzie jak nazareńczyk Jakub albo Posłuszny przez swoją wiarę i intencję nie znają głębiej Jehowy i świata.

Justus miał na sobie lekką, letnią szatę; wyglądał przerażająco chudo, a kikut o suchej, pomarszczonej skórze brzydko sterczał z pozbawionej rękawów szaty. Siedział na skraju studni obok Józefa, szczupły, mizerny, opromieniony bladym światłem.

— O mój Józefie — powiedział i swoim zwyczajem zarechotał, tym razem jednak bez goryczy — nie martw się z tego powodu. Nawet twoja uczoność, choć nie wydaje mi się zbyt gruntowna, warta jest zawsze więcej od wiedzy twego niewolnika, płynącej z „pobożnego patrzenia” lub twego nazareńczyka cudotwórcy. Nieraz próbowałem wyciągnąć coś z człowieka sławnego, ale niewykształconego, jednakże pomimo najbardziej obiektywnego podejścia intuicja laika nigdy mnie niczego nie nauczyła.

Kiedy chodzi o zrobienie stołu, o zbudowanie zagrody wiejskiej, o wyleczenie obstrukcji, zwykły rozum ludzki laika może wystarczyć, i wystarczy. Kiedy jednak potrzebuję prawdziwego biurka, idę do wykwalifikowanego stolarza, kiedy chcę mieć dom z prawdziwego zdarzenia, zwracam się do architekta, kiedy dokuczają mi rany, zwracam się do chirurga. Nie rozumiem dlaczego, chcąc dokładniej i głębiej poznać Jehowę, mam iść do ubożego duchem, a nie do specjalisty, który studiował księgi Jehowy. Nie umiem przyjaźnić się z tymi, którzy występują przeciw intelektowi i pod niebiosa wychwalają intuicję. Przecież nie przy pomocy intuicji Pitagoras odkrył, że suma kwadratów przyprostokątnych równa się kwadratowi przeciwprostokątnej, a gdyby inżynier Sergiusz Orata zdał się na swoją intuicję, nigdy nie wymyślono by ogrzewania przy pomocy gorącej wody. Jeżeli stawianie bogatych duchem wyżej od ubogich owym duchem jest racjonalizmem, to jestem racjonalistą.

Pociągnął odruchowo za łańcuch, który wprawiał w ruch koło, podnoszące i opuszczające wiadro studni. Łańcuch zazgrzytał tak głośno, że Justus, przerażony, cofnął rękę. Rozsiadł się wygodniej i mówił dalej cicho, a jednak wyraźnie:

— Niewielka gromadka naszych ojców ruszyła przez pustynię. Nie wiedzieli, co to stałe siedziby, walczyli z dzikimi zwierzętami, z kaprysmi nieubłaganego nieba. Zabijali się wzajemnie, nie mieli czasu na badania, byli zdani na intuicję. Od tego czasu rozmnożyliśmy się, nauczyliśmy się mieszkać we wsiach i miastach, wynaleźliśmy metody ustalania bezspornych faktów drogą logiki. Nie potrzeba nam już intuicji, mamy wiedzę. Jestem rad, że żyję w epoce miast i powiązań społecznych, nie tęsknię za czasami pustyni, intuicji i proroków. Jeżeli ktoś twierdzi dziś, że jest prorokiem, uważam go za oszusta i durnia; kiedy ktoś chce przeciwstawić swą nie opartą o żadne dowody intuicję faktom, które mogę udowodnić, staje się niemiły. Ludzi, którzy chcą mi zabronić posługiwania się głową, uważam za wrogów. Nie widzę powodu, dlaczego ktoś, kto posiada rozum, miałby być mniej zdolny do poznania Boga, aniżeli ktoś, kto go nie ma.

W ciągu ostatnich tygodni ambicja Józefa była niejednokrotnie zadraśnięta. Słuchał teraz z przyjemnością słów Justusa, chciał przedłużyć rozmowę. Powiedział:

— Nie chcesz zrozumieć, mój Justusie, o co tym ludziom chodzi. Ci ludzie wierzą, że jeżeli człowiek w dostatecznej mierze zagłębi się sam w sobie, to może wchłaniać Boga jak powietrze. Uważają, że nadmierna dufność we własną wiedzę tworzy wokół serca coś w rodzaju pancerza, wskutek czego serce zamyka się i nie jest zdolne przyjąć Boga, gdy nadejdzie. Znam ludzi bardzo wykształconych, obeznanym z metodami logicznych dociekań, którzy jednak nie gardzą uczeniem się od nazareńczyków.

Noc była tak cicha, że lekki trzask łamiącej się gałęzi wydawał się głośny; sinawa ciemność zdawała się jeszcze ciemniejsza przez kontrast z rojami lśniących owadów.

— Melodia, którą wyśpiewujesz, jest mi bardzo znana — zaśmiał się Justus. — Powrót na pustynię, ucieczka od cywilizacji, od myślenia, powrót do czystej formy — wtedy znajdziesz Boga. Wszyscy, którym Bóg odmówił zdolności własnego sądu, głoszą to żarliwie. Ale ci, co to głoszą, choć umieją myśleć, stają się jedynie przez tchórzostwo duchowymi zdrajcami: boją się własnego poznania.

Po chwili Józef odważył się posunąć jeszcze dalej. W swoim rozdwojeniu, które go teraz

najbardziej dręczyło, pragnął właśnie usłyszeć zdanie Justusa, tylko jego sąd bowiem uważał za miarodajny.

— Niedawno — wyznał głosem niezwykle miękkim i niepewnym — mogłem zrobić dla nazareńczyków coś, co rozstrzygnęłoby o ich losach. Nie zrobiłem tego. Czasami myślę, że było to niesłuszne, czasami wydaje mi się, że nie powinienem był się uchylać. — Czekał z lękiem, jak gdyby od odpowiedzi Justusa wszystko zależało.

Justus roześmiał się i odparł niemal dobrodusznie:

— Jesteś głupcem, mój Józefie. To, że się uchyliłeś, było pierwszym rozsądnym czynem w twoim życiu.

Józef ucieszył się, że usłyszał wyrok uniewinniający, był szczęśliwy, odczuwał dla Justusa wiele przyjaźni. Ale Justus mówił dalej. Głos jego miał brzmienie wyniosłe, twarde, ostre.

— Nie, mój drogi, nie spodziewaj się niczego po ciasnej, na krótką metę obliczonej doktrynie nazareńczyków. Nauka ich jest dla istot słabych. Łatwo wierzyć w błogie zaświaty, które można osiągnąć samą tylko wiarą. Nauka głosząca, że jeden cierpiał za wszystkich, wskutek czego inni pozbyli się częściowo obowiązku cierpienia, jest dla mnie za tania.

O ile dogmat nazareńczyków jest prostacki, o tyle pojęcia ich o moralności są zbyt wygórowane. Już my wymagamy zbyt wiele. Żądanie, byśmy nie czuli nienawiści do bliźnich, to postulat twardy, ale jednak przy wielkim natężeniu woli człowiek może zapewne wychować samego siebie w myśl tej zasady. Domaganie się jednak, byśmy nadstawiali lewy policzek, kiedy ktoś uderzy nas w prawy, jest nadludzkie, nieludzkie, a więc skazane na to, by pozostać pięknym ideałem czysto akademickim. Nie, mój Józefie, daj mi spokój z tą wygodną mądrością o bierności i wyrzeczeniu.

— Musisz przyznać, mój Justusie — wysunął Józef po chwili inne zastrzeżenie — że wśród Żydów, z wyjątkiem kilku hellenistów, nazareńczycy są dziś jedynymi, którzy jeszcze trwają przy ogólnoludzkich dążeniach Pisma.

— Pojęcie „obywatel świata” u tych ludzi — rzekł Justus z niechęcią — jest artykułem masowym, jak wszystko, czego nauczają. Okupują swój uniwersalizm rezygnacją ze wszystkiego, co jest w judaizmie wielką, potężną tradycją, rezygnują z historii przesiąkniętej duchem. Prawa obywatela świata trzeba zdobyć. Trzeba poczuć nacjonalizm na własnej skórze, żeby wiedzieć, co znaczy być obywatelem świata. Jeżeli mam wybierać między uczonymi w Piśmie a nazareńczykami, to opowiadam się za uczonymi. Ich chytry, ciasny nacjonalizm jest wstrętny, ale przynajmniej nie poddają się, walczą. Żądają, by żyć w oczekiwaniu niebezpiecznego Mesjasza, którego zjawienie się ludzie sami przez swe zachowanie mogą przyspieszyć albo opóźnić. Nazareńczycy poprzestają na czystej rezygnacji. Zadanie polega na tym, żeby nie skostnieć w nacjonalizmie, a mimo to nie rozpuścić się w bezbarwnej miksturze. Uczeni w Piśmie zadania tego nie rozwiązali, ale tym mniej rozwiązali je nazareńczycy.

Zamilkł. Wstali. Szli w milczeniu wśród ciemnej nocy. Kiedy już podeszli prawie pod sam dom, Józef powtórzył pytanie, które postawił Justusowi przed wielu laty:

— Co ma dziś robić pisarz żydowski?

Ale Justus nie dał odpowiedzi. Wzruszył tylko ramionami, dziwnie wyglądało to wznoszące się ramię pozbawione ręki Józef nie wiedział, czy ruch ten nie jest wyrazem beznadziejności. Ale pod drzwiami, przy pożegnaniu, Justus przypomniał sobie może słowa skierowane do Józefa, kiedy spotkali się po raz pierwszy, i powiedział:

— To dziwne. Od czasu zburzenia Świątyni, Bóg jest znowu w Judei.

Czy to była odpowiedź?

Nazajutrz nadszedł paszport Justusa, który niezwłocznie ruszył do Cezarei.

Tego samego dnia Józef napisał na pamiątkę nocnej rozmowy pod studnią *Psalm o trzech podobieństwach*:

*Tym, do których należę,
Przykazał Jahwe,
Iżby się stali solą jego ziemi.
Jakże nam jednak być solą,
Skoro jest tyle wód —
I rozplyniemy się w wodzie,
I rozpuścimy się w nicość,
Że nie zostanie po nas ani śladu,
Ani nawet posmaku —
A nasze posłannictwo przepadnie i szczytnie.
Ale ja nie chcę szczytnąć,
Ale ja nie chcę być solą.
O, jakaż rozkosz być ogniem,
Który się zbywa swych sił,
A jednak nie marnieje ani nie wygasa.
O, szczęsne światło, szczęśliwy płomieniu!
Lecz taki dar ma jeno gorejący krzak.
Sam Mojżesz, który się targnął na płomień
Osmalił wargi
I jeno z trudem wyjąkać mógł słowo.
Jakże mnie, mizernemu, śnić o takim darze!
Nie, nie mogę być ogniem.
Jakąz niedorzecznością jest promienna tęcza,
Gdy strzała słońca przenika przez deszcz...
Ot, radość dziecka dla nas, marzycieli.
A jednak ten właśnie luk Upatrzył sobie Jahwe
Na znak przymierza nad znikomym ciałem.
O, zwól mi, Jahwe, niech stanę się tęczą,
Co szybko gaśnie i ciągle się rodzi
Tylą barw lśniąca, choć z jednego światła.
Most z twojej ziemi do swojego nieba —
Utkany z wody i słońca,
Zawsze obecna,
Gdy deszcz się z słońcem sprzymierzy.
Nie chcę być solą,
Nie mogę być płomieniem,
O Jahwe, spraw, bym był tęczą.*

Józef zadomowił się w swej posiadłości. Rozmowa z Justusem dała mu uspokojenie. Przebywał dużo sam, robił długie, samotne spacerki, ale nie odcinał się od ludzi. Gawędził z włodarzem Teodorosem, z Posłusznym, ze swoimi parobkami i dziewczkami.

Pewnego dnia w owym okresie rozmyślań poszedł do „Studni jałtańskiej”, gdzie mieszkała Mara. Na jego widok oblała się pąsem, ale nie był to gniewny, wrogi rumieniec, którym go powitała, kiedy się zjawił po raz pierwszy.

— Bądź pozdrowiona, Maro — powitał ją Józef aramejską formułką.
Odpowiedziała również formułką:

— Pokój z tobą, mój panie.

Potem jednak zapytała tak jak Dorion:

— Co mamy sobie jeszcze do powiedzenia? — Ponieważ milczał, dodała: — Mam dużo pracy. Winnice są w zaniedbaniu, drzewa oliwkowe niszczej. Oślica sprowadzona z Babilonu będzie miała małe. Trzeba jej troskliwie doglądać, kosztowała bardzo drogo.

— Pozwól mi usiąść i patrzeć na ciebie — poprosił. Usiadł i patrzył na nią. Przybył do Izraela, żeby sobie wyjaśnić pewne sprawy, ale pobyt jego w Cezarei, w Galilei, w Samarii, w Emmaus, w Lud i Jawneh wywołał w nim jeszcze większy zamęt. Spokój, siłę potrzebną dla swego dzieła mógł znaleźć tylko tutaj, w swej posiadłości.

Siedział na murku skąpanym w słońcu, patrzył, jak Mara pracuje bosa, w szerokim kapeluszu słomkowym, który ją chronił od słońca. Siedział cicho, rozmyślał:

Wróci do Rzymu, zanim nadejdą zimowe burze i żegluga zostanie przerwana, tak sobie postanowił. A może mądrzej byłoby zostać w kraju i w spokoju pisać tutaj historię Izraela? Czy jednak, gdyby tu pozostał, kraj, zbytnia bli-

skość spraw i ludzi, płynność stosunków — nie byłaby mu przeszkodą? Czy dla napisania dzieła historycznego nie jest potrzebny również dystans przestrzeni?

Patrzy teraz na Marę tak, jak zapewne Boas spoglądał na Ruth. Ruth była Moabitką, obcą, nie była Żydówką, i właśnie ona, głosi Pismo, wybrana została na matkę rodu Dawida. Pismo nie jest ani ciasne, ani nacjonalistyczne. Jehowa, głosi inny ustęp Pisma, rozgniewał się na Jonasza i ukarał go za to, że chciał głosić swoje słowo tylko Izraelowi i wzbraniał się głosić je wielkiemu miastu Niniwie, którego ludność nie składała się z Żydów. Tak mówi Pismo. On, Józef, poślubił kobietę nie-Żydówkę, jak Mojżesz poślubił Midianitkę. Ale Józef nie jest Mojżeszem i małżeństwo jego niedobrze się skończyło.

Rada lewitów to dziwna instytucja. Kiedy ktoś umiera, nie pozostawiając swej żonie syna, brat jego ma obowiązek poślubienia tej kobiety i spłodzenia z nią dzieci. O ileż większy jest obowiązek człowieka w stosunku do kobiety, której jedyny syn zginął z jego winy. Wielu uczonych rabbi pochwała powtórne poślubienie rozwódki jako czyn szlachetny i zasługę. Gdyby teraz dookoła tej krzątającej się kobiety bawiły się w słońcu jego dzieci, byłby to widok radosny. Gamaliel to człowiek mądry i oddany mu. Gdyby Józef powtórnie poślubił tę kobietę, znalazłby środki i drogi, przy pomocy których wszyscy uznaliby to małżeństwo za legalne i pełnoprawne.

Siedział spokojnie do wieczora, nie zmuszał się do konsekwentnych rozważań, pozwalał płynąć myślom tak, jak chciały. Kiedy nadszedł wieczór, Mara zawołała parobków i dziewczki na posiłek. Cekał, czy nie powie, żeby został. Nie prosiła o to. Pożegnał ją z powagą, uprzejmie i poszedł sobie.

W mieście Lud nie wiedzano jeszcze nic o orzeczeniu w sprawie nazareńczyków, o którym gubernator mówił z Józefem. Ani Channa, ani Acher, ani nawet ben Ismael nie stawiali mu kłopotliwych pytań, czy w rozmowie z Flawiuszem Silwą poruszył sprawę ich akademii. Mimo to znikła poufałość, która istniała przed wyjazdem Józefa między nim a mieszkańcami Lud. Dzięki rozmowie z Justusem odzyskał wprawdzie niemało dawnej pewności siebie, mimo to jednak ubolewał, że przyjaciele w Lud traktują go teraz jak obcego. Wbrew okazywanej na pozór uprzejmości, Channa uważała go niewątpliwie za człowieka słabego.

Dziwną postawę zajmował Acher. Zaprosił Józefa do swego domu, spożyli razem wieczerzę. Obecna była przy niej piękna, smągła Tabita. Acher nie był dziś taki rozmowny jak zazwyczaj. Józef natomiast mówił dużo, opowiadał o gubernatorze, o Neapolu Flawijskim, o Libanie, o radnym Akawii, nawet o Justusie. Acher zwrócił ku niemu wolnym ruchem swą mięsistą twarz, zmrużył smutne, mądre oczy i powiedział:

— Wiele w swym życiu dokonałeś, mówiłeś i pisałeś więcej niż większość innych

ludzi. Nie ulega wątpliwości, że starałeś się zawsze, żeby słowa szły w parze z czynami. Dziwne, że ci się to tak rzadko udawało.

Józef był zaskoczony tym nagłym atakiem. Gdyby nie rozmowa z Justusem, odpowiedziałby gwałtownie. Teraz gorzkie słowa młodego człowieka były mu niemal miłsze od milczenia tamtych. Jeśli chodzi o przeszłość, Akawia miał może rację, w stosunku do przyszłości nie miał jej na pewno. Nie odpowiedział nic.

Smagła, piękna, senna Tabita leżała leniwie rozparta na sofie. Acher powiedział:

— Ale, ale, przetłumaczyłem twój *Psalm kosmopolityczny* na język grecki.

Józef był niezwykle ciekaw, jak strofy jego będą dźwięczały w przekładzie Achera, nie miał jednak odwagi poprosić go, żeby je zarecytował. Lecz Acher, odczekawszy chwilę, zaczął sam.

— Posłuchaj — powiedział, stanął za stołem, oparł ręce o blat, spojrzał przed siebie i spuściwszy wzrok zaczął powoli recytować po grecku.

W przekładzie swym uchwycił każdą wibrację, każdy akcent hebrajskich wierszy Józefa. Tak właśnie wyraziłby Józef swe uczucia, gdyby się był urodził Grekiem. Był porwany pięknnością wierszy, które w obcym, ukochanym, zniechęconym, utęsknionym brzmieniu docierały do jego uszu i serca. Zerwał się, objął Achera, ucałował go.

— Musisz pojechać ze mną do Rzymu, drogi mój Elizeaszu! — zawołał. — Musimy pracować razem. Musimy napisać razem uniwersalną historię Żydów. Ty i ja! Nie wolno ci pozostawać tutaj. Byłoby to przestępstwem wobec samego siebie, mnie, Izraela i całego świata.

Pod wpływem głośnych, namiętych słów Józefa smagła Tabita przestała drzemać, spojrzała na niego z zaciekawieniem. Acher, głaszcząc ją czule, powiedział:

— Śpij dalej, moja gołąbko — Józefowi zaś odparł sucho: — Zapominasz, Flawiuszu Józefie, że chcę doprowadzić do tego, by życie moje było zgodne z moimi słowami. Ciesz się jednak, że tłumaczenie znalazło twoje uznanie.

Ledwie Józef przybył do Jawneh, poprosił go do siebie rabbi Gamaliel. Wiedział już chyba, że Józef nic w Cezarei dla Lud nie przedsięwziął.

— Nie wątpię — powiedział — że wspólni nasi przyjaciele zwrócili się do ciebie ze swoją starą sprawą. Dla autora *Psalmu kosmopolitycznego* przeciwstawienie nacjonalistycznemu uniwersytetowi w Jawneh akademii ponadnacionalistycznej musiało być wielką pokusą.

— Tak było istotnie — odparł Józef z całą szczerością.

— Cieszę się — rzekł Gamaliel — że argumenty moje znalazły oddźwięk w twoim umyśle. Ułatwia mi to prośbę, jaką mam do ciebie.

— Służę — odpowiedział machinalnie Józef.

— Czy wiadomo ci — zaczął energicznie uczony rabbi — że Flawiusz Silwa zażądał ode mnie opinii w sprawie nazareńczyków?

— Owszem — odparł Józef.

— Słyszałem — ciągnął Gamaliel — że gubernator chce radnego Akawię ułaskawić. Czyś to ty sprawił?

— Mówiłem z nim o tym — rzekł Józef. — Gubernator zrobił to dla Demetriusza Libana.

Wielce uczony rabbi usiadł obok Józefa, zaczął mówić z nim jak starszy przyjaciel z młodszym, serdecznie, poufale.

Istnieje wiele nie rozstrzygniętych spraw między Jawneh a rządem w Cezarei. Byłoby dobrze, gdybyśmy tam mieli stałego przedstawiciela. Trzeba nie lada siły, by utrzymać jedność między uczonymi w Piśmie i ludem. Równoczesne reprezentowanie Żydów w Rzymie

przekracza możliwości jednego człowieka.

Po chwili od niechcenia, jak gdyby mówił o pogodzie, zaproponował mu:

— Czy chcesz uwolnić mnie od polityki zagranicznej, rabbi Józefie? Jesteś w tych sprawach bardziej doświadczony i spośród Żydów cieszysz się w Rzymie największym szacunkiem. Myślę, że gdyby człowiek tak zręczny jak ty zajmował się naszymi sprawami, Rzym w ciągu pięciu, sześciu lat dałby nam więcej praw i kolegium w Jawneh przeistoczyłoby się znowu z religijnej reprezentacji Żydów w polityczną. Zawsze mówiłem z tobą, Józefie Flawiuszu, zupełnie szczerze i mam nadzieję, że uważasz mnie za człowieka uczciwego. Podziel ze mną władzę. Pozostaw mi politykę wewnętrzną, zostań naszym posłem w Cezarei. Bądź naszym przedstawicielem w Rzymie. Ty jeden to potrafisz. — Nagle, uderzając w ton żartobliwy, dodał niespodziewanie: — Musisz to zrobić już choćby po to, żeby zaoszczędzić moim rabbi nowej kłótni. Jeżeli odmówisz, sam będę musiał udać się do Rzymu. Pomyśl, jakie wtedy wybuchną spory, czy wolno mi przekroczyć przepisy sabbatu i puścić się w podróż morską do Rzymu.

Józef był człowiekiem spontanicznym, jego szczupła twarz odzwierciedlała każde wzruszenie, Gamaliel mógł stwierdzić bez wielkiego trudu, jak bardzo go ta propozycja poruszyła. Liczne myśli przewalały się przez głowę Józefa. Urząd, który mu Gamaliel proponował, dawał mu wygodną egzystencję, a także czas do pracy nad książkami. Ojczyzna jest słodka i miła. Kiedy odwiedził Marę i siedział na niskim murku w blasku słońca, marzył o tym, żeby pozostać w kraju, na ziemi, która tak długo nosiła jego ojców, oddychać powietrzem, którym oni tak długo oddychali. Pociągający to urząd, mógłby wtedy pośredniczyć między tymi w Lud i tymi w Jawneh. Z Gamalielalem łatwo się porozumieć, a z tymi w Lud można się dogadać. Byłoby to piękne życie. Pół roku w Cezarei, pół roku w swojej posiadłości z Marą. Mógłby wypoczywać, dać odprężenie nerwom, rozmawiać po aramejsku, nie byłby obcym jak w Rzymie. Tutaj zrozumiał, jak wiele mu w Rzymie brakowało. Kiedy przebywa z takimi ludźmi jak Gamaliel, Acher, ben Ismael, czuje, że tkwi w tej ziemi korzeniami. Nawet ciężkie medytacje chłopów galilejskich, abstrakcyjne dyskusje rabbich, ich śpiewne zawadzenia, ich niedorzeczne spory — są mu bliskie. Nie ulega wątpliwości, że wszystko to dodaje mu sił. Czy wolno z tego zrezygnować, stawiać wyłącznie na siebie?

Ale jego dzieło, jego historia? Czy napisana tutaj nie zostanie w szczególny sposób zabarwiona? Czy siłą rzeczy nie wśliznie się do niej mały, banalny, prowincjonalny dzień powszedni?

Gamaliel, jak gdyby odgadując jego myśli, ciągnął dalej:

— Udało ci się w ten sposób napisać historię wojny, że Żydzi czytają ją bez rozgoryczenia, a Rzymianie z radością. Obawiam się jednak — tu wskazał na mozaikę podłogi, przedstawiającą winne grono, emblemat Izraela — że nie doszliśmy jeszcze do tego, by móc pić równocześnie i sok tego grona, i mleko wilczycy. Bóg dał ci wiele sił, ale trzeba być skrojonym na miarę starych proroków, żeby za życia strawić i jedno, i drugie. Rzym jest wielki. Kiedy się tam mieszka, Izrael wydaje się krajem dalekim i małym. Garnki z mięsem są w Rzymie przepełnione po brzegi, tutaj ziemia przestała płynąć mlekiem i miodem. — Wstał, nie oparł się o kolumnę, by wygłosić przemówienie, lecz stanął przed Józefem, położył mu rękę na ramieniu i powiedział serdecznie, niemal ciepło:

— Jestem młodszy od ciebie, może powiesz, że się narzucam. Przyznaję, że udawało ci się dotąd być równocześnie Rzymianinem i Żydem; kiedyśmy wszyscy byli przekonani, że dłużej tego nie zniesiesz, że musisz się na coś zdecydować, znajdowałeś zawsze możliwość dźwignia ciężaru na obu ramionach. Jeśli jednak wsiądziesz teraz na statek, by pojechać do Rzymu, to obawiam się, że będzie to decyzja ostateczna i bezpowrotna. Wolisz być pisarzem greckim czy

żydowskim? Czy potomni mają cię nazywać dziejopisem narodu żydowskiego, czy Palatynu?

Gamaliel mówił żarliwie, utrafił we właściwy ton, Józef czuł bardzo wielką pokusę. Pociągał go kraj, pociągało to, co mu tamten proponował, pociągał sam Gamaliel swoją młodością, siłą, chytrą prostotą, milczeniem i sposobem mówienia. Publiczne załatwianie spraw żydowskich u boku tego człowieka miało swój urok. Czy nie było jednak lepiej zamiast tworzyć historię Żydów w wąskim zakresie napisać ich historię w szerokiej perspektywie?

Gamaliel zorientował się, że każde dalsze słowo osłabi tylko to, co powiedział. Nie nalegał na odpowiedź.

— Przemysł moją propozycję w spokoju — zakończył. — Masz jeszcze sporo czasu, zanim nadejdzie zima i żegluga na morzu zostanie przerwana.

Zanim czcigodny rabbi urzędowo zakomunikował kolegium żądanie Rzymian, wezwał do siebie tych kolegów, którzy uchodzili za przyjaciół nazareńczyków, żeby się z nimi naradzić.

Ben Ismael i jego przyjaciele siedzieli przybici w bibliotece Gamaliela. Zorientowali się od razu, o co chodzi: ochranianie nazareńczyków oraz ich wędrownych kaznodziejów może wywołać nowy ucisk Izraela ze strony Rzymian. Patrzyli na siebie, na uczonego rabbi, nie wiedzieli, co począć.

Wreszcie sam Gamaliel musiał dodać otuchy przybitym. Zależy mu bardzo, oświadczył, na uniknięciu rozłamu wśród Żydów. Przede wszystkim jednak chrześcijanie, żeby nie drażnić Rzymu, muszą zrezygnować z propagandy wśród tych, którzy nie są Żydami, podwójnie niebezpiecznej po zakazie obrzezania. Gdyby ją uprawiali w dalszym ciągu, trudno byłoby utrzymać ich we wspólnocie. Choć wypowiadają czasami poglądy graniczące z negowaniem zasady, większość nazareńczyków tylko w drobnych szczegółach odstępuje od nauki Jehowy. Byłoby najlepiej, gdyby przywódcy nazareńczyków dyskutowali z uczonymi w Piśmie o sprawach spornych publicznie i spokojnie. Ma nadzieję, że dyskusje takie umożliwiłyby kolegium złożenie oświadczenia, iż chrześcijanie należą do wspólnoty żydowskiej.

Nawet ci spośród członków kolegium, którzy mimo jego dotychczasowej neutralności uważali Gamaliela za cichego wroga nazareńczyków, musieli uznać, że propozycja jego była wyjątkowo lojalna. Sami chrześcijanie przyznawali, że w ich poglądach na naukę jest dużo chaosu. Debata proponowana przez Gamaliela pozwalała przywódcom nazareńczyków na dostosowanie swoich zasad wiary do dogmatuuczonych w Piśmie bez zrezygnowania z istoty rzeczy. Propozycja czcigodnego rabbi wskazywała chrześcijanom wyjście z kłopotliwej sytuacji, wspaniałomyślnie składała w ich ręce decyzję, czy w przyszłości chcą pozostać we wspólnocie. Rabbi przychylni nazareńczykom, wychwalając mądrość i łagodność Gamaliela, wyrazili swą zgodę.

Ben Ismael podjął się przekazania propozycji czcigodnego rabbi Jakubowi cudotwórcy ze wsi Sekania, jako uznanemu przywódcy nazareńczyków w okręgach Lud i Jawneh. Stało się to, czego ben Ismael obawiał się w skrytości ducha. Jakub nie zastanawiając się ani przez chwilę odrzucił ofertę. Jego gładko wygolona twarz bankiera zaczerwieniła się nieco, ale zachował spokój; był to jednak spokój sztuczny.

— Nie odwołamy naszych kaznodziejów wędrownych — wywodził. — Byłaby to w naszym pojęciu największa zbrodnia, w istocie rzeczy stanowiłaby negację zasady. Jehowa bowiem jest dla nas Bogiem nie tylko Izraela, ale całego świata i nie rezygnujemy z tego, żeby, tak jak nakazywał, szerzyć Jego naukę wśród pogan nawet teraz, kiedy Rzymianie zabronili obrzędu obrzezania. Głosimy naszą wiarę, cieszymy się, kiedy coraz większa ilość ludzi ją przyjmuje, doświadczyliśmy bowiem na nas samych, że wiara ta jest wielką pociechą i każdy, kto ją wyznaje, znajduje ochronę.

Odrzucamy również dyskusję z uczonymi w Piśmie na temat naszej wiary. Nie możemy

tego zrobić, nawet gdybyśmy chcieli. Żaden z nas nie ośmieli się przemawiać w czyimś imieniu, każdy musi mówić za siebie. Różnimy się od uczonych w Piśmie tym, że nie zmuszamy nikogo do zajmowania jakiegoś z góry określonego stanowiska wobec naszej nauki. Nie ważymy na szalach argumentów logicznych i teologicznych, zagłębiamy się w historię naszego Zbawiciela. Czerpiemy naszą wiarę z Jego słów i z naszych serc. Każdemu z nas pozwalamy rozumieć słowa Zbawiciela na swój własny sposób. Nikt nie jest zobowiązany przyjąć interpretacji drugiego. Wielu z nas nazywa siebie samych „wiernymi”, ponieważ nie przyjmujemy po prostu przepisanych poglądów, lecz każdy stara się wygrzebać swoją wiarę z własnej piersi.

Nie mamy dla naszej wiary żadnych granic i mieć ich nie chcemy. Nie mamy nawet wspólnej nazwy. Zwiemy się na przemian wiernymi, ubogimi, chrześcijanami. Określenie naszej wiary musimy pozostawić uczonym w Piśmie, mają więcej zaufania do swej mądrości. Sami nie potrafimy nadać naszej wspólnoty żadnego imienia, nie chcemy też tego, jesteśmy na to zbyt pokorni.

Uważamy się za Żydów. Wierzymy w to, w co wierzą uczeni w Piśmie, trzymamy się* zwyczajów przepisanych przez nich. Ale więcej od nich wierzymy i podporządkowujemy nasze życie surowym zasadom. Wierzymy nie tylko w kapłanów, ale i w proroków. Oddajemy cesarzowi, co cesarskie, ale nie wierzymy, żeby zakaz cesarza mógł nas zwolnić od obowiązku trzymania się przepisów Jehowy. Sądzymy, że jesteśmy dziećmi nie tylko Boga żydowskiego, lecz Boga w ogóle. Nie chcemy nikogo wyciągać spoza jego granic, jeżeli dobrze mu w ciasnocie, ale zadaniem naszym jest sławić szerokie tchnienie Jehowy. Chcemy teologii, ale chcemy także religii. Chcemy kościoła żydowskiego, ale poza nim chcemy judaizmu.

Czy nie widzisz, ben Ismaelu, który się do nas przychylnie odnosisz i nie jesteś daleki od naszej wiary, że rabbi Gamaliel chce nam tylko przez swoją propozycję zarzucić pętlę na szyję? Będą nam stawiali pytania, na które nie będziemy mogli odpowiedzieć ani tak, ani nie, a oni to będą protokołowali, zamiast orzeczenia przedłoży się Rzymianom protokół, osiągnie się to, że Rzymianie ogłoszą nasze chrześcijaństwo za religię niedozwoloną. Uczeni w Piśmie nie wykluczą nas, pozostawią Rzymianom rzucenie na nas anatemy, tak jak swego czasu podsunęli im zamordowanie Mesjasza, umyją ręce od wszystkiego.

Jeżeli zapytujesz mnie, ben Ismaelu, co myślę, to otwieram przed tobą serce i szczerze mówię, co czuję. Jeżeli człowiek prostego i prawego ducha przychodzi do nas po wyjaśnienia, nie spoczywamy ani we dnie, ani w nocy, dopóki nie znajdziemy właściwego, prostego słowa. Ale wydałbym się sobie bluźniercą, gdybym stanął w akademii w Jawneh i zaczął się prawować o szczegóły mojej wiary. Niechaj nam zabronią działać albo niech skłonią Rzymian, by nam tego zabronili. Nie chcę okupić sobie tolerancji uczonych w Piśmie tym, że będę głosił połowę prawdy, a połowę jej ukryję. Wolę, narażając się na piętnowanie i prześladowanie, głosić całą prawdę. Ten, kto mówi połowę prawdy, wypluwa Boga ze swych ust. Szczęśliwi, którzy cierpią prześladowania w imię prawdy.

Ben Ismael miał sposobność przekonać się bardzo prędko i w sposób bardzo gorzki, że lojalność Gamaliela była udana. Potężny atak przyszedł niespodziewanie.

Istniała prastara modlitwa, do której trzykrotnego odmawiania w ciągu dnia obowiązani byli po wiek wieków wszyscy Żydzi i która od zburzenia Świątyni uchodziła za namiastkę ofiary: modlitwa Osiemnastu Prośb. Niektóre z tych modlitw, zajmujące się dobrem wspólnoty, straciły wskutek zburzenia Świątyni właściwy sens i były z sobą sprzeczne. Zastąpiono je prowizorycznie kilkoma westchnieniami błagalnymi z okresu Judy Makabeusza. Ale i te, choć pochodziły z czasów ucisku i ograniczeń w służbie Świątyni, jakoś się do dzisiejszych warunków nie nadawały.

Z okazji debaty nad rewizją błogosławieństwa, które miało być wypowiedziane przy

łamaniu chleba, rabbi Helbo bar Nachum zaczął domagać się, żeby również i tekst trzech próśb narodowych otrzymał wersję ustaloną, dostosowaną do dzisiejszej sytuacji politycznej. Przede wszystkim prośba o odbudowę Jerozolimy daje w swym obecnym mglistym sformułowaniu podstawy do wielu mylnych interpretacji; słyszał na własne uszy, jak niedowiarki, a nawet ludzie całkowicie niewierzący nadają tej prośbie własny, kacerski sens. Ci, którzy twierdzą z zaciętkim uporem, że Mesjasz dawno się pojawił, a zburzenie kamiennej Jerozolimy to zasłużona kara i łaska boska, wypowiadają bez skrępułów potężną, wstrząsającą prośbę o odbudowę Jerozolimy i mówią „amen”, kiedy je wypowiada kantor. Oświadczają zuchwale i po prostu, że chodzi wyłącznie o odbudowanie Jerozolimy „w duchu”. Rabbi Helbo był człowiekiem zażywnym, o ciężkim mięsistym podbródku i głębokim głosie, który wypełniał całą salę.

— Co sądzą o tym czcigodni koledzy? — zakończył swe przemówienie i zaczął rozglądać się wyczekująco.

Kolegium zwykło wysłuchiwać bez zainteresowania debat na temat „negowania zasady”, które Jezus i Szymon, zwany Tkaczem, raz po raz wszczynali. Rabbi Helbo wiedział, że decyzję w drażliwej kwestii, czy nazareńczycy mają być uważani za Żydów, należy odkładać, jak długo się da. Czy i teraz, kiedy rząd jest w posiadaniu orzeczenia, koledzy będą unikali debaty? Rzucił okiem na ławy przyjaciół nazareńczyków. Spoglądali na siebie z zakłopotaniem, nie wiedząc, do czego właściwie rabbi Helbo zmierza, woleli milczeć.

Ponieważ nikt się nie odzywał, wstał rabbi Jezus z Gofny i zabrał głos. Był to jegomość odznaczający się spokojem, zazwyczaj ważył dokładnie każde słowo. I jemu, wywodził, wydaje się bluźnierstwem, kiedy jego modlitwy mieszają się w uchu Jehowy z modlitwami tych, którzy negują zasadę. Ma wrażenie, że jego własna modlitwa staje się brudna, kiedy sąsiad wypowiada te same słowa, złośliwie nadając im sens wprost przeciwny. Nie można odpowiedzieć pobożnym sercem „amen” na prośbę odbudowy miasta, słysząc obok siebie „amen” z ust człowieka, który zburzenie tego miasta uważa za błogosławieństwo, którego nieszczerze „amen” jest kacerstwem. Siłą rzeczy nawet w najspokojniejszym sercu rodzi się gniew na obłudnika i zamiast zdobyć sobie łaski przez modlitwę, człowiek popada w grzech.

Oczekiwano, że teraz postawiony zostanie jakiś wniosek. Tymczasem rabbi zadowolili się stwierdzeniem. Czyżby, pytali siebie samych przyjaciele nazareńczyków, ta debata miała tylko wytworzyć nastrój, czy też ta trójka uważa, że nadszedł czas uderzyć?

Uderzyli. Szymon, zwany Tkaczem, poprosił o głos. Zapytał czcigodnego rabbi Helbo, czy zna sposób oczyszczenia nabożeństwa od złośliwej trucizny, o której mówił również rabbi Jezus.

Rabbi Helbo znał sposób. Podczas pobieżnej rewizji. Osiemnastu Prób dokonanej przed dziesięcioma laty, usunięto po prostu jedną z próśb, nie zastępując jej żadną inną i w ten sposób zniszczono zasadniczy rytm modlitwy. Teraz więc prośby nie osiągają nawet osiemnastki, świętej cyfry życia. Rabbi Helbo zaproponował, żeby przywrócono nareszcie tę poprzednią cyfrę; należałoby prośby o odbudowę Świątyni i narodu uzupełnić przekleństwem przeciw tym wszystkim deprawatorom słowa, którzy prośbom tym chcą nadać fałszywą interpretację przez nadanie im charakteru „mistycznego”. Tego rodzaju uregulowanie sprawy nie tylko przywróciłoby pierwotny porządek modlitwy, lecz usunęłoby niebezpieczeństwo, o którym mówił i on, i jego koledzy. Modlitwy takiej nie mogliby odmawiać kacerze, trudno byłoby im zakończyć ją słowem „amen”.

Ben Ismael i jego przyjaciele wiedzieli teraz, o co chodzi. Żaden z tych trzech nie wymienił nazareńczyków, ale było jasne, że z Osiemnastu Prób chcieli uczynić broń dla przepędzenia chrześcijan z synagogi i wspólnoty. Nazareńczycy przywiązywali do tego wagę, żeby uczestniczyć we wspólnych nabożeństwach. Cytowali chętnie proroka: „Modlitwa jest

lepsza niż ofiara”, prastare prośby w liczbie osiemnastu były dla nich równie drogie, jak dla reszty Żydów. Kochali z całego serca pobożny śpiew, pozbawiony sztuczności, którym dawano wyraz prośbom, w licznych domach gminnych pełnili funkcję kantorów. Jeżeli teraz, w myśl propozycji rabiego Helbo wymierzonej wyraźnie w nazareńczyków, dodana zostanie prośba przeklinająca, nie będą mogli odpowiedzieć wedle przepisu „amen”, bo przecież nie mogą sami błagać Jehowę, żeby ich zgładził. Musieliby więc opuścić domy modlitwy.

Trójka mądrze wymyśliła swój wniosek. Przyjęcie go zmuszało nazareńczyków nie tylko do decyzji, od której się dotąd uchylali, lecz dzięki niemu unikało się również ściągnięcia na siebie odium, iż dano Rzymianom pretekst do prześladowania nazareńczyków pod pozorem orzeczenia. Flawiuszowi Silwie można oświadczyć krótko: „Istnieje prosty środek ustalenia, kto jest Żydem, a kto nim nie jest. Nauki nasze zawarte są w Osiemnastu Prośbach. Ten, kto je wypowiada, kto kończy je słowami «amen», jest Żydem. Kto tego nie czyni, ten nie jest członkiem naszej wspólnoty. Zależy całkowicie od nazareńczyków, czy na prośbę przeklinającą kacerzy zechcą odpowiedzieć «amen», czy też nie.”

Ben Ismael zorientował się szybko, jakie niebezpieczeństwo tkwi we wniosku rabiego Helbo. Wykręcenie się od drażliwego orzeczenia za pomocą przepisu liturgicznego wydawało się większości rabbich rozwiązaniem wprost błogosławionym. Zamiast jednak pomyśleć, jak odparować niebezpieczne uderzenie, ben Ismael zadreślał się jednym pytaniem: czy złośliwy manewr wymyśliła tylko ta trójka, czy też wpadł na ten pomysł jego szwagier Gamaliel? Głęboko bolałby nad tym, gdyby się dowiedział, że Gamaliel był z trójką w zмовie.

Czcigodny rabbi i uczony w piśmie rozproszył szybko jego wątpliwości. Sam zabrał głos, oświadczając krótko i sucho, że rozwiązanie rabiego Helbo wydaje mu się słuszne i rozsądne, wobec czego je popiera.

W wielkiej głowie ben Ismaela wirowały setki myśli: gorzkie, oskarżycielskie, oburzone, zrezygnowane. Jeszcze kilka tygodni temu zapewniał Chanę, że przyjaciele jego nigdy nie dopuszczą do tego, by przeszedł wniosek przeciw nazareńczykom. Teraz Rzym zażądał orzeczenia, nie można było robić nikomu wyrzutów, że głosuje za piekielnie chytrym wnioskiem rabiego Helbo, przeciwnie, zwalczając go, należało liczyć się z tym, że się będzie uważanym za wroga wspólnoty. Był tak oszołomiony, że nie mógł znaleźć słów, by odpowiedzieć tej trójce i wielkiemu rabbi.

Zamiast niego odpowiedział jeden z jego przyjaciół. Modlitwa, wywodził, służy po to, żeby błagać Boga o łaskę dla siebie, a nie o to, by wywarł pomstę na innych; ukaranie tych zaprzańców oraz bluźnierców trzeba pozostawić Jehowie.

Skutek był taki, że rabbi Szymon, zwany Tkaczem, podniósł się po raz drugi, raz jeszcze zabrał głos po wypowiedzi Gamaliela, pewien już zwycięstwa, i wyłożył swój pogląd dobitnie i wyraźnie:

— Trzeba — oświadczył — zmusić kacerzy, żeby odsłoniли oblicze. Kacerze to ci, którzy twierdzą, jakoby byli Żydami, a równocześnie składają ofiary bożkom i klękają przed półbogiem, który rzekomo zdjął z nich ciężar ich grzechów. Poglądów jest wiele, niektóre z nich są słuszne, niektóre mniej słuszne. W domu Jehowy wiele jest miejsca, ale nie ma w nim miejsca dla tych, którzy przez wiarę w owego półboga godzą w jedynie prawdziwą zasadę nauki żydowskiej: „Słuchaj, Izraelu, Bóg nasz jest jedyny.”

Gdyby czcigodny rabbi przeprowadził teraz głosowanie, niezawodnie sześćdziesięciu spośród siedemdziesięciu członków kolegium opowiedziałyby się za wnioskiem Helbo. Ale Gamaliel zachował się, jak zwykle, lojalnie. Zamykając obrady oświadczył, iż ma wrażenie, że poszczególni członkowie kolegium wpadli w gniew, i zaproponował odłożenie głosowania na dzień następnny, niedobrze bowiem podejmować tak ważną decyzję ze wzburzonym umysłem.

Ben Ismael nie spał tej nocy. Otaczali go przyjaciele, nazareńczyk Jakub przybył również z pośpiechem do Jawneh ze swojej wsi Sekanii. Wszyscy siedzieli dookoła ben Ismaela przybici i smutni.

Nazareńczyk Jakub powiedział:

— Wiecie, że jesteśmy Żydami i nie chcemy naruszyć Zakonu. Mesjasz nasz przybył, żeby go wypełnić. Jesteśmy ludźmi miłującymi pokój. Nie wykluczajcie nas ze wspólnoty. Istnieje nauka stara i nauka nowa. My wierzymy w nową, ale nie odrzucamy starej. Jeżeli nas wykluczycie, będzie się do nas przyłączało coraz więcej pogan i w wierze naszej będzie coraz więcej z nowej nauki, a coraz mniej ze

starej. Nie zmuszajcie nas do porzucenia starej nauki dla nowej.

Channa siedziała wśród mężczyzn z ponurą, bojową miną. Zaklinała ich, by odrzucili wniosek i wystąpili z kolegium, w razie gdyby ich przegłosowano. Wielu spośród ludu przyłączyłoby się do nich, a jeżeli pójdą razem z nazareńczykami, będą mogli stawić czoło tym w Jawneh.

Ben Ismael był w wielkim kłopotcie. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli wniosek przejdzie, to nazareńczycy przestaną trzymać się rytuałów, jeżeli nie przejdzie, Rzymianie zaczną na nowo uciskać i prześladować jego zwolenników. Czuł sympatię do nazareńczyków, wiele spośród ich nauk było bliskie jego sercu, ale droższy mu był Izrael i trwałość jego istnienia.

Udał się na posiedzenie kolegium nie powziąwszy decyzji. Natomiast przeciwnicy przygotowali się dobrze, świadomi swego celu. Domagali się, by najpierw ustalona została dokładna treść nowej prośby, a nie tylko słowa, które się na nią składają. Postanowiono, że ma ona ściągnąć przekleństwo Jehowy na dwie kategorie zaprzańców: na tych, którzy nie wierzą w nierozdzielność Jehowy, lecz wierzą w Mesjasza, który już pojawił się jako pośrednik między Nim i ludźmi, oraz na tych, którzy wierzą, że z własnego serca, bez pomocy przekazanej ustnie nauki i powołanych przez Boga do jej głoszenia, mogą interpretować Zakon.

Kiedy nadeszła chwila decyzji, ben Ismael oraz jego zwolennicy nie powiedzieli ani tak, ani nie. Wniosek został przyjęty poważną większością głosów. Obrady trwały krótko, ben Ismael był jednak tak zmęczony, jak gdyby dokonał ciężkiej pracy fizycznej. Tęsknił za rodzinnym miastem Lud. Prawdopodobnie nigdy już nie powróci do Jawneh. Wystąpi z kolegium bez nienawiści, przesycony częstymi bezpłodnymi przemówieniami, w Lud będzie dalej studiował Zakon, nie powstając przeciw uczonej w Piśmie, bez uczniów, sam dla siebie, dla Channy, dla swego przyjaciela Achera.

Kiedy jednak on i jego zwolennicy mieli już opuścić zebranie, głos zabrał raz jeszcze doktor Szymon, zwany Tkaczem.

Oświadczył, że ben Ismael milczał, wstrzymał się od głosowania. On jednak uważa, że pomimo całego respektu dla tak łagodnego nastawienia, w takim okresie jak obecny należy za wszelką cenę unikać choćby pozoru, że ktoś z członków kolegium jest po stronie owych zuchwalców, na których rada dopiero co postanowiła błagalnymi modłami ściągnąć klątwę Jehowy. Skoro człowiek tak uczony i cieszący się zasłużonym szacunkiem jak ben Ismael naraża się na tego rodzaju podejrzenie, wystawia na szwank autorytet Jehowy. Chodzi o to, by przede wszystkim zademonstrować milionom Żydów, że w Jawneh obowiązuje tylko jedna nauka. Szymon ubolewa, że ben Ismael milczał, prosi kolegium, żeby pomyślało o środkach, przy pomocy których można by naprawić taką szkodę.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie. Po czym podniósł się rabbi Helbo. Znowu miał na to niezawodny środek. Ben Ismael, oświadczył, został przez Jehowę bardziej niż inni obdarzony darem słowa, modlitwy jego przepojone są niezwykłą głębią i żarliwością. Należałoby więc powierzyć ben Ismaelowi ułożenie tekstu nowej prośby. Jeżeli zrobi to, będzie można mieć

pewność, że właściwe słowa zostały znalezione, a poza tym będzie to zadokumentowaniem przed całym światem jedności Jawneh i jedności nauki.

Przemówienie Helbo było dosyć długie. Kiedy mówił, ben Ismael patrzył przed siebie z nieruchomą, pobladłą twarzą. Dopiero pod koniec przemówienia podniósł wzrok, nie spojrzął jednak na Helbo, lecz na swego szwagra, uczonego w Piśmie Gamaliela. Przez cały czas siedzieli obaj mężczyźni oko w oko, we wzroku ich wszakże nie było pogroźki, raczej obserwowali się nawzajem w napięciu. Kiedy ben Ismael zrozumiał zamiar rabiego Helbo, spłynął nań lodowaty spokój, ale w tym lodowatym spokoju przez głowę jego przebiegały roje błyskawicznych myśli. Nie wątpił, że wniosek Helbo został ukartowany z czcigodnym rabbi. Ale nie czuł nienawiści pomieszanej z pogardą, jak to miało miejsce wczoraj. Gamaliel chciał zniszczyć wszystko, co mogłoby zaszkodzić Izraelowi, jego zaś uważał za szkodnika. Był osamotniony, nie chciał odstąpić od swojej indywidualnej wiary, a wspólnota niszczy i wyrwa z korzeniami tych, którzy uparcie chodzą samopas. Gamaliel nie jest jego wrogiem. Szanuje go, nigdy by go nie skrzywdził, gdyby jako jednostka miał do czynienia z jednostką. Ale dziś siedzi tutaj jako ucieleśnienie wspólnoty i czuje, że ma za sobą prawo.

Kozioł, którego wysyłano niegdyś na pustynię, by się pozbyć grzechu, nie spełnił zadania; Jezus nazareńczyków, który chciał być kozłem ofiarnym, jagnięciem, biorącym na siebie grzechy świata, również tego nie osiągnął. Dlaczegoż bowiem Jehowa miałby nakładać na niego to, czym go obciąża?

Jeżeli kto, to on, ben Ismael, należy do grona tych, którzy chcą oszczędzać nazareńczyków, ma zrozumienie dla szerokiego ujęcia i łagodności ich nauki. Teraz chcą, żeby właśnie on przeklął ich i wypędził ze wspólnoty.

Ciężki to wybór. Ma wybierać między judaizmem a kościołem żydowskim, wiedząc, że judaizm bez tego kościoła jest nie do pomyślenia.

Zna dokładnie argumentację Gamaliela: jesteśmy zmuszeni do zrezygnowania z części prawdy, jeżeli nie chcemy zrezygnować z niej całkowicie. Czy jednak prawda jest jeszcze prawdą, jeżeli się neguje jej część? Czy jednak Gamaliel nie ma racji, twierdząc: czy prawda może ostać się, kiedy nic, w co mogłaby się wcielić, nie istnieje?

Podnosi wolno rękę, nie spuszczać oczu z Gamaliela, gładzi wysokie czoło, skubie odruchowo brwi, wygładza je. Gamaliel i jego koledzy zabrali się piekielnie chytrze do rzeczy. Jeśli uczyni to, czego od niego wymagają, jeżeli przeklnie tych, którym sprzyja, nazareńczycy dusznie oskarżą go, że ich odtrącił. Jeżeli tego nie uczyni, odtrąca go inni i także będą mieli rację, gdyż byłby to dla Rzymian nowy pretekst, by nie ufać nauce i prześladować ją. Czy uczyni to, czy nie, nastąpi nowy rozłam w Izraelu.

Nadal siedzi zupełnie cicho. Ten rosły mężczyzna ugina się pod olbrzymim ciężarem, jak wtedy, w Dniu Pojednania, kiedy po wędrowce o kiju, z torbą i sakiewką pieniędzy wchodził na stopnie akademii. Czuje zmęczenie, chciałby za wszelką cenę nie myśleć więcej, szukać ucieczki w omdleniu. Ale tak samo jak wtedy wie, że nie wolno mu ulec, że musi tu siedzieć dalej, słuchać do końca tego, co mówią inni, odpowiadać.

Rabbi Helbo skończył mówić. Wszyscy spoglądają teraz na ben Ismaela. Po nieskończeniu długim milczeniu Gamaliel oświadcza:

— Proszę, by ben Ismael zechciał się wypowiedzieć!

Ben Ismael nie wstaje. Zachowuje spokój, nie znać po nim, że się podnieść nie może. Ale jego wielka twarz wraz z wysokim czołem jest bardzo blada. Wreszcie odpowiada głosem głuchym, jakby zardzewiałym:

— Ułożę tę modlitwę.

Józef, wstrząśnięty do głębi brutalnym zmuszeniem łagodnego ben Ismaela do zdrady

własnej sprawy, udał się do czcigodnego rabbi. Żałował gorzko, że nie powiedział w Cezarei ani słowa w sprawie akademii w Lud. Był zdecydowany oświadczyć Gamalielowi bez ogródek, co myśli o jego metodzie, i cisnąć mu pod nogi proponowany urząd. Czuł wstręt do jego polityki.

Czcigodny rabbi nie przerwał jego namiętnego oskarżenia ani słowem.

— Jesteś młody i nieopanowany — powiedział, kiedy Józef skończył; w głosie jego było zmęczenie, ironia i zawiść.

— Oświadczyłeś mi, czcigodny rabbi — upierał się ponuro Józef — tu, na tym miejscu, że nie tkniesz nazareńczyków, jeżeli oni nie naruszą regulaminu dotyczącego ceremoniału.

— Naruszyli go — odparł Gamaliel. — Mam w ręku wiarogodne raporty, że w Antiochii, w Rzymie nauczają w myśl zasad niejakiego Saula czy Pawła, że zakaz obrzezania obowiązuje jedynie tych, którzy przechodzą na ich wiarę z judaizmu, natomiast nie obowiązują przechodzących na ich wiarę pogan.

Józef przypomniał sobie pewne słowa cudotwórcy Jakuba.

— Gdyby nawet mieli to głosić poszczególni ich kaznodzieje — powiedział z pewnym wahaniem — czy nie jest to sposób chwilowy, mający na celu obejście zakazu Rzymian?

— Zbyt to dla mnie nazareńskie rozumowanie — odparował ostro Gamaliel i uprzejma jego twarz nabrała twardego, rzymskiego wyrazu. — Nie mogę zgodzić się, że cel uświęca środki. Nie mogę dopuścić, by ktoś był przyjęty do naszej wspólnoty i pozostał nie obrzezany. Sekta, przyjmująca nie obrzezanych, nie może być tolerowana w naszej wspólnocie. Apeluję do twego rozumu, rabbi Józefie. Uznawanie takiej zasady byłoby równoznaczne z rozpadnięciem się judaizmu. Doszliśmy dziś do tego, że rytuał zespala Żydów, również i tych, którzy przebywają za granicą, tak mocno, jak niegdyś Świątynia; spoglądają dziś jeszcze baczniej i żarliwiej ku Jawneh niż ongi ku Jerozolimie. Jeżeli odstąpią od rytuału, wszystko się zawali. — Podeszedł bliżej i dodał poufale, chytrze, tajemniczo: — Idę jeszcze dalej. To, że Rzymianie zabronili obrzezania, wydaje mi się znakiem danym przez Jehowę. Nie chce już przyjmować więcej pogan do swej wspólnoty. Chce, żebyśmy się naprzód umocnili w sobie. Na razie zamknął listę.

Józef wysunął z ponurą miną swoje dawne zastrzeżenia:

— Cóż zostanie z uniwersalizmu nauki, jeżeli pozbawisz pogan możliwości obcowania z Jehową?

— Pozostaje mi wybór — odparł Gamaliel — pomiędzy uniwersalizmem Żydów a ich istnieniem. Czy dla ułamka idei mam narazić na szwank całą ideę? Wolę chwilowo zawęzić judaizm w granicach nacjonalizmu niż dopuścić, by całkowicie zniknął ze świata. Muszę przeprowadzić wspólnotę przez najbliższe lat trzydzieści; są to lata najbardziej niebezpieczne od czasu, kiedy Jehowa zawarł przymierze z Abrahamem. Gdy to niebezpieczeństwo minie, niechaj się duch judaizmu znowu pławi w uniwersalizmie.

— Czy powtórne upokorzenie ben Ismaela, i to w sposób tak okrutny, było potrzebne? — zapytał po chwili Józef z goryczą. — Bo przecież wiesz, że po tym ciosie człowiek ten już się nie podniesie.

— Wiem — przyznał Gamaliel. — Nie mogłem go oszczędzić. Ponieważ cięcie musiało być zrobione, należało postarać się, żeby było skuteczne. Wiesz, jaką nienawiścią opętany jest Flawiusz Silwa do tych, którzy tworzą prozelitów. Niezawodnie przygotował bardzo złośliwe represje na wypadek, gdybyśmy się w sposób wyraźny nie odcięli od nazareńczyków. Ma na to różne sposoby: może nas pozbawić przywilejów, wymiaru sprawiedliwości, akademii w Jawneh. Musiałem ugodzić przywódcę tych, którzy są podejrzani o sprzyjanie nazareńczykom. Upokorzenie ben Ismaela gwarantuje przywileje Jawneh.

Gamaliel miał zapewne rację. Ale Józef nie mógł zapomnieć bladej, wydłużonej, bolesnej twarzy ben Ismaela. Wstrząsały nim smutek i gniew, wcisnął pięści do oczu, jak to czynić

zwykły małe dzieci.

— Miłuję ben Ismaela — powiedział po chwili nieśmiało czcigodny rabbi. — Teraz, w tym zacisznym pokoju, w rozmowie z tobą, dziwię się, jak mogłem zdobyć się na to, by go tak śmiertelnie zranić. Nie potrafiłbym tego zrobić tutaj. Gamaliel nie mógłby tego wyrządzić ben Ismaelowi, wywędrowałby raczej z kraju. Ale Gamaliel i rabbi Świątyni Jerozolimskiej to nie to samo. Rabbi Świątyni Jerozolimskiej znajduje dość sił, by zadać gwałt i zdeptać ludzi, kiedy wymaga tego rozsądek polityczny. Byłbym zbrodniarzem, gdybym, chcąc oszczędzić ben Ismaela, zaszkodził interesom ogółu.

— Nie potrafiłbym zdobyć się na tyle rozsądku — rzekł Józef z goryczą.

— Nie chcesz udać się do Cezarei jako nasz reprezentant? — zapytał Gamaliel nie ukrywając rozczarowania.

— Podziwiam konsekwencję twojej polityki — odparł Józef — ale biorą mnie dreszcze, kiedy pomyślę, że omal nie powiedziałem ci tak.

Do modlitwy Osiemnastu Prośb dodano po pięknej jedenastej prośbie: „Przywróć nam naszych dawnych sędziów i książąt” — nową prośbę, rozpoczynającą się od słów: „Żadnej nadziei dla kacerzy.” Koniec prośby brzmiał: „Chwała Ci, Jehowo, który niszczysz kacerzy i bijesz na głowę zuchwalców.”

Włączenie tej prośby do modlitwy codziennej dało zamierzone rezultaty. Wielu nazareńczyków odwróciło się od nowej wiary, zaparło się jej, mówiło „amen” po błaganiu skierowanym do Jehowy, żeby zniszczył tych, którzy wierzyli w pojawienie się Mesjasza. Większość jednak trwała przy swojej wierze. Ta większość wystąpiła ze wspólnoty, zniosła to, że jej inni unikali. Niektórzy wywędrowali z kraju; był wśród nich cudotwórca Jakub ze wsi Sekania.

Zwolennicy nowej nauki podjęli teraz z całą energią ową misję, którą Żydzi uważali dawniej za najważniejszą: szerzenie nauki Jehowy wśród pogan. W pewnych księgach nazareńczyków znajdowało się wprawdzie zdanie: „Nie chodźcie po drogach pogan, nie osiedlajcie się w miastach Samarytan, idźcie do utraconych owieczek z domu Izraela”, ale kamieniem węgielnym propagandy stała się teraz nauka owego Saula czy Pawła, w myśl której posłannictwo Jehowy i jego Mesjasza tkwi przede wszystkim w -tym, żeby nieść światło poganom. Podczas gdy Żydzi pod naciskiem zakazu dokonywania obrzezań coraz bardziej rezygnowali ze swej propagandy, żadne prześladowania nie potrafiły powstrzymać nazareńczyków od głoszenia ich prawdy o Mesjaszu.

Chrześcijanie coraz wyraźniej wyodrębniali się od tych, z których grona wyszli. Nie uznawali regulaminu dotyczącego ceremoniału, który ich dotychczas jednoczył. W orędziach swoich zajmowali stanowisko wrogie wobec wierzącego judaizmu. Coraz bardziej i nienawistniej odgradzała się nowa kosmopolityczna nauka od starej, teraz związanej z narodowością, by w tej postaci zdobyć świat.

Po rozmowie z Gamalielem Józef wrócił do siebie na wieś. Prowadził tam spokojne rozmowy z rządcą, rozważał, czy nie wyzwolić swego niewolnika Posłusznego.

Za dwanaście dni odpływa statek „Szczęście”, który go zawiezie z powrotem do Italii, za cztery dni będzie więc musiał ruszyć do Cezarei.

Pojechał konno na folwark „Studnia jałtańska”. Usiadł na murku, który tak lubił. Tym razem jednak Mary nie było. Siedział cicho w słońcu, które już mniej silnie grzało. Teraz gdy postanowił wyjechać, tym bardziej pragnął pozostać.

Gdyby miał chociaż w Rzymie synów w sensie duchowym i fizycznym. Ale Szymon nie żyje, a Pawła utracił.

Mężczyzna winien jest wiele kobiecie, której jedyny syn zginął przez niego. Gdyby

jednak wziął ją z powrotem za żonę, czy nie byłaby to dla niego raczej nagroda niż kara? Mary nie ma, ale on widzi ją przed sobą, bosą, w wielkim słomianym kapeluszu, jak siedzi, stoi, rusza się, klęczy grzebiąc się w tłustej, czarnej ziemi.

Wielu rabbich pochwała powtórny związek małżeński z kobietą, z którą się wzięło rozwód, jako czyn zasługujący na uznanie. Ileż byłoby śmiechu w Rzymie, gdyby po wszystkim, co zaszło, zjawił się znowu ze swoją pierwszą żoną. To prawda, że ludzie często się mylą. Nigdy nie przypuszczał, że zostanie w Izraelu tak serdecznie przyjęty. Gamaliel to naprawdę wielki człowiek. Żydzi nie mają dziś nikogo, kto by nimi lepiej pokierował.

Byłoby dobrze mieć dziecko z tą bosonogą Marą, której tak ładnie w szerokim słomkowym kapeluszu. To obojętne, czy Żydzi uznaliby takiego syna, czy nie. Trzeba byłoby tylko od początku wychowywać go samemu wraz z tą bosonogą kobietą.

Kiedy znowu przybył na folwark, zastał Marę tym razem. Pracowała. Stanął przy niej, nawiązał rozmowę. Opowiadał jej o owej dziwnej instytucji, jaką była Rada Lewitów. Tłumaczył, że pojęcia tego nie należy ujmować zbyt ciasno, że czuje, iż ma wobec niej zobowiązania, że te zobowiązania są mu na rękę. Podczas gdy to mówił, pracowała w dalszym ciągu; nie podnosiła wzroku, nie mógł więc zorientować się, czy go słucha i jak na jego słowa reaguje. Wielki kapelusz zasłaniał jej twarz, więc nie widział, co się na niej maluje.

Mówił dalej, powiedział więcej, aniżeli zamierzał. Zapytał, czy chce pojechać z nim do Rzymu i zamieszkać razem w Rzymie. Zdobędzie dla niej prawo obywatelstwa, gdyby się nie mogli pobrać według rytuału żydowskiego, uczyni ją swoją żoną na modłę rzymską. Syn ich winien nosić jego imię. Niech się nazywa Flawiusz Józef. Niechaj Mara zdecyduje, czy na pierwsze imię ma się nazywać Lakisz po jej ojcu, czy też Mateusz po nim, czy ma być Rzymianinem, czy Żydem. Będą go razem strzegli i wychowywali.

Choć był wprawnym mówcą, mówił niezbyt wyraźnie; chwilami przerywał zdanie nie mogąc złapać tchu z podniecenia.

Mara przestała pracować. Przykucnęła na ziemi w jaskrawym słońcu, z pochyloną głową, wielki kapelusz zasłaniał ją całkowicie. Siedziała przez czas jakiś nieruchomo i bez słowa. Wreszcie Józef zapytał:

— Słyszałaś, co mówiłem, Maro?

Ponieważ uczyniła tylko lekki ruch głową, podszedł bliżej, pochylił się nad nią, ujął jej stwardniałą rękę i powiedział:

— Nie chcesz, bym widział twoją twarz, Maro?

Podniosła głowę i uśmiechając się spod kapelusza powiedziała:

— Skąd wiesz, że to będzie syn?

Ogarnęła go wielka radość.

— Maro! — zawołał.

Odpowiedziała:

— Jestem!

Podniósł ją ku sobie, podprowadził parę kroków, usiedli na murze skąpanym w słońcu.

Powiedziała poważnie i stanowczo:

— Muszę przede wszystkim doprowadzić do porządku zdziczałą winnicę, muszę również zaczekać, aż płowa oślica babilońska urodzi swoje małe. Muszę najpierw doprowadzić do porządku cały ten folwark.

— Jak długo to potrwa? — zapytał.

— Myślę, że przeszło rok — odpowiedziała.

— To bardzo długo — rzekł Józef. I zaraz potem dodał: — W takim razie załatwię tymczasem w Rzymie, co trzeba, żebyś mogła, gdy zjawisz się u sędziego, od razu otrzymać

prawo obywatelstwa.

Następnego dnia próbował namówić ją, żeby zaraz pojechała z nim do Rzymu. Opierała się. Włożyła w tę ziemię wiele macierzyńsko troskliwej pracy, nie chciała jej opuścić, zanim się upewni, że praca jej wyda owoce. Józef musiał ustąpić.

Nie chciał jednak opuścić Judei przed przypieczętowaniem nowego ich związku. Spał z nią. Chciał spłodzić syna w Judei.

Czwartego dnia, zgodnie z zamiarem, opuścił swą posiadłość, by się udać do Cezarei, a później do Rzymu. Mara położyła między piersi kurze jajo, by później stwierdzić, czy wykluje się z niego kogut, czy kura.

Wprawdzie igrzyska w Neapolu Flawijskim nie zdystansowały syryjskich, ale na ogół gubernator mógł być zadowolony. Wprawdzie brak głównej atrakcji, jaką stanowił rumak Vindeks, był wielkim zawodem, ale Laureol zdobył powodzenie. Goście przybyli na igrzyska, nawet i ci z Syrii, o których najbardziej chodziło, śmiali się, podziwiali, bili brawo.

Demetriusz Liban był spragniony tego aplauzu jak jeleń wody. Miał jednak dosyć rozumu, żeby ocenić jego istotną wartość. Audytorium było niezwykle chłonne i wrażliwe, ale też w równym stopniu bezkrytyczne. Tam gdzie należałoby szaleć z uciechy, ludzie zachowywali śmiertelną ciszę, tam gdzie był powód do płaczu, wybuchali śmiechem. Śmiali się tak serdecznie i tubalnie, że zdawało się chwilami, iż kamienne stopnie teatru trzęsą się ze śmiechu. Czyżby wróciły owe czasy, kiedy to Demetriusz „potrafił rozśmieszać posągi”?

Grał Laureola z nieczystym sumieniem, to, że osiągnął pomyślny rezultat, należało przypisać niezasłużonej łasce Jehowy. Obowiązkiem jego było teraz pozostanie w kraju. Przemawiały za tym również względy zewnętrzne: gubernator, chcąc go zatrzymać, zaproponował mu dobra ziemskie i wielkie przywileje, mógł więc, gdyby się zdecydował na pozostanie w Judei, żyć jak książę.

Nie zdecydował się. Teraz, po zwycięstwie w Neapolu Flawijskim, zżerał go ze wzmożoną gwałtownością gniew z powodu owej porażki w Teatrze Lucji. Była to niezasłużona porażka. Teraz okazało się, że jego Laureol potrafił ostać się nawet przed naiwną publicznością, niezdolną do rozsmakowania się w jego subtelnościach. Nie, nie ustąpi, zanim nie zmyje z siebie upokorzenia doznanej w Rzymie porażki. Niech Jehowa gniewa się na niego, niech podróż morską przyniesie mu nowe udręki — musi wymóc na Rzymianach uznanie dla Laureola.

Szukał statku, który by zapewniał możliwie spokojną podróż. Po długiej bieżącej zamówił kajutę na statku „Argo”. Było to stare pudło, ale szerokie i pojemne. Przede wszystkim wbrew swej nazwie nie szukało ryzykownych przygód, lecz trwożliwie unikało pełnego morza i przez cały czas podróży trzymało się brzegów. Podróż potrwa długie tygodnie, ale chyba nie czekają go cierpienia tak wielkie jak podczas pierwszej przeprawy.

Omylił się. Po upływie dwóch tygodni burza odpędziła statek od brzegu, sternik nie potrafił już utrzymać steru. Statek miotał się bezradnie, zalewany przez coraz to nowe, zimne, białoszare fale. Marynarze posypywali głowy popiołem, pasażerowie wzywali głośno swych bogów, niewolnicy, przykuci do swych wioseł, wyli z przerażenia.

Tymczasem kapitan zapewniał, że nie są z pewnością zbyt daleko od brzegu.

Demetriusz Liban leżał w swej kajucie zlodowaciały, szary na twarzy. Był straszliwie osłabiony, przez cały dzień wczorajszy miał wymioty, czuł wstręt do jedzenia, leżał z zamkniętymi oczyma i wołał o śmierć. Jakże mógłby się uratować? Statek jest skazany na zagładę, dwie łodzie ratunkowe nie wystarczą. Dobrowolnie nie wezmą go do łodzi, a on nie ma sił i nie będzie o to walczyć. Z początku traktowano go z wielkim respektem, teraz przestano się z nim liczyć. Dadzą mu zginąć. Gdyby się to już skończyło! Wzywał Jehowę, chciał włożyć płaszcz modlitewny i filakterie, ale był zbyt wyczerpany.

Usłyszał potężny trzask i nowe krzyki na pokładzie. Zdjęła go potworna trwoga. Na pół żywy wczółgał się na górny pokład. W drodze padał kilkakrotnie. Ci na pokładzie nie widzieli go, nie chcieli go widzieć, każdy był zajęty sobą. Stwierdziwszy, że tamci postrzygli włosy, by je poświęcić Neptunowi, próbował wyrwać własne bogu w ofierze, błagając przy tym Jehowę o przebaczenie za to, że kłaniał się bożkom pogańskim.

Demetriusz miał wrażenie, że olbrzymie fale wałą ze wszystkich stron. Czy wiatr się zmienił? Ktoś powiedział, że są znowu bliżej brzegu; rzucono ołów i stwierdzono, że woda nie jest głęboka, grozi niebezpieczeństwo, że osiada na mieliźnie, ale łodzią można dotrzeć do lądu. Przygotowano łodzie, ale czekano jeszcze ze spuszczeniem ich na wodę. Liban znalazł w jakimś kącie schronienie i oparcie, ale po chwili wstrząs statku wyrwał go stamtąd, potoczył się jak martwy.

„Teraz koniec — pomyślał. — Nie robię sobie żadnych nadziei, nie spodziewam się niczego. Ale, Jehowo, jeżeli mi jeszcze ten jeden jedyny raz dopomożesz, na Twoją cześć zrezygnuję z grania Laureola w Rzymie. A może lepiej będzie, jeżeli mi nie pomożesz i niech się to raz wszystko skończy. Utonąć to rzecz okropna. Nie można oddychać, a pływać nie umiem. Dobrze, że nie umiem, prędzej się to skończy. Może powinienem otworzyć sobie żyły? Boję się krwi. A ponieważ Jehowa w łasce swej może jednak postanowił mnie uratować, nie chcę sprzeciwiać się Jego woli. Śmierć na pełnym morzu to rzecz najstraszniejsza, tu człowiek nie ma grobu. Najzacieklejszego wroga zwykło się przeklinać słowami: «Bodajbyś umarł na pełnym morzu», ale uczeni w Piśmie zabronili przeklinać tymi słowami nawet pogan. Zjedzą człowieka ryby. Najpierw wyjadają oczy, czy nie mówi o tym Ajschylos w swoich *Persach*? Nie, to nie tam, ale to teraz obojętne. Pozwól mi przedtem umrzeć, Jehowo. Jak mi zimno! Może któryś z niewolników lub marynarzy zabije mnie, jeżeli mu dam pieniędzy? Nie chcę myśleć, chcę tylko modlić się, ale jak? «Tak, tak, grzeszyłem, tak, tak, byłem zuchwały, tak, tak, błędziłem. Słuchaj, Izraelu, to twój Bóg odwieczny», nie, nie powinienem był powiedzieć «Słuchaj, Izraelu, to twój Bóg odwieczny», nie, nie powinienem był powiedzieć «Słuchaj, Izraelu». Skoro bowiem sam sądzę, że to godzina mojej śmierci, przywołuję śmierć i zaklinam Jehowę, żeby mnie zniweczył. Jeżeli się uratuję, muszę wziąć ze statku kawałek drzewa, żeby mi uwierzyli, jaka to była burza. Kiedy człowiek dokona bohaterskiego czynu, nigdy mu nie wierzą. Powinienem zgolić sobie głowę, żeby zobaczyli, że poświęciłem włosy Neptunowi, ale to znów byłaby obraza Jehowy. Pod żadnym pozorem nie wolno mi teraz myśleć o tym, że jest tylko jedna możliwość: zagłada. Gdybym zagrał w Rzymie Laureola, położę w trzeciej scenie akcent na słowie krzyż, a nie na słowie t y. A maskę trzeba będzie o centymetr obniżyć. Muszę teraz głęboko oddychać, wtedy nudności nie będą mnie tak nękać. Kiedy głęboko oddycham i wyciągam ramiona, mniej mnie kołysze. O, znowu fala!

I Marull, i ja wyobrażaliśmy sobie, że to tak łatwo być piratem! I pomyśleć, że wśród takiej burzy ludzie muszą jeszcze walczyć! Ach, gdybyż się to już skończyło!”

Kiedy tak rozważał, statek zatrzęsł się i rozległ się straszliwy huk. Statek osiadł na mieliźnie. Rozległy się wrzaski. W pośpiechu pospuszczano łodzie. Choć Demetriusz wiedział, że to daremne, wrzeszczał, żeby go zabrali z sobą. Łodzie odbiły od mielizny bez niego.

Na „Argo” pozostali niewolnicy, chorzy i niedołągi. Było tego kilkadziesiąt osób. Fale zalały teraz całkowicie mocno uszkodzony tylny pokład. Demetriusz wraz z kilkoma porzuconymi przeczołgał się na miejsce, które uważał za najbezpieczniejsze, czepiali się kurczowo pomostu. Zdawało się, że burza się nieco ucisza, ale od czasu do czasu nadchodziła fala, waliła w niego. Z największym wysiłkiem nie dawał się jej porwać, z trudem chwycił ustami powietrze.

Zanim statek zatonął całkowicie, zjawiły się łodzie, a w nich ludzie. Demetriusz

pomyślał, że jest uratowany; a może i nie pomyślał, gdyż czuł zamęt w głowie. „Czy ci, którzy przybywają, to Laureol i jego piraci?” Było im spieszno, nie tracili czasu na gadaninę, chwytali w szybkim tempie wszystko, co się zabrać dało. O ludzi się nie troszczyli. Zapewne nie warto im było karmić niewolników. Ludzie, którzy przybyli na łodziach, byli na swój sposób dobroduszni; kilku rozbitkom odrąbali głowy, żeby się zbyt długo nie męczyli. Na Demetriusza nie zwrócili uwagi.

Ludność wybrzeża miała w ciągu najbliższych dni dużo roboty. Fale wyrzuciły różne przedmioty. Między innymi hebanową skrzynkę, wykładaną kością słoniową; inkrustacja przedstawiała scenę przystrajania jakiegoś półboga, były na niej inicjały D. L. Skrzynka ta wydała się ludziom na wybrzeżu bardzo cenna; nie znali jej przeznaczenia, długo się o nią spierali. Służyła Demetriuszowi Libanowi do przechowywania szminek. Fale wyrzuciły również futerał z inicjałami D. L. Wyglądał na rzecz bardzo cenną i wzbudził wielkie nadzieje. Kiedy go jednak skwapliwie otworzono, nie było w nim nic prócz zwiędłego wieńca.

Józef był rad, że zastał jeszcze Justusa w Cezarei.

Siedzieli na bulwarze nadbrzeżnym, przed nimi stał statek „Szczęście”, który pojutrze miał zawieźć Józefa do Italii. Dokoła było gwaro i ludno. Ale Józef widział jedynie szczupłą, ostrą, żółtawoszarą twarz Justusa.

Justus powitał z uznaniem wiadomość, że Gamaliel wszczął wreszcie akcję przeciw nazareńczykom.

— Nie można ludziom dać prawdy — wywodził — nie dodając do tego pewnej dozy kłamstwa. Kłamstwo, którym uczeni w Piśmie zaprawiają prawdę, jest mniej niebezpieczne od prawdy nazareńczyków. Rezygnacja z kosmopolityzmu wypacza ideę judaizmu, ale rezygnacja z Mesjasza, który ma nadejść, czyni to w znacznie wyższym stopniu. Zjawienie się bowiem tego Mesjasza musi być wywalczone przez surowe życie jednostek, a zatem wiara w to, że Mesjasz już się pojawił, staje się równoznaczna z rezygnacją z idei postępu. Ten, kto zakłada, że tysiącletnie państwo już istnieje, może sobie darować dalszą o nie walkę. To dobrze, że Gamaliel wystąpił przeciw nauce, która zachęca swoich zwolenników do uchylania się od walki o postęp.

Józef, który go obserwował z boku, rozważał jeszcze jego pierwsze słowa.

— Czy myślisz serio — zapytał — że prawda może być przekazana tylko wtedy, kiedy się ją zaprawi przymieszką kłamstwa? Sądzisz więc, że to, co ma przetrwać, musi być mieszaniną prawdy i kłamstwa? Chcesz, żebym to traktował jako coś więcej niż aforyzm?

Justus spojrzał na niego szyderczo.

— Uchodzisz, Flawiuszu Józefie, za wielkiego pisarza, a mając czterdzieści trzy lata jeszcze nie rozumiałeś elementów naszego rzemiosła! Przyjrzyj się legendzie o Mesjaszu, szerzonej przez nazareńczyków. To, co ci nazareńczycy opowiadają, pełne jest wyraźnych sprzeczności. Każdy człowiek świadomy musi uznać, że tak być nie mogło. Żyją jeszcze ludzie z Jerozolimy i Galilei, którzy musieliby widzieć to, o czym nazareńczycy opowiadają, a jednak tego nie widzieli. Czy nie jest to dowodem, że legenda, którą ludzie łatwo wchłaniają, jest silniejsza od trudnej prawdy historycznej? Rzeczywistość to tylko surowiec, nie ma w niej miejsca na uczucie. Działa dopiero wtedy, kiedy ją ukształtuje legenda. Jeżeli jakaś prawda ma się utrzymać, musi być podbudowana kłamstwem.

Gwar dookoła wzmógł się. Znajomi pozdrawiali Józefa. Odpowiadając na ich ukłony, Józef spoglądał bez przerwy na Justusa, który siedział sztywny i chudy, zniekształcony przez brak ramienia, i swoim nowo nabytym zwyczajem chichotał niemiło. Józef słuchał z uwagą, ale nie mógł dość szybko pojąć słów Justusa i zapytał nieco głupawo:

— Co powiadasz, mój Justusie?

Justus powtórzył mu, co powiedział, jak niepojętnemu dziecku, akcentując każde słowo

— nie po grecku, jak przedtem, lecz po aramejsku:

— Jeżeli jakaś prawda ma się utrzymać, musi być podbudowana kłamstwem.

Józef, urzeczony tym powiedzeniem, a równocześnie mocno rozgniewany, odparł:

— To mówisz ty, Justusie, który najbardziej jadowicie wyśmiewałeś każdy kompromis?

Justus odparł niecierpliwie:

— Udajesz? Stanowczo nie chcesz mnie zrozumieć? Czy powiedziałem choćby słowo o kompromisie? Czysta, absolutna prawda jest nie do zniesienia, nikt jej nie posiada, nie jest warta tego, by do niej dążyć, jest nieludzka, nie warto jej poznawać. Ale każdy ma swoją własną prawdę i wie dokładnie, co jest jego prawdą, prawda ta bowiem jest ściśle określona i jedyna. Kiedy człowiek od tej swojej prawdy indywidualnej odstępuje choćby o jotę, czuje to i wie, że się dopuścił grzechu. Może ty nie? — zakończył wyzywająco.

— Na cóż się zda — zapytał Józef z goryczą — głoszenie prawdy, jeżeli jest tylko prawdą subiektywną, a nie prawdą samą w sobie?

Justus pokręcił głową nad tym absurdem. Potem oświadczył z pewną niecierpliwością:

— Prawdy, które polityk wciela dziś w czyny, są prawdami wczoraj lub przedwczoraj głoszonymi przez pisarzy. Czy nie jest ci to wiadome? Prawdy zaś, które pisarz dziś głosi, jutro lub pojutrze wcieli w czyn polityk. Prawda pisarza jest we wszystkich okolicznościach czystsza od prawdy człowieka czynu. Człowiek czynu bowiem, polityk, nawet w najlepszym wypadku nie ma szansy całkowitego urzeczywistnienia swojej koncepcji, swojej prawdy. Tworzywem jego są inni, są masy; musi dla nich nieustannie robić koncesje, musi z nimi pracować. Ale masy są z natury głupie. Polityk ma więc do czynienia z tworzywem najbardziej niewdzięcznym, najmniej przyzwoitym, jakie istnieje; biedak musi podierać swą prawdę zamiast porządnym kłamstwem głupotą mas. Wskutek tego to, co czyni, pozostaje kruche i skazane na zagładę. Pisarz ma większe szanse. Niewątpliwie i jego prawda jest konglomeratem faktów, otoczenia, realnych możliwości i jego własnego nietrwałego, kuglarskiego ja. Ale wolno mu tę jego subiektywną prawdę przynajmniej ukazać, wolno mu nawet żywić pewną nadzieję, że stanie się stopniowo prawdą absolutną po prostu przez swoje trwanie. Ponieważ ludzie czynu ciągle przeprowadzają eksperymenty z tą swoją teoretyczną prawdą, istnieje pewna możliwość, że kiedyś, przy sprzyjających okolicznościach, rzeczywistość podporządkuje się ich teorii. Czyny mijają, legendy pozostają. A legendy tworzą zawsze nowe czyny.

W pobliżu pełno było tragarzy, wnoszących ładunek na statek. Józef patrzył na nich, ale widziały ich tylko jego oczy, gdyż był pochłonięty tym, co powiedział Justus. Ten obrócił teraz ku niemu twarz i ciągnął dalej na pół z ubolewaniem, na pół złośliwie:

— Oczywiście wielkiemu pisarzowi nie zawsze łatwo jest dochować wierności swoim prawdom. Są to przeważnie prawdy niemiłe, wpływają hamująco na jego sukcesy. Pisarz zyskuje też szeroki poklask zwykle tylko wtedy, kiedy do swej własnej wiedzy dodaje nieco głupoty mas.

Józef poczuł się nieswojo. Justus powiedział bardzo uprzejmie, tym razem znów po grecku:

— Nie sądz, proszę, mój Józefie, że sobie z ciebie pokpiwam. Dlaczego nie miałbyś pisać dla osiągnięcia sukcesu? To, że powypisywałeś różne nieprzyzwoite kłamstwa, zdobyło ci popiersie w Świątyni Pokoju. Prawie wszyscy będą uważali, że kłamstwa ci się opłaciły.

Twarz jego jeszcze raz się zmieniła. Z miną chytrą i zrezygnowaną przysunął się do Józefa i powiedział:

— Chcę ci powierzyć tajemnicę. — Wśród portowego gwaru, jak gdyby byli sami, ten chudy, ułomny człowiek zbliżył usta do twarzy Józefa i szepnął mu do ucha: — Szerzenie najczystsze go poznania subiektywnego nie daje bezwzględnej radości, kiedy się doszło do

przekonania, że wszelkie poznanie płynie tylko z dążenia do zdobycia dowodów dla swojej racji, jest tylko środkiem do ustalenia własnej istoty, do utrzymania jej w świecie. Jeżeli poznanie nie potrafi potwierdzić własnego ja, interpretuje się je dopóty, aż to uczyni. — Chichocząc zanucił na melodię ulubionej piosenki ulicznej powiedzonko, które zapewne powstało dopiero teraz, *ad hoc*:

Pojmujesz tylko to, co w danej chwili

Daje ci dowód, że wedle ochoty

Możesz się imać jakiej chcesz roboty

I być, czym jesteś, tym, czym cię stworzyli.

Józef nie miał odwagi spojrzeć Justusowi w oczy.

— Dlaczego pomniejszasz naszą pracę? — zapytał żałośnie.

— Bzdura — burknął opryskliwie Justus. — Nie lekceważę mojej pracy.

Choć słowa Justusa dotknęły go głęboko, Józef poczuł pragnienie częstego ich wysłuchiwania. Spojrzał na statek „Szczęście”.

— Chcesz pojechać ze mną do Rzymu, Justusie? — poprosił. — Jesteś mi potrzebny!

— Tak — odparł Justus szorstko.

KSIEGA PIĄTA

OBYWATEL ŚWIATA

Józef i Justus przybyli do Rzymu w chłodny, pochmurny, wietrzny dzień. Mimo to Józef już w lektyce, w której go niesiono do domu, odczuwał głęboką błogość, że znowu znalazł się w tym mieście. Nie pojmował, jak mógł witać Judeę jako swoją ojczyznę, jak mógł się obawiać, że będzie czuł się w Rzymie obco. To prawda, że wszystko tu było bardziej nagie, bezbarwne niż w Judei. Ale nie można oddychać stale wyczerpującą, zżerającą atmosferą ojczyzny, nie można uczynić ze swego życia wiecznej pokuty, Sądnego Dnia. Podróż jego do Judei była wielkim, heroicznym intermezzem. Tu w Rzymie jest jego dzień powszedni, ruchliwy, trzeźwy, brudny. Tutaj jest jego miejsce, należy do świata, a nie do małej, trawionej namiętnościami prowincji Judei.

Jeszcze tego samego dnia zmusił Justusa do przechadzki po Rzymie. Bardziej niż kiedykolwiek delectował się uczuciem powrotu. Miał ochotę pozdrawiać każdy dom, każdy kamień. Ludzie, nie wyłączając wrzeszczących przekupniów ulicznych, nawet świątynie i posągi bożków należą do niego, są częścią jego istoty. Był wdzięczny Judei, że pozwoliła mu odczuć tak głęboko, jak bardzo należy do Rzymu i do świata.

Justus był milczący. Chodził po mieście niby krytyczny obserwator; dawno tu nie był. W jego rodzinnej Aleksandrii ruch był bardziej ożywiony. Ale nowa dynastia, Wes-pazjan i Tytus, potrafiła dowieść w sposób oczywisty, że tu w Rzymie znajduje się centrum okręgu ziemi. Józef pokazywał swemu milczącemu towarzyszewi nowe, białe-złote budowle Flawiuszów, jak gdyby były jego własnym dziełem, pysznił się wzrostem, wielkością miasta, jego miasta. Kiedy dotarli do Forum, pojawił się rąbek słońca, można było odczytać czas na zegarze słonecznym, uważanym za serce świata, a umieszczonym przed trybuną dla mówców. Józef rozpromienił się jak dziecko.

Kiedy jednak dotarli do Pola Marsowego, znowu się zachmurzyło, zaczął padać śnieg z deszczem, zrobiła się istic zimowa pogoda. Spiesznie schronili się pod nowe, odbudowane po pożarze arkady. Ludzie marzli tam w swoich płaszczach, mieli czerwone nosy, chrząkali, kaszlali. Józef zatrzymywał znajomych. Rozmawiali z nimi niechętnie, starali się mówić niewiele, przestępowali niecierpliwie z nogi na nogę, myśleli o tym, jakby schronić się przed zimnem. Ale Józef usiłował przewlec rozmowę, wypytywał o to i o owo, przedstawiał im Justusa. Dźwięki łacińskie, które mu się w Judei nie podobały, miło teraz brzmiały mu w uszach, oczy radowały się rzymskimi twarzami i rzymskimi szatami. Ludzie ci byli obywatelami rzymskimi tak samo jak on.

Justus był nadal milczący, ale nie podrwiwał z Józefa. Szli teraz przez Forum Wespazjana. Wyrosła przed nimi biała, potężna budowla.

— Świątynia Pokoju? — zapytał Justus.

Właściwie było to raczej stwierdzenie niż zapytanie. Kiedy mijali inne nowe budynki, Józef opowiadał o nich obszernie, ten gmach chciał minąć bez słowa. Ale Justus przystanął. Lekko dygocąc otulił się szczelnie płaszczem i przyglądał się budowli.

— Może wejdziemy? — zaproponował.

Józef spojrział na niego z ukosa, lękając się chwili, kiedy Justus stanie przed jego popiersiem. Ale na szczupłej twarzy Justusa nie było szyderstwa, była tylko ciekawość. Józef wzruszył ramionami, weszli po stopniach na górę. Minęli boginię pokoju, strzeżoną przez dwóch cesarzy, łagodną i niewzruszoną, minęli wspaniałe malowidła i posągi, łupy z wojny żydowskiej,

składające się z siedmio-ramiennego świecznika i stołów na chleby pokładne. Justus kroczył wolno, przyglądał się wszystkiemu z uwagą, dyszał ciężko. Żaden z nich nie powiedział ani słowa.

Minęli bibliotekę. Otworzyła się przed nimi przestronna sala.

— Sala honorowa? — spytał Justus.

Józef potwierdził skinieniem głowy. Często stawał w drażliwych sytuacjach przed obliczem ludzi, którzy los jego trzymali w swej dłoni, ale nigdy nie odczuwał takiego zakłopotania jak teraz, kiedy miał stanąć przed swoim popiersiem w towarzystwie Justusa.

W obszernej sali było niewiele osób. Ci, którzy w tym dniu odważyli się przyjść tutaj mimo fatalnej pogody, znikali w tym ogromie; zmarznięty odźwierny tkwił w kącie. Józef i Justus weszli. Stanęli przed spiżowymi tablicami, na których wyryte były nazwiska stu dziewięćdziesięciu ośmiu, uchodzących za największych pisarzy wszystkich czasów. Justus stał tu długo, odczytywał nazwisko za nazwiskiem, wargi jego poruszały się, gdy czytał. Józef przyglądał mu się z napięciem, drżał z zimna, a równocześnie pocił się z podniecenia, serce waliło mu w piersiach. Justus stał i czytał, Józef patrzył na niego, Justus nie uśmiechał się. Józef znowu doznał uczucia, że jest sztubakiem, który nie nauczył się lekcji.

Wreszcie Justus oderwał się od tablic. Zaczęli przyglądać się kolumnom stojącym wzdłuż ścian owalnej sali. Zatrzymali się przed głową Józefa. Lśnił w korynckim spiżu, spoglądając przez ramię, szczupły, obcy, bez oczu, a jednak pełen mądrej ciekawości, wysoki i wyniosły. Żywy Józef wcale nie wyglądał teraz wyniosłe, od dawna nikt nie widział go takim małym. Co robi jego podobizna tu wśród tych wszystkich podobizn? Sława jego zgasła. Teraz, kiedy Justus oglądał jego popiersie, czuł się jak złodziej wobec okradzionego.

Ale Justus powiedział po nieskończeniu długim milczeniu:

— Ten Baslios to wielki artysta. — Kiedy opuścili salę, dodał: — Brakuje tu kogoś. Byłoby może lepiej i dla ciebie, gdyby popiersie jego zostało postawione przed twoim.

— Tak — rzekł pokornie Józef i nie mieściło mu się w głowie, jak mógł zgodzić się, by umieszczono jego popiersie w tej sali, zanim nie znajdzie się tam popiersie Filona.

Zadawał sobie pytanie, co też przeżywał Justus oglądając: tablicę honorową; nie należał on do zawistnych, był na to zbyt dumny, ale byłoby dziwne, gdyby niesprawiedliwości tego świata nie napełniły go goryczą. Wbrew zwyczajowi Justus pozostał nadal chmurny i opuszczając świątynię powiedział:

— Nielatwo być pokornym, kiedy się jest Żydem. Nie trzeba być prorokiem, wystarczy nieco znajomości literatury, .żeby stwierdzić, że ze wszystkich, którzy w naszym stuleciu piszą po grecku, tylko trzech przejdą do potomności: Żyd Filon, Żyd Justus z Tyberiady i Żyd Flawiusz Józef.

Nie chichotał, w głosie jego nie było szyderstwa.

Następnego dnia dał Józefowi niewielką książkę, pierwszych dwieście stron opisanych przez siebie dziejów wojny żydowskiej. Było to ze strony Justusa wyrazem uznania dla Józefa. Przesiedział nad rękopisem całą noc. Z początku zaczął czytać jednym tchem, ale mu się nie udało, ostry, zwięzły styl zmuszał czytelnika do zastanawiania się nad każdym słowem. Czytał więc powoli jasne, toczone zdania, pełne cyfr i dat; czytając i podziwiając odczuwał boleśnie własną niedoskonałość, ukrywającą się za fałszywym blaskiem.

Mimo to dzieło Justusa nie przytłoczyło go. Brak mu było niejednego, co posiadał tamten, ale posiadał niejedno, czego tamtemu brakowało. Tamten miał bystrzejszą inteligencję, szersze spojrzenie, jego przeżycia odzwierciedlały się w bardziej wyrazistych obrazach i postaciach. Dzieło Justusa stało się dla niego cierniem, który go nie ranił, lecz dodawał bodźca.

Choć Józef powitał Rzymian z taką radością, nie bez niepokoju oczekiwał pierwszego

spotkania z Żydami rzymskimi. Sprawa synagogi Józefa była wciąż jeszcze nie wyjaśniona. Po burzy niechęci i drwin, którą wywołało jego wyrzeczenie się Pawła, było wątpliwe, czy doktor Licyniusz zdoła przeprowadzić swój zamiar nazwania synagogi imieniem Józefa. Kiedy więc panowie Barcaarone i doktor Licyniusz zgłosili się do niego, przyjął ich w nastroju niemiłego podniecenia.

Wkrótce jednak okazało się, że panowie bardziej poczuwają się do winy wobec Józefa niż on wobec nich. Podczas przywitania jowialny Barcaarone wpatrywał się badawczo swymi chytrymi oczami w twarz Józefa, starając się odgadnąć jego myśli. Józef zorientował się szybko, że zaszczytne przyjęcie, którego doznał w Jawneh, zrobiło wrażenie w Rzymie. Stary przewodniczący synagogi Agryppy wielbił w wymownych słowach mądrość czcigodnego rabbi Gamaliela. Po tylu zmiennych kolejach losu Żydzi znaleźli w nim wielkiego przywódcę, którego można porównać z Ezrą i Nehemią. Z początku gminy rzymskie obawiały się, że człowiek tak młody jak Gamaliel da się w tej trudnej sytuacji porwać temperamentowi. Ale Gamaliel łączył w sobie siłę młodzieńca z mądrością starca, mocno trzymał Żydów, których poglądy były rozbieżne. Z jaką mistrzowską taktyką wymanewrował ze wspólnoty tych nazareńczyków, których pozbawiona sensu propaganda ustawicznie nastrajała Rzymian przeciwko Żydom. Jak elastycznie potrafi dostosować autorytet swej teorii do wymagań rzeczywistości. Kajus Barcaarone opowiedział przykład z własnego doświadczenia. Ponieważ czcigodny rabbi tak surowo przestrzega rytuału, zapaleni ortodoksi w Rzymie odważyli się na nowo zaatakować Kajusa; wyciągnięto z lamusa historię z ornamentami zwierzęcymi na fabrykowanych przez niego meblach, próbowano wykończyć go drogą okrężną, przez Jawneh. Ale młody, mądry Gamaliel szybko położył kres ich knowaniom. Uznał, że oczywiście będzie lepiej, żeby najwspanialsza fabryka mebli w Rzymie pozostała nadal w rękach żydowskich nawet z ornamentami zwierzęcymi, niż żeby przewodnictwo wpływowego cechu stolarzy przeszło w ręce goja. Mądry ustawodawca, wielki polityk!

Nie było już mowy o tym, że wahano się przez pewien czas, czy nowy dom modlitwy na lewym brzegu Tybru nazwać imieniem Józefa. Przeciwnie, doktor Licyniusz namawiał go usilnie, żeby obejrzał piękną budowlę, która jest na ukończeniu.

Józefowi ciężka troska spadła z serca. Wobec takiego stanu rzeczy Żydzi rzymscy niewątpliwie nie będą przeszkadzali jego powtórnemu małżeństwu z Marą.

Poszedł do Aleksasa. Zakomunikowanie temu człowiekowi, z którym był zaprzyjaźniony, tego, co postanowili z Marą, nie było zadaniem łatwym. Fabrykant szkła przyjął go bardzo wylewnie, wypytywał o każdy szczegół życia w Judei, nie wspomniał ani słowem o Marze, lękając się widać tego tematu. Józef nie poruszył go również.

Długo siedzieli razem. Nagadawszy się do syta o Judei, zaczęli mówić o Rzymie. Aleksas opowiedział Józefowi o plotkach, krążących wśród Żydów na Zatybrzu w związku z cesarzem Tytusem. Józef słyszał już, że stan zdrowia cesarza nie jest zadowalający. Żydzi tłumaczyli pogorszenie tym, że ręka Jehowy dotknęła tego, co zburzył Jego Świątynię. Tytus przechwalał się, że Jehowa panuje tylko na morzu, i dlatego mógł zniszczyć faraona Egiptu jedynie podczas jego przeprawy przez Morze Czerwone; na lądzie Tytus pokonał Boga bez trudu. Karząc go za pychę, Jehowa zesłał na niego jedno z najmniejszych swoich stworzeń, żeby go zniszczyć. Drobnny ów owad dotarł przez nos do mózgu, żyje tam, rośnie, niepokoi cesarza we dnie i w nocy, aż wreszcie go zabije.

Bez względu na to, ile w tych pogłoskach było prawdy, Józef widział jedno: ten, co zburzył Jerozolimę, nie był szczęśliwy. Nie był nim również Aleksas, człowiek mądry, rozsądny, dążący do piękna i dobra. Przywiązany do swego ojca, do żony i do dzieci, ze względu na ojca został w Jerozolimie, której upadek przewidział wcześniej i jaśniej od innych. Sam uratował się

dzięki dziwnemu zrządzeniu losu, kiedy ci, dla których pozostał, zginęli. Teraz całe swe nadzieje skupił na osobie Mary. Józef nie umiał się zdobyć na to, żeby mu powiedzieć o postanowionym powtórnym małżeństwie.

Aleksas zaproponował, żeby Józef poszedł z nim do fabryki. Fabrykant szkła zabrał się do pracy z właściwą mu żarliwością. Przeniósł sklep pod arkady Pola Marsowego; warsztaty zajmowały teraz cały obszerny budynek na Suburze. Drogą morską importował kwarc z rzeki Belus, przy pomocy tego tworzywa oraz swoich sydońskich rzemieślników prowadził zwycięską walkę z przemysłem miejscowym. Produkował teraz w Rzymie owe misterne, zbyt kosztowne szkła, które dotychczas trzeba było sprowadzać z Egiptu i Fenicji.

Oprowadzał Józefa po fabryce. Józef przyglądał się długo i badawczo ogromnym piecom. Przykucnąwszy wpatrywał się w płomienie nasycone barwnymi, różnorodnymi substancjami. Aleksas przestrzegał go, by zachowywał ostrożność; sam przyzwyczał się do płomieni, ale dla oczu nieprzyzwyczajonych były niebezpieczne. Józef nie mógł jednak oderwać wzroku. Widział ogień, piasek i sodę, przyglądał się, jak w straszliwym żarze elementy te stapiają się z sobą tworząc nową masę.

Kiedy tak siedział z wzrokiem utkwionym w płomień, poczuł, że może wreszcie podzielić się z Aleksasem tym, co zaszło. Powiedział mu, że odwiedził Marę i co postanowili.

Aleksas słuchał z miną posępną i zrezygnowaną. Miał błogą nadzieję, że wróci do Judei, poślubi Marę, spędzi starość razem z nią w Izraelu. Chciał pozostawić Marze dwa lata, żeby przeboleła śmierć chłopca, i wtedy dopiero raz jeszcze zaproponować jej małżeństwo. Miał za wiele taktu, w tym sęk. Gdyby Rzymianie kierowali się taktem, nigdy nie byłiby zawładnęli światem. Józef również był pozbawiony taktu. I dlatego wziął sobie Marę.

Aleksas siedział nieruchomo. Choć miał spuszczone ramiona, wyglądał barczyście i okazałe. Znowu utył nieco. „Dziwne, pomyślał Józef, jak ten fabrykant z wiekiem staje się coraz podobniejszy do ojca, choć ten był właściwie aż do końca zadowolony z losu i pełen otuchy.” Jeżeli chodzi o Aleksasa, to od dawna zdawał sobie sprawę z nędzy tego świata i kruchości wszystkich spraw ludzkich, i to rzuciło cień na jego młodość.

Aleksas nie czuł nawet gniewu do Józefa. Wstał ociężale, skłonił się kilkakrotnie przed Józefem, który wciąż jeszcze wpatrywał się w wielobarwny ogień, cień jego, przez drgające płomienie groteskowo przedłużony i zarazem skrócony, kłaniał się razem z nim. Powiedział:

— Składać ci powinszowania, Józefie, wołać: „Niech cię Bóg błogosławi”, jest rzeczą zbyteczną. Zaprawdę jesteś od urodzenia błogosławiony.

Józef podniósł się również, wyprostował zdrętwiałe członki. Nie było mu łatwo słuchać pokornych słów tamtego ani na nie odpowiadać. Przepelniała go pycha — Aleksas miał rację.

Józef przybył do Marulla, żeby naradzić się z nim w sprawie uzyskania prawa obywatelstwa dla Mary. Manili przyjął go kwaśno i uszczypliwie. Z nastaniem zimy wzmógł się jeszcze dręczący go ból zębów. Poza tym nie było żadnych wieści o statku „Argo”, na którego pokładzie znajdował się jego przyjaciel Demetriusz Liban w podróży powrotnej z Judei. Pocieszał się nieco tym, że pewna spekulacja zbożowa, której dokonał do spółki z Klaudiuszem Reginusem, dała niezwykle pomyślne wyniki. Najbardziej wszakże cieszyło go, że na tym interesie poniosło straty wielu senatorów republikańskich, należących do grona jego wrogów. Niestety nie mógł oddawać się zbyt długo tym rozmyśleniom. W duszy miał wielką ochotę powracać myślą do tych, którym się noga powinęła, ale ból zębów zamącił wkrótce te błogie chwile i skierował myśli na sprawy mniej miłe, na przykład na statek „Argo” i jego przyjaciela Demetriusza Libana.

Szczegółowo, obszernie opowiadał Józefowi, jakiego ma pecha z przyjaciółmi. Naprzód opuścił go Jan z Giskali, tylko po to, żeby rzucić się w wir tego bezmyślnego rokoszu

judejskiego, z którego następstw, jak Marullowi opowiadano, nigdy się chyba całkowicie nie wyzwoli. A teraz wszystko wskazuje na to, że Demetriusz zabrnął w jeszcze odleglejszą krainę niż Jan; „Argo” gdzieś przepadł, słaba nadzieja, by Liban jeszcze się tu kiedyś zjawił. Aktor pisał do niego w drodze powrotnej z Efezu, mówił, jak się cieszy, że będzie mógł po raz drugi zagrać w Rzymie Laureola. Jadło człowiekowi nie smakuje, kiedy pomyśli, że piszącego te słowki może już ryby pożarły, zanim list dotarł do adresata.

Józef uświadomił sobie z uczuciem lekkiej skruchy, że przez tyle tygodni nie odczuwał prawie braku aktora. A przecież życie jego było mocno związane z życiem Liba-na. Gdyby nie Liban, nigdy nie byłby poznał cesarzowej Poppei, kto wie, czy bez jego pomocy zaszedłby tak wysoko, kto wie, kiedy i jak byłaby wybuchła wojna żydowska, gdyby nie był spotkał Demetriusza. Poza tym Demetriusz sam nie byłby pojechał do Judei i uniknąłby w ten sposób zagłady.

Marull tymczasem mówił dalej. Gdyby Demetriusz naprawdę miał kiedyś wrócić, rozważał, szanse powodzenia Laureola wybitnie by się zwiększyły. Niezależnie od sensacji, jaką wywołałoby pojawienie się rzekomo zaginionego, teraz, kiedy cały świat wie, że Tytus nigdy już nie powróci do zdrowia, sztuka, ciesząca się względami księcia Domitjana nie mogłaby ponieść fiaska. Wypytywał Józefa szczegółowo o przedstawienie w Neapolu Flawijskim. Szczególnie interesowało go, czy Demetriusz w scenie trzeciej zaakcentował słowo „krzyż”, czy słowo „ty”. Był rozczarowany, że Józef nie potrafił mu tego powiedzieć. A więc chyba nigdy się już o tym nie dowie.

Przestał wreszcie wspominać Demetriusza i Józef mógł przystąpić do własnych spraw. To jego wieczne miotanie się między pragnieniem i żądzą wyraźnie bawiło Marulla. Tak, tak! Najpierw, nie szczędząc ofiar, uzyskał rozwód z Marą, teraz trwoni czas, pieniądze, nerwy i życie, żeby ją znowu poślubić, ponieważ zaadoptowanie pełnoletniej Żydówki to sprawa zawiła i mozolna. Istnieje oczywiście sposób skrócenia procedury i uniknięcia grożącego skandalu. Ponieważ, jak się zdaje, cesarz upodobał sobie Józefa, byłoby może najlepiej, żeby tak jak ostatnim razem poszedł wprost do niego.

Józef odpowiedział, że zgodnie z tym, co doszło jego-uszu, cesarz jest chory, niedostępny, kapryśny. Mamił przyglądał mu się przez szmaragd.

— Powiedziano ci prawdę, mój Józefie — potwierdził. — Dziwactwa cesarza wzrosły podczas twojej nieobecności. Cesarz popada coraz częściej w zadumę, nic nie słyszy i nic nie wie o otaczających go ludziach i przedmiotach. Na dłuższą metę znosi jedynie obecność księżnej Lucji.

Potem okazało się ku zdumieniu Józefa, że ludzie na Zatybrzu mieli jednak rację.

— Wiesz zapewne — ciągnął Marull — że w związku ze stanem moich zębów muszę od czasu do czasu zasięgać porady doktora Walensa. Walens, dłubiąc mi w zębach, opowiada przedziwne historie. Cesarz miewa długotrwałe ataki gwałtownych spazmów. To znów szuka nagle gwaru i zgiełku. Kiedyś w nocy przyszedł do arsenału, zaalarmował całą załogę, kazał uruchomić wszystkie warsztaty. W nocy! Domagał się, by niezwłocznie, natychmiast, otoczył go ogłuszający harmider. A zdumionemu Walensowi oświadczył na pół żartem, na pół serio, że kiedy zwierzątko gnieźdzące się w jego mózgu usłyszy ów harmider, przestraszy się i da mu wreszcie spokój. — Po krótkiej chwili milczenia Marull zakończył rzeczowo: — Tak czy inaczej, mój Józefie, zrobisz dobrze, jeżeli zaczniesz starać się o audiencję możliwie jak najprędzej.

— Na Herkulesa, mój chłopcze! — zawołała Lucja, kiedy Józef zjawił się u niej — jaką piękną brodę zapuściłeś!

Józef miał jeszcze taką samą brodę jak w Judei, czworokątną, dosyć krótką, nie tak kędzierzawą i utrefioną jak dawniej. Obeszła go kilkakrotnie dookoła, przyglądała mu się ze

wszystkich stron.

— Wiesz — powiedziała — że ci z tą brodą o wiele ładniej niż z tamtą? Wyglądasz jak Żyd, ale nie zanadto, nie robisz wrażenia takiego elegancika jak nasz Agryppa.

Jej śmiech, za którym przepadał Domicjan, wypełniał komnatę. Usiadła naprzeciw niego, rosła, okazała, z wieżą loków na głowie. Józef zdawał się przy niej niepozorny i drobny.

— Opowiedz mi o Judei — prosiła. — Teraz, kiedy pozbyliśmy się twojej Bereniki — stwierdziła radośnie — czuję znowu większą sympatię dla twojego kraju.

Józef opowiadał. Starał się mówić barwnie, interesująco, zabawnie. Lucja była rozbawiona, przysunęła się bliżej, głaskała jego rękę.

— Umiesz opowiadać — pochwaliła go. — I masz ładne ręce.

Józef był w pełni sił, lubił używać życia, ale wobec bujności Lucji miał wrażenie, że jest biedakiem. Z pewnością kochała w dalszym ciągu chłopaczka na swój sposób, miała również szczerą skłonność do Tytusa. Równocześnie Rzym trząsł się od plotek, w jak bezwstydnym sposób demonstruje swe uczucie dla Parysa, młodego, wchodzącego w modę tancerza. Zaprosiła go w obecności cesarza i Domicjana do swojej łoży, w oczach dwudziestotysięcznego tłumu wsparła rękę na jego ramieniu. Pochodziła z rodu, który nigdy nie bał się śmierci, nie wiedziała, co to lęk, chwytła wszystko, co przynosi chwila. Kiedy wraz z rozwojem Rzymu większość rodzin ulegała rozkładowi i zdawało się, że rodziny te oddały wszystkie siły miastu i państwu, rodzina Lucji rosła razem z Rzymem, a Lucja łączyła w sobie Rzym i swój ród. Była w istocie owym Rzymem Flawiuszów, dumnym, nigdy nie nasyconym, używającym życia, wchłaniającym je łapczywie.

Kiedy Józef wtajemniczył ją w swój zamiar zdobycia dla Maryi pełnego prawa obywatelstwa i poślubienia jej, podobnie jak Marull, nie kryła swego rozbawienia. Mimo szczerzej życzliwości dla Józefa nie kwapiła się, by go dopuścić przed oblicze Tytusa.

— Wątpię — oświadczyła bez ogródek — czy byłoby rozsądne, gdybym cię zaprowadziła do cesarza. Wschód mu nie posłużył, wessał mu się za głęboko w krew. Kiedy go wreszcie ze siebie wyrwał, pozostała blizna, która nie chce się zagoić. Cesarz Tytus nie może strawić Judei. — Spojrzała na niego wielkimi, śmiałymi, szeroko rozstawionymi oczyma, czoło jej pod potężną piramidą loków zdawało się jasne i dziecięce. — Inni strawiliby ją może lepiej — powiedziała powoli, z namysłem, przyglądając mu się badawczo. Józef schwyił ją porywczo za rękę. — O nie! — zawołała i tak mocno uderzyła go po palcach, że aż go zabolalo.

W trzy dni potem wezwano go na Palatyn.

W atrium, zanim go zaprowadzono do Tytusa, podszedł do niego lekarz przyboczny Walens.

— Mała prośba, mój Flawiuszu Józefie — powiedział bardzo uprzejmie — nie pozostawaj u cesarza dłużej niż dwadzieścia minut.

Józef, który poczuł się nieswojo pod zimnym, badawczym wzrokiem lekarza, zapytał:

— Kto o to prosi?

— Ktoś, kto ma do tego prawo — odrzekł Walens tajemniczo.

Tytus postarzał się wyraźnie. Okrągła twarz była obrzmiała, oczy wydawały się jeszcze węższe, jeszcze bardziej zapadnięte. Ufryzowane loki nad niskim czołem, pooranym zmarszczkami, sprawiały, że cesarz wyglądał jak sędziwe dziecko. Ucieszył się wyraźnie, że widzi Józefa.

— Nareszcie, mój Żydzio — rzekł. — Opowiadaj o Judei.

Józef zaczął opowiadać. Mówił o tym, że kraj rozkwita.

Mimo kilku niemiłych przywar gubernator jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Jego zarządzenia łącznie z bardzo rozumnymi zarządzeniami mądrego rabbi Gamaliela działają w ten sposób, że Rzymianie nie mają poważniejszych zatargów z Żydami.

Cesarz zdawał się rozczarowany. Nie tego oczekiwał. Snadź czekał na coś, bał się tylko o to zapytać. Józef łamał sobie głowę, czego też cesarz chce się dowiedzieć, ale nie mógł odgadnąć. Dwadzieścia minut, które zastrzegł Walens, niemal już minęło. Tytus był widocznie zmęczony, nie słuchał prawie słów Józefa, patrzył tam, gdzie kiedyś wisiał portret Bereniki.

— Byłeś tam? — zdecydował się wreszcie zapytać wręcz.

Józef śledził za wzrokiem cesarza.

— Gdzie? — zapytał niepewnie, przypuszczając, że Tytus ma może na myśli Berenikę.

— Oczywiście w Jerozolimie — rzekł Tytus nieco niecierpliwie. Zniżył głos, wypowiedział te słowa niemal szeptem.

— Tak, byłem — odparł wreszcie Józef.

— No i co? — zapytał Tytus chciwie.

— Stoją tam baraki dziesiątego legionu, jest kilka studzien, wznoszą się mury wież Hippikusa, Fazaela i Mariamne.

— Znam to nienajgorzej — rzekł cesarz szyderczo.

Józef przypomniał sobie olbrzymią pustynię; nie był w stanie nadal kierować się rozsądkiem, odrzekł nie podnosząc głosu, lecz rąbiąc każde słowo:

— Poza tym nie ma tam nic.

Tytus spoglądał przed siebie udręczonym wzrokiem, jak gdyby szukał czegoś. Mówił teraz tak cicho, że Józef z trudem go zrozumiał.

— Nie powinniśmy byli tego robić — powiedział. — Należało to pozostawić na miejscu. Przrzekłem jej, że się tak stanie, zawsze marzyłem o tym, żeby ją zobaczyć wchodzącą po stopniach. Tymczasem weszła po stopniach Palatynu i to było niewłaściwe.

Józef chciał zaprzeczyć, ale Tytus przerwał mu gwałtownie:

— Powiadam ci, Żydzie, że to było niewłaściwe i dlatego wszystko runęło. Pamiętasz, jakieśmy po raz pierwszy zobaczyli miasto? W waszej Świątyni panował ogromny gwar i zgiełk. Tęsknię teraz od czasu do czasu za gwarem, ale ów zgiełk był niemiły, nie przestawał huczeć w mojej obolałej głowie. Ale, ale, w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, jak nazywaliście to coś, co tak głośno huczało?

— Był to psalterion — odrzekł Józef — instrument o stu dźwiękach.

Słowa cesarza wstrząsnęły nim do głębi. Nie poruszyło go to, co Tytus mówił, lecz cichy, tajemniczy, obumarły sposób, w jaki to wypowiedział.

— Racja — rzekł Tytus — psalterion. Wasz Bóg Jehowa ma głos potężny. Czy będąc teraz w Jerozolimie nie słyszałeś go? — zapytał zaciekawiony.

— Owszem — odparł Józef z wahaniem — słyszałem głos Jehowy.

— Widzisz — rzekł cesarz kiwając ciężką głową. Był uradowany, jak gdyby od początku czekał na te słowa. — Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu — dodał jeszcze. — Ale, ale — ciągnął dalej — czy wiesz, że kapitan Pedan umarł? Tak, umarł całkiem nagle, podczas bankietu. Nie doczekał sędziwego wieku. Był mocny i rześki, przypuszczałem, że pożyje długo. Odznaczono go wprawdzie wieńcem z ziół, ale to był zły człowiek. Nie powinniśmy byli tego robić — wrócił do poprzedniej myśli. — Właściwie nigdy tego nie chciałem — rozważał. — Gdyby wasz Jehowa był Bogiem sprawiedliwym, nie mógłby przypisać mi winy. Myślę jednak, że nie jest Bogiem sprawiedliwym i że niedługo już pociągnę. Mój poczciwy Walens zna się na rzeczy, pociesza mnie, dodaje otuchy, cóż jednak może poradzić, kiedy wasz Bóg Jehowa taki jest niesprawiedliwy.

Te słowa władcy świata przyprawiły Józefa o dreszcze. Przypomniał sobie kapitana Pedana, jego szeroką, brutalną łapę, obrośniętą białawymi włoskami, która nie mogła już walić i miażdżyć. Pomyślał przelotnie, że teraz miasto Emmanus nie będzie się już chyba sprzeciwiało

włączeniu jego posiadłości do gminy; był rad, że nie użył swego wpływu na Flawiusza Silwę dla celów osobistych, lecz dla ogólnego dobra Żydów.

— Tak, nie chciałem tego — raz jeszcze zapewnił cesarz. — Dlaczegoż to zresztą wasz Jehowa nie ochronił swego domostwa i dopuścił, że owego dnia odkomenderowano właśnie owego Pedana, by spełnił rozkaz? Uważam, że wasz Bóg nie zachował się lojalnie wobec mnie. Nawet gdyby Walens miał rację i gdybym wrócił do zdrowia, wasz Jehowa zrujnował mi życie. Powinna była wejść po stopniach Świątyni, on zaś sprawił, że były to stopnie Palatynu... Dosyć już o tym — przerwał nagle i spróbował uderzyć w inny ton.

Józef obudził się z odrętwienia i spojrzął na zegar wodny. Dwadzieścia minut już dawno minęło. Niechaj jednak ten, który ma władzę, robi, co mu się podoba; na razie jest u Tytusa, a wcale dotąd nie wspomniął o swojej sprawie.

— Widziałeś księżną Lucję? — zapytał cesarz lżejszym, bardziej ożywionym tonem. — Czy nie jest wspaniała? Czy to nie istne wcielenie Rzymu? Tak, to mocna opoka. — Znowu spojrzął na miejsce, na którym wisiał kiedyś portret. — Oczywiście to nie to, co Berenika — dodał z uśmiechem. Zmieniając znowu ton stwierdził rzeczowo: — Słuchaj, Józefie Flawiuszu, mój dziejopisie, zdobyłem wprawdzie zaufanie moich Rzymian i jestem ukochaniem i radością rodzaju ludzkiego, ale straciłem moją własną radość oraz wielką szansę mego życia.

Potem uprzejmie, dobrotliwie zapytał Józefa, co go sprowadza. Kiwnął głową, uśmiechnął się, klasnął w dłonie wzywając sekretarza. W ciągu minuty sprawa udzielenia obywatelstwa Marze córce Lakisza, zamieszkałej na folwarku „Studnia jałtańska” pod miastem Emmaus, została załatwiona w myśl życzenia Marulla i Józefa.

Józef opuszczając Palatyn nie czuł jednak prawdziwej radości. Długo jeszcze dręczyły go dziwne słowa cesarza.

Dorion miała dni wypełnione. Wraz ze swym przyjacielem Anniuszem Bassusem odwiedzała imprezy, na których kobieta światowa powinna się pokazywać. Znowu rozbudowała swą willę w Albanum. Zachwycano się jej architekturą i urządzeniem wnętrza. Lubiła komfort, umiała cieszyć się pięknymi rzeczami; kiedy przypominała sobie ponury, zaniedbany dom w szóstej dzielnicy, miała wszelkie podstawy, by czuć się szczęśliwą. Również zastąpienie błyskotliwego, nieobliczalnego Józefa przez pułkownika Anniusza Bassusa w charakterze przyjaciela i obrońcy — nie było złą zamianą. Tytus już chyba niedługo ustąpi miejsca bratu; istnieją uzasadnione widoki, że Anniusz zostanie wtedy dowódcą gwardii, a więc po Domicjanie najbardziej wpływowym człowiekiem w państwie.

Mimo to od czasu rozvodu z Józefem Dorion była bardziej nerwowa i niecierpliwa niż dawniej, a przede wszystkim traktowała bardziej szorstko swego przyjaciela Anniusza. Anniusz kochał ją i przyjmował jej grymasy ze spokojem. Ale jako człowiek miłujący porządek był niezadowolony, że Dorion nie posiada jeszcze obywatelstwa rzymskiego, i nalegał na legalizację ich stosunku. Dorion nie mogła jednak zdecydować się na poddanie kilku drobnym formalnościom i pod błahymi pozorami była głucha na jego prośby.

To, że Józef odesłał jej syna, wyprowadziło ją całkowicie z równowagi. Miesiące mijały, a nie było dnia, żeby nie czuła do niego dzikiej nienawiści, a równocześnie gorąco go nie kochała. Odetchnęła, kiedy pojechał do Judei. Niechaj sobie wraca do tej swojej śmiesznej, barbarzyńskiej prowincji, tam jego miejsce. Stosunek jej do Anniusza stał się równiejszy, bardziej poufały. Kiedy przy końcu lata podarował jej swój pałacyk w mieście, przyjęła ten dar i przeniosła się na zimę do Rzymu.

Pewnego razu, krótko po powrocie Józefa, spotkała swego byłego męża w Świątyni Pokoju z okazji wielkiego wieczoru recytacyjnego Diona z Prusy. Wydał się jej zmieniony — typ żydowski zaakcentował się — a równocześnie młodszy. Tak wyglądał w Aleksandrii, kiedy

zobaczyła go po raz pierwszy; pożądanie, które pociągnęło ją wówczas do niego, ogarnęło ją na nowo. Zauważyła, że po zakończeniu prelekcji Józef usiłował dostać się do niej; obawiając się tego spotkania, unikała uporczywie jego wzroku i nie dała mu możliwości wszczęcia z nią rozmowy. Odtąd znowu była bardziej niecierpliwa wobec Anniusza. Wczesną wiosną zaczęła nalegać na opuszczenie Rzymu i powrót do Albanum.

W związku z powrotem do Albanum Anniusz przyniósł Dorion podarunek do jej salonu: figurkę z brązu korynckiego, mającą służyć za świecznik. Przedstawiała ona nagiego, obrzezanego Żyda. Figurka była wykonana misternie, zuchwale, nieco sprośnie. Damy chętnie umieszczały w swych pokojach tego rodzaju dzieła sztuki. Pochodziła z pracowni Termosa, wielkiego rywala Basiliosa. Anniusz był zdziwiony, kiedy Dorion nie tylko nie podziękowała za podarunek, lecz zaczęła robić mu gwałtowne wyrzuty za jego brak smaku. Zwykł był reagować na tego rodzaju napaści dowcipem, ale tym razem rozgniewał się. Powiedział jej bez ogródek, że nie przestała jeszcze kochać Józefa. Odrzekła, że Józef ma pewne zalety, których winien mu zazdrościć niejeden mężczyzna. Istotnie zaczęła patrzeć na Anniusza oczyma Józefa. Jego przyjaźń z przyszłym cesarzem, jego zdolności wojskowe, niewątpliwe widoki na objęcie naczelnego dowództwa — wszystko to stało się jej obojętne, a jego głośna, dobrodusznawość oraz żołnierska szorstkość działały jej na nerwy. Rozpoczęły się niemiłe sceny, kiedy to zarzucali sobie nawzajem, że mają zły charakter. Przez szereg dni Anniusz trzymał się z daleka od Dorion.

Paweł nie pytał, dlaczego Anniusz nagle znikł z horyzontu. Zbliżenie się do chłopca było zawsze niełatwe. Dorion wiedziała, że od czasu kiedy Józef oddał go jej, Paweł nie patrzy na nią tak bezkrytycznie jak dawniej. Ona kochała go nadal równie tkliwie, ale zachowanie jej w stosunku do Pawła zmieniło się wraz ze zmianą uczuć dla Józefa. Obsypywała go bez widocznej przyczyny dowodami czułości macierzyńskiej, to znowu, kiedy on z kolei jej szukał, odsuwała się od niego. Zdawała sobie sprawę ze swej chimeryczności, martwiło ją, że jest dla chłopca chłodna, ale nie umiała się opanować. Wiedziała również, jak bardzo Paweł cierpi z powodu jej niejasnego stosunku z Anniuszem. Procesy, toczące się o niego, sensacja, którą wzbudzał, uczyniły go wrażliwym na wszystko, co było dwuznaczne. Wiedziała, że odkąd stał się Rzymianinem drogą adoptacji, pragnie gorąco, żeby i matka jego stała się pełnoprawną obywatelką rzymską. Wiedziała również, jak chętnie Paweł zgodziłby się uznać Anniusza za ojca. Odpowiadała mu jego męskość, jego żołnierski sposób bycia, chciał możliwie jak najprędzej wstąpić do armii.

Nad tym wszystkim przemyślała Dorion w te dni, kiedy Anniusz trzymał się od niej z daleka. Wydawało się jej również, że Józefowi sprawiłoby satysfakcję, gdyby doszło do ostatecznego zerwania między nią i Anniuszem. Napisała do Anniusza żartobliwy liścik, który mógł uważać za coś w rodzaju przeproszenia.

Kiedy przybył do Albanum, świecznik stał w salonie.

Wyrzeczenie się przez Józefa praw ojcowskich wywołało w Pawle przełom. Dotychczas miał miernik dla wszystkich spraw tego świata: zdanie swego nauczyciela Fineasza. Czyn ojca dowiódł, że Fineasz skrzywdził tego człowieka. Chłopiec nadal żywił szacunek dla swego nauczyciela, ale Fineasz przestał już być dla niego ostateczną wyrocznią.

I teraz było mu nieprzyjemnie, że matka i Fineasz tak mało mieli uznania dla niezwykle przyzwoitego zachowania się Józefa. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby na przykład spotykał się z ojcem od czasu do czasu.

Toteż był mile zaskoczony, kiedy pewnego razu przy stole Dorion zapytała go w obecności Fineasza, czy nie miałby ochoty zobaczyć ojca. Opanowany Fineasz odłożył na talerz kęs, który miał wsunąć do ust, wielka, blada twarz pobladła jeszcze bardziej; Dorion nie

uprzedziła go ani słowem o swej decyzji. Paweł spojrział na matkę, potem na swego nauczyciela — oboje czekali na jego odpowiedź.

— Chętnie odwiedzę ojca — powiedział.

Zakłopotany, nie bez radosnego podniecenia, wszedł do domu w szóstej dzielnicy, w którym tak długo czuł się jak więzień. Postanowił sobie zachowywać się wobec Józefa po męsku, serdecznie, na wzór Anniusza. Jednak ojciec, którego zastał, nie był tym ojcem, którego znał, lecz obcym panem z nie znaną Pawłowi brodą.

Józef był widocznie ucieszony przyjściem Pawła, ale dał temu wyraz w sposób spokojny, bez wybuchów radości. Upłynęło trochę czasu, nim rozwinęła się swobodna pogawędka. Józef wypytywał Pawła o postępy w powożeniu końskim zaprzęgiem, o Paniskusa. Paweł interesował się teraz bardziej innym sportem, skomplikowanymi odmianami gry w piłkę. Można śmiało twierdzić, że jest w grze w piłkę skórzaną bardzo mocny, chyba wkrótce będzie mógł spróbować gry w kulę szklaną. Ale to wymaga długiego treningu, a poza tym kule szklane są drogie, każde pudło kosztuje majątek. Józef był od dawna amatorem gry w piłkę, należał do tęgich graczy, więc ojciec i syn przez dłuższy czas rozmawiali o sporcie z wielkim ożywieniem. Potem jednak rozmowa znowu utknęła i Paweł sięgnął odruchowo do rękawa swej szaty, w którym jeszcze niedawno przechowywał kit do lepienia figurek. Kilka tygodni temu, w dniu swoich urodzin, przysiągł sobie, że skończy z tym dziecinnym przyzwyczajeniem.

Józef patrzył na wysmukłego chłopca; syn podobał mu się, wyglądał jak książętko — był do niego bardzo przywiązany. Ale czy nie bolało go kiedyś do żywego, że nie mógł znaleźć drogi do tego chłopca?

Paweł łamał sobie głowę, w jaki sposób dać ojcu do zrozumienia, że, jego zdaniem, Józef postąpił wówczas bardzo przyzwoicie. Józef nie dotknął jednak przeszłości ani słowem; było to taktowne, ale nie ułatwiało zamierzeń Pawła. Chłopca nie nauczono tkliwości, przeciwnie, Fi-neasz tłumaczył mu, że mężczyzna winien ukrywać swe uczucia. Wreszcie wyjął:

— Czy nie chcesz mi dać książki z opowiadaniem o Samsonie siłaczku? Przeczytałbym ją chętnie jeszcze raz. — Józef podniósł wzrok, nieco zdziwiony. Odpowiedział jednak:

— Dam ci tę książkę.

Nie zauważył, jak bardzo chłopiec musiał się przezwyciężyć, żeby go o to poprosić.

Spotkanie z ojcem na ogół było dla Pawła rozczarowaniem; mimo to był dość rad, kiedy Dorion zaczęła nalegać na powtórne spotkanie. Weszło w zwyczaj, że raz na tydzień odwiedzał Józefa. Ale nie zbliżyli się z sobą. Chłopiec zachowywał się powściągliwie, Józef był mu bardzo oddany i życzliwy, ale nie udało się stworzyć ciepłego, poufnego nastroju.

Pewnego dnia Paweł zapytał ojca, jak już dawniej bywało, o swego nieżyjącego brata Szymona. Myślał często o tym zmarłym bracie. Józefa poruszyło to pytanie. Ale historykowi, który umiał tak żywo ukazywać ludzi i bitwy wojny żydowskiej, nie udało się ożywić postaci syna-Żyda. Opowiadał to i owo, ale nie powiedział nic o tym, jak to Szymon przemycił swego przyjaciela Konstansa na arenę i zdobył przez to wiewiórkę; nie wspominał również ani słowem o przywiązaniu Szymona do rumaka Silwana, o jego usiłowaniach zrobienia modelu „Wielkiej Debory”, o jego ulubionym przekleństwie „na Herkla”. Namalował żarliwie blade, wyidealizowane oblicze Szymona-Tinok, które Pawłowi niezbyt się spodobało. Chłopiec przestał dopytywać się o nieżyjącego brata.

Pawłowi towarzyszyła czasami Dorion. Za pretekst służyła jej znajomość z Walerem. Oczywiście nie odwiedzała Józefa, lecz starego, gniewnego, wyrzuconego za burtę senatora. Waler mieszkał na górnym piętrze. Stosownie do zwyczaju niewolnik jego umieścił przed wejściem do domu kosz służący za rodzaj windy, żeby dostojnemu gościowi oszczędzić trudu wspinania się po schodach. Dorion oświadczyła jednak, że niewolnik Walera jest za stary i zbyt

niedołężny; nie miała odwagi oddać się w jego ręce i szła na górę po schodach.

Ani razu jednak nie spotkała swego dawnego małżonka Józefa.

Kiedy matka przychodziła w odwiedziny do starego Walera, Paweł często zjawiał się na górze, żeby ją odprowadzić do domu. Zdegradowany senator wdał się w spekulacje zbożowe kontra Marullowi i Klaudiuszowi Reginusowi, wskutek których wielu członków partii republikańskiej poniosło straty pieniężne, przy czym spekulacje te pochłonęły resztki jego majątku. Miał teraz w mieszkaniu tylko najniezbędniejsze sprzęty, urządzenie składało się w lwiej części z ogromnej ilości stłoczonych popiersi woskowych jego przodków, z zakurzonych wiązek ich różg liktorskich, z nie dojeżdżonych przez mole szat odświętnych, z pokruszonych wieńców tryumfalnych; całą służbę stanowił ów stary, ułomny niewolnik.

Waler był jeszcze sztywniejszy i bardziej oschły niż dawniej. Wraz z ubóstwem wzrosło jego poczucie godności. W dalszym ciągu nie dał się nakłonić do noszenia bielizny, którą wprowadzono na przestrzeni ostatnich trzech stuleci; uważał ten rodzaj stroju za zniewieściały i nie odstępował od surowego, prostego ubioru praocjów. Nic sobie nie robił z tego, że ten swój konserwatyzm przypłacił przeziębieniem, które go nie opuszczało prawie przez cały rok. Zrezygnował tylko ze swoich dumnych imion. Wobec tego, że pospólstwo coraz częściej miało czelność przybierać sobie stare imiona rodowe i rząd tolerował to, uważał za wskazane, jako jedyny jeszcze żyjący wnuk Eneasza, posługiwać się najwyżej dwoma imionami; z dwudziestu jeden skreślił dziewiętnaście i nazywał się skromnie Waleriusz Tulliusz.

Dorion była dla niego pożądanym gościem. Odnosił się do niej z pełnym uznaniem za to, że zbuntowała się przeciw temu wstrętnemu Flawiuszowi Józefowi, chwilowemu towarzyszowi życia, przeciw temu parweniuszowi z barbarzyńskiej prowincji Judei, którego forytowała nierządnicą Fortuna. Patrzył z upodobaniem na wysmukłego młodego Pawła, wyrwanego przez Dorion z rąk Żydów, zdobytego dla Rzymian. Ale ta jego radość z odwiedzin Dorion i chłopca nie czyniła go łatwiejszym w obejściu; nawet kiedy byli u niego, zachowywał się dostojnie, z goryczą i milcząco. Córka jego, białolica, ciemnowłosa Tullia, nie była rozmowniejsza. Drogo kosztowały Dorion próby zobaczenia Józefa.

Paweł zdawał się czuć dobrze w tej surowej atmosferze. Nie był już tak mocno związany z matką i Fineaszem jak niegdyś, niełatwo mu było zbliżyć się z ojcem, więc cenił to sobie, kiedy mu okazywano sympatię; po niedługim czasie wyczuł, że stary mimo swej małomówności jest mu przychylny. Uważał za zaszczyt dla siebie, że Waler widział w nim podrastającego Rzymianina; kiedy stary od czasu do czasu jego i córkę swoją Tullię nazywał swymi dziećmi, było to dla Pawła prawdziwe święto.

Owo dziecko, Tullia, miała już lat dwadzieścia dwa — ten, kto by nie wiedział, jak jest w istocie, uważałby ją raczej za wnuczkę Walera niż za jego córkę. Podłużną głowę trzymała z dziecięcą sztywnością na delikatnej szyi nad wąskimi, spadzistymi ramionami; pod wysoko spiętrzoną, kruczą, kunsztowną fryzurą skóra bladej twarzy zdawała się przezroczysta. Józef, który żywił do współlokatorów z górnego piętra równy brak sympatii jak oni do niego i chętnie z nich pokpiwał, powiedział Marullowi przy jakiejś okazji, że dwudziestodwuletnia Tullia jest już starą panną; kiedy Marull zaś odparł, że sztywna, szorstka skromność dziewczyny nie jest pozbawiona wdzięku, Józef zacytował Owidiusza: „Ta jest tylko cnotliwa, o której względy nikt nie zabiega.” Marull jednakże się z tym nie zgadzał. Uważał, nie on zresztą jeden, że Tullia jest wprawdzie nieśmiała, ale wcale nie skwaszona; wyniosłość jej była, jego zdaniem, jedynie maską zakłopotania. Jakże mogła rozwinąć talenty towarzyskie mając za ojca nieco pomyłonego odludka, zmuszona do niemal pustelniczego życia?

W owym czasie odnawiano świątynię bogini Rzymu, Dynastia Flawiuszów uprawiała żarliwie kult bogini, Tytus polecił artyście tak wybitnemu, jakim był Basilios, odlanie jej posągu

w spiżu. Zapracowany Basilios zabrał się do wykonania zadania pomrukując, nie pozwolił nikomu obejrzeć swego dzieła do chwili powtórnego poświęcenia posągu. Kiedy to nastąpiło, bogini ukazała zupełnie inne niż dotychczas oblicze. Na cokole nie stała, jak się do tego przyzwyczajono, heroina, lecz szczupła, surowa postać dziewczęca o wzruszająco poważnej, dziecinnej twarzy; jej atrybuty w postaci korony, rogu obfitości, lancy i tarczy uwypuklały drogą kontrastu surową delikatność oblicza i postaci. Samowolna nowoczesność rzeźby wywołała w artystycznych kołach Rzymu gwałtowne różnice zdań. Fineasz wraz ze swym wychowankiem obejrzał również ów posąg.

Był zawsze gorącym zwolennikiem Basiliosa, więc nowe jego dzieło bardzo mu się podobało; z ożywieniem tłumaczył Pawłowi, na czym polega piękno posągu. Paweł stał długo przed spiżową rzeźbą, obserwował ją uważnie, był nią porwany, ale nie powiedział ani słowa. Fineasz uważał, że twarz bogini jest niesłychanie żywa; jest to niewątpliwie portret, przypominało mu się pewne dobrze znane oblicze. Długo zastanawiał się nad tym czyje. — Ależ oczywiście — przypomniał sobie wreszcie — przecież to nasza Tullia.

Milczący dotąd Paweł ożywił się, pokręcił energicznie wąską, smagłą głową.

— Nie, to nie jest nasza Tullia — oświadczył. Kiedy Fineasz zwrócił mu uwagę na podobieństwo poszczególnych rysów, upierał się w dalszym ciągu:

— Nie, to nie jest nasza Tullia.

Dorion była zdumiona, kiedy przy najbliższym spotkaniu z Walerem Paweł zwrócił się nagle w stronę Tullii i zawołał z młodzieńczym zapałem:

— Nie uchwycił podobieństwa!

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi. Natomiast Tullia zorientowała się od razu, na jej podłużnej, delikatnej twarzy wykwitł rumieniec.

— Cóż to ma znaczyć, Pawle? — skarciła go Dorion. — Kto nie uchwycił podobieństwa?

— Oczywiście rzeźbiarz — odparł trochę stropiony i zaczął bronić się jak dorosły: — Wszyscy mówią, że bogini Rzymu jest taka podobna do Tullii. I ty to mówiłeś — prawda, nauczycielu mój Fineaszu? Tymczasem tak nie jest, nie ma żadnego podobieństwa.

Senatorowi pochlebiali, że córkę jego wybrano na model bogini Rzymu, ale nie dał tego po sobie poznać i mruknął gniewnie:

— To i lepiej.

Tullia siedziała surowa, nieprzystępna, wyniosła. Dorion skarciła chłopca z lekkim uśmiechem:

— Za wiele sobie pozwalasz. — Potem zwróciła się do Walera: — Paweł wyobraża sobie, że jako wnuk Fabullusa jest urodzonym krytykiem sztuki.

Na odchodnym Paweł przełamał swój lęk, nabrał jeszcze większej odwagi. Zarumieniony, oddychając szybko, zapytał Tullię, czy nie zechciałaby przyjechać kiedyś do Albanum, pragnąłby jej pokazać swój zaprzęg i kozy. Dorion była mile zdziwiona, że jej tak powściągliwy syn zdobył się na odwagę w zakurzonej, muzealnej atmosferze tego domu. Kiedy Paweł zaproponował jeszcze, by Tullia podczas wizyty w Albanum zagrała z nim w piłkę, przyszła mu z pomocą, oświadczając:

— Jest naprawdę niezłym graczem. Niełatwo ci będzie ostać się przed nim, Tullio.

Dziewczyna odrzekła, że grywała w piłkę tylko w dzieciństwie, kiedy mieli majątek w Kampanii; teraz wyszła z wprawy.

— Wystarczy na nią popatrzeć — zawołał Paweł z zapałem — a już wiadomo, że to urodzony szampion. Zagramy kilka razy, a potem powierzę ci moje kule szklane.

— Nie moglibyśmy ci ich odkupić — odparła dziewczyna.

Uśmiech, towarzyszący tym jej słowom śmiało przyznającym się do biedy, miał w sobie niemało pychy i dumy.

Paweł chodził teraz często do przybytku bogini Rzymu, choć nie było mu po drodze, kapłanów i służbę świątyni radował widok młodego, żarliwego wielbiciela rzeźby.

Tullia wyrwała się pewnego dnia z domu w szóstej dzielnicy i pojechała do Albanum. Podczas gry w piłkę odtajała wyraźnie i okazała się również zwinną partnerką. Mimo to Paweł nawet po czwartej rozgrywce wołał grać piłkami ze skóry i nie narażać na szwank szklanych kul.

Ojcu nie powiedział o nowej przyjaźni ani słowa. Józef odkrył to przypadkiem. Pewnego dnia mianowicie zastał Pawła pochłoniętego, jak to bywało dawniej, lepieniem figurek z kitu. Józef ciągle jeszcze odczuwał odrazę do nadawania przedmiotom i ludziom plastycznego kształtu, był niezadowolony, że chłopiec znowu do tego powrócił.

— Co ty robisz? — zapytał i wziął do ręki na pół wykończoną figurkę.

— Miała to być bogini — odparł Paweł z pewnym zakłopotaniem.

Józef był zmartwiony, że jego syn u niego w domu zajmuje się lepieniem postaci bożków. Ale ukrył tę swoją zgryzotę i zapytał ze spokojem:

— Cóż to za bogini?

Paweł nie nauczył się kłamać. Czerwony jak rak odpowiedział:

— To bogini Rzymu. Właściwie nie jest to bogini, lecz mieszkająca w tym samym domu co ty Waleria Tullia.

Zdumiony Józef zaczął wypytywać dalej, Paweł opowiedział z pewnym ociąganiem się, ale szczerze i uczciwie, o Tullii, bogini i grze w piłkę.

Józef zdawał sobie oczywiście sprawę, że przyjaźń między jego młodziutkim synem a Tullią była młodzieńczym uczuciem w rodzaju tych uczuć, których sam doznawał będąc w wieku Pawła. Mimo to było mu niemiło, że syn jego zadurzył się w tej skwaśniałej, starorzymskiej Tullii. Chłopiec odziedziczył widocznie cześć, którą malarz Fabullus oddawał wszystkiemu, co po rzymsku surowe, tradycyjne. Józefa to gniewało. Pragnął, żeby syn jego był kimś więcej niż Rzymianinem. Po raz pierwszy opadły go wątpliwości, czy postąpił słusznie, oddając wówczas chłopca Dorion.

Zaczął z większą gorliwością niż dotąd zajmować się Pawłem. Zabiegał o niego gorączkowo i gwałtownie. Ale było za późno. Słowa, które kilka tygodni temu uszczęśliwiłyby chłopca, teraz docierały zaledwie do jego uszu. Poza tym Józef nie zawsze umiał opanować gniew, jaki budził w nim rzymsko-grecki sposób bycia chłopca. Ściana między ojcem i synem była nie do obalenia.

Pewnego dnia, kiedy Paweł przyszedł właśnie z wizytą, wszedł do pokoju Justus; sądził, że Józef jest sam. Przyglądał się chłopcu bez zaciekawienia. To się Pawłowi spodobało. Od czasu toczących się o niego procesów wiele osób dowiedziawszy się, kim jest, patrzyło mu w twarz długo i zuchwale. Tymczasem Justus siedział z surową miną, nie zwracał na niego uwagi, rozmawiał spokojnie z jego ojcem, przecząc mu często, ale w sposób spokojny i rzeczowy. Człowiek o jednej ręce i niezłomnych zasadach robił na Pawle coraz silniejsze wrażenie, chłopak był zdumiony, kiedy z rozmowy wynikło, że Justus jest Żydem. Gdy w dodatku Paweł dowiedział się, że Justus już wisiał na krzyżu i cudem został z niego zdjęty, odrzucił precz całą swoją stoicką powściągliwość. Po dziecinnemu, natarczywie, zaczął go wypytywać i słuchał jego słów z otwartymi ustami.

Tak, ten Żyd Justus, mówiący wyszukanie po grecku, ten awanturnik nie przechwalający się swym bohaterstwem, pełen kostycznej ironii w stosunku do tego bohaterstwa, już przy pierwszym spotkaniu zawładnął sercem chłopca. Paweł nie mógł się po prostu oderwać od widoku tej wychudzonej twarzy oraz pustego rękawa. Został dłużej niż zazwyczaj, na

odchodnym, podniecony, zapytał Justusa, czy go następnym razem znowu u ojca zobaczy.

Józef dziwił się, że syn jego nagle tak szczerze i bezpośrednio przylgnął do obcego. Był rad, że Żyd potrafił chłopcu zaimponować, dręczyło go jednak, iż Żydem tym jest właśnie Justus. Kiedy Paweł zaczął go później wypytywać, kim i czym jest ów Justus, walczył z pokusą opisania go w sposób niezbyt pochlebny. Ale przewyciężył się i zgodnie z przekonaniem powiedział chłopcu, że ten człowiek jest największym spośród żyjących pisarzy. Czuł się nieco dotknięty, że Paweł przyjął to bez protestu i nie napomknął ani słowem o jego popiersiu w Świątyni Pokoju.

Przyglądał się z mieszaniną sprzecznych uczuć, jak syn jego stara się żarliwie wkraść w łaski Justusa. Paweł, który w obcowaniu z ojcem mówił niewiele, był z Justusem niezwykle rozmowny. Chłopięca fantazja i chłopięce uczucie przerzuciło się z Rzymianki Tullii na Żyda Justusa. Józef uważał tę zmianę za pomyślną, a jednak bolała go i drażniła. Najwięcej dręczyło go, że Justus toleruje gwałtowną miłość Pawła. Widział dokładnie, że to chłopiec ubiega się o względy tamtego, a Justus raczej się przed nim broni, niż go zachęca; mimo to i wbrew wszelkiemu rozsądkowi umacniało się w nim przeświadczenie, że Justus, niby nieuczciwy rywal, zabiera mu syna. W chytry sposób starał się wydobyć od Pawła, czy Justus nie podburza go przeciw ojcu. Okazało się, że nigdy nie wypowiedział o nim ujemnego słowa. Nie pocieszyło to jednak Józefa. Czy subtelny chłopak nawet bez słów nie wyczuje, co Justus o nim myśli? Czy w ogóle ktoś, kto poważa Justusa, może żywić szacunek dla Józefa?

Pewnego razu sprowokował złośliwie rozmowę na temat Pawła.

— Jak ci się podoba mój Paweł? — zapytał.

— Podoba mi się — odparł Justus spokojnie i beztrąsko.

— Uważasz z pewnością, że jest bardzo różny ode mnie? — sondował Józef dalej.

Justus wzruszył ramionami i odparł żartobliwie:

— „Nie bądźcie jako ojcowie wasi” — mówi Pismo.

— Słowa te nie bolą tych, którzy nie mają synów — powiedział Józef.

— Nie sądzę — oświadczył Justus — bym miał za złe memu synowi, gdyby nie wstąpił w moje ślady. Pokolenie dzisiejsze niewiele ma powodów, by naśladować swoich ojców. Ojcowie ci rozpętali potwornie bezmyślną wojnę i całkiem słusznie zostali straszliwie pobici. Jak możesz żądać, żeby syn twój Ignął do ojca-Żyda, a nie do swej matki-Greczynki. Pięknie to i dobrze — dodał ciepło i serdecznie — żeś mu pozostawił swobodę i nie chciałeś naginać go przemocą.

Józef milczał przez chwilę. Potem powiedział cicho i ponuro:

— Żałuję, że byłem wówczas taki miękki.

Justus spojrział na niego ze zdumieniem.

— Pomyśl, proszę — odpowiedział tonem, jak na niego niezwykle łagodnym — że syn Żyda mógłby się dzisiaj nauczyć od ojca tylko tego, by postępować wprost przeciwnie, niż postępował ojciec, \ wierzyć w coś zupełnie innego niż ojciec. Ojcowie powstali przeciw Rzymowi. Synowie nie wierzą już w czynny opór. Stali się nieufni, przechodzą do nazareńczyków oraz do ich nauki o bierności i rezygnacji.

— Pewnej nocy — rzekł Józef szyderczo — w rozmowie przy studni niejaki Justus odzywał się bardzo drwiąco o bierności i rezygnacji.

— Czy powiedziałem — gorączkował się Justus — że ci, którzy wierzą w bierność i rezygnację, mają słuszność? Nie myślałem tak wtedy i nie myślę dzisiaj. Nie bronię synów. Młodzi są wyciosani z równie kiepskiego drzewa jak starzy. Ojcowie nie ufali we własne siły, czuli się słabi w pojedynkę. Dlatego znaleźli wybieg, wymyślili naukę o narodzie w przekonaniu, że siła i wielkość narodu wzmacnia jednostkę. Synowie czując również swoją słabość znaleźli sobie inną podpórkę; wyobrażają sobie, że pomoże im Mesjasz, który zginął na krzyżu. Wiara w

naród, wiara w Mesjasza — jedno i drugie to nonsens, wpływ własnej słabości.

— To są mądre abstrakcje — szydził Józef. — Znalazłbym w nich pociechę, gdybym nie miał syna. Ale mam syna i syn mój nie jest Żydem, jest Grekiem i takie uogólnienia nic mi nie pomogą. — Zakończył gniewnie: — Justusie z Tyberiady, jesteś wielkim pisarzem, o wiele większym ode mnie. Możesz mi pomóc w mojej umiejętności wysławiania się po grecku, może nawet w mojej filozofii, ale z moją istotą, z moim życiem, z moją rzeczywistością muszę niestety sam się uporać.

To, że Józef znalazł dla Justusa słowa tak gorzkie, nie wynikało jedynie z żalu o Pawła. Przyczyną ich było raczej niezadowolenie, że jakoś nie udawała mu się jego nowa książka. Obecność Justusa wkrótce przestała być dlań ostrogą i bodźcem, stała się, jak to bywało niegdyś, wyrzutem. Praca nad *Historią świata* nie postępowała, słowa nie miały polotu, tracił coraz bardziej chęć do pracy.

Natomiast Justus mówił, że jego nowa podróż w świat, do Judei i do Rzymu, uleczyła go z wielu przesądów, umocniła jego dumę i wiarę w posłannictwo pisarza. Pokazała mu na nowo, jak bardzo ludzie poddają się sugestii cyfr i dat oraz owych powiązań politycznych i ekonomicznych, zwanych losem, i jak odmienny powstaje obraz życia, jeżeli poszczególne jednostki wchłaniają owe suche cyfry i daty w serce i zapładniają je własnymi sokami. Justus pracuje teraz nad takim prawdziwym obrazem życia z ochotą i dobrym wynikiem.

Józef widział to i zżerała go zazdrość. Poprosił swego przyjaciela-wroga, by mu pokazał, czego dokonał od czasu przybycia do Rzymu. Justus wzdragał się przez krótką chwilę, potem dał mu swój rękopis. W ciągu owych tygodni napisał pięćdziesiąt stron o oblężeniu Jerozolimy, które znawcy podnosili z czasem pod niebiosą jako najlepszą prozę stulecia.

Józef czytał. Jakież to wszystko, co się działo wewnątrz murów i poza nimi, jest u Justusa jasne i przejrzyste: te fikcyjne oraz prawdziwe argumenty Żydów i Rzymian, cały ten zawiły kłęb interesów gospodarczych, społecznych, religijnych i militarnych, wiary i zabobonów, polityki i tęsknoty do Boga, ambicji, miłości i nienawiści jednostek. To, co Józef dawał do zrozumienia na trzystu stronach mętnie, było tutaj na pięćdziesięciu stronach przedstawione w pełnym, jaskrawym i jasnym świetle. Józef czytał i był dumny, że istota ludzka mogła to napisać. Równocześnie czerw zazdrości zżerał mu serce, że napisał to ten drugi.

Zwrócił rękopis Justusowi ze słowami:

— To najlepsze, co napisałeś, Justusie. To najlepsze, co w naszej epoce zostało napisane. Teraz wszystko o tej wojnie zostało raz na zawsze powiedziane. — Głos miał zachrypnięty, z trudem przemógł się, by wypowiedzieć tę prawdę.

Kiedy został sam, zaczął rozważać. Zanurzył się w życie, w rzeczywistość. Był nie tylko pisarzem, ale również mężem stanu, żołnierzem. Panowie świata czcili go, najpiękniejsze kobiety miasta kochały go. Napisał wielką księgę, popiersie jego stoi w Świątyni Pokoju. Ale to, co on na próżno usiłował wyrazić w swym pełnym udręki życiu i w swej grubej księdze, Justus wypowiedział na pięćdziesięciu stronach, a Paweł, o którego walczył tak długo, stawiając na kartę własne życie, przyłgnął do Justusa bez żadnego wysiłku z jego strony.

Poczuł w sobie głęboką pustkę. Przeczytawszy to, co napisał tamten, miał wrażenie, że jego dalsza praca jest pozbawiona sensu.

Napisał do Mary; prosił, błagał, żeby przyjechała jak najprędzej. Wierzył, że jej obecność doda nowych sił i jemu, i jego dziełu. Ale wiedział, że Mara nie cofnie swej decyzji i że nie opuści folwarku „Studnia jałtańska”, dopóki nie ukończy swojej pracy.

Minęły zima i wiosna, a Dorion nie znalazła okazji, by spotkać Józefa.

Przyszedł wreszcie dzień, kiedy dowiedziała się o jego planie sprowadzenia Mary, uczynienia jej pełnoprawną obywatelką rzymską i ponownego poślubienia.

Opowiedział jej o tym Marull. Udało jej się opanować, mówić z uśmiechem o rzeczach obojętnych, dopóki Marull nie odszedł. Oczywiście potem, kiedy została sama, wiadomość runęła na nią z całą siłą. Oddech miała nierówny i przyspieszony, dostała nieznośnego bólu głowy, leżała na sofie ze zmienioną twarzą.

To, że Mara ma dzięki Józefowi zostać pełnoprawną

Rzymianką, kiedy ona, Dorion, jeszcze nią nie jest, wydawało jej się wprost niesłychaną hańbą. Zapomniała, że swego czasu sama sprzeciwiła się legalizacji swego małżeństwa z Józefem i że teraz wystarczyło powiedzieć Anniuszowi Bassusowi jedno słowo, a stałaby się Rzymianką. Nie chciała jednak stać się Rzymianką przez Anniusza, lecz przez Józefa, nie chciała, żeby stała się nią tamta. Cóż ich jeszcze dzieli, odkąd oddał jej chłopca? Czekala, że Józef zrobi potem pierwszy krok, on zaś sądził, że przez tę ofiarę uczynił wszystko, co do niego należało. Stanowisko jej było słuszne, ale i jego argument miał swoją wagę. Wszystko razem było nieporozumieniem. Byłoby szczytem śmieszności, gdyby ona, Dorion, nie potrafiła usunąć tej prowincjonalnej Żydówki.

Kiedy jednak w dwie godziny później zjawił się Anniusz, zapomniała o swym zamiarze zdobycia na nowo Józefa i wypełniła ją całkowicie wściekłość. Tym razem zaczęła przed zdumionym Anniuszem wygadywać na Józefa. W przeciwieństwie do Anniusza mówiła cicho i swobodnie, ale drwiła gorzko z Józefa, prześcigając pod tym względem Anniusza. Znała doskonale każdy szczegół z życia Józefa, z tej intymnej o nim wiedzy wyciągała każdy drobny rys i epizod, o którym sądziła, że uczyni go śmiesznym i wstrętnym. Anniusz śmiał się, ryczał ze śmiechu. Ale stopniowo zaczęła go mierzić nienawiść, którą przepojone były jej wytworne słowa.

— Nie mów o tym Pawłowi — oto wszystko, co miał do powiedzenia, kiedy minął atak furii Dorion.

Dorion była całkowicie pochłonięta myślą odwojowania Józefa. Kiedy Paweł wybierał się do ojca, poleciła mu, żeby go zaprosił do Albanum. Niech obejrzy dom, który jest nareszcie gotów.

W dwa dni później Józef pojechał do Albanum. Nie zwracał uwagi na piękną, falistą okolicę, lśniąca w wiosennym słońcu, na łagodne wzgórza, na uroczę jezioro, na dalekie morze, na piękne wille nad brzegiem. Przybywał bez z góry powziętego planu, nie chciał od Dorion niczego, ale nie był sobie pewien, nie wiedział, jak podziałają na niego jej widok i jej słowa, był podniecony, czuł się nieswojo.

Tym razem oczekiwała go przy wjeździe. Twarz jej promieniała radością. Podążyła mu obie ręce, poprowadziła do domu, była jak za najlepszych czasów dziecięca i dowcipna. Z życzliwą uwagą przyglądała mu się dokładnie, wypowiadała tysiące miłych, drobnych złośliwości, zabiegała o niego przy pomocy wszystkich środków, jakie miała do dyspozycji. Wypędziła nawet z pokoju kocura Chronosa, kiedy poczuła, że jest Józefowi niemiły.

Bardzo się Józefowi podobała, zachwycał się wszystkim, co było w niej uroczę. Ale na tym koniec. Poddał się tej ostatniej próbie nie bez lęku; wkrótce stwierdził z radością, że wyszedł z niej obronną ręką. Był raz na zawsze wyleczony z owej namiętności, która go tak często poniżała, zmuszała, by postępował wbrew własnej woli i przeznaczeniu. Jeżeli ta kobieta chce, może z nią pozostać w przyjaźni, ale nigdy już nie narazi przez nią na szwank ani swego życia, ani swego dzieła. Czuł się spokojny, pewny siebie, rozkoszował się swym zwycięstwem.

Nawet na Fineasza mógł teraz patrzeć ze spokojem. Fineasz liczył się z tym, że Józef poczęstuje go złośliwymi aluzjami, dotyczącymi przeszłości. Ale Józef nie uczynił tego, nie pozwolił sobie na okazanie taniego tryumfu, przeciwnie, wypowiedział kilka dobrodusznych dowcipów na tematy, o które kiedyś zaciekle walczyli. Ten spokój Józefa drażnił i denerwował

Fineasza, jego poczucie wyższości znikło, wielka twarz zbladła jeszcze bardziej, wyrażała napięcie. Dorion ze swej strony czuła się słowami i zachowaniem Józefa bardziej upokorzona, niż gdyby z niej po prostu szydził.

Kiedy Paweł i Fineasz się oddalili, dokonała ostatniej próby. Opowiedziała Józefowi, jak bardzo Anniusz nalega, żeby wyszła za niego. Ale Józef miał rację, ten Anniusz jest zbyt głośny, denerwuje ją czasami, brak mu wyczucia, nie ma zrozumienia dla wielu spraw bliskich jej sercu. Poświęciła swego żołnierza, czekała na to, że Józef zaproponuje jej, by rozstała się z Anniuszem i wróciła do niego.

Józef jednakże nie wysunął podobnej propozycji. Przeciwnie, okazał chłodne zainteresowanie przyszłością Dorion, oświadczając, że Anniusz, jako najbliższy przyjaciel księcia, prawdopodobnie otrzyma kiedyś naczelne dowództwo armii; Dorion powinna zastanowić się dobrze, zanim z powodu drobiazgow straci taką szansę.

Kiedy Józef odszedł, Dorion była błąda z wściekłości, miała wrażenie, że serce jej pęknie. Znowu postawiła na dawnym miejscu posążek obrzezanego, który usunęła przed przyjściem Józefa, a kiedy Anniusz poprosił ją raz jeszcze o ustalenie terminu ich ślubu, nie miała już żadnych zastrzeżeń.

Sprawy Józefa układały się tej wiosny nie najgorzej. Fizycznie czuł się dobrze, Klaudiusz Reginus był szczodry, mógł więc spłacić długi, które powstały w związku z rozstaniem z Dorion, jego pozycja literacka była ustalona od czasu umieszczenia popiersia w Świątyni Pokoju. Wrogość Żydów wobec niego wyraźnie zmalała od chwili, kiedy się dowiedziano, że rabbi Gamaliel świadczył mu honory. Mimo to poczucie szczęśliwości, które go ogarnęło po powrocie do Rzymu, dawno się rozwiało. Cierpiał nad tym, że jest niezdolny do pracy, czas, który przez całe życie wydawał mu się za krótki, dłużył mu się teraz.

Przesiadywał godzinami w warsztatach Aleksasa. Fabrykant szkła oraz jego pracownicy pokazywali mu finezje swej sztuki, demonstrowali, jak ze stwardniałej masy szklanej wycina się figury, w jaki sposób zabarwia się tę masę przy pomocy kunsztownej i skomplikowanej metody, jak z szorstkiego, łamliwego tworzywa snuje się bardzo delikatne pasma, pomiędzy które można wprawiać złote płytki. Ale Józefa nie pociągały wszystkie te wyrafinowane sztuczki, siedział godzinami przy rozżarzonej piecu i patrzył, jak z piasku i sody powstaje nowa substancja: szkło. Drobną zmianą w dozowaniu czyniła tę nową masę szlachetną lub nieszlachetną i nawet rzeczoznawca nie mógł z góry określić, jaki będzie rezultat.

Józef przyglądał się również długo wytwarzaniu zupełnie prostych naczyń szklanych. Przykuwało go to, w jaki sposób robotnicy wydmuchują z gorącej masy na żelazną płytę małe i większe naczynia, wąskie i brzuchate, jak później ta wydmuchana masa przybiera pożądany kształt. Ciągłe napawało go podziwem, że wystarczy kropla wody, by to, co zostało wydmuchane, oddzielić od rurki. Przyglądał się, jak dwaj robotnicy wydmuchują odrębne części tworzące potem całość. Jeden wydmuchiwał szyjkę naczynia, drugi jego pękatość. Józef rozmyślał, jak to w każdym poszczególnym wypadku dopiero połączenie sztuki i szczęścia pozwala osiągnąć choćby najzwyczajniejszy rezultat. Najbardziej wprawnemu bowiem robotnikowi mogło się zdarzyć, że przez nieprzewidziany przypadek powstawał w gorącej masie otwór lub wklęsnięcie i wskutek tego wydmuchany przedmiot stawał się bezwartościowy bądź rozpryskiwał się narażając pracownika na niebezpieczeństwo.

Aleksas zauważył od dawna, że Józef nie jest już człowiekiem, któremu niepotrzebne są słowa zachęty i otuchy. Obserwował go często, przysiadł na chwilę obok niego, otyły, smętny i milczący, bolał głęboko nad tym, że jedyny szczęśliwy człowiek, którego znał w życiu, jednak nie zdaje się być szczęśliwym.

Józef siedział i patrzył na powstawanie szklanych figur. Przyglądał się, jak raz

wymarzony kształt się udaje, innym razem nie, patrzył na tę przekorną zabawę zależną od sztuki i zdolności jednostki, ale nie tylko od nich — wiemy obraz życia. Czyż życie bowiem nie składa się z istoty własnej i obcej, z czegoś niezbadanego, mniejsza o to, czy się to nazywa stosunkami ekonomicznymi, czy losem, czy nawet Jehową. I któż nie składa się podobnie jak tworzywo, z którego wydmuchuje się różne kształty, z licznych zupełnie przypadkowych elementów, złączonych razem nierozzerwalnie, a mimo to tak, że kiedyś, pewnego dnia każdy z tych elementów zaczyna działać samodzielnie.

Czy sam Józef nie składa się z elementów bardzo wysokich, wzniosłych i bardzo niskich? Z pospolitej żądzy sławy i użycia i z czystej miłości dla tego, co dobre i piękne — ze śliny i błota, i boskiego tchnienia oraz z nauki, z historii ojców i własnych pożądań, z Mojżesza i z Koracha, z Koheleta i nawet w drobnej części z Pedana? Podczas gdy płomienie wznosiły się i opadały różnorako i wielobarwnie, rzucając poczarne cienie, Józef myślał o niezliczonych obrazach, z których się składało jego życie, o spustoszonej Jerozolimie, o popiersiu w Świątyni Pokoju, o swoim przyjacielu Justusie, o swoim synu Pawle, o dziele, którego miał dokonać i którego zapewne dokonać nie będzie w stanie.

Odetchnął, kiedy Justus opuścił Rzym i wrócił do Aleksandrii, by skończyć swe dzieło.

Statek, którym odpłynął Justus, przywiózł odpowiedź Mary. Donosiła mu, że urodziła córkę imieniem Jałta. Przybędzie z dzieckiem do Rzymu, ale na pewno nie wcześniej niż późną jesienią jednym z ostatnich statków.

W tym okresie Józef napisał hymn *Psalm o wydmuchiwaczu szkła*:

*Podobniśmy bezkształtnej, zgoła szpetnej masie,
Którą formuje wydmuchiwacz szkła —
I nikt z nas nie wie,
Jaki otrzyma kształt.
Tchnienie wydmuchiwacza
Czyni z nas zrazu jakiś mały drobiazg,
Niby małą laleczkę
Z wejrzenia śliczną albo też i szpetną,
Potem znów wielką gruszkę
Wdzięcznie wydętą, zdatną do użycia,
Albo i rzecz niezdatną, nieporadne nicpotem.
Tak to kształtuje nas los,
Dookolny świat faktów i znaków.
Nie zawsze jednak forma Udaje się dmuchaczowi,
Jak ją pierwotnie zamierzył.
Często masa ze szkła
Rozdyma się i pryska
Parząc mu twarz.
Podobnie ma też granice
Świat faktów, znaków i cyfr.
Nad nim
Potężny, nieprzenikniony Rozum —
A imię jego:
Jahwe.
Piękny to widok, gdy nagle
Z piasku i szpetnej materii
Łyśnię wraz upragniony,*

*Choć nigdy nie przewidziany,
Wielki, stubarwny blask —
Mistrzowi ku radości
I temu, co się przygląda.
Ale czymże był przedtem
Ten przeogromny blask?
Jeno ziarenkiem piasku, jeno drobną
Cząsteczką tępej, niepozornej masy!
Niechże się więc nie chęłpi
Ów twór skrzący — lecz zawsze
Niechaj będzie świadomy
Rodowodu swych łśnień:
Że mianowicie był ziarenkiem piasku —
I niczym więcej —
I że się nawet nikt nie mógł domyślić
Owego skrzzenia,
Które zeń później wyblysło,
Ani też łaski,
Która w nim teraz łśni.
Dlatego niechże, po wtóre, żadne piasku ziarenko
Nie porzuca nadziei, bo może właśnie w nim
Drzemie zaród wielkości,
Która zeń kiedyś wyblśnie.
Dlatego niechże, po trzecie, mistrz nie unosi się pychą.
Jego rzeczą jest dąć,
I dąć w roztopioną masę —
Lecz nie od niego zależy,
Czy dzieło się uda — czy nie.
Jednemu — sam nie wie dlaczego —
Bąble zniweczą szkło —
I praca jego daremna.
Drugiemu znowu — sam nie wie dlaczego —
Błśnie łaska — i oto
Wedle życzenia krągłi mu się kula,
A jego szlachetne szkło Mieni się światłem.*

W końcu sierpnia Józef wyjechał na kilka dni do Kampanii, by uciec z miasta przed straszhliwymi upałami. Dowiedział się tam, że budowa synagogi Józefa posunęła się tak daleko, iż będzie można złożyć w niej zwoje Tory uratowane z Jerozolimy.

Józef wrócił do Rzymu. Obejrzał dom modlitwy razem z doktorem Licyniuszem. Biała wysoka budowla harmonizowała z okolicznymi domami, a mimo to wyglądała obco; domy okoliczne bowiem były gęsto stłoczone ze względu na bardzo wysokie ceny gruntów, synagoga zaś, jeszcze w stanie surowym, stała dumnie samotna pośród wolnej przestrzeni, łamiąc niejako linię ulicy. Było to zrobione po to, aby modlący się zwracali się twarzą na wschód, do Jerozolimy.

Architekt Zenon oprowadzał Józefa i doktora Licyniusza. W podziemiu, pod którego wschodnią ścianą stała wielka arka przeznaczona na siedemdziesiąt zwojów, panował chłód, przez liczne otwory wpadało światło, pełen spokoju przybytek miał w sobie coś tajemniczego. W

trzy dni później Józef wraz z najdostojniejszymi spośród Żydów rzymskich złożył uroczyście zwoje Tory w nowym miejscu. Były odziane we wspaniałe haftowane gieźla, ozdobione złotymi koronami. Ale pod tą wspaniałą osłoną były postrzępione, poplamione krwią, zdeptane butami żołdaków, którzy w płonącej Jerozolimie rabowali domy modlitwy. Józef przypomniał sobie, jak uratował owe zwoje z synagogi pielgrzymów aleksandryjskich. Widział oczyma wyobraźni, jak wędrował przez miasto ze złotymi przyborami do pisania u pasa, ze zwojami Tory ukrytymi w rękawach, jak kroczyli za nim wychłostani, chwiejący się na nogach Żydzi, którym zamiast drewnianego krzyża, na którym mieli być rozpięci, polecił nieść zwoje Tory. Widział i słyszał żołnierzy wyśmiewających tę dziwną procesję. Dziś nikt nie śmiał się z pochodu dostojnych panów, którzy nieśli zwoje do zbudowanego przez Józefa domu modlitwy. Przeciwnie, urzędnicy cesarscy kroczyli na czele procesji i zamykali ją, żołnierze gwardii honorowej w galowych mundurach tworzyli eskortę ochronną i honorową, a przechodnie składali ukłony i oddawali honory obcemu bóstwu. Józef miał mimo to niemiłe uczucie bezbronności i był rad, kiedy zwoje znalazły schronienie w chłodnym, mrocznym przybytku, w którym miały odtąd pozostawać.

Po rozejściu się wszystkich Józef pozostał jeszcze czas jakiś sam na sam ze zwojami. Siedział przed wielką, skromną arką, przed białą kotarą, na której bladozłotymi nićmi wyszyte były litery; kotara ta przypominała mu nieco zasłony w Świątyni Jerozolimskiej. Wiedział, że w jednym ze zhańbionych pergaminów wycięte są dwa otwory w kształcie ludzkich stóp. Jakiś żołnierz wyciął sobie ze zwoju wkładki do butów, wskutek czego zabrakło w tym miejscu słów: „Przychodnia nie zasmucisz ani go uciśniesz, boście i sami byli przychodniami ziemi egipskiej.”

Nagle Józef poczuł, że jest z tymi zwojami związany fizycznie. Tu, w tej arce zebrani byli jego ojcowie i praojcowie. Wszyscy oni żyli tylko po to, by znaleźć w nim swe ujście. Był treścią i spełnieniem ich dziejów, przechowanych w tej arce.

Królowie egipscy sądzili, że potrafią zwyciężyć śmierć, jeżeli swe zabalsamowane ciała zamkną w potężnych, spiczastych trójkątnych wzniesieniach. „Nie, nie, ci zmarli nie poznali tajemnicy — pomyślał. — My mamy klucz do niej. Przy pomocy kilku liter oraz magii słowa zwyciężamy śmierć. W tych małych zwojach zamknęliśmy życie Judei, które nigdy nie zgaśnie. Państwo Izraela mogło zginąć. Państwo Judy, drugie państwo Judei, Świątynia, duch zwojów są niezniszczalne.”

Wszczął rozmowę ze zwojami przechowanymi w arce. Wycinek w jednym ze zwojów, obryzany krwią, otworzył nagle szeroko wielkie usta, które do niego przemówiły. Wszystkie zwoje otworzyły usta i zaczęły z nim mówić. Spowite w mroku sklepienie podziemia napełniło się postaciami, zaczęło rosnąć, rozszerzać się, ściany się rozstąpiły. Otaczał go Izrael, było go tyle, ile piasku w morzu, nieskończone w przestrzeni, nieskończone w czasie.

To, co mu kiedyś mówił Klaudiusz Reginus o opowiadaniach Biblii, które sam przeżył w duchu, ze słów przeistoczyło się nagle w rzeczywistość. Gawędził z niewidzialnymi postaciami, z dawno zmarłymi ojcami, wujami i krewnymi. Pozwalał się im pouczać. Spierał się z nimi. Groził żartobliwie tym, którzy posunęli się za daleko w żarliwości dla sprawy swego narodu: Pinchasowi, Ezzre i Nehemiaszowi. Kiwając głową dyskutował rozumnie z mędrcom Mardochajem o sensie i bezsensie nacjonalizmu. Wiedział od dawna, że wielkość i historia narodu może pomnożyć siły tylko tych, którzy są silni z natury, że nie jest w stanie pomóc słabym. Kiedy człowiek słaby chce się oprzeć na narodzie, naród ten okazuje się zwodniczą trzcina, a fałszywa wiara we własne siły odbiera poczucie własnej słabości. Niechaj nikt, kto jest słaby, nie ma nadziei, że znajdzie oparcie czepiając się innych. Każdemu będzie wystawiony rachunek, każdy musi płacić za siebie, siła wspiera tylko mocnych, spycha na dno słabych. Mądry Mardochaj kiwał głową z uznaniem. Przecież zawsze powtarzał, że nie należało po upadku Hamana zabijać tylu wrogów, choć nawiasem mówiąc nie było ich tylu, ilu wymienia

autor Księgi Estery. W głębi stała w mroku olbrzymia postać Izajasza i kiwała głową.

Józef, poruszony do żywego, słuchał, pytał, odpowiadał. Nie, nikt nie mógł lepiej od niego napisać historii Żydów, którzy przewyciężyli już w sobie własne za i przeciw. Jako patriota sercem złączony był z Żydami, jako obywatel świata wznosił się mózgiem ponad nich, nikt lepiej od niego nie orientował się, w jakim punkcie ich miłość ojczyzny staje się absurdem.

Podniósł się, zbliżył do arki, przytknął palce do ust, dotknął białej kotary, na której widniały złote wyblakłe litery, pochylił się głęboko. Kiedy tak stał, czuł na sobie ciężar swego zadania, ale czuł równocześnie ogromną chęć dokonania dzieła, czuł zaufanie do siebie samego.

Uskrzydłony, pełen jeszcze tego, co przeżył przed chwilą, opuścił podziemie, w którym złożone zostały zwoje Tory, by kroczyć wytkniętą drogą aż do ostatniego jej zakrętu.

Tłuste palce Klaudiusza Reginusa grzebały w papierach, wyciągały tabele, które tłumaczył skrzeczącym głosem. Sprawa, którą referował księciu Domicjanowi, była trudna. Znowu chodziło o te kawałki ziemi, które w związku z przydziałem gruntów koloniom wojskowym i bez żadnej podstawy prawnej zostały przywłaszczone bądź przez urzędników dokonujących rozdziału, bądź przez osoby prywatne. Postępowano tak przez dziesiątki lat i rząd tolerował taki stan rzeczy. Ale Wespazjan zabrał się do zlikwidowania bezprawnej własności i w ten sposób odzyskał tereny wartości dwustu sześćdziesięciu milionów. Ustalił, że zarządzenie to dotyczy ziemi, przywłaszczonej przed 9 czerwca 821 r. od czasu założenia Miasta; na dzień ten przypada data śmierci cesarza Nerona. Gabinet zastanawiał się już nad tym, czy terminu tego nie cofnąć na dzień 13 października 807 r., na który przypada data śmierci cesarza Klaudiusza. Dobra nadające się do konfiskaty były pokaźne. Powstawało tylko pytanie, czy przez takie wywłaszczenie nowa dynastia nie stworzy sobie zbyt wielu wrogów. A teraz Reginus chciał wyznaczyć termin jeszcze wcześniejszy, dzień 24 stycznia 794, na który przypada data śmierci cesarza Kajusa. Na podstawie licznych tabel, chytrze i starannie zestawionych, usiłował przekonać Domicjana, że w porównaniu z zyskiem materialnym szkody polityczne byłyby nieznaczące.

Domicjan słuchał, mocno zaciskając wargi, zdawało się, że słucha z wielkim napięciem. Nie cierpiał Klaudiusza, ale nie ulegało wątpliwości, że był to w zagadnieniach gospodarczych najlepszy rzeczoznawca. Po jakichś dziesięciu minutach Domicjan postanowił i w tej sprawie pójść za jego radą.

Powziąwszy decyzję, słuchał dalszych wywodów jednym uchem, myślał o czym innym. To właściwie okropne, że musi spędzać tyle czasu z ludźmi pokroju tego Reginusa. Ale ludzie tacy są potrzebni w rządzeniu, ojciec wiedział dobrze, dlaczego złączył się właśnie z tym pół-Żydem. Domicjan ma teraz wszelkie powody ku temu, aby opracować sobie dokładny plan, który wprowadzi w życie, gdy zostanie cesarzem. Raporty o stanie zdrowia brata, które otrzymuje okrężną drogą przez Marulla, dowodzą, że czas najwyższy się przygotować.

Uśmiecha się na myśl, że zaledwie pół roku temu opracował starannie projekt ucieczki ze stolicy, w której go trzyma upór Tytusa, do Galii albo do Niemiec, gdzie wojska obwołałyby go cesarzem. Teraz może tego rodzaju fantastyczne projekty przekreślić definitywnie, jego widoki na tron są pewne. Rzecz dziwna, że odkąd zyskał tę pewność, interesuje się żywo drobiazgami, które go dotąd nudziły, Z wzrastającą pewnością, że stanie się władcą, rośnie w nim odziedziczona po ojcu ochota do organizowania. Kiedy Annius Bassus informuje go o sprawach wojskowych, Manili o sprawach politycznych, nawet wtedy kiedy ten wstrętny Reginus składa mu raporty o sprawach gospodarczych, dyskutuje namiętnie nad każdym drobiazgiem ich skomplikowanych sprawozdań.

By myśleć konkretnie, potrzebuje spokoju i skupienia. Często zamyka się na długie godziny, wie, że przeciwnicy jego opowiadają, iż czas ten zużywa na łapanie i zabijanie much.

Niech sobie gadają. Niech rozpuszczają najbardziej szalone plotki o jego żądzy władzy i pozbawionej skrupułów nieobyčajności. Wie o tym, że w kołach szlachty republikańskiej krąży jego list, w którym jako piętnastoletni chłopiec, krótko trzymany przez ojca, ofiarowuje się spędzić noc z senatorem Palfuriusem Surą za zawstydzająco niską zapłatę pięciuset sestercji. Palfurius Sura jest idiotą, pozwolił wykraść sobie ten list, ale jeszcze większymi idiotami są ludzie odczytujący go z uciechą. To obojętne, czy list jest autentyczny, czy sfalszowany. Z każdym dniem, z każdym słabnącym oddechem Tytusa staje się bardziej sfalszowany; niedaleki już dzień, w którym stanie się sfalszowany całkowicie.

Można zagarnąć sto czterdzieści trzy miliony, raportuje Klaudiusz Reginus, jeżeli się cofnie termin na 24 stycznia 794 r. Tytus zrezygnowałby zapewne z tej sumy gwoli popularności. Ale Domicjanowi ani to w głowie. Sto czterdzieści trzy miliony to dużo pieniędzy. Dopóki był zmuszony żądać pieniędzy od ojca i od brata, wrzusał ramionami na takie cyfry. Teraz, kiedy sam będzie musiał nimi operować, patrzy na nie inaczej. Po dojściu do władzy będzie potrzebował dużo pieniędzy. Rozpocznie budownictwo w wielkim stylu. Dla Lucji. Lucja to jedyny człowiek, na którego zdaniu mu zależy. Ale jest nieprzekupna. Nawet jej uśmiechu kupić nie można. Śmieje się, kiedy sama chce.

— Kraj osób, które to zarządzenie dotyka, nie jest wcale tak wielki — mówi Reginus — jak należałoby przypuszczać. Mamy...

Domicjan zmusza się, by nie myśleć o tancerzu Parysie i owych pięciu, sześciu mężczyznach, z którymi, jak fama rzymska głosi, Lucja sypia. Ale nie może tych myśli odpędzić całkowicie. „Tego Parysa świat przecenia — rozważa. — Wynika to stąd, że tak mało ludzi wie, co jest dobre, a co złe. Przeceniany jest również ten Żyd Józef. Książka jego nie jest zła, może jest nawet dobra, ale to, co z nim wyprawiają, graniczy z głupotą. Nie cierpię go. Jest mi jeszcze bardziej niesympatyczny niż Reginus. Ci ludzie Wschodu są fałszywi. Nie można ich uchwycić, mają w sobie coś śliskiego, Józef jest jeszcze niebezpieczniejszy niż Żydówka, która stała się powodem zagłady Tytusa.”

Usiadł wyprostowany jak świeca, cofnął ramiona w tył. „Tak — myślał — z Tytusem koniec. Będzie to dla niego błogosławieństwem, jeżeli prędko stanie się bogiem. Nie można tego procesu przewlekać. Marull musi znowu pomówić z Walensem.”

— Zgodnie z nowymi pomiarami — oświadcza Reginus — przeprowadzonymi w prowincjach Egiptu i Syrii, należałoby nałożyć nowe podatki agrarne; czas już najwyższy.

„Byłby już najwyższy czas — rozmyśla Domicjan — porachować się wreszcie z Tytusem. W przeciwnym wypadku dostałby się między bogi, zanim doszłoby do tego porachunku. Dłużej niż pięć lat nie przetrwałby chyba i beze mnie, ale że z mego powodu musi odejść o pięć lat wcześniej, to rzecz piękna. Nie wie tylko, że to przeze mnie musi odejść, i nie mogę dopuścić, żeby to poczuł, gdyż w takim razie gotów jeszcze pokazać pazury. Tak, sprawa z Julią była jedynym rozwiązaniem. To był dobry pomysł naprzód odrzucić małżeństwo, a potem przespać się z nią bez małżeństwa, to go musi ugodzić. Przede wszystkim dlatego, że tego nie chciała, i gdybym nie był taki giętki i mocny, nie osiągnąłbym celu. Jest przy tym ładna, biała, pulchna, dobrze mi z nią. Dałbym parę milionów, gdybym się mógł dowiedzieć, co mój pan brat o tym myśli. Gdyby niczego nie zauważył, na pewno nie wydałby jej za tego bezbarwnego Sabina. Jego grobowe milczenie dowodzi, że cała ta historia głęboko go dotknęła.”

O tym, że stosunek Tytusa z Lucją winien, zdaniem Rzymian, dotknąć go bez porównania głębiej, nie chciał wiedzieć, nie wiedział.

„Będę musiał wysłuchać wielu mów — rozmyślał dalej — jak dobrym był władcą i jaki ze mnie dobry władca. Nawet ten Józef przez ostrożność wyraził się o mnie kilka razy pochlebnie w swej księdze. To oczywiście fałsz i lizusostwo. Józef to lizus. W ogóle zajmowanie się tym, co

Żydzi wypisują, jest poniżej godności człowieka. Mimo to wolę, że nie napisał o mnie źle. Kiedy Tytus zostanie wreszcie bogiem, zachowa się po nim tylko ten napuszony, mamy łuk tryumfalny i to, co napisał o nim ten Żyd. Właściwie mógłbym mu wznieść nieco przyzwoitszy łuk tryumfalny, kiedy już będzie tym bogiem. A takiego draba, jak ten Żyd, nie należałoby drażnić, bo gotów napisać o człowieku coś złego. Ale go nie cierpię. Nie rozumiem, co Lucja w nim widzi. Lubi książki. Pamiętniki jej ojca są dobre, nieco suche, ale bardzo przejrzyste. Mam wrażenie, że proza naszej epoki jest lepsza od poezji. Z moimi wierszami także daleko się nie zajdzie. Moja wierszowana opowieść o historii Kapitolu to młodzieńcza głupota. Ale proza moja wcale nie jest najgorsza. W każdym razie pisząc *Pochwałę łysych palek* miałem uciechę nie lada. Na pewno lepiej jest, że sam pokpiwam z mego skąpego owłosienia, niż żeby to mieli robić inni.

Właściwie jestem rad, że mogę już nie pisać wierszy. Do wierszy powinni uciekać się ci, którzy nie umieją dokonywać czynów. Literatura to zawsze dobre spędzenie czasu dla tych, którzy ją uprawiają, czasami dla tych, którzy są jej odbiorcami. Kiedy dojdę do władzy, będę ją potężnie popierał. To niewiele kosztuje. Turnieje literackie, jeżeli je pierwszorzędnie zorganizuję, nie będą kosztowały nawet jednej setnej tego, co pochłaniają wyścigi rydwanów. Dają oczywiście mniejszą popularność, ale za to więcej zaszczytu. Jeżeli z tych stu pięćdziesięciu milionów, które wycisnę z wywłaszczonych terenów, ofiaruję tylko trzy procent na turnieje literackie i nagrody, będę otoczony takimi honorami, że skargi na wywłaszczenia nawet do mnie nie dotrą.

Pod panowaniem cesarza Domicjana, moi najmilsi, imprezy literackie będą wyglądały inaczej niż teraz. Muszę doprowadzić do tego, by pasjonowano się turniejem literackim nie mniej niż wyścigiem rydwanów. Tylko jakich sędziów mianować, którzy by rozstrzygali o nagrodach? Przecież to banda, hołota. Nie wiedzą, co złe, co dobre. W mgnieniu oka można doprowadzić do tego, że to, co jeszcze przed chwilą było dla nich białe, uznają za czarne. Nie opłaca się być ich cesarzem. Kiedy się ma do czynienia z cyframi tego wstrętnego Reginusa, człowiek wie przynajmniej, o co chodzi. Można by przypuszczać, że literatura, wiersze dalekie są od brudu. Kiedy jednak człowiek dotknie wieńca laurowego, jest on równie brudny jak złoto.

Stary umiał robić kawały. Ale nie znał się na najlepszych, wyższych, subtelniejszych. Zastrane pokolenie. Trzeba ludzi zginać, upokarzać, ma się wtedy czasami uczucie, że się jest wielkim.”

Reginus milczał już od dłuższej chwili. Domicjan drgnął, otrząsnął się.

— Bardzo dziękuję, mój Reginusie — powiedział — za twoje sprawozdanie. Skoro sprawa stanie się aktualna, pójdę za twoją radą.

Reginus oddalił się w dobrym nastroju. Domicjan to kanalia, miał duszę przeżartą, znieprawioną. Ale odziedziczył po ojcu dar organizacji i ścisłego obliczania. Reginus czuł się odrodzony; węszył okazję do rozwinięcia swych sportowych zainteresowań w dziedzinie uporządkowania finansów państwowych.

Późnym latem, kiedy upał stał się mniej dokuczliwy, Tytus ożywił się nagle. Drugiego września podano do wiadomości, że cesarz, który od dosyć dawna nie pokazywał się publicznie, weźmie w dniu czwartym września udział w otwarciu wielkiego turnieju w amfiteatrze.

Rzym cieszył się. Pogłoski o chorobie Tytusa zaniepokoiły miasto. Domicjan był nie lubiany, strach przed niedobrym następcą potęgował miłość do panującego cesarza. Poza tym miasto było poruszone sprawą samozwańczego Nerona, wciąż jeszcze nie zlikwidowaną. Co tydzień pojawiały się nowe proklamacje, w których pretendent — mienił się wnukiem Augusta, potomkiem Juliusza Cezara i bogini Wenus — obwieszczał, że uszedł przed zdradzieckimi knowaniami senatu i w najbliższej przyszłości runie ze Wschodu jak grom, by zdruzgotać flawijskich uzurpatorów. Już prawie od roku ów Nero był postrachem prowincji azjatyckich; nie

ulegało wątpliwości, że udzielają mu poparcia potężni sąsiedzi Rzymian — Partowie. Znowu zaczęły szerzyć się pogłoski o wojnie z Partami, więc będzie dobrze, jeżeli Wieloryb znowu nareszcie pokaże się ludowi.

Dziesiątki tysięcy ludzi były świadkami uroczystej ofiary, którą cesarz rozpoczął igrzyska. Wprowadzono białego byka, arcykapłan podniósł nóż, Tytus czekał, by do misy spłynęła krew, którą miał wylać przed ołtarzem. Bezpośrednio przed śmiertelnym ciosem byk urwał się i z okręconą powrozem szyją i spętanymi nogami rzucił się na wrzeszczący tłum. Powstała panika, wielu zapewniało później, że do uszu ich doszedł huk piorunu, który padł z jasnego nieba. Tytus udawał, że zły omen nie wzbudził w nim lęku. Ospala, szeroka chłopcęca twarz, która w ostatnich dniach nabrała nieco kolorów, zbladła jednak, wąskie oczy, senne i zaczerwienione, znikły całkowicie pod powiekami. Ale stał spokojnie i czekał, aż poskromią byka i ofiara zostanie dokonana. Kiedy się to stało, zgodnie z zapowiedzią pojechał z wielką pompą do amfiteatru.

Rozsiadł się tam, złamany, w potężnym fotelu i z wielkim wysiłkiem dziękował masom za wydawane na jego cześć okrzyki. Widok potężnej budowli, publiczności w uroczystym nastroju, ludzi i zwierząt umierających na arenie na jego cześć i uciechę, nie sprawiał mu radości. Miał mgliste przeczucie, że zasiada tu po raz ostatni i po raz ostatni rozkoszuje się tak drogo okupioną popularnością i sympatią. Niepokoiło go, że ofiara snadź nie została przyjęta. Zasepiało go to, że nie potrafił zniweczyć w sercach ludu wspomnienia o Neronie, choć i on, i jego poprzednicy od lat czternastu, od obalenia cesarza, starali się zniszczyć wszystkie wzniesione przez niego budowle i zatrzeć wszelkie widoczne ślady jego działalności. Z wielkim wysiłkiem przetrwał cztery godziny, które zgodnie z obyczajem musiał spędzić w amfiteatrze. Chciał wyrwać się z Rzymu, wyjechać bezpośrednio po igrzyskach do swojej posiadłości pod Cosa. Cieszył się na wiejski spokój prymitywnej siedziby, którą zachował w takim samym stanie, w jakim ją pozostawili jego ojciec i dziadek. Odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie cztery godziny minęły i mógł wsiąść do pojazdu.

Zaledwie jednak znalazł się poza obrębem Rzymu, zrobiło mu się niedobrze. Tęsknił za tym, żeby porzucić dostojną postawę, do której zmuszał się w ciągu owych czterech godzin. Ale i teraz nie dane mu było zażywać spokoju. Chwytały go kurcze, wstrząsały nim gorączkowe dreszcze. Lekarz Walens wysłał do Rzymu kurierów po córkę cesarza Julię, Domicjana i Lucję.

Cesarz Tytus leżał teraz w nyży staroświeckiego domu wiejskiego na szerokim łożu, wznoszącym się o kilka zaledwie cali nad podłogą, na którym zmarł jego ojciec. Leżał tak tydzień i dwa dni, nie zdając sobie sprawy, co się z nim dzieje.

Od czasu do czasu prowadził rozmowy z Neronem. Trudno było zorientować się z którym. Czy z bojaźliwym i niezgrabnym młodzieńcem, czy z pięknym, czarującym mężczyzną w sile wieku, czy też z Neronem przedwcześnie postarzałym, otyłym i kapryśnym, jak kobieta w okresie przekwitania. Tytus starał się dociec, z którym właściwie Neronem rozmawia, jak w ogóle do tej rozmowy doszło i o czym z nim mówi. Było to jednak trudne, gdyż Nero miał głowę ze złota, jak na posągu olbrzymich rozmiarów, i lśnienie tej głowy zaćmiewało wszystko. Czy był to w ogóle prawdziwy Nero? Przecież sam polecił osadzić głowę swego ojca na torsie kolosa, a mimo to Nero miał teraz swoją własną głowę. Była to niesamowita czelność, napelniająca Tytusa trwogą. Jak można odrąbać tak potężną głowę, kiedy jest cała ze złota i kiedy człowiek, do którego należy, w dodatku nie żyje. Tytus zwrócił się do Brytanikusa, towarzysza zabaw dziecinnych, z którym się wychował. Na szczęście ten Brytanikus nie zmienił się od chwili śmierci, która nastąpiła wiele lat temu. Ale i on nie umiał nic poradzić. Choć byli we dwóch, nie udawało im się odrąbać złotej głowy Nerona. Przeciwnie, Nero otwierał raz po raz usta powtarzając: „Ja, Klaudiusz Nero, wnuk Augusta, runę ze Wschodu jak grom.”

Nagle Tytus zrozumiał, dlaczego głowa nie spada: to przez to szklane oko. Jeżeli jednak człowiek ten ma oko ze szkła, to nie jest wcale Neronem. Tytus myślał i myślał, ale nie mógł zorientować się, kim jest ten ze szklanym okiem! Zdawał sobie wyraźnie sprawę, że chodziło o rozkaz i w nim kryło się niebezpieczeństwo. Tytus formułował przebiegle i długo tekst rozkazu, nie można mu było nic zarzucić, ale pozostawał mimo to dwuznaczny. Ten ze szklanym okiem zdawał sobie z tego sprawę, pociągał zuchwałym nosem o rozdętych nozdrzach i mrugając uśmiechał się do cesarza. Odczytywał słowa: „gdyby przeciwnik przeszkadzał w pracy oddziałom mającym gasić ogień i uprzętać gruz...” I znowu był Neronem. Szklane oko harmonizowało idealnie ze złotą głową, cała postać miała w sobie coś występnego, ale i wybitnie arystokratycznego. Bzdura! Nie miał wcale złotej głowy, twarz jego była nalana krwią, wyglądał bardzo gminnie. Oczywiście, nie był to Neron, bo przecież gminnie i wulgarnie wyglądali oni, Flawiusze, podczas gdy Neron nawet w czasie najplugawszych orgii nie przestawał być arystokratą, potomkiem wielkiego Juliusza i Wenus.

Jeżeli ten drab nie potrafi komenderować, wszystko przybierze niedobry obrót, rozpocznie się strzelanina i kosztowny gmach Kapitolu, wzniesiony z takim wysiłkiem, zawali się znowu. Przeczytał już do końca, za chwilę zawróci. Tytus musi odwołać niebezpieczny rozkaz, zaraz, natychmiast, inaczej będzie za późno. Chciałby to uczynić, ale nie może, czuje wielki ucisk w żołądku. Oto po stopniach Świątyni wchodzi kobieta. Jest to Święty Szlak, postać kobieca to przełożona westalek, towarzyszy jej Tytus, gdyż jako cesarz przejął urząd arcykapłana. Puścił ją przodem, gdyż chce patrzeć na jej chód. Ona nie idzie, lecz płynie, nie ma na określenie jej kroku innego słowa niż to, którym posłużył się Homer. Nie może dłużej pozostawać w tyle. Musi kroczyć obok niej, wymaga tego ceremoniał, musi także sprostować swój rozkaz. W przeciwnym razie zaczną strzelać. Prawdopodobnie otworzą ogień, właśnie wtedy kiedy ona znajdzie się na stopniach Kapitolu i zranią ją w nogę. Ma pozwolić na to czy nie? Żądza ujrzenia nogi westalki spala go coraz bardziej, musi ją zobaczyć od stopy aż po biodro, musi ją głaskać, gnieść, ugniatać, przyciskać. Niech już strzelają, cieszy się, że zobaczy jej nogę podziurawioną kulami. Na co jeszcze czekają? Oczywiście na bezimiennego draba o złotej głowie i szklanym oku. Stoi jeszcze ciągle ze swoim rozkazem. Teraz odwrócił się, ale za chwilę będzie za późno, za chwilę kapitan Pedan odda pierwszy strzał.

Tytus śmieje się, rozpromienia. Nazywa się Pedan. Ależ tak, oczywiście. Że też mu to od razu nie przyszło do głowy. Ma dopiero lat czterdzieści trzy, a już pamięć go zawodzi. Stenografuje w powietrzu: „Pedan, kapitan Pedan z piątej.” Stenografuje kilkakrotnie, żeby mu to utkwiło w pamięci. Pedan z piątej, odznaczony wieńcem z ziół.

Tymczasem kobieta wciąż kroczy naprzód. Długa jej szata mniszki rozwiewa się jak szata tancerki, Tytus widzi gołą nogę od stopy aż po udo. Widok jest ucieszny i nad wyraz nieobyczajny. Kto by przypuścił, że przełożona westalek ma takie młode, ładne nogi.

Są teraz w Świątym Świątym. Ale gdzie się podział posąg Jowisza? Czy Jowisz Kapitoliński rozplątał się nagle? Czy rację mają ci, którzy utrzymują, że w Świątym Świątym nie ma nic? Byłoby to nieszczęście, bo przecież nie można by tam wcale składać ofiar. Biały byk urwał się. To zły omen. Ale Tytus nie może dać poznać po sobie, że przywiązuje do tego wagę. Jest mu bardzo niedobrze, musi tu jednak pozostać w sztywnej postawie, musi zachować dyscyplinę i czekać.

A przecież stoi coś w Świątym Świątym. Noga, tak, oczywiście noga tej kobiety. Ta cudowna, niktzemna noga, która doprowadziła jego mózg do obłędu. Fakt, że noga ta stanęła w świątyni Jowisza Kapitolińskiego, jest straszliwą zbrodnią. Musi być usunięta, Tytus musi ją zdeptać, porąbać na kawały, zrównać z ziemią. Nogę trzeba wyrzucić. Hep, hep, precz z nią!

Nagle stanął za nim ojciec. Swym skrzeczącym głosem daje mu poufną radę. Sprawa jest

zupełnie prosta. Wystarczy porąbać nogę, a głowa Nerona sama spadnie. Stary, jak często, ma rację. Każdy musi przyznać, że łatwiej przeciąć ścięgno nogi niż głowę z metalu. Kiwnął głową ojcu, podniósł miecz.

Zrywa się. Przeżywa coś ostrego, bolesnego, a równocześnie błogiego. Nacierają mu ciało śniegiem, palące zimno obniża gorączkę, poskramia jego fantazję.

Tytus uświadamia sobie, gdzie jest: na folwarku pod Cosa. Uśmiecha się. Chciał tego. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak tego chciał. Przetrwał, rozpoczął igrzyska, jego Rzymianie mieli uciechę. Wołali do niego: „O ty, ukochanie i radości rodzaju ludzkiego!” Jeszcze dźwięczą mu w uchu ich czułe słowa: „O ty, nasz bardzo dobry, bardzo wielki Wielorybku!” Przetrwał to, jest teraz w swej wiejskiej siedzibie. Pozwoli sobie na dwa, trzy tygodnie wypoczynku, nie będzie nic robić, o niczym myśleć. Potem, kiedy wróci wypoczęty do Rzymu, zbada projekty podatków, które mu przedstawił Klaudiusz Reginus, i zajmie się przygotowaniami do wojny z Partami.

Istnieje jeszcze chłopczek. Chłopczek podporządkował się, spokomiał. Tytusowi udało się go poskromić. Kosztowało to oczywiście niemało pieniędzy. Kiedy się porówna tę posiadłość pod Cosa z rezydencją chłopczka w Albanum, trudno nie stwierdzić, że chłopczek nie jest bratem tanim. Również nie jest jeszcze całkowicie ujarzmiony. Tą historią z Julią chciał mu dokuczyć. Że też nie wymyślił nic lepszego, bo ten kawał gruntownie mu się nie udał. Tytus wcale nie czuje się dotknięty. Jeżeli chłopczkowi spodobała się jego Julia, niech sobie ma tę przyjemność. Biała, pulchna Julia jest wybredna i nie wiadomo, czy jej się Domicjan spodoba. Tak czy inaczej, kawał jest płaski i mało pomysłowy. Ładna mi „zemsta”! Przecież nie można porównać Lucji, którą zabrał chłopczkowi, z Julią, choć ta Julia to krew z jego krwi i kość z kości. Poza tym Julia nie chciała tego, a Lucja chciała. Tytus śmieje się. Hi, hi, hi! Pokłada się ze śmiechu, z żalostnej, bezsilnej zemsty tamtego.

Nie przychodzi mu nawet na myśl, że leży tu może dlatego, bo tak chciał Domicjan.

Przeciwnie, kieruje wzrok w stronę Lucji — nie jest w stanie poruszać głową. Lucja jest obok mnie, myśli sobie. Gdyby ją spotkał wcześniej, życie jego potoczyłoby się inaczej. Ale i tak jest dobrze. Cieszy się uznaniem Rzymian, dynastia siedzi mocno w siodle, żaden Rzymianin nie jest już dla niego straszny. Leży i poci się. To zdrowe poty. Przechodzi teraz kryzys, wypoci ze krwi cały ten Wschód. W przyszłości żadna Żydówka nie będzie mu już pokusą.

Właściwie dlaczego zebrali się tutaj wszyscy: chłopczek, Julia i Lucja? Aha, dlatego że jest chory. Był widocznie bardzo chory, ale teraz ma to już za sobą. Niemałe rozczarowanie dla chłopczka. Tytus uśmiecha się do niego szyderczo, jak gdyby prosił go o przebaczenie, że nie stał się bogiem.

Jednego mu brak. Chciałby mu powiedzieć, że ozdrowiał i wypocił Wschód ze krwi. Ten człowiek musi się o tym dowiedzieć, i to jak najprędzej. To sprawa ważna, chciałby mu to powiedzieć, zanim wróci do Rzymu. Śle do Rzymu kuriera, by z domu w szóstej dzielnicy przywiózł tutaj Flawiusza Józefa.

Ale wkrótce potem, na długo przed przybyciem Józefa, cesarz dostał nowego ataku gorączki, gorszego niż pierwszy. Domicjan zwrócił się do doktora Walensa. Walens spojrzął na niego swym chłodnym, badawczym wzrokiem i powiedział:

— Jego cesarska mość musi wziąć kąpiel ze śniegu. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, chory raz jeszcze odzyska przytomność. Niewielka jest jednak nadzieja, żeby przeżył ten dzień.

— Sądysz — zapytał Domicjan rzeczowym tonem — że cesarz Tytus Flawiusz stanie się w dniu 14 września bogiem?

— Tak sędzę — odparł lekarz i czując, że ksiączę pyta go nadal wzrokiem, ciągnął dalej: — Nawet jestem tego pewien, najjaśniejszy panie — dodał.

Kiedy gorączka była bardzo wysoka, lekarze zwykli pakować pacjenta do śniegowej kąpieli. Kwestia, jak długo ma trwać taka kąpiel, nie należała do łatwych; kąpiel taka była dla dobrego lekarza czymś w rodzaju kamienia probierczego. Często zdarzało się, że kąpiel w śniegu ratowała pacjenta od niechybnej śmierci. Czasami jednak pacjent umierał.

Śnieg w wykutym w skale lochu był twardy i sypki.

Ciężkie, rozpalone ciało cesarza pod nadzorem doktora Walensa zakopano głęboko w śnieżny zwał.

Lucja i Julia — Domicjan opuścił posiadłość — stały skostniałe w lochu i patrzyły z odrazą na ceremonię zakopywania cesarza.

Tytus odzyskał przytomność. Był zaniepokojony, że Józefa jeszcze nie ma. Wiedział teraz, iż musi umrzeć. Dygotał z osłabienia i zimna. Skórę miał sinawą, zwarł zęby, żeby nie szczękały. Wlano mu w usta trochę napoju przygotowanego przez Walensa, by pobudzić zanikające siły. Nie mówił ani słowa, obie kobiety również milczały, było ciemno i zimno. Pierwsza wycofała się Julia, po niej odeszła Lucja. Kiedy przybył Józef, przy cesarzu nie było nikogo prócz Walensa.

Tytus odprawił lekarza. Józef stał sam nad konającym, który leżał sztywny w śniegu. I tym razem skłonił się nisko i powiedział:

— Jestem. — Myślał przy tym: „Nie masz mądrości nad Koheleta, który powiedział: «Przetoż jednakie jest dokończenie człowieka i bydła i równy stan obojga: jako umiera człowiek, tak i one umierają... i nie ma człowiek nic więcej nad bydło: wszystko podległo marności.»”

Tytus był osłabiony do ostatecznych granic, wstrząsały nim zimne dreszcze i bóle, ale był zupełnie przytomny, prawdopodobnie pod wpływem napoju, który mu wsączył lekarz. Odziedziczone i zaszczepione wychowaniem poczucie, że jest Rzymianinem, było dostatecznie mocne, by w chwili śmierci przewyciężyć strach. Nie chciał wprawdzie, jak stary, umrzeć na nogach, ale równocześnie nie chciał, żeby jego ostatnie chwile miały w sobie coś poniżającego. Pragnął poza tym, by właśnie ten człowiek ze Wschodu był obecny i dał świadectwo: „Cesarz rzymski Tytus umarł z godnością.” Z wielkim wysiłkiem otworzył zsiniałe wargi, ale głos miał donośny, były w nim resztki owego druzgoczącego tonu, który Józef tak często słyszał pod murami Jerozolimy. Powiedział:

— Przywołałem cię, Flawiuszu Józefie, byś coś zapisał. Wystawiłem ci honorowy posąg, zachowaj dla potomnych to, co ci mówię: starałem się być radością i ukochaniem rodzaju ludzkiego, byłem bardzo dobrym, bardzo wielkim Wielorybkiem; dzień, w którym nic dobrego nie dokonałem, nazywałem dniem straconym. Nie to jednak masz zapisać. Zabiłem wielu ludzi i nie żałuję tego, bo to było dobre i słuszne. Jedno tylko nie było dobre. Zapisz to, mój Żydzie, wielki historyku: „Cesarz Tytus nie żałował żadnego czynu w swoim życiu, z wyjątkiem jednego.” Słyszysz mnie? Zapisz to, mój Żydzie, mój kronikarzu.

A że Tytus zamilkł, Józef zapytał:

— Cóż to za czyn, najjaśniejszy panie?

Ale cesarz utkwiał w nim swój gasnący wzrok i zamiast odpowiedzi zapytał:

— Dlaczego Jerozolima została zburzona?

Józefa ogarnęło przerażenie, stał sztywny, nieruchomy, nie wiedział, co odpowiedzieć. Cesarz prosił:

— Nie chcesz mi dać na to odpowiedzi, mój Żydzie? Tak długo czekałem na nią. Nikt prócz ciebie dać mi jej nie może, jeżeli mi jej nie dasz teraz, będzie za późno.

Józef, starając się zapanować nad sobą, odpowiedział szczerą prawdę:

— Nie wiem.

Cesarz, pogrążony w śniegu, ciągnął żałośnie dalej:

— Widzę, że nie chcesz mi tego powiedzieć. Przecież wy, Żydzi, macie dobrą pamięć. Jesteście mściwi jak wasz Bóg, wypominacie człowiekowi wiecznie jego uczynki, nie zapominacie o nich aż do końca. — Żalił się teraz jak dziecko. — Nigdy nie byłem ci wrogi, mój Żydzio, nie mściłem się na tobie za to, co mi złego zrobiła ta kobieta.

Pozostałem twoim przyjacielem nawet i wtedy, kiedy odeszła. A ty nie chcesz mi odpowiedzieć.

Józef był wstrząśnięty szaleństwem tego człowieka. Jeszcze w agonii starał się okłamać i jego, i siebie, wmawiał sobie, że kobieta, którą odtrącił, opuściła go z własnej woli tylko po to, by otrzymać odpowiedź na pytanie: dlaczego została zburzona owa Jerozolima, którą przecież sam zburzył. Przerażenie kruchością ludzkiego rozumu było tak wielkie, że Józef zapomniał o chłódzie, o ciemnościach panujących w ponurym lochu, o potwornej samotności konającego. A więc Żydzi z Zatybrza mieli jednak rację: Jehowa zesłał karę na cesarza: mucha dostała mu się do mózgu, brzęczy tani, nawet huk arsenału nie był w stanie jej zagłuszyć. Tytus był tylko narzędziem, tylko rudo owłosioną ręką kapitana Pedana. Teraz powoływał się na to, że był narzędziem, ale wówczas kiedy działał, nie chciał tego uznać. Posunął się wtedy w swojej pysze za daleko. Wiedział, że chodzi o zjednoczenie Wschodu z Zachodem, ale zawrócił w połowie drogi i zamiast pozyskać Wschód, rozgromił go, stał się znowu Rzymianinem, którym był od początku, tylko Rzymianinem, żalonym zdobywcą, mizernym człowiekiem czynu, durniem, który wiedział, że działanie jego nic nie jest warte, a jednak nie potrafił z niego zrezygnować. Ma teraz nagrodę. Leży tutaj, twarz ma taką samą, jaką miał jego ojciec — twarz starego wieśniaka. Tylko że stary godził się z tym i był z tego dumny, ten zaś się tego wstydzi. Pan świata, cesarz, Rzymianin, nieudany obywatel świata... Kupka śmiecia, człowiek, który ginie jak bydlę.

Kiedy człowiek zagrzebany w śniegu raz jeszcze poruszył zsiniałymi wargami — Józef nic już nie słyszał, ale wiedział, że Tytus powtarza swoje pytanie i domaga się odpowiedzi. Józef poczuł, jaką marnością jest to pytanie, jaką sam jest marnością i jak marna jest każda istota ludzka. Widok konającego był niemal nie do zniesienia. Musiał skupić wszystkie siły, by nie uciec przed tymi pytaniami, odetchnął z ulgą, kiedy wszedł lekarz.

— Przepraszam, że cię niepokoję, Flawiuszu Józefie, ale upłynęło już piętnaście minut — powiedział Walens. Spojrzał na człowieka w śniegu i stwierdził rzeczowym tonem:

— Cesarz Tytus Flawiusz nie żyje.

Tymczasem Domicjan galopował bez eskorty do Rzymu. Zapadła noc, było bardzo ciemno, na niebie widniał niewielki sierp księżycy. Domicjan nie oszczędzał konia. Teraz, kiedy już do tego doszło, nie mieściło mu się w głowie, że panowanie, za którym tak długo i z taką udręką tęsknił, przypadło mu istotnie. Wyobrażał sobie, jakie to jeszcze przeszkody mogą powstać, zanim obejmie władzę. A jeżeli ten Walens zdradził go i opowiedział Tytusowi o rozmowach z Marullem? Tytus był człowiekiem słabym, opętanym głupim pragnieniem zachowania dynastii za wszelką cenę. Gdyby nawet przekreślił i Julię, i wszystko, co było, nie byłby przecież takim głupcem, żeby po takiej zdradzie i jego, i Marulla nie wydać w ręce kata.

Bzdury! Nie trzeba lekarza, by się zorientować, że Tytus leży w agonii, że śniegiem czy bez śniegu. Gdyby nawet Walens mylił się, gdyby Tytus miał żyć nie tylko jeden dzień, ale cały tydzień, przegrał swą grę z Domicjanem. Po przyjeździe do Rzymu Domicjan zapewni sobie po prostu gwardię, wszystko jest już przygotowane. Cokolwiek się stanie, dzięki gwardii przetrwa, dopóki Tytus nie znajdzie się po tamtej stronie.

Już się tam znalazł, już jest bogiem, już nie żyje. Domicjan czuje to w głębi duszy. Tamten, brat, nie żyje. Nigdy już nie usłyszy niemiłego dźwięku jego grzmiącego głosu, nigdy już nie będzie świadkiem jego humorystyczno-sarka-stycznych uwag. Skończyło się. To dobrze i

dla Lucji. Z pewnością się z tego ucieszy. Pędząc przez mroki nocy Domicjan oblewa się rumieńcem. Lucja musi cieszyć się z tego.

Dziwne to, że taka kobieta jak Lucja nie pogardza głupim i słabym Tytusem. O czym on mógł rozmawiać z tym Żydem tuż przed śmiercią? Potrzebna mu jest popularność, potrzebny dziejopis, umiera dla niego tak samo, jak żył dla niego. Potrzebne mu są sztuczne podpory, w tym rzecz, nie wystarczy sam sobie. Byłoby jednak interesujące dowiedzieć się, o czym z tym Żydem rozmawiał. Może o Julii? Szkoda, że Domicjan sam nie rozpoczął rozmowy na ten temat. Teraz wszystko się skończyło, teraz nigdy się nie dowie, czy tamten poczuł, że rachunki między nimi zostały wyrównane. Gzy Żyd zdradzi się przed nim, z czym Tytus mu się poufnie zwierzył?

Domicjan w chwili śmierci nie będzie wzywał żadnego Żyda ani żadnego dziejopisa. Dotychczas brak mu było jednego: zapewnionej, legalnej władzy. Z chwilą gdy ją ma, kronikarz jest mu niepotrzebny. Czy powinien kazać zgładzić Józefa? Ten człowiek wie o wielu rzeczach, o których byłoby lepiej żeby nie wiedział. Ale Lucja byłaby niemile dotknięta, gdyby znikł z powierzchni. Temu, kto posiada władzę, wystarczy poczucie, że może zaspokajać swe żądze; nie należy im jednak ulegać. Niechaj sobie ten Józef żyje dalej.

Domicjan przybył do Rzymu późną nocą i ruszył konno do koszar gwardii przybocznej na Palatynie. Przybywszy tam wezwał do siebie komendanta, i ku jego przerażeniu oświadczył, że cesarz umarł. Komendant kazał uderzyć na alarm. Żołnierze, wyrwani ze snu, zaczęli gromadzić się na dziedzińcach. Oznajmiono im, że Tytus umarł; pierwszym zarządzeniem nowego cesarza jest przyznanie każdemu z żołnierzy gratyfikacji w wysokości ośmiuset sestercji. To samo obwieszczono w innych koszarach miasta. Oficerowie i żołnierze złożyli przysięgę na wierność cesarzowi Flawiuszowi Domicjanowi. Pobrzękując ostrogami, zadowoleni, witali nowego pana i chętnie pozostali przez resztę nocy pod bronią.

Przez wszystkie ulice miasta pędzili kurierzy. W mieście panował ruch, krążyły patrole, płonęły pochodnie, w domach pojawiły się światła. Wielu senatorów, nie czekając na wezwanie konsulów, udało się spieszenie do auli Julijskiej. Gmach był obsadzony, tak samo jak wszystkie inne punkty strategiczne miasta. Zawiadomiono każdego senatora, że cesarz Domicjan oczekuje go w bibliotece na Palatynie. Panowie senatorzy stwierdzali z niemiłym uczuciem, że każdemu z nich towarzyszy niewielki oddział żołnierzy, choć w zachowaniu się tych żołnierzy nie było nic obrażającego i raczej sprawiali wrażenie eskorty honorowej. Senatorowie spoglądali z niemiłym uczuciem na strażę przed wszystkimi ważniejszymi gmachami oraz na Palatyn, strzeżony niczym twierdza.

Stropiona służba poprowadziła tych panów przez kiepsko oświetlone korytarze, przez które przebiegali oficerowie do biblioteki. Zmieszani dostojnicy stali w grupach. Byli zaspani, niektórzy z nich zaledwie zdążyli narzucić coś na siebie. Wątpili w autentyczne wiadomości o śmierci, ale jeden nie miał zaufania do drugiego i tylko szeptem mówili o tym, co wszystkich poruszało; na głos mówili o rzeczach obojętnych, na przykład o tym, że właściwie należałoby już zacząć palić. Wreszcie zjawił się Domicjan, powitany przez pełniących służbę oficerów pozdrowieniem należnym cesarzowi. Cofnąwszy ramiona w tył, starannie ubrany, bez żadnych odznak poza insygniami senatorskimi, bez jakiegokolwiek oznaki żałoby, obchodził poszczególne grupy z wyszukaną uprzejmością, z udanym onieśmieleniem i skromnością. Senatorowie nie orientowali się, czego właściwie od nich chce. Nie ulegało wątpliwości, że złożą mu przysięgę na wierność, dla osiągnięcia tego nie trzeba było wojska. Panowie senatorzy mieli tylko wątpliwości, czy utrzyma przyznane każdemu z nich przywileje; zwłaszcza przyjaciele Tytusa obawiali się zachwiania pozycji i zmniejszenia dochodów. W jaki sposób nowy władca nakaże uczcić pamięć brata? Czy chce, żeby się cieszą z tego, iż nowy wspaniały cesarz obejmuje władzę, czy też z tego, iż jego wspaniały poprzednik nie żyje? Wszyscy wiedzieli oczywiście, jak

bardzo chłopaczek nienawidził swego brata, jak nim pogardzał. Czy jednak pragnąc podnieść autorytet dynastii nie zechce, by tego brata po śmierci, tak jak ojca, zaliczono do grona bogów? Wątpliwości te pochłaniały panów senatorów tak bardzo, że nawet w myślach nie ważyli się już nazywać Domicjana chłopaczkiem albo też przyznać, że brzuch mu rośnie, co jeszcze bardziej podkreśla jego sztywną, kanciastą postawę.

Domicjan, pewny siebie pod ochroną gwardii, zorientował się szybko, na jak wiele może sobie pozwolić z senatem. Zaczął delektować się zaniepokojeniem panów senatorów. Przypomniała mu się owa noc dwudziestego grudnia, kiedy Wespazjan i Tytus znajdowali się z wojskiem w Judei, a w Rzymie walczyli o władzę zwolennicy Witella i Wespazjana. Domicjan, stryj jego Sabin oraz senatorzy, stojący po stronie Wespazjana, byli wówczas obłożeni na Kapitolu. Potem Kapitol został wzięty szturmem, Domicjan przebrany za kapłana Izidy uratował się z wielkim trudem. Przypomniały mu się groza i strach owej nocy, bawiło go teraz zalęknienie przyjaciół Tytusa, podsycane ponurymi dowcipami.

— Czy nie uważasz za wskazane, mój Alianie — zapytał — aby zmarły mój brat został, jak ojciec, podniesiony do grona bogów?

A kiedy senator Alian odparł błyskawicznie i żarliwie tak, Domicjan spojrzał na niego bardzo melancholijnie i powiedział niemal uniżenie:

— Czy nie sądzisz, mój Alianie, że należałoby naprzód dokładnie zbadać zasługi panującego, zanim go się tak uczci?

Zwrócił się z kolei do senatora Rutila i zapytał:

— A jakie jest twoje zdanie, ojcze?

Widząc zaś, że zmieszany senator Rutil ociąga się z odpowiedzią, uprzejmie, ale nie bez wyraźnej dezaprobaty dał wyraz swemu zdumieniu:

— To dziwne, że nawet człowiek, który był ze zmarłym tak zaprzyjaźniony jak ty, mój Rutilu, sam nie pomyślał o tym, żeby w ten sposób uczcić przyjaciela...

Nieszczęsny Rutil zaczął coś bełkotać, ale Domicjan już zwrócił się do jednego z jego kolegów.

Wszyscy odetchnęli, kiedy ich nowy władca opuścił. Musieli czekać na wschód słońca, zanim rozpoczną obrady. O czymże mieli decydować? Trzymanie ich w niepewności wyraźnie bawiło chłopaczka. Daleko jeszcze do świtu, byli przemarznięci, niewyspani, nie dla wszystkich znalazły się miejsca siedzące. Niektórzy ulokowali się na podłodze, niektórzy drzemali stojąc.

Wreszcie zjawił się Annius Bassus z wiadomością, że cesarz oczekuje, by senat uczcił jego brata tak samo jak jego ojca. Teraz sprawa wyjaśniła się przynajmniej, można było czekać na rozpoczęcie obrad z zamkniętymi oczyma. Senatorowie będą długo pamiętali tę noc.

Tymczasem Domicjan zamknął się z swym karłem Silenem w gabinecie. Karzeł, ubrany w ciężki, czerwony jedwabny strój, przykucnął w kącie. „Niech im się teraz zdaje, że łapię i zabijam muchy” — pomyślał Domicjan z gniewną satysfakcją, mlasnął językiem, zaczął chodzić tam i z powrotem. Karzeł małpował go, mlasnął, chodził za nim krok w krok.

Domiejan wydał polecenie, żeby w ciągu nocy nie wpuszczano do niego nikogo oprócz Lucji i Flawiusza Józefa. Chciał usłyszeć wiadomość o śmierci Tytusa, stwierdzającą jego dojście do władzy, z ust jednego z nich. Przed domem Józefa kazał postawić wartę z poleceniem, by natychmiast po jego powrocie zaprowadzono go na Palatyn. Zakładał się z samym sobą, kto pierwszy przyniesie wiadomość, Lucja czy Józef. Jeżeli Lucja, będzie to dobry omen, jeżeli Józef — niedobry. Godzinę przed świtem zjawiła się Lucja.

— Nie żyje — oświadczyła. — Niełatwy miał koniec.

— Jestem cesarzem — powiedział Domicjan — jestem cesarzem, Lucjo. — Roześmiał się, głos mu się załamał, w obecności Lucji nie trzymał go na wodzy.

— Jesteśmy cesarzem — zapiał karzeł.

Domicjan płał się w tryumfie:

— To było moim celem, poczynając od chwili kiedy broniłem Kapitolu przed Witellem. Była to stroma ściezka, nie zbaczałem z niej, szedłem prosto jak strzała. Szedłem ze względu na ciebie, Lucjo. Zgodnie z obietnicą uczyniłem cię cesarzową.

Lucja usiadła. Ostatnie godziny spędzone przy Tytusie, nocna podróż do Rzymu wyczerpały ją, była bardzo zmęczona. Przyglądała się miotającemu się po pokoju mężowi, ziewała.

— Powinieneś uprawiać więcej sportu, chłopaczku — powiedziała. — Na Herkulesa, zaczyna ci brzuch rosnać.

— Ty nie wiesz, Lucjo, co to jest być cesarzem — rzekł Domicjan. — Szkoda, że nie widziałeś, jak przede mną pelzali.

— Nic to nowego, że w Rzymie coraz mniej jest prawdziwych mężczyzn — odpowiedziała Lucja niemiłym tonem wytrawnego znawcy.

— W senacie jest ich niewielu — przytaknął Domicjan na pół z satysfakcją, na pół z gniewem.

— Pójdę teraz spać — powiedziała Lucja — jestem bardzo zmęczona.

— Zostań jeszcze trochę — prosił Domicjan. — Przed wschodem słońca nie mogą zrobić Tytusa bogiem, a mnie cesarzem. Chcę wezwać jeszcze kilku z nich, żeby tak zatańczyli, jak im zagram.

— To mnie nie interesuje — rzekła Lucja.

— Przecież to zabawne — odparł. Nalegał, prosił, powtarzał: — Zostań, moja Lucjo.

Kazał poprosić kilku senatorów z biblioteki. Ustawili się w krąg, on zaś chodził od jednego do drugiego z tych nieszczęśników, drżących o swe przywileje, sztywnym krokiem, z ramionami w tył, a brzuchem podanym naprzód, zachowywał się bardzo głośno.

— Czytałeś moją *Pochwałę łysych palek*, Alianie? — zapytał.

Senator spojrział na skąpo owłosioną czaszkę swego władcy. Jak przez mgłę przypominał sobie ową *Pochwałę*, jak przez mgłę pamiętał, że była utrzymana w modnym stylu; nie można było zorientować się, kiedy autor mówi serio, a kiedy sobie pokpiwa.

— Tak, najjaśniejszy panie — odparł z wahaniem; był pewien, że Domicjan wystrychnie go znowu na dudka.

— Co sądzisz o niej, mój senatorze? — zapytał cesarz ze złośliwą uprzejmością.

— Uważam, że utwór jest wspaniały — zdecydował się wreszcie Alian i wyrzucił porywczo: — poważny i zabawny równocześnie. Przelewałem nad nim zarówno łzy radości, jak śmiechu.

— Moim zdaniem jest żaloszny — stwierdził Domicjan sucho. — Wstyd mi, że napisałem coś podobnego w epoce Silwiusza Italikusa i Statusza. Co sądzisz o Silwiuszu Italikusie, mój Warusie? — zapytał następnego z kolei senatora.

— To największy poeta narodowy — powiedział z rozmachem senator Warus.

— Ale nudny — rzekł Domicjan i spojrział na senatora z serdecznym ubolewaniem — piekielnie, niemożliwie nudny. Moja *Pochwała łysych palek* jest przynajmniej zabawna. Co wolisz, Rutilu? — wyłowił sobie znowu tego beniaminka Tytusa.

Rutil starał się nie patrzeć na cesarza wylęknionymi ptasimi oczyma.

— Jazda, jazda, mój Rutilu — nalegał cesarz.

— Jazda, jazda — powtarzał karzeł.

— Wołę Silwiusza Italikusa — zdecydował się wreszcie senator z filuterną miną.

— Tacy są nasi senatorowie — powiedział Domicjan i mlasnął językiem. — Wołę

nawet takiego nudziarza jak Silwiusz Italikus niż moje kawały. — Odwrócił się, zdawało mu się, że mówił do Lucji. Ale tylko karzeł stał za nim, Lucja odeszła.

— Dnieje — rzekł cesarz do przybyłych senatorów — musicie dać senatowi i ludowi nowego przywódcę. Ciężki to dzień dla was. Ciężki i dla mnie, muszę bowiem zdecydować, czyje przywileje mam utrzymać, czyje zaś znieść. Niech bogowie oświecą wasze i moje rozstrzygnięcia, *patres conscripti*. — Tymi słowy pożegnał senatorów.

Bezpośrednio przed świtem przybył Józef. Domicjan dowiedział się od Lucji, że brat jego spędził z tym człowiekiem ostatnie chwile przed śmiercią. Prawdopodobnie ten Żyd jest jedyną istotą ludzką, która wie, jak głęboko dotknął zmarłego ów znakomity kawał z Julią, będący wyrównaniem starego rachunku.

— Mieszkaś w szóstej dzielnicy, prawda? — rozpoczął cesarz rozmowę — przy ulicy Owoc Granatu?

— Uważam za szczęście — odparł Józef — że łaska cesarza Tytusa pozostawiła mi dom, oddany do mojej dyspozycji przez boga Wespazjana.

— Wiadomo ci, zem się w tym domu urodził? — zapytał Domicjan.

— Oczywiście, cesarzu.

— Chętnie pracujesz w tym domu? — dopytywał się w dalszym ciągu Domicjan. — Praca daje dobre rezultaty?

— Kocham bardzo ten dom i pracuję tam chętnie. Ocena tej pracy nie do mnie należy.

— Przykro mi — odparł Domicjan i swym sztywnym, dziwnie cichym krokiem podszedł bardzo blisko, stanął przed Józefem — ale będę zmuszony wysiedlić cię stamtąd. Chcę ten dom, w którym ojciec mój, bóg Wespazjan, mieszkał tak długo, z którego popłynęło w świat tyle szczęścia, ofiarować bogom i uczynić z niego pamiątkę narodową.

Józef nie odrzekł ani słowa. Wiedział, jaki wpływ ma na Domicjana Marull, jak Domicjan ulega również Anniusowi Bassusowi, jaki jest kapryśny i co mu z jego strony zagraża. Ale nie odczuwał strachu, czuł się dziwnie pewny siebie. Próżność, tryumf, klęski, ból, rozkosz, wściekłość, smutek, Dorion, Paweł, Justus — wszystko to pozostało za nim, przed nim zaś było jedynie jego dzieło. Wszystko, co się dotychczas w jego życiu rozegrało, okazało się pożyteczne dla jego dzieła i nabierało sensu z chwilą, kiedy odnosiło się do dzieła. Był pewien, że Jehowa roztoczy nad nim opiekę, że nie przydarzy mu się nic, co by mogło zagrażać jego dziełu.

Czekał więc ze spokojnym zaciekawieniem, czego Domicjan od niego zażąda.

— Miałeś szczęście — powiedział nowy cesarz — być obecnym przy śmierci brata mego, cesarza Tytusa. Czego brat mój chciał od ciebie w ostatnich chwilach życia? — Pytanie miało brzmieć spokojnie, ale Domicjan nie potrafił zapanować nad sobą, twarz jego zaczerwieniła się, głos mu się załamał.

— Cesarz Tytus — oświadczył Józef — zamierzał mi dać pewne polecenie.

Domicjan spojrział na niego niemal ze strachem.

— Wezwał mnie, bym przekazał potomnym, że żałuje tylko jednego czynu, którego dokonał w życiu.

— Jakiego? — zapytał Domicjan. — „Aha — pomyślał — więc sprawa z Julią jednak go dotknęła. Powiedział mu pewnie, że żałuje, iż nie sprzątnął mnie ze świata.” Cekał na odpowiedź Józefa z otwartymi ustami. Ale Józef miał tylko tyle do zakomunikowania:

— Nie zdążył mi tego powiedzieć.

Domicjan odetchnął z ulgą. Już po chwili poczuł się jednak zawiedziony. A więc nigdy się nie dowie, jak podziałała na tamtego ta historia z Julią. „Oczywiście, pomyślał, Tytus mu powiedział, ale ten spryciarz nie chce mi tego zdradzić.” Oświadczył głośno:

— Niewiele jest wśród nas takich, którzy żałują jednego tylko czynu w życiu. Brat mój

był człowiekiem pełnym cnót. Poza tym — ciągnął dalej z ponurym uśmieszkiem — był człowiekiem szczęśliwym. — Po czym dodał z dwuznaczną, zdradliwą poufałością: — Zmarł u szczytu sławy. Gdyby umarł później, kto wie, czy potrafiłby utrzymać tę sławę, na której mu tak bardzo zależało. Ci, którzy pozwolili, by umarł przedwcześnie — zakończył i jego zuchwały, ponury uśmiech pogłębił się — działali dla jego dobra.

Kiedy po tych słowach zwolnił Józefa, wstało już słońce. Senat rzymski przystąpił do podniesienia Tytusa między bogi, a Domicjana na tron cesarski.

W trzy dni później, pierwszego dnia miesiąca *tiszri*, który był dniem nowego roku 3842 wedle rachuby żydowskiej, stał Józef w synagodze nazwanej jego imieniem. Róg bawoli, wzywający ostro, donośnie i skrzecząco do modlitwy, wstrząsnął nim do głębi. Był to wstrząs błogi, przeorywał duszę na przyjęcie siewu. Kiedy po południu, stosownie do przepisu Zakonu, stanął na brzegu Tybru, by strząsnąć swe grzechy do rzeki, która je zanieśie do morza i w nim zatopi, poczuł się naprawdę oczyszczony.

Pierwszego dnia miesiąca *tiszri* Jehowa rzuca losy, ale dopiero dziesiątego dnia, w dniu wielkiej pokuty, w sabbat sabbatów, pieczętuje te losy; termin ten dał mężom swego ludu, by przez pokutę mogli odwrócić od siebie sąd. W owym czasie Żydzi posiadali większą zdolność pokuty niż inne narody. Popełnili już gorsze winy, przecierpieli już większą nędzę; wiedzieli, że wina i nędza nie są końcem, że są drogą do nowego zarania. Zwłaszcza Józef, wiecznie zmienny, mógł strząsnąć z siebie przeszłość, jak gładka skóra strząsa wodę. Podobnie jak noworodek dziedziczy po ojcach i praojcach swą istotę, lecz nie swój los, tak on teraz u zarania nowego, wielkiego dzieła mógł rozpocząć nowe istnienie nie obciążony przeszłością. Nie tracił tego, co w przeszłości było dla niego pożyteczne, natomiast skreślał to, co było złe.

Stał więc dziesiątego dnia miesiąca *tiszri* tak jak inni w swej synagodze, w prostej, białej szacie, owej śmiertelnej koszuli, w której po śmierci złożą go do grobu, gdyż w tym dniu należy stanąć przed obliczem Jehowy przygotowanym na śmierć.

Kolegium w Jawneh zarządziło, by wielką ofiarę, dokonywaną dawniej, kiedy istniała Świątynia, w dniu pokuty, zastępowano teraz przez symboliczny obrzęd ofiarny. Lewita Jubal ben Jubal, jeden z niewielu śpiewaków i muzykantów Świątyni, którzy uniknęli zagłady, został wyznaczony na kantora synagogi Józefa. On to przy akompaniamencie śpiewów gminy dokonywał symbolicznego obrzędu ofiarnego. Znał dobrze stare, tradycyjne melodie. W odpowiednich miejscach, kiedy wyznawał grzechy lub wyliczał śpiewnie, ile razy przelana została krew ofiarna, wplatał dzikie, jednostajne zawrodożenie, które lewicy zachowali z owych zamierzchłych czasów wędrówki Żydów po pustyni.

— Niechaj błogosławione będzie oko — śpiewał — które oglądało dwadzieścia cztery tysiące młodych kapłanów, złote sprzęty Świątyni, wspaniałość obrzędu; kiedy teraz dowiaduje się o tym nasze ucho, staje się smętne. Niechaj błogosławione będzie oko, które oglądało arcykapłana, kiedy wychodził ze Świętego Świętych, przebłągany w spokoju, nietknięty, głoszący, że czerwona nieć winy stała się dzięki łasce Jehowy biała. Błogosławione niechaj będzie oko, które go takim oglądało. Kiedy teraz dowiaduje się o tym nasze ucho, staje się smętne.

My bowiem — śpiewał dalej — nie możemy wobec mnogości naszych grzechów otrzymać ich odpuszczenia. Kraj wydany został na łup zuchwalców, obcy stali się głową, my zostaliśmy stopą. Chodzimy po omacku bez proroka, jak ślepi, nikt nie przepowiada nam przyszłości. Nie świta nam już żadne oczyszczenie. Nie mamy już arcykapłana, który mógłby złożyć za nas ofiarę, nie mamy kozła ofiarnego, który by winę naszą zaniósł na pustynię. — Mówił i śpiewał o szczegółach tej pokutnej ofiary. O tym, jak arcykapłan na siedem dni przedtem przebywał w odosobnieniu, nie stykał się całkowicie ze światem, zaprzątnięty całym sercem swą świętą godnością. Jak noc poprzedzającą wielki dzień pokuty spędzał bez snu i pożywienia,

pochłonięty odczytywaniem Pisma i słuchaniem go. Jak później rankiem w białych szatach, lśniący od klejnotów Świątyni, udawał się na wschodnią stronę eksedry, gdzie stały dwa kozły, strzeżone przez kapłanów, owe kozły, na których dostarczenie każdy w Izraelu dawał ułamek grosza. Jak dalej wyciągał z urny złote losy i rozstrzygał, który z kozłów ma zostać kozłem Jehowy, który zaś kozłem pustyni. Jak teraz arcykapłan, złożwszy ręce na łbie kozła, wyznawał przed całym ludem grzechy, których dopuścił się on sam, jego dom, jego ród, cały Izrael, jak składał te grzechy na kozła, jak je w postaci czerwonej nici przywiązywał do jego rogu i wysyłał go z tą nicią na pustynię. Jak wreszcie wkraczał do Świętego Świętych i wzywał Jehowę Jego prawdziwym, dostojnym, strasznym imieniem, którego poza nim nigdy nikomu nie wolno było wymienić, jak cały lud padał na twarz, kiedy to imię wydobywało się z jego ust.

Tak mówił i śpiewał lewita Jubal ben Jubal. Józef przeżył to wszystko, o czym tamten śpiewał, całe nabożeństwo. Podczas tego nabożeństwa stał na stopniach Świątyni, w pierwszym szeregu, oczy jego jaśniały szczęściem. Jeżeli teraz czyjaś dusza powinna była smuć się, to jego dusza. On to bardziej z bliska niż ktokolwiek z żyjących widział, jak Świątynia ta i jej Święte Świętych zostały zburzone, a kapłanów jej pozabijano. Wreszcie był jedynym spośród Żydów, który oglądał to miejsce całkowicie spustoszone, zrównane z ziemią. Widział to, co zostało utracone, przeżył stratę, nie załamał się wobec tej rzeczywistości. Kiedy jednak usłyszał teraz, co zostało utracone, załamał się. Serce odmawiało posłuszeństwa, przestawało bić, oczy, które zniosły widok pożaru i upadku Świątyni, przesłoniła mgła, uszy, które słyszały huk rozsypującej się w gruzy Świątyni, nie były w stanie wysłuchać opisu symbolicznego obrzędu. Lewita śpiewał dalej o utraconej wielkości swego narodu. W pewnej chwili obywatel świata Józef Flawiusz runął nieprzytomny na ziemię w prostej, białej szacie, w której będzie kiedyś pogrzebany.

Po usunięciu przez cesarza z dawnego domu, Józef mieszkał w dzielnicy Łaźnia, w małym wytwornej południowej części miasta, w niewielkim domu wtłoczonym między wysokie czynszowe koszary. Bytował tam w wielkim odosobnieniu otoczony pracowitym, zgiełkliwym ludem. Po opuszczeniu przez Józefa dawnego domu, Justus wynajął był sobie własne niewielkie mieszkanie. Prawdopodobnie z polecenia matki Paweł już się nie zjawiał. Józef spędzał prawie cały czas samotnie, pracował, czekał na Marę. W nowej siedzibie praca szła mu nieźle; dla człowieka tego co on pokroju sprawa, gdzie stoi jego biurko, jest w gruncie rzeczy obojętna.

Po jakimś czasie przyjechała Mara wraz z dzieckiem.

Nie tracąc na próżno słów zabrała się dzielnie do gospodarstwa. Po upływie dwóch tygodni wszystko wyglądało tak, jakby tu zawsze przebywała.

Mijały tygodnie i miesiące. Ludzie mało zajmowali się Józefem, Józef niewiele interesował się ludźmi. Pracował, był zadowolony ze swego losu.

Pewnego dnia przyszła mu ochota zobaczenia swego dawnego domu, który Domicjan, z uwagi na to, że jego ojciec, bóg Wespazjan, tak długo tam mieszkał, oraz na to, że sam się w nim urodził, kazał przebudować na świątynię rodu Flawiuszów. Józef udał się więc do szóstej dzielnicy.

Z ciekawością oraz pewnym szyderczym niezadowoleniem oglądał dom, w którym tyle przeżył. Fasada była niemal nie zmieniona, zachowano jej skromny charakter. Wszedł do wnętrza. Ogarnął go słodkawy, mdły zapach kadzidła. Była godzina popołudniowa, świątynia zostanie wkrótce zamknięta, ludzi znajdowało się w niej niewiele. Usunięto ściany i sufity, wskutek tego wnętrze domu stało się wyższe i bardziej przestronne. Ale ów półmrok, który tak dokuczał Dorion, pozostał, gdyż harmonizował z nastrojem świątyni.

Dopiero po dłuższej chwili Józef oswoił się z tym półmrokiem i zaczął rozróżniać poszczególne przedmioty.

W trzech wielkich nyzach stały posągi bogów, którym dom był poświęcony. W niży

środkowej królowała bogini Rzymu, przedstawiona w sposób tradycyjny, potężna i heroiczna. Na prawo widniała zakuta w zbroję krzepka postać Wespazjana; głowa Meduzy na jego pancerzu kontrastowała osobliwie z przysadzistą postacią i chytrą chłopską czaszką. Nyża lewa, gdzie dawniej stało biurko Józefa, została przekształcona w kaplicę Tytusa. Posąg nowego boga, śmiały i frapujący, wypełniał całą nyżę. Tytus dosiadał orła. Ptak, o wspaniałym upierzeniu, miał dziób zwrócony w lewo ku górze i rozpostarte skrzydła. Bóg Tytus siedział na nim, nogi jego zasłaniały do połowy upierzenie ptaka; miało się wrażenie, że pochylona nieco postać jest z ptakiem zrosnięta.

Józef stał przybity. Głowa, na którą patrzył, była dobrze mu znaną głową Tytusa: okrągła twarz, krótki, mocno zarysowany, wystający, trójkątny spiczasty podbródek, opadające na czoło ufryzowane loki. Były to te same wąskie, głęboko osadzone oczy, które tak często szukały jego wzroku. A mimo to głowa ta, ledwie górująca nad ptasim łbem, wyglądała jakoś inaczej. Słuszna była nienawiść Pisma do wszelkiej podobizny, artysta Basilios miał rację, kiedy zanim przystąpił do modelowania Józefa, zwrócił się do swych uczniów z przestrożą: „Przyjrzyjcie się dobrze tej głowie, kiedy ją ukształtuję, zobaczycie ją taką, jaką ja ją widziałem.”

Przekłeta rzeźba. Odpychająca, a równocześnie pociągająca. W takim niesamowitym nastroju stali zapewne jego przodkowie przed podobizną spiżowego węża lub złotego byka, którego ich prorocy nazywali pogardliwie cielcem. Próbował wywołać w pamięci twarz żywego Tytusa, z którym się tak często spotykał. Ale mu się to nie udawało.

Już szyderczo tryumfująca głowa boga Tytusa, którego orzeł unosi na Olimp, zasłaniała Tytusa prawdziwego: Tytusa w wąwozie śmierci, na Palatynie, w kąpieli ze śniegu.

Józef nie chciał poddać się nastrojowi, wyteżył wszystkie siły, by się otrząsnąć. Spróbował odezwać się do tego człowieka, jak to czynił tak często.

„Czy to nie dziwne, cesarze — zapytał głowy ze spiżu — że na miejscu, w którym pisałem księgę o twoich czynach, stoisz teraz ty sam! Czy jesteś teraz bliższy rozwiązania problemu, dlaczego Jerozolima została zburzona?”

Na tym zakończył się ów dialog. Przestraszony nieco własnym zuchwalstwem, bojaźliwie, jak gdyby ktoś mógł podsłuchać jego myśli, rozejrzał się dokoła. Ale wszyscy już sobie poszli, pozostał sam z bogiem Tytusem. Stał przed masywną rzeźbą niepokąźny, spoglądał na głowę, głowa patrzyła na niego, szydercza, spiżowa, niema. Nie, dla tego człowieka zagłada Jerozolimy nie była już niewątpliwie problemem. Jerozolima zbuntowała się i Rzym ją zdruzgotał. Przecież to posłannictwo Rzymu rządzić światem, ochraniać pokornych, miażdżyć zuchwalców. Taka była niewątpliwie odpowiedź boga dosiadającego ptaka. Był inny aniżeli ów człowiek, który stawiał Józefowi szeptem nieśmiałe pytania, który pozwalał na to, by Józef wmawiał w niego, że Rzym nie jest światem, że trzeba wpięć Rzym, Grecję i Judeę. Nie, ten Tytus odparł stanowczo: Rzym jest światem. Spiżowe milczenie zmarłego wykrzykiwało tę prawdę głośniejsz, niżby to potrafił uczynić najbardziej grzmiący głos żyjącego dowódcy. Rzym połknął i przetrwał świat, potęgą Rzymu i jego żywotność drwiła z pustych, śmiesznych pretensji ducha. Józef w swej pogoni za światem był głupcem wyprowadzonym w pole i oszukany. Znalazł tylko Rzym.

Chciał odejść. Ale nie mógł oderwać się od widoku siedzącego na ptaku człowieka ze spiżu. Był to naprawdę bóg; zaden ze śmiertelnych nie potrafiłby wykrzesać z siebie tyle pychy i siły. Na próżno cała istota Józefa buntowała się przeciw niebywalej pysze tej podobizny. Justus miał rację: kunsztowne pomieszenie prawdy z kłamstwem jest silniejsze od rzeczywistości. Żalony człowiek, którego znał tak dobrze, zbladł już wobec tej przekłetej, zakłamanej, groteskowej, czarownej podobizny i nawet dla Józefa stał się dalekim cesarzem rzymskim.

Józef wrócił do domu rozbity, rad, że zamiast milczącej, wypełnionej dymem kadzidła

świętyni, otacza go hałas, gwar rozmów i zapachy jego obecnej dzielnicy.

W dzielnicy Łaźnia zapanowało wielkie poruszenie, kiedy pewnego dnia zjawili się dwaj kurierzy cesarscy ze zwiastującym szczęście wawrzynem na drzewcach. Udali się uroczyście przed dom Józefa, weszli za próg. Podczas gdy przed domem zgromadziły się liczne rzesze ciekawych, wręczyli mu zgodnie ze starodawnym obyczajem zaproszenie cesarza, w myśl którego miał przybyć od dziś za trzy dni, o godzinie piątej po wschodzie słońca, na moment przekazania miastu przez cesarza łuku tryumfalnego, który Domicjan wznosił ku czci boga Tytusa.

Józef przeraził się. Ale skłonił się nisko i rzekł zgodnie z obyczajem:

— Słyszę, dziękuję, jestem posłuszny.

Nie powiedział nikomu o tym wydarzeniu i nikt z nim o tym nie mówił. Był jednak pewien, że wszyscy o nim wiedzą. Sposób, w jaki mu zaproszenie przekazano, był dowodem, że Palatynowi zależy na tym, by całe wielkie miasto o tym wiedziało. Niewątpliwie uważano, że jego udział w tej ceremonii będzie dobrym kawałem.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Żydzi z gniewem patrzyli na budowę nowego monumentu, którym Domicjan postanowił zastąpić stary, nędzny pomnik, wznoszący się na wielkim polu wyścigowym. Łuk tryumfalny wzniesiony został na wzgórzu Via Sacra, naprzeciw Kapitolu, w samym centrum miasta i miał po wieczne czasy być pamiątką klęski Żydów zadanej przez Tytusa. Już kiedy budowano łuk, Żydzi unikali Via Sacra, głównej arterii przecinającej Forum, i woleli używać dalekich dróg okrężnych, byle tylko nie patrzeć na pomnik swej hańby. A więc za trzy dni Józef ma w towarzystwie władców Rzymu przejść pod tym łukiem i skłonić głowę przed bogiem i zwycięzcą Tytusem. Domicjan nie troszczył się o niego przez długi czas. Teraz, korzystając ze sposobności, raczył przypomnieć sobie o nim i cieszy się, a wraz z nim raduje się jego stolica, na widowisko, jak to Józef schyli kark pod jarzmem.

Kiedy chodziło o złośliwy kawał lub zaspokojenie kaprysu, cesarz zwykł przygotowywać wszystko dobrze i starannie. Wkrótce po kurierach zjawił się u Józefa jeszcze tego samego dnia lekarz przyboczny cesarza, doktor Walens. Gawędzili o tym i o owym. W pewnej chwili Walens dał wyraz wielkiej radości, że znajduje Józefa w tak dobrym zdrowiu; cesarz byłby również rad, gdyby przy okazji odsłonięcia łuku tryumfalnego mógł się o tym osobiście przekonać. Nietrudno było w słowach doktora usłyszeć ostrzeżenie.

I bez wizyty Walensa Józef nie wymówiłby się chyba złym stanem zdrowia. Przeciwnie, gdyby nawet leżał śmiertelnie chory, zdobyłby się na jak największy wysiłek, by wziąć udział w uroczystości. Zanim jeszcze kurierzy wypowiedzieli do końca zaproszenie cesarza, uświadomił sobie jasno i wyraźnie, że musi bezwarunkowo być posłusznym wezwaniu i wraz z innymi przejść pod łukiem z pochyloną głową. Gdyby się opierał i buntował, dałby tylko pożywkę owemu fałszywemu patriotyzmowi, który wciąż jeszcze nie rozumiał, że polityczne posłannictwo Judei się skończyło. Nikt nie zyskałby nic na stawianiu oporu poza Zelotami, owymi szaleńcami, którzy od czasu objęcia władzy przez

Domicjana znowu zaczęli podnosić głowy. Niezależnie od tego, jeśli Józef opierał się albo starał się wykręcić, naraziłby na szwank swoją własną pozycję. Jako wielki pisarz miał jeszcze znaczenie i u dworu, i na świecie. Ale Domicjan nie lubi go, wielu czatuje na to, by się pozbyć niewygodnego, utalentowanego konkurenta i Józef byłby durniem, gdyby im sam stworzył wygodny pretekst. Jego postępowanie jest wyraźnie wytknięte. Stosownie do życzenia cesarza za trzy dni weźmie udział w uroczystym pochodzie.

Tego dnia pracował niewiele, a w nocy spał niedobrze.

Jeżeli pierwszego dnia zadanie, które wziął na siebie, wydawało mu się ciężkie, to nazajutrz wydało mu się nie do zniesienia. Postanowił pościć, tak jak czynił zawsze, ilekroć

czekały go ciężkie sprawy. Przeczytać w Liwiuszu opis jeńców przechodzących pod jarzmem: w ziemię wtykano dwie lance, nad którymi ustawiano trzecią tak nisko, że pojmany chcąc pod nimi przejść, musiał się zgiąć do samej ziemi. Rzymianie uważali skazanie kogoś na przyjęcie jarzma za najhaniebniejszą karę, jaką można wymierzyć człowiekowi. Wspomnienie o nielicznych Rzymianach skazanych na przyjęcie jarzma tkwiło jeszcze w sercach współczesnych jako dowód najgorszej hańby. Józef nie jest jednak Rzymianinem, a przed trybunałem rozsądku, przed Bogiem, „honor” człowieka jest mierzony inną miarą aniżeli na rzymskim Forum.

Są to piękne rozmyślenia przy własnym biurku. Inna sprawa, że pojutrze, kiedy stanie przed łukiem tryumfalnym, symbolem haniebnego jarzma, będzie musiał mocno zacisnąć zęby. Doświadczył na sobie tego, że sprawy trudne i ciężkie znosił łatwiej, kiedy przedtem wypił do dna całą ich gorycz w wyobraźni. Odmalowywał więc sobie w jaskrawych barwach obraz swego upokorzenia: gwizdy i śmiechy Rzymian, nienawiść i wściekłą pogardę Żydów. Wśród Żydów bowiem znajdzie się tylko niewielu, którzy go zrozu-

mieją, i nawet ci stosując przezorną politykę nie ochronią go.

Siedział nieruchomo przy biurku. Nie odczuwał głodu; odczuwał coś o wiele gorszego. Czuł fizycznie, jaki się stanie znienawidzony i pogardzany. Znał tę lodowatą pogardę swoich Żydów; taka pogarda potrafi przebić nawet pancierz żółwia.

Jako jedyny Żyd oglądał przed laty powojenny tryumf Tytusa. Widział, jak przechodzili koło niego przywódcy powstania, Szymon bar Giora i Jan z Giskali, spętani, skazani na śmierć; jeden miał na głowie koronę z pokrzywy i suchych gałęzi, drugi był przyodziany w śmieszłą blaszaną zbroję. Przypomniawszy sobie dokładnie dławiący strach, który go wtedy ogarnął na myśl, że mogliby spojrzeć na niego. Przeżył wiele złego, głód, straszliwe pragnienie, biczowanie, wszelkie rodzaje hańby, częstokroć stał w obliczu śmierci. Ale to, co go teraz czeka, jest najgorsze — wręcz nieludzkie. Czy ma się temu poddać po raz drugi?

Miał wówczas właściwą postawę duchową: był historykiem, musiał widzieć, musiał być obecny, patrzeć było jego obowiązkiem. Czy argumenty są dziś mniej silne? Nie, wprost przeciwnie, przekonania jego umocniły się. Zarówno wzgląd na dobro ogółu, jak i na własne dobro wymaga, żeby się ugiął. Wymaga tego rozsądek, a on istnieje przecież po to, żeby służyć rozsądkowi. Gdyby się nie ugiął, poświęciłby sens swego całego życia, wszystko, czego dotychczas dokonał, co napisał i wywalczył.

Przecina dłonią powietrze, przekreśla nią wszystkie wątpliwości. Decyzja jego jest niezłomna. Słuszna to decyzja i jedynie możliwa. A teraz nie będzie już dłużej myślał o tej wstrętnej sprawie. Wyciąga rękopis. Pracuje.

Udaje mu się to w ciągu pół godziny, w ciągu pełnych trzydziestu minut. Potem, choć się temu gwałtownie opiera, znowu wyrastają przed nim ponętne obrazy; a gdyby odmówił, gdyby się sprzeciwił rozkazowi cesarza, gdyby się nie ugiął i stał z boku ponury i wyniosły? "Byłoby to słodkie i cudowne — myśli sobie. — Duma rozpieczęta mi serce jak wtedy, kiedy na czele powstańców jechałem na rumaku Strzale, poprzedzany godłem Makabeuszów. Jakże błogo byłoby odczuć to wszystko raz jeszcze. Cokolwiek by się później stało, za taką błogością warto byłoby przecierpieć najgorsze. Wtedy historia Żydów mówiłaby po wsze czasy o Józefie synu Mateusza, męczenniku, nie zaszkodziłoby to historykowi i kronikarzowi Flawiuszowi Józefowi.

Gdyby Domicjan kazał mnie zgładzić, nie mógłby mnie nie podziwiać. A pośród Żydów nawet ci, którzy by potępiali mój czyn, Aleksas, Kajus Barcaarone i uczonego rabbi Gamaliel wspominaliby mnie ze czcią." Na ułamek sekundy pojawia się przed nim ciemna, pożółkła, wychudzona, zgorzkniała twarz, w której nie ma cienia szacunku. Ale Józef odsuwa ją szybko w cień. Za to długo przebywa myślą z Fineaszem. „Kiedy ten dowie się, co uczyniłem, stropi się, poszuka słów potępienia, ale nie będzie mógł nie poczuć szacunku dla mego stoicyzmu. A co

dopiero Paweł! Zmarły ojciec doczeka się jego uczucia, którego nigdy nie mógł zdobyć w życiu.

Czy w ogóle istnieje pewność, że moje pójście za uczuciem i godnością miałyby złe skutki? Czy oparcie się cesarzowi nie zrobiłoby na Rzymianach wielkiego wrażenia, przecież szydzą z Żydów za ich tchórzliwość, uniżoność i brak godności. Czy stawiając opór w sposób tak oczywisty nie dowiodłbym Rzymianom, że Żydów można pobić, że można ich mordować, ale nie można ich ugiąć ani złamać? Istnieją dwie rzeczy, które kronikarze wszystkich czasów i wszystkich ludów sławią jednakowo: sukces i godność. Podręczniki są przepełnione opisami postępów i działań, które przyniosły sukces i dokonane zostały z godnością.

O postępach rozsądnych mówią niewiele i żaden kronikarz nie słał jeszcze rozsądku.

Na samą myśl o tym Józef już się wstydzi. Nie chce myśleć jak człowiek krótkowzroczny i pełen pychy. Nie chce być bohaterem z podręczników i czytanek.

Nie może zasnąć również i następnej nocy. Nad ranem sięga po Filona. — „To, co jest przeciwne rozsądkowi — czyta — jest brzydkie. Rozsądek, logos, to pierwotny syn Boga.” — Bardzo słusznie — mówi głośno. — Czy nie jest jednak napisane: „Powinieneś kochać Boga swymi dobrymi i złymi popędami.” Przywołuje przyjaciół, Justusa, uczonego rabbi Gamaliela, ben Ismaela, Achera. W duchu pra-wuje się z nimi, odpowiada na ich argumenty.

„Ten czas nieszczęścia i nędzy — zaczyna jasnym, miłym głosem uczony rabbi — kusi bardziej niż wiele innych epok do tego, by iść za złym popędem, za głupim instynktem patriotycznym. Nie potępiałbym nikogo, kto by popuścił cugli swemu patriotyzmowi, przeciwstawił się cesarzowi rzymskiemu i oświadczył, że jest Żydem. Czy jednak niejaki Józef syn Mateusza nie ma obowiązku z większą mocą niż inni przeciwstawić się temu popędowi?” Uczony rabbi zamilkł. Ale już zabrał głos jego wróg, Acher, i oddychając głośno, sapiąc oświadcza: „Czy ten rabbi Józef nie doszedł w swym długim, nie zawsze łatwym życiu do wniosku, że nie Jehowa jest protektorem Judei, lecz właśnie logos. Rozsądek?” Ledwie Acher skończył, uzupełnia go, jak zawsze twardo i ostro, Justus: „Generała, męża stanu za trzy grosze może skusić piękny patriotyczny gest. Ale ty, Józefie, jesteś pisarzem.” Wszystkie te oświadczenia zamyka ben Ismael głębokim głosem, który wypełnia całą bibliotekę: „Gdybyś, rabbi Józefie, upierał się przy słusznej sprawie, zaprzeczalbyś zasadzie. Zdradziłbyś ideę, w imię której wzięłeś na siebie ten ciężar nad siły i tyle od innych wymagałeś.”

„Nie jestem jeszcze dość stary — broni się Józef — by iść tylko za głosem rozsądku. Życie traci swą wartość, kiedy człowiek powoduje się zawsze i jedynie rozsądkiem.”

„Bądź co bądź, masz lat czterdzieści pięć — oświadcza Acher ironicznie, choć uprzejmie. — Dostatecznie długo służyłeś Bogu swym złym popędem.” Znowu przerywa mu Justus: „Kolego Józefie, to, na co sobie pozwoliłeś zarówno pod względem godności, jak i w dziedzinie nieprzystojności, wystarczyłoby Matuzalemowi na całe życie.” Mówiąc to chichocze nieprzyjemnie.

„Jestem dziś jedynym człowiekiem — oświadcza Józef — który może dowieść Rzymianom, że Żyd posiada godność.”

„I cóż wygrasz na tym — zapytuje uprzejmie rabbi Gamaliel — jeżeli tego Rzymianom dowiedziesz? Zeloci wezmą twoją demonstrację za wyzwanie i powstaną na nowo. Czy sądzisz, że takie powstanie byłoby dzisiaj rozsądniejsze niż przed piętnastu laty i dałoby pomyślne wyniki?”

Niecierpliwy Justus stwierdza szyderczo: „Swoim pięknym gestem sprawisz sobie zapewne pół godziny głębokiego zadowolenia i będzie ci się wydawało, że jesteś wielkim człowiekiem. Ale dziesiątki tysięcy zapłacą za to półgodzinne szczęście pisarza Józefa śmiercią lub życiem w nędzy i nieszczęściu.”

W taki to sposób Józef debatował ze swoimi przyjaciółmi. Ale nie potrafił utrzymać przy

sobie na długo ich głosów. Znowu dzień dłużył mu się nieskończenie. Żeby się to wreszcie już stało! Samo upokorzenie zniesie, jak zniósł tyle innych ciężkich ciosów. Gdyby nawet przeciągnęli ceremonię, gdyby nawet szli z Palatynu na wzgórze, gdzie stoi łuk, drogą okrężną, nie będą mogli wlec go z sobą dłużej niż godzinę, a samo przejście pod łukiem trwa przecież sekundę. Ale teraz czekanie na jutrzejszy ranek wydaje się Józefowi wiecznością.

Wieczorem powiedział: „Ach, gdyby to już było rano” — teraz mówi: „Ach, gdyby to już był wieczór.”

Kiedy wreszcie nadszedł wieczór ciężkiego jak ołów dnia, nie mógł już dłużej znieść męki w milczeniu i udał się do Mary. Otworzył przed nią serce.

Siedziała cicho z dzieckiem na kolanach, Józef chodził tam i z powrotem, wyrzucał z siebie całą udrękę. Dobierał najprostszycy słów, mówił po aramejsku, gadał, nie mógł dobrnąć do końca. Powiedział jej, czego od niego wymagają, dlaczego to musi uczynić, dlaczego wszystko w nim buntuje się przeciw temu.

— Ci, którym mam powiedzieć tak, przed którymi mam się ugiąć — mówił z oburzeniem — to ludzie, którzy spalili Świątynię i zamordowali dwadzieścia cztery tysiące kapłanów. Całe wzgórze, na którym wznosiła się Świątynia, stało w płomieniach, wszystkie pagórki pełne były krzyżów, a pod ziemią, w tajemnych przejściach, ludzie bili się o kawałek spleśniałego chleba. Ten, przed którym mam się ugiąć, jest synem lubieżnego starca, który pozbawił cię dziewictwa, który, żeby nas oboje wyszydzić, wyprawił nam pierwsze błazeńskie wesele. Czy teraz, po trzynastu latach, mam jeszcze na to wszystko ze złością powiedzieć tak? Bóg chce, żebym to uczynił, rozsądek tego wymaga. Ale krew uderza mi do głowy, kiedy pomyślę, że muszę przejść pod łukiem, że muszę to przełknąć. Duszę się niemal, ale się nie uduszę. I stanę się pośmiewiskiem Rzymian, ściągnę na siebie nienawiść Żydów. Rozsądek to dobra rzecz, raz na pięćset lat otrzyma człowiek zań nagrodę. Rozsądek to pierworodne dziecko Boga, ale sam Bóg płaci dopiero wtedy, kiedy człowiek umrze, a dopóki żyje, otrzymuje za to tylko kopniaki.

Chodził przed Marą tam i z powrotem, wychudły, osłabiony, włókł za sobą swą szatę, wielkie oczy lśniły gorączkowo w zapadniętej twarzy, brodę i włosy miał zmierzwione, głos jego był równie zmieniony jak twarz.

Mara siedziała cicho, wodziła za nim wzrokiem. Miała teraz lat dwadzieścia siedem, utyla trochę, ale wyglądała jędrnie i kwitnąco. Tylko nieśmiałe, księżycowe lśnienie pierwszej młodości ulotniło się. Wiele przeżyła, widziała życie i śmierć, radość i rozpacz starców i dzieci, Judeę i świat. Widziała również rabbi Józefa syna Mateusza, kiedy były od niego promienie, kiedy znajdował się w rozkwicie. Cały naród przejął to lśnienie, podniósł się dzięki niemu i stał się szczęśliwy. Dziś jeszcze jest dla setek tysięcy wielkim Żydem i wielkim człowiekiem, w Judei ludzie schylają się przed nim, jest kapłanem jerozolimskim, wybrańcem Boga, a równocześnie rzymskim rycerzem, współbiedniakiem trzech cesarzy, posąg jego stoi w sali honorowej. A teraz biega żalony przed nią tam i z powrotem i wyrzuca ze siebie swą mękę jak zaszczute zwierzę. Bóg doświadczył go ciężiej niż innych. Mara nie wszystko rozumie, co Józef mówi, ale rozumie, że jest mu bardzo źle. Zawsze go kochała, wie teraz, że go kochała i wtedy, kiedy jej się wydawało, że go nienawidzi, ogarnia ją teraz całą słodka, bolesna litość. Chciałaby gorąco zobaczyć anowu swego rabbi Józefa promieniejącego, wyniesionego ponad innych, jak Saul wyniesiony był ponad innych w Izraelu. Czuje z nim razem, jakie by to było wspaniałe, gdyby mógł oprzeć się cesarzowi rzymskiemu, temu wrogowi Żydów i przestępcy, temu psu. A jednak choć brak jej właściwych słów, wie dokładnie, o co chodzi, wie, że Bóg będzie temu sprzyjał, jeżeli Józef zrezygnuje z chwalebego czynu i weźmie na siebie brzemię hańby. Ten człowiek, jej mąż mówi dalej, a głos jego kiedyś pełen takiego czaru i siły przekonywającej jest teraz głuchy, jakby zardzewiały.

— Co mam robić, Maro? — zapytuje. — Jeżeli się poddam i pójdę za głosem rozsądku, będę się sobie wydawał zdrajcą własnego ludu i setki tysięcy będą mnie nienawidziły i pogardzały mną. Jeżeli się poddam, stanę się zdrajcą prawdziwego Izraela, Boga i siebie samego. Poradź mi, Maro.

Zamilkł, usiadł, wyczerpany do ostateczności zamknął oczy.

Mara powiedziała:

— Ciężko to być musi lizać rękę pyszałków, ścierać wargami proch z ich stóp, nie byłabym zdolna tego uczynić. Serce moje radowałoby się, gdybyś powiedział n i e i plunął w twarz cesarzowi Rzymian w odpowiedzi na jego szyderstwo, jest to bowiem syn człowieka, który mnie zhańbił i leżał na mnie w swoim rozpustnym łożu. Ale ty jesteś mądry, ja zaś, Mara, jestem niemądra. Jeżeli mówisz: „Wola moja chce tego, ale rozum zabrania”, to musi być dla ciebie równie ciężko sprzeciwiać się, jak się nie sprzeciwiać, bo przecież wola twoja jest silna, o mój panie, a rozum twój bardzo wielki. Ja, Mara, twoja żona, słyszałam cię i jestem dumna, że ze mną o tym mówił. Ale nie mogę ci nic powiedzieć, jak tylko to, że ciężar, który ciebie przytłacza, i mnie leży na sercu jak kamień. Czy pójdziesz, panie mój najukochańszy, na prawo czy na lewo, zostaniesz moim panem i ukochanym.

Słuchając jej Józef zawstydział się. Wypowiedział przed nią wszystko, co go gnębiło. Jedno tylko przemilczał: że gdyby się ugiął, bałby się twarzy jednego człowieka na świecie — syna swego Pawła, a gdyby się nie ugiął, lękałby się tylko twarzy swego przyjaciela Justusa.

Następnego ranka Józef wstał bardzo wcześnie. Wykąpał się, namaścił, uperfumował, fryzjer utrefił mu brodę i włosy. Ubrał się starannie, włożył szatę odświętną szlachty drugiego stopnia z purpurowym szlakiem, złoty pierścień, czerwony płaszcz. Tak przystrojony udał się w stronę Palatynu, gdzie miał się uformować uroczysty pochód.

Mistrz ceremonii wskazał mu miejsce, które miał zająć w pochodzie. Procesja schodziła wolno z Palatynu i weszła na małe wzgórze prowadzące do łuku tryumfalnego. Wszędzie było pełno ludzi. Słoczeni stali w przedsionkach, na dachach budynków, czepiali się kolumn i gzymsów z narażeniem życia. Józef był blady, ale wyglądał spokojnie i dostojnie; na tle rzymskiej szaty galowej krótka żydowska broda odcinała jakoś obco. U pasa miał złote przybory do pisania, darowane mu przez Tytusa.

Trzyma głowę wysoko, patrzy prosto przed siebie. Widzi morze głów, falujące za każdym poruszeniem. Nie jest w stanie odróżnić poszczególnych twarzy, ale wydaje mu się raz po raz, że widzi twarz swego syna Pawła, szczupłą, opaloną głowę na długiej szyi, namiętne oczy, jego własne oczy, teraz ciemne od gniewu i wstydu, na który go ojciec naraził, ciemne od pogardy. Wszyscy będą nim pogardzali. Senatorowie republikańscy, Fineasz, Dorion, a może nawet wbrew wszelkiemu rozsądkowi Marull. Najbardziej jednak będzie nim pogardzać syn jego Paweł.

Już są blisko łuku tryumfalnego. Zdjęto z niego zasłony; wznosi się niezbyt wysoko dumny i biały, wykuty z paryjskiego marmuru, szlachetny w kształcie, ozdobiony płaskorzeźbami dłuta rzeźbiarza Basiliosa. Jak zawsze Basilios jęczał i wymyślał na niegodny, nieartystyczny pośpiech, do którego monarcha go zmuszał; mimo to wydaje się, że robota mu się udała. W każdym razie Rzym od kilku tygodni mówi o jego płaskorzeźbach. Józef wie od dawna, co przedstawiają: pochód tryumfalny Tytusa, łupy zdobyte na wojnie żydowskiej, sprzęty Świątyni. Może nawet kostyczny Basilios umieścił wśród płaskorzeźb jego głowę.

Pochód wkracza powoli na niewielkie wzgórze. Przed oczyma Józefa majaczy już łuk. Jest dość wysoki, by móc przejść pod nim z podniesioną głową, lecz Józefowi wydaje się niski, niby jarzmo hańby i klęski: dwie lance zatknięte w ziemię, trzecia położona w poprzek tak nisko, że trzeba się schylić aż do ziemi. Józef musi się schylić. Raz jeszcze musi świętować klęskę

Żydów, zginać kark przed zwycięzcą, zaprzeć się własnego narodu. A jeżeli nawet jego upokorzenie będzie dobrodziejstwem dla narodu, któż to zobaczy? Lecz to, że się zaparł własnego narodu, widzą wszyscy, dzie-sięciotysięczny tłum dokoła na dachach i jego rodzony syn.

Józef idzie w pochodzie krok za krokiem. Idzie po twardych płytach, są kształtne, gładkie, wygodne, od łuku dzieli go już teraz chyba nie więcej niż pięćdziesiąt kroków. Będzie to pięćdziesiąt ciężkich kroków. Ale przemierzy je i ugnie się. Tak sobie postanowił w owe trzy straszliwe dni; ciężar ten został na niego nałożony i wziął go na swoje barki. Teraz wciela w czyn swe postanowienie, kroczy naprzód, żeby się upokorzyć i zaprzeć swego narodu.

Dzień jest miły, niezbyt skwarny. Ale Józef poci się, jest blady, czuje pustkę w trzewiach. Sądził, że najcięższe będzie oczekiwanie. Pomylił się. Ileż to jeszcze kroków? Czterdzieści pięć. Nie, czterdzieści. Podnosi nogę. Czyżby miał ołów pod podszewkami? Znowu podnosi nogę. Zgrzyta zębami. Nie wolno mu tego czynić, mogliby usłyszeć.

Nagle oczyma wyobraźni zobaczył przed sobą Bileama, wielkiego czarodzieja i proroka wśród pogan, który wyruszył, by przekląć lud Izraela, któremu jednak Jehowa przekreślił słowa w ustach tak, że musiał lud ten błogosławić. „Jestem przeciwieństwem Bileama — myśli Józef. — Wyruszyłem, by narodowi memu wyświadczyć dobro, a wszystkim się zdaje, że się go zapieram.” Aby ułatwić sobie tę drogę, czepia się prastarych strof, które Pismo wkłada w usta Bileama, wypowiada je w rytm marszu:

Jakoż mogę przeklinać,

Raz —

Kogo Bóg nie przeklina?

Raz —

Jakoż mogę złorzeczyć,

Raz —

Komu Pan nie złorzeczy?

Raz —

Spojrzyj oto na lud,

Raz —

Co mieszka na uboczu Raz —

I pośród innych ludów Raz —

Obcy jest i samotny.

Raz —

Któż zliczy proch Jakuba,

Raz —

Kto wodzów Izraela?

Raz —

Piękne namioty Jakuba!

Raz — ""

Piękny dom Izraela!

Raz —

Błogosławiony, kto ci błogosławi,

Raz —

Przeklęty, kto cię przeklina!

Raz —

Ujrzą go, ujrzą —

Raz —

Ale jeszcze nie dzisiaj.

Raz —

Patrzę mu prosto w twarz,

Raz —

Ale nie patrzę z bliska.

Raz —

Gwiazda wnijdzie z Jakuba Raz, raz, raz...

Pozostało mu jeszcze najwyżej dwadzieścia kroków. Nagle, takie zapewne wydano polecenie, powstaje dookoła niego pusta przestrzeń; jest teraz w tłocznym pochodzie zupełnie sam. Nie czuje nóg aż po biodra. Za chwilę, choćby nie wiedzieć jak chciał, nie będzie już mógł ich podnieść. A jednak podnosi je. Twarz jego pozostaje spokojna. Tylko usta zaciśnięte są tak mocno, iż wydaje się, że żuchwy przebijają policzki. Podnosi nogę, opuszcza ją, znowu podnosi. Przed nim pusta przestrzeń i za nim pusta przestrzeń.

O nie! W niewielkiej odległości idzie za nim karzeł cesarza, opasły, zarośnięty, złośliwy, błazeński Silen, i małpuje każdy jego ruch.

Józef wie, że tysiące oczu patrzy teraz na niego, tysiące ludzi z napięciem wyczekuje chwili, kiedy się zegnien pod jarzmem. Za chwilę zerwą się przeraźliwe, ostre gwizdy, przeszyją cały Rzym jak orkan szyderstwa i śmiechu: „Jak nisko się pochylił, jak głęboko i niewolniczo! Jakież sra-luchy i tchórzliwe psy są ci Żydzi, jakież tchórzliwy pies z tego Żyda Józefa!” Setki tysięcy Żydów w Rzymie, a za dwa tygodnie pięć milionów Żydów na całym świecie będą przeklinały, wykrzywiając z wściekłości twarz: „Ten łajdak Józef syn Mateusza znowu znieważył siebie i cały naród żydowski. Jakież łajdak i tchórzliwy pies z tego Józefa syna Mateusza.” I wszyscy, zarówno Żydzi, jak Rzymianie, będą się uśmiechać złośliwie, szydzić i przeklinać: „Ten pies Józef! Ten łajdak Józef!”

Widnieją przed nim łacińskie litery wyrzeźbione na łuku. Zamiast dawnego szumnego napisu widać skromne słowa: „Senat i naród rzymski bogu Tytusowi, synowi boga Wespazjana.” Józef czyta łacińskie litery, a równocześnie myśli po aramejsku: „Gdybyż teraz wolno było przystanąć, zawrócić! Jakże szczęśliwi byli ci, którzy wówczas podnieśli broń przeciw Rzymowi, zabili Cestiusza Galla, wycięli w pień jego legion. Byli obłąkani i szczęśliwi. Błogosławieni są ubodzy duchem, błogosławieni prostaczkowie. Jakże szczęśliwy byłem wjeżdżając do Galilei na moim rumaku

Strzale, zanim jeszcze weszli powstańcy. O moja siło, o moja radości, o moja młodości! Nie jestem jeszcze stary, nie!”

Od łuku dzieli go jeszcze tylko kilka kroków, już widzi na wewnętrznych ścianach znieawidzone podobizny, obie płaskorzeźby, o których tyle się mówi. Z jednej strony piętrzą się zdobyte łupy, z drugiej stoi Tytus na rydwanie tryumfalnym. Poprzez sklepienie łuku widać już Kapitol na przeciwległym końcu Via Sacra, wzniesiony ku czci Jowisza za pieniądze Żydów. Rzym tryumfuje nad Judeą.

W tej chwili Józef dostrzega na trybunie przed wąskim gmachem Nowej Mennicy twarz syna swego Pawła. Twarz ta tonie natychmiast w powodzi innych. Ale Józef widział ją wyraźnie, opaloną, promieniującą blaskiem, a zarazem zżartą nienawiścią i pogardą. Widział również, że Paweł wbrew zwyczajowi szeroko otworzył usta. Tak, syn jego Paweł wrzeszczy jak wszyscy. Nie, nie jak wszyscy. Tamci wołają entuzjastycznie: „O ty, bardzo dobry, bardzo wielki cesarzu i boże, Tytusie!” Ale syn jego Paweł, Józef wie o tym dobrze, wrzeszczy: „Mój ojciec to łajdak, mój ojciec to pies!” Twarz jego jest zmieniona i straszna.

Józef stoi przed łukiem. Wrzaski dookoła cichną na chwilę. Nawet karzeł wraz z tysiącami widzów zastygł w oczekiwaniu. Jakaś nieposkromiona siła powstrzymuje Józefa, by nie szedł

dalej, każe mu zawrócić, cisnąć przybory do pisania w paskudną gębę karła. „Bóg zażądał — myśli i zdaje mu się, że ta chwila trwa bez końca — by Abraham poświęcił syna. Można syna poświęcić, ale postępować tak, by twarz własnego syna zmieniała się do tego stopnia, jak twarz mego Pawła, to ponad ludzkie siły, tego nie można wymagać od żadnego ojca na świecie. Nie, nie mogę tego zrobić. Całe moje ciało płonie, przede mną jest ogień, a za mną jest woda, nie zrobię ani kroku, naprzód. Zawrócę.

Bzdura! Skąd Ja mogę wiedzieć, co Paweł wrzeszczał? Wrzeszczał, bo wrzeszczeli inni, a przecież każda twarz zmienia się, gdy ktoś wrzeszczy. Wmawiam to sobie, ponieważ chcę znaleźć wykręt, chcę zawrócić. Cudownie byłoby zawrócić. Kojąco, słodko i zaszczytnie.

Nie, byłoby zbrodniczo głupio — karcie ostro sam siebie. — Nie jest rzeczą łatwą być rozsądnym, ludzie nie są za to wdzięczni. Ale rozsądek to pierwotne dziecko Boga i jestem jego zwolennikiem.”

Rozważywszy to wszystko, obywatel świata Józef syn Mateusza, zwany Flawiuszem Józefem, świadomy tego, że raz na zawsze traci szacunek Rzymian i Żydów oraz miłość syna swego Pawła, zadaje gwałt sercu, natęża wolę i stawia ostatni krok. Zgodnie z przepisem głęboko schyla osłoniętą głowę, dotyka ręką ust okolonych brodą; Żyd posyła po-dobieżnie boskiego Tytusa pocałunek, przechodzi pod sklepieniem łuku mijając tryumfującą boginię Rzymu, zwycięski rydwan cesarza i haniebnie pojmany Żydów.

A za nim kroczy karzeł Silen i naśladuje każdy jego ruch.

Na tym kończy się druga z trzech powieści o dziejopisie Flawiuszu Józefie.

SPIS TREŚCI

Księga pierwsza: Pisarz

Księga druga: Mąż

Księga trzecia: Ojciec

Księga czwarta: Nacjonalista

Księga piąta: Obywatel świata

Powieść „Józef” miała składać się pierwotnie tylko z dwóch części. Tom drugi i ostatni był naszkicowany do końca w roku 1932, po wydaniu pierwszego, i w znacznej części już napisany.

Kiedy jednak w marcu 1933 narodowi socjaliści splądrowali mój dom w Berlinie, zniszczyli rękopis drugiego tomu oraz materiał naukowy, którym się posługiwałem.

Rekonstrukcja zniszczonego rękopisu w jego pierwotnej formie okazała się niemożliwa. Na temat Józefa, nacjonalisty i obywatela świata, dowiedziałem się tymczasem niejednego, zgromadzony materiał rozsadził dawne ramy i byłem zmuszony podzielić go na trzy tomy.

Lion Feuchtwanger